



RYSZARD **ĆWIRLEJ**  
WSZYSCY SŁYSZELI  
JEJ KRZYK

*Chciałbym zobaczyć ekranizację przygód Fischera,  
to po prostu trzeba sfilmować! Polecam! Arkadiusz Jakubik*



RYSZARD **ĆWIRLEJ**  
WSZYSCY SŁYSZELI  
JEJ KRZYK



RYSZARD **ĆWIRLEJ**  
WSZYSZY SŁYSZELI  
JEJ KRZYK



Copyright © Ryszard Ćwirlej, 2021

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Redaktor prowadzący: Szymon Langowski

Marketing i promocja: Anna Rychlicka-Karbowska

Redakcja: Beata Mes

Konsultacja historyczna: Marek Daroszewski

Korekta: Katarzyna Smardzewska, Maria Moczko | panbook.pl

Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Katarzyna Borkowska

Fotografia na okładce: © Laurence Winram | Trevillion Images

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66657-91-5

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

# Prolog

Okolice Człuchowa, „Polski korytarz”

Droga kolejowa Berlin-Königsberg

Czwartek

18 lipca 1929 roku

Godzina 5.10 rano

Pierwsze promienie słońca powoli wypełzały zza zielonej linii horyzontu, który ostrym konturem kreśliła gruba kreska wierzb, olch, brzóz i wiklinowych chaszczy. U ich stóp rozpościerały się piaskowożółte połacie trzcin i kępy traw. Wszystko to przykrywał zwiewny woal porannej mgły, rozpostartej na roślinnych czapach niczym dym z cygar ponad karcianym suknie stołu do brydża.

Tak ta mgła skojarzyła się z kartami i cygarami kolejarzowi Euzebiuszowi Maciaszkowi, który wielkim koneserem osobliwości przyrodniczych bynajmniej nie był, za to kart jak najbardziej. Grał namiętnie, tracąc każdego tygodnia niemal całą swoją wypłatę, ale nie frasował się tym specjalnie, bo nie bardzo musiał. Mieszkał u starszej siostry, wdowy po sierżancie artylerii, zabitym w dwudziestym roku w czasie wojny bolszewickiej. Na szczęście zanim sierżant na tę wojnę poszedł, zdążył jeszcze przepracować piętnaście lat na kolei, więc kobieta, prócz synka, żywej pamiątki po mężu nieboraku, miała jeszcze tyle pieniędzy z wojskowo-kolejowej renty, że mogła wyżywić siebie, dzieciaka i brata utracjusza. Ten był

cwaniakiem kutym na cztery nogi i wiedział dobrze, że nie może jednak siostry wykorzystywać do cna. Od czasu do czasu, wiedziony instynktem samozachowawczym, oddawał jej część swojej wypłaty, żeby nie gadała za dużo, i szedł ze spokojnym sumieniem grać. Liczył, jak każdy nałogowy hazardzista, na wielką wygraną, która pozwoli mu odmienić los i sprawi, że z pracownika technicznego stanie się niezależnym rentierem, żyjącym z kapitału. Ale jak na razie kapitał był daleko, a w kieszeni brzęczało zaledwie kilka groszy, w sam raz tyle, żeby kupić piwo na stacji w Człuchowie. Żałował, że nie w Niemczech, bo dziś akurat, jak to się często zdarzało, nie przekraczał granicy. Razem z kolegą Alfredem Golombkiem, kolejarzem utrzymania drogi żelaznej, jechali ręczną drezyną w przeciwnym kierunku. Obaj stali na niewielkiej platformie zwróceniem twarzami do siebie. Każdy opierał się dłońmi o swoją część wajchy, którą naprzemiennie musieli wciskać w dół. W ten sposób ręczny napęd poruszał cztery koła drezyny, która przeznaczona była do codziennego patrolowania odcinka toru kolejowego pomiędzy Człuchowem a granicą państwową.

Takie patrole były ważnym elementem ruchu tranzytowego przechodzącego przez „polski korytarz” z Niemiec do Prus Wschodnich, a dokładniej pomiędzy Berlinem i Königsbergiem. Kolejarze przynajmniej raz w tygodniu o świcie wyruszali w drogę do granicy i z powrotem, by badać jakość szyn i nasypów. Pociągi tranzytowe z Niemiec jeździły tędy kilka razy dziennie bez przystanków, więc przemierzały ten szlak dość szybko. Stąd szczególnej uwagi wymagały tory, które musiały być najwyższej jakości, bo gdyby nie daj Boże doszło tu do wypadku z winy Polaków, to Niemcy zrobiliby z tego międzynarodowy skandal. W końcu za ów tranzyt codzienny płacili i to wcale niemało, więc mogli wymagać najwyższej jakości usług.

– A wiesz ty, Ebi... – Golombek i Maciaszek znali się od dziecka, więc byli po imieniu – ...wiesz ty, że jak w Niemczech rewolucja wygra, to każdy będzie miał własny dom – stwierdził rozmarzony kolejarz, który gnieździł się z żoną i czwórką dzieci w dwóch pokojach na poddaszu.

– Jaka rewolucja? – zdziwił się Maciaszek, spoglądając uważnie na drzewa w lesie po niemieckiej stronie, tak jakby ta rewolucja naraz mogła wychylić swój obmierzły ryj spośród brązowych pni sosen. – Rewolucja to w Rosji. A w Niemczech to bolszewików wytłukli już dawno. Są tam, co prawda, komuniści, ale to przecie Niemcy, a bolszewicy to Ruscy...

Jego kolega pokręcił głową, uśmiechając się przy tym pod wąsem.

– Rewolucja, nie ta komunistyczna, bo ona nikomu nic nie daje, ino odbiera wszystko ludziom. Ja powiadam o tej innej, narodowosocjalistycznej.

Teraz Maciaszek się uśmiechnął, a właściwie to nawet roześmiał się w głos, bo też czytał gazety i umiał wyciągać wnioski z tego, co tam napisane.

– Głupiś, bracie. To ty nie wiesz, że w życiu jest tak, że jak sam czego nie zdobędziesz, to ci nikt niczego nie da. Albo se sam zarobisz, albo... wygrasz, to będziesz wtedy mieć. A jak nie umiesz o siebie zadbać, to na gruszki na wierzbie lepiej nie licz.

– Ja ino powiadam, że to w Niemczech ci narodowi socjaliści tak gadają.

– A ty skąd to niby wiesz?

– Czytam ich gazety. Oni tam mądre rzeczy piszą.

– Niby co takiego.

– Ano że trzeba Niemcom na wschód iść i bolszewikom dupę przetrzepać.

– My już im przetrzepali. A poza tym jak oni chcą na wschód iść, kiedy nie mają granicy z Rosją? Jakby chcieli bolszewię zaatakować, to musieliby przez nas przejść. Znaczy się chcą się z nami bić?

– Nie o to się rozchodzi. – Golombek najwyraźniej się ucieszył, że jego kolega zaczyna chwytać rzucone przez niego myśli i idee. – Oni nie na nas, ino na bolszewików, i jak już to razem z nami na nich ruszą. Tak mi powiadał ten zawiadowca Jurgen Kempke, co jest na stacji w Sznajdemilu. Ja jego znam już od dawna. To porządny chłop, a w partii to on nawet jest kimś ważnym. I on mi wszystko już w tej kwestii objaśnił. I nawet powiada, że jak u nich partia przejmie władzę, to kto wie, czy by u nas się nie przydało, żeby ktoś taki, jak ich führer Adolf Hitler, silną ręką przejął władzę...

– A co to nasz Piłsudski niby nie trzyma wszystkiego za mordę?

– Stary już jest...

– On stary, a ty głupi – zdenerwował się Maciaszek. – Piłsudski to nasz wódz, marszałek rodzony, co bolszewika pogonił jak nikt inny, a ten twój Hitler to co za jeden? Gołodupiec zwyczajny, co wygląda jak Chaplin. Pusty śmiech, jak się na niego popatrzy, nic więcej, nic więcej...

Zdenerwowany Maciaszek odwrócił głowę w prawo i z obrzydzeniem splunął pod nogi. Golombek też by splunął, ale zaschło mu w gębie od tego gadania. W dodatku uznał, że jego kolega jest za mało rozgarnięty, by rozmawiać z nim o poważnych tematach, i więcej na temat polityki nic mu nie powie, bo ten dureń i tak niczego nie rozumie. On za to rozumiał aż nadto. Wiedział, że jak kto nowe porządki silną ręką wprowadza, to na ludziach się musi oprzeć i tym, co go wybrali, po wyborach zapłacić. Więc tak jak mówił mu Kempke, ludzie dostaną w Niemczech robotę, mieszkania i nawet będą mieli fundowane przez rząd wakacje. A tu, w tej Polsce, to nic się nie zmieni nigdy i o większym mieszkaniu może sobie tylko pomarzyć, nie mówiąc już o wakacjach. No właśnie, trzeba by tego niemieckiego zawiadowcę wypytać, o co właściwie chodzi z tymi wakacjami, bo nie bardzo rozumiał. Podobno Hitler obiecywał, że każdy będzie sobie mógł z rodziną wyjechać w góry albo nad morze. I tego właśnie Golombek nie rozumiał, bo niby po co miałyby jechać nad morze, jak on mieszkał tutaj, na pograniczu, i nad morzem żadnych interesów nie miał, a tym bardziej w górach.

– Patrz tam! – Z zamyślenia wyrwał go podekscytowany głos kolegi, który najwyraźniej już zapomniał o tym, że przed chwilą się pokłócili. Golombek spojrział we wskazanym kierunku. Coś ciemnego mignęło mu pośród krzaków, jakieś pięć metrów od toru.

Chyba jednak mimo niepotrzebnej kłótni mieli dziś farta. Coś wypadło z pociągu, a wiadomo, że jak już wypadło, to nigdy nie wróci do właściciela, bo komu by się chciało szukać. Dlatego Maciaszek, niewiele się zastanawiając, złapał za wajchę ręcznego hamulca, który zazgrzytał piskliwie o piastę koła. Iskry poszły na boki, ale kto by się teraz tym przejmował. Trzeba było dreżynę natychmiast zatrzymać, żeby przypadkiem nie odjechała zbyt daleko



od znaleziska. Bo gdyby stracili je z oczu, musieliby wrócić i przejrzeć każdy kawałek pobocza.

Udało się. Drezyna stanęła. Doświadczeni kolejarze i poszukiwacze w jednym, wyteńczywszy wzrok, zaczęli powoli pompować wajchami, by cofnąć nieco stalowy wózek. Po chwili dojechali tam, skąd było widać tajemniczy przedmiot. Zatrzymali więc swój pojazd, wpatrując się weń z nadzieją, że okaże się czymś, co można sprzedać i na tej sprzedaży się wzbogacić.

– Wygląda jak neseser – ocenił Maciaszek, który wcale nie był pewny tego, co mówi, ale wypowiadając głośno zagraniczne słowo, zaklinał w ten sposób rzeczywistość.

– Albo jaki płaszcz – rzucił Golombek.

– Głupiś – zganił go kolega, wymachując przy tym ręką. – Kto płaszcz w lipcu nosi, jak takie upały.

– Jak kto w podróż daleką jedzie, to zapobiegliwy jest i zabrać ze sobą może płaszcz i nawet czapkę. – Golombek nie dawał za wygraną.

– Co tam będziemy gadać. – Maciaszek pochylił się, oparł dłoń na krawędzi drezyny i zeskoczył na ziemię. Drugi kolejarz podążył jego śladem. Od dawna mieli umowę, że to, co znajdą przy torach, sprzedają natychmiast, żeby śladu nie było, gdyby ktoś jednak szukał zguby, a pieniądze zdobyte z transakcji dzielą na pół. Obaj więc liczyli, że to duże i czarne, co wystaje z krzaków, to drogocenny bagaż. Jednak gdy podeszli bliżej, magia chwili rozplynęła się w powietrzu jak ta poranna mgła, tyle że znacznie szybciej.

– Dupa – mruknął niezadowolony Golombek.

– A żeby jego pokręciło, gnoja jednego – zawtórował mu Maciaszek. – Że też pierdolony musiał właśnie tu wyskoczyć.

Pochylił się nad znaleziskiem, by mu się uważnie przyjrzeć. Nie był to ani neseser, ani płaszcz, ani nawet mała torebka podróżna. Niestety, u ich stóp leżał chudy mężczyzna, ubrany w sportową marynarkę z paskiem, spodnie knykry za kolana, brązowe kolanówki i jeden modny, brązowy trzewik. Drugiego buta nie było.

Głowa mężczyzny była odchyłona pod nienaturalnym kątem wobec reszty ciała, co od razu powiedziało kolejarzom, że gość jest

całkowicie i nieodwracalnie nieżywy. Ta przegięta głowa rozwiała też mogące się pojawić wątpliwości na temat przyczyn śmierci.

– Kark skręcił gnojek. – Golombek najwyraźniej nie mógł wybaczyć umarłakowi, że ten nie jest pękatą walizką, a jedynie właścicielem bagażu, który pojechał sobie zupełnie niepotrzebnie do Königsberga.

– Trzeba go zawieźć do nas, na stację. – Maciaszek podjął decyzję i od razu przystąpił do dzieła. Chwycił nieboszczyka za rękaw marynarki i pociągnął ku górze. Ciało nieco się przesunęło.

– Poczekaj – powstrzymał go kolega. – Marynarka porządna, można za nią i z dziesięć złotych dostać, a i jakby drugi trzewik się znalazł, to za buty też piątaka byśmy wyciągnęli. Przecież nieboszczyk do grobu ich nie zabierze.

– A jakby go tak rozebrać do gołej skóry?

– No coś ty, przecie nam nie uwierzą na policji, że goły wyskoczył z pociągu.

– No niby nie, ale przecie ktoś mógł go przed nami odzienia pozbawić. – Maciaszek zaczął rachować w myślach, ile dostaliby za całą garderobę, gdy naraz liczenie tej drobnicy przestało mieć jakikolwiek sens. Golombek bowiem zdjął ostrożnie marynarkę z nieboszczyka i jak każdy normalny człowiek włożył rękę do kieszeni, żeby sprawdzić, czy coś niepotrzebnego tam się nie kryje. Od razu jego dłoń natrafiła na okazałych rozmiarów przedmiot. Z trudem go wyciągnął, bo miał nieregularne kształty. Maciaszek patrzył, kręcąc z niedowierzaniem głową. Widział już takie jutowe pakunki z czerwonym paskiem pośrodku. By zajrzeć do środka i sprawdzić jego zawartość, trzeba było zerwać drut i plombę bankową. Obaj rozpoznali ją od razu, bo widzieli podobne, zakładane na przesyłki przewożone w wagonach pocztowych z jednej stacji na drugą. I dobrze wiedzieli, co się w nich przewozi. Służyły do bankowych przesyłek pieniężnych albo zawierających kosztowności.

– *Herr Gott!* – mruknął pod nosem Golombek. – To nie może być prawda...

– Ciężkie? – zapytał Maciaszek, żeby się upewnić, choć i tak już wiedział.

– Ciężkie jak cholera.

– Otwieraj!

Golombek skinał głową. Wydobył z kieszeni spodni scyzoryk, otworzył ostrze zębami i szybko przeciął drucik z plombą. Włożywszy dłoń do środka, jęknął, jakby przechodził mu po brzuchu dreszcz rozkoszy.

– Co tam masz? – Maciaszek nie mógł się doczekać i sam włożył rękę do zawiniątka. – Panienko Przenajświętsza, o ja żeż pierdolę... – Zamilkł wpatrzony w dłoń, a raczej w to, co na niej leżało. Kilka błyszczących w słońcu krążków. Obaj dobrze znali te złote dwudziestomarkówki, ale żaden z nich nigdy nie był właścicielem takiej monety. A tutaj w ich ręce wpadł cały worek.

Golombek wydobył inną, z samego spodu, żeby się przekonać, czy wszystkie wyglądają podobnie. Nie było wątpliwości, worek zawierał złote dwudziestki z wizerunkiem Wilhelma II, cesarza Niemiec i króla Prus.

– I co teraz? – zapytał Maciaszka, który ze wzruszenia nie mógł wydobyć z siebie słowa. W końcu się ocknął i ostrożnie, żeby czasami którejś nie upuścić, wsypał wszystkie marki z powrotem do woreczka.

– Zaciągnij ten drucik – rozkazał koledze.

– Ale...

– Złoto jest nasze i nikomu go nie oddamy. Jak ten tu – wskazał na nieboszczyka leżącego u jego stóp z szeroko otwartymi oczami i rozdziawioną gębą – był właścicielem, to jemu już nie są potrzebne. Ale coś mi się widzi, że to nie jego, ino pocztowe monety. Ten gość musiał je ukraść z wagonu pocztowego i wyskoczyć z pociągu. Znaczący się złodziej. A ukraść złodziejowi to nie kradzież, a zasługa.

– Prawda, ale gdzie to ukryjemy?

– Nic się nie martw. Jak będziemy wjeżdżać na stację, zeskokcę na chwilę z dreżyny i pobiegnę do mnie na podwórko, i schowam w komórce. A ty w tym czasie już będziesz wzywał policję. A ja se wrócę, jakby się nic nie stało. Rozumiesz, nikt nie zauważy nawet. A jakby co, to o złocie my nic nie słyszeli. Jasne? Nawet księdzu na spowiedzi ani słowa, bo zaraz doniesie albo każe się dzielić.

– Jasne – zgodził się z kolegą Golombek. Zresztą, co miał się nie zgodzić. Każdy by się zgodził za takie pieniądze. W końcu obaj właśnie ze zwykłych, ledwo wiążących koniec z końcem kolejarzy

stawali się bogaczami. Przyszło mu nawet do głowy, że nie potrzebuje już w kraju silnej władzy, od której dostanie mieszkanie i robotę, bo teraz będzie mógł zamieszkać nawet w trzech pokojach na parterze. Natomiast Maciaszek, dźwigając zwłoki, pomyślał sobie, że wreszcie karta się odwróciła i teraz to on zgarnął całą pulę. No może nie całą, bo musiał się przecież podzielić z tym głupim Golombkiem.

Wrzucili na dreżynę swojego „dobroczyńcę” i zaraz obaj wskoczyli na górę. Bez słowa zabrali się do roboty, chwytając każdy za swoją dźwignię. Wóz szynowy zajęczał i koła zaczęły wolno toczyć się przed siebie. Do stacji, na której pełnili kolejarską służbę, było stąd całkiem niedaleko. Za dziesięć minut powinni być na miejscu. Może nawet dotrą tam szybciej, bo świadomość finansowego sukcesu dodawała im sił. Całkowicie zimną obojętność zachowywał tylko ten nieborak leżący na platformie, którego niewidzące oczy wpatrzone były wprost we wschodzące w całej swej krasie słońce.

Nowy dzień zapowiadał się całkiem pięknie.

# Rozdział I

Poznań

Piątek

19 lipca 1929 roku

Godzina 3.20 w nocy

Szczupły mężczyzna stał przy słupie ogłoszeniowym, jakby wpatrywał się w któryś z afiszy najprzeróżniejszych anonsów i informacji oblepiających tę wystawę. Nie byłoby w tym niczego dziwnego, bo przecież od tego są słupy z ogłoszeniami, żeby przy nich się zatrzymywać i czytać, co tam obwieścili. Tyle że byłoby to całkiem normalne za dnia, albo nawet jeszcze pod wieczór, kiedy dziennego światła jest pod dostatkiem, ale na pewno nie o trzeciej nad ranem, kiedy miejskie ulice zasnuwały kompletne ciemności. Jeszcze pół godziny i zacznie budzić się lipcowy, letni dzień, gdy promienie słoneczne wsuną swoje jasne języki w uliczne wąwozy, prześlizgując się najpierw po czerwonych dachach, by zejść niżej i zagrać refleksami na szybach zamkniętych w przedzielone krzyżem, białe ramy, podążyć po ścianach do tych większych szklanych połączy wystaw składów i magazynów, a w końcu spłynąć na sam dół do wilgotnych od porannej rosy łbów kamieni brukowych. Wtedy będzie można wreszcie przeczytać wszystkie te ponalepiane grubą klejowo-papierową warstwą przesłania, prośby i polecenia, ale na razie wszędzie dookoła było ciemno i ponuro. Co prawda ulicę oświetlały



lampy gazowe, lecz ich blask dawał tylko możliwość zorientowania się w kierunku spóźnionym wędrowcom, powracającym z nocnych eskapad po knajpach i dancingach. Nie były to wszakże lampy elektryczne, które instalowano od pewnego czasu na najważniejszych ulicach i placach miasta, wytwarzające za pomocą żarówek światło jasne jak w dzień. Te zwykłe, gazowe, tliły się ledwo, byleby tylko świecić, tak by idący pod nimi przechodzień nie stracił orientacji i nie połamał nóg.

Ów stojący przy słupie człowiek w ciemnym płaszczu i kapeluszu na głowie najwyraźniej nie zwracał uwagi ani na ogłoszenia, ani na lampy. On był zainteresowany zupełnie czym innym. Spoglądał na przeciwną stronę ulicy. Tam, w odległości jakichś dwudziestu kroków od niego, stała dorożka. Siedzący na koźle dorożkarz wyglądał jak kamienny posąg z pochyloną głową. O tym, że jest żywą istotą, świadczyło jednak głośne pochrapywanie, przechodzące chwilami w gwizd. Jego koń widać przyzwyczajony był do takich nocnych postojów, bo stał spokojnie, prychając tylko co jakiś czas chrapami. On też zdawał się drzemać. Na szczęście śpiącym nie przeszkadzał żaden najdrobniejszy nawet szmer. Wielkie Garbary jeszcze spały, odpoczywając po ciężkiej nocy, wypełnionej po brzegi strumieniami wódki i piwa, przelewającymi się we wszystkich pobliskich szynkach i gospodach.

Naraz drzwi osadzone w solidnej, dębowej bramie otworzyły się, wypuszczając na ciemną ulicę odrobinę światła ze świecy. Gruby jak beczka piwa stróż wyszedł na zewnątrz, oświetlając przejście między bramą a dorożką.

– Ej ty, dryndziarz! – zawołał w kierunku pogrążonego we śnie dorożkarza. – Ej, drynda, do roboty! – krzyknął nieco głośniej, a śpiący poruszył się na koźle i zaraz potem przetarł kułakami zaspane oczy. Koń też się przebudził, bo zarżał, najwyraźniej zadowolony, że wreszcie kończy się to bezproduktywne oczekiwanie i być może ruszą niebawem do stajni.

– Szanowne panowie, poproszę bardzo. – Stróż odwrócił się i spojrzał za siebie.

Z bramy wyłoniło się dwóch mężczyzn. Jeden szedł pewnie, zdecydowanym krokiem, ale drugi podążał za swoim towarzyszem

z wyraźną trudnością. Stróż natychmiast wyczuł okazję do zarobienia dodatkowego grosza. Niezwykle delikatnie, ale zdecydowanie ujął gościa pod ramię i doprowadził do dorożki, która właśnie zajechała pod sam krawężnik. Ten pierwszy wsiadł już do środka i teraz, widząc, że jego towarzyszowi potrzebna jest pomoc, wychylił się i podał mu rękę. Wspólnie z cieciem wwindowali go do góry, po czym mężczyzna opadł ciężko na siedzenie. Dorożka zajęczała, ale na szczęście była solidnie zbudowana i nie takie ciężary już zdarzało się jej przewozić. Bardziej trzeźwy z dwójki sięgnął do kieszeni i wyjął z niej pugilares. Wygrzebał jakąś monetę i podał stróżowi. Musiało to być przynajmniej pięć złotych, bo cieć, zadowolony, ukłonił się w pół, a potem klepnął woźnicę w kolano.

– No, jedźże, chłopie, i zawieź mi szanownych panów, dokąd tam chcą. Ino żebyś nie trząśł za bardzo tą dryndą.

– Trzym się swojej bramy, szuszwolu niemyty – burknął dorożkarz, którego najwyraźniej zirytowała nadgorliwość stróża. Strzelił batem nad końskim zadkiem i zwierzę wolno ruszyło przed siebie.

– A podjedź mi tu kiedy jeszcze, bambrze zdalasiały, pod moją bramę, to psem poszczuję.

– A podejdz mi ino tutaj, ćwoku zasrany, to bacikiem przez ryło przeciągnę – odgryzł się dryndziarz. Nie było słyhać w tej wymianie zdań specjalnej złości, która brałaby się z urażonej dumy. I jeden, i drugi nawarczeli na siebie ot tak, dla fasonu, żeby podkreślić, że mają swoją godność i nie wolno na nią nastawać. Bo wiadomo, że godność to rzecz święta, a im kto biedniejszy i gołą dupą świeci, tym bardziej z godnością się obnosi.

– To dokładnie niby gdzie mam jechać? – zapytał dryndziarz, odwracając się za siebie.

– Do domu proszę! Jedź pan prościutko do domu – zawołał bełkotliwie ten mocniej wstawiony.

– Znaczy się gdzie?

– Do salonu! Tylko nie do sypialni, bo moja żonka się obudzi i będzie awantura!

– Ale gdzie dokładnie?

– Połóżcie mnie na sofie. Tam umrę sobie cicho, nikomu nie wyrządzając krzywdy, jakem kupiec kolonialny Aron Dubeltowegibel

z Łucka.

– Nie, nie, pan szanowny dorożkarz jego nie słucha. On do domu dziś nie pojedzie – odezwał się w końcu ten bardziej trzeźwy klient, który musiał najwyraźniej zapaść się w sobie, zasiadłszy na wygodnej, obitej pluszem dorożkarskiej kanapie, i teraz nagle wrócił do rzeczywistości. – Nam trzeba jechać do hotelu naszego, co się nazywa Polonia, co jest położony przy ulicy, tej, no, co to Polacy pokonali tam Krzyżaków...

– Grunwaldzka znaczy się – ucieszył się dryndziarz, bo do tego nowego hotelu było kawał drogi.

– Tak jest, bitwa pod Grunwaldem, co ją pan Matejko namalował w Krakowie.

– Do salonu i na sofę! – przypomniał sobie naraz Aron Dubeltowegibel z Łucka.

Stróż tymczasem chuchnął na monetę i schował ją do kieszeni. Nim dorożka zdołała zawrócić na pustej ulicy, by odjechać w kierunku placu Bernardyńskiego, zniknął za drzwiami w swojej bramie. Chwilę później powóz był już przy skrzyżowaniu z niewielką przecznicą Wszystkich Świętych, tam gdzie stał słup ogłoszeniowy. Naraz wyskoczyła zza niego postać w ciemnym płaszczu i jednym susem dopadła powozu. Mężczyzna wskoczył na stopień, a z drugiej strony ulicy podbiegł inny, blokując drugie wyjście. Obaj mieli na twarzach maski z chust, z dziurami wyciętymi na oczy, które lśniły teraz złowieszczo w księżycowej poświacie.

– Co jest, do cholery?! – zawołał dorożkarz, ale natychmiast przeszła mu ochota do zadawania kolejnych pytań, gdy poczuł, jak w kark wbija mu się coś twardego i zimnego.

– Jedź i zamknij ryło! – nakazał ten w kapeluszu.

Drugi, w kaszkiecie na głowie, wycelował pistolet w kierunku pasażerów.

– Dawać portfele, pieniądze, pirścionki i co tam jeszcze mota – warknął groźnie do obu mężczyzn.

– Porcygary i dulary – zaśmiał się ten drugi, który nie musiał już pilnować woźnicy. Ten pilnował się sam, lekko poganiając konia. Bandyta zdjął kapelusz i odwrócił go do góry dnem.

– Ładować wszystko do środeczka. A jak który z szanownych panów coś zachowa dla siebie, to jak mi Bozia miła, łeb odstrzele w trymiga.

– To oburzające! – wybełkotał z trudem Aron z Łucka, któremu naraz zaczęła wracać trzeźwość umysłu.

– Zamknij się pan, panie Żyd, bo jak dam w mordę, to szczęka z zawiasów wyleci. I na co to panu? O, patrz pan, jak szanowny kolega się ładnie sprawił i nie marudzi niepotrzebnie.

Rzeczywiście druh kupca kolonialnego nie miał żadnych kłopotów z przetrząśnięciem swoich kieszeni. Ich zawartość w błyskawicznym tempie znalazła się w kapeluszu. Widać musiał być dobrym przyjacielem, bo zaraz wziął się za kieszenie kolegi, pomagając mu pozbyć się niepotrzebnych rzeczy. Wyciągnął portfel i srebrną papierośnicę.

– No i jeszcze sikory! – przypomniał zbir z kapeluszem w dłoni.

– Jakie sikory? – zdziwił się ten bardziej trzeźwy.

– No cebulę dawaj! – Drugi bandzior pociągnął go za pejsy.

– Aj! Ja nie mam cebuli. Żadnych cebul nie noszę ze sobą, a Aron takż samo. My nie jadamy na ulicy, ale w restouracji.

– Zegarki dawać, łachudry.

– Ach, zegarki! – ożywił się naraz Dubeltowegibel. – To nie możesz pan od razu po ludzku gadać, żeby do nieporozumienia nie dochodziło? Proszę bardzo, oto moja omega. Pierwsza klasa cebula, ha, ha, ha!

Oba zegarki powędrowały do kapelusza.

– To już wszystko? Nic żeśta nie schowali? – zapytał groźnie bandyta w kaszkiecie.

– Ja schowałem, owszem. – Aron Dubeltowegibel sięgnął do kieszeni marynarki i przez chwilę grzebał w niej wytrwale.

– Gdzieś tu była, o, proszę bardzo. Jest moja ulubiona butelczyna na czarną godzinę. – Wydobył posrebrzaną metalową piersiówkę i zadowolony już chciał odkręcić korek, by upić łyczek, ale nie zdążył. Bandyta w kaszkiecie wyrwał mu flaszkę.

– Taka butelczyna też nam się przyda! – stwierdził złodziej, uradowany z niecodziennego łupu, i zeskoczył ze schodka dorożki na brukowaną ulicę. Jego kompan zrobił to samo.

– Moja flaszcza! Oddawać mi moją flaszczkę! – krzyczał obrabowany kupiec kolonialny, do którego właśnie dotarła straszna myśl, że odebrano mu wszystkie jego dobra pod groźbą broni palnej i utraty życia. – Policja, ratunku! – wrzeszczał jak opętany.

– Policja, ratunku, mordują i rabują! – zaczął mu wtórować jego znajomy, gdy przekonał się, że napastnicy się oddalają.

Nim dorożka dojechała do placu Bernardyńskiego, dwaj zamożni pasażerowie już zrozumieli straszną prawdę, że stali się w jednej chwili byłymi zamożnymi pasażerami. Bandyty tymczasem pobiegli w głąb Wielkich Garbar. Po chwili stukot ich podkutych butów ucichł, a sylwetki zbiegów rozplynęły się w szarości świtu.

– A ciekawe, kto mnie teraz za kurs zapłaci? – Dorożkarz odwrócił się i spojrzał na kanapę, na której siedzieli obrabowani nieszczęśnicy. – Bo jeśli rozchodzi się o dowóz szanownych panów na nocleg, to ani ja, ani moja kobyła bez zapłacenia nie jedziem nigdzie. – Dla potwierdzenia swojej groźby pociągnął za lejce i osadził szkapę w miejscu.

– A wy, panie dorożkarz, to se myślicie, że my co, sroce spod ogona wypadli? Że jak nas obrabowali na ulicy, to my są już całkiem biedne ludzie? – Kupiec kolonialny z Łucka poczuł się do żywego dotknięty.

– Jedź pan, panie woźnicowy, i nic się nie martw o zapłatę. – Drugi pasażer klepnął go w plecy. – Wszystko będziesz miał pan wyregulowane, jak dojedziemy do hotelu.

– No i Bogu dzięki! – Zadowolony dryndziarz cmoknął na klacz, która natychmiast posłusznie ruszyła. Ostatni dzisiejszy kurs zakończy się więc szczęśliwie i za chwilę będzie mógł jechać do domu. No może co najwyżej stanie jeszcze na chwilę w dorożkarskiej knajpie na Świętym Marcinie, żeby wypić ćwiarteczkę wódki i zagryźć ją sznytką chleba obłożoną pieczonym boczkiem. Taka uczta na koniec nocy byłaby doskonałym rozwiązaniem, pomyślał dorożkarz i aż oblizał się na myśl o piciu i jedzeniu. Ale naraz jego plany rozpadły się w drobny mak przez tego Żyda z pejsami...

– Ale zanim nas pan odwieziesz do hotelu, jedź pan najsamprw na policję. Ten bandycki napad trzeba przecież zgłosić.



– Oczywiście – poparł go kolega. – Zgłosić wszystko, co do grosza, żeby tych bandytów złapali i wtrącili do lochu albo rozstrzelali na miejscu.

– Teraz na policji to nikogo może nie być – spróbował nieśmiało dorożkarz.

– Coś pan oszalał? Na policji w stołecznym mieście Poznaniu w czasie PeWuKi[1] ma nie być policji? A to wyborowy dowcip. Jedź pan i nie gadaj! Słyszał żeś, Aron, w Poznaniu nie ma policji w nocy.

– Oczywiście, że nie ma – stwierdził Dubeltowegibel. – Nie ma policji ani na lekarstwo. Bo jakby była, toby nas nikt nie obrabował. A tak moja piersióweczka przepadła i teraz moim koniakiem raczą się jakieś chamskie gardła. Dlatego jedziem na policję, panie sałata!

I próba wprowadzenia w błąd pijanych pasażerów się nie powiodła, więc ćwiartka wyborowej i pajda chleba oddaliły się i zniknęły w porannej mgle. Bo dorożkarz doskonale wiedział, co oznacza wizyta na posterunku. Obu tych delikwentów wezmą zaraz na spisanie zeznań, co potrwa jakieś dwie godziny, a on jako świadek też będzie musiał zeznawać i co najgorsze tracić czas. A to oznacza, że zapłatę za kurs dostanie dopiero, jak policjanci z nimi skończą.

Na szczęście do Prezydium Policji przy 27 Grudnia nie mieli stąd daleko. Przynajmniej tyle dobrego, pomyślał dryndziarz, wjeżdżając w ulicę Podgórną, skąd widać już było jasną poświatę placu Wolności, oświetlonego pięknymi, elektrycznymi lampami, a nawet sklepowymi neonami. W końcu była to najbardziej reprezentacyjna część Poznania. Dorożkarz poczuł się dumny, że mieszka w takim ładnym mieście.

## Człuchów – pogranicze polsko-niemieckie

Godzina 8.40 rano

– Dokumentów żadnych to on nie miał? – zapytał podejrzliwie przodownik Ludwik Bielawski, zastępca komendanta posterunku Policji Państwowej na dworcu w Człuchowie. Przesłuchiwany Maciaszek pokręcił głową.

– A kto by tam, panie przodowniku, papierów jakichś szukał?

– To znaczy się, że żeście go przeszukiwali?

– My? Nigdy w życiu! – Kolejarz uderzył się otwartą dłonią w pierś, ale na Bielawskim nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Wiedział z doświadczenia, którego nabierał już ładnych parę lat, że w takich wypadkach ludzie kłamią jak najęci. Jeśli znaleźli trupa, to na pewno przetrząsnęli mu kieszenie. Taka była natura ludzka. Człowiek umarł, to już mu nic do szczęścia nie było potrzebne. A ci dwaj znaleźli zwłoki, więc musieli je ograbić ze wszystkiego, co cenne. Czyli truposz powinien być chociaż rozebrany, bo jego marynarka kosztowała nie mniej niż dziesięć złotych. Więc gdyby kolejarze mu ją zabrali, to mogliby sprzedać łup za co najmniej połowę jego wartości. Tymczasem facet był ubrany kompletnie, poza jednym trzewikiem, który pewnie leżał nadal przy torach. No i w kieszeniach nie było dosłownie nic. Wypadł z pociągu z pustymi kieszeniami? zastanawiał się przodownik Bielawski, spoglądając przez okno, z którego widok rozciągał się na główną miejską ulicę i na położoną dokładnie vis-à-vis restaurację Dworcową. Jak co dzień stało przy niej kilku wąsatych chłopów, ubranych w białe koszule, czarne kamizelki, nazywane tu westkami, i w czapkach hamburskich na głowie. Trzymali w dłoniach kufle pełne piwa, a w zębach fajki wiśniowe miejscowego wyrobu. Spotykali się tutaj, by przepłukać gardło i pogadać o polityce, mieszkańcy okolicznych wiosek, którzy do Człuchowa przyjeżdżali po sprawunki bryczkami albo na rowerach. Każdy chłop nosił w kieszonce westki niewielki pugilares na papierowe pieniądze, a w kieszeni portków chował drobne. A ten truposz nie miał ani drobnego grosika, ani portmonetki na pieniądze. Co ważne, nie miał również portfela na dokumenty, a przecież musiał mieć paszport, jeśli był Polakiem. Ale jeśli był Niemcem, to powinien mieć niemiecki *ausweis*. Ale za to miał elegancką marynarkę. Czyli nie był gołodupcem.

Popatrzył uważnie na siedzącego po drugiej stronie biurka, ubranego w służbową czarną marynarkę, kolejarza Maciaszka, który właśnie ocierał chusteczką pot z tysego czoła.

– Więc słuchajcie, Maciaszek, co ja se myślę – odezwał się przodownik, groźnie marszcząc brwi.

– Słucham, jak najbardziej.

– Ja was na razie do więzienia nie wsadzę...

– Jak do więzienia? – Maciaszek wyglądał na szczerze zdziwionego.

– Nie wsadzę was pod jednym tylko warunkiem. Że mi zaraz, jeszcze dziś, przyniesiecie jego dokumenty ze wszystkimi pieniędzmi, co żeście mu je rąbnęli.

– Ale... – jęknął Maciaszek.

– I żadne mi tu „ale”! – krzyknął policjant, podnosząc się zza biurka. – Bo ja was przejrzałem do cna. Patrz się, Marcel, jak się takich krętaczy obwija wokoło palca. – Zaciekawiony starszy posterunkowy, Marcel Gałązka, przerwał pisanie raportu i też wstał z krzesła przy drugim biurku, by dokładniej zobaczyć, jak szef „obwija” sobie tego nieboraka.

– Bo ja, panie kolejarz, już dziś, tu, natychmiastowo, bym mógł was wsadzić do kozy za okradanie zwłok. Bo nikt mi nie powie, że te zwłoki nie miały czegoś, co by się nie dało ukraść. Musiały mieć jakieś pieniądze albo coś tam jeszcze, co się nosi w kieszeniach, prawda, Marcel?

Marcel skinął głową, bo jak najbardziej zgadzał się z przełożonym.

– Scyzoryk – powiedział.

– Co? – Przodownik spojrział na niego badawczo.

– Scyzoryk musiał mieć. Każdy chłop nosi scyzoryk w kieszeni i chusteczkę do smarkania, jak kto obyty.

– No właśnie. Masz całkowitą rację. Scyzoryk, sznurek, chusteczkę i drobne monety. A on nie miał nic.

– Może mu wypadło... Jak wyleciał z pociągu – próbował walczyć Maciaszek, choć nie było w jego głosie żarliwej pewności siebie. Bielawski od razu to wyczuł. I dlatego przypuścił frontalny atak. Walnął pięścią w stół, aż podskoczyło pióro do zapisywania zeznań.

– A gówno! – zawołał w świętym oburzeniu policjant. – Żeście go obskubali i wszystko żeście mu ukradli. To ja wam teraz powiadam, panie szanowny Maciaszek, że ja wam daję kwadrans. Wiecie, co to kwadrans?

Kolejarz wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Co to za pytanie do urzędnika kolejowego?”.

– Kolej na zegarach stoi, panie przodowniku – odparł głosem pełnym urażonej dumy.

– No to jak tak, to macie dokładnie cały kwadrans na przyniesienie mi tutaj, na to biurko, wszystkiego, co żeście temu nieszczęśnikowi zabrali – mówiąc to, Bielawski postukał palcem w mocno zużyty blat, który czasy swojej świetności przeżywał w czasach wojny prusko-francuskiej. – Rozumiemy się, czy też mam zarządzić u was w domu przeszukanie i zawiadomić jeszcze prokuratora?

Kolejarz spuścił wzrok. Nie miał wyjścia. Musiał zacząć współpracę z policją, bo inaczej mógł mieć poważne problemy. A tego właśnie chciał uniknąć. Dlatego, jeszcze zanim dojechali na stację drezyną z nieboszczykiem na pokładzie, powiedział Golombkowi, co powinni zrobić, żeby nikt nie pomyślał o szukaniu u nich tego zaginionego złota. Oczywiście, o ile ktoś wpadłby na to, że jakieś złoto w ogóle istnieje.

– Co do złota, to ja se myślę tak – tłumaczył koledze Maciaszek – że nikt nie będzie wiedział, że zginęło, bo jak na razie nie ma kradzieży. Zorientują się dopiero w Berlinie, jak zaczną pocztę wydawać. Wtedy im się nie będzie zgadzać i zaczną szukać, ale nie znajdą.

– A skąd niby to wiesz?

– Na zdrowy rozum to weź, ty mój drogi gołąbku.

– Czyli że jak?

– Widzisz tego tu? – Dotknął czubkiem buta nieboszczyka.

– No.

– Widział żeś jego paszport?

– No, widziałem. Polak z Polski.

– Właśnie. A bilet jego żeś widział? Miał bilet do Sznajdemila z Marienwerder. A to znaczy, że wsiadał w Niemczech i wysiadał w Niemczech, na ostatniej stacji w Prusach wsiadał, a na pierwszej w Niemczech wysiadał. Czyli zafundował sobie wycieczkę z Niemiec do Niemiec, ale nagle przed samą granicą zatęsknił za ojczyzną ukochaną i wyskoczył z pociągu, obciążony woreczkiem ze złotem. Trochę nieszczęśliwie wyskoczył i skręcił se kark. Więc co to wszystko znaczy?

– A skąd ja, do cholery, mam wiedzieć?

– Trzeba ruszyć mózgownicą. – Maciaszek postukał się w czoło. – Gość wyskoczył, bo okradł wagon pocztowy. Pusty, bez ludzi, bo wagon jest przed wjazdem do Polski plombowany, a jego załoga musi przejść do przedziału służbowego, do którego wchodzi polski celnik. I ten celnik jedzie z Niemiaszkami przez cały polski korytarz aż do pierwszej niemieckiej stacji. Tam cała załoga niemiecka razem z celnikiem idą do wagonu pocztowego, zdejmują plombę i jadą sobie dalej, a celnik wraca do Polski lokalnym pociągiem. Czyli nasz nieszczęśliwy złodziej jakoś się musiał dostać do wagonu pocztowego, jak on był już bez pocztowców. Tam sobie przez półtorej godziny, bo tyle jedzie pociąg przez Polskę, wybrał to, co mu się podobało, i przed samą granicą wyskoczył. Więc ci pocztowcy zorientują się, że coś im zginęło, pewnie dopiero w Berlinie. I nie będą wiedzieli, jak to się stało, że złoto zginęło. Tylko my to wiemy.

– I co nam z tego?

– Ano tyle, że szukać u nas nie będą. I dlatego na wszelki wypadek musimy go okraść.

Golombek spojrzał na kolegę, jakby ten całkowicie postradał rozum.

– No przecie my jego już okradli.

– Nie o to się rozchodzi.

– A o co?

– O to, że musimy jemu zabrać wszystko, co ma przy sobie, znaczy się portfel, dokumenty i wszystkie najdrobniejsze pierdoły.

– No ale po co, jak my już się tak obłowili, że do końca życia niczego ukraść nie musimy?

– O zmylenie policji się rozchodzi.

Golombek nadal niczego nie rozumiał, więc rozdziawił usta w niemym zdumieniu, czekając na szczegółowe wyjaśnienie.

– Policja, jak zobaczy, że on okradziony, zaraz na nas skieruje podejrzenia.

– Wsadzą do więzienia.

– Nie wsadzą. Bo każą nam oddać wszystko, co żeśmy ukradli.

– I oddamy im wszystko?

– Wszystko, nawet tą jego zasmarkaną chusteczkę.

– Ale że jak?



– Ano tak, że jak im wszystko oddamy i powiemy, że to już wszystko do końca oddane pod Bogiem, to oni już nie będą się myśleć, że gość miał co jeszcze schowane. Bo i skąd mieliby wiedzieć, że tam było jakieś złoto? A my o złocie ani słóweczka. Ani pary z gęby i przysięgamy, że nic więcej nie było.

– Ale ty masz łeb nie od parady – stwierdził Golombek z podziwem.

– Jak człowiek w karty gra, to umi strategicznie myśleć.

Maciaszek, zadowolony, uśmiechnął się pod wąsem. Miewał czasami dobre pomysły. I teraz jego strategia przynosiła właśnie efekt. Tak jak nakazał mu przodownik Bielawski, pobiegł do domu. Mieszkał niedaleko, w kolejarskim budynku z czerwonej cegły, stojącym zaraz przy kolejowym dworcu. To, co ukradli nieboszczykowi, włożył w puszkę po masce przeciwgazowej i schował w komórce do trzymania węgla i weków. Zabrał tę puszkę i wrócił z nią na komisariat. Gdy wszedł do środka, Bielawski siedział rozparty na służbowym krześle. Przed nim na blacie leżał zegarek. Policjant spojrzał na kolejarza, a potem wzrok przeniósł na cyferblat.

– No ładnie. Zdążyliście, Maciaszek. Została dokładnie jeszcze minuta. Czyli jesteście jak porządny pociąg, który czeka przed stacją na sygnał wjazdu, żeby zająć punktualnie.

– A to jest właśnie to, co pan przodownik chciał zobaczyć. – Maciaszek otworzył wieko puszek i wysypał zawartość na blat. Bielawski pochylił się, by dokładnie wszystko sprawdzić.

– No proszę, ile dobra żeście zgarnęli. Niby tyle tego, a i tak niewiele, jeśli sobie pomyśleć, że to wszystko, co po człowieku zostało. – Bielawski najwyraźniej wpadł w nastrój refleksyjny, bo jako człowiek obyty czytał dużo gazet i słuchał radia, które podawało co dzień sporo ciekawych informacji o ludziach i całym świecie. Teraz też radio stojące na parapecie okiennym grało cicho muzykę fortepianową, bo przodownik lubił słuchać, a nawet bardzo lubił śpiewać, dlatego należał do kościelnego chóru. Podczas niedzielnych mszy, będąc najbliżej Stwórcy, jak to tylko możliwe, bo na kościelnym chórze, rozmyślał sobie nad sprawami ostatecznymi i sensem życia. I teraz nasza go jeszcze refleksja, że człowiek, który nie zostawi po sobie czegoś dla potomności, niewiele jest wart. Ale

nie miał pojęcia, co on mógłby zostawić. Bo portfel, scyzoryk, sznurek i kilka monet to przecież było nic. Musi się nad tym poważnie zastanowić. Tymczasem przywołał swojego podwładnego.

– Bierz no, Marcel, kartkę i ołówek i chodź tutaj do biurka. Spiszemy, co tam znaleziono przy nieboszczyku.

Starszy posterunkowy zabrał kartkę i ołówek, nogą podsunął sobie krzesło do przełożonego i zamarł w oczekiwaniu. Bielawski tymczasem chwycił do ręki pierwszy przedmiot.

– Przy nieboszczyku znaleziono, co następuje, dwukropek – zaczął dyktować powoli i wyraźnie, żeby Gałązka zdążył wszystko zapisać. – Punkt pierwszy, zegarek kieszonkowy Omega z posrebrzaną kopertą, punkt drugi, chusteczkę kraciastą, używaną, punkt trzeci, scyzoryk o dwóch ostrzach z oprawą kościaną, punkt czwarty, monety polskie na kwotę osiem złotych i czterdzieści groszy, piąty, portfel skórzany koloru brązowego, a wewnątrz paszport polski, niebieski, na nazwisko Jan Piórkowski, wystawiony w mieście Poznań... O, jest i zdjęcie eleganckie pana Piórkowskiego, rzeczywiście jest to nasz nieboszczyk ze skręconym łbem.

– Ze skręconym łbem... – powtórzył starszy posterunkowy.

– Tego nie pisz!

– Czego?

– O tym łbie, barani łbie!

– Nie? To jak mam pisać?

– Tylko to, co dyktuję, a nie to, co gadam tylko ot tak...

– Aha. Rozumiem, ale pan przodownik nie kazali kończyć.

– To teraz każę. Przepisać mi to piórem na protokóle.

– Tak jest! – Gałązka poderwał się z krzesła, by dokończyć robotę przy swoim biurku. Tymczasem Bielawski spojrział na siedzącego naprzeciw kolejarza.

– I co, nie można było tak od razu?

– No można, ale człowiek głupi jest.

– Prawda, że wszelkie zło bierze się z głupoty. Ale po to jest policja, żeby z tym złem walczyć. Mam nadzieję, że nic żeście więcej nie ukryli?

– W życiu, panie przodowniku! – Maciaszek rąbnął się pięścią w pierś.

– I całe wasze szczęście, że żeście na mnie trafili. Bo inny by się z wami nie patyczkował.

– Święta racja.

– No masz już ten protokół? – Bielawski ponaglił podwładnego. Ten przyłożył bibularz do kratki i osuszoną w ten sposób z nadmiaru atramentu podał szefowi.

– Tu się podpiszcie. – Przodownik wskazał miejsce przesłuchiwanemu, a ten złożył zamaszty podpis, po czym nasunął kolejarską rogatywkę na głowę, zasalutował i wyszedł z komisariatu. Bielawski tymczasem zebrał rzeczy, które pozostały po nieboszczyku Piórkowskim, wrzucił je do specjalnego woreczka na dowody rzeczowe i schował to wszystko do szuflady biurka.

Tak niewiele po człowieku zostaje, pomyślał. A po mnie tylko to, co zapisane w protokółach i kajetach. Może kiedyś ktoś do nich zajrzy i odtworzy z tych zapisków moją historię?[\[2\]](#)

## Poznań

Godzina 9.20 rano

Zakratowane okno pokoju przesłuchań w Dyrekcji Policji, przy zbiegu Ratajczaka i 27 Grudnia, wychodziło na wewnętrzny dziedziniec. Dzięki temu uliczne hałasy nie rozpraszały policjantów, którzy prowadzili tu swoje codzienne badania zatrzymanych, a ludziom przesłuchiwanym urzędowa cisza zapewniała możliwość skupienia się na własnych myślach, które mogły swobodnie krążyć wokół przewin i niecnych postępków. Bo jak mawiali starzy policjanci, zatrzymanemu zawsze trzeba dać nieco czasu, żeby się nad sobą zastanowił, a dopiero potem łać po mordzie.

Pejsaty jegomość w czarnym kapeluszu na głowie nie musiał jednak robić rachunku sumienia. On bowiem domagał się sprawiedliwości i zadośćuczynienia od władzy, która powinna była go chronić, ale nie ochroniła. Siedzący naprzeciw niego młody policjant Walenty Oskierko przyglądał mu się z zaciekawieniem. Dawno nie widział ortodoksyjnego Żyda. Tam, skąd pochodził, czyli

w Kongresówce, spotkać ich można było na każdym kroku. Jednak tu, w Poznańskim, Żydzi nie wyróżniali się egzotycznym wyglądem. Ubierali się tak jak wszyscy miejscowi Polacy i Niemcy, więc za nic nie dawało się ich rozpoznać w tłumie. A ten siedzący naprzeciwno przypominał gościa z innego świata, w którym religia określała tożsamość i dzieliła ludzi na lepszych i gorszych. Tu, w Poznaniu, też były podziały, ale zdecydowanie prostsze. Poznaniacy dzielili ludzi na mądrych i głupich, pracowitych i nierobów, a w tym pokoju linia podziału była jeszcze prostsza – na winnych i niewinnych.

– Więc powiadacie, panie Libuber, że ów bandyta chciał was zastrzelić?

– A co on niby chciał ode mnie chcieć? On musiał chcieć mnie obrabować i zabić na śmierć. Jak pragnę zdrowia, panie aspirancie, na śmierć zabić, bo inaczej po co by wyciągał ten leworwer i celował we mnie, a ten drugi w mojego znajomka od interesów, tego chudego Arona Dubeltowegibela z Łucka, kupca kolonialnego? To przecież jasne jak słońce, że jak kto jest bandyta, to chce człowieka obrabować i zamordować. Bo jak on by nie chciał, toby miał inny zawód. Na ten przykład kupiec. Bo kupiec nikogo nie morduje.

– A pan Dubeltowegibel mówi, że on tylko machał tym pistoletem na postrach. Że jakby chciał was zabić, to już by było po was.

– Dubeltowegibel to on jest człowiek małej wiary. Co on może w ogóle wiedzieć, jak on był tak pijany, że ja jego prawie na własnych plecach musiałem wnieść do dorożki. On jak wypije, to całkowicie traci kontakt ze światem. Taki już z niego typ, że szkoda gadać.

– A Dubeltowegibel mówi, że to on pana prowadził. O, proszę, tak jest napisane w zeznaniu i zaprotokołowane:

*Po wyjściu z kamienicy na trotuar uliczny musiałem wziąć pod ramię mojego znajomego Eliasza Libubera, kupca konfekcyjnego z Łucka, żeby się on gdzie nie zgubił albo nie przewrócił. I dzięki temu pijanego Libubera można było wsadzić do dorożki, co uczyniłem we współpracy ze stróżem kamienicy, co mi pomógł. I nakazaliśmy jechać do hotelu Polonia na ulicy Bitwy Grunwaldzkiej, gdzie stanęliśmy razem we dwóch w numerze osiemdziesiątym pierwszym, ale w jak najbardziej osobnych łózkach. I podczas jazdy po mieście zostaliśmy*

*napadnięci przez zamaskowanych bandytów, którzy chcieli odebrać nam wszystko, co się dało odebrać, nawet tak nic nieznaczący przedmiot jak moja posrebrzana i warta osiemdziesiąt sześć złotych piersiówka do koniaku...*

Oskierko, szczupły brunet o piwnych oczach, przerwał czytanie i nonszalanckim ruchem sięgnął po paczkę papierosów Egipskich. Wydobył jednego, po czym spojrzawszy na poszkodowanego, wskazał ręką pudełko.

– Może się pan poczęstuje?

– Broń mnie panie Boże. Ja nie palę tytoniu wcale. Kto to widział, żeby bogobojny Żyd sam sobie wpuszczał dymy piekielne do własnego płuca i dymem przez nos dmuchał jak lokomotywa. Czy ja, panie aspirancie, wyglądam jak parowóz? Nigdy w życiu, niech mnie ręka boska broni.

Policjant uśmiechnął się pod skąpym wąsem. Niezbyt szczerze obdarzyła go natura zarostem, bo wąsik był mizerny i za nic nie dało się go zapuścić na tyle, by potem podkręcać z fasonem. Oskierko, który z racji młodego wieku na porządne kawaleryjskie wąsiska musiał jeszcze cierpliwie poczekać, był jednak prawdziwym ułanem, który trafił do poznańskiej policji trzy lata temu wprost z Warszawy. Wtedy, w dwudziestym szóstym roku, niewiele wiedział o pracy stróżów prawa, ale szybko jego bezpośredni przełożony, komisarz Antoni Fischer, musiał przyznać, że będą z niego ludzie. Bo Oskierko chętny był do pracy, nie lenił się i przede wszystkim w lot się uczył.

– I popatrz się pan, panie aspirancie, co ja mam za kolegę do interesów, jak on nawet nie potrafi prawdy Policji Państwowej powiedzieć. Ja jego ciągnę do dorożki, co może poświadczyć stróż, ten sam, co nam bramę za opłatą nocną otwierał i co on tę wypłatę zainkasował z mojej kieszeni. A jak już zainkasował, to wtedy te bandyty na nas wskoczyły i dalej wymachiwać leworwerami. No i jak on może powiadać, że oni nas chcieli tylko nastraszyć, jak jeden z nich pistolet mi do głowy przystawił i kazał wszystko, co mam w kieszeniach, oddawać, to ja jemu oddałem, jak przykazał, bo co mnie tam kosztowności wielkie, jak ja bym miał życie stracić. Bo

przecież złoty łańcuch na rękę, złoty zegarek kieszonkowy na grubym łańcuchu, obrączkę także ze złota i do tego jeszcze porcygar złoty, a w portfelu to będzie dwa tysiące dolarów... Wszystko przepadło, wszystko przepadło, ale życie zostało. A póki życia starczy, to się to wszystko odrobi, a tego bandytę złapie i osądzi, a potem powiesi...

– Panie Libuber, niech pan poczeka z osądzaniem i skazywaniem na śmierć, aż my tych bandytów złapiemy – przerwał mu wreszcie aspirant Oskierko. – Sądy są u nas od skazywania, a my od łapania bandytów i właśnie...

– I całe szczęście, że to w sławnym mieście targowym Poznaniu się stało, a nie na ten przykład w naszym Łucku, gdzie policjanci myślą tylko o tym, żeby na piecu poleżeć i wódki się napić. Ale tu, w Europie, to się tych bandziorów raz-dwa złapie i znajdą się moje skradzione rzeczy...

– To ile tych dolarów było w portfelu?

– Trzy tysiące!

– Przed chwilą mówił pan, że dwa?

– Dwa? Niemożliwe. Były trzy tysiące. Przecież ja przyjechałem tu na zakupy, to wiem, ile gotówki było. Bo ja jestem, panie aspirancie, porządny kupiec konfekcyjny. Ja na cały Łuck i okolicę dostarczam najlepsze materiały do szycia ubrań, prosto z Paryża i Berlina, i nawet z miasta Łodzi. Mówię panu, niczego lepszego pan nigdzie nie znajdzie, jak u Eliasza Libubera. Jakby na ten przykład pan aspirant chciał sobie obstałować elegancki garnitur, to ja bym zaraz mógł panu przysłać sztukę najlepszej wełny garniturowej z Berlina. Powiadam panu, europejski szyk! A jaka cena? Darmo, prawie że darmo!

– Co mi pan tu gadasz o garniturach! O bandytach mów pan. Co się dało zapamiętać?

– Wszystko, co pan aspirant szanowny tylko chce, się dało spamiętać. Najbardziej to ten nos pod chustką, bo tak wyglądał dziwnie, jakby on tego nosa całkowicie nie miał, znaczy taki bardziej jakby rozdeptany...

– A niech mi pan jeszcze powie... – Oskierko przeszył kupca świdrującym spojrzeniem, by ten od razu wiedział, że nie warto go

oszukiwać. – Powiadał żeś pan, że nie palisz papierosów.

– He, he, he! Pewnie, że nie, bo to i smród, i dym i jeszcze za tę śmierdzącą nieprzyjemność trzeba płacić. A ja na byle co pieniędzy wydawać nie myślę. Jak ja bym chciał dymu powdychać, tobym lepiej sobie głowę do komina wsadził. Dym to jest dym, panie aspirancie kochany.

– Tak, rozumiem. – Oskierko zgasił papierosa w popielniczce z grubego szkła. – Niepalący jest pan, a tu tymczasem zeznaje pan, że ukradli mu porcygar. To ja się pytam szanownego pana, po co mu porcygar, skoro pan nie palisz?

Oskierko spojrzał na Libubera spojrzeniem zwycięzcy. Bardzo lubił ten moment, kiedy w przesłuchaniach udawało mu się złapać zeznającą osobę na jakimś krętactwie. – No co, zaniemówiłeś pan?

– Ale skądże znowu. Skądże znowu.

– No to jak mam to rozumieć?

– Jak najnormalniej, panie aspirancie. Jak najnormalniej w świecie. Nie palić to jedno, ale złoty porcygar mieć trzeba, żeby się pokazać ze światowej strony.

– Nie rozumiem.

– A co tu jest rozumieć? Przecie to proste jak stół. Kupiec z klasą musi mieć porcygar, żeby mógł go wyciągnąć w restauracji albo podczas bridża, żeby pokazać, że ma. Bo gdyby na ten przykład ktoś poprosił o papieros, to co ja bym miał mu powiedzieć, że ja nie palę? Kogo obchodzi, że ja nie palę? Nikogo nie obchodzi Libuber, który w towarzystwie nie pali. Ale Libuber, co ma złotą papierośnicę i może poczęstować papierosem, to jest ktoś, to jest wielka fisza. I dlatego papierośnica jest potrzebna, nawet jak się nie pali papierosa.

Oskierko zrozumiał, że w kwestii tytoniowej nie znajdzie jednak niczego podejrzanego. Dlatego spróbował z innej beczki.

– A kogo żeście panowie tam po nocy odwiedzali na tej ulicy Garbary?

Libuber chrząknął i zaraz sięgnął do kieszeni marynarki, wydobywając z niej kraciatą chusteczkę. Najpierw przetaił ją oczy, a potem wydmuchał głośno nos.

– No w zasadzie to myśmy byli w odwiedzinach u pewnej bardzo eleganckiej i wykwintnej znajomej. Bardzo poważnej znajomej.

– Znajomej?

– To bardzo wielka dama. Mówi po francusku i w innych zagranicznych językach. Bo nasza znajoma prowadzi tam salon towarzyski. Sama elita, panie szanowny, tam przychodzi. Tacy goście, że wielki szacunek dla nich za sam wygląd. A jakie bogate towarzystwo... Miód-malina, panie szanowny. Po prostu cymes!

– Salon towarzyski?

– Jak najbardziej, jak najbardziej. Same towarzystwo.

– A, chodzi o panienki?

– Panienki, owszem. No przecież porządne państwo nie będą popijać szampona w towarzystwie innych panów. Muszą być przecież panienki.

– A czy wasza znajoma to czasami nie jest madame Cocot?

– Coś takiego? Pan aspirant też bywa u madame Cocot? Jakiż ten świat jest mały. Nieprawdopodobny przypadek. A wie pan, że jak na pana aspiranta się patrzę, to teraz sobie myślę, że taki dystyngowany młody człowiek to musi bywać w dobrym towarzystwie. Co tam dobrym, w najlepszym towarzystwie, u madame Cocot.

Teraz chrząknął Oskierko, któremu rzeczywiście jakiś czas temu zdarzyło się gościć w przybytku prowadzonym przez tę panią, ale był to epizod w jego życiu, o którym raczej wolałby zapomnieć.

– Nie bywa, ale zna. Z obowiązków policyjnych znam wszystkie burdele! – mruknął, ale bez specjalnego przekonania.

– No proszę, jak to można pracę połączyć z przyjemnością. Mało która praca daje służbową konieczność bywania w burdelach. Ja bywam, ale w wolnych chwilach tylko. Jak człowiek ma trochę wolnego czasu po załatwianiu interesów, to może sobie pozwolić na odrobinę luksusu. A policja, proszę bardzo, może służbowo. Zwykli ludzie muszą za takie przyjemności płacić...

– Co mi pan tu imputuje?

– Ja? Uchowaj Boże. A co ja mogę panu aspirantowi amputować? Ja tylko chcę odzyskać swoje pieniądze.

– To ile ich było?

– Kogo? Tych bandytów to było dwóch? Dwóch zamaskowanych bandytów, takich jak w filmach kombojskich.



– Pieniędzy. Ile było pieniędzy, co je pan stracił?  
– Dwa tysiące dolarów amerykańskich z Ameryki.  
– A mówił pan, że trzy.  
– A może trzy. Madame Cocot będzie dokładnie wiedziała, ile myśmy tam u niej za gościnę i szampana zapłacili... Ale żeby tak dużo, to nie. Trzy, na pewno trzy tysiące. Trzeba by się jej spytać. Ale najlepiej to by było złapać tych bandziorów i odebrać im nasze pieniądze. Wtedy jak już się je odbierze, to będzie wiadomo, ile dokładnie zrabowali. I jeszcze, żeby odebrać ten mój złoty porcygar i płaską flaszeczkę...

Oskierko zapisał coś w swoim notesie, a potem zamknął go, dając okradzionemu wyraźnie do zrozumienia, że to koniec przesłuchania.

– No dobrze, panie Libuber, mamy już w takim razie pańskie zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez nieznanymi osobników.

– Tak jest, panie oficerze, nieznanymi oni mi są jak najbardziej.

– I pozostaną nieznanymi tak długo, aż ich się nie złapie, nie postawi przed sądem i nie skaże na więzienie.

– Słuszna racja, panie aspirancie kochany, ale ja jeszcze w jednej kwestii chciałem się zapytać.

– Niby co? – Oskierko sięgnął po kolejnego papierosa. Ale nie zapalił go, przypomniawszy sobie, co o dymie mówił ten siedzący naprzeciw niego Żyd.

– To co będzie z moimi pieniędzmi? – zapytał kupiec konfekcyjny.

– Pieniądze? – zdziwił się policjant. – Jak się znajdują, to oczywiście oddamy, ale na to bym raczej nie liczył. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby policja odebrała bandytom pieniądze...

– To co ja mam teraz zrobić, panie szanowny?

– A bo ja wiem? Idź pan na wódkę albo co. Tylko nie noś pan przy sobie zbyt dużo gotówki, bo to nigdy się dobrze nie kończy. Aha, i jeszcze tak sobie myślę, że najlepiej to kupić sobie pistolet. Wie pan, w razie napadu trach i bandzior leży z kulką w głowie. Najlepsza metoda. Niezawodna.

Godzina 9.30 rano

– Kasa pancerna marki Wertheimer z Wiednia. Żeby dostać się do środka, odkłucza się trzy zamki zewnętrzne i jeden wewnętrzny. Czyli razem cztery rygle.

– Znam te wertheimerki. Proste kasy, ale solidne. Jeden zamek, ten środkowy, to jest scyzorykowy, bo jego się nie przekręca tak jak tych trzech, ale wciska do środka.

– Da się otworzyć?

– Wszystko się da otworzyć, panie szanowny. Ale najlepiej kluczem.

– A czy jak ja bym miał klucze, to ja bym z panem rozmawiał?

Tolek Grubiński pokiwał głową. To oczywiste, że by nie rozmawiał. Sam by otworzył, zabrał, co się da, i zniknął z kieszenią pełną forsy, pomyślał. Znał doskonale ten typ ludzi, którzy przestają być lojalni wobec swoich pracodawców, kiedy dochodzą do wniosku, że najwyższy czas stać się człowiekiem zamożnym i żyć na własny rachunek. Oczywiście, żeby zacząć nowe życie, trzeba najpierw okraść swojego dobroczyńcę. Nie pierwszy to raz się zdarzało, że ktoś ze służby narajał mu robotę w domu, którego powinien pilnować.

– A kto to jest ten, co jego kasę mamy wyczyścić?

– Niemiec.

– Ale ma jakieś nazwisko?

– Siegfried Büllow.

– A czym się zajmuje ten wasz Zygfryd?

– Ma fabryczkę czekolady i cukierków oraz nalewek słodkich na Jeżycach.

– Znaczy się bogaty człowiek. – Tolek powoli zaczął wyobrażać sobie, co taka ogniotrwała kasa w domu fabrykanta mogła zawierać w swoim wnętrzu. Na pewno pieniądze i kosztowności. No ale chyba o tym, co jest w środku, wiedzieć powinien ten siedzący naprzeciw elegancko ubrany lokaj. Mężczyzna miał na sobie stalową marynarkę, a pod nią koszulę z kołnierzykiem, wcale nie takim przypinanym, jakie zwykł był nosić Tolek, którego na całym Chwaliszewie uważano za eleganta. On, jeśli wybierał się na jakieś bardzo ważne spotkanie, chodził w zwykłych sztuczkowych spodniach, koszuli białej albo niebieskiej. Do tego zakładał kołnierzyki bielone i krochmalone, bo wydawało mu się, że to jest

najlepszy szyk modnego mężczyzny. Ale od jakiegoś czasu w modę wchodziły takie koszule, które miały kołnierzyk przyszyty. Dlatego Tolek zastanawiał się, czy nie zacząć takiej nosić, ale jakoś na razie nie wpadła mu w ręce. Bo on nie kupował garderoby. Chodził w rzeczach, które zdobywał podczas okradania zasobnych mieszkań. Był szefem złodziejskiej szajki, do której należało trzech braci Kaźmierczaków, podobnie jak on mieszkających na granicy Starego Miasta i Chwaliszewa, przy ulicy Mostowej. Najmłodszym członkiem grupy był Zenuś Brodziak, dziewiętnastoletni rudzielec, który teraz siedział trzy stoliki dalej i z pozorną obojętnością wpatrywał się w stojący przed nim kufel piwa. Na Tolka zerkał tylko kątem oka, ale ten kąt był na tyle czujny, że gdyby szefowi ktoś chciał zrobić krzywdę, Zenuś natychmiast by interweniował z pomocą niewielkiej, drewnianej pałki, którą zawsze nosił przy sobie, tak na wszelki wypadek, wsadzoną w specjalną kieszeń podszewki jego kraciastej marynarki.

Tolek Grubiński lubił spotykać się z interesantami w knajpie U Okonia, która mieściła się w kamienicy położonej dosłownie kilka kroków od jego mieszkania, naprzeciwko protestanckiego kościoła Świętego Krzyża. Ludzie wiedzieli, że tu go można najłatwiej zastać. Dlatego jeśli ktoś miał do niego sprawę, informował o tym właściciela baru, Edmunda Feliksiaka, który sam decydował, czy takiego interesanta umówić z Tolkiem. Jeśli ocena klienta wypadła pomyślnie, barman wyznaczał godzinę spotkania na następny dzień, zazwyczaj przed południem, bo wieczorami Tolek i jego ludzie albo pracowali, albo pili.

Kamerdyner, który przedstawił się jako Piotr Górka, dopił swoje piwo i odwrócił się w kierunku szynkwasu, za którym stał wielki jak kłoda Feliksiak, by pokazać, że chce następne. Barman zajęty był polerowaniem wymytych do czysta kufli z grubego szkła. Robił to powoli, za pomocą lnianej ściereczki, a wyglancowane w ten sposób naczynia stawiał do góry dnem na półce za swoimi plecami. Nie miał wiele roboty, bo gości było zaledwie kilku. O tej porze jeszcze się raczej nie piło. Piwna biesiada zaczynała się dopiero późnym popołudniem, a kończyła zazwyczaj nad ranem.

Barman, zauważywszy gest gościa, natychmiast przerwał swoją robotę i podszedł do kranu, by nalać piwo. Potem odwrócił się i z garnka stojącego na niewielkim westfalskim piecu wydobył dwie parówki, które nałożył na talerz. Nie miał pojęcia, czy ten elegancko ubrany gość ma ochotę na kiełbaski. Ale znał dobrze Tolka i wiedział, że ten przy drugim piwie lubił zjeść coś ciepłego. A dziś na ciepło były akurat parówki.

– Parówki dzisiaj na śniadanie – oznajmił barman, stawiając talerz przez Grubińskim. Ten skinął głową z aprobatą.

– A pan szanowny coś do zjedzenia se winszuje? – zapytał tonem kompletnie wypranym z emocji. Feliksiak nie nadskakiwał swoim klientom. Sprawiał wrażenie, jakby to on czynił im zaszczyt, że mogą u niego coś zjeść i wypić.

– A co pan masz prócz parówek?

– Prócz parówek jest chleb i musztarda.

– Ale względem dań się pytam.

– Nie ma dań. Są parówki. Może być jeszcze na zimno kotlet siekany i śledź w occie i galart świński.

– A jajecznicę na boczku?

– Dziś nie ma jajek. Ale są parówki.

– A ryby pieczone?

– Ryby nie ma.

– Jak to nie ma? To po co jest ta ryba na patelni? – Gość wskazał na drzwi do lokalu. Na zewnątrz, od ulicy, były odrapane i od dawna domagały się interwencji malarza, bo niezbyt zachęcały przechodniów do wejścia. Sztyld wiszący nad nimi, przedstawiający srebrną rybę na patelni i napis: „U Okonia”, a pod nim mniejszymi literami: „Wyszynk wódek i likierów”, sugerował, że można tu dobrze zjeść i wypić. Ale rzeczywistość nieco odbiegała od reklamowych zapowiedzi. Rzeczywistością był Feliksiak.

– Ryby to są w rzece. A ta na patelni to jest tu od stu lat, znaczy się niejadalna, he, he! – zażartował barman.

– Pan Feliksiak kupił ten bar od gościa, który wcale nie nazywał się Okoń. Nikt już nie pamięta tego Okonia, co tę knajpę założył – wyjaśnił Tolek.

– A może ta ryba na patelni to okoń? – stwierdził właściciel gospody i odwrócił się na pięcie. Nie miał zamiaru tracić czasu na marudnego klienta.

– To gdzie jest to mieszkanie? – Grubiński wrócił do tematu.

– Na ulicy Pocztowej, na drugim piętrze, wejście głównymi schodami.

– A stróż?

– Za dnia brama otwarta.

– To za dnia mamy robić chatę? – zdziwił się Tolek.

– Za dnia i dodatkowo jeszcze w nocy. Wejdzie pan po południu i wyjdzie następnego dnia rano, jak stróż otworzy bramę. Nie ma pośpiechu. Nikt nie będzie pana gonił.

– A kiedy by trzeba zrobić ten skok?

– Niestety już. To znaczy dzisiaj.

– Łe no dziś to nie dam rady. Dziś ja jestem umówiony – stwierdził Grubiński, zabierając się do krojenia parówki na drobne kawałki. – Taką robotę, panie szanowny, to trzeba obmyślić, wszystkie szczegóły sprawdzić i takie tam różne pierdoły.

– Najważniejsze to bezpieczeństwo i higiena pracy.

– W jakim sensie ta higiena?

– Ano w takim, żeby człowiek pracujący czuł się bezpiecznie.

– To prawda – zgodził się z nim Tolek, który jednak nigdy w pracy nie czuł się komfortowo i bezpiecznie. Może właśnie dlatego wybrał zawód złodzieja, który za każdym razem podczas wykonywania czynności zawodowych zapewniał wysoki poziom emocji. – Lepiej jak jest bezpiecznie niż niebezpiecznie.

– I dlatego, szanowny panie Anatolu, ja zapewniam panu sto procent bezpieczeństwa. Do mieszkania dostanie się pan za pomocą klucza, który otrzyma pan ode mnie. W mieszkaniu nie będzie nikogo, bo właściciel wraz ze mną wyjeżdża dziś do swojego majątku na wsi. W majątku będziemy przez najbliższe trzy dni. Więc nikt pana nie będzie niepokoił w tym czasie. Kucharka i sprzątaczką dostały wolne. A rodzina pana Büllowa przez całe wakacje siedzi na wsi. Tak więc wszystko w pana rękach. Myślę, oczywiście, o tej kasie ogniotrwałej. Mam nadzieję, że pan sobie poradzi?

– He, a co bym miał nie poradzić. Kasy są od tego, żeby je otwierać, to i tę wiedenkę się otworzy. Szkoda tylko, że nie ma pan kluczy do zamków.

– Jak ja bym miał kucze, tobym pana nie potrzebował do tej roboty.

– Ale mało czasu, cholera. Klucze uniwersalne trzeba dorobić. Może gdzieś mam takie w warsztacie. Ale nie wiem na pewno. Bo klucze to podstawa. Każdy jest inny i potem na miejscu trzeba je precyzyjnie dociąć...

– Będzie na to miał pan sporo czasu. To lekko licząc jakieś dwanaście godzin na miejscu. Przez dwanaście godzin nie da pan rady ich naszykować?

– Co mam nie dać rady? Oczywiście, że se poradzę. Jak pan powiadasz, że spokój będzie i można tam popracować...

– Bezwzględnie można.

– A co z innymi rzeczami?

– Jakimi rzeczami?

– No jak już będziemy w domu, to szkoda nie zabrać tego i owego?

– Jak to będziemy? To pan nie chce iść sam na taką prostą akcję?

– Sam to ja chodzę do spowiedzi. A na robotę z moimi ludźmi chodzę. Jak się idzie na krojenie kasy, to chatę też się juchci[3], bo nic się nie może zmarnować.

– Czyli że jak pan to widzi?

– Czyścimy chatę z tego, co w łapy wpadnie...

– No i dobrze, w takim razie niech pan robi tak, jak pan uważa. Pozostaje jednak jeszcze najważniejsza kwestia.

– Rozchodzi się o to, co w sejfie zamknięte?

– Sejf jest wypełniony pieniędzmi i dokumentami. Dokumenty nie mają dla was wartości. Ale pieniądze owszem. Szacuję, że jest tam jakieś dziesięć tysięcy złotych, może pięć tysięcy dolarów. Prawdziwy majątek.

Górka zamilkł, spoglądając uważnie w ciemne oczy Tolka. Ten przez chwilę analizował podane mu informacje, stukając palcem w blat stolika. Był tak zaaferowany tym, co usłyszał o zawartości sejfu, że zupełnie zapomniał o parówce, która niedojedzona spoczywała na talerzu. Ale czym była jedna parówka w porównaniu

do majątku, którego właścicielem mógł się stać już za kilka godzin. Przyszły właściciel był jednak człowiekiem praktycznym, który lubił mieć dograne wszelkie szczegóły.

– Ile z tego dla pana?

Mężczyzna uśmiechnął się pod równo przyciętym wąsem à la Rudolf Valentino.

– Nic.

– Jak to?

– Mnie interesują tylko papiery.

Tolek przez chwilę w milczeniu rozważał propozycję. Zarobek był niezwykle kuszący, a do tego jeszcze miało dojść to, co uda im się wynieść z mieszkania.

Odwrócił głowę i spojrzał na stojącego za barem Feliksiaka, który jak zwykle polerował kufle białą ścierką.

– Panie ober, daj pan ćwiartkę białej i dwa kielonki. Musimy opić interes!

## Godzina 9.50 rano

Komisarz Antoni Fischer ledwie zdążył przełknąć pierwszy kęs chleba z kiełbasą suchą krakowską, gdy rozległo się pukanie do drzwi jego gabinetu. Zaklął cicho pod nosem, upił łyk herbaty, odchrząknął, by przeczyścić gardło i uczynić je zdatnym do rozmowy, i w końcu zawołał gromkim głosem:

– Wejść!

Drzwi się otworzyły i do środka wmaszerował aspirant Oskierko, ubrany w dopasowany, jakby szyty na miarę, mundur. Podeszedł do biurka i jak na placu apelowym zatrzymał się w przepisowej odległości dwóch i pół metra od pryncypała. Zasalutowawszy sprężysto, strzelił obcasami i zameldował:

– Aspirant Oskierko Walenty melduje się na służbie!

Fischer nic nie odpowiedział, tylko sięgnął do kieszeni kamizelki po zegarek. Wydobył srebrną omegę, otworzył kopertę, a potem ją zamknął.

- Dziewięta trzydzieści - stwierdził i schował zegarek na powrót do kieszonki. - Czas się zgadza. - Pokiwał głową i wskazał podwładnemu krzesło.

Ten, zadowolony, usiadł, aż drewno jęknęło pod jego ciężarem. Nie żeby aspirant Oskierko był zbyt ciężki. W porównaniu z komisarzem Fischerem, postawnym i dobrze zbudowanym mężczyzną o atletycznej sylwetce, wyglądał jak chuchro. Był jednak silny i gibki. O takich ludziach powiada się, że są jak sprężyna. Tę giętkość, jak sam mówił, wyniósł z kawalerii. Podczas wojny polsko-bolszewickiej, jako świeżo upieczony podporucznik IV Brygady Kawalerii, brał udział w słynnym kontrataku, wyprowadzonym znad rzeki Wieprz, co w konsekwencji przyniosło odrzucenie wroga od stolicy. Tak się szczęśliwie złożyło, że po wiktorii warszawskiej dowództwo sypało orderami jak z rękawa, więc i Oskierko dostał zaszczytne wyróżnienie w postaci Virtuti Militari, choć tak naprawdę nie bardzo wiedział, za co. Robił swoje podczas ataku, rąbał szablą, gdzie popadło, i darł się przy tym tak głośno, że bolszewicy uciekali jak zajęce. Jednak fakt wyróżnienia się na froncie sprawił, że już po zakończeniu wojny zaproponowano mu pozostanie w wojsku, a po przewrocie majowym wysłano go do pracy w policji, na trudnym, poznańskim odcinku, w miejsce, w którym nieszczególnie przepadano za ludźmi „od Piłsudskiego”. Fakt, było w tej delegacji drugie dno, ale on nie bardzo lubił to rozpamiętywać i wolałby o nim zapomnieć. Dość powiedzieć, że zanim skierowano go do Poznania, doszło do skandalu towarzyskiego, w którym młody, przystojny podporucznik grał główną rolę wraz z pewną panią rotmistrzową. W zasadzie powinien wylecieć z armii na zbity pysk, ale tak przecież nie postępowano z bohaterami znad Wieprza. Dowódca pułku dał mu propozycję nie do odrzucenia i w ten sposób Oskierko znalazł się w Poznaniu.

Jego nowy przełożony, komisarz Antoni Fischer, również był weteranem. Podczas wielkiej wojny służył jako podporucznik w armii pruskiej, później walczył ze swoimi dawnymi polskimi towarzyszami broni u boku w powstaniu wielkopolskim, a w końcu trafił z poznańskimi pułkami na wschód. Po wojnie w pełni świadomie jednak zrezygnował z munduru wojskowego i zamienił go na



policyjny. Tyle że ten granatowy wisiał u niego w szafie, bo Fischer wolał do pracy chodzić w garniturze.

Oskierko siedział teraz na krześle i jako zdyscyplinowany podwładny czekał, aż jego pryncypał odezwie się pierwszy. Ten najwyraźniej nad czymś się zastanawiał, stukając przy tym palcem w podrapany blat biurka. Właściwie wszystkie meble w tym gabinecie były kiepskiej jakości. Biurko, szafy na dokumenty, a nawet niewielki stolik kawowy z dwoma fotelami, przy którym nikt nigdy nie pił kawy, zrobione były ze zwykłego sosnowego drewna, okleinowanego orzechem. Ten orzech miał dodawać dostojności i powagi, jednak nie trzeba było być specjalistą od stolarki meblowej, żeby natychmiast zauważyć kiepską jakość wykonania. Meble odziedziczone zostały przez poznańską policję w spadku po policji pruskiej i stanowiły całkowite zaprzeczenie niemieckiej solidności.

W końcu komisarz otworzył szufladę i wyjął z niej starą, wysłużoną wiśniową fajkę. Powoli zajął się jej czyszczeniem, używając do tego specjalnego wyciora i irchowej szmatki.

– I co pan powiesz, panie Oskierko?

– Mamy kolejnych dwóch napadniętych, panie komisarzu – stwierdził aspirant z całkiem zadowoloną miną.

– To z czego pan się cieszysz?

– Bo wreszcie jakiś konkretny jest...

– Czyli że co?

– Czyli że obaj napadnięci, których obrabował ten cholerny Zorro, widzieli wreszcie jego gębę.

– Obaj widzieli dokładnie i opisali?

– I tak, i nie.

– Mów pan jaśniej, w czym rzecz, bo nie mam ochoty na rozwiązywanie szarad.

– Tak jest. Znaczący melduję, że jeden widział, bo drugi nic zupełnie nie pamięta. Obaj wychodzili w nocy z burdelu na Wielkich Garbarach pod numerem 47. I gdy wsiedli do dorożki, która na nich czekała, natychmiast zaatakowali ich ludzie w maskach.

– To znaczy, że dwóch było tych Douglasów Fairbanksów?[4]

– Tak jest, dwóch, ale jednemu przyjrzał się bliżej pierwszy z naszych napadniętych. Ten bardziej trzeźwy, bo drugi, ten, co nic

nie pamięta, był kompletnie pijany... No więc ten bardziej trzeźwy twierdzi, że człowiek w masce był całkiem blisko niego i on zdążył mu się przyjrzeć.

– Jemu? Chyba masce?

– Ano właśnie, panie komisarzu, masce. I on mówi, że może nawet przysiąc, że pod tą maską był nos płaski...

– Złamany! – ucieszył się Fischer.

– Taki boksterski – dodał Oskierko

– I to jest informacja, panie Oskierko szanowny. Mamy tu, co prawda, całą menażerię łachudrów z przetrąconą kluką, ale to znacznie zawęzi nam pole poszukiwań. Niech pan zaraz przekaże tę wiadomość przodownikom Olkiewiczowi i Okoniowi, a oni naszym wywiadowcom. Jutro, najdalej pojutrze, chcę mieć wszystkich rozrabiaków z połamanymi nosami pod kluczem.

Oskierko poderwał się z krzesła, a to znowu jęknęło.

– Tak jest...

– Coś jeszcze pana niepokoi?

– Tak jest – potwierdził aspirant. – Niepokoi mnie redaktor Tomczak z „Kuriera Poznańskiego”, co to siedzi na dole, na korytarzu, i chce się koniecznie widzieć z panem komisarzem w sprawie tych napadów na targowych gości. Mówi, że jak go pan nie przyjmie, to sam napisze artykuł o tym, że ten Zorro napadł już dwadzieścia osób, i się zrobi z tego afera międzynarodowa. A ponoć ludzie śpiewają już o tych napadach piosenki po knajpach i mówią, że to Mściciel w Masce napada...

– Cholerny szantażysta – mruknął Fischer. – No dobra, dawaj go pan tu do mnie. Już ja mu zrobię aferę międzynarodową ze *Znakiem Zorro*<sup>[5]</sup> w głównej roli.

Nim dziennikarz wszedł na górę i dotarł do pokoju komisarza, Fischer zdążył już nabić fajkę i ją podpalić. Usłyszawszy pukanie, zawołał „proszę”. Redaktor Walery Tomczak, uśmiechnięty od ucha do ucha, wszedł do środka, zacierając dłonie. Lekko pochylony, wyglądał, jakby tylko czekał na nadarzącą się okazję, by rzucić się na swoją ofiarę. W Poznaniu dziennikarz był znany z tupetu i wścibstwa. Opowiadano sobie o nim pewną anegdotę. Otóż jakiś czas temu naczelny „Kuriera” wysłał go na służbowy wyjazd do

Murowanej Gośliny. Po powrocie w rozliczeniu kosztów pobytu redaktor wpisał przejazdy tramwajami. Dyrektor podpisał rachunek, a potem powiedział:

– Pan jesteś jednak kiepskim reporterem!

– Dlaczego, panie dyrektorze? – oburzył się Tomczak, dotknięty do żywego.

– Mieć taką sensację w zanadrzu jak założenie komunikacji tramwajowej w Murowanej Goślinie i nie napisać o tym w naszej gazecie ani słowa?

Fischer już miał na końcu języka pytanie o tramwaje, ale w porę ugryzł się w język. Przypomniał sobie bowiem, że mówił o tym podczas ostatniego spotkania. Nie zamierzał się powtarzać, dlatego rzucił na powitanie zupełnie co innego:

– Gdzie to, panie szanowny redaktorze, sprzedają takie szykowne nakrycia głowy? – powiedziawszy to, wskazał na trzymany przez dziennikarza w dłoni staromodny melonik. Zdziwiony Tomczak spojrział na kapelusz, a potem na Fischera. Nie wyczuł jednak w tym pytaniu ironii.

– Nie dostaniesz już pan takiego dobrego kapelusza. To z zakładu Ottona Krafta przy Ritterstraße 12, ale kupiony jeszcze w roku 1910, a majster Kraft niestety zaraz po wielkiej wojnie wyjechał do Niemiec – wyjaśnił z dumą w głosie, tak jakby on sam stworzył to nakrycie głowy. – Ale co my tam o kapeluszach rozprawiamy, szanowny panie komisarzu, jak na ulicach naszego miasta szerzy się bandytyzm. – Odłożył melonik na blat stolika i usiadł na krześle.

– Bandytyzm szerzy się tam, gdzie jest dużo ludzi.

– To trzeba by więcej patroli na ulicach.

– Patroli jest tyle, ile trzeba. Większość krąży w centrum miasta i w okolicach Powszechnej Wystawy Krajowej, żeby zabezpieczyć gości, ale jak się kto kręci po podejrzanych dzielnicach, to idzie tam na własne ryzyko. Jak pan jedziesz na pustynię afrykańską, to musisz się liczyć, że go pożre lew albo przynajmniej ugryzie jaka żmija.

– To ulica Garbary pana zdaniem, panie komisarzu, jest jak afrykańska pustynia?

– Raczej jak afrykańska dżungla pełna dzikusów i groźnych drapieżników.

– No to ja chciałbym się spytać o ten nocny napad na dwóch spokojnych obywateli, którzy przyjechali tutaj na PeWuKę.

– Jaki napad? – Fischer udał zdziwienie.

– Niech pan nie żartuje, komisarzu. Dwóch Żydków obrabowanych przez zamaskowanych przestępców. Już cały Poznań o tym gada. Nie da się tego ukryć. Tak samo jak nie da się ukryć Mściciela w Masce.

– Ach to! E, panie redaktorze, pan chyba jako narodowiec i redaktor endeckiej gazety, niezbyt przepadający za naszymi starszymi braćmi w wierze, nie powinien się przejmować losem, jak pan to ujął, „dwóch Żydków”.

– Ależ mnie nie chodzi o kwestie rasowe! Ja tylko o bezpieczeństwie publicznym rozmawiam. Bo jak na Żydów napadają, to trudno. Ale jak w takiej dryndzie pojedzie dwóch dobrych polskich katolików, to co?

– A mnie, panie redaktorze, nie bardzo obchodzi to, kogo na ulicach napadają. Narodowość czy wyznanie jest kwestią drugorzędną dla policji państwowej. I każdą taką napaść wyjaśnimy, a winnych ukarzymy.

– To ile takich napaści już było?

– Jak to ile?

– No powiedzmy w ostatnim miesiącu?

Fischer zamilkł, spuściwszy wzrok na blat biurka. Rozważał, w jaki sposób najlepiej wykorzystać dziennikarza dla śledztwa. Wiedział, że ten napisze o rozbojach, bo te rzeczywiście miały miejsce. Kilka napadów w ciągu dwóch tygodni, uskuteczionych najprawdopodobniej przez tych samych sprawców, którzy za każdym razem działali podobnie, obskakując dorożkę z dwóch stron i grożąc pasażerom rewolwerami, zabierali im wszystko, co cenne. Ale taka informacja nie mogła pójść do prasy, bo spowodowałaby panikę wśród odwiedzających Wystawę Krajową. Trzeba więc było to umiejętnie rozegrać, tak by nikt nie odniósł wrażenia, że policja sobie nie radzi.

– Szanowny redaktorze, pan wie, jak bardzo cenię pańską pracę i pisarskie umiejętności. Zresztą, dałem tego wyraz, gdy mógł pan

zrobić zdjęcie do reportażu o ujęciu tego nożownika, który zabijał prostytutki pięć lat temu.

Tomczak chrząknął, zadowolony z pochwały.

– I dlatego zdradzę panu pewną tajemnicę, o której nikt nie wie. A dzięki której możemy łatwiej złapać pewnego bandziora.

– Zamieniam się w słuch, panie komisarzu.

– Otóż nie mam żadnej pewności, czy tych ostatnich napadów dokonali ci sami przestępcy. Pan rozumie, że na czas wystawy przyjeżdżają do naszej dżungli dzikusy z całego kraju, licząc na łatwy łup. Pan wie, że naszą wystawę, według szacunków organizatorów, może odwiedzić i cztery miliony ludzi? Cztery miliony!

– A gdzie tu tajemnica, panie komisarzu?

– Tajemnica jest taka, że wiemy, jak wygląda jeden z oprychów, którzy dokonali napadu dziś w nocy.

– Jak?

– Ma boksterski nos.

– Jaki?

– Boksterski, to znaczy z przetrąconą chrząstką. Przez to ta część – tu dotknął nasady swojego nosa – jest zdeformowana. Prawie całkowicie płaska.

– A, to ja wiem! – Tomczak wyobraził sobie oprycha bez nosa. – To znaczy się jest już jakiś konkretny trop. Czy w takim razie mam rozdmuchać tę informację?

Komisarz spokojnie wypuścił wielki kłęb dymu i lekko odkaszlnął, wystawiając cierpliwość dziennikarza na poważną próbę.

– Możesz pan mnie zacytować.

– Aha, że niby co?

– Komisarz Antoni Fischer, naczelnik grupy kryminalno-pościgowej i tak dalej... ujawnił naszym czytelnikom, że jeden z bandytów ma charakterystyczny nos, właściwy dla wielu ludzi uprawiających boks, czyli złamany nos... I jednocześnie policja dementuje, jakoby autorem napadów był niejaki Mściciel w Masce, bo bandyta nie mógł mieć maski, skoro świadkowie zobaczyli, że ma przetrącony nos. Mściciel nie istnieje.

# Königsberg

Godzina 5.40 po południu

Kapitan Feliks Mikołajewski spojrział w błękitne oczy panny Marleny i poczuł naraz, że serce tłukące się w jego piersi może wkrótce przestać być jego własnością i zostać zawładnięte niepodzielnie przez tę kobietę o pełnych ustach w kształcie tatarskiego łuku, podkreślonego delikatnym rysem szminki, z noskiem obdarzonym drobnymi, ledwie widocznymi na alabastrowej skórze piegami i w końcu włosami splecionymi w dwa jasne warkocze, związane czerwonymi wstążkami. Panna Marlena von Pieskow była piękna, nic więc dziwnego, że zwracała na siebie uwagę mężczyzn, którzy siedzieli tu, w winiarni Rückforth przy Französische Straße, posyłając jej dyskretne spojrzenia sponad gazetowych płacht, przytwierdzonych do drewnianych uchwytów, albo zza ramion swoich mniej interesujących żon i pań towarzyszących.

– Chciałabym, żebyś został na dłużej. – Marlena posłała Mikołajewskiemu czarujący uśmiech.

– Niestety, dziś wieczorem odjeżdżam berlińskim pociągiem.

– Szkoda – westchnąwszy, spuściła wzrok i przez chwilę Mikołajewskiemu zdawało się, że jest naprawdę zasmucona tym faktem. W głębi duszy czuł jednak, że te uśmiechy, te słowa to tylko cyniczna gra.

Poznali się miesiąc temu w Zoppot, w kasynie Grand Hotelu, w którym Mikołajewski przegrał dość znaczną kwotę. Panna Marlena, czarująca młoda osoba, która przysiadła się do niego w barze po tym, gdy opijał poniesioną porażkę, opowiedziała mu swoją dramatyczną historię rodzinną. Okazało się, że podczas wielkiej wojny straciła rodziców i rodzinny majątek leżący na pograniczu rosyjsko-pruskim. Kozacy generała Samsonowa zgwałcili jej matkę, ojca zabili na jej oczach, więc zrozpaczona i zhańbiona żona zmarła kilka dni później na rękach córki. Do tego jeszcze jej rodzinny pałacyk wraz z folwarkiem zostały spalone. W tej sytuacji młoda, pozbawiona środków do życia Marlena musiała uciekać do Królewca. Na szczęście przyjęła ją tu z otwartymi ramionami

kuzynka matki nieboszczki, cioteczka Gertruda, u której mogła zamieszkać i dokończyć edukację w żeńskim gimnazjum. Po wojnie chciała wrócić do rodzinnego majątku, ale okazało się, że jej ojcowizna znalazła się po niewłaściwej stronie granicy i teraz to, co od pokoleń było w rękach jej rodziny, przejęli Polacy. Ach, gdybyż ona miała jakiegoś polskiego przodka, to może coś by w tej sprawie dało się zrobić, ale niestety, w jej żyłach płynęła tylko najczystsza, błękitna niemiecka krew.

„Może mógłbym jakoś pomóc”, zaoferował wtedy Mikołajewski, który nie zamierzał zdradzać jej, że jest kapitanem kontrwywiadu. Tajna placówka, którą kierował, mieściła się w niepozornej willi na Sołacz w Poznaniu, a grawerowana, miedziana tablica, przytwierdzona do ściany tuż przy wejściu, informowała przechodniów, że działa tu Poznańskie Zrzeszenie Kółek Rolnych i Gospodarskich. Jednak ludzie, którzy w tym budynku pracowali, mieli niewielką wiedzę na temat rolnictwa, podobnie jak sam prezes zrzeszenia Feliks Mikołajewski. Za to znali się doskonale na organizowaniu akcji wywiadowczych i kontrwywiadowczych na pograniczu. Mikołajewski oraz jego współpracownicy byli etatowymi pracownikami Wojska Polskiego, jednak w Kółkach Rolnych pracowali pod przykrywką po to, by nie rzucić się w oczy niemieckim przeciwnikom. Stworzona przez kapitana organizacja zajmowała się przemytem towarów i ludzi przez zieloną granicę, a także zbieraniem informacji na temat tego, co działo się u sąsiadów, jednocześnie starając się kontrolować i rozpracowywać podobne działania przeciwników.

W Zoppot kapitan Feliks Mikołajewski, a właściwie prezes Kółek Rolnych, podobno przebywał całkowicie prywatnie i nie miał najmniejszego zamiaru zajmować się sprawami wojskowymi, a rolniczymi tym bardziej. Jako że należał do ludzi ceniących sobie wysoki poziom adrenaliny w organizmie, podczas urlopu postanowił trochę zaszaleć. I dlatego wybrał na miejsce odpoczynku niemiecki kurort wraz z jego perłą – Grand Hotelem.

Pierwszego wieczora poszło mu całkiem nieźle, ponieważ wygrał w ruletkę prawie dwa tysiące dolarów, obstawiając ryzykownie cztery razy z rzędu czerwone i za każdym razem wszystko, co miał na stole.

Zaczął od 250 dolarów i od razu podwoił stan posiadania. Potem zawistował 500 i znów wygrał. Jako że był ryzykantem, po raz czwarty postanowił wybrać czerwone. Był przekonany, że tym razem passa musi się od niego odwrócić, zresztą podobnie uważała dość pokaźna grupa obserwatorów, którzy żywo komentowali jego brawurowy atak na czerwień, porównany przez kogoś z obecnych na sali do szarży byka na czerwoną płachtę podczas corridy.

– Tym razem byk nadzieje na róg matadora – stwierdził Mikołajewski i przesunął cztery słupki żetonów na czerwone pole.

Krupier rozejrzał się, lustrując uważnie twarze graczy i obserwujących, którzy szczelnym kordonem otoczyli stół. Puścił koło w ruch i sekundę przed rzuceniem kulki zarządził wyćwiczonym tonem:

– *Rien ne va plus!*[6]

Kula potoczyła się po drewnianym wyźłobieniu, by w końcu, pchnięta siłą bezwładu, wpaść w przegródkę.

– *Neuf rouge!*[7] – oznajmił rozgrywający. Jedni pokrzykiwali z radości, inni ze złości. Nikt nie obstawił dziewiątki, za to na czerwone śladem Mikołajewskiego postawiło kilka osób. Wszyscy wygrali, ale tylko on tak znaczną kwotę. Przez chwilę bił się jeszcze z myślami, czy aby nie postawić jeszcze raz wszystkiego na czerwone, ale doszedł do przekonania, że tego już by było za wiele. Zabrał swoje żetony, jeden pozostawiając uśmiechniętemu krupierowi, i odszedł od stolika odprowadzany ukradkowymi spojrzeniami graczy i kibiców. Wśród tych ostatnich była niebieskooka blondynka, która od razu wpadła mu w oko. Poszedł więc wymienić swoją wygraną do kasy, by po chwili wrócić do baru z nadzieją, że ją odnajdzie. Niestety kobiety już nie było. Zamówił jeszcze kieliszek koniaku, wypił go i poszedł spać w radosnym nastroju. Następnego dnia znowu pojawił się przy stole krupierskim, licząc na powtórzenie sukcesu z poprzedniego wieczora. Początkowo grał ostrożnie, stawiając to na czarne, to na czerwone i starając się odnaleźć klucz do systemu, by zapewnić sobie kolejną wygraną. Po godzinie zaczęło mu się wydawać, że zrozumiał, na czym polega prawidłowość następujących po sobie kolorów. Obliczył, że najpierw nastąpi krótka seria czarnych. Już chciał obstawić, ale naraz



dostrzegł kątem oka jakiś ruch po lewej. Spojrzał w tę stronę. Miejsce tuż przy nim zajęła blond piękność.

– Nie będę panu przeszkadzała? – zapytała, uśmiechając się czarująco.

– Ależ skąd. Bynajmniej.

– Bo ja w ruletkę nie grywam.

– No cóż, to łatwa gra, trzeba tylko mieć szczęście – stwierdził i spojrzał na stół. Koło poszło w ruch i krupier rzucił kulę. Nie zdążył obstawić. Przez chwilę wpatrywał się w wirujące kolory i numery. Padła czarna dziesiątka. Zaklął pod nosem, ale zaraz zapomniał o irytacji, gdy dostrzegł spojrzenie niebieskich oczu.

– Pan dużo wczoraj wygrał. Jest pan ekspertem?

– Nie, skąd, droga pani. Grywam hobbystycznie. Od czasu do czasu. Tak jak dzisiaj. Żaden ze mnie gracz.

– A jednak ta pańska wczorajsza wygrana to było nie byle co.

– Dziś zamierzam wygrać więcej.

– Jak to?

– Wydaje mi się, że rozgryzłem system.

– Niewiarygodne.

Dwadzieścia dwa czarne, ogłosił krupier, przywołując Mikołajewskiego do rzeczywistości, od której odciągnęły go niebieskie oczy sąsiadki.

– Cholera! – wyrwało mu się. – Och, pardon. Miałem obstawić, ale się zagadałem.

– Przepraszam. To moja wina. Zawracam panu głowę. Odejdę, bo...

– Nie, skądże znowu. Proszę zostać. Na pewno przyniesie mi pani szczęście. Proszę bardzo. Zobaczymy. Stawiam tysiąc dolarów na czarne.

Przesunął szybko dziesięć żetonów na czarne pole.

– A pani nie obstawia?

– Ja... Nie, skąd. Ja tylko chciałam zobaczyć, jak pan wygrywa.

– Proszę bardzo. Teraz wyskoczą czarne...

Krupier puścił kulę w ruch. Toczyła się jak zaczarowana, śledzona spojrzeniami graczy i obserwatorów. Naraz straciła swój piękny kołowy rytm i podskakując, wpadła w czarną przestrzeń.

– *Quatre noir*[8] – powiedział krupier i przesunął w kierunku Mikołajewskiego podwojoną stawkę.

– Widzi pani, jakie to proste. Wszystko zależy od dobrego rozeznania i odrobiny szczęścia.

– Nieprawdopodobne. I co dalej?

– Dalej zaczekamy chwilę...

– I co?

– Jeśli przynosi mi pani szczęście, to obstawimy teraz czerwone. Ale dopiero po tej rundzie.

– Dlaczego?

– Bo teraz nie wiem, co wypadnie. Czerwone czy czarne? Nie mam pojęcia.

– Ja obstawiłabym czerwone.

I miała rację. Wypadła czerwona piątka.

– Powinna była pani obstawić.

– Nie, to nie dla mnie. – Uśmiechnęła się, patrząc na niego z pewną dozą podziwu i na pewno zainteresowania. Podobał się kobietom. Był postawny, mierzył metr osiemdziesiąt, włosy miał krótko przycięte na skroniach, a jego czoło zdobiła zawadiacka grzywka, opadająca na lewą stronę. Do tego pod prostym, harmonijnie zbudowanym nosem nosił czarne wąsiki, idealnie okalające krawędź ust. Jednym słowem silny mężczyzna z diabelskimi ognikami w ciemnych oczach.

– Nie jestem typem hazardzistki.

– A jakim pani jest typem?

– Jestem... hmm... może zdobywcy?

– Raczej konkwistadora.

– Och, nie zamierzam nikogo nawracać na wiarę ogniem i mieczem.

– A czym?

– Tylko sercem, drogi panie. Tylko tak da się coś osiągnąć – powiedziała, a on poczuł, że jego twarde wojskowe serce zadrżało.

Wypili wspólnie butelkę szampana, potem drugą i do końca wieczora mogliby jeszcze spróbować swoich sił z trzecią, ale Mikołajewski musiał wykonać plan. Zagrał *va banque* i w piętnaście minut stracił wszystko, co miał. Wraz z wygraną z poprzedniego dnia w sumie sześć tysięcy dolarów. Ale nie ta strata była najgorsza.

Pieniądze nie miały dla niego większego znaczenia. Był na tyle inteligentnym człowiekiem, że liczył się z porażką. Bardziej jednak przeżył tę, która nastąpiła w jego hotelowym łóżku. Po nocy spędzonej w towarzystwie panny Marleny zdało mu się, że bliski jest poważnego zaangażowania. Ale czar prysł rano.

- Przegrałeś dużo pieniędzy – powiedziała, przytulając się do niego.
- No cóż, teraz będę musiał palnąć sobie w łeb – rzucił żartem.

Nie wyczuła w tym stwierdzeniu sarkazmu.

- Wiesz, mogłabym ci pomóc.
- Ty? A w jakiż to sposób?
- Znam wielu ludzi, którzy dużo mogą.
- Czyli? – Spojrzał na nią zaniepokojony.
- Takich, co to mają pieniądze.
- Czyli że jak?
- Pokryją twój dług.
- Zaraz, chwileczka. A co w zamian?
- Ach, nic wielkiego. Coś, co możesz bardzo korzystnie sprzedać. Chodzi o pewne informacje...

Za kawiarnianym oknem rozciągał się piękny widok na park z jeziorem pośrodku, a nieco dalej widać było majestatyczną, gotycką wieżę krzyżackiego zamku.

Spojrząwszy w jej niebieskie oczy, położył na stole gazetę.

- Niestety, wiesz jak bardzo bym chciał, ale nie mogę zostać.
- Feliksie, bardzo tęskniłam. – Chwyliła go za rękę swoją drobną dłonią.
- Uniósł ją do ust i pocałował.
- Moja droga, spotkamy się już niebawem.
- Rozumiem, ale powiem szczerze, że liczyłam...
- Że zostanę nieco dłużej? – Domyślił się.
- No wiesz, w końcu mam prawo liczyć na coś więcej niż tylko zdawkowa rozmowa. Wiesz, tam w Zoppot, poczułam, że coś się zrodziło. Że między nami...
- Też to poczułem, kochana. Ale pieniądze nie mają uczuć. Pieniądze może i nie śmierdzą, ale brudzą nas i sprowadzają na złe ścieżki.

- To moja wina. Nie powinnam była mówić o tej pożyczce.
- Nie tłumacz się. Tak miało być. Pomogłaś mi wyjść z opresji. Teraz muszę to odpracować.
- A my? Co będzie z nami?
- Będzie dobrze. – Spojrzał na zegarek. – Na mnie już pora.

[1] PeWuKa – Powszechna Wystawa Krajowa, trwająca od 16 maja do 30 września 1929 roku w Poznaniu. Zorganizowano ją z okazji dziesięciolecia odzyskania niepodległości, aby zaprezentować dorobek odrodzonego państwa.

[2] Zapiski przodownika Bielawskiego, policjanta z miejscowości Wysoka, przypadkiem trafiły w moje ręce w 1998 roku. Oryginalny kajet policjanta przekazałem do Muzeum Okręgowego w Pile, zachowując jednak kserokopie tych notatek. Wykorzystałem je dwadzieścia lat później w opowiadaniu *Świnia, czerwona chusteczka i daktyloskopia*, zamieszczonym w tomie opowiadań *Stulecie kryminału*. Przodownik Bielawski trafił także do mojej powieści *Zaspiewaj mi kołysankę*.

[3] Juchcić (gwar.) – kraść.

[4] Douglas Fairbanks (1883-1939), właśc. Douglas Elton Thomas Ullman – amerykański aktor filmowy. Zasłynął głównie jako odtwórca ról nieustraszonych bohaterów w filmach przygodowych. Wcielał się w takie postaci, jak: Zorro, D'Artagnan, Robin Hood czy Don Juan.

[5] *Znak Zorro* (ang. *The Mark of Zorro*) – amerykański niemy film fabularny z 1920 roku z Douglasem Fairbanksem w roli głównej.

[6] *Rien ne va plus* (franc.) – koniec obstawiania.

[7] *Neuf rouge* (franc.) – dziewiątka czerwone.

[8] *Quatre noir* (franc.) – czwórka czarne.

## Rozdział II

„Kurier Poznański”, wydanie poranne

Sobota

20 lipca 1929 roku

Bandyci na policyjnym celowniku. Policyjna grupa pościgowa na tropie niebezpiecznych przestępców.

Niedługo będą się cieszyć wolnością bandyci, którzy z bronią w ręku dokonali napadu w centrum Poznania na dwóch żydowskich kupców z Łucka. Policja już wie, kogo szukać, i tylko kwestią czasu zostaje ich pochwycenie. Wszystko dzięki spostrzegawczości jednego z obrabowanych.

Do napadu doszło nad ranem w piątek, kiedy to obaj kupcy wracali dorożką z nocnego lokalu rozrywkowego przy ulicy Garbary Wielkie do hotelu Polonia na ulicy Grunwaldzkiej. Nie zdążyli jeszcze wyjechać z Garbar, podążając ku placowi Bernardyńskiemu, kiedy to ich dorożkę obkoczyło dwóch zamaskowanych chustami bandytów. Grożąc bronią, nakazali obu Żydom oddać wszelkie pieniądze i kosztowności, jakie mieli, a więc obrączki i cygarniczki oraz zegarki. Zabrawszy łup do kapelusza, uciekli, rozplywając się w nocnych ciemnościach. Obrabowani natomiast kazali się wieźć na policję do Prezydium przy ulicy Ratajczaka. Tam złożyli zeznania, opowiadając, co ich spotkało. Według tych zeznań stracili rzekomo około czterech tysięcy dolarów, w co raczej należy wątpić, bo kto by woził tyle pieniędzy przy sobie ciemną nocą? Naszym zdaniem raczej chodzi o podniesienie rangi popełnionego przestępstwa poprzez zawyżenie kwoty. Ale tę sprawę wyjaśni już policja.

Najważniejsze jednakowoż jest zeznanie dotyczące wyglądu jednego z bandytów. Obrabowany Żyd Libuber dostrzegł, że ów bandyta ma płaski

nos, co może być oznaką tego, że albo był niegdyś bokserem, albo często uczestniczył w bójkach na pięści. A to oznacza, że policja będzie miała już całkiem łatwe zadanie ze znalezieniem sprawcy, bo niezbyt wielu jest mieszkańców, ale i przyjezdnych, którzy mają płaskie nosy. Dlatego komisarz Antoni Fischer, znany doskonale naszym czytelnikom z rozwiązania wielu kryminalnych spraw szef policyjnej grupy pościgowej, jest dobrej myśli i zdradza nam, że bandyci nie mają najmniejszych szans, a ich schwytanie jest tylko kwestią czasu. Dlatego nasi mieszkańcy nie muszą się obawiać napadów, bo zagrożenie wkrótce zostanie zlikwidowane. Jednak przypomnieć musimy, mówi komisarz Fischer, że bez potrzeby porządni obywatele nie powinni kręcić się nocą po mieście. Tym bardziej w czasie Powszechnej Wystawy Krajowej, kiedy to do Poznania napływają ludzie z całej Polski, a wśród zdecydowanej większości tych uczciwych i zainteresowanych wystawą zawsze znajdzie się jakiś niegodziwiec chcący szybkiego dorobienia się, wykorzystujący ludzką lekkomyślność i brak rozeznania w obcym mieście, tak jak to było z dwoma kupcami Libuberelem i Dubeltowegibelem z Łucka, którzy stracili w jednej chwili sporo pieniędzy i jeszcze do tego wszystkiego najedli się strachu. A dodać należy, że pogłoski o tym, jakoby bogaczy rabował jakiś „Mściciel w Masce”, to kłamstwa, bo u nas żaden Zorro nie jest potrzebny, a aktor Douglas Fairbanks nie zapowiada przyjazdu na PeWuKę.

## Poznań

Godzina 11.30 przed południem

Zatrzymał się na skraju chodnika, by przepuścić Citroëna podążającego od placu Nowomiejskiego, który wielu poznaniaków nazywało w dalszym ciągu Rynkiem Królewskim, przez ulicę Ratajczaka ku skrzyżowaniu. Rozpędzone auto przejechało tuż przed nosem karego wałacha, który w ostatniej chwili zdołał zatrzymać toczącą się za nim lorę wypełnioną po brzegi skrzynkami z piwem. Policjant kierujący ruchem zadał w gwizdek i pomachał groźnie w stronę samochodu znikającego już po drugiej stronie skrzyżowania. Mógł sobie machać do woli i gwizdać jak najęty. I tak nic nie mógł wskórać, bo kierowca nawet na niego nie spojrzał.

Szofer nie miał jednak szczęścia. Stojący na chodniku komisarz Antoni Fischer, wydobywszy z kieszeni swojej mundurowej bluzy niewielki notesik i przypięty do niego gumką ołówek, szybko zapisał numery z tablicy rejestracyjnej.

– Z piratami drogowymi trzeba walczyć bezwzględnie! – powiedział sam do siebie. Tego, który mało nie spowodował kraksy, ukazę osobiście. Wezwie się go do biura i tam wlepi mu mandat, najmniej sto złotych, żeby zabolalo i żeby zapamiętał, ancymon jeden, myślał policjant, przechodząc przez brukowaną jezdnię.

Naprzeciwko Dyrekcji Policji, w której pracował od 1919 roku jako oficer śledczy, stał budynek starego teatru niemieckiego, nazywany Esplanadą, który swą nazwę zawdzięczał popularnej kawiarni. Ale kawiarnia nie była jedyną atrakcją mieszczącą się w tym gmachu. Wystarczyło przekroczyć próg masywnych drzwi i wejść schodami dwa piętra wyżej, by naraz znaleźć się w zupełnie innym świecie, do którego nie było wstępu dla ulicznego zgiełku, pokrzykiwań wozaków, ryku silników samochodowych, krzyku gazeciarzy i nawoływań handlarzy zachwalających przed sklepami swój towar. Tu niepodzielnie panowała absolutna cisza, którą od czasu do czasu wypełniały takty muzyki wykonywanej na żywo albo puszczonej z płyt gramofonowych, przeplatanej ludzkimi głosami o pięknej barwie i melodii z nienaganną dykcją. Bo tu, w kilku pomieszczeniach wyłożonych dywanami, ze ścianami przykrytymi grubymi zasłonami i przy szczelnie zamkniętych oknach, które miały wytłumić wszelkie hałasy napływające z zewnątrz, każdego dnia już od trzech lat tworzył się „Teatr wyobraźni”. To tu od kwietnia 1927 roku mieściła się siedziba poznańskiego radia. I dlatego komisarz ubrany był dziś w mundur, bo jego wizyta w radiu miała charakter oficjalny i prestiżowy, więc nie wypadało, żeby wyglądał jak pierwszy lepszy cywil.

Fischer bardzo lubił to miejsce i bardzo cenił sobie jego atmosferę, która – nie wiedzieć, w jaki sposób – wchodzących tu ludzi zmuszała do pochylenia głowy z szacunkiem i natychmiastowego przyciszenia rozmów do szeptu, który nie przeszkodziłby w żadnej mierze programowi emitowanemu na falach eteru przez wielki nadajnik, dumnie wznoszący się ku niebu przy ulicy Bukowskiej. Dzięki

niemu wprost do domów poznańskich i wielkopolskich niósł się wolny polski głos wraz z polską muzyką. Komisarz od dawna był zafascynowany radiotechniką i miał nawet w domu własny aparat odbiorczy. I to nie było jakieś, kryształkowe, ale porządne, lampowe, z wbudowanym głośnikiem, za który musiał zapłacić prawie 200 złotych. Każdego wieczora, gdy wracał z pracy, włączał radio i słuchał muzyki oraz wiadomości.

Od czasu, gdy naprzeciwko policji usadowiła się rozgłośnia radiowa, Fischer bywał tu często. W związku z tym, że był oficerem o dość poważnym dorobku zawodowym w postaci wsadzenia za kratki sporej rzeszy przestępców, kierownik programowy radia, Emil Zegadłowicz, którego Fischer znał osobiście z brydżowych czwartków w salonie pani Przeclawskiej, zaproponował mu, by ten wystąpił przed mikrofonem z serią odczytów dotyczących ogólnych zagadnień związanych z zapewnieniem bezpieczeństwa wśród ludności, a także sprawami prewencji i ochrony mienia przed złodziejstwem. Komisarz zgodził się, bo bardzo schlebiała mu ta propozycja. Zresztą Zegadłowicz powiedział mu, gdy wyraził wątpliwość, czy się nada, że ma bardzo dobry radiowy głos i do tego jeszcze nienaganną dykcję.

Fischer myślał o swoim głosie raczej jako o tubalnym i twardym, nawykłym do wydawania rozkazów. A co do dykcji, musiał mówić wyraźnie, żeby każda łachudra stojąca w szeregu dobrze go zrozumiała.

Poszedł więc do radia i zaczął swój pierwszy odczyt głosem drżącym z emocji i zdenerwowania. Gdy później wychodził z lektorni cały spocony, dopadł go Zegadłowicz, położył mu rękę na ramieniu, ścisnął je i rzucił żartobliwym tonem:

– Jakbyś pan powiedział, że nie jadłeś śniadania, tobym kazał posłać do rzeźnika po bułkę z kiełbasą.

– Kiedy ja jadłem.

– Niemożliwe, ludzie najedzeni tryskają energią, a u pana flaki z olejem. Więcej chleba jeść, panie komisarzu, więcej chleba. – Poklepał go jeszcze i pobiegł gdzieś szybko. Fischer wziął sobie rady radiowca do serca i następnym razem przed występem najadł się gotowanej kiełbasy w śniadalni Goślińskiego po drugiej stronie ulicy, a w zasadzie już na placu Wolności. I efekt był taki, że czytało mu



się już znacznie lepiej, a po wyjściu na korytarz Zegadłowicza nie było widać. Oznaczać to mogło tyle, że został zaakceptowany jako obwieściciel pogadankowy.

Dziś przyszedł z odczytem dotyczącym działalności humanitarnej radia. Tekst pogadanki napisał wczorajszego wieczora, a rano w swoim biurze przekazał sekretarce do przepisania na maszynie. Wolał czytać litery drukowane niż te pisane ręcznie, choć nie miało to żadnych przyczyn praktycznych. Pismo miał ładne, kształtne i bardzo kaligraficzne, jednak charakter odczytu, jako formy urzędowego bądź co bądź przekazu, sprawiał, że wolał, aby tekst był zapisany urzędowo, a nie kancelaryjnie.

Pchnął drzwi prowadzące na niewielki korytarzyk, który otwierał się na szerokie foyer. Na widok wchodzącej osoby z krzesła poderwał się natychmiast woźny Mrugała, który miał za zadanie pilnować, by byle kto do radia się nie pakował. No ale Fischer nie był byle kim. Przeciwnie, był postacią szanowaną, a do tego jeszcze byłym dowódcą Mrugały z czasów powstania wielkopolskiego.

– Dzień dobry i szacunek, panie kapitanie! – Woźny zaszalutował do daszka służbowej maciejówki, która podobnie jak zapinana pod szyją bluza, nawiązywała do wojskowego sznytu. Poważna instytucja musiała mieć strażnika w mundurze, który budził swoim wyglądem szacunek.

– Komisarzu, panie plutonowy – poprawił go Fischer, podając mu dłoń.

– Wojskowo skóra, drugo natura, panie kapitanie. Jak człowiek służył pod kapitanem, to już mu się tak ostanie.

– Pan Mrugała służył pod porucznikiem.

– Ino że to w powstaniu, a na wojnie z bolszewikami to już pana kapitanem zrobili.

– Pod sam koniec. Tak na odchodne był ten awans.

– Kapitan to kapitan i szlus! – podsumował strażnik. – A o czym pan będzie dziś godał?

– O tym, jak radio pomaga ludziom.

– Łe to szczerza prawda, panie kapitanie. Pomago tak, że dej Boże zdrowie. Jedna stara baba zez Chwaliszewa, co miała ciągiem

kłopoty z pierdzeniem, jak usłyszała bez to radyjo, że na przeczyszczenie najlepszy jest kwas z kapusty kiszzonej, to tyle tego kwasu wypła, że później dwa dni siedziała w wychodku. Ale tak ją przeczyściło, że pierdy precz odeszły. Tyle że mało mózgu nie wysrała. I to radio jej pomogło. Może pan o tym opowiedzieć.

– To chyba zbyt... – przez chwilę szukał najwłaściwszego słowa – niezbyt aromatyczna historia.

– Gówno fijołkami wonieć nie będzie – skwitował strażnik.

Fischer skinął mu głową i ruszył przed siebie. Obszerny hol sprawiał przytulne wrażenie. Ściany obito bordowymi tkaninami, podłogę wyłożono dywanową tkaniną, a miękkie klubowe fotele z połyskliwej skóry zapewniały wygodę i luksus oczekiwania na udział w programie.

Dwa fotele były zajęte. Na tym najbliższym siedziała modnie ubrana kobieta w połyskliwej, turkusowej sukience. Ramiona przykryła jedwabnym szalem z japońskimi malunkami. Jasne włosy, przycięte modnie na pazia, przykrywał lekki czerwony kapelusz z bardzo skromnym rondem, przyozdobiony małym bukiecikiem sztucznych kwiatów. Nie była już młoda. Mogła mieć około trzydziestu lat, jednak na palcu nie miała obrączki, co Fischer dostrzegł natychmiast, podchodząc do foteli. Kobieta nawet na niego nie spojrzała, za to ciekawskim spojrzeniem obrzucił go mężczyzna. Szczupły, dobiegający czterdziestki, nieco łysiejący na czubku głowy, niedostatki nadrabiał długimi włosami z tyłu. Typ artysty, pewnie grajek, ocenił go policjant.

– Dzień dobry państwu – rzucił Antoni urzędowym tonem, który powinien zniechęcić oboje do jakichkolwiek prób wejścia z nim w komitywę. Chciał przeczytać jeszcze kilka razy swoją pogadankę, żeby wypaść podczas przemowy jak najwiarygodniej, a pogaduszki odebrałyby mu tę szansę.

– Dzień dobry. Czyżby policja zainteresowała się naszymi skromnymi osobami? – zapytał długowłosey chudzielec.

Fischer spojrzał na niego.

– Panią z największą przyjemnością. Panem bynajmniej.

Kobieta obdarzyła go czarującym uśmiechem.

– Pan wybaczy mojemu... partnerowi. To najprawdziwszy łowca gaf. Ludzie łowią ryby, niektórzy okazje, a Marceli gdzie nie wejdzie, tam zaraz blamaż. Maria Zieleniewska jestem. – Wysunęła dłoń w kierunku policjanta. Składając pocałunek, od razu dostrzegł na niej dwa pierścionki ze złota, w tym jeden z brylantem, małym, ale na pewno brylantem.

– Komisarz Antoni Fischer, szef poznańskiej grupy pościgowej.

– A ten bęcwał to mój partner koncertowy Marceli Zdziebło.

– Marychna, dałabyś już spokój. Zdziebło jestem, do usług szanownego pana komisarza. – Wstawszy z fotela, skłonił się i podał rękę policjantowi.

– Państwo grają recital? – powiedział, żeby nie wyjść na gbura, choć już chciał zagłębić się w tekście i poćwiczyć odczyt, więc konwersowanie było mu nie w smak.

– Owszem, pół recitalu, a dokładnie jeden w dwóch połówkach – wyjaśnił Zdziebło. – Najpierw to Moniuszko. Marychna śpiewa swoim anielskim głosem, ja jej akompaniuję, a potem niech pan sobie wyobrazi wsłuchanych w jej anielski sopran wielbicieli sztuki, którzy właśnie zostali przeniesieni do świątyni muz, aż tu nagle szast-prast przerwa i obwieścicielka zapowiada jakiś nudny odczyt, a potem znów Marychna zaczyna śpiewać, tym razem Wieniawskiego. Któż to wymyślił, żeby jej cudowny występ rozdzielać jakimś parweniuszowskim głosem, rozprawiającym o korzyściach płynących z codziennego mycia rąk?

– Nie o myciu, ale o humanitarnej roli radia – poprawił go komisarz, uśmiechając się do Zieleniewskiej. – To ja przerwę pani recital swoim „parweniuszowskim głosem”.

Oczy jej się rozszerzyły, a potem wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Widzi pan, komisarzu, potwierdza się w całej rozciągłości to, co mówiłam o Marcelim. Druga gafa, jeszcze straszniejsza od tej pierwszej, w zaledwie dwie minuty. On jest szybszy od Kusocińskiego[9].

Zdziebło zrobił minę zawstydzonego dziecka, a Fischer już chciał to skomentować, jednak nie zdążył. Drzwi od studia otworzyły się i wyszła z niego obwieścicielka, Gabriela Krygier-Bernacka. Komisarz na jej widok natychmiast wstał z fotela. Znali się od

dawna, bo to ona najczęściej prowadziła program przed południem, a wtedy to właśnie Fischer przychodził ze swoimi odczytami.

– Panie komisarzu, miło pana widzieć znowu w naszych skromnych progach. A pani musi być zapewne naszą gwiazdą ze stolicy. Pani Zieleniewska, jeśli się nie mylę. – Serdeczny ton powitania policjanta zmienił się w suchy i oficjalny, gdy zwróciła się do kobiety. Słowo „stolica” zawierało w sobie nawet lekką nutę sarkazmu.

– Panna Zieleniewska – poprawiła ją śpiewaczka. – Ze stolicy, owszem, ale w Poznaniu mieszkamy już ponad trzy miesiące. A pani jest inspicjentką, jak rozumiem? – odgryzła się.

– U nas, w Poznaniu, wszyscy doskonale znają swoje role i nikt nie potrzebuje tu suflerów. Jestem obwieścicielką i pilnuję, żeby nikt się nie zgubił w eterze. Szczególnie jak kto niedoświadczony.

Uśmiechnęła się chłodno do śpiewaczki. Pojedynek wygrała poznanianka, ocenił zadowolony Fischer, w którym naraz obudziło się lokalne poczucie dumy i solidarności.

– Proszę wszystkich państwa do studia. Za dziesięć minut zaczynamy – mówiąc to, spojrzała na zegarek na piersi, dyndający na srebrnym łańcuszku jak medalion. – Wiązanka pieśni Moniuszki kwadrans, kolejny kwadrans dla pana komisarza, po czym znów kwadrans pieśni Wieniawskiego – zarządziła i zaraz ruszyła przodem.

Weszli do obszernej sali, której ściany wyłożone były ciężkimi draperiami. W narożniku radiowego studia stał fortepian, a obok, na statywie, umieszczono mikrofon. Fischer, znając dobrze panujące tu zwyczaje, usiadł na krześle tuż przy drzwiach. Obwieścicielka podprowadziła muzyków do fortepianu i poleciła im zająć miejsca.

– Proszę czekać na zapalenie się czerwonej lampki. – Wskazała na światło nad drzwiami. – Gdy się zapali, pan zaczyna grać – wytłumaczyła i wyszła ze studia do swojej lektorni, z której zapowiadała i prowadziła program. Komisarz spojrzął na swój zegarek i porównał jego czas z tym, jaki wskazywał zegar wiszący na ścianie studia. Do rozpoczęcia recitalu została jeszcze minuta.

## Okolice Schneidemühl

Godzina 11.35 przed południem

Przyszło mu do głowy, że pociąg wybija kołami monotony rytm, przypominający terkotanie karabinu maszynowego. Feliks Mikołajewski wzdrygnął się na to porównanie. Koła pociągu to siła wykorzystywana w słusznej sprawie, która łączy ludzi. A siłą cekaemu jest niesienie śmierci wokół siebie. Nie chciał, aby wróciły znów obrazy, jakie zapamiętał po przejściu tej śmiertelnej nawałnicy, którą wypluwała lufa karabinu. A skutki takiej serii widział niejednokrotnie i zawsze robiła na nim tak samo przygnębiające wrażenie. Oczywiście dopiero po bitwie, bo w jej trakcie życie tych, którzy parli na jego pozycje do przodu z karabinami i szablami w dłoniach, nie miało dla niego większego znaczenia. On wiedział tylko, że musi obronić pozycję, a karabin maszynowy jest mu najlepszym sojusznikiem. Dlatego spokojnie patrzył, jak jego maxim, obsługiwany przez sierżanta Siekierkę i taśmowego, którego nazwiska nie pamiętał, siał spustoszenie wśród nadciągających ku nim bolszewików w szpiczastych czapkach z czerwonymi gwiazdami. Dostrzegał ich twarze z wyrazem wściekłości, który po chwili zmieniał się w zdumienie, przerażenie i ból. Ale na litość nie było miejsca. Trzeba było kropić, ile wlezie, a potem dopiero można było pozwolić sobie na ludzkie odruchy, jak wtedy, gdy jego chłopcy, odparwszy atak, wyskoczyli z okopów z szaleństwem w oczach, aby dorzynać rannych bolszewików. Ci pierwsi, którzy padli najbliżej polskich pozycji, nie mieli najmniejszych szans. Zostali zakłuci bagnietami tak szybko, że nie zdążył nawet zareagować... A może czekał specjalnie, żeby jego ludzie wymierzili sprawiedliwość tym, którzy chcieli odebrać im życie i wolność? Później wiele razy się nad tym zastanawiał. Przecież w końcu wyszedł z okopu z gwizdkiem w zębach. Dał w niego, ile sił w płucach starczyło, a potem, gdy to nie pomogło, wypalił kilka razy w niebo ze swojego naganta. Podobnie postąpili pozostali oficerowie, ale u żadnego z nich nie dostrzegł jakiejś specjalnej determinacji. Zatrzymywali rzeź bez przekonania, tak jakby to, co się zdarzyło,

było nieuchronne jak przeznaczenie. Mieli moc wydawania rozkazów i ratowania życia, mieli w głowach wzorce wyniesione z domu i książek, które po dworach czytało się na głos wieczorami, o tych wszystkich Wołodyjowskich i Skrzetuskich, dla których honor był nadrzędną wartością. A gdy przyszło do rżnięcia rannych wrogów, zapominali o etosie rycerskim, który dawał im moralną przewagę nad bezimienną masą, podobną do tej zalewającej Dzikie Pola.

Chłopak mógł mieć najwyżej osiemnaście lat. Gdy pochylił się nad nim, ich spojrzenia się skrzyżowały. Patrzył jak wystraszony szczeniak. A on stał z szablą i pistoletem w dłoniach, z tym bitewnym szaleństwem w oczach. Jego ludzie zatrzymali się, gdy wypalił kilka razy w górę, i teraz stali z zakrwawionymi bagnetami, spoglądając na dowódcę ze zdumieniem, bo to, co robili przed chwilą, wydawało im się zupełnie naturalne. Przecież to była ich zwyczajna robota, jak ta na własnym gospodarstwie, do której wychodzili każdego dnia. Siali, orali, kosili, a gdy trzeba było, rżnęli tych, którzy im tę ziemię i odwieczny rytuał chcieli odebrać.

– Koniec zabijania. Brać żywcem! – zakomenderował.

– Po co nam tyle tego tałatajstwa? – odezwał się jakiś szeregowy.

– Nie dyskutować. Rannych dawać na podwodę i na tyły. Tych, co mogą iść, zapędzić do zbierania trupów. Wrzucać je tam, do tego leja. – Wskazał dziurę na przedpolu. – Niech przysypią ziemią, żeby nam się nie ześmierdli przed nosem, bo możemy tu jeszcze kilka dni posiedzieć. No co, chcecie w smrodzie walczyć? Dalej, do roboty!

Żołnierze wzięli się szybko do pracy. Okazało się, że wśród tych, którzy padli przed okopem, było sporo takich, których kule nawet nie drasnęły. W zagłębieniach szukali ratunku, nie mając zamiaru ginać za Sowietów i ich wojenne plany. Tak jak ten młodzieniec, który leżał cały czas u jego stóp, czekając na to, co się wydarzy.

– A ty co tak leżysz? Wstawaj!

– A nie usieczecie, panie?

– Słyszał żeś. Dość już zabijania. No dalej, ruszaj się!

Chłopak posłusznie się podniósł, otrzepując przy tym portki, tak jakby to mogło zmienić jego byle jaki wygląd. Zielona koszula była cała poplamiona, czarne spodnie za duże, a buty zdeptane

i dziurawe. Rozejrzał się w poszukiwaniu czapki. Leżała na ziemi tuż obok. Pochylił się i podniósł ją, ale nie założył na głowę.

– Jak cię zwa? – zapytał Mikołajewski.

– Nikołka.

– A skąd żeś jest, Nikołka?

– Z Sokółki – odpowiedział, tak jakby każdy musiał wiedzieć, gdzie ta jego Sokółka leży.

– Czyli gdzie?

– No jakże to gdzie? Między Grodnem a Białymstokiem? Na samym środku.

– Toś ty jest nasz, znaczy Polak. Co ty robisz w kacapskim wojsku? Pokręcił głową.

– Ja nie Polak. Ja prawosławny, znaczyt Biełorus.

– Jak Biełorus, to żeś nasz. Po coś do ich armii poszedł?

– Siłą wzięli. Chwycili na ulicy, kazali z trupów odzienie zakładać, znaczy się mundur i karabin dali, a komisarz powiadał, że każdy musi teraz iść na Warszawę, że niby rewolucja musi być zaniesiona na bagnietach. Ale ja nic nie niósł na bagnecie. Nawet ja raz nie wystrzelił. Bo ja nie żaden żołdat, ale pomocnik murarski.

– No jak ty żeś pomocnik murarski z Sokółki, to my ciebie w niewolę brać nie możemy.

– To niby co ze mną będzie? Puściecie mnie wolno?

– Jak my ciebie puścimy, to cię znów bolszewiki w żołdaty wezmą – odezwał się zza pleców dowódcy sierżant Siekierka.

– Mądrze gadacie. – Mikołajewski uśmiechnął się pod wąsem. – Weźcie no, sierżancie, zorganizujcie mu jaką porządną kurtkę, pas i furażerkę i ubierzcie jak człowieka.

– Tak jest. – Cekaemista zasalutował. – Coś się tam na wozach znajdzie, panie poruczniku. – Chodź, mały, ze mną. – Kiwnął na chłopaka, a ten zdumiony popatrzył na oficera, bo najwyraźniej nie mógł uwierzyć w to, co się z nim tu wyrabia. Jeszcze przed chwilą ci wąsacze w rogatych czapkach chcieli go zarznąć, a teraz kilku z nich patrzyło na niego z życzliwym błyskiem w oczach.

– Że ja niby do wojska pójde? – zdziwił się Nikołka.

– Pójdiesz, ale do Wojska Polskiego. A jak odbijemy tę twoją Sokółkę, to jako bohater do domu wrócisz. – A i buty mu, sierżancie,

znajdźcie porządne, żeby nie świecił tu gołymi paluchami jak ruska łachudra.

Nikołka służył pod jego rozkazami do samego końca wojny i rzeczywiście wrócił do domu opromieniony bohaterstwem, z Krzyżem Walecznych na piersi.

Mikołajewski uśmiechnął się do swoich wspomnień. Pewnie chłopak jest teraz już prawdziwym murarzem, bo przecież nie wypadało, żeby kawaler odznaczenia frontowego za odwagę podawał cegły jakiemuś dekownikowi.

Mimo dość późnej pory czuł się senny. Ale w pociągach tak zwykle bywa, że ten turkot kół o spojenia szyn potrafi uśpić każdego podróżnika. Miał wyjechać z Królewca wieczorem, ale osoba, z którą miał nawiązać kontakt, nie przyszła do hotelu na spotkanie. Oznaczało to, że pojawi się dopiero w terminie awaryjnym, a więc przed trzecią w nocy. Nie miał wyjścia, musiał poczekać. Był umówiony, że spotkają się na peronie tuż przed odjazdem pociągu. Tym razem się udało, młody, około dwudziestopięcioletni mężczyzna o wojskowym wyglądzie, podkreślanym jeszcze sprężystością ruchów, usiadł przy nim na chwilę na skraju ławki. Wydobył z kieszeni gazetę złożoną na czworo, położył na ławce, a po chwili wstał i odszedł. Mikołajewski, nie rozglądając się specjalnie, wziął ją do ręki i udał, że czyta z zainteresowaniem. Gdy rozległ się gwizdek kierownika pociągu, wstał i niedbałym ruchem włożył dziennik do kieszeni marynarki. To, co miał otrzymać od owego młodzieńca, znajdowało się wewnątrz gazety. Była to niepozorna, szara koperta.

Gdy tylko wszedł do przedziału, który jak się okazało, zajmował sam, włożył kopertę między inne papiery w walizce i odłożył ją na półkę. Zaraz po tym, jak pociąg ruszył, zasnął niemal natychmiast. I dopiero teraz dochodził do siebie, zorientowawszy się, że przespał niemal całą drogę. Sklął się trochę za tę senność, bo chciał zobaczyć, jak wygląda przejazd graniczny między Polską a Niemcami w okolicy Tczewa, ale niczego nie widział, pogrążony we śnie po dniu pełnym emocji. Za to teraz mógł się dokładnie przyjrzeć pierwszej dużej stacji po stronie niemieckiej. Pociąg zwolnił i powoli zaczął wjeżdżać na dworzec w Schneidemühl. Perony były zadaszone i porządnie



wysprzątane, a sam niewielki, piętrowy, pomalowany na sraczkowaty kolor budynek dworca sprawiał schludne wrażenie.

Konduktor chodzący od przedziału do przedziału zapowiedział pół godziny przerwy w podróży dla uzupełnienia wody i węgla w lokomotywie, więc Mikołajewski postanowił wyjść na zewnątrz, by rozprostować kości.

Po chwili stał już na peronie, rozglądając się ciekawie dookoła. Kilkoro podróżnych, którzy podobnie jak on wyszli z pociągu, od razu skierowało się ku drzwiom prowadzącym do dworcowej restauracji. Nie miał nic lepszego do roboty, więc postanowił iść za nimi. Pokonawszy kilkanaście kroków, zatrzymał się tuż przy wagonie pocztowym. Z sąsiadującego z nim przedziału wychodziło właśnie trzech pracowników Niemieckiej Poczty, a tuż za nimi, ostatni z grupy, polski kolejarz. Wszyscy czterej mężczyźni byli w doskonałych humorach. Widać musieli gołnąć sobie w czasie drogi kilka sznapsów.

Niemcy pożegnali się wylewnie z Polakiem, po czym poszli do głównych drzwi wagonu pocztowego, a jeden, zanim je otworzył, zdjął za pomocą niewielkiego nożyka plombę. Dopiero potem odkręcił skobel i otworzył drzwi kluczem. Pocztcowcy wskoczyli do środka, ale nie zamknęli zasuwanych drzwi, bo właśnie podjechał do nich wózek z workami listów i przesyłek na pace.

Polski kolejarz pomachał jeszcze swoim kompanom i wspiął się na schody najbliższego wagonu. Mikołajewski od razu zrozumiał mechanizm. Niemiecki wagon pocztowy na czas przejazdu przez „polski korytarz” był zamykany i plombowany, a załoga musiała wejść do służbowego przedziału w innym wagonie. Na wszelki wypadek towarzyszył im polski urzędnik kolejowy, żeby przypadkiem gdzieś po drodze nie odbierali przez okna kontrabandy. I teraz ten urzędnik, pewnie pracujący na co dzień w Poznaniu, podobnie jak on pojedzie do następnej stacji, czyli do Krzyża, a stamtąd polskim pociągiem wróci do siebie. Obserwacja była cenna, ale Mikołajewski nie miał jeszcze pojęcia, jak ją wykorzystać.

Poszedł do restauracji, kupił świeżą bułkę z kotлетem mielonym i kufel piwa. Podszedł do wysokiego stołu pod oknem, z którego widać było pociąg z wagonem pocztowym. Kotlet był bardzo smaczny,

a świeża, chrupiąca bułka tylko podkreślała jego wyrafinowany, majerankowo-czosnkowy smak. Gryząc powoli i delektując się każdym kęsem, przypatrywał się, jak mężczyzna w drelichowym fartuchu i czarnej kolejarskiej czapce podaje worki, które zaraz znikają w wagonowych czeluściach. Kilka paczek i mniejszych worków wyładowano i wózek odjechał. Mikołajewski popił ostatni kęs piwem i naraz przyszła mu do głowy myśl tak oczywista, że aż się zdziwił, że od razu na to nie wpadł...

Pociąg jeździł z Królewca do Berlina dwa razy w ciągu doby. Stanowił najszybsze, bo najkrótsze połączenie między dwoma kawałkami Niemiec, rozdzielonymi polskim pasem, przez który przejeżdżało się mniej więcej w dziewięćdziesiąt minut. Czytał jakiś czas temu, że umowa na tranzyt była niezwykle korzystna dla Polski, bo Niemcy sporo płacili za utrzymanie i eksploatację trasy. W zamian mieli zapewnione przejazdy na zasadzie eksterytorialności, to znaczy, że ich pociągi nie zatrzymywały się na polskich stacjach. Dlatego nie było w pociągu kontroli celnej i granicznej. Pasażer wsiadał w Niemczech i wysiadał w Niemczech, tak jakby nie jechał w ogóle przez teren obcego kraju. A niemieckiej załogi pocztowej pilnował polski kolejarz, żeby nie dać jej możliwości ulegania pokusom. Wiadomo było przecież, że polski rynek mógł przyjąć każdą ilość dobrych towarów przemysłowych, jak wiadra, garnki, siekiery, aż po łożyska kulkowe i części do maszyn, czyli wszystko to, co wytwarzały niemieckie huty. Wystarczyło więc tylko w odpowiednim miejscu wyrzucać kontrabandę i rozliczać się na którejś ze stacji już w Niemczech. Problem był tylko w tym, że polski kolejarz stał na straży naszych interesów narodowych i pilnował swoich niemieckich kolegów, popijając z nimi wódeczkę...

– A niech mnie diabli! – Mikołajewski aż zaśmiał się w głos, a dwie panny podążające pod rękę w kierunku pociągu odwróciły się i spojrzały na niego z lekkim dystansem, jak na taniego podrywacza. Ale jemu nie w głowie były niemieckie piękności. Zrozumiał bowiem, że pociągi podążające codziennym szlakiem przez Polskę drogą z Berlina do Królewca i z powrotem to niepowtarzalna okazja do zdobycia informacji...

Odczepiona od składu lokomotywa właśnie podjeżdżała do pierwszego wagonu, sapiąc radośnie i wypuszczając wielkie obłoki gorącej pary. Zderzaki zagrały fałszywie jak dzwony kościelne odlane przez niewprawnego ludwisarza, a kolejarz w czarnym uniformie wskoczył w wolną przestrzeń, by połączyć ze sobą łańcuchy i haki. Skład był gotowy do drogi. Oficer stał na peronie, patrząc uważnie na wagon pocztowy i śmiejąc się w duchu. Takiego napadu stulecia nie wymyśliliby nawet kowboje na Dzikim Zachodzie, pomyślał z dumą, po czym rzuciwszy niedopałek na tory, wskoczył na schody prowadzące do wagonu, którym podróżował.

Godzina 11.45 przed południem

*Gdybym ja była słońcem na niebie,  
Nie...e świeciłabym, jak tylko dla ciebie.  
Ani na wody, ani na lasy, ale po wszystkie czasy,  
Pod twym okienkiem i tylko dla ciebie... aaaaa!*

Fischer podniósł wzrok znad kartek z odczytem i zaczął uważnie wpatrywać się w śpiewaczkę. Nie dość że pięknie śpiewała, to jeszcze wyglądała wprost anielsko. Z taką kobietą to można by nie tylko śpiewać w duecie, ale i... Nie pomyślał już dalej, co można by było, bo przed oczami stanął mu obraz jego żony Ursuli, jedynej osoby, z którą chciał robić to wszystko, co można robić z ukochaną kobietą. Ale przecież za myśli nie można nikogo ukarać, przypomniał sobie starą rzymską maksymę. Myśli były niesforne, kobieta śpiewała jak słowik, akompaniator Zdziebło grał, delikatnie dotykając klawiszy, więc nic dziwnego, że przychodziły mu do głowy jakieś bezceństwa. Zganił się za nie, w myślach oczywiście, bo jako człowiek obeznany z radiem nawet nie odchrząknął ani nie wydał z siebie żadnego innego dźwięku, wiedząc doskonale, że wszystko to byłoby słychać po drugiej stronie, w radiodbiornikach słuchaczy, przeniesione magiczną siłą fal eteru. Otrzeźwiony nieco swoją słuszną reakcją spojrzął w trzymane na kolanach kartki. Najdelikatniej, jak potrafił, odłożył pierwszą, już przeczytaną, na niewielki stolik, ustawiony

obok fotela, na którym zasiadł w oczekiwaniu na swoją chwilę w przerwie recitalu, i wbił spojrzenie w kolejną stronę tekstu.

*Radiofonii przypadła, prócz wielu innych, jeszcze jedna rola w udziale, najszczytniejsza i najpiękniejsza, jaką radio w ogóle odegrać może, to jest działalność humanitarna. Obojętnie z jakiego punktu widzenia będziemy rozpatrywać powyższą działalność, dojdziemy do wniosku, że jest ona bardziej wszechstronna, aniżeli by się mogła na pierwszy rzut oka wydawać.*

*Zastanówmy się więc, w czym przejawia się właściwie to szczytne postannictwo radiofonii. Jeśli chodzi o stałą i systematyczną działalność humanitarną, to należy przede wszystkim zwrócić uwagę na szpitale i przytułki, i w ogóle takie instytucje, w których mniejsza lub większa liczba ludzi, odcięta od świata i życia, pędzić musi smutny i monotony żywot. Czy takim ludziom radio nie zastępuje naprawdę świata i czy naprawdę nie jest „światem”? Co tutaj mówić o programach. Kilka słów, troszeczkę muzyki i już kontakt ze światem nawiązany[10].*

Moment kompletnej ciszy po skończeniu pieśni, który pianista wykorzystał na odwrócenie kartek nutowych, sprawił, że komisarz oderwał się na chwilę od czytania i znów jego spojrzenie mimowolnie... a może wcale nie wbrew woli, powędrowało w kierunku pięknej śpiewaczki. Właśnie zaczynała kolejną z pieśni. Wciągnęła powietrze do płuc, odsłaniając dwa rzędy pięknych, równych zębów, a Zdziebło, który widać znał swoją partnerkę doskonale i potrafił świetnie odczytać jej intencje, zagrał kilka taktów wstępu, po czym zaczęła ona swoim krystalicznie czystym i jednocześnie mocnym głosem:

*U prząśniczki siedzą jak anioł dziewczeczki,  
Przędą sobie przędą jedwabne niteczki.  
Kręć się, kręć wrzeciono, wić się tobie wić,  
Ta pamięta lepiej, czyja dłuższa nić.*

Naraz Fischer złapał się na tym, że podśpiewuje sobie tę popularną piosnkę razem ze śpiewaczką. Nie, nie na głos. Nie zachowałby się tak nieprofesjonalnie. Śpiewał w myślach, wpatrując się w piękną twarz pieśniarki.

*Poszedł do Królewca młodzieniec z wiciną,  
Łzami się zalewał, żegnając z dziewczyną  
Kręć się, kręć wrzecziono...*

Pomyślał nagle, że gdyby tą dziewczyną była obdarzona anielskim głosem Maria Zieleniewska, też by w chwili rozstania płakał jak bóbr. Tyle że on do Królewca by nie chodził, ale co najwyżej mógłby pojechać pociągiem. Tak jak w wtedy, latem 1910 roku, kiedy wraz z ojcem, matką i siostrą Anną wybrali się na miesiąc do stolicy Prus Wschodnich w gości do stryja Alberta, osiadłego w tym pięknym mieście i prowadzącego tam całkiem dochodową praktykę adwokacką.

– A ty kim będziesz w przyszłości? – zapytał naraz Albert Fischer, czochrając bratanka po głowie. Antoni nie spodziewał się tak podchwytliwego pytania i nie miał w związku z tym żadnej przygotowanej wcześniej odpowiedzi. Nie wiedział, kim chce być. Najchętniej byłby nikim, czyli człowiekiem, który nie musi wcześniej wstawać i chodzić do jakiejś głupiej pracy. No ale przecież nie mógł odpowiedzieć stryjowi, że chciałby zostać rentierem. Tym bardziej że na bogatą rentę po ojcu raczej nie mógłby liczyć, gdyż jego papa był tylko skromnym właścicielem sklepu i kupcem zarazem. Starsza siostra spojrzała na niego, robiąc przy tym małą minę. Ona jedna zdawała sobie sprawę, że Antoni jest śmierzącym leniem, który ponad wszystko lubi leżeć w łóżku i czytać opowieści o Indianach Karola Maya. Dwa lata starsza Anna już od dawna wiedziała, co chce robić w życiu. Oznajmiła to rodzicom jakiś rok temu, a oni obiecali, że będą ją wspierać w tym postanowieniu. Dziewczyna zdecydowała, że pójdzie na studia. Już sam fakt, że chciała się uczyć na wyższej uczelni, był czymś niezwykłym. No może gdyby postanowiła studiować pedagogikę, byłoby to jeszcze zrozumiałe. Wszak coraz

więcej kobiet doskonale radziło sobie w roli wykładowców gimnazjalnych. Ale ona wybrała medycynę, by zostać lekarzem. Nie pielęgniarką, ale lekarzem ratującym życie ludzkie, specjalistą od zabiegów operacyjnych, czyli chirurgiem. Ojciec nawet podkpiwał, że lekarzem nie może być osoba, która mdleje na widok krwi, ale ona się zawzięła i doszło nawet do tego, że zaczęła pomagać w kuchni w przyrządzaniu mięs.

– Będę studiować prawo! – rzucił ponad rodzinnym stołem Antoni, sprawiając, że wszyscy siedzący przy nim zamilkli, wpatrzeni w chłopaka. Rodzice, bo po raz pierwszy usłyszeli tak dojrzałą deklarację od swojego syna, siostra Anna, bo myślała dotąd, że brat może co najwyżej zostać kowbojem, ciotka Gertruda, bo nie dosłyszała, w czym rzecz, a stryj, bo jego serce zabiło dumnie jak podczas słuchania pieśni Nibelungów Wagnera.

– Brawo, chłopcze! Nie myślałem, że masz takie wielkie ambicje – pochwalił go, klepiąc po plecach.

Antoni nie miał takich ambicji. Szybko przeanalizował pytanie stryja i doszedł do wniosku, że to będzie jedyna właściwa odpowiedź, która zadowoli wszystkich zgromadzonych przy stole, szczególnie tu, w domu adwokata. No i utnie wszelkie możliwe spekulacje, gdyby okazało się, że on nie ma pewności, co chce robić w życiu.

– Ale na prawo to najlepiej jest do Berlina. Tam lepsza uczelnia niż u nas, w Königsbergu – rzuciła ciotka, która zaraz wyobraziła sobie, że bratanek męża mógłby przyjechać tutaj i zamieszkać na czas studiów w jej domu. – Nieprawdaż, drogi Albercie? – Popatrzyła na stryja, szukając w jego oczach aprobaty.

– Zdecydowanie, moja droga! Wszak ja studiowałem w Berlinie i dzięki temu mam dziś bardzo bogatą klientelę.

Antoni rzeczywiście poszedł w ślady stryja i wyjechał do Berlina, ale nie skończył tam studiów. W 1917 roku został powołany do wojska i od tego momentu aż do dziś ani na chwilę nie zdjął munduru. Pruski zastąpił powstańczo, potem wdział polski, wojskowy, by w końcu zamienić go na granatowy policyjny. A prawo skończył już w niepodległej Polsce jako eksternista na nowo powstałym uniwersytecie w Poznaniu.

Skończył czytać swoją pogadankę o radiu i jego humanitaryzmie, wyraźnie zadowolony ze swojego dzieła. Pisał ów artykuł przez kilka ostatnich dni, nanosząc co chwila poprawki, zmieniając kolejność zdań i akapitów, by w końcu dojść do przekonania, że jest on już doskonałym tworem nadającym się do odczytania, ale również do opublikowania. Teksty o szczególnym znaczeniu redaktor Zegadłowicz zabierał od prelegentów i drukował w podległym sobie „Tygodniu Radjowym”. Odczyt, który miał być właśnie wygłoszony, wydawał się autorowi szczególnie pasujący do formuły gazetowej. Nawet nie potrzeba go było skracać, bo zawierał odpowiednią liczbę stron. Teraz musiał go tylko dobrze zaprezentować.

Spojrzał na zegarek. Pieśń *Znaszli ten kraj?* musiała być już ostatnią w pierwszej części recitalu. Komisarz powoli zaczął składać kartki, sprawdzając skrupulatnie numerację stron. Pieśniarka śpiewała ostatnią zwrotkę, wkładając w piękną melodię oraz poetyckie strofy całą swoją duszę. Przynajmniej sprawiała takie wrażenie.

Naraz Fischer usłyszał coś niepokojącego. Jakiś dziwny hałas, który dobiegł zza drzwi. W radiu przecież nikt tak nie hałasował. To było jak... huk wystrzału.

Drzwi do studia otworzyły się i do środka wpadł po wojskowemu ostrzyżony mężczyzna, ubrany na czarno. Nie rozglądając się, ruszył w kierunku pieśniarki. Zatrzymał się przed kobietą, która przestała śpiewać i zamarła w bezruchu.

– To ty? – zawołała Maria.

– Giń i bądź przeklęta! – wrzasnął mężczyzna.

I wtedy ciszę radiowego studia rozdarł przerażający krzyk, a zaraz potem trzymany w dłoni mężczyzny rewolwer wypalił wprost w kształtną pierś śpiewaczki.

– Boże, ratuj! – zawołał przerażony Zdziebło, który odskoczył od fortepianu, by uciec jak najdalej, ale druga kula wbiła mu się w plecy i rzuciła go na bordową, ścienną draperię.

– Już po tobie, bolszewicka kanalio! – Morderca z uśmiechem na ustach odwrócił się i już chciał wybiec z sali, gdy na jego drodze stanęła pięść policjanta, która z siłą byczego kopniaka trafiła go

w skroń, powalając na miejscu. Na wszelki wypadek Fischer uderzył powtórnie, tym razem w nos. Poczuł, jak pod wpływem uderzenia pęka kość. Uderzony zaskowyczał jak ranne zwierzę i przewrócił się na plecy, wypuszczając z dłoni broń.

– Mój Boże, co tu się stało?! – krzyknęła przerażona obwieścicielka, która wybiegła z lektorni, zwabiona niecodziennymi hałasami. Dostrzegłszy zakrwawione ciała, chwyciła się za skronie i zamarła w bezruchu.

– Nic się nie stało. Niech pani puści muzykę z płyt – polecił Fischer.

– Co? Jak to?

– Muzykę proszę puścić. Radio musi grać!

– A odczyt? Co z pańskim odczytem?

– Odczytu dziś nie będzie.

Wypchnął ją ze studia i sam podszedł do mikrofonu. Odchrząknął, a potem zbliżywszy się do urządzenia na właściwą odległość, zapowiedział poważnym i zdecydowanym głosem:

– Tu mówi komisarz Antoni Fischer. W związku z zaistniałymi, niezwykłymi okolicznościami, o których w tej chwili jeszcze za wcześnie by mówić, odczytu na temat humanitarnej roli radia, którego miałem właśnie w obecnej chwili dokonać, nie będzie. Zostanie wygłoszony w innym, sprzyjającym terminie. W tej chwili posłuchają państwo muzyki płytowej. Życzę dobrego odbioru.

Obwieścicielka Gabriela Krygier-Bernacka doskonale wyczuła moment, w którym policjant zakończył swoją niecodzienną zapowiedź. Od razu spuściła patefonowe ramię z igłą na początek płyty Stanisławy Nowickiej wspieranej przez tercet Bodo, Sempoliński i Roland. Otwierał ją niezwykle popularny ostatnio szlagier *Tango milonga*.

Godzina 4.20 po południu

Przodownik Anastazy Olkiewicz pociągnął solidny łyk piwa, a potem otarł pianę z wąsów wierzchem dłoni.



– A Francuzi to piwa ponoć wcale nie piją, ino wino – stwierdził z pewną dozą niedowierzania. Nie mieściło mu się to w głowie. Przecież piwo pili wszyscy, których znał, zwłaszcza tu, w Poznaniu. Owszem, w centralnej Polsce, gdzieś w okolicach Zamościa, gdzie przyszło mu służyć w policji zaraz po zakończeniu wojny bolszewickiej, chłopci piwa pili zdecydowanie mniej i zadowalali się wódką, zwykłą mętą siwuchą, której żaden szanujący się poznaniak do ust by nie wziął. Ale tam to wszystko piło się z biedy. Wódką po karczmach handlowali Żydzi, którzy te przybytki trzymali w arendzie od miejscowego dziedzica, zazwyczaj właściciela gorzelni. On sprzedawał karczmarzom paskudną, tanią gorzałę, taką, żeby od chłopca wyciągnąć każdy grosz. A wiadomo, że chłop wypić musi, bo jak nie wypije, to robić potem nie może.

Ta prawda była akurat dobrze znana Anastazemu, który też musiał się napić, żeby robić. Ale w jego wypadku picie piwa w żaden sposób nie kolidowało z robotą...

– Bo Francuzi nie wiedzą, co dobre. Nie znają się na smakach, tak jak my – poparł kolegę starszy wywiadowca Seweryn Gil, który w odróżnieniu od Olkiewicza był policjantem cywilnym, więc jako taki miał za zadanie wtapiać się w tłum i nie rzucać się w oczy. Dlatego chodził ubrany jak niezbyt elegancki, zredukowany urzędnik, w ciemnej znoszonej marynarce, która miała pewną bardzo pożądaną w jego pracy cechę. Była dwustronna, z jednej szara, a po przewinięciu kraciasta. Gil mógł więc błyskawicznie zmienić swój zewnętrzny wygląd. Na głowie zaś nosił niemodny od jakichś dwudziestu lat i dość mocno zdefasonowany kapelusz typu homburg. Dzięki temu mógł wykonywać swoją policyjną robotę niepostrzeżenie, bo na takiego szuszwola nikt nie zwracał szczególnej uwagi. Olkiewicz za to do pracy chodził w mundurze, a tylko od czasu do czasu, tak jak dzisiaj, zakładał cywilne ubranie na specjalne okazje.

Gdy rano przyszedł na dyżur, Gil czekał już na niego w pokoju, w którym pełnili służbę dyżurni podoficerowie z grupy pościgowej. To oni wysyłani byli natychmiast do miejsca, w którym odkryto popełnienie jakiegoś poważnego przestępstwa kryminalnego. A że

tych najpoważniejszych nie było zbyt wiele, najczęściej ich służba polegała na siedzeniu w pokoju i graniu w karty w oczekiwaniu na to, co się wydarzy. Z takim przekonaniem do pracy przyszedł też dziś Anastazy Olkiewicz. Był pewien, że nie czeka go nic nadzwyczajnego. A tymczasem widok Gila, który siedział przy jego biurku i czytał gazetę, sprawił, że jego policyjna dusza aż podskoczyła z radości. Wyczuła bowiem, że nie będzie dziś dusić się, zamknięta w czterech ścianach.

Gil, dostrzegłszy Olkiewicza wchodzącego do pokoju, uśmiechnął się zadowolony i swoim zwyczajem podkręcił starannie wypomadowanego wąsa. Ten stary policjant służbę zaczynał jeszcze za czasów Żelaznego Kanclerza Ottona von Bismarcka, więc powinien już dawno odejść na zasłużoną emeryturę. Powinien, ale nie odchodził, bo po pierwsze nie miał na odpoczywanie w domu najmniejszej ochoty, a po wtóre był w służbie niezwykle przydatny. Przez jego ręce bowiem przeszła i wyuczyła się roboty większość wywiadowców, którzy zaczynali swoją karierę w policji. Młodzi praktykanci zazwyczaj podlegali właśnie jemu, a on obserwował ich pierwsze kroki i decydował, czy dany delikwent nadaje się do tej niezwykle trudnej służby. Przede wszystkim chodziło o to, czy ktoś taki potrafi odpowiednio wpasować się w otoczenie, poczynając od ubioru poprzez sposób mówienia, a na zwyczajach kończąc. Nie można było przecież dać do śledzenia bolszewickich jacejek, działających wśród robotników, człowieka wystawiającego się jak student. Stara zasada wywiadu policyjnego mówiła, że wywiadowca musi być taki sam jak ci, których śledzi, żeby mógł stać się niewidocznym. Dlatego Gil ze swoim wyglądem podstarzałego urzędnika pasował wszędzie, bo i do robotniczej birsztuby, w której pijali prócz robotników także fabryczni urzędnicy, i do piwiarni urzędniczej, w której taki jegomość nie był niczym nadzwyczajnym. Dlatego na widok Olkiewicza machnął ręką i wskazał na jego czystą i odprasowaną kurtkę mundurową, która nieco już opinała mu się na coraz bardziej okrągłym brzuchu.

– A te uniformy to se powieś w szafie. Na miasto idziemy.

– Kiedy lompę cywilną mam w chacie – stwierdził Olkiewicz, bezradnie rozkładając ręce. – Jakbym wcześniej wiedział...

– W naszej robocie nie znasz, człowiecze, dnia ani godziny. Idźże mi szybko do magazynu i wyfasuj jakieś pory albo cały ancug. Zresztą, już ty tam dobrze wiesz, co powinienes wciągnąć na grzbiet, żeby wyglądać jak nikt. Albo nawet lepiej będzie jak alfons, żebyś się wpasował w podrzędny przybytek.

– O, wypraszam se alfonsa. Ja jako porządny rzymski katolik mogę co najwyżej przebrać się za klienta burdelu, a nie jakiegoś odstręczaciela – stwierdził z godnością Anastazy.

– A ubierz się nawet za dziada proszalnego, byle szybko, bo mnie interesy na mieście czekają, a nasz dostojny kierownik, komisarz Fischer, nakazał, żebym właśnie ciebie zabrał ze sobą, nie wiedzieć czemu.

– Ma ufność, że jak pójde na wywiad, to wszystko się uda! Znamy się od dawna, to i wie dobrze, że robotę zrobić potrafię – stwierdził chętnie Olkiewicz. Z Fischerem łączyły go mocne więzi, które splotły ich losy podczas wielkiej wojny, kiedy to w 1917 roku na froncie w Belgii świeżo upieczony podporucznik rezerwy Anthon Fischer objął z uzupełnienia dowództwo kompanii, w której służył Anastazy. Później obaj trafili do tworzącej się w Poznaniu powstańczej armii, by w końcu wspólnie wyruszyć na front wojny bolszewickiej. Po zwycięstwie Olkiewiczowi jako doświadczonemu podoficerowi zaproponowano, tak jak wielu weteranom, pracę w tworzącej się Policji Państwowej. Nic oprócz strzelania nie potrafił, bo zawodu żadnego nie zdążył się przed wojną wyuczyć, więc z ochotą przystał na tę propozycję. Skierowano go na niewielki posterunek na Zamojszczyźnie.

Nie mógł narzekać. Pracę miał spokojną, siedzącą i w cieple, od czasu do czasu tylko przerywaną jakimiś interwencjami, bo niewiele w tym jego rewirze się działo. Ale Anastazy Olkiewicz nie zamierzał na stałe osiąść w centralnej Polsce. Tęsknił za domem i gdy nadarzyła się okazja po tym, jak wyróżnił się w pewnym śledztwie, prowadzonym przez dobrze zapowiadającego się śledczego, Zygmunta Maciejewskiego, natychmiast poprosił o przeniesienie do Poznania. Dostał zgodę, ale nie dlatego, że ktoś chciał mu ułatwić życie, ale dlatego, że nie znalazł się nikt, kto by mu chciał je utrudnić. A w Poznaniu okazało się, że jego dawny dowódca Fischer

jest teraz policyjną fiszą. Co więcej, w jego grupie pościgowej służył przodownik Władysław Okoń, który był najbliższym frontowym przyjacielem Olkiewicza, więc Anastazy nie miał wyjścia, musiał zrobić wszystko, aby dostać się pod skrzydła swojego dawnego przełożonego. Co też się stało, bo komisarz bardzo sobie cenił te dawne frontowe więzi, które spajały ludzi na zawsze.

W policyjnym magazynie zawsze było sporo ubrań do wyboru. Można tu było przydziać się od stóp do głów – i na bal, i do roboty przy węglu. Pomieszczenie był wypełnione rzeczami, które pochodziły z kradzieży albo które ktoś zgubił, a potem ich nie szukał. Składowano to wszystko na wszelki wypadek, a co jakiś czas organizowano wyprzedaże, z których dochód zasilał fundusz wdów i sierot policyjnych. Ale gdy była potrzeba, policjanci mogli wybierać i przebierać w ubraniach w celach służbowych, tak jak dzisiaj. Olkiewicz szybko znalazł sobie nieco kusą marynarkę w pepitkę, spodnie w prążki i do tego kanarkową kamizelkę. Na nogi wsunął nieco zdeptane trzewiki w kolorze czarnym, bo wiadomo, że takie są dobre do wszystkiego, na głowę zaś wyszukał również czarny, staromodny melonik, żeby choć w ten sposób dopasować się do poważnego wyglądu swojego starszego kolegi. Ale w sumie kiepsko mu to wyszło, bo bardziej przypominał prestidigitatora niż nobliwego urzędnika.

– Czasem dobrze posłuchać starego – stwierdził na jego widok zadowolony Gil.

– Że niby jak? – Olkiewicz nie zrozumiał, w czym rzecz.

– Łe, bo starszy to znaczy więcej już przeżył i doświadczył. I jak powiadam, że alfons by się mi przydał pod bokiem, to wiem, co gadam.

– Jaki alfons? – Anastazy nawet przez chwilę nie pomyślał, żeby ubrać się w krzykliwy sposób, taki jaki lubią opiekunowie dziwek. On zwyczajnie chciał popróbować na sobie elegancji, na którą nie pozwalała mu żona. No i wyszło, jak wyszło. Ale żeby zaraz alfons?

– Chodź już, bo mi w gardle zaschło. – Gil poderwał się z krzesła i wsparłszy się na lasce, podreptał szybko przed siebie. Olkiewicz ruszył za nim, żegnany ukradkowymi spojrzeciami i niosącym się między stołami chichotem młodszych wywiadowców, którzy nie mieli

tyle szczęścia, by móc pójść dziś z Gilem. Bo zadanie, które postawił przed swoimi ludźmi Fischer, wymagało sporego doświadczenia. Ci młodzi mogli sobie chodzić po mieście i szukać gościa z przetrąconym nosem. Ale znaleźć tego właściwego był w stanie tylko Gil z pomocą Olkiewicza.

– To niby dokąd idziemy? – zapytał Anastazy, gdy wychodzili z budynku Dyrekcji Policji, który poznaniacy z przyzwyczajenia wyniesionego jeszcze z pruskich czasów nazywali Prezydium.

– A co my chamy jesteśmy, żeby na piechotę chodzić? Pojedziemy z fasonem tramwajem. A potem prosto do jednej mordowni na Jeżycach, niedaleko fabryki czekolady.

– Łe, ja tam za czekoladą to niespecjalnie – stwierdził przodownik, za którym na ulicy zdążyło się już obejrzeć kilka osób.

– Toteż nikt ci czekolady nie będzie podawał. Po bożemu wypijemy se piwko i porozglądamy się w oczekiwaniu na Merkurego.

– Że co?

– Że jest bimba[11] – stwierdził starszy wywiadowca, gdy doszli do przystanku na Fredry. Wsiedli do zielonego tramwaju i zajęli dwa pojedyncze miejsca naprzeciwko siebie.

– Merkury, czyli posłaniec bogów – wyjaśniał dalej Gil, który w gimnazjum liznął nieco kultury antycznej. Olkiewicz niczego nie liznął, bo edukację zakończył na sześciu klasach powszechniaka. Wiedza olimpijska nie była mu jak dotąd do niczego potrzebna.

– Jakich bogów? Przecie Bóg jest tylko jeden. – Spojrzał uważnie na wywiadowcę, bo mu przez myśl przeszło, że być może staremu zaczyna się coś we łbie mieszać.

– Jeden, a w trzech osobach. Rozumiesz? Nie rozumiesz, bo nikt tego nie rozumie. Jeden Bóg, obok Duch Święty i jeszcze ich syn? O co tu chodzi? To przecie nic innego jak relikw pogaństwa. Bo jak tym, którzy wierzyli w wielu bogów, powiedzieć, że teraz tych wszystkich ma zastąpić jeden? Trzeba było go chociaż trochę porozdzielać na drobne i dać mu cały tabun świętych do pomocy. I w taki oto sposób stary żydowski Bóg, ten okrutnik, co to mordował ludzi jak karabin maszynowy, a może i szybciej, zrzucając ogniste bomby na Sodomę i Gomorę albo organizując potop, widać znudzony swoją morderczą pracą, postanowił rozłożyć

odpowiedzialność za swoje barbarzyństwa i zaczął się mnożyć na osoby. Ale najważniejszy niby jest ten naczelny, tak jak Zeus, czuwa nad tymi mniej ważnymi bogami, od wojny, plonów, deszczu czy czego sobie tam jeszcze zażyczysz. A Merkury, który opiekował się kupcami i złodziejami, został zastąpiony jakimś zasrańcem, Homobonem z Cremony.

– Kim? Homo... że niby co?

– Taki gość, który wstawił się tym, że podczas mszy stał zawsze z rozprostowanymi ramionami, jakby czekał na ukrzyżowanie.

– I co, ukrzyżowali go?

– Nie. Ale zmarł w kościele.

– Szczęściarz.

– Czemu? – Tym razem Gil się zdziwił.

– Bo z kościoła miał już blisko do Boga.

– No niby tak. Tylko do którego?

Na to pytanie Anastazy nie umiał znaleźć odpowiedzi. Na szczęście tramwaj, którym jechali przez miasto, zatrzymał się na przystanku przy Rynku Jeżyckim. Gil wstał z drewnianej ławki i ostrożnie wyszedł z wozu, trzymając się metalowej poręczy. Jego młodszy kolega podążył za nim.

Bar Pod Kogutem mieścił się w suterenie kamienicy przy ulicy Kościelnej, niemal naprzeciwko kościoła pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusa, wybudowanego z czerwonej cegły w stylu neoromańskim. Ale żaden z policjantów nawet nie spojrział w kościelną stronę ulicy. Nie zajmowała ich specjalnie ani religia, ani architektura. Obaj za to byli świetnymi specjalistami od gatunków piw. Tu, na szyldzie z wymalowanym nieco wyblakłym już kogutem, informowano, że sprzedaje się piwo Huggera. To oznaczało, że na pewno było świeże. Codziennie bowiem spod browaru przy Półwiejskiej wyruszała ponad setka wozów dostawczych, rozwożących pełne beczki po całym mieście. O tej porze wczorajsze piwo musiało być już wypite, więc właściciel na pewno lał do kufla to z porannej dostawy.

Wewnątrz śmierdziało kiepskim tytoniem, kwaśną kapustą i ludzkim potem. Amatorzy piwa i chleba ze smalcem zajmowali kilka drewnianych solidnych stołów, do których z dwóch stron

dostawiono ławy. Tajniacy stanęli na środku sklepionego pomieszczenia, starając się rozejrzeć za wolnym miejscem. Nie musieli jednak specjalnie się wysilać. Gruby i spocony właściciel knajpy, Edwin Talarek, na widok znajomej postaci wywiadowcy Gila natychmiast wyszedł zza szynkwasu i podbiegł do nowych gości.

– Jak miło widzieć szanownego pana...

– Radcę – rzucił Gil, ściągając z głowy kapelusz.

Talarek znał Gila od dawna i wiedział doskonale, czym ten się zajmuje. Dlatego wolał poczekać, aż on sam mu powie, jak akurat dzisiaj się do niego zwracać.

– Jak najbardziej, panie radco, jak najbardziej, niech pan spocznie. – Wskazał stolik najbliższej baru, przy którym siedziało dwóch ponurych wásaczy o niezbyt sympatycznych minach. – A wy oba ciągnijcie mi stąd! – rzucił Talarek i dwaj ponuracy od razu zrobili miejsce nowo przybyłym. Szynkarz szybko starł mokre plamy z blatu, zabrał kilka pustych kufli i odstawił je na bufet, za którym stała jego żona Klara. Kobieta natychmiast włożyła je do balii z mydlinami, żeby trochę odmokły.

– Piwo i sznytki ze smalcem obłożone siekanym kotлетem? – zapytał gospodarz na wszelki wypadek, ale wiedział, że Gil nie pogardzi jego specjałem. Zawsze tu jadł i pił, tyle że z płaceniem było gorzej. Policja nie płaciła. Ale co było zrobić. Nikt nie śmiałby żądać zapłaty od policjanta, bo mogłoby się to skończyć zamknięciem knajpy.

– Dawaj pan, panie Talarek, dwa duże huggerki i dwie sznytki na początek

– I coś jeszcze?

– Co jeszcze, to się zobaczy później. Ino najpierw chodź no pan tutaj. – Gil skinął na karczmarza, by nieco się pochylił. Ten w mig zrozumiał, że ma do czynienia z dyskretną sprawą.

– I co jeszcze będzie, panie radco szanowny?

– Będzie tak, że podeślij mi tu pan jak najszybciej Szymkowiaka.

– Szymkowiaka? – zdziwił się Talarek, tak jakby pierwszy raz w życiu usłyszał to nazwisko. – Kiedy ja nie wiem...

– To lepiej będzie, jak się pan dowiesz, bo póki nie przyjdzie do nas Szymkowiak Romuald vel Sprężyna, to my nie mamy innego wyjścia,

jak siedzieć i czekać. A czasu to my mamy tyle, że i tydzień możemy se tu biesiadować. Co nie, panie Anastazy?

Olkiewicz natychmiast kiwnął głową, choć wcale nie uśmiechała mu się perspektywa spędzenia tygodnia w podłej mordowni. Za to jej właściciel Talarek w mig zrozumiał, że sprawa jest gardłowa i lepiej wykopać Szymkowiaka spod ziemi, niż żywić i poić tych dwóch wyposzczonych gości.

## Godzina 8.35 wieczorem

Słońce powoli spływało na dachy wysokich, cztero- i pięciopiętrowych kamienic, dumnie wystawiających swoje ozdobione secesyjnymi balkonami brzuchy ku przejeżdżającym pod nimi dorożkom, automobilom i zielonym tramwajom. Mało kto jednak spośród jadących albo przechodzących ulicą marszałka Ferdinanda Focha zadzierał głowę, by podziwiać kunszt mistrzów sztukaterii, którzy przystroili szczyty budynków wymyślnymi ornamentami i reliefami, albo kowalskich wirtuozów, zdobiących balkonowe poręcze metalowymi pnączami, przypominającymi do złudzenia żywe gałęzie, upstrzone drobnymi listkami. Nie było na co patrzeć, jeśli się miało te widoki na co dzień i dawno się do nich przywykło. Tutaj od zawsze stapało się mocno po ziemi i mało która głowa błędziła w chmurach, podziwiając słoneczne zachody i wschody na modłę romantycznych dusz, zachwycających się wszystkim, co nierzeczywiste i tajemnicze. W tym mieście ceniło się przede wszystkim sumienną pracę, która jak wiadomo, jest podwaliną wszelkiego dobrobytu.

Poznaniacy przejeżdżali więc i przechodzili wzdłuż pięknych kamienic po równo ułożonych chodnikach i solidnie wybrukowanych jezdniach, myśląc o tym, jak prowadzone przez siebie interesy przekształcić w brzęczące złotówki, a ochy i achy nad przepychem poznańskiej secesji, przeflancowanej wprost z nieodległej berlińskiej metropolii, woleli zostawić przyjezdnym. Tych rozpoznawano natychmiast po sposobie wystawiania się i akcencie. Nie było to trudne, bo w Poznaniu gadało się twardo, z charakterystycznym



kocim miauczeniem przeciągającym końcowe głoski, gdy się chciało o coś zapytać. Ci natomiast, którzy mówili z miękkim zaśpiewem, zupełnie inaczej akcentując zadania, to byli goście, co do których nikt już się nie bawił w dokładne określenie, skąd pochodzą. Najczęściej mówiono o nich „galicyjoki z Kongresówki”. To rozróżnienie swoich od obcych było konieczne, by móc zaoferować odpowiednią cenę za niezbędne po przyjeździe usługi i niepotrzebnie nie tracić czasu i atłasu, narzucając się miejscowym. Wiadomo było, że poznaniak tragarzowi walizki nie odda do dźwigania, choćby i nawet ważyła ze dwadzieścia kilo, i sam, uginając się pod ciężarem, zanieś ją do domu, bo i na dorożkę tracić grosza nie będzie. W końcu wszyscy mówili, że poznaniacy to naród oszczędny, który każdy grosz potrafi przeliczyć dwa razy, nim go wyda w obce ręce.

Co innego goście. Ci zazwyczaj mieli gest. Przyjeżdżali z kuframi i walizkami, do których trzeba było wynajmować wielkie wózki bagażowe, przewożące paki z peronów na podjazd przed Dworcem Głównym albo Zachodnim. Potem dryndziarze pakowali je na swoje dorożki, czekając, aż państwo przyjezdni, orzeźwiwszy się w dworcowej restauracji limonadą lub piwem, zasiądą na wygodnych kanapach i każą się wieźć do któregoś z wykwintnych hoteli. Byli też i tacy, którzy do Poznania przyjeżdżali z jedną lub dwoma małymi walizkami. Ci nie musieli wynajmować wózków bagażowych. Prawdziwe wojny toczyły o nich bandy młodocianych tragarzy, poszukując najlepszych gości, na których można było zarobić poważne pieniądze.

Gdy więc wieczorny warszawski pośpieszny, nazywany przez miejscowych sznelcugiem, wtoczył się na pierwszy peron, buchając kłębami białej pary, kilkunastu wyrostków rozbiegło się na prawo i lewo, wypadając z różnych dworcowych zakamarków. Wcześniej żadnego z nich nie było widać, bo kryli się przed kolejarzami, którzy jak to w Poznaniu, sumiennie sprawdzali bilety peronowe czekającym na przyjezdnych. Młodzi tragarze nie przychodzili tu jednak tracić forsy na peronówki, ale by ją zarabiać. W chwili gdy pociąg wjeżdżał na stację, nie musieli już obawiać się kontroli. W tłumie stawali się nieuchwytni, bo natychmiast łapali za bagaże,

oferując wysiadającym najlepszą, a w istocie znacznie zawyżoną cenę.

Ten, który upatrzył sobie postawnego mężczyznę o wyglądzie atlety z przetrąconym nosem, musiał się jednak obejść smakiem. Postawił na złego konia i przegrał, bo koń okazał się nieużyty i do tego jeszcze mrukliwy, jakby był z Poznania.

– Puszczaj, bo dam w łeb – warknął, chwytając chłopaka za ucho, gdy ten próbował wyszarpnąć mu sakwojaż z dłoni.

– Ja bagażowy. Zaniesę do dryndy!

– Puszczaj, gnojku, bo palnę w ucho! – Przyjezdny szarpnął mocno i wyrwał z dziecięcej dłoni swoją tekturową, ale oklejoną cienką skórą walizkę.

– Łe tej, sam się puszczaj! – krzyknął młodzieniec i odskoczył jak oparzony. – Pierdolony elegant z Mosiny!

– Paszoł won, bo stójkowego zawołam!

– Stójkowy to w Moskwie, ruski ćwoku! – Chłopak odwrócił się na pięcie i zniknął w tłumie.

Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem, bo jak długo żył, a miał już prawie trzydzieści lat, nikt jeszcze nie nazwał go Ruskiem. Ćwokiem i owszem, zdarzało się, a nawet jeszcze gorzej. Z tym, że autorzy inwektyw najczęściej bardzo szybko żalowali swoich nieopatrznie rzuconych słów. Odchodzili jak niepyszni z rozbitymi nosami albo ich wynosili. Ale kogo jak kogo, dzieciaka by nie skrzywdził, choćby nawet takiego, co go wyzwiał od ćwoków. Ruszył w kierunku, w którym podążała ciżba ludzka, wiedziony przekonaniem, że strumień ów poprowadzić go musi ku wyjściu do miasta. Po chwili znalazł się na obszernym placu przed dworcem. Przystanął, by ocenić architektoniczny rozmach budynku, lecz musiał przyznać, że ten nie zrobił na nim wielkiego wrażenia. Solidny gmach z czerwonej cegły, ale bez światowego blichtru i przepychu, ocenił i postawił walizkę na chodniku z betonowych płyt. Wrażenie za to zrobił na nim tramwaj, który podjechał na przystanek. Nigdy dotąd bowiem nie widział takich zielonych wagoników. To była pierwsza osobliwość tego miasta, którą dostrzegł i zanotował w pamięci kierownik wydziału śledczego Komendy Powiatowej Policji w Lublinie, podkomisarz Zygmunt Maciejewski.

– Szanowny pan winszuje sobie dorożkę? – zapytał wąsacz odziany w staromodny surdut i w kraciastym kaszkiecie na głowie.

– A do hotelu Polonia to będzie daleko? – zapytał Maciejewski, spoglądając na przysadzistą sylwetkę jakiejś wieży po drugiej stronie torów kolejowych.

– To jest, panie szanowny, Poznań, znaczy duże miasto. Tu wszędzie jest daleko – wyjaśnił dorożkarz. – A to jest wieża Górnioślaska – dodał, uchwyciwszy spojrzenie podkomisarza. – Jeszcze Szkiebry ją postawili za czasów Wilusia. Ale wiara gada, że się ją wyburzy, bo wygląda jak gówno na stole.

– A ile by kosztowało, znaczy przejazd do hotelu, a nie burzenie wieży? – zapytał Zyga, przeliczając w myślach swój niezbyt okazały budżet delegacyjny.

– Za dziesiątaka się pojedzie, jak dla szanownego pana. Ino że płatne z góry.

Maciejewski pomyślał, że dziesięć złotych to fortuna, bo w Lublinie za złotówkę mógł przejechać pół miasta i z powrotem. No ale tu był Poznań, miasto targowe, więc pewnie też i ceny inne. Widać ludzie ze świata tu przyjeżdżają, z pieniędzmi się nie liczą, to i dorożkarze rozpuszczeni jak dziadowski bicz. Jakby taki jeden z drugim przyjechał do Lublina, toby dopiero zaczął pieniądź cenić. Bo tam się pracowało uczciwie i nikt nie śmiał golić na łyso podróżnych. No ale cóż, w obcym mieście nie wypadało mu robić porządków. Musiał się pogodzić z panującymi tu obyczajami i uważać, by zbyt szybko nie rozplynęła mu się gotówka, której potrzebował na zwiedzanie i poznawanie różnych osobliwości, które to miasto miało mu wkrótce zaoferować.

Ale podkomisarz przyjechał do Poznania wcale nie po to, żeby zaspokoić tylko i wyłącznie własną ciekawość. Owszem, bardzo był ciekaw tego wszystkiego, co wystawiano na tej wielkiej i już bardzo słynnej Powszechnej Wystawie Krajowej, ale gdyby miał na tę wyprawę wydawać własne pieniądze, zastanowiłby się bardzo mocno, czy jechać. Okazało się jednak, że wcale nie musi podejmować tak trudnej decyzji. Podjął ją za niego jego przełożony, nadkomisarz Albin Sobociński.

Miesiąc temu, gdy wieść o PeWuCe zdążyła już obieć cały kraj, a z warszawskich central urzędów państwowych popłynęły zachęty na prowincję, żeby pracownikom w miarę możliwości ułatwiać wyjazdy na wystawę, a nawet delegować co lepszych w nagrodę za dobrą służbę, przełożony wezwał go do siebie. Maciejewski był przekonany, że dostanie ochrzan za opieszałość albo jakie niedbalstwo w aktach, na które natrafił dowódca. Bo przecież z innego powodu nie wzywałby go do siebie na dziewiątą rano, zaraz po porannej odprawie. Gdy dowiedział się, w czym rzecz, w pierwszej chwili pomyślał, że się przesłyszał. Dotąd nigdy w życiu nie był w żadnej delegacji służbowej. A tu nie dość że miał być delegowany, to jeszcze na drugi koniec Polski i w dodatku w nagrodę.

– Pan jesteś nieżonaty i bez poważnych zobowiązań, więc co to dla pana taki wyjazd. Kopsniesz się pan do tego Poznania, ze trzy dni tam posiedzisz, odpoczniesz, a co zobaczysz, to twoje, znaczy się pańskie, panie podkomisarzu szanowny – objaśnił dokładnie swoją propozycję Sobociński. Maciejewski, dość mocno zdziwiony, uniósł brwi. Tak naprawdę ucieszyła go propozycja przełożonego, choć nie miał zamiaru tego w żaden sposób okazywać. Wręcz przeciwnie, zaczął marudzić.

– Pociągami to cały dzień zejdzie pewnie – rzucił tonem naburmuszonego nastolatka.

– Ale pan jeszcze młody jest, panie Zygmuncie. Co to dla pana taki przejazd przez pół Polski. Ale za to co pan tam zobaczy na miejscu? Wszystko, co się da zobaczyć, co najlepsze w Polsce, na wyciągnięcie ręki. Czytałem w gazecie, że wystawa palce lizać. Sam bym pojechał, ale pan rozumiesz, obowiązki służbowe nie pozwalają. W końcu jak człowiek na stanowisku, to więcej ma do przypilnowania, niż kto dopiero stojący na progu kariery. No po co tyle gadać. Jedź pan!

Zyga już był myślami w wygodnym wagonie drugiej klasy, ale nie zamierzał tanio sprzedać skóry.

– Bilety drogie, a i jedzenie na drogę trzeba zakupić, no a hotel? Przecież na dworcu człowiek się nie wyśpi...

– Nic się pan nie kłopotz o koszt! Pokryjemy, znaczy urząd pokryje podróż w tę i nazad, a do tego jeszcze noclegi w dobrym hotelu. Wszystko się załatwi. Zaraz zatelegrafujemy do kolegów

z Poznania, żeby jaki porządny znaleźli dla naszego przedstawiciela. Co ja mówię? Jaki dobry? Najlepszy, panie Zygmuncie, najlepszy hotel w mieście.

Nie miał wyjścia, musiał ustąpić. Tym bardziej że ten najlepszy hotel też był nie lada atrakcją. W końcu tam, w tym Poznaniu, skoro to takie światowe miasto targowe, musieli mieć w hotelach luksusy. Kto wie, może i nawet pokój będzie z własną łazienką. A w niej wanna. O tak, codzienna kąpiel w wannie to było to, o czym marzył od zawsze. Na co dzień mył się przecież w misce z zimną wodą, a do łaźni miejskiej chodził raz na tydzień, w sobotę. No chyba że mu coś wypadło i praca nie pozwalała. Akurat w poprzednią sobotę pracował do późna i łaźnia przeszła mu koło nosa.

– Ten Poznań to nie koniec świata. – Pokiwał w końcu głową z udaną rezygnacją.

– Zabawisz się pan jak nigdy! – ucieszył się nadkomisarz Sobociński. – Wspomnisz pan moje słowa, panie Zygmuncie. Wspomnisz pan moje słowa!

Dorożka przemierzyła długą, wyłożoną porządnym brukiem aleję, ciągnącą się pomiędzy rzędami torów, które schodziły coraz niżej, by w końcu z jednej i drugiej strony drogi zniknąć pod kolejowym wiaduktem. Po chwili byli już na dużym skrzyżowaniu, które wypełniał uliczny zgiełk, pełen jęczących silników samochodowych, stukotu podkutych kopyt, turkotu stalowych obręczy kół, przekleństw wozaków i klaksonów automobilistów. Na samym środku krzyżówki stał policjant. Nie, to nie policjant, przekonał się po chwili zdumiony Maciejewski. To policjantka, i to całkiem ładna, w białej czapce, z białymi mankietami na rękawach i z biało-czerwoną pałką w dłoni, sprawnie niczym maszyna kierowała ruchem. Lubelski policjant spoglądał na nią jak zaczarowany. Widział już, owszem, nie raz, jak policjanci kierowali ruchem. U niego, w Lublinie, też trzeba było rozładowywać zatory, w szczególności w targowe dni. Ale żeby kobieta potrafiła tak sprawnie sobie radzić z tą ludzko-końską hałastrą, to przechodziło jego policyjne pojęcie. Jak opowie o tym po powrocie do domu, nikt mu nie uwierzy.

Myśli o tym niecodziennym zjawisku pochłonięty go tak dalece, że nawet nie zauważył, jak dotarł na miejsce. Dorożka zatrzymała się przed ogromnym portykiem, ozdobionym czterema kolumnami z jońskimi głowicami. Zyga wyskoczył na chodnik, a woźnica podał mu jego tekturową walizkę, udającą tę z autentycznej skóry.

– Niech się szanownemu panu dobrze odpoczywa. – Dorożkarz uchylił kaszkietu, a potem strzelił z bata i chabeta ruszyła żwawo przed siebie.

– A żeby cię nagła jasna cholera trafiła! – mruknął pod nosem, spoglądając za odjeżdżającym powozem. „Tu wszędzie jest daleko”, powiedział mu dorożkarz, zanim Zyga zdecydował się wynająć podwózkę. Cóż miał począć? Skoro to daleko, nie mógł przecież łązić pieszo w pierwszy dzień po przyjeździe i zdzierać zelówek, skoro nic innego nie będzie robić przez najbliższe dwa dni. Kazał się więc zawieźć do hotelu i ledwie wsiadł, a dorożka już przystanęła. Jazda nie zajęła nawet pięciu minut. Niestety za kurs zapłacił z góry tyle, ile chciał ten dorożkarski cwaniak, czyli całą dychę. Niezłe się zaczynał pobyt w Poznaniu. Już na samym początku dał się nabrać...

Wtem gdzieś w pobliżu rozległ się potężny zgrzyt, a potem huk. Maciejewski odwrócił się za siebie. Dorożka, którą przyjechał przed chwilą, leżała na boku. Tuż przy niej, wbita w połamane koło wozu stała szara ciężarówka Forda. Woźnica z batem w dłoni właśnie podnosił się z brukowanej jezdni, a jego kobyła stała nadal w zaprzęgu, tak jakby absolutnie nic się nie stało.

Trzeba uważać z przekleństwami, doszedł do wniosku Maciejewski i z walizką w dłoni ruszył do hotelowego przedsionka. Nikt mu nie otworzył drzwi. Widać tu, w Poznaniu, nie znali instytucji hotelowego odźwiernego. W Lublinie było to nie do pomyślenia.

Godzina 11.30 w nocy

– A to niby to co to jest? – Krystek Kaźmierczak wskazał na dziwną białą szafę.

– Wygląda jak junkers – stwierdził jego starszy brat Leon. Mimo że miał już dwadzieścia osiem lat, jak dotąd nie zdążył się jeszcze ustatkować i ożenić. Wolał prowadzić lekkie życie kawalera, który nie myśli o dniu jutrzejszym i może cały czas dobrze się bawić, nie martwiąc się o nikogo.

– Tylko po co junkers w kuchni? Junkersy się instaluje w ubikacji.

– No proszę, jaki znawca – zadrwił Leon, żeby odsunąć od siebie niewygodną odpowiedź na pytanie o dziwne urządzenie.

– To jest lodówka – stwierdził pewnie ktoś za ich plecami. Bracia odwrócili się jak na komendę. W drzwiach stał najstarszy z rodzeństwa, Walek. Uśmiechnięty spoglądał z politowaniem na dwóch młodzieńców. – Jest po to, żeby trzymać w niej takie produkty, co się łatwo psują.

– To każdy głupi wie, do czego jest lodówka. – Leon wzruszył ramionami. W każdej szanującej się restauracji była lodówka. Było to specjalne pomieszczenie w piwnicy, do której zimą zwoziło się lód wycinany wprost z rzeki. Składowano go w grubych blokach, ułożonych wzdłuż ścian. Dzięki temu przez całe lato w takiej lodówce panowały niemal arktyczne mrozy a na półkach układano w specjalnych blaszanych pudłach produkty, które zachowywały w zimnie świeżość przez kilka tygodni, takie jak raki, morskie ryby czy nawet grzyby. Chłodzono tam również beczki z piwem i butelki wódki bezpośrednio przed podaniem na stół. Ale te lodówki były wielkie jak pieczary, a tu taka mała szafka? Wielkością ledwie dorównująca połowie bieliźnianej szafonierki. Nie, zdecydowanie Walek musiał ich robić w konia, pomyślał Leon i by przykryć niepewność, parsknął w końcu śmiechem.

– Myślisz, że nas nabierzesz? Co to, to nie. Nic z tego. Jakby lodówka była taka mała, to niby gdzie lód miałby się zmieścić?

– No właśnie! – poparł go młodszy Krystek. – Tu nawet jednej bryłki lodu nie włożysz. – O, patrzcie się, ile tu miejsca. Nic nie wejdzie, ino może co najwyżej się zmieścić kilka flaszek... – mówiąc to, pociągnął za srebrną rączkę i drzwi tajemniczego przedmiotu stanęły otworem. Wszyscy trzej spojrzeli do ciemnej czeluści, która naraz rozjarzyła się światłem elektrycznym.

– Łe jery! – zawołał Leon na widok zawartości. W środku, na metalowej ażurowej półeczce, leżało w równym rzędzie kilkanaście butelek oszronionej wódki. – A gdzie lód?

– Lód jest w elektryczności – stwierdził Walek, który nie miał pojęcia, w jaki sposób powstaje zimno w tej niewielkiej szafce, ale jako człowiek dobrze znający życie natknął się już na podobną w mieszkaniu pewnego generała. Z dumą pokazała mu ten cud techniki kucharka Ewelina, u której był z wizytą na Łazarzu, gdy państwa nie było w domu. Wtedy specjalnie dla niego mroziło się tam kilka butelek piwa, podobnie jak tutaj wódki. Przełknął ślinę na wspomnienie nieprawdopodobnie przyjemnego chłodu, jaki wtedy wlewał mu się do gardła pomiędzy jednym a drugim pocałunkiem słodkich i gorących ust Eweliny. Żeby sprawdzić, czy równie przyjemne jest picie zmrożonej wódki, sięgnął więc do otwartej lodówki i jak gdyby nigdy nic chwycił oszronioną flaszkę.

– No, Krystek, poszukaj gdzie kieliszków. Spróbujemy, co też wielmożny pan pija do kolacji. O, a tu jeszcze kawior jest w puszcze. Się zaraz spróbuje. Poszukaj jeszcze wihajstra[12] do otwierania puszek.

Chłopak natychmiast zaczął otwierać kuchenne szafki, sprawdzając ich zawartość. Kieliszków jednak nigdzie nie znalazł. Za to były jakieś szklanki z niezwykle cienkiego szkła. Wydobył pięć i postawił na stoliku. Otwieracz znalazł bez trudu w jednej z szuflad.

– Trzeba by zawołać Tolka i Zenusia – powiedział, wskazując szkło.

– Słusznie – zgodził się z nim najstarszy brat. – Leć no migiem do nich i zawołaj, żeby tu przyszli na degustancję.

– Na co? – Krystek nie zrozumiał. Zresztą Leon też, bo z żadną degustancją dotąd nie mieli do czynienia.

– Na degustancję – powtórzył wolno i wyraźnie Walek, jakby to mogło cokolwiek tłumaczyć i rozwiać wszelkie wątpliwości. Ale niczego nie rozwiało. Zresztą do niedawna sam nie wiedział, co to jest ta degustancja. Wytłumaczyła mu to dopiero kucharka Ewelina.

– Jak ty wkładasz coś do gęby na spróbe, znaczy się, że próbujesz, jak do smaku, to smakujesz. Możesz próbować i smakować, a jak co



nie smakuje, to wyplujesz i tyle, bo byle gówna jeść nie będziesz. A państwo jak po raz pierwszy coś biorą do gęby, to degunstuja.

– Czyli że jak?

– A tak, że nawet jak im co nie podchodzi, to i tak zeżrą. Gębę wykrzywią i zeżrą, bo oni za nic na podłogę paskudztwa nie wyplują. Taki kawior na ten przykład weź...

– Jaki kawior?

– No te jajka od ryby.

– Jajka od ryby? – Spojrzał na nią z niedowierzaniem, jakby właśnie postradala zmysły. Ale jej poważna mina upewniła go, że dziewczyna mówi najprawdziwszą prawdę

– No jajka od ryby żrą i jeszcze cmokają, że niby takie dobre.

– Łe, bo się zaraz porzygam. Jak można jajka od ryby żreć?

– Wszystko można, jak się chce. Żrą ten kawior łyżkami, gęby im się wykrzywiają, ale żrą, bo to cholerstwo drogie jak diabli. Za jedną taką małą puszczkę jak dwa pudełka od zapalek to trzeba zapłacić jak za dziesięć kilo suchej krakowskiej.

– Nie może być!

– Może, może. Wiem, co gadam, bo kawior przywozi im chłopak od tego Olszewskiego, co ma skład kolonialny na placu Sapieżyńskim, i wiem, ile mu płacą, bo to mnie zostawiają bejmy za te frykasy, cobym ja jemu płaciła.

– Krakowska jest najlepsza na świecie.

– He, he, każdy to wie, że nie może się równać z jajkami od ryby. A państwo nie wiedzą i się męczą podczas degustacji. Dlatego muszą ten kawior zapijać. Damy zapijają szampanem, a panowie gorzołą.

– Wiadomo, że jak kto ma niesmak w gębie, to najlepiej zapić czym ostrym. Gorzoła w tym najlepsza.

– A po mnie to też masz niesmak, że tak to piwo żłopiesz?

– Ja to bym całe piwo świata oddał za twoje usta – stwierdził Walek, wsuwając Ewelinie rękę pod spódnicę. – Zaraz sprawdzimy, jak cała smakujesz! – Przyciągnął ją ku sobie, a ona opadła mu na kolana.

– Hi, hi, hi! Ino żeby to nie była degustacja!

Krystek przeszedł po grubym, prążkowanym chodniku przez długi korytarz i zatrzymał się przy szeroko otwartych drzwiach, prowadzących do gabinetu. Ostrożnie, jakby onieśmielony majestatem pomieszczenia zastawionego po sam sufit regałami na książki, wszedł do środka. Na wprost stało solidne dębowe biurko, którego blat wyłożony był zielonym sukniem. Za nim dostrzegł dwie zgarbione postacie siedzące na podłodze.

– Daj no teraz śrubociąg[13].

– Który?

– Ten śrubociąg! No i jeszcze ten szpilorek.

– A, ten... Proszę bardzo.

– Wsadź go wew tę dziurkę – polecił Tolek, wskazując otwór na klucz. Zenuś szybko wepchnął weń długi stalowy szpikulec. – Dobrześ go naostrzył?

– Spokojna głowa, ostry jak igła.

– No to trzymaj go prosto i za nic żebyś nie wypuścić.

– I co dalej zrobimy?

– Ty trzymasz, a ja przywalę w koniec młotkiem. Tylko że musisz mocno trzymać. Dasz radę?

Zenuś Brodziak wzruszył ramionami. Może nie był tak dobrze zbudowany jak jego rówieśnik i najbliższy przyjaciel, Krystek Kaźmierczak, ale miał krzepę w rękach. A do tego jeszcze smykałkę do różnych technicznych kwestii. To dlatego Tolek powierzył mu opiekę nad wszystkimi narzędziami i wytrychami, żeby w tym przenośnym warsztacie, który mieścił się w ślusarskiej skrzynce, nie zabrakło nigdy niczego i żeby, jak mówił, każdy dynks i ajzol[14] był sprawny, i zawsze gotowy do roboty. Zenuś rolę narzędziowego wziął sobie bardzo do serca i codziennie polerował i szlifował to, co było stępione lub ubrudzone. Dlatego narzędzia Tolka świeciły się jak na sklepowej witrynie.

– Co mam nie dać rady. Ja se poradzę, ale nie wiem, czy szpilorek se poradzi. Może być, że po tym uderzeniu to się moje ostrze stępi.

– I o to właśnie się rozchodzi. Ma wejść tak głęboko, jak się da, i rozwalić cały ten mechanizm od środka.

– I co dalej?

– Dalej będzie po zamku.

– Znaczy się, że będzie popsuty.

– No niby tak, ale nam ten zamek już do niczego nie będzie potrzebny.

– Jak to?

– Ano tak, że teraz będzie już do niczego niezdatny i da się go odsunąć zwykłym wytrychem – wyjaśniał z cierpliwością godną nauczyciela zawodu Tolek Grubiński. Od lat zajmował się otwieraniem najróżniejszych zamków, także tych w kasach pancernych, więc i ten mechanizm nie stanowił dla niego jakiegoś specjalnego wyzwania. Wiedział doskonale, jak poradzić sobie z tą wiedeńską skrzynką.

– Jak wam idzie? – odezwał się zza ich pleców Krystek.

– Dopiero się rozgrzewamy.

– No przecie my już dobrą godzinę wew tej chałupie siedzimy – zdziwił się młodzieniec.

– A co ty se myślisz, że zrobić kasę ogniotrwałą, to jak zjeść sznekę z glancem[15]? – zaśmiał się Tolek. – To jest, chłopie, poważna robota zegarmistrzowska. Tu nie może być gadania o pośpiechu. Co nie, Zenuś? – powiedziawszy to, klepnął rudzielca w ramię.

– No właśnie! – potwierdził chłopak, któremu też się nieco dłużyło w tej robocie, ale był na tyle mądry, żeby nie wyrażać na ten temat swoich opinii. Wiedział, że jeśli chce się nauczyć zawodu, musi robić dokładnie to, co każe majster.

– To chodźcie na chwilę ze mną, bo Walek was woła na degustancję.

– Na co? – zainteresował się Tolek.

– Nie wiem, ale znaleźli my taką szafonierkę lodową, co wygląda jak junkers, a wew środku flaszki gorzały zamrożone i jeszcze jakieś konserwy, chyba z rybą, i on powiada, że trzeba by wypić.

Tolek spojrział na kasę, która za chwilę mogła stanąć otworem, bo do trzech zamków już dopasował odpowiednie wytrychy i teraz zostało mu rozbicie tego najtrudniejszego, scyzorykowego. W zasadzie więc był już prawie po robocie.

– No dobra, idziemy spróbować, coście tam znaleźli, a potem wracamy do roboty.

Grubiński podniósł się z podłogi. Zenuś pozbierał jeszcze szybko rozrzucone narzędzia i zaraz ruszył za swoim szefem. W kuchni, przy dużym stole do przyrządzania jedzenia, siedzieli już dwaj najstarsi Kaźmierczakowie, wpatrzeni w niewielką puszczkę. Obok stały szklanki napełnione zimną wódką. Trzy były pełne, ale do dwóch nalano tyle, co kot napłakał. Walek dbał o to, by najmłodszy brat i jego kolega Zenuś się nie rozpili, i rzadko pozwalał im próbować coś mocniejszego od piwa.

– Co to jest? – zapytał Tolek, wskazując na puszkę. – To chyba nie są sardynki?

– W żadnym wypadku – potwierdził Walek. – To są rybie jajka, znaczy się kawior, czyli degustancja.

– Ja już to kiedyś próbowałem – stwierdził Tolek. – Śmierdzi rybą, ale bez smaku. Możecie se jeść, ile dusza zapragnie. – Jak byłem na wojnie w twierdzy w Boyen koło Lötzen na Mazurach, to w magazynach były puszek z tym kawiolem całe skrzynki. Bo po bitwie pod Tannenberg, tam gdzie Ruscy dostali po dupie od naszych, w zajętych taborach generała Samsonowa było tyle wszelkiego dobra, że trzeba było coś z tym szybko zrobić. Zamknęli to wszystko u nas w magazynach twierdzy, żeby się w byle jakie łapy nie dostało. No i tak też było, bo byle łachudra nie miała do tego dostępu. A nasi podoficerowie aprowizacyjni brali, co chcieli. Tak że my jedli kawior i popijali ruskim szampanem. No, dalej, nie stójcie tak jak dupy wołowe, próbujcie!

Walek jako najstarszy chwycił łyżeczkę i nabrał na czubek nieco czarnych kulek. Włożył je do ust, przez chwilę sprawdzał tylko smak językiem, by w końcu zacząć gryźć. Skrzywił się i chwycił szklankę wódki, by popić.

– A niech to cholera weźmie. Dajcie spokój z rybimi jajami!

Pozostali również spróbowali. U Leona i Krystka kawior wywołał podobną, mało entuzjastyczną reakcję. Natomiast Zenuś zjadł najpierw trochę, a potem, mlaskając, spojrzał na pozostałych.

– Nie jecie więcej?

Walek machnął ręką. – Kto by tam takie rybie gluty chciał futrować[16]. Chleba ze smalcem bym zjadł.

– To mogę dojeść?

– Jak się nie pochorujesz, to niech ci idzie na zdrowie – zachęcił go Leon. Krystek również pokiwał głową. No więc Zenuś, syn rybaka, od dziecka przyzwyczajony do rybnych smaków, wziął się rażno za pałaszowanie. Już po chwili puszka była pusta.

– No i jak? – zapytał Tolek.

– Jak ryba, tyle że jeszcze niezbyt wyrosnięta. Da się zjeść. A teraz to można popić.

Chwycił szklanekę i już chciał wypić za pomyślność ich skoku, gdy naraz usłyszeli pukanie. Ktoś najwyraźniej chciał się dostać do mieszkania, które właśnie obrabiali. Wszyscy zamarli w bezruchu, wpatrzeni w korytarz wiodący do drzwi. Pukanie, a właściwie już łomotanie, przybrało na sile. Tolek Grubiński spojrzał na swoich ludzi, przyłożył wskazujący palec do ust i najciszej, jak potrafił, ruszył w kierunku wejścia.

## Godzina 11.50 w nocy

– Jaki ten świat jest mały, nie sądzisz, Zygmusiu? – Grubas uśmiechnął się, niezwykle zadowolony, położył Maciejewskiemu ręce na ramionach i ucałował go z dubeltówki w oba policzki. Zyga ze wstrętem odsunął się od namolnego gościa, ale ten był czujny i zaraz podszedł krok bliżej. Nie zrozumiał, że jego znajomy wolałby utrzymać dystans. Maciejewski najwyraźniej nie miał dziś szczęścia.

– Kto by przypuszczał, że się tu, na tych kresach, odnajdziemy? Taki kawał od naszego kochanego Lublina! My, ludzie z centralnej Polski, to żeśmy się powinni trzymać razem, co myślisz? – Mężczyzna spojrzał na Maciejewskiego z nadzieją w oczach.

Tyle że podkomisarz na urlopie nie miał ochoty trzymać się z nauczycielem matematyki Woronieckim, na którego natknął się tutaj zupełnie przypadkiem. A jak już się natknął, to popełnił zasadniczy błąd, bo powinien po przywitaniu natychmiast się pożegnać i wyjść z tej restauracji w Willi Flora. Nie wyszedł i teraz przeklinał się w duchu. Wystarczyło powiedzieć coś w rodzaju: „Wybacz, ale zapomniałem portfela. Muszę wrócić do numeru” i się ulotnić. Nie wiedział, co sprawiło, że przyjął zaproszenie dawnego

kolegi z gimnazjalnej ławy, za którym zresztą nie bardzo przepadał, bo z zasady nie lubił wszelkiej maści narodowych żydożerców i tropicieli wszystkiego, co niepolskie i niekatolickie, czyli obce duszy sarmackiej, która nade wszystko ceniła sobie wolność i tolerancję dla myślących podobnie. Swego czasu z Woronieckim miał nawet poważny zatarg, bo ten próbował zagrozić wejście do szkoły, rosyjskiego jeszcze wówczas gimnazjum, młodszemu koledze Eugeniuszowi Kraftowi tylko dlatego, że tamten był protestantem. Zyga musiał interweniować i pacnął Woronieckiego w narodowy łeb, co sprawiło, że ten nabrał do Maciejewskiego nabożnego wręcz szacunku. Z protestantem Kraftem do dziś pracował w lubelskiej policji, a Woronieckiego nie widział przynajmniej dziesięć lat. Musiał przyznać w duchu, że nic nie stracił, nie pielęgnując szkolnej znajomości. Przynajmniej nie widział, jak jego kolega rośnie wszcz i miast jednego rosną mu trzy podbródki.

No i dziś, w obcym mieście, w którym było tylu przyjezdnych, być może wśród nich nawet znajomych z Lublina, musiał natrafić na tego cymbała. A ów Woroniecki, gdy tylko dostrzegł go wchodzącego do restauracji, od razu zerwał się od stolika i pobiegł w jego kierunku. Pochwycony przez szkolnego kolegę nie miał w zasadzie najmniejszej szansy na ucieczkę. Poza tym nie bardzo się opierał, bo raz, że nie wiedział jeszcze, co go czeka, a po drugie, był głodny i musiał coś zjeść, zaś hotelowa kuchnia była już nieczynna.

– Jak to nieczynna? – zdziwił się, gdy wszedł do hotelowego foyer i stanął przed kontuarem recepcji.

– No, normalnie. – Recepcjonista, który trzymał w ustach wykałaczkę, wzruszył ramionami. – Tylko do szóstej wieczorem jest czynna restauracja, a potem szlus. Zamykają, bo jak na razie to jeszcze nie ma u nas nocnej z dancinżem. Miała być na PeWuKę, ale nie zdążyli zrobić wszystkiego. Jeszcze ją budują, ha, ha, ha! Powiadają, że ma być na jesień. Ino że póki co nie ma – wyjaśnił, podając Maciejewskiemu klucz. Ten wziął go szybko do ręki, tak na wszelki wypadek, żeby przypadkiem nie okazało się, że jego pokój też będzie czynny od jesieni.

– To gdzie ja mam zjeść kolację? – zapytał z nadzieją, że może jednak coś się w tej sprawie da zrobić. Ostatni ciepły posiłek jadł bowiem w Warszawie ładnych kilka godzin temu, bo w pociągu to szkoda gadać. Przekąsił raptem dwa jajka na twardo i do tego dwie kromki chleba posmarowane masłem. No ale to była tylko przegryzka. Teraz chciało mu się czegoś bardziej solidnego i poza wszystkim musiał się napić.

– Jak pan wyjdzie z hotelu, to na drugiej stronie ulicy jest Willa Flora. – Recepcjonista wskazał głową kierunek. – Zobaczy pan taki ładny domek z ogródkiem i muszlą koncertową. Nawet tam mają kort tenisowy...

– Nie gram w tenis.

– Nikt grać nie musi, choć w środku mają też kilka stolików i roletkę, jak kto lubi piniądz stracić. Ale mają i jedzenie, i picie do samego rana.

– No to inna rozmowa. – Zyga chwycił bagaż i rozejrzał się za jakimś hotelowym boyem, który by mu wskazał drogę. Nie było jednak w pobliżu nikogo. Widać oszczędzało się tu nie tylko na odźwiernych, ale i na zwykłych chłopakach od walizek.

– A ktoś od bagażu do zanieśienia na górę to gdzie jest?

– Niby skąd ja mam wiedzieć? – zdziwił się recepcjonista. – Jest tu taki jeden szczun, ale gdzieś przepadł. Pewnie poszedł komu pomóc.

– To mam poczekać?

– A co, sam se pan nie da rady? Nie wygląda pan na takiego, co walizki nie poradzi ponieść.

– No poniosę..., ale w hotelach to raczej boy nosi i wskazuje drogę.

– Teraz schodami w górę i potem na lewo. Pana pokój jest 124 – poinstruował go recepcjonista. – No chyba że szanowny pan ma życzenie jechać windą, to tam, w drugą stronę. – Wskazał ręką kierunek.

– O, macie tu windę? – zdziwił się policjant, który jeszcze w życiu nie jechał takim nowoczesnym urządzeniem.

– Nie jedną, a dwie, do tego dziewięć klatek schodowych i trzysta sześćdziesiąt dwa pokoje. Najnowocześniejszy hotel w Polsce – dodał z dumą mężczyzna.

I do tego wszystkiego restauracja czynna tylko do szóstej, pomyślał Zyga. Co było robić? Pojechał windą, w której nie było obsługującego, więc trochę się bał, że dojedzie nie tam, gdzie trzeba. Ale po wciśnięciu przycisku z numerem pierwszym dostał się na piętro i zdążył nawet wysiąść, nim winda odjechała. Przeszedł przez długi korytarz i nie znalazł swojego pokoju. Więc zawrócił do windy i wtedy odkrył, że za drzwiami po prawej jest jeszcze jedno skrzydło. Tym razem mu się udało. Pokój 124 był oznaczony numerem wykonanym z miedzianej blachy, a klucz pasował do zamka.

Wszedł do środka i zapalił światło. Wewnątrz nie było specjalnych wygód, ale przecież nie tego oczekiwał. Łóżko było solidne, na sprężynach i stalowej, chromowanej ramie, z dwoma żebrowanymi bokami, prócz tego stały tam szafa, stół i dwa krzesła. Wszędzie pachniało jeszcze farbą i świeżym drewnem. Po prawej stronie, obok łóżka, były drzwi. Podszedł do nich, otworzył je, włączając światło. Łazienka była niewielka. W środku mieściła się umywalka, muszla klozetowa i wanna niezbyt imponujących rozmiarów, zielona z zewnątrz, a w środku emaliowana, taka, w której nie dało się położyć, ale można było siedzieć z podkurczonymi nogami! Co tam niewygody. Ważne, że można było się wykapać! Wanna, o której marzył, była całkowicie do jego dyspozycji.

Podszedł do niej i odkręcił kurek z ciepłą wodą. Chwilę poczekał i podłożył ostrożnie rękę. Niepotrzebnie. Woda była zimna. Sprawdził drugi kurek. Też leciała zimna.

Przeklinając, na czym świat stoi, opłukał się szybko, zmienił koszulę i ubrawszy garnitur, zszedł na dół.

– Dlaczego nie ma ciepłej wody w kranie? – zapytał portiera gryzącego wykałaczkę.

– Nie ma? – zdziwił się tamten.

– Nie ma. Jest zimna.

– Ale zimna jest?

– No przecie mówię, że jest zimna. Nie ma ciepłej.

– Znaczący woda jest.

– Jest – zgodził się Maciejewski.

– To awarii nie ma.

– Ale nie ma ciepłej wody.



– No niby nie ma, ale w ogóle woda jest. Bo mogli nie zdążyć na PeWuKę i nie wszędzie podłączyć. Ale zdążyli.

– Ale ciepłej nie ma! A ja chcę się wykąpać.

– Wykąpać? Przecież ludzie się kąpią w sobotę.

– To w sobotę będzie ciepła woda?

– Jak zdążą podłączyć, to będzie – stwierdził portier i odwrócił się od swojego rozmówcy, bo do kontuaru podchodziła właśnie pewna ponętna blondynka w wieczorowym stroju.

Naraz Maciejewski coś sobie uświadomił.

– Panie, ale przecież dziś jest sobota!

– No proszę, jak ten czas szybko leci. Człowiek się ani obejrzy, a tu już koniec tygodnia. A pani szanownej czym mogę służyć? – zwrócił się do kobiety, zostawiając natrętnego gościa samemu sobie.

Zyga zaklął pod nosem i wyszedł na zewnątrz w poszukiwaniu restauracji. Willa Flora rzeczywiście była tuż obok. Wkroczył więc zadowolony do środka i od razu wpadł w ramiona swojego dawnego kolegi ze szkolnej ławy.

Chcąc nie chcąc, dał się zaciągnąć do stolika, a później ten wieczór już się jakoś potoczył. Zjadł miejscowy przysmak, polecany przez kelnera, czyli kaczkę pieczoną w ciemnym sosie z pyzami i modrą kapustą, a wszystko to zapił pierwszorzędną zimną wódką z miejscowej wytwórni, o wdzięcznej nazwie Likwowin.

– I co, to jeszcze jedną buteleczkę zamówimy? – Woroniecki mrugnął do niego porozumiewawczo. Najwyraźniej lubelski nauczyciel zerwał się z łańcucha i teraz odreagowywał lata więzienia u boku żony.

– Ja już raczej do spania się nadaję – stwierdził Zyga nieco niewyraźnie. Pierwsza butelka wódki w połączeniu z całodziennym zmęczeniem dawały mu powoli w kość. Ale belfer nie ustępował...

– No to po seteczce, co, Zygmus? Panie ober, daj no pan jeszcze dwie seteczki i może piwo do tego – zaordynował grubas. – Macie tu chyba jakieś piwo w tym Poznaniu? W końcu Niemcy to słyną w świecie z dobrego piwa, a tu jeszcze niedawno byli Niemcy, ha, ha, ha! – Zadowolony z żartu klepnął Maciejewskiego w ramię.

– Byli, ale my ich pogonili – stwierdził kelner z pięknie zaczesanymi do tyłu włosami, pociągniętymi brylantyną, spoglądając na

żartownisia z Kongresówki z wyraźną niechęcią. – A szanowny pan to tam u was, w Kongresówce, sam pognął bolszewika, czy poznańskie pułki musiały wam pomagać?

– Ja... ja... – Woroniecki zrobił się czerwony na twarzy, bo kelner uderzył celnie. Nie walczył na wojnie, bo odrzuciła go komisja poborowa, gdyż miał platfusa. Zresztą specjalnie nie starał się o przydział, bo przecież nie licowała z jego godnością służba w taborach, którą zaproponowano mu w zastępstwie frontowej.

– Mój kolega, ten oto tutaj, krew przelewał. – Wskazał na coraz bardziej nieobecnego podkomisarza. – A ja, a ja...

– A jakie piwo szanowni panowie se życzą? – zapytał kelner.

– A jakie tu macie piwo? Jakieś miejscowe? – Zyga ocknął się i od razu przeszedł do konkretów.

– Oczywiście. Miejscowe z browaru Huggera to może być pilzner, koźlak, ale szczególnie polecam grodziskie.

– Grodziskie to z Grodziska – błysnął swoją fachową wiedzą Woroniecki, który już zapomniał o sporach i wojnach.

– Szanowny pan się myli. – Kelner postanowił wyprowadzić go z błędu. – Grodziskie jest nie nazwą piwa, ale gatunkiem, tak jak na ten przykład porter, koźlak czy pilzner. Grodziskie warzy się więc i w Grodzisku, i w Poznaniu czy jeszcze innych browarach.

– Coś takiego – zdziwił się Woroniecki. – Co za żydowskie wymysły!

– Dawaj pan obojętnie które – mruknął Zyga, który poczuł, że oczy powoli mu się zamykają.

Kelner zrobił obrażoną minę i odszedł od stolika zrealizować zamówienie.

– Widziałeś go – nauczyciel wskazał głową odchodzącego – jaki mądrała? Nas chce tu pouczać. To pewnie musi być jakiś Żyd. Tu Żydy poprzebierane chodzą jak Niemcy, że na pierwszy rzut oka nie poznasz, dopiero jak w oczy takiemu spojrzysz... I taki nas chce pouczać, a my przecie z centralnej Polski, a nie z kresów jak oni! A w ruletkę kiedyś grałeś? – przypomniał sobie nagle o szczególnej atrakcji, którą oferowała Willa Flora.

– Nigdy w życiu. – Zyga pokręcił głową, zaprzeczając, bo chciał powiedzieć, że hazard wcale go nie ciągnie, ale mu nie wyszło. Niby jasno myślał, ale z wypowiedzianiem słów było znacznie gorzej.

– No to trzeba nadrobić. Idziemy, żebyś później nie mówił, że stary kolega nic ci nie pokazał w tym zagranicznym mieście. A wystawę już widziałeś? Nie widziałeś! No to trzeba szybko zobaczyć wszystko, co się da, bo to fenomenalne jest wszystko, powiadam ci, fe-no-me-nal-ne! Ale najpierw ruletka. Idziemy, a pan, panie ober, daj to piwo do tej jaskini hazardu! – zawołał w kierunku kelnera podążającego z tacą w ręce ku ich stolikowi i jednocześnie pociągnął za sobą nieco opierającego się Maciejewskiego.

[9] Janusz Tadeusz Kusociński – polski lekkoatleta, złoty medalista olimpijski z Los Angeles w biegu na 10 000 m.

[10] „Tydzień Radjowy”, 1928.

[11] Bimba (gwar.) – tramwaj.

[12] Wihajster (gwar.) – *Wie heißt er?* (niem.) – Jak to się nazywa? – To zwykle małe narzędzie, którego nazwy mówiący nie zna lub zapomniał.

[13] Śrubociąg (gwar.) – śrubokręt.

[14] Dynks, ajzol (gwar.) – przedmioty, których nazwy nie da się ustalić.

[15] Szneka z glancem (gwar.) – drożdżówka z lukrem.

[16] Futrować (gwar.) – jeść, opychać się.

## Rozdział III

Poznań

Niedziela

21 lipca

Godzina 12.05 po północy

Zegar wybił dwanaście razy, oznajmiając północ. Zdziwiony kapitan Mikołajewski wydobył z kieszeni kamizelki złoty zegarek i spojrzał na cyferblat. Jego wskazówki pokazywały, że północ minęła pięć minut temu.

Śpieszy się ten stary grat, stwierdził, spoglądając na ścianę, tam, gdzie wisiał przedwojenny junghans. Solidny zegar kupił razem z mieszkaniem i meblami od pewnego kupca, który po wojnie nie widział dla siebie miejsca w przejętym przez Polaków Poznaniu i wyprowadzał się do Niemiec. Nie zamierzał jednak zabierać ze sobą mebli i wyposażenia, wychodząc zapewne ze słusznego założenia, że w nowym miejscu będzie w stanie urządzić się w podobny, niezbyt elegancki i dość spartański sposób. Bo mieszkanie Mikołajewskiego przy ulicy Grottgera na Łazarzu było w istocie garsonierą samotnego mężczyzny, który nie założył jeszcze rodziny. Składało się z czterech pokoi, czyli gabinetu, salonu, który mógł pełnić rolę jadalni, i dwóch sypialni – prywatnej i gościnnej. Ta dla gości jeszcze nigdy nie była wykorzystana, bo nikt do kapitana w odwiedzinie z noclegiem nie przyjeżdżał. Używał więc tylko jednej, wyposażonej w skromne,

niezbyt szerokie łóżko z politurowanego drewna. Salon z okrągłym dębowym stołem również był pokojem rzadko używanym. Właściciel jadał bowiem na mieście, a gości w zasadzie w ogóle nie przyjmował. Tych nielicznych, którzy tu się pojawiali, podejmował w gabinecie, bo tam miał wszystko, co potrzebne do goszczenia ludzi, z którymi musiał się kontaktować. Przy biurku stał niewielki barek z alkoholami i cygarami, a pod oknem, na prawo, stolik o kwadratowym blacie, obciągnięty zieloną skórą. Poprzedni właściciel musiał używać go do gry w karty. Mikołajewski natomiast stawiał na nim kieliszki z koniakiem i popielniczki. Na granie w karty nie miał czasu. Za to świetnie rozwiązywało mu się tu pewne szarady, na które trafiał w swojej pracy. Dziś też, mimo późnej pory, zamierzał spróbować rozwiązać jedną dość intrygującą zagadkę. Pomóc mu w tym miał jego kolega zajmujący się koordynacją działań kontrwywiadowczych na obszarze poznańskim, major Zygmunt Jażdżewski.

Kapitan wydobyl z szuflady biurka szarą kopertę, wstał z fotela i podszedł do karcianego stołu. Jażdżewski, postawny szatyn o piwnych oczach i twarzy harmonijnie zbudowanej i nieco zaokrąglonej od dołu, pełnych ustach i mocnym, nieco bulwowatym nosie, siedział na krześle i palił papierosa, z lubością zaciągając się perfumowanym dymem. Gdyby nie mundur oficerski, mógłby z powodzeniem uchodzić za wiejskiego proboszcza, tym bardziej że ostatnio jego brzuch znacznie się powiększył, świadcząc dobitnie, że jego właściciel nie stroni od uciech stołu.

Gospodarz położył przed nim kopertę. Jażdżewski sięgnął po nią i niedbałym ruchem rozsypał zdjęcia na blacie. Wszystkie przedstawiały niezwykle ponętą blondynkę.

– Niczego sobie blondyneczka – stwierdził major, bezwiednie oblizując górną wargę. Mikołajewski uśmiechnął się zadowolony. Od razu zauważył błysk w oku swojego kolegi, który mówił o tym, że on również nie oparłby się jej urokowi. – Co to za dzierlatka?

– Marlena von Pieskow, moja... hmm... dobra znajoma.

– Poznasz mnie z nią?

Kapitan pokręcił głową.

– Wystarczy, że ja już się zaangażowałem. Po co jeszcze ty masz się w to pchać?

– Jak to „zaangażowałeś”? – Major spojrzał na niego zdziwiony. Znał Mikołajewskiego od przynajmniej siedmiu lat i nie przypuszczałby, że ten ceniący sobie wszelkie rozrywki człowiek mógł się zaangażować. No i dodatkowo jeszcze w obcej? – Przecież to Niemka!

– No i właśnie dlatego się zaangażowałem.

– Jak to? Czegoś tu nie rozumiem, Felek. Przecież jesteś rozsądnym człowiekiem.

– No właśnie. I wszystko przez to. – Podszedł do barku, zabrał z niego zieloną butelkę martella i dwa pękate kieliszki, po czym wrócił na miejsce. Napełnił oba i jeden podsunął majorowi. – Dlatego się właśnie z tobą spotykam.

– No to gadajże do rzeczy, co i jak. – Jażdżewski nastawił się już na najgorsze informacje, z ciężą panny Marleny włącznie. Ale to, co usłyszał, zdziwiło go jeszcze bardziej.

– Panna Marlena pracuje w Sztapie Pierwszego Okręgu Wojskowego w Königsbergu.

– Oooo! – zdołał tylko wykrztusić major, coraz bardziej zaintrygowany. Nie powiedział jednak nic więcej, upił niewielki łyk koniaku i czekał cierpliwie, aż Mikołajewski zapali papierosa i zdradzi coś więcej.

– Gdy ją poznałem, nie wiedziałem jeszcze, gdzie owa dama pracuje. A spotkałem ją jakiś czas temu, gdy byłem w Zoppot. Pamiętasz, kiedy jechałem na urlop...

– Tak, oczywiście. No i co się wydarzyło?

– Przegrałem na ruletce, w kasynie w Grand Hotelu, dość okrągłą sumkę pieniędzy.

– W kasynie zawsze się przegrywa – stwierdził Jażdżewski, który nigdy nie grywał w żadne hazardowe gry. – A ile przegrałeś?

Mikołajewski machnął ręką.

– To, ile przegrałem, nie ma żadnego znaczenia. Większe znaczenie ma fakt, że poznałem wtedy pannę Marlenę.

– Zapragnęła cię pocieszyć? – domyślił się major. – Zaraz, zaraz, przecież kobiety raczej omijają szerokim łukiem tych, którzy są

spłukani. Raczej pociągają ich zwycięzcy, a w przypadku ruletki tacy, co to mają kieszenie wypchane pieniędzmi, a raczej żetonami.

– No widzisz, to znaczy, że ona jest wyjątkowa. Ale dość żartów. Wtedy przypuszczałem, że tak jak niektóre kobiety ma po prostu rozwinięty nadmiernie instynkt opiekuńczy i stąd jej słabość do mnie. No i jak każdy próżny człowiek wyobrażałem sobie, że to także kwestia mojego szarmu i wrodzonej ogłady połączonej z niezwykle urodą, ha, ha, ha! – Spojrzał na Jażdżewskiego, który wydał wargi. Major w duchu zazdrościł koledze powodzenia u pań. Sam należał raczej do tych mężczyzn, którzy mocno musieli się postarać, by kobieta zwróciła nań uwagę, więc uciekali się do najbardziej sprawdzonych sposobów, jak awantury i pojedynki. Mikołajewski natomiast nie musiał robić zupełnie nic. Wystarczyło, by spojrzał na kobietę, a ta już rzucała mu się w objęcia.

– No i tak się złożyło, że panna Marlena pocieszała mnie bardzo skutecznie aż do samego rana. I być może nigdy bym ci nie opowiedział tej historii, bo jako dżentelmen w takich sprawach dochowuję dyskrecji, ale... – Spojrzał na majora i uśmiechnął się zadowolony.

– No gadajże wreszcie, do licha!

– Panna Marlena rano zaczęła wypytywać mnie o moją przegraną. Pytała, jak sobie teraz poradzę i czy nie spowoduje ona jakichś poważnych problemów w moim życiu. Więc odpowiedziałem, że jako człowiek honoru powinienem sobie strzelić w łeb, a ona na to, że może mi pożyczyć pieniądze.

Początkowo pomyślałem, że to z dobroci serca, bo dziewczyna się we mnie zakochała, ale zaraz wyszło szydło z worka, gdy zacząłem wypytywać o szczegóły. No i okazało się, że...

– Że są pewni ludzie, którzy pożyczą ci pieniądze w zamian za informacje – domyślił się Jażdżewski.

– Jakbyś tam był!

– Stary numer. – Major pokiwał głową. – I co jej powiedziałaś?

– Jak to co? Miałem przepuścić okazję? Przecież sami nam się pchają w łapy...

– No nie wiem. Nie wiem, jaką możemy wyciągnąć z tego korzyść...

– To fenomenalna okazja. Zresztą ja już poczyniłem pewne kroki. Oczywiście za zgodą naszego dowództwa. Dostałem pozwolenie z samej góry na zbadanie sprawy.

Jażdżewski upił łyk koniaku. To była zupełnie inna rozmowa. Nie musiał sam podejmować decyzji, bo jego kolega już zaangażował w to podejmowanie wyższe czynniki, czyli przełożonych w Warszawie. Jeśli od nich dostał zgodę, to można było próbować podjąć grę operacyjną. Pytanie tylko, jakie rozmiary mogła taka rozgrywka osiągnąć?

Nadarzała się okazja i tylko głupiec by jej nie wykorzystał, ale trzeba było to poważnie przemyśleć. Można było zyskać niewiele, a stracić... No właśnie, co było do stracenia?

– Czy ona domyśla się, kim jesteś? – zapytał Mikołajewskiego.

Ten pokręcił głową, nadal uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Jestem przekonany, że nie ma pojęcia, kogo złowiła. Powiedziałem jej tylko, że jestem oficerem rezerwy i mam kontakty w wojsku jako pośrednik w dostawach płodów rolnych.

– Złowiła? Czy to znaczy, że już pożyczyła ci pieniądze?

– Właśnie w tym rzecz. Dostałem połowę przegranej kwoty. Resztę ma mi dać po tym, gdy już nawiążemy poważną współpracę.

– Powiedziała, o co jej konkretnie chodzi?

– Tylko ogólnie, że o informacje.

– No to jesteśmy w domu. – Major podrapał się po głowie, a potem klepnął z rozmachem gospodarza w kolano. – Mam pomysł. Trzeba im dać coś na ząb, co sprawi, że oczy im zbieleją. Tylko jakiś ochłap, który będzie wycinkiem czegoś znacznie większego.

– Co masz na myśli? – zainteresował się kapitan.

– Damy im nasz stary plan mobilizacyjny.

– Zwariowałeś?

– Tylko pierwsze, powiedzmy, cztery strony. Zresztą moglibyśmy nawet dać im cały, bo weszło całkiem nowe opracowanie. Ten już jest nieaktualny. Ale oni o tym jeszcze nie wiedzą.

– A jeśli wiedzą?

– A jak wiedzą, to się przekonają, że masz dobre dojścia. Bo przecież nawet zeszłorocznych planów nie znajduje się w koszarowym śmietniku.



– A gdzie?

– W sztabie garnizonu. Tam są przechowywane wszystkie stare papiery o takim znaczeniu. Gdy nowe plany przychodzą do dowództwa jednostek, stare wracają wprost do sztabu w Poznaniu. A to może oznaczać, że masz kontakty w samym sztabie.

– A kogo tam mam niby?

– Jak to kogo? Masz tam mnie, przyjacielu. Masz tam mnie!

Mikołajewski popatrzył na kolegę z niedowierzaniem. Musiałby przecież odsłonić przed Niemcami Jażdżewskiego, ujawniając jego prawdziwą funkcję. Chyba że...

– Nie zgodzisz się na ujawnienie mojej tożsamości. Powiesz tylko, że to twój przyjaciel, który tak jak ty potrzebuje pieniędzy. Niech oni sami szukają, z kim się kontaktujesz. Może do mnie dotrą albo i nie, ale najważniejsze, że to da nam czas na przygotowanie jakiejś grubszej akcji. Jeśli to się powiedzie, to możemy im sprzedać garbatego słońca.

– To się może udać! – ucieszył się Mikołajewski, bo jego dość ryzykowna akcja właśnie nabierała instytucjonalnych kształtów.

– A w jaki sposób masz jej przekazywać informacje? – zapytał Jażdżewski

– Słuchaj, to jest właśnie najciekawsze, ona opowiedziała mi o bezpiecznej linii przewozu dokumentów do Dowództwa Okręgu w Königsberg. Papiery dotyczące wszystkich spraw wojskowych z Berlina do Królewca i z powrotem do Berlina przechodzą tranzytem przez Polskę. Jadą pociągiem przez „korytarz” w wagonie pocztowym. Kolejarz, który ma ode mnie odbierać papiery, ma przekazywać to, co mu dostarczę, prosto do tego pociągu.

– To nasi mają tam wstęp?

– I to właśnie sprawdziłem wczoraj, jadąc z Królewca. Obsługa wagonu pocztowego na ostatniej stacji w Niemczech wychodzi z niego i przechodzi do przedziału służbowego w wagonie osobowym. Do nich dosiada się polski kolejarz, żeby pilnować, czy nie wyrzucają jakiejś kontrabandy. Siedzi z nimi przez półtorej godziny, a potem wysiada na pierwszej stacji po stronie niemieckiej. A niemieccy pocztowcy wracają do swojego wagonu. Jeśli mój kolejarz przekaże

im dokumenty, które otrzyma ode mnie, to na bank dojadą do Królewca.

– A wagon przez te dziewięćdziesiąt minut jedzie pusty? – Jażdżewski spojrzał uważnie na kolegę.

– Dokładnie jest tak, jak powiedziałem

– I to znaczy, że przez ten czas wszystkie niemieckie tajemnice wojskowe podróżują sobie przez Polskę przez nikogo niestrzeżone?

– I to jest to, co chciałem ci powiedzieć! – ucieszył się kapitan. – Jeśli się postaramy, możemy czytać ich tajne dokumenty.

Chwycił butelkę i napełnił puste kieliszki.

– No właśnie – Jażdżewski sięgnął po swój kieliszek – i tu jest pies pogrzebany. – Jak się dostać do wagonu, jak przeczytać zawartość poczty, żeby się nikt nie zorientował? Jak sprawić, żeby móc zaglądać do tej korespondencji stale? Bo jak się zorientują, że coś nie gra, że jakaś pieczęć jest naruszona albo list pognieciony, zmieniają trasę przerzutu dokumentów i koniec pieśni.

– I dlatego właśnie o tym wszystkim ci powiedziałem. – Mikołajewski uśmiechnął się od ucha do ucha. – Ja jestem tylko prostym szpiegiem, ale w wymyślaniu misternych konstrukcji to ty jesteś najlepszy. Masz więc nad czym się zastanawiać, przyjacielu – Stuknął szkłem w kieliszek kolegi i opróżnił swój do dna. Jażdżewski też wypił. Sprawa była warta opicia.

Godzina 12.20 po północy

– I jak z nim, doktorze?

– Przeżyje. Miał skurczybyk szczęście.

– Nie dawałem mu większych szans.

– Strzał czysty, gdyby był bardziej fachowo mierzony, nie miałby chłopina żadnej nadziei, ale na szczęście ten strzelec sfuszerował robotę. Strzelił mu w plecy i kula miała szansę przebić serce, ale uderzyła w łopatkę i ją zgruchotała. W czepku urodzony.

– Czy ja wiem. – Fischer się skrzywił. – Po tym, jak oberwał w łopatkę, może to skutkować jakimś paraliżem ramienia albo niedowładem czy czymś takim.

– He, he, he. Lepszy niedowład niż całkowity paraliż funkcji życiowych i wieczny odpoczynek w trumnie – oświadczył filozoficznie doktor Kajetan Tchórzewski, który jako major Wojska Polskiego znał się doskonale na wszelkiego rodzaju ranach postrzałowych. Spędził dwa lata podczas wielkiej wojny w pruskim szpitalu polowym na froncie zachodnim, później organizował służbę medyczną dla wojsk powstania wielkopolskiego, by w końcu trafić na front wojny polsko-bolszewickiej. Z Fischerem znał się jeszcze ze służby pod sztandarem cesarza Wilhelma. Od czasów powojennych lekarz pracował w szpitalu wojskowym przy ulicy Libelta, dawnym pruskim lazarecie. To tu właśnie z Poznania i okolicy przywożono ofiary postrzałów i ludzi z ranami kłutymi czy ciętymi. Bo w tym miejscu można było takim ludziom zapewnić najlepszą fachową pomoc i opiekę.

– Niedowład ręki u pianisty to poważny problem.

– Łe tam! – zachnął się medyk. – Lepiej żyć i nie grać, jak grać świętemu Piotrowi. Nuty zna, to niech się przerzuci na dyrygenturę. Z prawą ręką wszystko w porządku, więc batutę utrzyma. A w ogóle o czym my, do licha, gadamy, Antoni? Człowiek przeżył i to chyba najważniejsze!

– Prawda! – Fischer pokiwał głową. Z tym stwierdzeniem nie mógł się nie zgodzić. Tym bardziej że postrzelony w plecy Zdziebło być może mógł rzucić jakieś światło na ten ponury dramat. Oczywiście był jeszcze zabójca, ale ten nie był zbyt skory do współpracy.

Gdy komisarz powalił go na ziemię, natychmiast przy pomocy obwieścicielki Krygier-Bernackiej związał nieprzytomnego mężczyznę sznurem od okiennych zasłon. Po chwili wezwani na miejsce policjanci ponieśli go do komisariatu naprzeciwko, by wrzucić do celi. Musieli przy tym przeciskać się przez tłum żądnych sensacji ludzi, którzy z całego miasta napływali przed wejście do budynku radia. Każdy chciał na miejscu dowiedzieć się czegoś na temat sensacji, której byli świadkami przy własnych radioodbiornikach. Stali tam również dziennikarze z aparatami fotograficznymi w rękach, czekając na jakąkolwiek informację, którą mogliby zamienić w słowa tekstu gazetowego do popołudniowego wydania.

Wszak ludzie w całym Poznaniu o niczym innym nie mówili. Zbrodnia popełniona podczas koncertu, której odgłosy mógł usłyszeć każdy radioamator, była jak najlepszy film kryminalny. Byli nawet i tacy, którzy uważali, że to, co zdarzyło się w radiowym studiu, to dobrze wyreżyserowany spektakl, który miał przyciągnąć uwagę słuchaczy. Gdyby rzeczywiście tak było, to nie tylko przyciągnął, ale i zelektryzował całe miasto.

– Mówią, że pan uczestniczył w spektaklu... takim, no, jak w teatrze – zameldował aspirant Oskierko, zapytany, co się dzieje na dole i czy w ogóle można wyjść z budynku.

– Niby że jak? – zdziwił się komisarz. Do głowy by mu nie przyszło, że ktoś w ten sposób może to wszystko odebrać. No ale z drugiej strony przecież radio to nic innego jak teatr wyobraźni, w którym dźwięki dochodzące do uszu słuchaczy przenoszą ich do świata wyczarowanego przez reżysera i aktorów. Tymczasem dziś to on, mimo woli, stał się aktorem grającym w spektaklu wyreżyserowanym przez samo życie.

– A to może nawet i dobrze. Niech gadają. Na razie niczego się nie będzie dementować. A pan żeś słyszał całe to zajście?

– Ja ogólnie rzecz biorąc, panie komisarzu, to tak ja wszyscy w dyrekcji siedziałem przed odbiornikiem.

– Jak wszyscy?

– No obowiązkowo. Jak pan komisarz idzie do radia z odczytem, to my tam po drugiej stronie ulicy słuchamy, co pan ma do powiedzenia ciekawego...

– Hmm... – Fischer chrząknął, by ukryć zakłopotanie. Nie spodziewał się, że jego odczyty mogą budzić taką sensację wśród kolegów policjantów.

– I się pewnie podśmiewacie...

– Uchowaj Boże. Pan komisarz opowiada bardzo interesująco.

– A to, coś pan usłyszał, było interesujące?

– Jakby to powiedzieć...? – Oskierko potarł nos, żeby zyskać na czasie. Musiał znaleźć odpowiednie słowa. – Nie zrozumiałem, w czym rzecz na samym początku. Bo to było dziwne, że najpierw Moniuszko, pieśń płynie, a potem te krzyki, i strzały, a na koniec spokojny głos pana komisarza.

– Dało się zrozumieć, że to był zamach z bronią?

Aspirant wzruszył ramionami.

– Wszyscy słyszeli jej krzyk. A i wystrzały były wyraźnie słyszalne.

– Nie wszyscy mogli się zorientować, że to strzały...

– Panie komisarzu, przecież tu jest Poznań. Tu każdy człowiek wie, jak dudni wystrzał pistoletowy. Mało to się ludzie tu nasłuchali strzelaniny? Każda kobieta nawet odróżni tu strzał od pierdnięcia... Przepraszam – poczuł, że się zagalopował, bo przy przełożonym nie powinno używać się takiego prostackiego języka – od klaśnięcia, rzecz jasna, chciałem powiedzieć – poprawił się, ale całkiem niepotrzebnie, ponieważ Fischer wcale nie zwrócił uwagi na to grubiaństwo. On już był myślami w całkiem innym miejscu. Zastanawiał się, jaki można zrobić użytek z informacji. Czy lepiej będzie ukrywać zbrodnię i zaciemniać obraz, czy może lepiej otwarcie przyznać, że doszło do morderstwa na antenie radiowej, w studiu. Oba wyjścia miały swoje dobre i złe strony. Nie podjął żadnej decyzji, zdecydował kto inny.

Komendant Karaszewski był przysadzistym człowiekiem o okrągłej, stale czerwonej twarzy, na której próżno było szukać uśmiechu. Należał do typu ludzi wiecznie niezadowolonych ze wszystkiego, od pogody poczynając, a na zbyt ciasnym kołnierzyku własnej koszuli kończąc. Kogoś takiego nie mogły zadowalać osiągnięcia podwładnych. Na szczęście nie cieszyły go również ich porażki, co świadczyło, że przełożony nie był człowiekiem złośliwym, a jedynie źle karmionym i niezbyt dobrze traktowanym przez małżonkę. Przez to właśnie organizm jego produkował nadmiar żółci, która odpowiadała za niezdrowe worki pod zmęczonymi oczyma.

– Powiadali, że pan w teatry jakieś się zabawiasz, a tu najprawdziwsza zbrodnia w afekcie! – stwierdził komendant, który nigdy nie pojawiał się na miejscach zbrodni, a do radia przyszedł zapewne wiedziony ciekawością. Poza tym miał blisko, więc postanowił na własne oczy przekonać się, co się właściwie stało.

– Wygląda jak w afekcie, ale o pobudkach trudno jeszcze wyrokować, dopóki nie weźmie się w obroty zabójcy.

Komendant podszedł do leżącego na podłodze ciała śpiewaczki. Jego adiutant, podkomisarz Legutko, szedł za nim krok w krok, trzymając pod pachą dużą, skórzaną teczkę na dokumenty. Adiutant był jednocześnie sekretarzem, więc nosił ze sobą papiery w razie, gdyby Karaszewskiemu przypomniało się coś ważnego i naraz nabrał ochoty na podyktowanie jakiegoś rozkazu. Wtedy Legutko mógłby natychmiast wziąć się za pisanie.

Komendant, stanąwszy nad ciałem, chwilę wpatrywał się w twarz kobiety, by w końcu odwrócić się do podwładnego.

– Zabita strzałem z rewolweru – stwierdził z pełnym przekonaniem.

– Tak jest, panie komendancie. Celna obserwacja – zgodził się z nim podkomisarz.

– A co ze sprawcą? – zwrócił się do Fischera.

– Siedzi u nas pod kluczem.

– Pan go zaaresztował?

– Tak jest.

– Nie dało się powstrzymać tego szaleńca, żeby nie strzelał?

– Przed się nie dało.

– A dlaczegoż to?

– Ponieważ musiałbym być jak Pan Bóg przewidujący i przenikliwy, ale jak pan wie zapewne, daleko mi do bożej doskonałości.

– To oczywiste. – Komendant był żarliwym katolikiem, który sporo czasu poświęcał na modlitwy i msze, więc Fischer szybko nauczył się, że w rozmowach z nim trzeba powoływać się na boskie moce, których ingerencje są dla przełożonego wystarczającym argumentem tłumaczącym i objaśniającym każdą, nawet najbardziej skomplikowaną rzeczywistość śledczą. – Wszystkim nam daleko do boskiej doskonałości, panie komisarzu, i tylko Pan nasz wie wszystko, ale nam odrobina tej wiedzy jest potrzebna, żeby łajdaka postawić przed sądem i doprowadzić do skazania, skoro już panu nie udało się zapobiec morderstwu. Na szczęście, jak rozumiem, jest pan naocznym świadkiem i może zeznawać w sądzie?

– Tak jest.

– To bardzo dobrze. A kto jego obezwładnił?

– Ja.

– I zabrał mu pan broń.

– Tak jest.

– A sam pan był uzbrojony?

– Nie. Byłem bez pasa i kabury z pistoletem. Nie chodzę do radia na odczyty z bronią.

– I bardzo słusznie. Ale to oznacza, że pan gołymi rękoma obezwładnił zabójcę i odebrał mu broń.

– Tak jest.

– No to przynajmniej coś dobrego z tego wynikło, panie komisarzu Fischer. Panie Legutko, weź pan papier i ołówek i zapisz pan, co następuje...

Począł chwilę, aż jego podwładny wydobędzie akcesoria pisarskie. Podkomisarz rozłożył niewielki notesik na teczce jak na blacie biurka. Widać, że był przyzwyczajony do takiej pisarskiej ekwilibrystyki.

*– Dziś w rozgłośni Radia Poznańskiego doszło do niestychanego wydarzenia, gdzie człowiek o nieustalonym jeszcze nazwisku wtargnął z bronią w dłoń i postrzelił stróża, śpiewaczkę i jej akompaniatora w trakcie koncertu. Na szczęście w pobliżu był funkcjonariusz policji, który za pomocą własnych pięści obezwładnił mordercę i odebrał mu broń. Dzięki temu nie doszło do kolejnych zbrodni, które być może planował ów szaleniec. Morderca jest w policyjnym areszcie i wkrótce stanie przed obliczem sądu. Jak dotąd nieznaną są powody, dla których zatrzymany strzelał do ludzi, ale to ustali w trakcie śledztwa oficer je nadzorujący, a mianowicie komisarz Antoni Fischer.*

Skończywszy dyktować, komendant spojrzał na komisarza.

– No i jak już zostało podyktowane w oświadczeniu dla prasy, zajmiesz się pan tym śledztwem i wyjaśnisz przyczyny. Myślę, że sprawa jest prosta, bo wygląda to na zbrodnię popełnioną pod wpływem miłosnych emocji. Czyli oczekuję jak najpilniej raportu w tej sprawie po przesłuchaniu mordercy. Czy się dobrze rozumiemy, panie komisarzu?

Fischer skinął głową.

– Tak jest, panie komendancie. Zajmę się sprawą niezwłocznie.

I rzeczywiście się zajął. Po wyjściu z budynku tylnymi drzwiami, poprzez kuchnię Esplanady, żeby nie dać się osaczyć przez

natrętnych pismaków, poszedł natychmiast do aresztu mieszczącego się w piwnicy budynku Dyrekcji Policji. Policjantowi dyżurującemu w areszcie kazał się prowadzić do celi, w której zamknięto mężczyznę. Ten leżał na pryczy pojedynczej celi z rękoma pod głową, wpatrzony w sufit. Fischer usiadł na taborecie, który przyniósł mu starszy posterunkowy, pełniący rolę klawisza.

– No już doszedłeś do siebie? – zapytał Fischer, patrząc na obitą i spuchniętą twarz mordercy. Ten nie odpowiedział.

– Masz pecha, że stanąłem na twojej drodze. Jako świadek zeznam, żeś zastrzelił tę kobietę. Do tego ciężko zraniłeś stróża, dobrego człowieka, który jest weteranem frontowym i byłym powstańcem...

Przez sekundę zdawało się Fischerowi, że aresztant zadrżał. Tak jakby informacja o niewinnej ofierze zrobiła na nim wrażenie. Ale zaraz na jego twarz wróciła maska obojętności.

– Dlatego mówię ci, chłopie, że fakty są przeciwko tobie, ale masz pewną szansę, jeśli zaczniesz ze mną współpracować. Jeśli powiesz wszystko jak na spowiedzi, masz niewielką, bo niewielką, ale zawsze szansę na to, żeby przeżyć.

– Nie zależy mi na życiu! – rzucił, nie spoglądając na policjanta. – Już mi na niczym nie zależy. Moje życie się skończyło.

– Dlaczego ją zabiłeś?

– Nie twoja sprawa.

– Jak chcesz.

Komisarz wstał z taboretu, podszedł do drzwi i zapukał w nie. Niemal natychmiast usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Strażnik musiał czekać po drugiej stronie, gotów w razie czego przyjść oficerowi z pomocą, gdyby desperat spróbował mu zagrozić.

– Przenieście go do ogólnej celi – polecił policjant. Nim przekroczył próg, odwrócił się jeszcze do aresztanta.

– Radzę ci, żebyś się dobrze zastanowił nad składaniem zeznań, zanim nasi ludzie wezmą cię w obroty. Bo wtedy może być już trochę za późno dla twoich zębów. No chyba że chcesz do końca swojego marnego żywota jeść chleb rozmoczony w wodzie.

Fischer nie przepadał za biciem więźniów, ale jako realista zdawał sobie sprawę, że to sposób uzyskiwania zeznań szybko rozwiązujący



przestępcze języki, które w innym wypadku trudno byłoby skłonić do mówienia. Dlatego zawsze najpierw próbował zwyczajnej perswazji, a dopiero później zezwalał swoim podoficerom na użycie pięści. Teraz zastosował jeszcze jedną prostą metodę, która mogła przynieść pożądaną rezultat. Nakazując przeniesienie do celi ogólnej, skazywał delikwenta na towarzystwo zatwardziałyh bandziorów. Oznaczało to, że za kilka godzin morderca pieśniarki może sam poprosić o zaprotokołowanie jego zeznań tylko po to, by wrócić do izolatki.

Niezwykle chętny do rozmów okazał się za to postrzelony akompaniator Zdziebło, który po operacji nadspodziewanie szybko wracał do dobrej kondycji. Doktor Tchórzewski wprowadził Fischera do pokoju, w którym leżał ranny. Ten na widok komisarza próbował się podnieść, ale mu się nie udało. Jęknął tylko z bólu i opadł na poduszkę.

– Niech się pan nie rusza – polecił lekarz. – A to jest właśnie komisarz Fischer, który uratował panu życie.

– Poznaję pana komisarza... oczywiście – potwierdził słabym głosem muzyk. – A co z tym...?

– Jeśli chodzi panu o mordercę, to proszę się nie martwić. Siedzi pod kluczem. Nie wiemy tylko, kto on jest.

– Jak to, nie wiecie? – zdziwił się Zdziebło. – Nie znacie go? To oficer i człowiek honoru... – dodał ironicznym tonem.

Obaj oficerowie spojrzeli na siebie zdziwieni.

– Czyli kto?

– No... kapitan Dąb-Załużski, pieprzony legionista.

Godzina 12.40 w nocy

Zyga patrzył na obciągnięty zielonym suknem stół, zastanawiając się, co ma zrobić. Niby wiedział, że ten żeton, który wcisnął mu do ręki Woroniecki, trzeba gdzieś postawić, ale gdzie, nie miał pojęcia.

– *Faites vos jeux!*<sup>[17]</sup> – zarządził krupier i gracze natychmiast pochyłili się nad stołem.

Maciejewski bezradnie się rozejrzył. Ludzie umieszczali żetony w różnych dziwnych miejscach na obrzeżu połaci z numerami, ale co to mogło oznaczać, tego nie wiedział. Na szczęście byli i tacy, którzy kładli je na konkretne cyfry. Zachęcony tym widokiem zaryzykował. Wyciągnął dłoń i położył swój żeton na trójkę. Tak mu jakoś przyszło do głowy, że to jego szczęśliwa liczba. I pewnie nie tylko jego, bo gość w kraciastej marynarce też obstawił to samo. Tyle że on ustawił na trójce całą wieżę z żetonów, i to nie takich jak ten należący do Zygi, biało-czerwony o wartości pięciu złotych. Facet postawił na trójkę żetony biało-żółte, z których każdy był wart dwadzieścia razy tyle. Maciejewski próbował je policzyć, ale nie zdołał, bo dziwnie rozjeżdżał mu się obraz. Na pewno było ich przynajmniej dziesięć.

– Pojedyncza cyfra to błąd. To raczej pewna strata. – Szkolny kolega pokręcił głową z dezaprobatą. – Małe prawdopodobieństwo. Ja obstawiam parzyste. Mała wygrana, ale i mała przegrana. Trzeba jeść stale, ale małą łyżeczką, a ty raz postawisz i stracisz wszystko. Wiem, co mówię. Wspomnisz moje słowa, wspomnisz...

– *Rien ne va plus!*[18] – powiedział głośno krupier, wprawiając bęben w ruch.

Woroniczki pociągnął łyk piwa, wpatrując się w toczącą się kulkę, jakby chciał ją zaczarować świdrującym spojrzeniem swoich wyłupiastych oczu. Zyga też patrzył w to miejsce, jednak nie widział nic, bo kulka była zbyt szybka dla jego zmęczonego wzroku. Naraz terkot ustał i wpadła w któryś z przedziałów. Na razie jednak nie widać było, w który, bo bęben jeszcze się kręcił. Przy stole zrobiło się cicho. Spojrzenia wszystkich graczy wbiły się w okrągłą tarczę.

– *Trois!*[19] – ogłosił krupier, a nad stołem poniosł się jęk zawodu.

Zyga zdziwiony spojrzał na swój żeton, upewniając się, że na pewno postawił na trójkę.

– A niech cię jasna cholera! Szczęście debiutanta... do licha! – mruknął Woroniczki.

– Wygrałem? – zapytał z niedowierzaniem Maciejewski.

– Jeden do trzydziestu pięciu! – odburknął zdenerwowany grubas.

– Jasna cholera... – Maciejewski niepewnie spoglądał na stół i swój żeton leżący na polu z trójką. Skromny w zestawieniu z wieżą z krążków, które stały obok.

Krupier przesunął w kierunku Zygi garść żetonów o wartości stu siedemdziesięciu pięciu złotych. Jednak to było nic w porównaniu z tą drugą wygraną. Trzydzieści pięć tysięcy to jest dopiero coś!, pomyślał Zyga, chowając swoją zdobycz do kieszeni. Że też nie postawiłem więcej. Jakbym postawił ze sto złotych... Zaczął w myślach liczyć zysk, który przeszedł mu koło nosa. A gdyby tak teraz postawić te sto złotych na jakąś liczbę? Jakby trafił jeszcze raz tak samo? Sto razy trzydzieści pięć to jest przecież trzy i pół tysiąca złotych. O Boże, trzy i pół tysiąca w jedną minutę. A gdyby tak rzucić całą wygraną? W końcu łatwo przyszło, to i niewiele by się stało, jeśliby to stracił. Sto siedemdziesiąt pięć razy trzydzieści pięć to daje wynik... Czy ja, do cholery, zwariowałem? zganił sam siebie. Zaczynam się zachowywać jak jakiś obłąkaniec. Nie jestem przecież hazardzistą i nie emocjonuję się gramami. Jedyne emocje, które uznaję za zdrowe i dobre dla człowieka, to te, które daje walka na ringu. Koniec ekscytacji łatwym pieniądzem!

– Teraz właśnie powinieneś obstawić, jak masz dobrą passę! – próbował go przekonać Woroniecki.

– Dzięki za pożyczkę. – Maciejewski podał mu żeton. – Ja nigdy nie gram w gry hazardowe. A poza tym bardzo się śpieszę do hotelu – wyjaśnił i klepnąwszy kolegę w ramię, ruszył w kierunku wyjścia. Po drodze zatrzymał się jeszcze przy kasie, żeby wymienić swoją skromną wygraną. Nawet bardzo skromną w porównaniu z tym, co właśnie przed chwilą zainkasował ten niepozorny człowiek stojący obok. Zyga spojrzał na niego, a ten, podchwyciwszy to spojrzenie, na wszelki wypadek szybko schował pieniądze do kieszeni swojej kraciastej marynarki i zaraz zniknął w przejściu. Maciejewski wzruszył ramionami. Cóż go mógł obchodzić jakiś facet, który zgarnął fortunę? Nic mu do niego. Najważniejsze, że sam stał się naraz całkiem zamożną osobą. Przyjemnie było mieć świadomość, że w jednej chwili człowiek staje się, no może nie bogaczem, ale zwycięzcą, który może sobie pozwolić... No właśnie, na co niby miałby sobie teraz pozwolić? zastanawiał się przez chwilę, ale nic nie przyszło mu do głowy.

Wyszedł z lokalu wprost na nagrzaną po całym dniu upałów ulicę. Noc była wonna i ciepła. Pachniały lipy, które rosły gdzieś w pobliżu,

ale gdzie, tego Zyga nie widział, bo w zasadzie mało co widział tego wieczora, zmęczony po podróży i zamroczony alkoholem. Gdyby się obrócił i spojrzął na niski, piętrowy budynek restauracji i kasyna, który właśnie opuścił, może dojrzałby rozłożyste drzewa, rosnące za nim w ogródku, który rozciągał się aż do stojącego nieopodal oficierskiego kasyna. Nie poszedł jednak w tamtym kierunku, ale wybrał ten właściwy, prowadzący wprost do łóżka. Gmach hotelu Polonia, położony po drugiej stronie Grunwaldzkiej, był tak okazały, że nie można go było przeoczyć. Podkomisarz rozejrzał się w prawo i w lewo, ale niezwykle szeroka ulica była niemal pusta. Stało tam tylko kilka dorożek czekających na gości, którzy wychodzili z Willi Flora. Maciejewski na szczęście nie miał daleko i nie musiał wydawać na transport ciężko wygranych pieniędzy. Był zadowolony, bo nie dość że się najadł i napił, to jeszcze odrobił z nawiązką stracone dziesięć złotych, które zainkasował chciwy dorożkarz wiozący go z dworca. Dlatego obiecał sobie w duchu, że już więcej żadnych powózek w Poznaniu zamawiać nie będzie. Tym bardziej że na Powszechną Wystawę Krajową miał dosłownie kilka kroków, bo w drodze z dworca do hotelu ten dorożkarski oszust wskazał mu bramę ozdobioną dwoma kamiennymi obeliskami, którą można było dostać się na wystawę.

Zyga wydobyl z paczki papierosa, zgniótł tekturową gilzę i włożył go do ust. Sprawdził kieszenie marynarki, ale dopiero w spodniach znalazł pudełko zapalek. Pierwsze dwie, na które natrafił, były wypalone, trzecia zapłonęła jasnym światłem i natychmiast zgasła, a czwartej już nie było. Zaklął pod nosem i rozejrzał się bezradnie dookoła. Postój dorożek, pomyślał, tam jest ratunek. Ruszył więc w lewo do pierwszej z brzegu, żeby poprosić o ogień...

Już z daleka dostrzegł ze zdumieniem, że w dorożce siedzi ten zabawny i niepozorny człowiek w marynarce w kratkę, który przed kwadransiem wygrał fortunę w ruletkę. Było ciepło i nie zanosilo się na deszcz, toteż buda powozu była opuszczona. Dzięki temu Zyga zobaczył natychmiast jeszcze jeden szczegół. Najpierw dorożkarz, a potem ów szczęściarz podnieśli ręce w górę. Ale dlaczego je unosili, nie miał pojęcia. Zaintrygowany zaczął się szybciej zbliżać w ich kierunku, ale oni go nie widzieli. Woźnica patrzył w dół za siebie,

a zwycięski gracz w lewo. Obaj jednak spoglądali w ten sam punkt. Tam, od strony ulicy, musiał stać ktoś, kto sprawił, że unieśli ręce... Zyga był dość zamroczony wypitym alkoholem, pomieszany z ogromną dawką kolejowego zmęczenia, nie na tyle jednak, by nie móc logicznie myśleć. Myśli spłynęły mu do głowy dość ślamazarnie, ale wniosek był oczywisty. Tym ludziom ktoś groził pistoletem!

Natychmiast włożył rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki, ale nie natrafił na swój rewolwer. Bo i skąd by miał go mieć w Poznaniu, podczas służbowo-prywatnej eskapady rozrywkowej? Mimo wszystko postanowił zareagować. Przecież był policjantem!

Puścił się biegiem w kierunku bryczki, akurat w momencie gdy od strony chodnika podbiegł do niej jakiś mężczyzna, który musiał dotąd ukrywać się w krzakach restauracyjnego ogródka. Człowiek ów miał w dłoni pistolet, na głowie zaś kaszkiet, a twarz zasłonił chustką z wyciętymi otworami na oczy. Wybił się w górę i wskoczył na stopień dorożki.

Pieprzony Zorro, pomyślał Maciejewski i nie zastanawiając się wiele, podbiegł do bandyty, po czym, capnąwszy go za kołnierz, z całej siły pociągnął w dół. Zamaskowany napastnik huknął z impetem plecami i głową o betonowy chodnik. Z dłoni wypadł mu nagan. Na wszelki wypadek Zyga kopnął go jeszcze w bok, tak żeby pozbawić przeciwnika tchu i wszelkich chęci do bójki. Bandzior znieruchomiał. Niewiele się zastanawiając, Maciejewski zdarł mu z twarzy maskę, ale ta gęba nieprzytomnego faceta nic mu nie mówiła. Gdyby był w Lublinie, może rozpoznałby klienta, ale tu... Wyprostował się i spojrzał w stronę dorożki. Facet w kraciastej marynarce siedział przerażony na kanapie, a na stopniu z drugiej strony stał człowiek w kapeluszu przypominającym kształtem melonik, z chustą na twarzy. Podniósł pistolet i wymierzył w Maciejewskiego. Zyga dostrzegł zimne spojrzenie bandyty i mógłby nawet przysiąc, że pod tą jego maską kryje się uśmiech. Niemal odruchowo uskoczył w bok ułamek sekundy wcześniej, nim strzał rozdarł nocną ciszę. Uskakując, potknął się o leżącego bandziora. Zakreśliło mu się w głowie i straciwszy równowagę, padł na chodnik obok leżącego.

– Ludzie, ratunku! – rozległ się piskliwy krzyk, dochodzący z dorożki. To najprawdopodobniej wołał ten gość od wygranej w ruletkę.

– Zamknij mordę, bo łeb odstrzelę! – zawołał bandyta.

Zyga podniósł się na łokciu lewej ręki, a prawą otarł krew zalewającą mu oko. Musiał, padając, uderzyć łukiem brwiowym w płytę chodnika, stąd natychmiast pojawił się strumień krwi. Jako były bokser znał się doskonale na takich kontuzjach. W normalnych warunkach sędzia natychmiast wykluczyłby go z ringu, ale tutaj nie było sędziego ani bokserkiego meczu. Tutaj pojedynki dopiero się zaczynały.

Chwycił leżący obok rewolwer i poderwał się na równe nogi. Złapawszy równowagę, spojrzał na leżącego bandziora. Ich spojrzenia się spotkały. Facet wracał do przytomności. Nie można mu było na to pozwolić, jeśli chciało się pójść na zwanie z tym drugim. Zyga wołał nie mieć przeciwnika za plecami, dlatego niewiele myśląc o kwestiach fair play, z całej siły, jak sprawny futbolista, kopnął faceta jeszcze raz w brzuch. Gość jęknął i sapnąwszy chrapliwie, padł znów na chodnik. Wtedy Zyga ruszył wokół dorożki. Ale z drugiej strony nie było nikogo. Zajrzał na wszelki wypadek do środka i zaraz napotkał wystraszone spojrzenie gościa w kraciastej marynarce.

– Gdzie on jest?! – zawołał Maciejewski, wymachując przy tym zdobyczną bronią.

– Ludzie, ratunku! Mordują! – wykrzyknął piskliwym głosem obrabowany mężczyzna.

– Gdzie jest bandyta, do jasnej cholery? – powtórzył znacznie groźniej podkomisarz.

– Matko Boska Ostrobramska, ratujże sługi swoje ze śmiertelnej opresji! A jeśli pozwolisz mi przeżyć, to wszystkie pieniądze oddam na ofiarę... – Mężczyzna mamrotał pod nosem solenne obietnice.

Na szczęście dorożkarz siedzący na koźle miał lepszy ogląd sytuacji i widział dobrze, jak Zyga załatwił jednego z bandytów.

– Tam poleciał, w lewo, w Matejki! – Wskazał skrzyżowanie, to samo, na którym kilka godzin wcześniej nieuczciwy woźnica wjechał pod koła ciężarowego auta.

Maciejewski nie zastanawiał się ani sekundy. Ruszył biegiem w tamtym kierunku.

– Ratunku, bandyci, rabują! – Okradziony poczuł się znacznie pewniej, gdy Zyga zniknął, tak że znów zaczął drzeć się wniebogłosy. – Łapać bandytę, ludzie, ratunku!

Tymczasem Maciejewski dobiegał właśnie do skraju wysokiej kamienicy, która stała na skrzyżowaniu dwóch ulic. W oddali słychać było kroki uciekającego napastnika, a za nim podniecone głosy ludzi, którzy wysypali się z Flory i być może z hotelu naprzeciwko. Minął narożnik budynku...

Cios wyprowadzony na ringu podczas boksterskiego meczu bardzo łatwo można sparować, można też się ukryć za wysuniętą gardą, a najprościej zastosować zwyczajny unik, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Wszystkie te działania sprawiały, że doświadczony bokser rzadko pozwalał sobie na przyjęcie ciosu wprost na twarz. A Zyga Maciejewski był przecież doświadczonym pięściarzem. Tyle że podczas meczu zawodnik może przez cały czas obserwować przeciwnika i reagować na każdy jego ruch. Tutaj natomiast Maciejewski nie widział ani sparingpartnera, ani nawet nie wiedział, że w sparingu bierze udział.

Nim zdążył się zorientować, co się dzieje, nadział się na żelazną pięść. Nie zobaczył jej nawet, tylko poczuł rozdzierający ból, wbijający mu się przez nos wprost do mózgu. Przez ułamek sekundy widział jeszcze oczy przeciwnika i mógłby nawet przysiąc, że pod chustą zasłaniającą twarz mężczyzny majaczy kształt zdeformowanego, boksterskiego nosa. Gdyby go ktoś zapytał, ale nikt jakoś do pytania się nie kwapił. Zresztą nawet gdyby się taki znalazł, to i tak nie byłoby z kim gadać, bo zalany krwią podkomisarz Maciejewski legł na porządnie utrzymanym poznańskim chodniku, a jego myśli poszybowały gdzieś hen ku centralnej Polsce i miastu Lublin, w którym mieszkała pewna niezwykle sympatyczna pielęgniarzka Róża Marczyńska. Kobieta pochyliła się nad nim, delikatnie pogładziła go po głowie, a potem chwyciła mocno za przetrącony nos. Maciejewski ryknął jak zarzynany zwierz.

– Zamknij cholerny ryj, kurwo bandycka! – warknęła Róża, a on się zdziwił, że kobieta ma taki gruby głos. A w ogóle to skąd ona zna

takie przekleństwa? Naraz twarz Róży zmieniła się w wąsatą gębę policjanta w czapce i z paskiem zapiętym pod brodą. Skąd wziął się ten policjant, tego już nie zdołał się dowiedzieć, bo naraz wciągnął go wir ruletkowego stołu, zassał w sam środek i po chwili zamknął nad nim zieloną zasłonę...

Godzina 1.05 w nocy

– To co z nim zrobimy? – zapytał Leon

– Najlepiej to jak byśmy jemu wycięli język – zaproponował Krystek. – Wtedy by nic nikomu nie powiedział, co tu widział. Na Garbarach, zaraz koło placu Bernardyńskiego, mieszka taki jeden dziad, co się nazywa Cebula, i on nie ma języka i nic nie da rady powiedzieć, ino takie ghhhhkyyy robi, jakby był gołębiem. Ale bez tego języka to wszystko zje, a wypije to nawet więcej niż inni, bo wiara powiada, że w picciu mu język nie przeszkadza.

– Głupis. Co ci da, że jemu obetniesz język? – Walek, najstarszy z trójki braci Kaźmierczaków, był chłodnym realistą, który doskonale wiedział, że takie idiotyczne metody nie przynoszą zazwyczaj pożądanego skutku.

– No jak co? – Krystkowi pomysł obcinania języka bardzo się spodobał, więc wolał wyjaśnić wszystkie wątpliwości. – Jak my by mu obcięli język, to on by nikomu nic nie powiedział.

Walek uśmiechnął się pod wąsem, a Leon postukał palcem w czoło.

– Aleś ty, Krystek, jest ćwok. To co ty se myślisz, że jakbyś mu ten ozór wyciął, to on by nic nie powiedział? – Leon wskazał na związanego jak baleron stróża, posadzonego na krześle, który z przerażeniem w oczach przysłuchiwał się dyskusji na temat własnej, nieodległej przyszłości. Szczupły, kościsty mężczyzna o twarzy zarośniętej kilkudniową szczeciną i wąsami przypominającymi szczotkę do czyszczenia ubikacji, miał najwyraźniej coś do powiedzenia we własnej sprawie, ale nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Uniemożliwiała mu to bowiem brudna szmata, wepchnięta do ust.



– A to se wetknij język między zęby, przygryź go i powiedz coś. No, dalej, śmiało, jak żeś taki mądry, to powiedz, żeś jest najmądrzejszy na świecie. – Krystek nie dawał za wygraną.

Leon machnął ręką na znak, że nie zamierza kontynuować dyskusji, która do niczego nie prowadzi. Sięgnął po kolejną butelkę zimnej wódki z lodówki, zerwał aluminiowy kapsel i nalał do dwóch szklanek, dla siebie i Walka. Krystek jako zbyt młody nie mógł liczyć na kolejną porcję.

Tymczasem najstarszy brat jednak uznał, że młodemu trzeba skutecznie wyjaśnić, gdzie popełnił błąd, by na przyszłość wiedział, że pewnych rzeczy się nie robi.

– Posłuchaj, Krystek. Dobrześ chciał, ale trzeba do wszystkiego podchodzić z głową. Ten tu siedzący przy naszym stole cieć nic winny nie jest, że wpadł jak śliwka w kompot. Przylazł na górę zamiast smacznie spać, bo jest nadgorliwy. No więc mógł se spać i nic nie widzieć, ale mu się zachciało sprawdzić, co i jak, no i wpadł w nasze ręce. No a jak już wpadł, to musi być tak, że już więcej słowa nie powie nikomu o tym, co tu widział i kogo widział.

– No jakby mu język uciąć, to...

Walek podniósł palec w górę na znak, że jeszcze nie pora na przerywanie jego wyjaśnień.

– Jakbyś mu uciął język, toby nic nie powiedział. Tu jest zgoda. Ale jeszcze przecież ma ręce. Toby mógł przecież napisać. Odciałybys mu prawą, to jeszcze lewą by napisał. A jak i lewą odetniesz, to co wtedy...?

– To już nie napisze. – Krystek zrozumiał zamysł brata.

– Nie do końca. Bo będzie miał jeszcze ślepie, którymi wszystko zobaczył. I można mu pokazywać zdjęcia albo ludzi i on może głową skinąć na znak, że się zgadza. I co wtedy?

– Obciąć całą głowę?

– No widzisz, o to się właśnie rozchodzi – pochwalił brata Walek. – Zamiast się męczyć z obcinaniem wszystkiego, wystarczyłoby ino przejechać go kosą po gardle i sprawa zakończona.

Zadowolony ze swojego wykładu Walek spojrzął na stróża. W jego szeroko rozwartych oczach widać było przerażenie. Nic dziwnego. Każdy by się bał ludzi, którzy swobodnie, przy kielichu wódki,

rozprawiają o obcinaniu języka czy wydłubywaniu oczu. Dlatego Kaźmierczak uśmiechnął się do stróża, a potem popatrzył na Krystka.

– Ale myśmy nie są jakieś oprychy spod ciemnej gwiazdy, co to mordują bezbronnych ludzi, co nie, Leon?

– Jak najbardziej – potwierdził drugi brat, zajęty opróżnianiem swojej szklanki.

– I dlatego najlepiej się dogadać. Weź no wyciąg mu ten szmat z gęby – polecił Krystkowi. Ten natychmiast szarpnął za koniec ścierki i odblokował usta ciecica. Mężczyzna wciągnął głęboko powietrze, a potem zacharczał, jakby się dusił, ale najwyraźniej nie miał zamiaru jeszcze umierać, bo spróbował coś powiedzieć, tyle że była to niezbyt udana próba.

– Yyykrrrrrychhh – wycharczał niezrozumiale.

– Daj mu pić!

Leon chwycił stojący na stole kubek, nalał do niego nieco wódki i przyłożył do ust stróża. Ten przełknął i od razu mu się polepszyło.

– Nie trzeba nic ucinać – wydukał z przejęciem. – Całkowicie nic nie trzeba ucinać!

– No widzisz, Krystek, pan się już z nami zgadza. Teraz trzeba tylko sprawdzić, czy we wszystkim mamy zgodę.

– Mamy zgodę jak najbardziej! – rzucił szybko stróż.

– A jaką zgodę i w jakiej kwestii? – zapytał Leon.

– W jakiej se ino chceta. Ja wszystko powiem jak na świętej spowiedzi, ino żebyśta mnie nie zabijali ani języka nie obcinali, ani ręki!

– A jak się nazywasz?

– Wilhelm Kajzerek, syn Gustawa.

– Za to, co żeś zrobił, panie Kajzerek, tam przy drzwiach, to my ci powinniśmy jaja obciąć – przypomniał niefortunne zdarzenie Walek, a stróż na myśl o tym pociągnął głośno nosem, jakby chciał w ten sposób pokazać cały swój żal po tej niezbyt przyjemnej sytuacji. Bo też była ona i niefortunna, i niezbyt fartowna dla ciecica.

Gdy rozległo się pukanie, Tolek machnięciem ręki nakazał swoim podwładnym zachowanie całkowitego spokoju, a potem sam ruszył

w kierunku drzwi. Na wszelki wypadek wydobył z kieszeni marynarki, którą jak każdy kulturalny gość przybywający do mieszkania, powiesił w przedpokoju, niewielki rewolwer. Tolek raczej nie używał broni, bo zdecydowanie wolał walkę na pięści, ale w niektórych sytuacjach mogła się przydać. Dlatego na dzisiejszą akcję zabrał rewolwer na wszelki wypadek. Wsadził teraz browninga za pasek od spodni i podszedł do drzwi. Ostrożnie odsunął klapkę judasza i wyjrzał na zewnątrz. Jego oko natychmiast natrafiło na inne, całkiem cudze oko po drugiej stronie. Ktoś próbował zajrzeć przez wizjer do środka.

- A mam cię, ty złodziejski skurwiały synu! - zawołał ten ktoś z drugiej strony. Krzyk mógł narobić niepotrzebnego zamieszania, dlatego Tolek zadziałał niemal odruchowo. Otworzył drzwi i stanął już nie oko w oko, ale pierś w pierś z odzianym w szary uniform stróżem. Mężczyzna trzymał w dłoniach obrzynek mausera. Z takiej broni mógł zastrzelić dzika, a co dopiero takiego szczupłego człowieka jak Tolek. Trzeba więc było podejść do niego ostrożnie.

- A zamknijże mordę, łachudro niemyta! - najechał na ciecia, a ten aż się skulił. Widać należał do tych, co lubili krzyczeć na innych, a nie bardzo podobało im się, gdy ktoś darł się na nich. - Ty obesrańcu w mordę kopany, jak śmiesz, pierdoło z Gądek, drzeć ryja na gościa dostojnego, co tu przyjechał z samego... - przez chwilę szukał odpowiedniej nazwy, która zrobiłaby odpowiednie wrażenie na prostaku - ...z samego Paryża!

- Łe, jak to z Paryża? - Stróż najwyraźniej był zdziwiony. - Nic mi nie gadali, że ktoś z jakiego Paryża przyjedzie.

- A bo ty se myślisz, że takiemu obesrańcowi się państwo będą tłumaczyć, że będą mieć specjalnego gościa z samej Francji? Państwo nie są od tłumaczenia, ino od wydawania poleceń. Rozumiesz, o co się rozchodzi, koński łbie?

Stróż przestąpił z nogi na nogę i zdjął swoją starą wojskową czapkę z głowy.

- Upraszam się o wybaczenie wielmożnego pana, ale pan nic nie gadał, że ktoś tu przyjedzie z Paryża, tom se pomyślał, że to złodziej jakiś...

– No to jak już się napatrzył, że nie złodziej, ale porządny gość, to czego jeszcze trzeba?

– Zasadniczo to nic. I ja już se pójdę.

– I dobrze.

– Ino że jeszcze się zapytam, czy pan długo tu se winszuje siedzieć wew tym mieszkaniu.

– A gównu cię to obchodzi... – Tolek mógłby tak jeszcze długo rugać stróża, ale naraz przerwał, gdy zza jego pleców dobiegł odgłos charczącego kaszlu. Rozpoznał go od razu. To Walek charczał, bo za gardło chwyciła go duchota. Ostatnio zdarzało mu się to coraz częściej. Niby nic nadzwyczajnego, jednak w tej ich robocie nie powinno, bo mogło wszystkich wystawić na niebezpieczeństwo tak jak teraz.

CzuJNI stróż od razu zrozumiał, że coś jest nie tak. Uniósł swój obrzynek w górę i wycelował Tolkowi w pierś.

– Ręce do góry! – zawołał drżącym głosem.

Tolek podniósł jedną rękę. Ciec popatrzył zdziwiony na tę uniesioną ponad głową, a potem poszukał wzrokiem drugiej. Szukać daleko nie musiał, bo ta nadspodziewanie szybko znalazła się na linii jego spojrzenia. Ale nie była to sama ręka, ale dłoń wyposażona w rewolwer, którego otwór łypał groźnie gdzieś w niewielką przestrzeń między siwymi oczami mężczyzny.

– Olaboga! – jęknął stróż i zamiast grzecznie odłożyć mausera na podłogę, chwycił go w obie dłonie jak żniwiarz cep, by ruszyć na Tolka. I to był jego największy błąd. Bo Grubiński ani myślał dać się staranować. On był młody i zwinny, a stróż stary i ociężały, więc ten miał małą szansę, by wygrać pojedynek. Gdyby trafił Tolka kolbą w głowę, to co innego. Tyle że mu się nie udało. Zamachnął się mocno, a gdy mauser natrafił na próżnię, pchnięty siłą bezwładu, poleciał za swoją bronią. Wystarczyło tylko, że jego przeciwnik wystawił nogę przed siebie, by stróż padł na podłogę jak długi. Nie wypuścił z rąk karabinu i przez to poleciał na twarz, bo dłonie nie zamortyzowały upadku. Głuchy łoskot zderzenia czaszki z dębową klepką poniósł się po korytarzu. Stróż został kompletnie ogłuszony. Nie zauważył nawet, kiedy pochwyciło go kilkoro rąk, które obwiązały go ciasno sznurem od bielizny. Związane go posadzono na

krześle w kuchni. Odzyskał świadomość dopiero w momencie, gdy do jego mózgu dotarła informacja o obcinaniu języka.

– Najlepiej nic nie obcinać, a ja nic nikomu gadać nie będę, żeście panowie obrobili to mieszkanie. Nic żem nie widział, nic żem nie słyszał. Milczę jak nieboszczyk w grobie.

– Nalej mu jeszcze wódki! – Walek polecił Krystkowi, co ten natychmiast wykonał. Teraz cieć musiał wypić, by przypieczętować sojusz ze złodziejami. Jak wypije i przyklepie, to będzie oznaczać, że nikomu nie może ich już wydać.

– Podaj, niech se łyknie.

Najmłodszy Kaźmierczak przyłożył szklanke do ust stróża, a ten szybko wypił całą zawartość.

– No to teraz już możesz się przysięgnąć.

– Że co?

– Że umarł w butach, że żeś już zapomniał, coś tu widział, i nigdy cię tu nie było.

– Właśnie zapomniał żem wszystko, co miał żech zapomnieć.

– Chodźcie ino tutaj! – Do kuchni dobiegł zaaferowany głos Zenusia, który wraz z Tolkiem zajmował się otwieraniem sejfu. Wszyscy trzej bracia poderwali się jak na komendę, w jednej sekundzie zapominając o swoim nowym wspólniku. Ten pobiegłby pewnie za nimi, ale przywiązany do krzesła, nie miał żadnych szans.

– Jedni siedzą i piją, a drudzy pracują. – Uśmiechnięty od ucha do ucha Brodziak wskazał na otwartą kasę pancerną, a potem na biurko. Na jego blacie piętrzyły się paczki banknotów. Prócz nich było tam jeszcze sporo różnych papierów. Ale te nie zrobiły najmniejszego wrażenia na włamywaczach. Wszyscy trzej, wpatrzeni w pliki pieniędzy, podeszli do biurka.

– Jezusie Nazareński – szepnął Krystek. – Kto to wszystko wyda?

– Wydać to nie sztuka. Ino jak to zrobić, żeby nikt się nie domyślił, żeś jest bogaty jak sułtan turecki? – Walek zaraz zaczął rozważać wszelkie niebezpieczne kwestie.

– Ja tam wydam w trymiga, co moje, i nikt się nawet nie obejrzy – rzucił buńczucznie Leon.

– Ciekawe, ile tego jest? – Krystek pogłaskał najbliższy plik banknotów.

– Majątek – odparł Zenuś. – Do końca życia wystarczy ci na ptasie mleczko.

– Jakieś dziesięć tysięcy dolarów będzie, a złotych może być i dwa razy więcej – odezwał się siedzący w głębokim, skórzanym fotelu Tolek Grubiński, najwyraźniej zadowolony z efektu, jaki wywołał łupem. W zębach miał cygaro wydobyte z pudełka, które właściciel mieszkania trzymał na biurku. Tolek nie palił cygar, ale z takiej okazji można było zrobić wyjątek. Odgryzł więc czubek, wypłuł go na podłogę i podpalił. – No dalej, nie stójcie tak, pakować bejmy do jakiejś torby i będziemy się zbierać powoli.

– Jak to? – zdziwił się Walek. – Przecież mieli my całą chatę zrobić, łącznie z gratami.

– Chatę to żeś miał robić, jak nie wiedzieliśmy, ile będzie w kasie. Ale przy takich pieniądzach chce ci się dodatkowo zarobić jakiś... – rozejrzał się, oceniając jakość mebli i obrazów na ścianach – ...jakiś tysiączek, no najwyżej dwa.

– Mnie tam wystarczy tych bejmów – zgodził się z szefem Zenuś.

– Pewnie, co będziemy graty taszczyć po schodach, jak tu tyle kasy – poparł przyjaciela Krystek.

– To może choć srebra i co tam jeszcze ruchomego w łapy wpadnie byśmy wzięli. – Leon popatrzył na swoich współników z nadzieją, bo szkoda mu było zostawić w mieszkaniu tyle dobra.

Tolek spojrzął na swoich ludzi i pokiwał głową.

– No skorośmy tu już przyszli...

Wszystkie twarze się rozjaśniły.

– Bierzemy tylko luźne klunkry, znaczy to, co da się łatwo wynieść. Meble zostawiamy.

– A te flepy[20]? – Krystek wskazał na stertę papierów i teczek, które Tolek wydobył z szafy pancерnej.

– Papiery weź no wrzuc...

– Do pieca? – domyślił się chłopak. Tolek pokręcił głową. Wiedział, że papierów nie wolno lekceważyć. Kiedyś mało nie wyrzucił pewnej teczki, która wpadła mu w ręce podczas włamania do hotelowego

pokoju, i gdyby się jej pozbył, może miałby mniej kłopotów, ale za to, ile zyskali jego znajomi, gdy już się okazało, że papiery są u niego.

– Te papiery mogą być nic niewarte – powiedział, zaciągając się aromatycznym dymem – ale niekiedy jest tak, że więcej zyskasz z flepów niż z bejmów. Poza tym nasz lokaj chciał je wziąć.

– Czyli że? – Zenuś wskazał na teczki.

– Pakować. Pakować wszystko jak leci.

– A co ze stróżem? – przypomniał sobie Leon.

– Jak co? Niech wam pomoże w pakowaniu gratów!

Banda Tolka Grubińskiego rażno zabrała się do roboty. Godzinę później nie było już po nich śladu. W mieszkaniu został tylko stróż. Leżał na podłodze... kompletnie pijany.

## Godzina 1.20 w nocy

– No to masz pan szanowny szczęście, że policja w porę się na miejscu zdarzenia pojawiła – stwierdził przodownik Kaczmarek, przyglądając się niezbyt sympatycznej gębie bandyty zatrzymanego przez niego osobiście z pomocą młodego posterunkowego Frączaka.

Ale przecież o Frączaku w raporcie nawet nie musi wspominać. Napisze, jak było, że jako dowódca dwuosobowego patrolu usłyszał podejrzane odgłosy i krzyki i w związku z tym nakazał swojemu podwładnemu szybki bieg we wskazanym kierunku, i gdy obaj przybiegli na skrzyżowanie Grunwaldzkiej i Matejki, wprost na nich wyskoczył uzbrojony w broń krótką bandzior, a on, Kaczmarek Kajetan, używając silnej przemocy, obezwładnił go, pozbawiając broni i zarazem przytomności umysłu, że się nie ocknął nawet bandyta, jak jego pakowali do dorożki, żeby zawieźć tę łachudrę do aresztu w Dyrekcji Policji. A o tym Frączaku to napisze, że pomagał i jest robotny. Bo przecież nie będzie go chwalił za dużo, żeby któryś z oficerów nie zapytał młodego, jak było z tym zatrzymaniem, boby mógł wygadać, że usłyszawszy krzyki, pobiegli i znaleźli bandziora już leżącego bez przytomności, i on na wszelki wypadek, żeby czasami to bandyckie nasienie nie uciekło, walnął go kilka razy w ryło i dobrze zrobił, bo bandzior był unieruchomiony na ament.

– Szczęście to ja bym miał, jakbyście zatrzymali tego drugiego, a nie trzeciego! – zawołał mężczyzna w kraciastej marynarce, któremu bandyci przed chwilą ukradli całą wygraną w ruletkę.

– Jakiego trzeciego?

– No tego, co mnie pieniądze wydarł.

– A to nie ten? – Przodownik wskazał na zakutego w kajdanki i leżącego na podłodze dorożki gościa z przetrąconym nosem.

– To ten, ale nie ten konkretnie.

– To znaczy się kto?

– Ten trzeci. A drugi, co leżał na chodniku, o tutaj, gdzie my teraz stoimy, to uciekł przed chwilą i tam poleciał, w kierunku na kasyno wojskowe, a ten pierwszy, co zabrał pieniądze, to w drugą stronę, w Matejki, skąd żeście wy nadbiegli. Musieliście go widzieć.

– No żeśmy widzieli i żeśmy zatrzymali, i o, jest on tutaj.

– Kiedy to nie on. – Nie dawał za wygraną obrabowany człowiek.

– A pan szanowny to czy aby nie kręci?

– No wie pan co! – oburzył się poszkodowany mężczyzna. – Wy, panie policjancie, sobie za dużo pozwalacie. Zamiast ścigać bandytę, stoicie tutaj jak niby nic i się mnie rozpytujecie, a on z moimi pieniędzmi sobie już gdzieś w mieście hula.

– Na co sobie pozwala policja, to nie panu oceniać – warknął przodownik i zaraz wydobył z kieszeni munduru czarny notes. Otworzył go na pierwszej wolnej karcie i chwyciwszy ołówek, zapytał ostrym tonem:

– Imię, nazwisko i data urodzenia.

– Co? – zdziwił się obrabowany.

– To, co powiedziałem, dane personalne do zanotowania w notesie, znaczy imię, nazwisko i data urodzenia, wyznanie...

– To oburzające.

– A jak szanowny pan chce, żebyśmy go poinformowali, jak się te bejmy zrabowane znajdą? Mamy pisać list na Berdyczów?

– To zmienia postać rzeczy...

– Panie policjancie, a ja długo mam tu stojeć?! – zawołał zniecierpliwiony dorożkarz. Na podłogę jego bryczki wrzucono skutego przestępcę, którego trzeba było dostarczyć do aresztu.

– Jak się zapisze wszystko, to pojedziemy na Ratajczaka.



– Ale długo jeszcze, bo mi się chce łać...

– No to co mi, chłopie, dupę zawracasz, idź se łać w krzaki i zaraz wracać mi tu.

– Melduję, że już idę.

– No to co z tym imiem i nazwiskiem szanownego pana? – Przodownik spojrział na zniecierpliwionego obrabowanego.

– Pisz pan, ino dokładnie, Fryderyk Wiza, zamieszkały w Wągrowcu, przy ulicy Poznańskiej...

– A wew jakim charakterze przebywa pan w Poznaniu?

– A w charakterze, że co wam do tego?

– Mnie nic a nic i osobiście panu powiem, że mi tam ganc pomada, co szanowny pan w Poznaniu se porabia. A dokładniej, gdzie jeszcze mam, to nie powiem jako dobrze wychowany policjant na służbie. Ale do protokoła trzeba zapisać, co za persona została napadnięta, żeby wszystko było tak jak być powinno. Bo jak coś się nie będzie zgadzać, to mogą bejmów nie oddać.

– To w takim przypadku pisz pan, że przebywam w charakterze zwiedzającym Powszechną Wystawę Krajoznawczą.

– Krajową – poprawił go policjant.

– Co? Jaką „krajową”?

– Taka wystawa jest pierwszy raz, a ma się odbywać raz na dziesięć lat, to chyba dobrze jest wiedzieć, jak się ona nazywa, bo pan będziesz o niej swoim wnukom opowiadał.

– Jakim wnukom, jak ja nie mam dzieci?

– Młody pan jest jeszcze, dzieci będą w przyszłości, a wystawa jest krajowa

– Krajowa czy zagraniczna, mnie tam wszystko jedno. Ja jestem obrabowany, to mnie się może mieszać w głowie od tych przeżyć.

Nocną ciszę przerwał warkot samochodowego silnika. Po chwili przy krawężniku zatrzymał się wysłużony ford T, kierowany przez policjanta. Z tylnej kanapy wyskoczył aspirant Oskierko, który akurat tej nocy pełnił dyżur. Gdy podoficer odbierający telefony poinformował go, że w mieście znów doszło do rabunkowego napadu i dodatkowo jeszcze ujęto na miejscu sprawcę, nie zastanawiał się ani sekundy. Skoro zatrzymano jednego z bandytów, to ujęcie drugiego było już tylko kwestią czasu, a to oznaczało koniec

kłopotów poznańskiej policji podczas PeWuKi. Oskierko musiał więc sprawdzić wszystko sam, żeby rano móc o sukcesie meldować Fischerowi.

– Gdzie zatrzymany? – zapytał aspirant, rozglądając się dookoła.

– Tam leży, w dryndzie. – Przodownik wskazał stojącą nieopodal dorożkę.

Oskierko podszedł bliżej i zajrzał do środka. Bandzior z zakrwawioną gębą leżał nieprzytomny na podłodze bryczki. Policjant przyjrzał mu się uważnie na tyle, na ile pozwalało światło pobliskiej latarni, i z wyraźną radością pokiwał głową z uznaniem. Wszystko się zgadzało. To był ten gość, którego szukał. Złodziej miał przetrącony nos.

– Kto go ujął? – zapytał aspirant.

Przodownik wyprężył się i zasalutował.

– Melduję posłusznie, że ja!

– Ja, czyli że kto?

– Przodownik Kaczmarek z posterunku na Jeźycach.

– Sami żeście go ujęli?

Policjant pokręcił głową.

– Melduję, że na patrolu byli my oba, znaczy się jeszcze ten Frączak. – Wskazał głową posterunkowego.

– No to dobrze żeście się spisali. Na pewno nie minie was pochwała za złapanie niebezpiecznego przestępcy. A swoją drogą to jak żeście go złapali?

Podoficer milczał przez chwilę, jakby właśnie przypominał sobie całe zajście. Tak to wyglądało z perspektywy Oskierki. Tymczasem ten zastanawiał się, co w ogóle powiedzieć, żeby nie skłamać, bo do powiedzenia za dużo nie miał, a chciał koniecznie przedstawić się w korzystnym świetle.

– Melduję, że to się zadziało tak szybko, że ani człowiek spamiętał.

– Nie pamiętacie? – Oskierko się zdziwił, ale jeszcze nie nabrał podejrzeń. Napatrzył się już na podoficerów, którzy w kwestiach bystrości rzadko bywali prymusami. Ten widać musiał należeć właśnie do takich „bystrzaków”, pomyślał oficer. – To może wasz posterunkowy powie, jak było?

– Nie, on się do gadania nie nadaje – rzucił pośpiesznie Kaczmarek. – Bo to po prawdzie to było tak, panie aspirancie, że jak oni, znaczy się, ci bandyci, zaczęli uciekać, to my ich wzięli z dwóch stron. Żeby nie uciekli i żeby choć jednego złapać. To ja pobiegłem na drugą stronę ulicy, o tam, na rogu tej kamienicy, się przyczaiłem, a jak on wybiegł prosto na mnie, to ja jego prawym prostym wew pysk tak przywaliłem, że o... – Wskazał nieprzytomnego człowieka, leżącego na podłodze w dorożce. Ten naraz uniósł się w górę, potrząsnął głową jak zamroczony byk i usiadł, rozglądając się nieobecny wzrokiem. Najwyraźniej nie miał pojęcia, co się dzieje. Pomasażował sobie obolały podbródek, a gdy natrafił spojrzeniem na policjantów, machnął na nich ręką.

– Ty, aspirant, chodź no tu! – zawołał, a potem spróbował się uśmiechnąć. Ale uśmiech był paskudny, bo nos i usta miał całe uwalane krwią. – Dalej, do jasnej cholery, pomóżcie no mi tu stanąć! – warknął jeszcze raz, próbując wygramolić się z dorożki. Nie udało mu się, bo przodownik podbiegł do niego i niespodziewającego się niczego mężczyznę trzepnął z całej siły pięścią w skroń. Uderzenie, mimo że potężne, jednak go nie znokautowało. Jęknął tylko i jakby od niechcenia zaatakował policjanta prawym sierpowym. Cios został wyprowadzony tak fachowo, że Kaczmarek padł jak długi na bruk. Jego pogromca chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie zdążył. Z drugiej strony, od tyłu, posterunkowy Frączak walnął go w głowę kolbą karabinu. Tego uderzenia nikt by nie wytrzymał. Napastnik osunął się na podłogę dorożki bez przytomności.

Co za twardziel, pomyślał z odrobiną uznania Oskierko.

– Posterunkowy, weźcie no i skujcie go kajdankami, bo gotów nas wszystkich pobić. I wrzucicie do naszego wozu. Trzeba go wieźć do aresztu. A rano się delikwenta przesłucha i wtedy już nie będzie taki hardy jak dziś.

– Melduję posłusznie, panie aspirancie, że ja jutro bym chętnie z tym draniem pogadał – oświadczył przodownik, którego niespodziewany cios pozbawił zęba. – Bo nie może tak być, żeby byle łachudra biła policjanta na służbie.

Oskierko pokiwał głową. Nic go to nie obchodziło. Jeśli ten podoficer chciał na ochotnika przesłuchiwać zatrzymanego, to jemu

nic do tego. W końcu w policji, tak jak w każdej innej dobrej firmie, szczególnie ceniło się własną inicjatywę i chęć pracy po godzinach. Nie mógł mu przecież tego zabronić.

Godzina 3.40 w nocy

*Patrzcie się, państwo, na tego kupca,  
Co się wew dryndzie rozpiera.  
Brzuszyisko wielkie, wąż podkręcony,  
A węź go jasna cholera!  
Portfel wypchany ma dolarami,  
Drugiemu nie da grosika,  
Ale nadejdzie jeszcze odpłata,  
Zatrzęsie się jak osika.*

Harmonista Walczak siedział na krześle i trochę jakby od niechcienia przyciskał klawisze swojego instrumentu. Śpiewał też niezbyt nachalnie, swoim chropowatym i mocno zużytym głosem, bo pora nie była najlepsza na głośne i skoczne piosenki. Teraz gościom zagryzającym ostry smak wódki chlebem ze smalcem nie potrzeba było szlagwortów, ale cichej pieśni, pobudzającej do refleksji.

Tolek Grubiński nie miał dobrego humoru. A wszystko przecież udało się pierwszorzędnie i powinien się cieszyć tak samo jak jego koledzy ze złodziejskiej bandy, którzy z radością opijali dzisiejszy sukces. Ukradli przecież nieprawdopodobnie wielką sumę pieniędzy, do tego ogołocili jeszcze mieszkanie ze wszystkiego, co się dało włożyć do worka, i dlatego teraz mogli świętować. Siedzieli razem w gospodzie U Okonia, pijąc wódkę, popijając piwem i zajadając się doskonałą kiełbasą oraz szynką pokrojoną w grube plastry. Na stole stał jeszcze wielki słój z ogórkami kiszonymi i drugi, nieco mniejszy, ze śledziami z cebulką, zalany olejem.

– Uczta jak na pańskim stole – stwierdził Walek, oglądając te wszystkie dania, które zamówił dla nich ich szef.

– No to ucztujcie, jak pan Bóg przykazał – polecił herszt bandy i złodzieje natychmiast rzucili się do picia i jedzenia, wygłodniiali po

nocnej eskapadzie. Bo tam, mimo że wódki było pod dostatkiem, to do jedzenia niczego konkretnego, prócz kawioru, nie znaleźli. Teraz musieli sobie to odbić z nawiązką.

– A ty co żeś taki markotny? – zapytał Walek, widząc niewyraźną minę Tolka. – Ino mi nie gadaj, żeś jest niezadowolony z tego, cośmy tam znaleźli. Na więcej nie mógł żeś liczyć.

Tolek machnął ręką.

– Pieniędzy było więcej, niż powiedział ten lokaj Górka, co nam tę robotę naraił, ale co inne mnie martwi.

– Co takiego?

– Te papiery.

– Jakie papiery, do diaska?

– Te, co były w kasie ogniotrwałej, co my je z niej wyciągnęli.

– I co z nimi?

– Jakieś trefne mi się widzi, że są.

– No to je do pieca i będzie po kłopotcie – stwierdził Walek, wkładając sobie do ust plaster szynki.

– Tylko głupi pali papiery.

– A niby to czemu?

– Bo zapisany papier to jest czyjaś ciężka robota. Pomyśl se, ile byś musiał siedzieć nad jedną kartką, żeby ją w całości zapisać od góry do dołu? Nie po to ktoś się męczył, zapisywał wszystko na maszynie i wkładał do teczek, żeby to ot tak spalić. Papier z literami to czyjaś praca, a pracę trzeba szanować.

Walek pokiwał głową.

– Niby masz rację – zgodził się w końcu z kolegą. Tym bardziej że nie przypominał sobie ostatnio takiej sytuacji, w której napisałby więcej niż swoje imię i nazwisko na jakimś urzędowym papierze. Nawet podczas wojny, gdy wysyłał do domu listy, ograniczał się tylko do kilku słów na pocztówce, informując rodzinę, że jest zdrowy, nic mu nie trzeba, bo sobie jakoś radzi, a poza tym zamierza szybko i w całości wrócić.

– Żeby zapisać całą kartkę, to trzeba w ogólności wiedzieć, co by tam miało być zapisane.

– A widzisz! Jak człowiek nie wie, co napisać, to chociażby i cały dzień siedział i się namyślał, to nic nie wymyśli. Ale są tacy, co to

usiądą i napiszą wszystko, co potrzeba. W wojsku jak byłem, to było kilku takich, co nie dość, że umieli wszystko napisać, to nawet jeszcze potrafili na maszynie.

– Nasz kancelista, Kempke się nazywał, on też na maszynie wypisywał codziennie nazwiska wszystkich zabitych chłopaków. Sam widziałem.

– No widzisz, znaczy się trzeba takie pisanie uszanować, a nie palić w piecu.

– A co tam w tych papierach jest? – zainteresował się najstarszy Kaźmierczak.

– A bo ja ci wiem?

– Nie czytał żeś?

– Nie, ino włożyłem do worka.

– No to pokaż.

– Tutej? – Tolek rozejrzał się dookoła. Wszystkie stoły wokół były zajęte. Na ławach siedzieli mężczyźni o niewyjściowych gębach, pijący wódkę i popijający ją piwem. Palili fajki i skręty, niektórzy rozmawiali i grali w skata, ale większość konsumowała w ciszy, wsłuchując się w smętne takty, wygrywane i wyśpiewywane przez harmonistę Walczaka.

*Aż naraz szybko z bramy wypada  
Mściciel wew masce na twarzy,  
Dryndziarz pobladły, kupiec zemglony,  
Opór dać któż się odważy?  
Ręce do góry, krzyczy ten w masce,  
A sprawta się należycie,  
Dawać pieniądze, oddawać złoto,  
Bo wnet odbierzem wam życie.*

Żaden spośród zapijających swój smutny los nawet nie spojrzął w kierunku stolika zajmowanego przez bandę Tolka. Wszyscy ich tu znali i dobrze wiedzieli, że lepiej trzymać się od nich z daleka, bo bliższy kontakt z Kaźmierczakami może się skończyć w najlepszym razie rozbitym nosem. Tolek, rozejrzawszy się, nie dostrzegł więc nikogo, kto mógłby być zbyt ciekawski. Nawet trójka pozostałych

członków bandy nie była zainteresowana tym, co robią dwaj najstarsi. Młodzież zajęła się rzucaniem kości. Grubiński schylił się więc pod stół, by podnieść leżący na podłodze płócienny worek. Położył go sobie na kolanach, chwilę pogrzebał w środku, a potem wyciągnął na blat trzy szare teczki. Nie sprawiały jakiegoś szczególnego wrażenia. Zwyczajne teczki, zawiązane białą tasiemką.

– Jak akta personalne wyglądają. – Walek przypomniał sobie równe rzędy dokumentów w kancelarii pułkowej, którą kiedyś podczas służby kazano mu pozamiatać i umyć w niej podłogę. Tam wszystkie ściany od podłogi po sufit zastawione były solidnymi szafami z półkami, na których stały takie właśnie teczki. Tyle że każda z nich opisana była imieniem i nazwiskiem jakiegoś żołnierza. Te natomiast były bezimienne.

– No to trzeba zobaczyć, co tam zapisali. – Tolek pociągnął za tasiemkę, rozwiązując ją. Otworzył i zajrzał do środka. Tekst był urzędowy, napisany na maszynie i do tego jeszcze wielkimi literami.

– Plan mobilizacyjny Garnizonu Poznańskiego, zatwierdzony przez Dowództwo Naczelne Wojska Polskiego w Warszawie – przeczytał.

– Jaki plan? – Walek najwyraźniej nie zrozumiał, w czym rzecz.

– Mobilizacyjny – wyjaśnił Tolek, jeszcze raz powoli odczytując trudne słowo.

– A, mobilizacja to jest wtedy, jak jest wojna. Znaczą wtedy wszyscy ludzie idą do wojska. – Kaźmierczak przypomniał sobie, bo też podlegał mobilizacji. – Ino że teraz przecież nie ma wojny. To musi być jakiś stary papier, bo my byli mobilizowani jeszcze za Prusaka.

– Głupiś, chłopie. Słyszał żeś, co powiedziałem, znaczą się co przeczytałem. Przecie wyraźnie jest powiedziane, że to plan zatwierdzony przez dowództwo polskie. A poza tym po polsku jest napisane, a nie po niemiecku. A to znaczą się, że nie stary, tylko nowy.

– He, he, to jak nowy, to niby skąd się wziął u jakiegoś gościa, co nie jest wojskowym? Przecież ten Niemiec to nie jest nasze dowództwo naczelne, bo on jest Niemiec, nie? – Walek słusznie rozumował, ale nie potrafił swoich wniosków wyrażać zgrabnymi zdaniem. Jednak nie miało to większego znaczenia. Wystarczyło, że

pomimo sporej ilości wypitej wódki do Tolka dotarł sens tego, co powiedział kolega.

– O ja żeż cię pierdolę! – mruknął pod nosem.

– Że co? – Kaźmierczak się zdziwił, bo Tolek, jako człowiek dobrze wychowany i ubierający się jak ktoś zajmujący poważną pozycję w okolicach Starego Rynku, nie przeklinał jak byle dorożkarz. Jeśli w jego ustach pojawiała się przekleństwo, oznaczać to mogło tylko jedno – sprawa była poważna.

– To jest tajemnica wojskowa.

– Że niby gdzie jest ta tajemnica?

– No w tych flepach. Patrz się tutaj.

Walek nachylił się nad teczką i spojrzał w miejsce, które palcem wskazywał Grubiński.

– No widzę, ino że nie dam rady odczytać, bo do góry nogami – stwierdził, spoglądając to na swojego kompana, to na napis. Z czytaniem niezbyt dobrze mu szło, bo gdy czytał gazetę, co mu się rzadko zdarzało, to z trudem łączył poszczególne sylaby. Ale litery odwrócone do góry nogami to była dla niego prawdziwa chińszczyzna. Tolek okręcił więc teczkę i wtedy dopiero Walek odczytał treść czerwonej pieczęci, którą ostemplowano pierwszą stroną.

– Widzisz? Ściśle tajne, a to znaczy się, że nikt, kto nie ma pozwolenia, nie może czegoś takiego czytać – wyjaśnił Tolek.

– To i my nie możemy – dodał szybko Walek na wypadek, gdyby przypadkiem Tolkowi przyszła do głowy myśl o dalszym przeglądaniu akt. Mógł przecież przeczytać i kazać jemu zrobić to samo. A on nie miał ani czasu, ani ochoty na ślęczenie nad jakimś urzędowym pismem. Tym bardziej że Leon właśnie rozlewał kolejną flaszkę.

– No panowie, przestańta się gapić na jakieś teczki – rzucił średni brat. – Napijta się, bo wódka stygnie, a pan Feliksiak już by pewnie chciał nam podrzucić następną butelczynę.

– Ino że to jest ściśle tajne – objaśnił Walek, wskazując na teczkę.

– Co jest ściśle tajne? – zainteresował się zaraz Zenuś. Krystek też spojrzał na starszych z zaciekawieniem.

– Jak co jest ściśle tajne, to znaczy, że nie możecie tego wiedzieć. Nikt nie może wiedzieć prócz tych, co mogą – odparł Tolek, który już



wiedział, że nie może byle kogo wtajemniczać w tajemnice wojskowe, bo zrobi się z tego poważny problem. W zasadzie to problem już był, teraz trzeba było go jak najszybciej rozwiązać...

*A Mściciel w masce z łupem ucieka,  
Kupiec wciąż krzyczy ratunku.  
Już tam rychtują swoje giwery,  
Szukiety na posterunku.  
Oj, nie uciekniesz w masce Mścicielu,  
Choć cię lud biedny wspiera,  
Bo cię dosięgnie ręka policji  
I komisarza Fischera.*

I naraz Tolek zrozumiał, co powinien zrobić. Może było niezbyt honorowo pomagać szkiełom, ale przecież tu nie chodziło o zwyczajną sprawę. Jeśli ten gość, właściciel kasy, miał u siebie schowane polskie dokumenty wojskowe, to znaczy, że to musi być szpieg. A ze szpiegami trzeba walczyć. Tyle że z drugiej strony jak by to miało wyglądać? Pójdzie do Fischera i powie mu, że właśnie obrobił mieszkanie niejakiego Büllowa? No to przecież Fischer mimo dawnej znajomości powinien go zaraz wsadzić za kratki. Potem dopiero zaczną się wyjaśnienia i opowiadanie, co ukradł i w jaki sposób. I na pewno komisarz będzie chciał wiedzieć, ile było w kasie pieniędzy. Nie, zdecydowanie nie może o tym gadać z Fischerem. Musi to jakoś inaczej rozegrać.

Trzej młodszy biesiadnicy wrócili do przerwanej gry w kości. Tolek starannie zawiązał na kokardkę teczki. Przejrzał je tylko pobieżnie, ale zdążył zauważyć, że wszystkie dotyczyły wojskowych spraw. Nie zagłębiał się jednak w ich treść, bo trochę się obawiał tej czerwonej pieczęci „ściśle tajne”.

– I co zrobimy z tymi flepami? – zapytał Walek.

– Zasadniczo to dobrze by było gdzieś je podrzucić. Żeby na ten przykład wojsko je sobie odnalazło, bo to przecież należy do nich.

– Można by przerzucić przez płot na Bukowskiej. Tam, w tych koszarach, wzdłuż płotu co chwila przechodzi wartownik. Jak się tam wrzuci, to znajdą jak nic.

– No tak, tyle że nie będą wiedzieli, skąd się te teczki u nich wzięły.  
– A co nas to obchodzi? – Kaźmierczak wzruszył ramionami. – Grunt, że oddasz, a dalej to już ich kłopot.

– Nie. Trzeba im powiedzieć, co i jak.

– Wojskowym? Przecież zaraz cię wsadzą, jak znajdą przy tobie te teczki. Chyba że jakiemu znajomemu żołnierzowi podrzucić...

Znajomy żołnierz? powtórzył w myślach Tolek. Tak, musi zanieść te papiery kapitanowi Mikołajewskiemu, którego znał od dawna. Mikołajewski to zdecydowanie najlepszy pomysł.

Zadowolony sięgnął po butelkę wódki i nalał dwóm najstarszym Kaźmierczakom. Młodzi musieli zadowolić się piwem. Ale żaden z nich nie cierpiał z tego powodu. Uważali, że piwo jest znacznie lepsze od wódki.

*Mścicielu w masce, już jest po tobie,  
Choć żeś się schował w ukryciu.  
Nie ma dla ciebie wcale ratunku  
I nie zostaniesz przy życiu.  
Bo gdy cię capnie komisarz Fischer,  
Zaraz cię wsadzą do celi,  
A kat na Młyńskiej stryczek rychtuje,  
Oj, nie dożyjesz niedzieli.*

Walczak skończył swoją pieśń, zdjął harmonię zawieszoną na ramieniu i ostrożnie postawił ją na podłodze. Najwyraźniej przyszedł czas na przepłukanie gardła, bo przecież człowiek nie może śpiewać przez cały wieczór, nie wypiwszy przynajmniej kilku piw. Wstał z krzesła i poszedł do bufetu. Feliksiak właśnie napełnił kufel, który zgodnie z umową między muzykiem a właścicielem baru stanowił część zapłaty za artystyczny występ.

[17] *Faites vos jeux* (franc.) – obstawiać zakłady.

[18] *Rien ne va plus* (franc.) – koniec obstawiania.

[19] *Trois* (franc.) – trzy.

[20] *Flepy* (gwar.) – papiery, dokumenty.

# Rozdział IV

Poznań

Godzina 7.10 rano

– Ruszać dupę i wstawać! – Usłyszał jakiś twardy i niezbyt przyjemny głos, więc spróbował otworzyć oczy. Najpierw zobaczył żarówkę, a nad nią metalową osłonkę w kształcie chińskiej czapki, i zaraz musiał z powrotem przymknąć powieki, bo światło wbiło mu się w czaszkę, a ból tym spowodowany mało jej nie rozerwał.

Gdzie ja jestem? pomyślał przestraszony. Nie znał tego wnętrza i w ogóle niczego nie pamiętał. Tak jakby w którymś momencie wpadł do czarnej dziury, która go pochłonęła i wyrzuciła w obcej rzeczywistości. Naraz uzyskał odpowiedź na swoje pytanie.

– Nie jesteś, skurwysynu pierdolony, na wywczasach! – wykrzyknął ten sam osobnik, ale tym razem zdecydowanie bliżej. – Wstawaj, gnoju jeden, na baczność, jak dowódca do ciebie gada!

Jaki dowódca, do cholery? Co tu się wyrabia? Znów otworzył oczy i teraz zamiast lampy zobaczył pochylającą się nad nim czerwoną z wściekłości gębę, ozdobioną czarnym wąsem przypominającym ryżową szczotkę.

– Wyskakuj z wyra, bo zara będzie taki wpierdol, że pożałujesz, że cię matka porodziła!

Przypomniał sobie. Jest w Poznaniu, Wczoraj przyjechał tutaj ze swojego Lublina. Miał zwiedzać Powszechną Wystawę Krajową. Ale nie zdążył niczego zwiedzić. Poszedł na kolację, a w knajpie spotkał

tego Woronieckiego. Chyba wypił za dużo i stracił kontakt z realnym światem. Musiał więc w jakiś sposób trafić do swojego pokoju hotelowego i położyć się do łóżka. Tylko czemu go budzono? No i dlaczego w tak obcesowy sposób? Co to w ogóle za obyczaje, żeby w hotelu budzić gości wulgarnymi krzykami? Będzie musiał zejść do portierni i zrobić tam karczemną awanturę, a temu cieciewi od razu spuścić porządny łomot.

Zebrawszy wszystkie siły, podniósł się gwałtownie i mało brakowało, a krzykacz zostałby staranowany. Na szczęście dla siebie odskoczył w porę i w tej chwili dzieliły ich nie centymetry, ale przynajmniej metr.

– Ty kurwo niemyta, na mnie bykiem żeś chciał skoczyć? Już ja ci zaraz pokażę, jak się u nas traktuje awanturujących się gości!

Maciejewski najpierw się zdziwił, gdy poczuł, że podłoga, na której stanął, jest zimna i wilgotna, przez głowę przeleciała mu więc myśl, że przez przypadek trafił do niewykończonego jeszcze pokoju. W końcu, jeśli wczoraj przesadził z piciem, to różne rzeczy mogły się dziać. Ale ta myśl, przeleciawszy mu przez głowę, ulotniła się i zastąpiona została bezbrzeżnym zdumieniem. Zdumiał się bowiem na widok człowieka, który dyszał z wściekłości. Twarz była zwyczajna, czerwona z nerwów, a nos fioletowy od pijaństwa. Pod nim sterczały wąsy, niechlujne i dawno niestrzyżone, a więc świadczące, że ich właściciel z kulturą rzadko miewał do czynienia. Nie to wszystko jednak wprawiło go w zdumienie, bo chamskie ryje nie robiły na nim większego wrażenia. Widywał ich w swoim policyjnym życiu tak wiele, że w zasadzie mógłby uchodzić za specjalistę od czytania ludzkich twarzy. Jako wytrawny fizjonomista zrozumiał od razu, że ma do czynienia z tępą pałą, która nie dość że pewnie nie zna się na ortografii, to nie ma również pojęcia o tabliczce mnożenia. Dyskusja z kimś takim była kompletnie bezcelowa. Ale niestety doszedł do wniosku, że jednak będzie z nim musiał pogadać, bo ta zakazana gęba wciśnięta została w usztywniony kołnierz z patkami starszego posterunkowego. Do tego kurtka mundurowa i policyjne spodnie, wpuszczone w cholewki czarnych butów, stanowiły widok dość niezwykły jak na przyzwoity hotel.

– A cóż wy, do jasnej cholery, posterunkowy, robicie w moim pokoju i kto was tu wpuścił?

– Ty gnoju!

– Zamknijcie się, posterunkowy, i posłuchajcie mnie tylko...

– Ty pierdolony gnoju!

– Czy wy macie sieczkę zamiast mózgu! Uspokójcie się i posłuchajcie mnie przez chwilę...

Tego już starszemu posterunkowemu było za wiele. Ten bandyta poczynał sobie, jakby był co najmniej podoficerem w policji.

– A niechże cię jasna cholera chyci, ty chuju niemyty! – ryknął i jego wielka jak bochen chleba pięść wylądowała na twarzy Maciejewskiego. Szczęśliwie ten cios nie dosięgnął nosa, bo wtedy raczej nie zostałyby już po nim śladu. Był jednak na tyle silny i bolesny zarazem, że podkomisarz padł jak rażony gromem i całe jego szczęście, bo nawet nie poczuł kilku dodatkowych kopniaków, które wymierzył mu trzęsący się z oburzenia Gerhard Glubke. Trząść się cały, bo dawno już go żaden aresztant nie wyprowadził z równowagi. Wszyscy się go tu bali i mało który ośmielał się podnieść na niego wzrok, a co dopiero odezwać się w nieregulaminowy sposób. A ten bandycki pomiot widać był w areszcie budynku Dyrekcji Policji po raz pierwszy. No ale skoro już się tu dostał, to on, starszy posterunkowy Glubke, nauczył go moresu, tak że gdy będą go prowadzić na górę do oficerów śledczych na przesłuchanie, ten bezczelny gnój będzie mówił wszystko, co panowie oficerowie będą chcieli wiedzieć. Już on tego dopilnuje.

Na wszelki wypadek kopnął go jeszcze raz w brzuch i splunął na podłogę.

– Wpadnę ja tu do ciebie, gnoju, za jakąś godzinkę i wtedy sobie pogadamy.

Przez piwniczne zakratowane okno i dziury w zbrojonej szybie do celi wsunęły się słoneczne smugi, które oświetliły twarz nieprzytomnego aresztanta.

– Takiego to za sam ryj trzeba by było wsadzić – powiedział, tym razem do siebie, Glubke i wyszedł z celi.

Zapowiadał się przyjemny dzień. Pogoda była słoneczna, jednak u niego, tu na dole, nigdy nie czuło się gorąca. Trzeba będzie

któregoś z młodych policjantów wysłać z kanką do baru na plac Nowomiejski po piwo, a jak już przepłucze gardło, zabierze się za tego bandziora. Jedna taka niedziela w poznańskim areszcie wystarczy mu aż nadto, by mu się na długo odechciało napadania na porządnych ludzi.

Minął celę, w której chwilowo nikt nie siedział. Czekala na dostawę zatrzymanych, których miano przyprowadzać z aresztu na Młyńskiej na przesłuchania. Otworzył drzwi i zajrzał do środka. Była wysprzątana już wczoraj przez aresztanta. Obejrzał ją dokładnie i zaraz wyszedł na korytarz. Włożył klucz w zamek następnich drzwi i już chciał go przekręcić, gdy usłyszał jakieś jęki z głębi korytarza. Ruszył więc w tamtą stronę. Rzeczywiście, ktoś tam jęczał, jakby robiono mu krzywdę. Wpadł do środka, gwałtownie otwierając zamknięcie. Od razu zorientował się, w czym rzecz. Jakiś człowiek, którego nie znał, klęczał przy pryczy. Jego głowę i ręce rozłożone na kocu przytrzymywał dobrze znany policjantowi łysy bandzior o nazwisku Angel. Klęczący człowiek miał opuszczone spodnie. Nad jego wypiętym tyłkiem pochylał się złodziej i nożownik Pomykała, częsty gość tego aresztu.

– Ożeż wy, sandomickie skurwysyny, ja wam zaraz pokażę! – Nie wyjaśnił, co pokaże, ale dwaj gwałciciele dobrze wiedzieli, co się stanie. Odskoczyli od swojej ofiary, która zaczęła podciągać nieporadnie spodnie, i wpadli na prycze naprzeciwko, kuląc się w kącie. Byli stałymi bywalcami aresztów śledczych i doskonale zdawali sobie sprawę, co grozi za stosunki intymne z innymi osadzonymi. A Głubke znał swój fach i wiedział, że taki uczynek nie może pozostać nieukarany. Podeszedł do obu skulonych bandziorów i bez większych emocji zaczął ich młócić pałką po grzbietach i tyłkach.

– Odechce się wam pierdolenia, wy cholerni pederasci. U mnie w areszcie żadnego ruchania dup nie ma i nie będzie, jakem posterunkowy Głubke. Jeszcze raz przyłapię któregoś z was, to jaja do imadła włożę i wtedy będziecie dopiero cienko śpiewać! Zrozumiano, zasrańcy?

– Zrozumiano! – zawołał ochoczo Angel.

– Tak jest! Wszystko zrozumiano! – wykrzyczał Pomykała.

– No to macie tu jeszcze, żebyśta nie zapomnieli!

– Auu!

– Łaaa!

– Litości! My wszystko już wiemy! – Pomykała próbował zasłonić się nogami, ale to nic nie dało. Pałka świsnęła i spadła na udo z plaśnięciem.

– Nie będziem się pieprzyć! – zapewnił Angel, ale i tak zaliczył jeszcze potężny cios.

– No to teraz umyć mi tu podłogę, żeby śladu po waszych sandomickich zabawach nie było. A ty, jak się nazywasz? – Wskazał palcem zgwałconego, ponad trzydziestoletniego mężczyznę z rozbitym nosem, który wyglądał tak, jakby jeszcze nie zrozumiał, co się tu z nim dzieje.

– Załuski – powiedział cicho.

– Głośniej się odpowiada. Co, zrobili ci dziurę w dupie i nie umiesz mówić?

Pytany pokręcił głową.

– Nie, ale oni...

– Oni mnie nie interesują. A ty, Załuski, zabieraj się, idziemy.

– A dokąd? – zapytał wystraszony aresztant.

– Pójdiesz do innej celi. Tam ci nikt niczego w dupę wciskać nie będzie.

Tymczasem piętro wyżej służbę pełnił dziś przodownik Okoń. I to taką niewdzięczną, że musiał siedzieć za biurkiem i odbierać telefony alarmowe. O ile zimą czy późną jesienią taki dyżur był jak najbardziej cenną odmianą od tych, podczas których trzeba było chodzić po mieście, o tyle teraz przodownik wcale nie miał ochoty na przesiadywanie w budynku Dyrekcji Policji. Tym bardziej że w Poznaniu działo się tyle ciekawych rzeczy. Większość jego kolegów była już od rana na patrolach w okolicach PeWuKi i na samej wystawie, służąc przyjezdnym radą i pomocą, a w chwilach przemęczenia gasząc pragnienie zimnym piwem. Inni, zgodnie z rozkazem komisarza Fischera, uganiali się po ulicach, knajpach i melinach w poszukiwaniu gości z przetrąconymi nosami, aby dostarczać ich do dzielnicowych komisariatów. On natomiast miał tkwić przez kilka godzin zupełnie beczynn timer przy telefonie. I cóż

było począć? Nic nadzwyczajnego nie przychodziło mu do głowy. Wstał zza biurka, gdzie stał czarny ebonitowy aparat, na który przychodziły rozmowy z miasta, i obok drugi, którym można było się łączyć wewnętrznie. Tyle że dzisiaj nie było z kim łączyć, bo jak to w niedzielę panowie śledczy i inni oficerowie mieli wolne.

Obciągnął kurtkę mundurową i wyszedł z pokoju telefonicznego na korytarz. Mógł pójść na wewnętrzny dziedziniec i tam zapalić papierosa, mógł też wspiąć się na drugie piętro, gdzie aspirant Oskierko rozmawiał z facetem, którego w nocy napadli bandyci na Grunwaldzkiej. Mógł też w końcu zejść na dół, do aresztu, zobaczyć, co słychać u starego kumpla, starszego posterunkowego Glubke, który był jednym z najdłużej pracujących policjantów w Poznaniu. Swoją karierę zaczynał jeszcze za czasów pruskich, w 1905 roku. I dzięki temu cieszył się ogromnym szacunkiem wśród kolegów, bo nikt nie mógł pochwalić się taką policyjną wiedzą, nabytą przez lata, jak on. Poza wszystkim miał jeszcze jedną bardzo przydatną w tym zawodzie cechę. Bardzo lubił piwo i zawsze na swoim dyżurze miał schowaną pod stołem pięciolitrową kankę wypełnioną zimnym, złocistym napojem. Na myśl o piwie Okoń oblizwał wyschnięte wargi i aż zamruczał pod nosem. Oskierko przecież poradzi sobie z przesłuchaniem bez jego pomocy, a Glubke z tą kanką piwa może mieć kłopot. Postanowił więc wspomóc kolegę.

W przestronnym holu, za wielką marmurową ladą, która stanowiła pierwszy szaniec na drodze ataku zdesperowanych interesantów, siedział młody policjant i dłubał w nosie. Nie miał kompletnie nic do roboty, bo od rana nikt do budynku z żadną sprawą nie przyszedł. A nawet jeśli ktoś by się pojawił, zostałby odesłany na dzień urzędowy, czyli na poniedziałek. Chłopak mógł się więc oddać słodkiemu lenistwu.

– Tak se siedzicie, co? – krzyknął podoficer, podchodząc do kontuaru. Chłopak natychmiast poderwał się na równe nogi.

– Posterunkowy Madejko Józef melduje się na rozkaz!

– Słuchacie, Madejko, a odbieraliście kiedy rozmowę przez telefon?  
– zapytał Okoń.

– Melduję, że odbierałem, jak jedna baba dzwoniła ze sklepu, że jej kto bachora podrzucił w koszyku jak tego Mojżesza.



– Jakiego Mojżesza?

– Egipskiego.

– Aha, Mojżesza to ja znam Zygielbojma ze Śródki i Mojżesza Krakauera z Mosiny znam, ale Mojżesza Egipskiego to se nie przypominam. Ale co my tu o Żydach gadamy? Jak telefon zadzwoni w pokoju dyżurnym, to wiecie, co robić?

– Melduję, że wiem! Powiedzieć, że policja i żeby się zgłosili w poniedziałek, bo dziś wszyscy są na Wystawie Krajowej.

Okoń z uznaniem pokiwał głową. Całkiem bystry chłopak z tego posterunkowego.

– No dobra, będą z was ludzie, Madejko. A jakby co ważnego się stało, to szukajcie mnie na dole, w areszcie.

– Tak jest, panie przodowniku!

Okoń odwrócił się i ruszył w kierunku klatki schodowej, na której znajdowało się wejście prowadzące do piwnicy. Madejko tymczasem wyciągnął spod blatu recepcyjnego kontuaru gazetowe, dziesięciogroszowe wydanie kolejnej części przygód Sherlocka Holmesa. Bo posterunkowy nie dość że umiał czytać i pisać, to jeszcze potrafił z tego zrobić użytek. Kryminały czytał z przyczyn zawodowych, by policyjnego fachu uczyć się od najlepszych śledczych.

## Godzina 8.45 rano

Anastazy Olkiewicz rzucił niedopałek papierosa na chodnik i rozdeptał go czubkiem buta. Spojrzał w prawo, na kolejowy nasyp, na którego szczycie ułożono tory wiodące do dworca kolejowego. Niby nic nadzwyczajnego, tor jak każdy inny, a na nim wolno przesuwany się pociąg osobowy, składający się z czterech wagonów. Czarna lokomotywa zatrzymała się tuż przed wjazdem na wiadukt idący ponad Poznańską, a może już Libelta? Tego Olkiewicz nie wiedział, bo nie miało to większego znaczenia, gdzie zaczynała się jedna, a gdzie kończyła druga ulica. Być może ten wiadukt, zbudowany z czerwonej cegły i stalowych przęsła, stanowił dla nich naturalną granicę. Był też granicą przed wjazdem do centrum

miasta dla pociągów nadjeżdżających od Wronek i Szamotuł i drugiego toru, od strony Obornik i Chodzieży. Te, które docierały do Poznania nieco wcześniej niż wynikało to z rozkładu, zatrzymywały się właśnie tutaj w oczekiwaniu na sygnał semafora zezwalający na wjazd. A że pociągi zazwyczaj zjawiały się na miejscu przed czasem, nieformalny przystanek był jak codzienny rytuał, który wykorzystywali pasażerowie. Ci, którym było to na rękę i którym się śpieszyło do miasta, mimo wyraźnych zakazów wysiadali już tutaj, nie czekając na wjazd na dworzec. Tak jak teraz z pociągu z Szamotuł. Gdy tylko się zatrzymał, drzwi we wszystkich wagonach natychmiast się otworzyły, wypływając dziesiątki podróżnych. Nie pomogła interwencja konduktora, który przez otwarte okno dał w gwizdek, ile sił w płucach, ale nikt z wysiadających nie zwrócił na niego uwagi. Ludzie wyskakiwali na pobocze i zaraz spuszczały się po skarpie w dół. Ten exodus skończył się po chwili, gdy maszynista puścił parę w gwizdek lokomotywy, dając sygnał, że pociąg rusza w dalszą drogę. Parowóz szarpnął wagony i powoli zaczął toczyć się po wiadukcie.

Anastazy Olkiewicz nie przyszedł jednak na Poznańską oglądać pociągów. Owszem, patrzył na lokomotywę i wagony, bo nie miał nic lepszego do roboty. Pociąg był ciekawszym widokiem niż furmanki z ziemniakami, lory z węglem, wozy towarowe z pieczywem czy dorożki, których kawalkada ciągnęła od Jeźyc ku centrum. Od rana wwożono tędy wszystko, co było w mieście potrzebne do życia, a wywożono na specjalnych wozach śmieci i odpadki. Gdy Anastazy dojrzał jadący od strony Libelta wóz z piwem, wyładowany beczkami z browaru Huggera na Półwiejskiej, poczuł natychmiast, że jest spragniony. Nie mógł jednak opuścić tego swojego posterunku i pójść do jakiejś piwiarni, by przepłukać gardło. Musiał tu stać i czekać na niejakiego Szymkowiaka Romualda, noszącego artystyczny pseudonim Sprężyna, który miał mu coś pokazać.

Wczoraj, gdy był z wywiadowcą Gilem w gospodzie Pod Kogutem, właściciel Edwin Talarek postarał się i spełnił ich żądanie. Zdażyli zjeść po kiełbasie, wypić po dwa piwa, gdy naprzeciw nich usiadł niepozorny, szczupły mężczyzna, który mierzył jakieś metr

pięćdziesiąt. Mimo niezbyt okazałego wzrostu był barczysty i dobrze umięśniony. Przyszedł ubrany w brązową marynarkę w prążki i wysoki kapelusz z wąskim rondem. Siadając przy stoliku, uchylił go, by zaraz z powrotem założyć na głowę.

– Jak żyjesz, Sprężyna? – zapytał zadowolony Gil.

– Raz lepiej, raz gorzej, panie szanowny.

– Czyli raz pod wozem, raz nawozem! – zażartował policjant, ale nikt się nie roześmiał.

– Ja tu na podśmiechujki nie przyszedłem, panie Gil. Więc mów pan, o co się rozchodzi, bo mnie pilne sprawy oczekują w cyrku.

– Bo pan Sprężyna jest cyrkowcem – wyjaśnił wywiadowca Olkiewiczowi, który jak dotąd nie miał przyjemności poznać tego człowieka. – Dokładniej rzecz ujmując, jest linoskoczkiem, takim, co to potrafi na linie chodzić, a nawet fikać koziołki.

– Koziołki to na ratuszu – obruszył się Sprężyna. – A ja, panie Gil, to robię skoki i salta.

– Co do skoków, to bym się zgodził jak najbardziej. Skoki to twoja specjalność dodatkowa. Bo wyobraź se, Anastazy, że pan Romuald Szymkowiak to prawdziwy artysta w swoim fachu. Jest linoskoczkiem i pajęczarzem w jednym.

– Kim? – Anastazy nie zrozumiał, o czym mowa.

– Pajęczarz, panie kolego, czyli człowiek, który jak pająk włazi po ścianach i prześlizguje się do domów przez lufciki i uchylone okna. Obrabia mieszkania i wychodzi również przez okno.

– Stare dzieje – mruknął cyrkowiec.

– Nie bądź taki skromny. Sprężyna to najlepszy fachowiec od chodzenia po linie. Kilka lat temu rozpiął powróż między dwoma domami na Wildzie i przeszedł nad ulicą w środku nocy po to, żeby się dostać do jednego mieszkania naprzeciwko. I się dostał, okradł je i zniknął. A policja nie mogła go wsadzić, bo niczego mu nikt nie mógł udowodnić.

– Znaczy lepszy cwaniak z niego – stwierdził Anastazy.

– Lepszy, lepszy, bo pracuje w rękawiczkach i nie zostawia śladów. Więc wydaje mu się, że nic na niego nie mamy i będzie se mógł te swoje skoki na linie robić do końca życia. Ale nic nie trwa wiecznie, panie Sprężyna.

– Że niby o co się rozchodzi?

– Ano o włamanie na Rybakach w Poznaniu w ubiegłym tygodniu. Tam ktoś wszedł do garsoniery na czwartym piętrze, okradł ze wszystkiego, co się dało wrzucić do worka, i wyszedł z powrotem przez okno. Problem w tym, że złodziej tym razem zostawił ślad – mówiąc to, Gil spojrzał Szymkowiakowi prosto w oczy. Ten wytrzymał to mordercze spojrzenie policjanta, by po chwili zupełnie obojętnie sięgnął po kufel, w którym zamoczył usta i czarny wąs.

– Złodziej, żeby dostać się do środka, musiał wyciąć dziurę w szybie. Oczywiście, dla takiego wytrawnego włamywacza wycięcie dziurki to bułka z masłem. Tyle że coś poszło nie tak i podczas tego cięcia nieboraczek się skaleczył. Musiał przeciąć rękawiczkę i skórę na którymś z palców. Zakładam, że to któryś palec prawej ręki – mówiąc to, policjant wskazał na rękę pajęczarza, która spoczywała na kolanie pod stołem. Szymkowiak trzymał kufel lewą ręką.

– Pozwoli pan przyjrzeć się rączce.

Włamywacz się uśmiechnął.

– Panie Gil, pan wcale nie chce rozmawiać o mojej ręce.

– Mówiłem ci, Anastazy, że pan Sprężyna wcale nie jest głupi – skomentował zadowolony Gil, a Olkiewicz tylko wzruszył ramionami. Nie przypominał sobie, żeby wywiadowca mówił mu cokolwiek na temat tego złodzieja. Ale może mówił, a on nie usłyszał? W zasadzie nie miało to większego znaczenia, bo Olkiewicz i tak nie rozumiał, o co Gilowi chodzi i po co cała ta rozmowa o jakichś włamaniach, skoro mieli szukać bandytów napadających na spokojnych ludzi.

– To opowiadaj pan, w czym rzecz.

– Rozchodzi się o jednego gościa z przetrąconą kluką i jeszcze jednego jego kumpla. Obaj są sprawni, jakby pracowali w cyrku. Wskakują do dorożki w biegu, wyskakują i znikają.

– Pierwsze słyszę. – Cyrkowiec pokręcił głową i znów wypił łyk piwa.

– Toś się ty chyba wczoraj urodził, Sprężyna, jak żeś nie słyszał o bandziorze w masce, o którym już wiara piosenki śpiewa po knajpach. Mściciel w Masce, tak o nim gadają. A mnie się zdaje, że to nie żaden mściciel, ale zasraniec jakiś, co tu do nas przyjechał se na gościnne występy. I mnie się zaraz krew gotuje w żyłach, jak se

pomyślę, że na naszych ulicach jakiś przyjezdny gość do spółki ze swoim kumplem rządzą się, jakby byli u siebie.

– Ale co ja mogę, panie Gil? Przecież to nie moja robota. To, że ktoś potrafi skakać z dorożki, to jeszcze wcale nie znaczy, że jest artystą.

– Tego to ja nie powiedziałem – zgodził się z nim Gil. – Więc jakby był artystą, to co innego. Ale to zwykły szmaciarz być musi, bo sobie w tym artystycznym fachu nie radzi. Do mieszkania wejść nie umie, a jedyne, co potrafi, to człowiekowi spokojnemu pistolet do głowy przystawić. Łachudra zwykła i tyle. I dlatego, panie Sprężyna, myślę, że nam pan pomożesz i powiesz, gdzie możemy takiego gościa znaleźć.

– A co z włamaniem na Rybakach? – zapytał pajęczarz.

– Jakim włamaniem, panie szanowny? Pierwsze słyszę o jakimś włamaniu na Rybakach.

– Jutro rano przed godziną dziewiątą bądźcie na Poznańskiej, koło wiaduktu.

– Jutro jest niedziela i o dziewiątej to ja jeszcze śpię – stwierdził zadowolony z obrotu sprawy wywiadowca Gil. – Ale ten oto młody koleżka przyjdzie z przyjemnością. Nieprawdaż, Anastazy?

No i Anastazy nie miał wyjścia. Mimo niedzieli wstał dziś wcześnie, ucałował śpiącą żonę i poszedł do pracy, a dokładnie na umówione spotkanie.

Kolejny pociąg zatrzymał się przed wjazdem na wiadukt. Znowu powtórzyła się sytuacja z niesfornymi pasażerami, którzy mieli w nosie przepisy i wyskakiwali z wagonów. Stąd było niewątpliwie bliżej do centrum miasta niż z dworca kolejowego, więc ludzie wysiadali i żadna siła nie była w stanie ich powstrzymać.

– To pociąg z Chodzieży – odezwał się ktoś za plecami Olkiewicza. Odwrócił się. Stał za nim umięśniony niski człowiek w czarnym kapeluszu. W zębach miał kościaną lufkę, w którą wetknął skręconego samodzielnie papierosa. – Masz pan ogień? – zapytał.

Anastazy sięgnął do kieszeni w marynarce i wydobył z niej zapałki. Podał pudełko cyrkowcowi.

– Pan żeś przyjechał tym pociągiem? – Policjant wskazał na ruszający właśnie skład. Sprężyna pokręcił szybko głową.

– Panie szanowny, ja jestem poznaniak z dziada pradziada. Czy ja wyglądam jak jaki ćwok z prowincji?

Olkiewicz wzruszył ramionami. Dla niego ćwok z prowincji wyglądał tak samo jak ćwok z Poznania. Nie było żadnej różnicy, no chyba że w noszonych na głowie nakryciach. Ci spoza Poznania częściej zakładali kapelusze niż czapki, chcąc pokazać, że są bardziej obcy z modą, niżby się mogło wydawać. W takim razie Sprężyna wyglądał jak prowincjusz. Nie powiedział mu tego jednak, żeby nie psuć sobie z nim stosunków. Facet był mu potrzebny.

– To gdzie niby mamy iść? – zagadnął swojego przewodnika.

– Jak to gdzie? Do cyrku. – Mężczyzna wskazał na ciemną kopułę drewnianej hali cyrkowej, znanej z walk zapaśniczych, bokserskich i występów linoskokczków. Anastazy bywał tu od czasu do czasu, szczególnie gdy odbywały się pojedynki utytułowanych mistrzów zapaśniczych. Co jakiś czas do miasta przyjeżdżały bowiem prawdziwe sławy z całej Europy, podróżujące w celu odbycia walki z miejscowymi talentami. Ostatnio oglądał tu starcie mistrza Zbyszka Cyganiewicza z jakimś Włochem, którego nazwiska już nie pamiętał. Walka była długa i wyrównana, ale w końcu polskiemu mistrzowi udało się położyć Włocha na łopatki, więc nie był to wieczór stracony.

– A co tam będzie się działo?

– Rano są godziny przyjęć.

– A co to takiego?

– Przyjmują tych, którzy chcą walczyć na macie za pieniądze.

– Czyli że jak?

– Ano tak, że żeby się walki mogły odbyć, to prawdziwi zawodnicy muszą z kimś robić rozgrzewkę. Byłeś pan kiedy na meczu?

– Jasne, że byłem – odparł Anastazy, który uważał się za znawcę zapasów.

– No to widział żeś pan, że na samym początku walczą same lebiegi.

– Niby tak...

– To są właśnie ci, co się zgłoszą na ochotnika, żeby zarobić parę groszy. Ustawia się ich do walki z zawodowcami, a ci walą nimi o matę, że aż miło. Chodzi o to, żeby mogli się rozgrzać, zanim staną

do prawdziwych walk. A wiara, co to ogląda z widowni, ma rozrywkę, bo się napatrzy do woli. Tyle że nie wie, czemu ta walka taka kiepska. A wszystko przez to, że występują tam lebiegi.

– A jak taki amator by wygrał? – zainteresował się Olkiewicz, bo uważał się za silnego człowieka, który mógłby sprostać zadaniu rozłożenia na łopatki nawet zawodowego przeciwnika.

– Nie ma takiej możliwości. Amatorzy nie mają techniki. Prawdziwy zapaśnik nie da mu szansy. A pan byś chciał naprawdę spróbować? Nie bałbyś się pan takiej walki?

Policjant odchrząknął i wypluł ślinę na chodnik. Poczł nagle, że chyba za bardzo się wychylił. Bo co teraz powinien odpowiedzieć temu linoskokczkowi? Jak powie, że by nie chciał, to weźmie go za tchórza, a jak powie, że chce, to gotów go jeszcze wystawić do jakiejś walki. A on, mimo że był silnym człowiekiem, to w zapasach nigdy nie brał udziału. Owszem, zdarzyło mu się już walczyć na pięści, ale to przecież zupełnie co innego. Tu trzeba umiejętnie podejść przeciwnika i tak sprytnie złapać, żeby położyć go na plecach... Poczł pytające spojrzenie Sprężyny, badające jego twarz. Nie, nie mógł okazać słabości.

– Ja się niczego nie boję.

– To bardzo dobrze, żeś pan nie jest strachliwy. Bo zaraz będziesz na samym czele tej kolejki. – Wskazał na długi ogonek mężczyzn stojących przy wejściu do hali cyrkowej.

– Jak to na początku?

– Bo wchodzisz pan ze mną, a to się znaczy, że nie musisz czekać z tymi wszystkimi zdalasiałymi[21] obszczymurkami.

Podeszli na sam początek kolejki, do drzwi, odprowadzani ponurymi spojrzeniami potencjalnych zawodników, którzy przyszli tu zarobić parę groszy na chleb. Ale żaden z nich nie odezwał się, widząc wchodzących do środka Olkiewicza i Sprężynę. Skoro wchodzili, znaczy, że mieli takie prawo. Linoskokczek skinął tylko głową strażnikowi pilnującemu porządku przy drzwiach i krótko wyjaśnił:

– Ten jest ze mną.

Przeszli długi korytarz, by po chwili znaleźć się w bocznej salce, wyłożonej matami. Na środku stało kilku mężczyzn przyglądających

się pojedyńkowi. Od razu widać było, kto jest zawodowcem, a kto amatorem. Profesjonalny zapaśnik, ubrany w zawodniczy trykot, rzucał swoim przeciwnikiem jak workiem ziemniaków. W końcu przewrócił go na plecy i postawił nogę na jego piersi.

– I co, nada się? – zapytał mężczyzna w czarnym surducie i meloniku na głowie.

– Lekki jest i dobry do rzucania. Można go wziąć – stwierdził zwycięzca.

– No to dobra, idźcie się zapisać do pana księgowego. – Ten w kapeluszu wskazał na otyłego mężczyznę, siedzącego przy składanym stoliku, na którym rozłożono sterty papierów. – Dzisiaj przyjdźcie już o drugiej po południu. Walki zaczynają się o trzeciej.

– Serdecznie dziękuję. – Pokonany amator zgiął się wpół i zaraz poszedł zapisać się do zawodów.

– A ty, Romuald, też chcesz się zapisać? – Człowiek w meloniku, który najwyraźniej był tu kimś ważnym, uśmiechnął się na widok Spreżyny.

– Broń mnie Pan Bóg, żebym ja, człowiek wielu talentów, brał się za łby z jakimiś osiłkami.

– Bobyś se rady nie dał i dlatego się cykasz, chłopie. He, he, he!

– Mnie, panie sędzio, nie tak łatwo wziąć na lewe sanki. Ja jestem od skoków, a nie od obmacywania się z facetami. Ale przyprowadziłem swojego znajomka. On już wam pokaże, co potrafi.

Mężczyźni stojący obok sędziego odwrócili się, by obrzucić uważnym spojrzeniem Anastazego Olkiewicza, który nieopatrznie dał się wrobić w tę idiotyczną sytuację.

– No jak to twój protegowany, to z byle kim się mierzyć nie może.

Spojrzał na ubranego w czarny szlafrok zawodnika, który stał obok.

– To co, panie Anzelm, sprawdźcie go? – zapytał, wskazując na Olkiewicza.

– Czemu nie, może być – stwierdził zapaśnik i zaraz zaczął zdejmować okrycie.

– A ty na co czekasz? – zawołał sędzia. – Ściągaj marynarkę i dalej na matę! Pan mistrz Anzelm Filipiak nie będzie czekał.



Zapaśnik wyszedł na matę pierwszy i przyjął postawę do walki. Anastazy, znając zasady, ustawił się naprzeciwko. Nie słyszał nigdy o żadnym mistrzu Filipiak, ale obrzuciwszy go spojrzeniem, stwierdził, że ten gość wcale nie sprawia groźnego wrażenia. I wtedy spojrzał mu w twarz. A gdy już popatrzył, poczuł nagle, że robi mu się zimno, a włosy na karku stają dęba. Mistrz Filipiak miał boksterski nos ze zgruchotaną chrząstką. Wyglądał tak, jakby wcale nie miał nosa, a jedynie niewielką, okrągłą kulkę na samym dole. Jak Mściciel w Masce, tyle że w tej chwili bez maski, zdążył pomyśleć Anastazy i ruszył w kierunku przeciwnika.

## Godzina 8.50 rano

Kroki na korytarzu zbliżały się bardzo szybko. A to mogło oznaczać tylko jedno – ta komedia pomyłek zaraz się skończy, a ten zasraniec z przerażoną miną na obitej gębie, siedzący naprzeciw niego na sąsiedniej pryczy, za chwilę będzie giął się w ukłonach i prosił go o wybaczenie. Minę miał wystraszoną, no ale kto by nie miał w podobnej sytuacji. Ludzie zazwyczaj, gdy mierzy się do nich z pistoletu, dostają nerwowych tików. Zyga widział już takich delikwentów, których gęby wyglądały tak, jakby za moment mieli narobić ze strachu w portki, a wszystko to można było bez trudu odczytać z ich twarzy. No ale ludzie, do których celował Maciejewski, najczęściej byli przestępcami, choć zdarzało mu się również, choć trzeba przyznać, że zdecydowanie rzadziej, trzymać na muszce tak zwanych porządnym obywateli. Pierwszy raz miał lufę nakierowaną na policjanta i do tego jeszcze z obitą gębą.

Zyga wcale nie miał ochoty go bić, ale ten posterunkowy nie dał mu wyboru. Dał mu za to czas na wytrzeźwienie i przemyślenie wszystkiego. No więc gdy tylko podoficer wyszedł z celi, w której pozostawił go dość mocno poturbowanego, podkomisarz Maciejewski z trudem podniósł się z podłogi, położył się na pryczy i zaczął analizować sytuację. Od tego myślenia rozboleła go głowa i poczuł natychmiast, że niczego sensownego nie wymyśli, jeśli nie zapali papierosa i nie napije się czegoś mocniejszego, a w ostateczności

choć szkłanki zimnego piwa. Jednak lokal, w którym się znajdował, nie wyglądał na taki, gdzie oferowano by cokolwiek prócz kawy zbożowej, wody albo lania policyjną pałką. Bo Zyga był na tyle byстрым człowiekiem, że mimo poważnych kłopotów z zebraniem myśli, potrafił połączyć ze sobą fakty. Dodał więc obraz wściekłego policjanta do obskurnego pokoju z małym zakratowanym okienkiem tuż pod sufitem, dwoma pryzmami, olejną farbą łuszczącą się na ścianach, aluminiowym wiadrem w kącie i solidnymi drzwiami, zaopatrzonymi w judasza, i wyszło mu z tej prostej arytmetyki, że jest w policyjnym areszcie. Nie wiedział tylko, z jakiego powodu się tu znalazł. Choć musiał przyznać, że coś mu świtało w głowie. Pamiętał z wczoraj hotel Polonia, Willę Flora i wypitą tam wódkę, a nawet grę w ruletkę i całkiem przyzwoitą wygraną...

Włożył rękę do kieszeni spodni, potem do drugiej. W marynarce też nie było ani śladu po pieniądzach, ale co gorsza nie było też papierosów.

Drzwi jęknęły, potem zaskrzypiały i do środka wszedł znany mu już policjant z czerwoną gębą i szczotkowatym wąsem pod nosem, prowadząc jakiegoś aresztanta. Pchnął go na pryzcę, a sam ruszył w kierunku Maciejewskiego. Zyga natychmiast poderwał się na równe nogi. Nie zamierzał czekać, aż ten go zaatakuje, bo że taki miał zamiar, przekonał się, dostrzegłszy fałszywy uśmiech na ustach strażnika i schowaną nieporadnie za plecami drewnianą pałkę.

Na początek jednak spróbował sprawę załatwić, jak to miał w zwyczaju, czyli z wrodzoną sobie kulturą.

– Słuchajcie, posterunkowy, rzućcie tę pałkę i wezwijcie jakiegoś mądrzejszego od siebie oficera, bo widzę, że z wami się nie da dogadać i nie jesteście w stanie pojąć, że jestem oficerem policji w delegacji...

– Ożeż ty, gnoju niemyty! Ty chcesz mnie tu wykołować i dać nogę z aresztu. Ale ja ci zaraz pokażę, to ci się odechce ksiutów.

Policjant wyciągnął pałkę i ruszył z nią w kierunku aresztanta. Nie spodziewał się jednak, że ten może zachować się w tak nieobliczalny sposób. Zwykle ci, których lał w celi, kładli się na podłogę albo na pryzcę, kulili nogi i zasłaniali głowę rękoma, żeby jak najmniej czułych miejsc wystawić na razy. Ten jednak, zamiast spokojnie

położyć się i poczekać na pałowanie, rzucił się szczupakiem pod nogi posterunkowego. Nim ten zrozumiał, co się dzieje, już leżał na podłodze, a pałka wypadła mu z ręki. Napastnik natychmiast wyslizgnął się spod strażniczych nóg, wskoczył mu na klatkę, a potem z całej siły walnął pięścią w skroń.

Taki cios zazwyczaj pozbawiał delikwenta przytomności, ale podoficer był zdecydowanie twardym zawodnikiem. Potrząsnął głową i błyskawicznie odwrócił się na plecy. I to był jego błąd. Zyga tylko na to czekał. Mając przed sobą jego buldogowatą głębę, z pewną dozą przyjemności odplacił pięknym za nadobne. Seria czterech szybkich ciosów w policyjną głębę posłała jej właściciela do świata, w którym nikt od rana nie podaje podoficerom piwa.

Zyga odpiął mu pas i z kabury wydobyl doskonale utrzymanego i zadbanego lugera. Był to pistolet, który znajdował się na wyposażeniu armii pruskiej, a także policji. Widać tu, w Poznaniu, policjanci mieli do takich pukawek ułatwiony dostęp. No ale w końcu jeszcze do niedawna były tu Prusy. W wolnej Polsce policja nie dorobiła się jak dotąd ujednoliconego typu broni bocznej, więc funkcjonariusze musieli radzić sobie sami i nosili u boku to, co udało im się zorganizować. Sam Zyga na służbie posługiwał się rewolwerem, mniejszą wersją naganta, bo uważał, że taka broń jest bardziej niezawodna. Na razie jednak nie mógł wybrzydzać. Grunt, że był uzbrojony, więc teraz musiał pomyśleć o tym, co począć dalej z tym nieprzytomnym idiotą.

Chwycił go pod rękę i zaciągnął na pryczę, sadzając go na niej tak, aby oparł się o ścianę. Policjant jęknął i zaraz zaczął odzyskiwać przytomność. Niepomierne zdumiony spojrzął na siedzącego naprzeciw aresztanta, a potem na wycelowaną w niego lufę jego własnego pistoletu.

– Oj, zapłacisz ty głową za napaść na policjanta – mruknął i chciał coś jeszcze dodać, lecz Zyga uśmiechnął się złowrogo, a jego obita jak befsztyk tatarski twarz nabrała tak upiornego wyrazu, że mundurowy, gdyby mógł, cofnąłby się jeszcze bardziej, ale ściana za nic nie chciała się ugiąć pod ciężarem policyjnych pleców.

– A skąd do policji w Poznaniu biorą takich durniów? – zapytał złośliwie.

– Jakich? – burknął strażnik.

– Ano takich, co zamiast porozmawiać, biorą się najpierw za bicie? A nie wiem, czy wy wiecie, posterunkowy, że za pobicie oficera to taka dupa wołowa jak wy może nawet na pięć lat do więzienia trafić?

– Za co? – zdziwił się Glubke.

– Bo w polskiej Policji Państwowej, jeśli ktoś może kogoś lać, to tylko oficer was, a nie odwrotnie.

I w tym momencie na korytarzu aresztu rozległ się charakterystyczny stukot ciężkich butów, podkutych gwoździami. Takich, jakie nosili w policji podoficerowie. Strażnik, który stał się przed chwilą więźniem, i więzień, który pilnował strażnika, spojrzeli w kierunku drzwi. Stanął w nich postawny podoficer, który najwyraźniej chciał coś powiedzieć, ale zobaczywszy, co dzieje się w celi, zamarł jak żona Lota, z rozdziawioną z przerażenia gębą. W końcu, opanowawszy się nieco, zamrugął oczyma, by upewnić się, czy to, co widzi, to aby na pewno nie sen. W końcu zrozumiał, że nic mu się nie śni. Jego kolega, posterunkowy Glubke, rzeczywiście siedział rozbrojony na pryczy, a facet z obitą gębą mierzył do niego z pistoletu. Każdy na taki widok uciekłby gdzie pieprz rośnie i wezwał do pomocy, kogo się tylko da. Ale nie ten narwaniec Okoń. On lubił sprawy załatwiać po swojemu. W końcu, gdy doszedł już do siebie, wlaź do celi i stanąwszy krok od drzwi, wziął się pod boki i groźnie spojrzął na uzbrojonego bandytę.

– I na co tobie pogarszać swój los? I tak już siedzisz, a chcesz jeszcze za napaść na policjanta odpowiadać. A może chcesz za napaść na dwóch?

– Najlepiej na trzech, bo tak mi się widzi, że sami policjanci się tu zeszli – odpowiedział gość z przetrąconym nosem i posiniaczoną twarzą.

– Jak trzech? – zdziwił się Okoń i na wszelki wypadek policzył na palcach. Z rachunku wyszło mu, że dwóch.

– Bo ja też jestem z policji. Nazywam się Zygmunt Maciejewski, w stopniu podkomisarza, z Lublina jestem i przyjechałem tu na Wystawę Krajową, alem się wdał w awanturę z bandziorem, co obrabował jednego gościa...

Okoń znów otworzył usta. Nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, ale w sukurs przyszedł mu Glubke.

– Broń mi zabrał, bandzior jeden. To bandyta i oszust.

– A do ciebie, zakuta pało, to nic nie jest w stanie trafić? Myślałem sobie, że na pograniczu mądrzejszych ludzi się zatrudnia w policji.

– Nikomu nic do tego, kogo się w policji w Poznaniu zatrudnia – rzucił Okoń tonem pełnym dumy. My tu wszyscy z powstania przyszli.

– Ja już tu byłem jeszcze przed wojną – pochwalił się Glubke. – I ja prawdziwego bandziora to na kilometr wyczuję. Bo do policjanta inny policjant by nie celował z pistoletu.

– A policjanta inny policjant by przyszedł bić pałką dla rozrywki?

– Jak się kto awanturuje, to się go leje w celi. – Glubke nie dawał za wygraną. – Policja jest po to, żeby bandziorów łać. Bo jak taki jeden z drugim dostaną po dupie, to się dwa razy zastanowią, jak jeszcze raz co głupiego zrobią.

– Ty się już nie wymądrzaj tyle. A waszemu przełożonemu zamelduję, że policjanta pobiliście. Kiepskie macie rokowania na przyszłość, panie posterunkowy.

– A ten gość was rozpoznał, żeście bandyta – próbował się jeszcze bronić Glubke, ale już sam czuł, że jest na straconej pozycji. Facet z krzywym nosem niestety gadał jak policjant. Argument najcięższego kalibru zostawił sobie na sam koniec przemówienia.

– A tak w ogóle to żeby nie gadać za długo, bo mnie gęba boli od kłapania po próżnicy, to wezwijcie tu przodownika Olkiewicza, bo on mnie dobrze zna, bo żeśmy razem pracowali...

Obaj podoficerowie spojrzeli po sobie, a Okoń smutno pokiwał głową.

– Pan podkomisarz wybaczą, ale kto to mógł wiedzieć, że pan z naszym kolegą Olkiewiczem Teodorem pracował na posterunku w Sopotach Zamoyskich.

Maciejewski uśmiechnął się krzywo, na tyle, na ile pozwalała mu rozcięta warga.

– Ja pracowałem w Zamościu, a Olkiewicz Anastazy, a nie Teodor, w Majdanie Sopockim – poprawił Okonia, który spróbował starej sztuczki, by ostatecznie sprawdzić delikwenta.

Usłyszawszy odpowiedź, przodownik rozpromienił się, a potem groźnie spojrzął na swojego kolegę.

– Łe tej, ty żeś całkiem zwariował, żeby pana oficera w celi trzymać? Zaraz no leć po jakie piwo, żeby można było gardło przepłukać, i wodę z mydłem, i ręczniki, żeby gościa szanownego doprowadzić do stanu używalności, bo z taką gębą to się uczciwym ludziom pan komisarz nie może za cholereę pokazać.

Posterunkowemu nie trzeba było dwa razy mówić. Zerwał się z pryczy i natychmiast wybiegł z celi. Widać nie bardzo podobało mu się siedzenie w miejscu, w którym celuje się do niego z jego własnej broni.

– Pan wybaczy głupiemu, panie komisarzu, ale tu zdaje się wyniknęło jakieś *qui pro quo*, bo skąd niby taki prosty jak prześcieradło posterunkowy Glubke miał wiedzieć, że do nas w nocy przywieźli taką personę. On by się raczej śmierci spodziewał niż takiego szanownego gościa w swojej celi. A pan w nocy nic nie powiedział, bo przywieźli tu pana pijanego jak belę. Bo jakby pan wtenczas powiedział, że jest pan policjantem, toby my kulturalnie położyli pana do spania w celi, a obok łóżka by my jeszcze postawili kankę piwa na spragnienie, jak to się zawsze robi, kiedy jakiego spitego pana oficera trzeba nam przenocować.

Maciejewski potarł obolały podbródek.

– Tak mi się widzi, że próbowałem coś powiedzieć na ten temat. – Powoli zaczęła wracać mu pamięć w postaci oderwanych od siebie obrazów. Jeden wybijał się swoją wyrazistością naprzód. Przypomniawszy sobie, że siedzi na podłodze dorożki, a obok stoją jacyś policjanci. Jeden w stopniu przodownika, a drugi, młodszy, aspiranta. I gdy przywoływał oficera do siebie, poczuł z tyłu uderzenie, które posłało go w ciemność. To znaczy, że próbował nawiązać kontakt z policją, ale chyba nie był zbyt przekonujący.

– A jest tu gdzie w mieście jaki cyrk? – zapytał w końcu, ale Okoń tylko uśmiechnął się pod nosem i nic nie odpowiedział. Pomyślał bowiem, że z tym facetem z Lublina nie jest najlepiej. Może trzeba by, żeby lekarz zbadał mu łeb, bo kto wie, czy przez tę pękniętą skórę na czole cały rozum mu nie uciekł.

– To ja pójde po aspiranta Oskierkę, bo on akuratnie jest dzisiaj i przesłuchuje takiego jednego gościa, co jego napadli – powiedziawszy to, przodownik wycofał się akurat w chwili, kiedy jego kolega Glubke wchodził z wiadrem w jednej i kanką w drugiej ręce.

– Jest piwo i woda, panie komisarzu! – zameldował, tak jakby nic się nie stało.

Bo i co się miało stać, myślał poznaniak. W końcu nie spuścił lania oficerowi, ale przestępca, który przez przypadek okazał się podkomisarzem policji. A mógł się przecież wcale nie okazać policjantem, gdyby na ten przykład tak dostał tą drewnianą pałą, że wyciągnąłby kopyta. Następnym razem trzeba będzie łać od razu, a nie gadać, bo z tego gadania nic dobrego nie wychodzi, przekonywał sam siebie w myślach Gerhard Glubke, widząc, jak jego piwo płynie do oficerskiego gardła wprost z aluminiowej kanki.

Godzina 9.00 rano

Antoni Fischer wstał od stołu i podszedł do okna, z którego rozciągał się widok na park noszący imię Wilsona. Wdzięczny poznański lud uhonorował amerykańskiego prezydenta za wkład w walkę o polską niepodległość, nadając jego imię najbardziej reprezentacyjnemu ogrodowi w mieście. Piękny park cieszył oczy swoją bujną zielenią, tak jak radioodbiornik, ustawiony na specjalnie w tym celu zakupionej szafce, cieszył uszy spokojną muzyką fortepianową. Fischer nie znał się na muzyce tak dalece, by rozpoznać kompozytora. Wiedzy muzycznej wystarczało mu na tyle, aby zakwalifikować to granie do romantycznych kompozycji Chopina albo Liszta. W każdym razie najważniejsze było, że jego radioodbiornik grał doskonale, a muzyki wydobywającej się przez głośnik można było słuchać, stojąc czy siedząc nawet w pewnej odległości od radia.

– Wspaniały wynalazek, nieprawdaż? – Ursula podeszła do Antoniego i stanęła obok, kładąc mu dłoń na ramieniu. Odwrócił się do niej i uśmiechnął. Słowo „nieprawdaż” wymówiła w charakterystyczny dla siebie sposób z gardłowym „r”. Była rodowitą Niemką, która dopiero niedawno nauczyła się mówić po

polsku i radziła sobie już całkiem nieźle, ale tego „r” w żaden sposób nie mogła pokonać. Mimo że polski nie sprawiał jej już większego kłopotu, często zdarzało się, że w ich domu rozbrzmiewała niemiecka mowa. Ursula mówiła w swoim rodzinnym języku do dwójki ich dzieci, Marii i Eugeniusza, Antoni zaś rozmawiał z nimi po polsku, dzięki czemu posługiwały się swobodnie oboma językami.

Gdy Ursula, którą Fischer poznał w Niemczech, przyjechała do Poznania, zamieszkali w kawalerskim, czteropokojowym mieszkaniu przy ulicy Matejki, w którym dotąd Fischer żył samotnie, wyprowadziwszy się od siostry po tym, jak powiększyła się jej rodzina. Antoni je wynajmował i zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później będzie musiał zapewnić rodzinie kawałek własnego dachu nad głową. Nie wiedział, jak to zrobić, bo w policji nie zarabiał jakoś szczególnie dobrze, a jego żona wniosła w posagu niewielkie pieniądze. No ale przecież nie brał jej ze względu na bogactwo, ale z czystej miłości. Dwa lata później wydarzyło się coś, co całkowicie odmieniło ich materialny status. Okazało się, że zmarł stryj Ursuli, który był posiadaczem majątku rolnego pod Schneidemühl. Jako że nie miał żadnych potomków, całość spadku przypadła Ursuli. I w ten oto sposób rodzina Fischerów stała się zamożną rodziną właścicieli ziemskich. Szczęśliwie prócz ziemi stryj zostawił też sporo pieniędzy. Dzięki nim marzenie o porządnym mieszkaniu dla rodziny mogło się ziścić. Udało im się korzystnie kupić ośmiopokojowy apartament na pierwszym piętrze, z oknami wychodzącymi na park, w kamienicy pod numerem osiemnastym.

– Radio to największy wynalazek ludzkości. Zbliży ludzi. Ale może też być świadkiem dramatów. Wyobraź sobie na przykład wojnę. Teraz na wojnie może pojawić się radiowy dziennikarz z mikrofonem i relacjonować na żywo działania dwóch stron konfliktu, tak jak to ma miejsce podczas sportowego meczu. To już nie jest fikcja, to rzeczywistość, która za pomocą dźwięku pozwala słuchaczowi przenieść się w dowolne miejsce i obserwować każdy dramat, którego słuchacz nie jest bezpośrednim uczestnikiem.

– Antoni, ty myślisz o tej nieszczęsnej pieśniachce?



– Tak. To było przerażające. Wiele widziałem śmierci w swoim życiu, do dzisiaj mam w pamięci twarze wielu moich żołnierzy, którzy stracili życie w okopach. Ale ten obraz zabijanej z zimną krwią kobiety był tak nienaturalny, tak niepasujący do tego wnętrza radiowego.

– Najważniejsze, że zatrzymałeś zabójcę. – Poglaskała go po policzku.

– Nigdy nie wybaczę sobie, że nie stanąłem mu na drodze po tym, jak wpadł do studia. Może wszystko by wyglądało inaczej...

– Nie obwiniaj się, kochany. Nie jesteś winny złu całego świata.

– Wiesz, człowiek zawsze czuje jakiś niedosyt w takich sytuacjach. Gdybym był bliżej...

– Wtedy może on by strzelił do ciebie. O tym nie pomyślałeś? Może tak właśnie miało być. Ona zginęła, ale ty żyjesz. Złapałeś mohdercę i postawisz go przed sądem, któhry wymierzy mu sphawiedliwość. To jest najważniejsze.

– Teraz najważniejsze jest dowiedzieć się, dlaczego ta kobieta została zastrzelona. Ten człowiek nic nie chce powiedzieć. Muszę zmusić go do mówienia. No i przede wszystkim trzeba mi pokonferować z naszym gościem – stwierdził, usłyszawszy dźwięk dzwonka dochodzący od drzwi wejściowych.

– Pamiętaj, że idziemy dziś ghać w tenis – przypomniała mu żona.

– Ależ oczywiście, najdroższa. Jakże bym mógł zapomnieć. Rozmówimy się raz-dwa i... – Machnął ręką, jakby tenisową rakieta chciał odbić atakującą go piłkę.

Służąca Anielka, która zajęta była zbieraniem talerzy ze stołu po niedzielnym śniadaniu, rzuciła wszystko i pobiegła otwierać. Fischer, który godzinę temu rozmawiał przez telefon ze swoim gościem, uprzedził ją, że przyjmie go w gabinecie, więc kazał tam wywietrzyć, żeby usunąć zaduch po fajce, którą palił długo w nocy, siedząc nad papierami z kilku śledstw toczących się pod jego nadzorem. Przed niedzielą zawsze zabierał pracę do domu, żeby nadgonić zaległości. Ale tym razem niedziela zapowiadała się nader pracowicie i wcale nie przy papierach.

– Chodź, przywitamy go, a potem nie będę cię już fatygował. Muszę z nim przegadać kilka kwestii, ale nie powinno to potrwać zbyt

długo.

– Dobrze. Zchobię wam kawę i podam ciasto. Pogoda piękna, więc pójdę z dziećmi na spacer do parku.

– Świetny pomysł – pochwalił Fischer.

Na widok gospodarza i jego żony, wchodzących do gabinetu, Mikołajewski natychmiast poderwał się z fotela.

– Witamy, kapitanie, w naszych skromnych pokojach. – Ursula wyciągnęła ku niemu obie dłonie, dając w ten sposób do zrozumienia, że jest tu szczególnie mile widziany. Pochyliwszy się, złożył pocałunki na obu.

– Pani komisarzowa jak zwykle oślepia blaskiem swej urody.

– Nie żątaj sobie ze mnie, Feliks! – pogroziła mu palcem. Zнали się od kilku lat i lubili. Może Mikołajewski nie należał do osób, z którymi widywali się szczególnie często, ale wszystkie ich wspólne brydże należały do wyjątkowo sympatycznych spotkań.

– Nigdy bym się nie ośmielił robić sobie żartów, droga Ursulo.

– Już my cię dobrze znamy, przyjacielu. – Fischer uściśnął mu dłoń. – Dziękuję, żeś przyszedł.

– Zdaje się, że nie miałem wyjścia.

– No nie, mogliśmy przecież spotkać się jutro, ale ja wolałem...

– Wyobraź sobie, Antoni, że miałem telefonować do ciebie, żeby poprosić pilnie o spotkanie. Najlepiej jeszcze dzisiaj. Uprzedziłeś mnie.

– Widzę, że jestem tu już niepotrzebna, bo macie swoje sprawy...

– Sprawy mogą poczekać, droga Urszulko.

– Ale dzieci nie mogą. Już się szykują do wyjścia. Obiecałam im lody i limonadę. Idziemy na spacer. A wy się możecie nagadać do woli. Anielka zaraz przyniesie wam kawę i ciasto.

– No cóż, z siłą wyższą człowiek nie wygra – stwierdził Mikołajewski, kłaniając się pani domu, która obdarzyła go pełnym sympatii uśmiechem, po czym wyszła z gabinetu.

– Usiądźmy. – Fischer wskazał na dwa skórzane, klubowe fotele, ustawione przy niewielkim kawowym stolczku. Rozsiedli się obaj wygodnie i już brali się za palenie, ale drzwi otworzono i posługaczka, która pełniła rolę kucharki i pokojówki w jednym, weszła z tacą, na której stał dzbanek kawy, dwie filiżanki i talerz

niedzielnego, drożdżowego ciasta z kruszonką. Postawiła to wszystko na stoliku pomiędzy fotelami.

– Dziękujemy, Anielciu. – Fischer uśmiechnął się do niej. – Sami sobie nalejemy.

– Jakby panowie co potrzebowali, to krzycheć proszę, bo ja w kuchni przy obiedzie robię.

– Nie ma sprawy. Damy sobie radę. – Gospodarz chwycił w dłonie porcelanowy dzbanek w czerwone kwiatki i nalał kawy do filiżanek.

– Chcesz koniaku? – zapytał na wszelki wypadek, ale Mikołajewski pokręcił głową.

– Aż tak źle wyglądam?

– Nie, skąd – skłamał policjant. Mikołajewski sprawiał wrażenie zmęczonego, a Fischer wiedział, że po całonocnych hulankach niekiedy dobrze jest wypić coś mocniejszego, żeby lepiej się poczuć.

– Nie piłem i nie bawiłem się na dancingu.

– A czy ja co mówię?

– Wracam z Królewca. W zasadzie wczoraj wróciłem wczesnym popołudniem. Potem miałem jeszcze sporo spraw na głowie, a wieczorem spotkałem się z Jażdżewskim. Owszem, wypiliśmy nieco, ale bez przesady. Zwyczajne męskie spotkanie w sprawach. No a nad ranem wpadł do mnie z niespodziewaną wizytą twój dobry znajomy, Tolek Grubiński.

– A czegoż ten hultaj chciał od ciebie? – Fischer znał Grubińskiego od dawna, ale wcale nie dlatego, że ten zarabiał na życie, okradając mieszkania. Fakt, to też była istotna przyczyna tej znajomości, jednak najważniejsze było to, że obaj mężczyźni w pewnych kwestiach, niemających nic wspólnego z pospolitymi kradzieżami, współpracowali ze sobą, a często zdarzało się, że również i z Mikołajewskim. Fischer był bowiem współpracownikiem Dwójki[22] od samego początku swojej policyjnej kariery, a Grubiński jako specjalista od włamań i kas pancernych nie raz już oddał wywiadowi cenne przysługi.

– Opowiem ci o tym za chwilę, ale najpierw o Królewcu i mojej podróży.

– Królewiec, piękne miasto. – Antoni przypomniał sobie własne wizyty w stolicy Prus Wschodnich. – Dawno tam nie zaglądałem. Od

śmierci stryja w zasadzie nie mam tam po co jeździć.

– Nie masz już tam rodziny?

– Została ciotka, ale z nią nigdy jakoś nie było mi po drodze. Ona, wiesz, z tych, co to liczą wszystkim dookoła pieniądze, a sama swoją fortunę zamierza zabrać do grobu. Piszemy do siebie kartki na święta.

– Tak bywa w rodzinie.

– A co u Jażdżewskiego?

– No z tym właśnie przychodzę. Chyba że ty masz pilniejszą kwestię.

– Nie ma nic pilniejszego niż sprawy wywiadu i kontrwywiadu. Moje policyjne mogą poczekać. Opowiadaj, w czym rzecz.

– Jechałem pociągiem z Królewca do Schneidemühl, oczywiście przez nasz „korytarz”.

– I jak się jechało?

– W pierwszej klasie jest zawsze wygodnie. Miałem cały przedział dla siebie.

– Spróbuj ciasta. Ursula sama piecze.

– Mały kawałek poproszę.

Mikołajewski nie dbał bynajmniej o linię. Ciasta jadał zazwyczaj po południu w kawiarniach. Rano kawa zdecydowanie mu wystarczała. Ale odmówić spróbowania wypieku komisarzowej byłoby głębokim nietaktem.

Antoni podał mu talerzyk z plackiem. Przez chwilę jedli w milczeniu, popijając kawą. Ciasto było wyśmienite, więc wszelkie komentarze i pochwały były zbyteczne. Mikołajewski, uporawszy się ze swoją porcją, odłożył talerzyk i wrócił do tematu.

– Wiemy, że codziennie pociągi z Berlina przewożą rozkazy i wytyczne dla dowództwa Pierwszego Okręgu Wojskowego w Królewcu i inne ważne dokumenty w odwrotną stronę. Poczta jedzie przez Polskę w zaplombowanym wagonie. Jego obsługa na czas przejazdu musi przesiąść się do przedziału służbowego w wagonie obok, do którego dosiada się polski kolejarz i pilnuje Niemców, popijając z nimi wódeczkę. Chodzi o to, żeby nie wyrzucali żadnej kontrabandy ani też nie odbierali niczego w trakcie drogi przez „korytarz”.

– Rozumiem, co ci chodzi po głowie.  
– Czy aby na pewno?  
– Chcesz się dobrać do tej poczty?  
– To nieprawdopodobna okazja. Moglibyśmy przejąć całą ich korespondencję.

– Jednorazowo. Jeśli ich obrabujemy, zmienią sposób przesyłu dokumentów i szukaj wiatru w polu. Już tak szybko nie znajdziemy ich kanału przesyłowego. Mogą otworzyć specjalną linię lotniczą i latać nad Bałtykiem. Wtedy będzie za późno na jakiegokolwiek działania.

– To mnie właśnie martwi. – Mikołajewski potarł starannie ogolony podbródek. – Ale gdybyśmy mogli tylko przeczytać i sfotografować, co tam wiozą.

Fischer pokręcił głową.

– Trudna sprawa, przyjacielu. Pociąg jedzie przez Polskę półtorej godziny. Możemy go wstrzymać na którejś ze stacji i zyskujemy dzięki temu jakieś pół godziny dodatkowo. Czyli w najlepszym wypadku masz dwie godziny. W tym czasie musiałbyś się dostać do wagonu, otworzyć szafę z listami, wydobyć te najważniejsze, zdjęć z nich wojskowe pieczęcie, sfotografować dokumenty i odłożyć papiery z powrotem. No i jeszcze wyskoczyć z pociągu. Teoretycznie do zrobienia, ale w praktyce będzie to trudne.

– I tu mam już pewne rozwiązanie tej kwestii. Tolek, który przyszedł do mnie nad ranem w zupełnie innej sprawie, powiedział, że jest w stanie otworzyć każdą kasetkę na dokumenty w niemieckich pociągach. Zresztą opowiedział nawet ze szczegółami, jak takie szafki wyglądają.

– No to już masz specja od otwierania wszystkiego, co jest zamknięte. Teraz potrzebni ci są cyrkowcy, którzy wskoczą do tego wagonu w biegu. Do tego musisz jeszcze znaleźć specja od otwierania zaplombowanych lakową pieczęcią listów, kogoś, kto sfotografuje ich zawartość i później zaklei wszystko na powrót, żeby nie było śladu. A wszystko to w trzęsącym się wagonie.

– No tak, trzeba to dokładnie rozważyć. A wracając do Tolka...

– Nie mógł spać? – wszedł mu w słowo Fischer.

– I dobrze, że nie mógł spać, bo przyszedł z dość dziwną sprawą. Otóż właśnie był w nocy w pewnym mieszkaniu z kasą pancerną. No więc otworzył ją i znalazł w środku coś bardzo dziwnego.

– Nie było tam pieniędzy?

Mikołajewski machnął ręką zniecierpliwiony.

– Pieniądze to nie moja sprawa. Najważniejsze jest to, że znalazł tam teczki z dokumentami. Z wojskowymi dokumentami. Te papiery nie miały prawa tam być. Więc Grubiński postąpił bardzo rozsądnie, przychodząc do mnie. W związku z tym, gdy w najbliższym czasie dostaniecie zawiadomienie o włamaniu do mieszkania niejakiego Siegfrieda Büllowa, fabrykanta, który mieszka na ulicy Pocztowej, to bardzo bym nalegał na niezbyt intensywne poszukiwania sprawcy.

Fischer pokręcił głową, a na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech. To zrozumiałe, że nie będzie szukać sprawcy, który jest współpracownikiem kontrwywiadu.

– Swoją drogą Grubiński jest w czepku urodzony, a w dodatku cwaniak, jakich mało. Obrobił kasę i pewnie całe mieszkanie, a że wpadły mu w łapy papiery, pognął do ciebie, bo wiedział, że będziesz gwarantował mu bezkarność. W zasadzie mógł przecież przyjść do mnie.

– Zastanawiał się nad tym. Tak mi powiedział. Ale doszedł do przekonania, że będziesz miał moralny dylemat, co zrobić. Przede wszystkim jesteś przecież policjantem. A przychodząc do mnie, wiedział, że postaram się zdjąć ci z barków ciężar wyboru.

– No w zasadzie miał rację – zgodził się z kolegą komisarz. – Co to za papiery?

– Plany mobilizacyjne dla Poznania.

– Cholera!

– Wszystko jest pod kontrolą. Tolek ma je włożyć z powrotem do sejfów, z którego je ukradł. I w związku z tym, gdy Büllow przyjdzie na policję ze zgłoszeniem włamania...

– Nie przyjdzie. Przecież nie przyzna się, że zginęły mu takie dokumenty.

– Jak przyjdzie – Mikołajewski położył nacisk na tym słowie – chciałbym, żebyś nie wszczynał jakiegoś skrupulatnego śledztwa.

– To się da zrobić. Nie widzę przeszkód.

– Ale ja tu opowiadam o swoich problemach, a tyś przecież chciał ze mną o czymś rozmawiać.

Fischer pokręcił głową.

– E, to przy twoich rewelacjach niewiele znacząca kwestia. Chciałem cię zapytać, czy znasz pewnego oficera. Nazywa się Krzysztof Dąb-Załoski, jest kapitanem.

– Czy znam? Pewnie, że znam. To byczy chłop. Legionista. Kariera przed nim. A co takiego zmalował mój koleżka Krzysio?

– Zmalował? A żeby go jasna cholera wzięła. Twój Krzysio na moich oczach zastrzelił pewną pieśniarkę, postrzelił jej akompaniatora i do tego jeszcze zabił stróża radiowego. Ot, co zmalował.

– Rany boskie! – Mikołajewski momentalnie pobladł. Widząc to, Fischer wstał z fotela i poszedł po butelkę koniaku i kieliszek. Nalawszy solidną porcję, podał kapitanowi. Ten wypił bez słowa. W końcu spojrzał na Fischera z nadzieją w oczach.

– To na pewno on?

– On.

– A to pierdolony skurwysyn!

Godzina 9.15 rano

Aspirant Oskierko w swoim służbowym pokoju drzemał z głową ułożoną na ramionach opartych o blat biurka. Właśnie zakończył przesłuchanie obrabowanego pod Willą Flora mężczyzny i teraz próbował złapać odrobinę snu. Po dzisiejszej, pełnej wrażeń nocy zbierał siły przed kolejnymi wyzwaniem. Już cieszył się na myśl o chwili, kiedy jutro w budynku policji pojawi się komisarz Fischer, a on będzie mu mógł zameldować, czego dokonał. A dokonał bardzo dużo, bo aresztował własnoręcznie, no owszem przy pomocy patrolu policyjnego, ale to w końcu on był tam najstarszy stopniem, najbardziej poszukiwanego w Poznaniu człowieka. „Panie komisarzu, melduję, że mamy złapanego jednego z bandytów napadających z pistoletem na targowych, przyjezdnych gości. Po przesłuchaniach prowadzonych przeze mnie osobiście przez całą niedzielę wzięty w krzyżowy ogień pytań delikwent przyznał się do winy i dodatkowo

jeszcze wydał swojego współnika, który już niedługo zostanie aresztowany”.

Teraz drzemiąc, zastanawiał się, jak też powinno wyglądać przesłuchanie bandziora ze złamanym nosem. Niech no tylko facet wytrzeźwieje, to zaraz się go weźmie w obroty...

Naraz rozległo się głośne pukanie do drzwi. Tak zdecydowanie pukali tylko podoficerowie, którzy mieli do przekazania coś istotnego. Ale co ważnego mogło się wydarzyć w niedzielny poranek? Pewnie Okoń przylazł prosić, żeby go wypuścić na miasto, bo mu się dłuży dyżur. Trzeba by porozmawiać z komisarzem Fischerem, żeby tego starego łazika nie sadzać przy telefonie, bo nic z tego dobrego nie wynika, pomyślał Oskierko i uśmiechnął się na myśl o tym, jaką minę zrobi Okoń, chcąc przekonać go, że bardziej przyda się na ulicy.

– Wejść! – zawołał i drzwi natychmiast się otworzyły. Rzeczywiście pojawił się w nich Okoń, ale minę miał całkowicie inną niż ta, jakiej spodziewał się aspirant. Oficer nawet nie zdążył zapytać, w czym rzecz, bo przodownik odezwał się pierwszy, i to całkiem nieregulaminowo:

– Panie aspirancie, musi pan iść ze mną do piwnicy, ino szybko!

– A bo co się stało?

– A bo mamy, cholera, kłopot.

– Co?

– Coś mi się widzi, kłopot jak jasna cholera, panie aspirancie.

Tylko kłopotów mi brakowało od rana, pomyślał Oskierko, zapinając pod szyją rozchełstany kołnierz munduru. Boże, byle nie chodziło o tego naszego zatrzymanego rabusia z krzywym nosem.

– Z czym ten kłopot? – zapytał, wstając zza biurka. – No dalej, mówcie, Okoń.

Ten podrapał się po skroni, robiąc przy tym kwaśną minę, jakby właśnie rozgryzł kawałek cytryny.

– No z tym gościem, co jego w nocy przywieźli. Znaczy, co jego pan aspirant dowiózł i wsadził do celi.

– Ja rozumiem, o kim mówicie. To co z nim za kłopot? Powiesił się na kracie czy jak?

Okoń pokręcił głową.



– Gorzej, panie aspirancie. Gorzej. On żyje i ma się całkiem dobrze. Tyle że on nie jest żadnym bandytą, ino jest tym, no...

– Jak nie jest bandytą, skoro ja jego sam dowiozłem z miejsca napadu, na którym został zatrzymany przez policjantów. Złapany na gorącym uczynku. Więc co wy mi tu gadacie, Okoń, że on nie jest bandytą, jak jest...

– On jest policjantem, panie aspirancie. I nie dość że jest policjantem, to na dodatek jeszcze podkomisarzem policji.

Oskierko przez chwilę patrzył na Okonia z niedowierzaniem. Czyżby ten jego podoficer kompletnie oszalał? Nie, takie rzeczy się nie zdarzają w życiu. Policjant, który napada na spokojnych obywateli w masce na twarzy. Nie, to się przecież nie trzyma kupy... Naraz aspirant przypomniał sobie pewien szczegół. Niby nic istotnego, ale w obliczu tych rewelacji mógł potwierdzać tę niewygodną prawdę. Gdy gość z przetrąconym nosem ocknął się w dorożce, uniósł się i spojrzawszy na niego, uśmiechnął się zadowolony tą zakrwawioną gębą, a potem coś do niego zawołał. Wtedy Oskierko pomyślał, że zwariował od pobicia, ale w obliczu nowych faktów mogło się okazać, że wcale nie miał nie po kolei w głowie, ale że to on, policjant na służbie, nie zwrócił uwagi na niesłychanie ważny szczegół. A to mogło oznaczać, że nie nadaje się na oficera śledczego, skoro jego umysł nie rejestruje niesłychanie istotnych szczegółów. Bo ten pobity facet, podnoszący się z podłogi dorożki, próbował go przywołać jak starszy oficer młodszego. I zamiast wtedy podejść i zagadać, pozwolił przejąć inicjatywę podoficerom. A gdy tacy zaczynają sami podejmować decyzje, to efekt może być tylko jeden – poważne kłopoty.

– Tak coś czułem – rzucił Oskierko i nawet chciał dodać do tego stwierdzenia siarczyste przekleństwo, ale w porę się powstrzymał. „Przeklinanie w obecności podwładnych jest co najmniej niewskazane, ponieważ świadczy o tym, że przełożony jest człowiekiem impulsywnym i nie potrafi należycie zachować się w obecności innych. W związku z tym nakazuje się oficerom Policji Państwowej nie wyrażać się i trzymać język na wodzy”, przypomniał sobie zalecenie z któregoś z okólników, jakie co jakiś czas przychodziły do Poznania z Warszawy po to, by regulować wszystkie

aspekty policyjnych działań i zachowań. Oskierko w zasadzie w ogóle nie przeklinał, więc teraz łatwo mu było zrezygnować z „jasnej cholery”.

– Że co pan czuł, panie aspirancie? – Okoń nie zrozumiał, o co aspirantowi chodzi. Gdyby zaklął, tak ja na porządnego oficera przystało, to pewnie by zrozumiał, że ten się martwi. Ale to, że coś czuł, nie znaczyło kompletnie nic.

– Czułem, że ten facet ma coś do powiedzenia. Ale nie wysłuchałem go. To moja wina.

Przodownik spojrział na niego zdziwiony, a potem podrapawszy się po głowie, podzielił się z młodym oficerem całą swoją życiową mądrością.

– Panie aspirancie, z tego, co ja wiem, bo tak nas uczyli na kursach, wina to jest zawsze po stronie przestępcy. A policja jest od tego, żeby winnego złapać. A jak złapie przypadkiem niewinnego, to co zrobić? Niewinny musi policjantowi objaśnić, że jest niewinny. A jak nie objaśni, to skąd niby policjant ma wiedzieć, że jest niewinny? A jak taki niewinny nie może objaśnić i udowodnić, że jest niewinny, to jego wina, znaczy się sam sobie jest winny.

Oskierko spojrział zdumiony na Okonia. Było coś nieprawdopodobnie oczywistego w tym, co powiedział podoficer. Jeśli nie udowodnił, że jest niewinny, to niby skąd on miałby o tym wiedzieć? Ten Okoń to jednak mądry człowiek. Ale nic dziwnego, samymi takimi cwaniakami otaczał się w swojej grupie pościgowej komisarz Fischer. Jeśli ktoś nie był kutym na cztery nogi cwaniakiem, to nie miał szansy zagrzać tu miejsca. Tylko w takim razie, co on robił wśród tych byłych frontowych łazików? Chyba Fischer musiał w nim dostrzec coś, czego on dotąd nie widział w sobie i może nawet nie podejrzewał istnienia tego czegoś. Czyżby komisarz był obdarzony jakąś magiczną mocą, potrafiącą przenikać ludzkie umysły?

– Dobra, przodowniku, skoro pan tak mówi, to znaczy, że ma pan rację. – Oskierko obciągnął poły mundurowej bluzy i zapiął pas na brzuchu.

– Idziemy sprawdzić tego podkomisarza. Skąd on niby jest?

– Z Lublina.

– A Olkiewicz to nie czasami stamtąd, znaczy z centralnej Polski? Okoń pokręcił głową.

– Łe, nie! Olkiewicz jest z Poznania. Ale tam niedaleko służył po wojnie, w okolicach Zamościa miał posterunek pod sobą. Znaczy był szefem posterunku.

– To się też o to pytam. Może tam słyszał o takim policjancie. Jak on się nazywa?

– Melduję posłusznie, że podkomisarz Zygmunt Maciejewski.

– Trzeba by zadzwonić do Lublina w takim razie. A Olkiewicza zapytać, czy go gdzie tam kiedy nie spotkał.

– A niech se pan aspirant wyobrażą, że on też pytał się o naszego Anastazego, że niby go zna. To ja zaraz go wypytałem odpowiednio, że niby Olkiewicz ma inne imię i gdzie indziej służył, a on mnie poprawił, tak że było dobrze. A to w takim razie jest dowód, że on zna Olkiewicza osobiście.

– No to czemu od razu nie mówicie? Już dawno powinniśmy być u niego w celi. Idziemy!

Oskierko ruszył sprężystym krokiem, a Okoń podążył za nim. Musieli przejść cały długi korytarz, ciągnący się wzdłuż poddasza policyjnego budynku, by dojść do miejsca, w którym znajdowała się boczna klatka schodowa tylko dla personelu. Interesanci bowiem wchodzili na piętra głównymi schodami wprost z holu. A te boczne łączyły wszystkie piętra z piwnicą, w której prócz kotłowni znajdowało się kilka podręcznych aresztanckich cel. Tutaj trzymano tych wszystkich delikwentów, którzy mogli się spodziewać szybkiego przesłuchania ze względu na toczące się, a niecierpiące zwłoki śledztwo. Większość jednak, a w Poznaniu dziennie zatrzymywało się około setki ludzi, trafiała do wielkiego i solidnego aresztu przy Młyńskiej. Nie było to daleko od Dyrekcji Policji, bo szło się tak wolnym krokiem jakieś dziesięć minut. Ale problem polegał na tym, że aresztanta do przesłuchania z Młyńskiej trzeba było sobie zamówić telefonicznie dzień wcześniej, a potem wysłać po niego jakiegoś szeregowca, żeby go doprowadził. Poznaniacy przyzwyczajeni byli do tego, że ulicą Ratajczaka od placu Nowomiejskiego codziennie od rana podążały konwoje aresztantów. Wykorzystywali tę wiedzę o porze przemarszu członkowie rodzin

zatrzymanych i ich wspólnicy, by podać konwojowanym kawałek chleba, słoniny i tytoń, bez którego nie dało się siedzieć w celi. Młodzi policjanci nie robili problemów, bo podający więźniom zawiniątka wiedzieli, że trzeba się opłacić. Do policyjnej kieszeni trafiały więc złotówki, dwójki, a niekiedy i piątki, w zależności od zamożności krewnych i wielkości podawanych paczek.

W niedzielę również dostarczano więźniów na przesłuchania, jeśli była taka potrzeba. O tej porze właśnie pierwsi zatrzymani docierali do budynku Dyrekcji Policji, wprowadzani od podwórka przez bramę w sąsiedniej kamienicy, z której można było również dostać się do Teatru Polskiego. Ale żaden aresztant nie był zainteresowany teatrem. Oni myśleli o tym, by jak najszybciej usiąść w celi i przekąsić coś albo zapalić.

Na boczną klatkę schodową wprowadzono akurat grupę mężczyzn o niezbyt świeżym wyglądzie. Wszyscy byli zarośnięci i niedomocy. Ale w końcu areszt to nie sanatorium, żeby ktoś się miał przejmować ich kiepską kondycją.

– Zatrzymać się. Stanąć pyskiem do ściany i nie ruszyć mi się niepotrzebnie, bo dam pałą po dupie – rzucił wysoki i chudy policjant-konwojent, który najwyraźniej potrafił doskonale radzić sobie z zatrzymanymi. Ci posłusznie wykonali jego polecenie. Nikt nie miał zamiaru się przeciwstawiać, bo rozkazy w areszcie to rzecz święta. Trzeba je wykonywać bez szemrania, jeśli się chce jako tako przetrwać swój czas w zamknięciu.

Oskierko zszedł schodami na dół i na parterze natknął się na grupę ludzi stojących pod ścianą. Nie zwrócił na nich specjalnej uwagi, zajęty myślami o zatrzymanym policjancie. Minął ich, niedbale odpowiedział na salut starszego posterunkowego, tego od pilnowania aresztantów, i zaczął schodzić do piwnicy.

Naraz przystanął, bo dostrzegł coś niepokojącego. Odwrócił się za siebie. Tuż za nim szedł Okoń. I on się zatrzymał.

– Co to za ludzie? – zapytał, a Okoń zrobił zdziwioną minę. Skąd niby mógł wiedzieć. Nikt przecież na policji nie zwraca uwagi na byle jakiego zatrzymanego obszcymurka.

– Melduję, że nie mam pojęcia – odparł.

– Nie was pytam, Okoń. Starszy posterunkowy, chodźcie no tu – powiedział i skinął na konwojenta. Ten zaraz podszedł na szczyt schodów.

– Starszy posterunkowy Marianek Józef na rozkaz. – Zasalutował znowu i wyprężył się, czekając na rozkazy.

– Co tam za ludzi macie?

– Ja? – Spojrzał w bok, jakby chciał się upewnić, że rzeczywiście chodzi o eskortowanych przez niego więźniów.

– Melduję, że to zatrzymani z Młyńskiej, których doprowadzam na rozkaz.

– Czyj rozkaz?

– Rozkaz telefoniczny. Ja tam dalej nic nie wiem, ale w książce wyjść musi być zapis.

– Ano tak! – Oskierko się uśmiechnął, maskując w ten sposób swoją niewiedzę. Nie miał pojęcia o procedurach konwojenckich. Na szczęście wszystko na ten temat wiedział Okoń.

– Książka jest na portierni w holu głównym, panie aspirancie. Można tam sprawdzić.

– A dziękuję za przypomnienie, ale właśnie, każcie im się odwrócić, posterunkowy. Musiał spojrzeć na nich od przodu, bo gdy ich mijał, zdało mu się, że wszystkich łączy jeden szczegół. Ale nie miał pewności, więc się zatrzymał.

– Odwrócić się, zasrańcy – zawołał groźnie konwojent. Aresztanci natychmiast zrobili w tył zwrot. Oskierko spojrział na nich i już wiedział, że się nie pomylił. Musieli zostać zamówieni na przesłuchanie na polecenie komisarza Fischera. Każdy z nich miał na twarzy wątpliwą ozdobę w postaci płaskiego, zgruchotanego nosa.

– Ilu ich macie? – zapytał oficer.

– No... pięciu – wyjaśnił zapytany.

– Nie o tych tu pytam. Do pięciu policzyć umiem. Rozchodzi mi się o tych z przetrąconymi nosami. Ilu ich macie na Młyńskiej?

Podoficer zmarszczył brwi, jakby wykonywał właśnie jakieś nieprawdopodobnie skomplikowane zadanie matematyczne.

– Będzie jeszcze ze dwudziestu, ale będziemy ich dostarczać po pięć łbów, żeby za dużo sensacji nie wywołać. Bo wiara patrzy na

nich jak na niedźwiedzie z cyrku. Każdy widział już przetrącony kinol, ale tylu naraz w jednym miejscu to nikt nie widział.

Aspirant z uznaniem pokiwał głową. Ta ponad dwudziestka zatrzymanych to efekt wczorajszej akcji poszukiwania ludzi z połamanym nosem zarządzanej przez Fischera. Wywiadowcy policyjni musieli przetrząsnąć całe miasto, by wydobyć z najdalszych miejskich zakamarków tych urokliwych twarzowców.

– To prowadźcie ich najpierw do jedyнки, bo zaraz się zwolni. A my idziemy po naszego zatrzymanego. – Machnął na Okonia, któremu było zupełnie obojętne, ilu ludzi bez nosa wczoraj zatrzymano. Najważniejsze, że nie wsadzili jego osobistego szwagra, który miał zdefasonowaną klukę. Ale Okoń mógł być pewny jednego, ten w życiu nie napadłby na żadną dorożkę, gdyż jako ksiądz katolicki starał się unikać przemocy, a dzieci na lekcjach bijał bardzo niechętnie i bynajmniej nie ręką jak byle łachudra, ale witką, którą obwiniony o głupotę delikwent sam, własnym scyzorykiem musiał sobie wyciąć. Tacy święci ludzie brzydzą się przemocą.

## Godzina 10.05 przed południem

Wilhelm Kajzerek sięgnął po butelkę ukrytą w wewnętrznej kieszeni swojego roboczego fartucha, rozejrzał się czujnie dookoła, ale niczego podejrzanego nie dostrzegł. Wyciągnął więc korek, pociągnął spory łyk, po czym szybko schował flaszkę.

– Jak człowiek ma szczęście w życiu, to może ustawić się tak, że niczego mu nie zbraknie – powiedział sam do siebie i splunął na wybrukowany wjazd na podwórze.

Z tym szczęściem to nic a nic nie przesadzał. Był szczęściarzem i tyle. Przeżył wojnę, mimo że uczestniczył w jednej z najkrwawszych bitew pod Verdun. Większość jego kolegów zginęła, rozniesiona w proch przez artyleryjski ostrzał, a ci, co przeżyli, wrócili do domu bez ręki albo nogi lub w najlepszym razie z poważnymi ranami. A on nie odniósł we Francji najmniejszego urazu. Nic mu się nie stało, prócz zachorowania na czerwonkę, której najważniejszym objawem była ciągła sraczka. Wrócił po wojnie do Poznania i od razu

wpakował się w awanturę wywołaną przez narwanych Polaków, a może przez Niemców? Zresztą kto by tam się bawił dziś po latach w szukanie odpowiedzi na pytanie o to, kto zaczął? Kajzerek na pewno sam niczego nie rozpoczynał, choć był wtedy wieczorem na placu Wolności. Ubrany w wojskowy mundur, bo ubrania cywilnego jeszcze się nie dorobił, przyglądał się temu, co się dzieje wokół. Widział więc na własne oczy, jak Polacy wiwatowali na cześć Paderewskiego. Skoro krzyczeli „Niech żyje!”, to on też krzyczał. Ale później, gdy nadszedł tłum Niemców drących się „Precz z Anglią i Francją!”, porwany przez maszerujących krzyczał tak jak oni. Myślał wprawdzie, że w tej sytuacji trzeba by się wyrwać z tych dwóch żywiołów i pójść gdzie napić się piwa albo nawet wódki, ale wtedy zaczęła się strzelanina i ludzie się rozbiegli, chowając po bramach. Kajzerek też się schował. I wtedy do bramy przy ulicy Podgórznej wpadło kilku żołnierzy z karabinami, dźwigając rannego. Postrzelonego w brzuch położyli na bruku. Zaraz zajęły się nim kobiety z sąsiedniej kamienicy. Jeden z żołnierzy spojrzał na Kajzerka i się uśmiechnął.

– Polak jesteś czy Niemiec?

– Polak – odpowiedział Kajzerek. Choć w zasadzie nigdy nad tym się nie zastanawiał, kim jest, i było mu to obojętne. Ojciec był Niemcem, a matka Polką. Mówił i myślał w zależności od sytuacji po polsku i niemiecku. Wśród Polaków był Polakiem, a między Niemcami Niemcem. Gdyby wtedy do bramy wpadły Szkopy, odpowiedziałby zgodnie z prawdą, że jest ich rodakiem. Ale to Polak go zapytał, więc odpowiedział tak, jak powinien odpowiedzieć.

– To bierz tą giwerę, bo temu biedakowi nie jest już potrzebna. I weź też jego pas z amunicją.

– Ale po co? – Kajzerek nie mógł zrozumieć.

– Jak po co? Idziemy bić Szkiebrów[23].

Gdy do bramy wbiegł jakiś sierżant, Kajzerek już był powstańcem.

– Biegniemy w kierunku Prezydium Policji. Zobaczymy, czy będą chcieli się tam bronić, czy może grzecznie oddadzą broń. – Wojskowy wytłumaczył swoim ludziom, co mają robić. Kajzerek też był już jego człowiekiem, więc nie miał wyjścia, musiał się dołączyć. Poszli pod ten policyjny budynek przy Ritterstraße. Ale na szczęście obyło się

bez strzelaniny. Niemieccy policjanci złożyli broń i wpuścili Polaków do środka. Dzięki temu powstaniec Kajzerek przeżył pierwszą noc po powrocie do Poznania w zajęтым przez powstańców budynku policji. A i później też mu się poszczęściło, bo nie brał udziału w żadnych walkach. Chodził tylko z karabinem na ramieniu po mieście, pilnując porządku. Bo jak się dowiedział, choć o zdanie nikt go nie pytał, został członkiem Straży Ludowej. Dzięki temu miał co jeść i pić przez kilka miesięcy, a potem, gdy powstanie się skończyło, dostał dobrze płatną posadę stróża z rekomendacji Związku Powstańców. Tak więc dzięki przypadkowemu zdarzeniu z pierwszego dnia powstania ustawił się na całe życie. A będąc w Straży Ludowej, poznał jeszcze swoją obecną żonę, która wówczas pracowała w wojskowej kuchni. Zabrał ją od tych żołnierskich garów wprost do dwuizbowego służbowego mieszkania w oficynie. Żona była kobietą robotną, więc nie zajmowała się tylko pracami domowymi, ale w wygospodarowanym w piwnicy pomieszczeniu urządziła pralnię, w której prała brudy wszystkim mieszkańcom kamienicy.

Kajzerek odwrócił się i spojrzał w kierunku wejścia do pralni, z którego wydobywały się na zewnątrz kłęby pary, świadczące o tym, że Kajzerekowa pracuje w środku wraz z dwoma posługaczkami. Ona harowała, a on mógł sobie w tym czasie spokojnie popijać i nic nie robić. W końcu był w pracy, czyli na podwórku, i wszystkiego doglądał. Gdyby zobaczył go przypadkiem właściciel kamienicy, Gutsche, to musiałby przyznać, że jego stróż, polecony przez związek kombatancki, sprawuje się całkiem nieźle. Na wszystko ma oko i wszystkiego pilnuje, tak jak należy.

Odstawił miotłę pod ścianę, bo podwórko było już zamiecione, i oparł się o futrynę drzwi prowadzących do oficyny. Znów wypił łyk wódki, a potem pokrzepiony zaczął rozważać sytuację, która otwierała przed nim niezwykle perspektywy. Zastanawiał się bowiem, czy aby nie pójść jeszcze raz na górę i nie rąbnąć kilku drobiazgów z mieszkania Büllowa, które zostało okradzione przez tę złodziejską bandę. Gdy złodzieje sobie poszli, stróż postanowił sam przyjrzeć się splądrowanym pokojom. Wszystko, co zdaniem włamywaczy



przedstawiało jakąś wartość, zostało załadowane do worków i wyniesione. W otwartych szafach i szufladach było jednak jeszcze sporo różnych przedmiotów, które nie zainteresowały złodziei, ale mogły się przydać jemu. Kajzerek uzbierał cały worek różności i schował wszystko w piwnicy. Ale jeszcze go kusiło.

Spojrzał na okna kuchenne mieszkania Büllowów, wychodzące na podwórze. W kuchni były talerze i łyżki... Żona na pewno by się ucieszyła. Co prawda srebrnych już nie było, bo zabrali je złodzieje, ale takie zwykłe, codzienne, z solidnej austriackiej stali też miały swoją wartość. Były droższe niż te aluminiowe, którymi jedli w domu. A co tam, skoczy tam jeszcze i zabierze, co się da...

Już chciał ruszyć ku bramie, z której prowadziły okazałe schody, wiodące na wyższe piętra, gdy wtem dostrzegł, że drzwi od ulicy rozwarły się i stanął w nich jakiś mężczyzna. Poznał go. To był ten sam złodziej, który przewodził bandyckiej szajce. Szedł pewnym krokiem, zmierzając ku schodom. Więc jednak wrócił tu po coś jeszcze, bo może łup okazał się niezadowolający? Kajzerek obserwował go z daleka, przekonany, że złodziej go nie dostrzeże. Stał bowiem przy wejściu do oficyny, niewidoczny dla wchodzących do bramy. Już dawno sprawdził skuteczność tej kryjówki, w której mógł tkwić całymi godzinami, nic nie robiąc. A gdy przypadkiem na miejscu pojawiał się właściciel kamienicy, natychmiast łapał miotłę i udawał zapracowanego.

Złodziej wszedł na schody i zniknął z pola widzenia. Naraz Kajzerek doznał olśnienia. A jeśli on wrócił tutaj po resztę nieukradzionych rzeczy i jeśli zobaczy, że ze stołu zniknął kryształowy wazon, a może w dębowej szafonierce dostrzeże brak lnianych ręczników... Jeśli zauważy, że zniknęło coś, czego sam nie ukradł, ale zostawił na miejscu, to od razu może skojarzyć, że to jego, Kajzerka robota. I co wtedy zrobi ten złodziejski pomiot? Ano przyjdzie i każe mu wszystko oddawać. A jakże ma oddać te dobra, jak one są już jego? Nie, nic z tego. Trzeba tę sprawę rozwiązać inaczej, a tego cholernego złodzieja przechytrzyć. Stróż Kajzerek ruszył ze swojej kryjówki, by wprowadzić w życie swój chytry plan, który właśnie zrodził mu się w głowie.

Tolek Grubiński wszedł na piętro, rozejrzał się po korytarzu i na wszelki wypadek przekręcił gałkę dzwonka. Rozległo się brzęczenie wewnątrz mieszkania, ale nie było na nie żadnej reakcji. Pokręcił więc ponownie, bo jak wiadomo strzeżonego pan Bóg strzeże, i odczekał jeszcze chwilę dla pewności. Upewniwszy się, że w domu nikogo nie ma, nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły, bo gdy stąd wychodzili, nie zwracał sobie głowy zamykaniem ich przy użyciu wytrycha. Nie miało to żadnego sensu, no chyba taki, że dzięki temu ten wścibski stróż nie mógłby tu wrócić. Bo że wrócił, tego Tolek by pewien. Widział w jego oczach ten błysk chytryści, pojawiający się u chciwych ludzi, którzy wietrzą okazję do szybkiego wzbogacenia się. Tolka jednak ta kwestia wcale nie obchodziła. On wrócił tutaj wcale nie po to, żeby jeszcze cokolwiek zabierać. Wrócił, a zdarzyło mu się to po raz pierwszy w jego złodziejskiej karierze, żeby oddać coś, co ukradł.

– Jak to, mam oddać? – spojrzał zdziwiony na przemęczoną twarz kapitana Mikołajewskiego. Oficer najwyraźniej dopiero dochodził do siebie, po gwałtownym przebudzeniu, które nastąpiło po przybyciu Tolka do jego mieszkania.

– Tak będzie najlepiej – zapewnił go oficer, który usiadłszy przy niewielkim stoliku w gabinecie, właśnie nalewał sobie wody ze szklanego syfonu. Suszyło go po wypitym wraz z majorem Jażdżewskim alkoholu i na domiar złego jeszcze szumiało mu w głowie. No ale nie było czemu się dziwić. Wszak nie odespał odpowiednio długo po pijaństwie, bo ten jego niespodziewany gość obudził go kilka minut temu. Spojrzał na ścienny zegar. Dochodziła piąta. O tej porze kapitan zazwyczaj przewracał się dopiero na drugi bok.

– Jak może być najlepiej? Przecie nawet małe dziecko wie, że tak się nie robi. Jak się już coś zwinęło, to już jest po robocie, znaczy się wracać na miejsce nie można, bo to przynosi pecha. Niefartowne jest i tyle.

– Panie Tolku, co mi pan tu bajdurzysz o jakimś pechu? Pan jesteś człowiek dorosły i w świecie obyty, to i wiesz dobrze, że są rzeczy

ważne i mniej ważne. A to w tej chwili wydaje mi się najważniejsze. Trzeba tam wrócić i odłożyć te papiery do kasy pancерnej.

– Ale niby to po jaką cholere?

– Po to, żeby zmylić przeciwnika.

– Jak zmylić?

– Przede wszystkim Büllow pomyśli sobie, że chatę obrobili mu jacyś szmaciarze. To znaczy, że wzięli pieniądze i kosztowności, a zostawili papiery, które do niczego nie były im potrzebne. Oznaczać to będzie, że ten, kto jest posiadaczem tych papierów, nie zorientuje się, że może być namierzony przez kontrwywiad. A my go tymczasem weźmiemy pod lupę i dokładnie sprawdzimy. Będziemy go obserwować dzień i noc, aż facet nas doprowadzi do zdrajcy, i wtedy...

– Cap go za łeb! – Tolek w końcu zrozumiał, w czym rzecz. Teraz już wszystko zaczęło mu się układać, pomimo lekkiego falowania myśli, które unosiły się ponad strumieniami wypitego tej nocy alkoholu. – Czyli że co mam zrobić?

– Wrócić do mieszkania i odłożyć dokumenty do kasy, albo nawet lepiej gdziekolwiek. Żeby wyglądały jak porzucone, niepotrzebne śmieci. Wtedy nasz pan Büllow pomyśli sobie, że co prawda pieniądze stracił, ale jako agent niemieckiego wywiadu nie został ujawniony.

I dlatego właśnie Tolek wrócił do mieszkania właściciela fabryki czekolady. Najpierw zajrzał do kuchni. Od razu zauważył, że zniknęły wszystkie pozostawione przez jego ludzi butelki z wódką. Znaczą, że stróż Kajzerek był tu w odwiedzinach. A niech pije na zdrowie, byleby tylko mordę trzymał na kłódkę, pomyślał, rozglądając się wokół. Kuchnia nie była jednak dobrym miejscem na porzucenie papierów. Poszedł więc do gabinetu, w którym stał otwarty sejf. Nachylił się, by zajrzeć do środka. Nic tam nie było. Wszystko, co przedstawiało jakąś wartość, zostało stąd zabrane. Wyciągnął spod koszuli teczkę, które dla bezpieczeństwa trzymał za paskiem spodni, i położył je na podłodze obok pancernych drzwiczek. Zadowolony spojrzał na swoje dzieło, ale naraz coś przyszło mu do głowy.

A jeśli ten stróż przyjdzie tu jeszcze raz przetrząsnąć mieszkanie i natrafi na te wojskowe plany... Jest taki głupi, że może pomyśleć o sprzedaniu tych dokumentów jakiemuś handlarzowi. I wtedy cały misterny plan Mikołajewskiego weźmie w łeb, bo fabrykant Büllow nie znajdzie papierów i dojdzie do przekonania, że czas uciekać, bo dokumenty są w niepowołanych rękach. Nie będzie przecież szukał ich u jakiegoś głupiego stróża, tylko pomyśli, że złodzieje zanieśli je do pasera, a ten sprzedał je komuś albo zaniósł na policję. Może więc wystraszony Büllow zwinie żagle i ucieknie? Nie, najrozsądniej będzie zabezpieczyć papiery przed lepkiemi paluchami Kajzerka.

Podniósł je z podłogi, włożył na górną półkę, a potem starannie zatrzasnął drzwi kasy. Zadowolony z siebie wrócił do kuchni. Zauważył bowiem, że na kredensie stała butelka z resztką koniaku. Szkoda, żeby się miało zmarnować, pomyślał. Nalał sobie do szklanki i zaraz wypił wszystko, po czym poklepał się po brzuchu. W zasadzie był po robocie. Mógł więc iść do domu. Kryśka będzie zła, bo nie widziała go od wczoraj, no ale nie będzie się za długo dąsać, jak jej powie, ile pieniędzy zarobił na ostatnim skoku. No właśnie, trzeba to jeszcze dokładnie policzyć i rozdzielić ten cały łup. Tylko co zrobić z tym lokajem, który domagał się papierów? Trzeba mu będzie powiedzieć, że ich tam nie było, albo wymyślić coś innego. Zresztą to w tej chwili nie było najważniejsze.

Wyszedł na korytarz, zbliżył się do drzwi i ostrożnie je otworzył... Zamarł, gdy zrozumiał, na co patrzy. Czarny otwór lufy pistoletu spoglądał mu prosto w prawe oko.

– Rączki do góry, panie złodziej! Rączki do góry! – rzucił pogodnym głosem wielki jak szafa trzydrzwiowa policjant w granatowym mundurze z dystynkcjami starszego przodownika na rękawie. – I nie radzę żadnych sztuczek ze mną, bo moja parabola strzela szybciej, niż myśli niejeden złodziej. Ze starszym przodownikiem Mielczarkiem żartów nie ma i nie będzie.

Tolek Grubiński natychmiast zrozumiał, że lepiej nie próbować zwady z tym człowiekiem i dlatego, tak jak mu kazano, uniósł ręce. Naraz przypomniał sobie starą złodziejską prawdę, że wracanie na miejsce skoku przynosi pecha. I jak tu nie wierzyć takim dawnym mądrościom?

- [21] Zdalasiały (gwar.) – nędzny, zabiedzony.
- [22] Dwójka – Oddział II Sztabu Generalnego WP zajmujący się wywiadem.
- [23] Szkiebry (gwar.) – określenie Niemców.

# Rozdział V

## Poznań

Godzina 10.15 przed południem

- I wtedy takem go chycił pod łokieć, że ani zipnął.
- Czyli że jak?
- O, tak właśnie. Jak się tu chyci i palucha w odpowiednie miejsce wsadzi, to można gościa załatwić na ament. Jednym palcem.
- Ady nie gadaj!
- Pokaż ino łokieć.
- No i co?
- Zaraz, bo muszę namacać.
- Macaj se, ile wlezie, bo nic z tego nie... Auuu! Jezus Maria, puść!
- No przecie nie trzymam już!
- Jezusie przenajświętszy, ale to boli...
- A bo nie mówiłem! – Anastazy Olkiewicz uśmiechnął się, zadowolony z efektu, jaki udało mu się uzyskać na dowód swojego twierdzenia. Ale jego kolega, przodownik Stefan Janiak nie podzielał entuzjazmu kolegi. Przez chwilę miał bowiem wrażenie, że ręka, którą pochwycił Olkiewicz, stosując specjalny chwyt, mu odpadnie. Zresztą tak samo pomyślał mistrz zapaśniczy Anzelm Filipiak, ale dopiero pod sam koniec walki, kiedy wydawało mu się, że już pokonał tego niezbyt wysokiego i krępego mężczyznę o wyraźnie rysujących się na skroniach zakolach.

Gdy zapaśnik spojrział na swojego sparingpartnera, pomyślał, że w zasadzie nawet nie zdąży się spocić. Olkiewicz nie wyglądał mu na żadnego przeciwnika. Owszem, miał trochę ciała, ale nie było to zapewne ciało ćwiczone do walki. Mięśnie musiał mieć raczej zwiotczałe, a zaokrąglony brzuch świadczył o zamięłowaniu, do uciech, które dawał bogato zastawiony stół. Nie mógł co prawda oszacować prawdziwej wartości jego muskulatury, a szczególnie bicepsów, ramion i karku, bo Anastazy miał na sobie podkoszulek z długim rękawem, więc ubranie zasłaniało wszystko to, co ważne dla prawdziwego specja od zapasów. No ale co tam jego mięśnie. Filipiak w końcu był zawodowcem i nie takich już rozkładał na łopatki.

Zdjął z ramion szlafrok i podał go chłopakowi, który asystował przy macie.

– Tylko nie upapraj go, bo to prawdziwy jedwab – ostrzegł podręcznego i sprężystym krokiem ruszył ku przeciwnikowi. Ten pochylił się nieco, jak to mają w zwyczaju zapaśnicy przed walką.

Przynajmniej wie, jaką przyjąć postawę, pomyślał Filipiak, uśmiechając się drwiąco na widok nieporadnych ruchów Olkiewicza. Widać musi chodzić od czasu do czasu na walki, bo umie zamarkować przygotowanie do spotkania, ale niewiele mu to da, gdy się go zaskoczy szybkim atakiem.

Mistrz Anzelm również się pochylił, czekając na znak sędziego. Ten nie zamierzał przedłużać nieciekawego sparingu, bo do sprawdzenia było jeszcze wielu ochotników, którzy chcieli stanąć do walki za pięć złotych od łba. Wygrani dostawali dziesięć złotych. A ci, którzy przeszli dalej, mogli dorobić się nawet pięćdziesięciu złotych jednego wieczora. Ale takich szczęśliwców w zasadzie nie było. Owszem, zdarzał się jakiś wyjątek raz na miesiąc albo rzadziej, który zaliczał kilka etapów i wychodził z cyrku jak bogacz. Jednak najczęściej było takich, którzy dla prawdziwych zawodników stanowili zwyczajne mięso armatnie. Tych eliminowało się już podczas pierwszych minut walk błyskawicznym rzutem na łopatki. Ten łysawy wyglądał na gościa, który ma szansę przejść, no najwyżej, do drugiej rundy. Nikt z obecnych na arenie nawet przez sekundę nie pomyślał, że może być inaczej. Zresztą jaką mógłby mieć szansę amator w starciu

z walcem w postaci Filipiaka, zawodnika o międzynarodowej renomie? On był tu absolutnym faworytem, a Olkiewicz... no cóż, powinien być szczęśliwy, jeśli z tej walki wyjdzie bez szwanku.

Sędzia zadał w gwizdek i w tym momencie Filipiak ruszył do przodu jak kangur. Metr przed przeciwnikiem wybił się zgrabnie w powietrze, skierowawszy nogi w przód, by szybkim chwytem opleść udami tors przeciwnika, a siłą rozpędu powalić go na ziemię. Taki skok tygrysi zazwyczaj kończył sparing w ciągu pierwszych dziesięciu sekund, bo pochwycony w pytoni uścisk nóg klasowego zawodnika nie miał najmniejszych szans. Tyle że nogi powinny go złapać. Ale tym razem stało się coś niespodziewanego. Łysy grubas, zamiast dać się zgnieść i powalić, chyba jakimś szóstym zmysłem wyczuł intencje Filipiaka, odskoczył na bok i gdy ten lądował na pustej macie w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą stał jego sparingpartner, zaatakował mistrza z boku. Rzucił się na niego i schwycił w pól. Filipiak nie od razu zareagował, bo najpierw się zdziwił. A gdy poczuł, że traci równowagę, było już za późno. Przewrócił się na bok, a Olkiewicz przygniół go swoim grubym brzuchem. Filipiak jednak się nie poddał. Wywinął się i odwrócił, zapewniając sobie chwilę na przemyślenia co do dalszej taktyki.

Zebrani wokół maty organizatorzy i zawodnicy patrzyli na to, co dzieje się przed nimi, z niedowierzaniem. Jakiś nikt powalił Anzelma i prawie wygrał walkę w pierwszym zwarcu. Teraz sędzia powinien zatrzymać starcie i zarządzić, by Filipiak przyklęknął, robiąc tak zwany wózek, by dać przeciwnikowi szansę na odwrócenie mistrza na plecy. Ale nie zareagował jak profesjonalny rozjemca. Patrzył oniemiały na tego łysiejącego grubasa, który trzymając Filipiaka w objęciach, chciał poderwać go w górę i przerzucić ponad sobą. Anzelm tymczasem próbował zrobić wszystko, by to uniemożliwić, wbijając palce w przytrzymujące go ręce.

Olkiewicz wiedział, co to znaczy. Jeśli ten leżący pod nim śledź trafi w odpowiednie miejsce na łokciu, jego ramiona staną się na moment bezwładne. Musiał się pośpieszyć. Zebrał więc wszystkie siły i pociągnął najmocniej, jak się dało. Filipiak wystrzelił w górę. Ale nie tak, jakby tego chciał Anastazy. Uniesiony jakąś nadludzką mocą wyrwał się z uścisku i potoczył w bok. Zdumiony Olkiewicz przez



moment nie wiedział, gdzie jest jego przeciwnik. Przekonał się już po chwili, gdy naraz poczuł na swoich plecach spadający na niego ciężar. Dwie dłonie wsunęły mu się pod pachy, by zewrzeć się w morderczym uścisku na karku, zamykając chwyt nelsona. Ostatnim wysiłkiem Anastazy spróbował okręcić się w lewo, jednocześnie wsuwając prawą dłoń pod bok. Z całej siły wysuniętym palcem wskazującym dźgnął łokieć Filipiaka. Zapaśnik jęknął, a jego uścisk momentalnie zelżał. Policjant otrząsnął się, a Filipiak spadł na matę jak strącona z drzewa ulęgałka

– Zabiję cię, skurwielu! – zawołał, rzucając nienawistne spojrzenie ku swojemu przeciwnikowi. Nie mógł jednak skupić się na porażaniu wzrokiem, bo musiał zająć się rozmasowywaniem porażonej ręki. Podbiegło do niego zaraz dwóch sanitariuszy. Wszyscy obecni w tym miejscu wiedzieli dobrze, co się stało, choć mało kto zauważył tę akcję Olkiewicza. Wsadzenie komuś prądu w łapę było zagranieciem nieczystym i pozaregulaminowym, ale w klasycznych zapasach. Tu, w stylu wolnoamerykańskim, można było stosować każdy chwyt, który nie uszkadzał ciała przeciwnika. A porażenie prądowym ciosem zdarzało się bardzo rzadko, bo mało kto potrafił tego dokonać. Anzelm najwyraźniej stosował tę zagrywkę dość często, bo doskonale wiedział, jak to robić, a Anastazy poczuł na sobie, w którym kierunku zmierza akcja przeciwnika. I właśnie dlatego nie miał najmniejszych skrupułów, żeby odpowiedzieć w podobny sposób. Nie miał pojęcia tylko, czy mu się to uda, bo rzadko ćwiczył takie efektowne zagrania. Ostatni raz podczas wojny bolszewickiej, kiedy to przyszło mu w okopach walczyć wręcz z nacierającymi czerwonoarmistami. Jeden z nich po wystrzeleniu ostatniego naboju rzucił się na sierżanta Olkiewicza z saperską łopatką w ręce i kto wie, może ta saperka rozorałaby mu czoło na dwie połówki, gdyby nie refleks, który pozwolił chwycić przegub bolszewika lewą ręką, a prawą zaatakować łokieć. Palec trafił w odpowiednie miejsce i łopaska wyleciała z dłoni, która natychmiast zwiotczała.

– Masz w tym paluchu jakiś gwóźdź? – zapytał wtedy z podziwem w głosie sierżant Okoń, chowając do kabury swoją parabelkę, którą właśnie odstrzelił żołdacka pokonanego przez Olkiewicza. Tu, pod

Warszawą, żadna ze stron nie brała jeńców. Nikt nie miał czasu się nimi zajmować w chwili, gdy ważyły się losy wojny. Anastazy uśmiechnął się pod nosem.

– Gdybyś w Poznaniu więcej się lał z wiarą, a nie tylko żłopał piwsko, tobyś wiedział, jak się takie czary robi – wyjaśnił chełpliwie, choć zabieg, o którym słyszał podczas opowieści przy kuflu, zastosował właśnie w akcie desperacji po raz pierwszy w życiu.

Teraz w hali cyrkowej zrobił to po raz drugi i dlatego uznał, że jest w tej kwestii prawdziwym specjalistą. Inne zdanie miał na ten temat pokonany Filipiak, któremu cały czas rozmasowywano rękę.

– Zajebię cię jak psa, ty łysy chuju. Dajcie mi go dziś wieczorem, a rozdeptam go jak karakana na śmierdzącą miazgę. Poczuj, co to znaczy gniew pana Filipiaka, jebaniec niemyty w mordę szarpany. Oderwę ci łeb i nasram do środka, ty kurwiarzu z koziej dupy, ty...

– A spróbuj, ty rozmemłano frechkundo[24]. Myślisz se, że tu u nas, w Poznaniu, to nie znajdzie się silny na takiego zdalasiałego szuszwola?[25] – Olkiewicz chwycił się pod boki, mierząc groźnym spojrzeniem swojego przeciwnika. – Jakżeś taki mocny w luchaniu[26] jak w blubraniu[27], to dalej, stanij ino, a się zaraz zobaczy. – Splunął pod nogi z pogardą dla niemogącego pogodzić się z porażką przeciwnika.

– Co on pierdoli? – Filipiak spojrzał bezradnie na swoich masażystów. Byli miejscowi, więc pewnie zrozumieli, co odpowiedział łysy.

– Ten pan odpowiedział, że bardzo chętnie stanie z panem do pojedynku i może nawet natychmiastowo – wyjaśnił młodszy i nieco niższy z dwójki sanitariuszy.

– Panie sędzio, słyszał pan tę kreaturę? – Sędzia pokiwał głową, uśmiechając się przy tym ze zrozumieniem. Zresztą wszyscy dookoła uśmiechali się pod nosem, bo takiego efektu konfrontacji mistrza wszechwag oraz Europy i innych kontynentów z poznaniakiem, którego nikt jeszcze na ringu nie widział, nawet najbardziej szalony bukmacher by nie obstawił.

– Słyszałem, mistrzu – potwierdził sędzia. – Rozumiem, że mistrz życzy sobie rewanżu dziś wieczorem?

– Jakiego rewanżu? Tu nie ma mowy o rewanżu, bo ten worek na gównie mnie nie pokonał. Podstępem mnie zrzucił, gdy już miał założonego Nelsona. Już było po walce, kiedy on naraz... Zresztą, co ja będę tu dużo gadał? Wieczorem chcę mu pokazać, jak wygląda prawdziwa walka.

– Ależ oczywiście, mistrzu. – Sędzia pokłonił się na znak zgody, a Filipiak narzucił na ramiona swój jedwabny szlafrok, który na wyciągniętych rękach podał mu chłopak do pomocy. Odwróciwszy się do zgromadzonych na macie mężczyzn, ruszył energicznym krokiem ku wyjściu do garderoby. Naraz, niespodziewanie rozległy się dźwięki *Marsza Torreadora*. Popłynęły z zagrody orkiestrowej, gdzie właśnie rozsiedli się cyrkowi muzycy, którzy swoim akompaniamentem umilali oglądającym walki wszystkie antrakty i zawodnicze prezentacje. Filipiak schodził więc ze sceny jak zwycięzca corridy, jednak tym razem, po raz pierwszy od dawna, ze spuszczoną głową. Nikt nie podejrzewał nawet, że to nie ostatnia jego porażka tego dnia.

Anastazy Olkiewicz w ogóle nie miał takich myśli. Jego interesowało tylko jedno. Chciał już iść do Dyrekcji Policji, żeby zameldować, że ma podejrzanego, choć wcale nie wie, czy ten Filipiak jest podejrzany. Ale pewności mieć się przecież nie będzie, jeśli się faceta nie przesłucha. Wszystko jak na razie się zgadzało, bo gość był gibki jak sprężyna, do tego miał jeszcze przetrącony nos i – co najważniejsze – nie był tutejszy, więc mogło się zgadzać, że to właśnie ten poszukiwany Mściciel w Masce, jak go nazwali ludzie, którym zdawało się, że on za ich krzywdy odpłaca bogaczom i wymierza im sprawiedliwość. No to jeśli tak jest, to się niedługo wszyscy przekonają, co ten ma naprawdę w głowie, bo że mściwy jest, to Olkiewicz właśnie zdążył zauważyć, ale czy jest z niego miejscowy Zorro, o tym trzeba będzie się przekonać podczas przesłuchania, gdy wraz z Okoniem wezmą go w obroty.

– Chodź no pan tutaj. – Sędzia skinął na Anastazego. Ten zdziwił się niepomrotnie, bo myślami był już w zupełnie innej rzeczywistości. Podszedł jednak na wszelki wypadek.

– Masz pan tu dwadzieścia złotych zaliczki.

– Co? – Teraz Olkiewicz zdziwił się jeszcze mocniej.

– Dobrześ się pan z tym Filipiakiem sprawił – stwierdził zadowolony arbiter. – Niech nie myśli, że my tu, w Poznaniu, jesteśmy glapami futrowani[28]. Wieczorem dołożysz mu pan drugi raz. Tylko nie w tych porach. – Wskazał na całkiem porządne spodnie Olkiewicza.

– Przecie one jak nowe całkowicie... – próbował nie zgodzić się Anastazy.

– Do kościoła może i dobre, ale tu jest cyrk bokserski. Tu się na kolanach walczy, a nie modli. Trzeba, żeby walka była w trykotach i trzewikach. Który masz pan numer buta?

– Czterdziesty trzeci – odpowiedział niezwłocznie, bo nad odpowiedzią na tak proste pytanie nie musiał się zastanawiać.

– Karolek, chodź tu migiem!

Chłopak podręczny natychmiast podbiegł do sędziego.

– Idź no do szatni i z szafki tego Barabasza, co się miesiąc temu obwiesił, przynieś jego trykot i trzewiki. Powinny być dobre na naszego nowego mistrza.

– Się robi, panie sędzio. – Chłopak uśmiechnął się i pognał, jakby go wilki goniły. Widać było, że się stara.

– A jak się pan nazywasz? – zapytał sędzia Anastazego.

– Anastazy – odparł zgodnie z prawdą. – A na nazwisko Olkiewicz.

Stojący obok sędziego, nieodzywający się dotąd, niski grubas w kraciastej marynarce i żółtym krawacie pod szyją, pokręcił głową.

– Olkiewicz się nie nada.

– Jak nie...

– Nie nada się, bo za mientkie. – Trza jakoś twardziej jak na mistrza. Żeby było jak karabinowy wystrzał. A co żeś pan robił, żeby zarobić?

Anastazy wzruszył ramionami. Przecież nie mógł powiedzieć, że jest policjantem.

– Na kolei robiłem – skłamał.

– Na kolei, powiadasz pan. Anastazy na kolei, kolejarz Anastazy, znaczy Antek. – Grubas mówił sam do siebie, analizując informacje i drapiąc się po głowie. – Anastazy lokomotywa, poznańska lokomotywa, parowóz poznański, Antek parowóz...

– Antek Luxtorpeda – rzucił sędzia, a na twarzy tego w kraciastej marynarce pojawił się szeroki uśmiech.

– No co tam, Anastazy, co to zapasy sobie urządzenie? – zapytał go komisarz Fischer, który właśnie pojawił się w drzwiach Dyrekcji Policji. Olkiewicz, mimo że nie był w mundurze, wyprężył się na baczość, podobnie jak dyżurny, przodownik Janiak, na którym sprawdzał niezawodność swojego elektrycznego ciosu.

– Nie, ja ino tak – zaczął wyjaśniać, ale Fischer najwyraźniej nie miał czasu na pogaduchy.

– Chodź ze mną natychmiast. Bo zdaje się, że przez pomyłkę w nocy zaaresztowaliśmy twojego dobrego znajomego.

– Kogo?

– Zobaczymy, czy go rozpoznasz.

## Człuchów

Godzina 10.20 przed południem

– No i co mi teraz powiesz? Bo to twoja jedyna szansa.

– Niby że to ja?

– A kto?

– No nie wiem.

– Ale ja wiem, ty zakuta pało! Oszukałeś mnie raz i teraz se myślisz, że ja ci w twoje łgarstwa uwierzę? Otóż, mylisz się, kochanieńki, bardzo się mylisz. Teraz całą prawdę mi tu zaraz powiesz, bo jak nie, to ja ciebie w trymiga przed sąd za morderstwo postawię i jak mi Bóg miły, trafisz ty do ciężkiego więzienia w Rawiczu na dożywocie. I wtedy zobaczysz, jak to było dobrze kłamać przed policjantem, który jest reprezentantem majestatu całej Rzeczypospolitej. Wew związku z tym, jak ty, cholero jedna, kłamiesz do mnie, to tak jakbyś matkę rodzoną okłamywał. A wiadomo, że kto matkę kłamie, ten jest gównem wart i najlepiej, żeby resztę swoich dni spędził w ciężkim więzieniu, co ja tobie, łotrze cholerny, zagwarantować mogę!

Skończywszy tę tyradę, Bielawski sięgnął po butelkę z wodą sodową, otworzył ją i nalał sobie solidną porcję do szklanki. Upiwszy łyk, spojrzął na zatrzymanego, który opuścił głowę i przypatrywał się swoim trzewikom. Nie poganiał go. Powiedział, co miał do powiedzenia, a teraz czekał, zastanawiając się, czy do tego głąba coś dotarło. Mógł tak siedzieć nawet i pół godziny, byleby tylko tamten zrozumiał, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Choć wyjście było. Zasugerował je na samym początku, ale przesłuchiwany chyba nie połapał się, o co chodzi. Trzeba więc było podać mu rozwiązanie w nieco mniej skomplikowany sposób.

– Albo będziesz gadał i może uratujesz dupę, albo nie będziesz i już po tobie.

Nie podniósł głowy. Cały czas wpatrywał się w podłogę.

– A wiesz ty, co w więzieniu robią z takimi, co tam dopiero przyszli? To jak nie wiesz, to ja ci powiem. Kilku takich, co już tam dłużej siedzą, biorą takiego gościa i rozciągają go na pryczy. Każden jeden trzyma go za łapę albo za nogę i jak już taki jest jak w imadle, bo się nie może poruszyć, co najwyżej palcem w bucie se może pokiwać, to ich herszt, co jest najważniejszy w celi, ściąga mu portki, wsadza kutasa w dupę i rucha, tak jakby on był kobitą.

Przesłuchiwany podniósł głowę i spojrzął na policjanta.

– No tak. Tak właśnie jest. Ale to jeszcze nie koniec. Bo zadupczyć se muszą wszyscy. Tak że po herszcie bierze takiego jego zastępcę, a potem ten, co trzymał go za rękę, i ten, co za nogę, i tak go ruchają, aż wszyscy mają dość, a jemu tyłek pęka.

W pokoju przesłuchań zapadła cisza, którą wypełniały tylko melodyjne dźwięki *Wariacji Goldbergowskich* Bacha, płynące z głośnika radiowego, ustawionego na okiennym parapecie. O tej porze przodownik Bielawski, wielki miłośnik radia i muzyki, nastawiał odbiornik na częstotliwość podberlińskiej stacji w Königs Wusterhausen, która nadawała koncerty muzyki klasycznej w najlepszych wykonaniach. Bielawski może nie był koneserem, ale potrafił docenić piękno i harmonię taktów. Nie znosił za to kręcących przesłuchiowanych. Lecz jako człowiek z natury cierpliwy, wolał spokojnie posłuchać przez chwilę muzyki niż przechodzić od razu do konkretów. Bo wszystko wskazywało, że Maciaszek jest jednak

zatwardziałym typem i bez czynnej perswazji nie da się mu przemówić do rozumu.

Kolejarz tymczasem analizował swoją sytuację i wychodziło mu jedno – że jest w trudnym położeniu. Gorączkowo szukał wyjścia, ale nic nie przychodziło mu do głowy. A mógł przecież poczekać, tylko z drugiej strony jak było czekać przy tak dobrze idącej karcie, gdy na stole było prawie trzysta złotych, a on miał w ręku karete asów?

Wczoraj skusił się i poszedł do piwiarni przy ulicy Dworcowej. Nie, wcale nie szedł grać w karty. Miał ochotę tylko przepłukać gardło, bo w końcu jak tu się nie napić, gdy człowiek odbierze ciężko zapracowaną tygodniówkę. No i wypił jedno piwo, potem zjadł śledzia w śmietanie z cebulką i popił stopką wódki, a potem jeszcze jednym piwem, i pewnie poszedłby spokojnie do domu, gdyby nie okazało się, że przy stoliku karcianym siedzą jacyś obwiesie, którzy przyjechali tu nie wiadomo skąd, i grając w karty, skracają sobie czas oczekiwania na pociąg. Było ich dwóch, a z nimi miejscowy karciarz Alojz Wierzbak. Tego Maciaszek znał dobrze, bo często ze sobą grywali, niezbyt wysoko, ot tak, dla rozrywki.

Kolejarz, racząc się piwem, spoglądał w kierunku karciarzy, ale jakoś nie miał specjalnie ochoty na granie, tym bardziej że pieniądze musiał zanieść do domu, bo siostra czekała na wypłatę, żeby zrobić zakupy przed niedzielą. Już chciał wyjść, gdy naraz od stolika wstał Wierzbak. Szedł zapewne na zewnątrz do wychodka za potrzebą, kiedy naraz dojrzał Maciaszka. Uśmiechnął się na widok kolegi i zmienił trasę, podchodząc do niego. Nie pytając o zgodę, za długo się znali na zbędne ceregiele, odsunął krzesło i usiadł naprzeciwko.

– Nie poprzerzucalbyś się obrazkami? – zapytał.

– E... – kolejarz machnął ręką – siostra na mnie czeka. Muszę zaraz do domu, bo chce po sprawunki lecieć.

– Widzisz tych dwóch? – Wierzbak pochylił się nieco, jakby obawiając się, że ktoś może go podsłuchać.

– Tych, co z tobą grają?

– No właśnie. Dwie lebiegi z Niemiec. Jadą do Gdańska i tu czekają na osobowy do granicy. Muszą z jakiego interesu powracać z Polski, bo mają pieniądze. Widziałem ich portfele. Powiadam ci, grube jak

święteczne śledzie. Ale oni nie mają obycia i zdolności. To ćwoki zwyczajne. Jakby my we dwóch na nich, toby w godzinkę dało się ich puścić w skarpetkach.

– Powiadasz, że zieloni?

– Jak dzieci. Nic o kartach nie wiedzą. Już ich walnąłem na sto dwadzieścia złociszów.

– Sto dwadzieścia, powiadasz?

– Płacą honorowo. Nic nie gadają, ino płacą.

– A po ile otwarcie?

– Malutko jak na razie, bo po piątku... – Wierzbak spojrzął na znajomego z nadzieją w oczach. – To ty się z tym prześpij, a ja idę odcedzić kartofelki.

Wstał od stołu i wyszedł za potrzebą. Maciaszek tymczasem intensywnie się zastanawiał. W końcu, myślał, co to szkodzi rozegrać kilka rozdań? Przecież to tylko po piątce otwarcie. Żaden majątek. Nawet jakby przez przypadek się przegrało tą całą wypłatę, co jest oczywiście zupełnie niemożliwe, bo te dwa Niemiaszki na mądrych nie wyglądają, to przecież i tak biedy nie będzie, bo po tym, co się znalazło przy torach, to zabezpieczenie jest na całe lata. A jeśli by ich jeszcze ograć na stówkę, tak jak to zrobił właśnie ten Wierzbak, to mógłby za godzinę przyjść do domu, położyć na stole czterdzieści złotych tygodniówki i do tego jeszcze dorzucić wygraną... Pelagia zrobi wielkie oczy i powie swoim zwyczajem: „Jezusie i Maryjko! Skąd tyle masz pieniędzy? Przecież to cały majątek. Będzie na portki nowe i buty dla chłopaczków”. A on wtedy powie: „Widzisz, jaki twój brat jest dbający o dom i rodzinę”. I wtedy pójdzie do kredensu i wyciągnie butelkę czystej, co stoi tam na ważne okazje, naleje sobie kielicha, a ona, licząc pieniądze, będzie ocierać łzy szczęścia...

– No dalej, idziesz? – Z zamyślenia wyrwał go głos Wierzbaka.

– No niech ci będzie. Kilka szybkich partyjek. Ino jak gramy, razem czy osobno?

– A po co nam grać razem na takie dwie łachudry? Każdy ugra swoje. Ja już mam zrobione sto dwadzieścia złociszów... – przypomniał Wierzbak, jakby to miało jakieś szczególne znaczenie.

Maciaszek wstał od stolika i poszedł za nim.

– To jest mój kamrat – przedstawił go Niemcom.



Obaj pokiwali głowami na znak, że rozumieją, w czym rzecz, i nie mają nic przeciwko.

– Siadaj – powiedział rudy, niższy z dwójki karciarzy. Jego wyższy i znacznie postawniejszy kolega o byczym karku tylko pokiwał głową.

– Kolejarz? – Raczej stwierdził, niż zapytał, wskazując na czarną kurtkę mundurową.

– Ja – potwierdził Maciaszek.

– A w kahty umiesz ghać? – Rudy wolał się upewnić.

– Co mam nie umieć. Zaraz zobaczycie, jak tu się u nas gra w karty.

– No jak żeś taki dobhy, to ja nie wiem, czy my z takim mistrzem możemy ghać. *Was denkst du, Willi?*[29]

– *Ich weiß nicht, ob wir gegen einem so guten Spieler spielen können*[30].

– Możecie, możecie – rzucił szybko, bo przestraszył się, że Niemcy odejdą od stołu, czując już od samego początku jego przewagę. – Ja nie żaden zawodowiec. Ja zwykły kolejarz. Co nie, Wierzbak?

– Prawdę gada. Nie musicie się bać. Zresztą my przecież nie dla wielkiego zarobku gramy, tylko dla zabawy, nie?

– Phawda – potwierdził drugi z Niemców, Willi. – Ale piniądz masz?

– Spojrzał na Maciaszka, który już zaczął się niecierpliwić. Przyszedł przecież grać, a nie na pogaduszki.

– Jasne, że mam. – Wyciągnął z kieszeni kopertę z tygodniową wypłatą, wypełnioną banknotami i bilonem. Dostrzegł natychmiast błysk zadowolenia w zielonych oczach rudego Niemca i wiedział już, że ci amatorzy połknęli haczyk. Teraz trzeba było tylko spokojnie rozegrać kilka rozdań i złoić im ich niemieckie tyłki. Najważniejsze to panować nad emocjami i grać ostrożnie, żeby ich wyczuć. Bo skoro przyjechali tu we dwóch, to na pewno trzymają sztamę. A on spokojnie będzie ich obserwował i w końcu spuści im takie manto jak nasi pod Grunwaldem. A co, niech wiedzą, że z Polakiem nie ma żartów.

Od razu zaczęło mu dobrze iść. W pierwszym rozdaniu wpadła mu do ręki trójka waletów. Niewiele, ale zawsze to coś. Ostrożnie zagrał za piątkę. Wierzbak spasował, bo pewnie nic nie miał. Podobnie postąpił rudy. Willi go sprawdził. Okazało się, że miał parę asów, ale

to było za mało na niego. Z czym do ludu? pomyślał zadowolony, zbierając dwadzieścia złotych. Uznał, że sprawa wygląda dość prosto. Tym bardziej że w drugim rozdaniu dostał dwie pary dziesiątki na królach. Tym razem weszli wszyscy trzej pozostali gracze, gdy podbił za dziesięć. Sprawdził go Wierzbak. Okazało się, że miał z czym wchodzić, bo dostał dziesiątki i damy, a Niemcy byli słabi jak niemowlaki. Każdy miał po parze.

Wierzbak zrobił do niego oko, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem, chłopie, że rozłoży się ich jak słomę na klepisku”. Po dwóch rozdaniach był już bogatszy o 65 złotych, nie tracąc ani grosza. Jeszcze jedno i będzie ponad stowa. O Boże, jakie życie potrafi być piękne, myślał, uśmiechając się i sprawdzając po kolei karty, które podawał mu rozdający rudzielec.

Najpierw dostał dwie damy, potem króla, w końcu jeszcze jedną damę i na koniec dziesiątkę. Najwyraźniej karta mu dziś szła, ale jako wytrawny pokerzysta nie okazał stanu swoich emocji przeciwnikom. Przez chwilę wpatrywał się w figury, zastanawiając się, jak postąpić. Czy wymienić króla i dziesiątkę, zwiększając swoje szanse na karety, czy wymienić tylko jedną, licząc, że może przyjdzie jedna do fula. W końcu zdecydował i poszedł *va banque*. Przesunął w stronę rozdającego dwie karty. Musiał spróbować poszukać karety i zwiększyć możliwości. Niemiec uśmiechnął się pod rudym wąsem. Wszyscy zauważyli, że dobiera do trzech kart, a to znaczyło, że ma w rękach trójkę. Zostanie z nią, czy dojdzie mu czwarta do karety, a może para i będzie miał fula? Gra zaczynała robić się coraz bardziej emocjonująca. Tym bardziej że Wierzbak wymienił jedną kartę, czyli miał pewnie dwie pary i szukał fula albo może z ręki dostał karety i wymieniał dla niepoznaki. Willi zapewne nie miał nic ciekawego, bo dobierał trzy karty, czyli w ręce miał parę. Ostatni w kolejce, rozdający rudzielec, wymienił jedną kartę. Ostrożnie zsunął ją z wierzchu kupki palcem i przesunął do siebie. Każdy z graczy zaczął powoli i z namaszczeniem analizować swój stan posiadania. Maciaszek wziął do ręki najpierw trójkę, potem pierwszą z otrzymanych kart. Serce zaczęło mu bić jak szalone. Dostał króla. Ale króla się pozbył. Gdyby go nie oddał, miałby już fula. A tak był z trójką. Została ostatnia karta. Czy będzie to chociaż król? Bo jak

nie, to nie ma co wchodzić do gry. Wziął ostatnią i naraz poczuł, że robi mu się sucho w ustach. Ostatnia karta... dama! Miał w ręce karete. A więc cuda się zdarzają. Wygrał. Rozłoży ich wszystkich na łopatki. Zaraz, za ile może zagrać? Ma czterdzieści złotych swoich pieniędzy i wygrane sześćdziesiąt pięć. Razem stówka i piątka. Idealnie, pięć to otwarcie i za sto może zagrać. Jak go przebija... Nie, kto by tam przebijał stówkę. Już jest zwycięzcą. Gdy wygra, będzie miał trzysta złotych do przodu. Boże, tylko proszę cię, żeby zagrali....

Zagrali wszyscy trzej. Widać mieli dobrą kartę, ale co to dla niego, gdy on miał cztery damy. Już po grze. Ostatni sprawdzał rudy. I już by było po rozgrywce, gdyby nie...

– No to ja do stu i podbijam jeszcze o sto! – rzucił zadowolony Niemiec i położył na stole pieniądze. W restauracji zrobiło się cicho. Wszyscy pijący dotąd w spokoju klienci zamarli, bo nikt nie pamiętał w tym miejscu tak ostrej rozgrywki. Jego towarzysz dołożył stowę i Wierzbak też dorzucił. Maciaszek otarł pot z czoła. Na stole leżało ponad siedemset złotych. Jeśli chciał grać i nie stracić, musiał dołożyć sto. Tyle że nie miał takich pieniędzy. Rozejrzał się, ale nie natrafił na nikogo, kto mógłby mu przyjść z pomocą. Wokół sami gołodupce. Wierzbak też nie miał. I co tu teraz zrobić? Może przerwać i skoczyć gdzieś pożyczyć. Tylko gdzie? Nikt mu nie pożyczy stowy... I naraz pomyślał, że przecież to nie jest wydawanie znalezionych pieniędzy. Wyłoży tę złotą dwudziestkę na chwilę, zgarnie forszę i ani się kto obejrzy, już dwadzieścia marek znalezione przy torach będzie znów w jego kieszeni. Bo właśnie w kieszeni miał jedną z tych dwudziestomarkówek, które podzielił równo na dwie części i ukrył swoją działkę w szopce pod klepiskiem. Ale jedną schował, żeby móc na nią codziennie patrzeć do czasu, aż będzie można zdobyć spokojnie wydać. Miał ją w swoim skórzanym pugilaresie. A, raz kozie śmierć, pomyślał, wydobył portmonetkę i ze środka wyciągnął monetę. Oczy wszystkich graczy, ale także pozostałych gości piwiarni, skierowały się na złoty krążek.

– Sprawdzam i podbijam – rzucił, a ludzie jęknęli z przejęcia. Jeśli ktoś chciałby sprawdzić, na stole musiało pojawić się jeszcze przynajmniej tysiąc złotych. I tak się stało. Rudy Niemiec wyciągnął z portfela gruby plik banknotów spiętych gumką.

– Tu jest tysiąc – wyjaśnił. – Sprawdzam.

Maciaszek otarł pot z czoła, a potem powoli, karta po karcie, rozłożył na stole swoją karekę. Ludzie zebrani w knajpie jęknęli z zachwytu. Bądź co bądź Polak pokonał Niemca...

I wtedy rudy rozłożył swoje karty. Miał karekę asów...

Policjant Bielawski dopił wodę, otarł wierzchem dłoni wilgotne wąsy, a potem niespodziewanie walnął pięścią w stół.

– Gadajże, do cholery, Maciaszek, skąd masz złote marki i ile ich jeszcze masz schowanych? I nie mów mi, że nie masz, bo pół Człuchowa widziało, jak cię Niemiaszki oskubali. Całe twoje szczęście, że w porę się zjawiłem i przymknąłem tych dwóch oszustów. Patrz się na to, jak cię w konia zrobili, ty baranie!

Wyciągnął z kieszeni gruby plik banknotów. Maciaszek natychmiast rozpoznał pieniądze, które wczoraj przeszły mu koło nosa. A policjant spokojnie zdjął gumę, którą były związane, i rozsypał przed oczyma nieszczęsnego pokerzysty równo przycięte kawałki gazet.

– A to skurwysyny! – jęknął Maciaszek.

– Zwykli oszuści, a tyś się dał im wziąć na lewe sanki. Ale masz szczęście, że policja czuwa. Dostaniesz swoją przegraną z powrotem, ale złoto konfiskuję. A teraz gadaj po dobroci, gdzie reszta złotych monet i skąd żeś je wziął.

I Maciaszek powiedział. Co miał robić? Lepiej oddać złoto niż iść do więzienia. Tym bardziej że sprytnie podzielił wszystko na dwie części i Bielawskiemu powiedział tylko o jednej.

Godzina 10.30 przed południem

– Halo, poproszę o połączenie ze szpitalem garnizonowym! – rzucił do słuchawki ostrym tonem aspirant Oskierko. – Już łączą – wyjaśnił uspokajającym tonem, patrząc na siedzącego w głębokim fotelu podkomisarza Zygmunta Maciejewskiego, który jak twierdził, był kierownikiem wydziału śledczego Komendy Powiatowej Policji w Lublinie.

Najwyraźniej jednak informacja o tym, że ktoś tam kogoś łączy, nie zrobiła na oficerze żadnego wrażenia. Z wielką przyjemnością, malującą się na twarzy, pomimo naznaczenia jej licznymi sińcami i zadrapaniami, rozkoszował się kieliszkiem koniaku i cygarem. Delicje te pochodziły z prywatnych zapasów komisarza Fischera. Oskierko mógł policjanta z Lublina zabrać do swojego niewielkiego pokoiku na drugim piętrze, ale pomyślał, że to będzie raczej niezbyt elegancko, gdy posadzi go na krześle naprzeciw starego, zdezelowanego biurka, które zapewne pamiętało jeszcze czasy kanclerza Bismarcka. Postanowił więc szybko, że bez pytania, dla dobrej sprawy, skorzysta z pokoju szefa, mając nadzieję, że ten nie weźmie mu tego za złe. Chciał za wszelką cenę zatrzeć niezbyt dobre wrażenie, jakie gość z drugiego krańca Polski mógł odnieść po bardzo bliskim kontakcie z poznańską policją.

– Halo, mówi aspirant Oskierko z policji. Z Dyrekcji Policji przy ulicy Ratajczaka. Proszę natychmiast przysłać lekarza do rannego policjanta. Nie, nie postrzelonego. Rannego od pobicia! Nie od zabicia! Jakby on był zabity, tobym do was nie dzwonił. Pobity policjant. Oficer policji potrzebuje pomocy. Tak, czekamy jak najszybciej! – Z wyraźną ulgą odłożył słuchawkę na widełki i wypuścił z sykiem powietrze.

– Już jadą. Szpital jest niedaleko, bo zaraz za placem Nowomiejskim... A, prawda, pan zapewne nie wie, gdzie jest plac Nowomiejski, ale to całkiem blisko.

– Nie wiem – mruknął Zyga, zaciągając się tytoniowym dymem.

– A koniak panu smakuje? – zapytał nieśmiało Oskierko.

– Dobry martell. – Maciejewski pochwalił alkohol i dopił do końca.

Oskierko natychmiast podszedł z butelką i ponownie napełnił kieliszek. Zyga skinął głową. Aspirant usiadł na drugim fotelu i spojrzał na swój kieszonkowy zegarek.

– O, już za chwilę będzie pół do jedenastej – stwierdził, bo czuł, że musi coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedział co. Powinien go przeprosić za to, co się stało w piwnicy i wcześniej, w nocy, ale nie miał pewności, czy jego ranga zezwala na takie przeprosiny i czy w ogóle starszy stopniem zechce przeprosiny przyjąć. Na pewno mógł to zrobić komisarz Fischer, ale na razie nie było go jeszcze na

miejscu. Po oficera pojechał sprawca całego zamieszania albo jak kto woli, człowiek, który uratował honor poznańskiej policji, przodownik Okoń.

– A wie pan, że tu u nas, w Poznaniu... – Aspirant Oskierko próbował niestrudzenie zabawić gościa, ale ten ciągle był w niezbyt dobrym nastroju. Tak jakby degustowanie koniaku i pociąganie cygara było dla niego niewystarczającym zadośćuczynieniem za krzywdy, jakich doznał w areszcie. Mimo to młody policjant nie dawał za wygraną. – Tu niedaleko, o, akuratnie na tym budynku, co pan by zobaczył, jakby się pan odwrócił do okna...

– Tak?

– Tam z drugiej strony, od placu Wolności, jest taras rozrywkowy, gdzie dają koncerty i można kawę wypić i ciastko dobre zjeść, i nawet lody włoskie sprzedają. Jadł pan kiedy lody włoskie?

Zyga pokiwał głową. Skłamał, bo pomyślał, że namolny młodzieniec jeszcze kogo wyśle po te lody, żeby sprawić mu przyjemność. To była ostatnia rzecz, na którą miałyby teraz ochotę. Gdyby zaproponował zimne piwo, prosto z lodu, to oczywiście by nie odmówił. Napiłby się i poszedł spać. O, tak właśnie robi, jak go już wypuszczą z tego policyjnego gabinetu. Powinni go zawieźć automobilem do hotelu i dać mu się wyspać, a nie pieprzyć o lodach. Czy ja jestem, do cholery, panną pensjonariuszką, żeby mi tu pieprzyć o lodach? Koniak, na szczęście, mieli tu całkiem dobry.

Sięgnął po kieliszek i dopił do końca, rozcierając językiem resztki na podniebieniu dla zwielokrotnienia tego nieprawdopodobnego smakowego odczucia. Właściwie już nawet na spanie ochota mu przechodziła dzięki temu francuskiemu trunkowi. Tak właściwie to jeszcze by się napił.

Odstawił naczynie na niewielki okrągły stolik kawowy, tak żeby wydobyć szklany brząk. Aspirant natychmiast zrozumiał, w czym rzecz, i znów napełnił kieliszek.

– Bo ten taras to należy do Cafe Esplanada. Bardzo elegancki lokal, jakby pan komisarz miał kiedy ochotę, to polecam. A lody, powiadam, pierwsza klasa. Nigdzie takich nie ma.

– A we Włoszech?

– We Włoszech to nie wiem. Nie byłem.

– No ale są przecież włoskie.

– A zna pan fasolkę po bretońsku? – zapytał, nie wiedzieć czemu, aspirant.

Maciejewski pokręcił głową.

– Nie byłem w Bretanii.

– Ha, ha, wcale nie trzeba być. Wystarczy w Poznaniu zajść do restauracji Grand Café, tutaj obok, przy placu Wolności, pod numerem 18. Tam właściciel restauracji, pan Maksymilian Brenz, wpadł na pomysł genialny w swojej prostocie i danie zwyczajne, co się je podaje w barach, śniadalniach i garkuchniach nawet, czyli fasolę po chłopsku w tomacie, nazwał „fasolka po bretońsku” i tak oto gminna potrawa z kiełbasą i boczkiem stała się wykwintnym daniem z zagranicy. A jakby pan był w Bretanii i chciał na ten przykład spróbować ich fasolki, to tam nikt o takim daniu nie słyszał. Owszem, mają fasolę i pomidory, ale robią to wszystko zupełnie inaczej. A tu fasola francuska idzie jak ciepłe bułeczki – wyjaśnił zadowolony z siebie Oskierko.

Zyga skinął głową. Nadgorliwy oficer już go zaczynał męczyć. Rozumiał wszakże, że musi tu siedzieć i się nudzić, a ten biedak musi gadać, żeby go trochę rozerwać. Jednak wcale to nie znaczyło, że powinien młodemu ułatwiać życie i podtrzymywać rozmowę. Jedyne, co musiał, to poczekać, aż szef aspiranta, komisarz Fischer, przeprosi go osobiście za zachowanie swoich durnych podwładnych. Mógł w zasadzie wstać i wyjść, ale nie chciał, żeby wzięto go za nieokrzesanego chama. No więc trzeba było siedzieć i czekać. Na szczęście był martell i cygara...

– I niechże pan sobie wyobrazi, że właściciele Esplanady postanowili sprzedać miejsce na ścianie szczytowej budynku na zareklamowanie się na czas PeWuKi. Wiele firm chciało zapłacić za ten przywilej, ale ostatecznie wygrały dwie: Baczewski, ten sam, co produkuje we Lwowie wódki, i producent żarówek Osram. I to ci od żarówek wykonali dwa napisy, niech pan sobie wyobrazi, napisy świetlne z rur neonowych. Piękne, ładnie świecą i cały Poznań się z tych neonów teraz śmieje, ha, ha, ha.

– A dlaczegóż to? – zapytał bez specjalnego zainteresowania Maciejewski.

– Bo na górze jest napis „J.A. Baczewski”, a pod nim „Osram lampy”.

– Coś takiego! – zawołał Zyga z dość przesadnym entuzjazmem, który wziął się z nadmiaru alkoholu. – A jest u was cyrk? – zapytał, zaś aspirant Oskierko spojrzał na niego jak na wariata.

– Jaki cyrk?

– Normalny, taki, w którym się walki organizuje.

– A, boks, wolna amerykanka... No oczywiście, że jest! – ucieszył się Oskierko, bo wreszcie wypłynął jakiś temat, na który można będzie porozmawiać. On, co prawda, do cyrku nie chodził, ale komisarz Fischer jak najbardziej.

Już zamierzał wytłumaczyć, że w Poznaniu jest nawet stała arena cyrkowa, która znajduje się całkiem blisko budynku Dyrekcji Policji, gdy drzwi do pokoju otworzyły się z impetem i do środka wkroczył postawny, krótko ostrzyżony mężczyzna z jasnym wąsem pod nosem. Ubrany był w beżową, letnią marynarkę i do tego nieco ciemniejsze spodnie za kolana, zwane knykrami, kończące się na łydkach odzianych w wiśniowe kolanówki. Gdy Zyga go zobaczył, natychmiast pomyślał, że to musi być jakiś domokrażny sprzedawca sztuczków z plateru albo kryształowych kieliszków, ale na pewno nie może to być policjant. Mylił się jednak. Z błędu wyprowadził go drugi mężczyzna, który wszedł do pokoju zaraz za tym pierwszym. Tego, ubranego w mundur przodownika, niezbyt wysokiego policjanta o okrągłej twarzy Maciejewski rozpoznał natychmiast.

– Jak Boga kocham, toż to sam pan aspirant Maciejewski! – krzyknął na jego widok Anastazy Olkiewicz. – To jest on, ja jego rozpoznaję, panie komisarzu, że to jest Maciejewski we własnej osobie. A to jest komisarz Fischer, co był moim dowódcą jeszcze we wojnę bolszewicką i w powstaniu. Widzi pan komisarz, zawsze powiadałem, że aspiranta Maciejewskiego pomylić się nie da, bo po tej przetrąconej klucze idzie onego rozpoznać...

– Witam w naszych skromnych progach drogiego gościa! – zawołał nazbyt głośno Fischer, chcąc zagłuszyć wydzwięk tego niezbyt eleganckiego stwierdzenia swojego podwładnego.

Oskierko też syknął na Olkiewicza, ale ten najwyraźniej nic sobie nie robił z ostrzeżeń. Podczas gdy Fischer potrząsał dłonią gościa,



Olkiewicz tłumaczył wszystkim kwestie związane z krzywym nosem swojego znajomego.

– Bo aspirant Maciejewski jest nie tylko szkieł, ale bokser i zapaśnik.

– Już nie aspirant, ale podkomisarz – poprawił go Oskierko, który zapamiętał dobrze, jak przedstawiał mu się Maciejewski.

– No proszę! – ucieszył się gospodarz. – Ja też zapaśnik, jeszcze z czasów szkolnych zapaśnik! No ale co tu będziemy gadać o suchym pysku. Oskierko, daj pan butelkę martella.

– Już dałem, panie komisarzu.

– Aha, bardzo dobrze. Bardzo dobrze. Mało co zostało. – Dostrzegł opróżnioną flaszkę na stoliku kawowym. – No to wyciągnij pan drugą. Napijemy się, panie kolego?

– Dlaczego by nie. – Zyga wzruszył ramionami. W zasadzie było mu wszystko jedno, bo oczy mu się już powoli zamykały. Nie chciał jednak okazać się człowiekiem pozbawionym kultury. Musiał się napić z tym Fischerem, skoro ten nalegał.

– A wie pan, ja od rana dziś miałem grać w tenis i dlatego ubrany jestem jak małpa w te krótkie pory, bo moja małżonka grywa i tak sobie wymyśliła, że i mnie nauczy, więc jak przybiegł do mnie przodownik Okoń i powiedział o tym okropnym nieporozumieniu, to ja powiem panu, że mało go nie ucałowałem z radości, że mogę się z tego tenisa wyłgać. No i przyleciałem tutaj, alem się nie zdążył już przebrać. A pan grywa w tenis?

– Nie.

– O, jest i Okoń. No dalej, zamknij drzwi, żeby, jak to mówią, muchy nie leciały.

Przodownik trzasnął drzwiami i podszedł do stolika. Ku zdziwieniu Maciejewskiego postawił na nim pięć prostych, poobijanych i wysłużonych aluminiowych kubków. Natychmiast zabrał też pusty kieliszek. Zyga doskonale znał takie kubki. Podczas wojny bolszewickiej miał taki sam jako element swojego żołnierskiego wyposażenia. Gdzieś mu przepadł i od tego czasu nawet nie pomyślał, że jeszcze kiedyś będzie z podobnego cokolwiek pił. Ciekawe, co ten Fischer sobie wymyślił? Gospodarz tymczasem

wyciągnął korek z flaszki i rozlał jej zawartość do wszystkich pięciu kubków.

– No to, panie Maciejewski, Anastazy Olkiewicz powiadał, że z pana jest równy chłop i do tego jeszcze frontowiec. – Fischer uniósł jeden z garnuszków. – Wybacz pan głupcom pobicie, bo to pomyłka nadgorliwców, wybacz pan noc w pudle, bo jak żeś pan policjant, to wiesz, że tylko ten się nie myli, co nic nie robi, a w nocy wszystkie kociambry są czarne. I wypij pan z nami, panie kolego, z frontowych kubków, bo my wszyscy, jak tu jesteśmy, to frontowa wiara i każdy na wojnie zrobił tyle, że jak nas tu miejscowych czwórka, to powiem tylko, że są tu trzy Krzyże Walecznych i dwa Virtuti...

Dopiero teraz do Maciejewskiego dotarł sens tego przedstawienia z kubkami. Ci faceci w ten sposób musieli zapijać swoje wojenne wspomnienia. Najciekawsze jednak, że robili to zupełnie otwarcie w policyjnym biurze, oficerowie wraz z podoficerami. W Lublinie coś takiego było nie do pomyślenia. Po służbie, w jakiejś knajpie, owszem, czemu nie, ale w biały dzień...

– W dobrym towarzystwie grzechem byłoby nie wypić – stwierdził Maciejewski, uśmiechając się krzywo. Prosto będzie mógł pewnie za jakiś tydzień, jak mu się pęknięta i opuchnięta warga ładnie zrośnie. – A Krzyże Walecznych są cztery – dodał zadowolony. Też miał swój, więc wiedział, że za byle co się go nie dostaje. A to znaczyło tyle, że ci goście z Poznania to nie jakieś łachudry, a całkiem solidne zabijaki. Nie od rzeczy mówiło się przecież, że podczas wojny poznańskie pułki, te słynne Rogate Diabły, rznąły bolszewików jak barany.

Godzina 11.05 przed południem

– Chcę się widzieć z Anastazym Olkiewiczem.

– A ja bym się chciał widzieć z Polą Negri.

– Tu nie ma nic do śmiechu.

– A ty, obesrańcu, nie będziesz mnie śmiechu uczył, zrozumiano?

– Lepiej na twoim miejscu, żebyś się nie śmiał, baranie, ale powiedział panu przodownikowi Olkiewiczowi, że tu jest pan Anatol Grubiński. Omyłkowo, znaczy się.

– He, he, he! Grubiński to jest kawał gościa, to jest szpagat ze Starego[31], a nie taki papudrok[32] jak ty. – Posterunkowy Glubke nigdy nie miał okoliczności z Tolkiem Grubińskim, ale oczywiście słyszał niejedną opowieść o wyczynach poznańskiego złodzieja i kasiarza. Ten stojący tu przed nim poobijany brudas nijak nie pasował do wyobrażeń o słynnym bandziorze.

Tolek popatrzył na połę swojej marynarki z oderwanym rękawem. Rzeczywiście, nie wyglądał zbyt wyjściowo. Gdyby tam, pod drzwiami mieszkania należącego do Büllowa, zachował się tak, jak mu nakazał ten policjant, to teraz mógłby uchodzić za eleganckiego człowieka. Ale gdy kazano mu podnieść ręce do góry, uniósł je, by zaraz opuścić i błyskawicznie wyprowadzić cios w policyjną gębę. Policjant, tak jak przypuszczał Grubiński, zamiast strzelić, zasłonił się ręką, w której trzymał parabelkę. Pistolet wypadł mu z dłoni, a dodatkowy lewy sierpowy odrzucił go w kierunku schodów. Tolek kopnął spluwę, która poleciała parę metrów do przodu, i zrobił nawet pierwszy krok, by puścić się jej śladem ku wolnej od trosk i kłopotów ulicy, ale drugiego kroku już nie zdołał zrobić. Podcięta silnym kopniakiem noga odskoczyła do tyłu w chwili, gdy ciężar ciała przesunął się do przodu. Ręka nie zdołała sięgnąć oparcia w postaci drewnianej poręczy i Tolek poleciał jak długi głową w dół. Z hukiem spadł na podest półpiętra.

– Brać go! – zawołał piskliwym głosem, najwyraźniej mocno wzburzony sytuacją, stróż Kajzerek, którego to noga spowodowała Tolkową katastrofę. Niepotrzebnie krzyczał, bo dwaj młodzi posterunkowi z patrolu, którym dowodził powalony przy drzwiach przez Grubińskiego starszy przodownik Mielczarek, natychmiast wzięli się do roboty. Dopadli do leżącego i dalej kopać go i szarpać ile wlezie, tak na wszelki wypadek, żeby mu się czasami czegoś głupiego nie zachciało. Ich dowódca tymczasem podniósł się, otrzepał i powoli, z godnością przynależną jego szarzy, zszedł w dół.

– No, wystarczy, chłopaki – oświadczył, wsuwając pistolet do kabury. Z zadowoleniem stwierdził, że młodzieńcy zajęci robotą nie zauważyli, jak ich szef dał się tak łatwo rozbroić. Na szczęście parabelka zatrzymała się na którymś z górnych schodków

i Mielczarek podniósł ją dyskretnie. Teraz mógł przystąpić do dalszych działań, pewny, że jego podoficerski wizerunek nie ucierpiał.

– No więc widzita wy oba, że najważniejsza w naszej robocie jest przemyślana strategia, która sprawia, że bandyta wobec logiki działań policji jest absolutnie bez szans. Albowiem zatrzymany, próbując ucieczki, wpadł w zastawiony przez nas kocioł, gdyż został otoczony ze wszystkich możliwych do otoczenia stron, znaczy z dołu i z góry. Na górze został specjalnie przepuszczony, ale powalony, a wyśta dokończyli piękną robotę – powiedziawszy to, wskazał na leżącego mężczyznę. – I tak już nie wew szkole policji na kursach, ino wew prawdziwym życiu na akcji widzita wy oba, że policyjne zatrzymania są skuteczne tylko wew ten czas, jak się je dobrze obmyśli i przeprowadzi. Zrozumieliśta?

– Tak jest! – odpowiedzieli zgodnym chórem dwaj posterunkowi.

– No to nie stać jak dupy wołowe. Skujta go kajdankami i wyprowadźta na podwórko. A ja muszę zobaczyć, co tam się wew tym mieszkaniu wydarzyło, co on z niego wylazł, bo może ktoś tam się jeszcze czai wew środku i trzeba go będzie wykurzyć.

– To może ja z panem dla bezpieczeństwa, znaczy się dla ubezpieczynienia. – Piegowaty blondyn zapamiętał z kursów pojęcie, ale słowo okazało się niestety nazbyt trudne do wymówienia.

– Idźcie, Majcherek, na dół. Wizja lokalowa to robota dla podoficera, bo wy byście jeszcze jako policjant bez doświadczenia mogli jakie ślady zdeptać. Wystarczy, że stróż mnie oprowadzi. – Wskazał na Kajzerka stojącego w gotowości. Ten nie był już tak pewny siebie jak jeszcze kilka minut temu, gdy sprowadzeni przez niego policjanci szykowali się na stanowiskach przed wkroczeniem do akcji. Wtedy wszystko wydawało mu się proste. Złapią bandytę, wsadzą go do więzienia i będzie po kłopotcie. Ale teraz naszły go poważne wątpliwości, zwłaszcza od momentu, gdy jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem podnoszonego przez dwójkę młodych policjantów złodzieja. Ten odzyskał właśnie przytomność i pech chciał, że zobaczył Kajzerka. I gdy już go zobaczył, chyba zrozumiał, co się stało i kto go wydał. Uśmiechnął się bowiem w taki sposób, że stróżowi zrobiło się zimno, jakby mu kto w gacie wrzucił śnieżną

kulkę. Zadrżał na całym ciele, bo w tym uśmiechu wyczuł groźbę i jednocześnie obietnicę.

Tolek nie musiał się specjalnie zastanawiać. Był zbyt doświadczony, żeby wierzyć w przypadki. Jeśli pod drzwiami mieszkania, które obrabiał, czekał na niego policjant, to oznaczało jedno – został zakapowany. A gdy okazało się, że wraz z policją pojawił się tam stróż, sprawa była już pewna. To ten cholerny Kajzerek go wydał. Czyli już jest po facecie. Skoro przysięgał, że dochowa tajemnicy i przysięgę złamał, znaczy, że jest zwykłą łachudrą i w związku z tym racha[33] go nie minie. Nie ma o czym gadać. Ale z tym durnym strażnikiem, który podprowadził go właśnie pod drzwi celi, można było jeszcze spróbować.

– Nie szata czyni człowieka, mówi pismo – rzucił, patrząc w zaczerwienione oczy Glubkego.

– Pismo pismem, a u nas jest przepis regulaminowy i nikogo się do aresztanta nie woła, dopóki jego nie przesłucha śledczy.

– A kiedy przesłucha śledczy?

– Może dzisiaj, może rano.

– Chyba żeś zgłupiał, chłopie. To co, ja mam tu do jutra kiblować? Policjant otworzył drzwi do celi i wskazał wewnątrz.

– Zapraszamy na pokoje szanownego pana. A jak przyjdzie ktoś w odwiedziny, to poinformujemy, jak najbardziej poinformujemy. Ino że tera trzeba cierpliwie czekać.

– Jak zawiadomisz Olkiewicza, dam dwadzieścia złotych – spróbował jeszcze rzucić poważny finansowy argument na szalę negocjacji. Nie miał najmniejszej ochoty tkwić w celi do jutra. Tym bardziej że powoli zaczynało go suszyć po nocnym pijaństwie. A perspektywa siedzenia kilkunastu najbliższych godzin w celi o suchym pysku była niezbyt pociągająca.

Glubke popatrzył na aresztanta, a potem pokręcił głową z niedowierzaniem.

– A co ty se myślisz, że ja nie wiem, żeś tu z gołą dupą został doprowadzony? W depozycie żeś ani grosza nie ostawił. – Tolek w mig zrozumiał cały sens tego, co powiedział policjant. Rzucił to niby obojętnym tonem, ale tak naprawdę dało się wyczuć w nim

pewną nutę zachłanności. Niedoświadczony człowiek mógłby w tej chwili powiedzieć, że owszem, ma w podszewce marynarki zaszyte pieniądze i może mu zapłacić. Wystarczyłoby tylko, żeby taki naiwniak się przyznał, i strażnik od razu wziąłby się do roboty. Przeszukałby delikwenta dokładnie, a znalezione pieniądze zabrał, bo jako niezgłoszone do depozytu ulegały konfiskacie. Tyle że według przepisów miała być to konfiskata urzędowa, a nie prywatna. Strażnicy jednak zdecydowanie bardziej lubili konfiskować na własny rachunek.

– Jak z gołą? – rzucił Tolek dla niepoznaki. Miałem w portfelu sporo pieniędzy.

– Miałeś, ale je wysrałeś. No, dosyć pierdolenia. Włóż do celi!

Pchnął go do środka i zatrzasnął za nim drzwi.

Tolek, stanąwszy w przejściu, obrzucił wnętrzem zaciekawionym spojrzeniem. Siedział już w tym podręcznym areszcie kilka lat temu, oczywiście przez pomyłkę, ale wtedy dyżur pełnił pewien jego znajomy, który za niewielką opłatą zadbał o wszelkie wygody, poszedł do restauracji po piwo i jedzenie, dodatkowo sam przy tym jeszcze skorzystał. A ten baran nie wiedział, co traci.

Naraz Grubiński zaczął się śmiać, jakby ktoś zaprowadził go na seans osobliwości w gabinecie krzywych luster. Bo widok, który miał przed sobą, rzeczywiście był taki osobliwy, że mógł przywieść na myśl tylko jakiś cyrkowy spektakl. Na czterech pryczach siedziało bowiem sześciu facetów. Jeden wyglądał całkiem normalnie, to znaczy niczym się nie wyróżniał prócz tego, że był lepiej od pozostałych ubrany i miał świeżo obitą gębę. Ale ta piątka nie dość że sprawiała wrażenie gości wydobytych wprost z rynsztoka, to jeszcze na dodatek każdy z tych facetów miał na stałe zdeformowany nos. Wszyscy z ponurymi minami spoglądali na Grubińskiego, który żadną miarą nie pasował do tej krzywonosej eki[34].

– I czego pan się kielczysz[35], panie Tolek – odezwał się siedzący najbliżej okna, a tym samym najdalej od drzwi, niejaki Fafola, były złodziej, a obecnie przedsiębiorca, który swoją ksywkę zawdzięczał najpodlejszej, mętnej wódzie, którą sam wytwarzał i sprzedawał do najpodlejszych szynków. Gorzoła była zaprawiana dla wzmocnienia

karbidem, a dla polepszenia smaku zalewana odrobiną melasy. Dzięki temu wewnątrz unosiły się drobinki mętów, zwanych fafołami.

– Czyżbyś pan, panie Fafola, doprowadził znów kilku nieszczęśników do ślepoty i wew związku z tym postanowiono wreszcie odstrzelić panu ten łysy łeb?

Fafola pogładził się po głowie.

– Moja okowitka jest najlepsza na świecie i chwałę sobie ją prawdziwi smakosze w wielu poznańskich fyrtlach[36] – stwierdził z miną pełną godności i zaraz zmienił temat na mniej kontrowersyjny. – No dalej, nastąpić się, łachudry niemyte. – Pchnął niskiego gościa z długimi i tłustymi włosami, który wyglądał jak żebrak spod kościoła. – Wypieprzać na podłogę i zrobić miejsce panu Grubińskiemu, bo widzi mi się, że on tu najważniejszy w tej celi.

Żebrak posłusznie wstał i już chciał usiąść po drugiej stronie, ale zaraz dostał kopniaka od innego beznosego gościa, więc spadł na podłogę. Tolek przeszedł nad nim i siadł koło Fafoty.

– Dziś to ja bym nawet się twojej żybure[37] napił, bo mnie trochę suszy.

– Nie mam, niestety. – Mężczyzna rozłożył bezradnie ręce. – Ale jak stąd wyjdziemy, to zapraszam na flaszeczkę. U mnie towar najlepszego sortu.

– O co chodzi z tymi klukami? – Tolek dotknął swojego nosa, który po zderzeniu się ze schodami nie wyglądał specjalnie dobrze. Nie był, co prawda, złamany, ale mocno zdefasonowany i napuchnięty.

– A cholera ich wie. Wczoraj wpadło dwóch tajniaków do Rybackiej na Chwaliszewie, tej, co ją zaopatruję w najprzedniejszą wódeczkę, i bez słowa mnie wzięli w kajdanki zakuli i dalej do wozu aresztanckiego. Powiadali ino, że to w sprawie Mściciela w Masce i że teraz już jest po mścicielu. No a na Młyńskiej się okazało, że takich jak ja z przetrąconym nosem pozwozili z całego miasta. Znaczy się mają cynk, że ten mściciel, co to napada na spokojnych ludzi, musi mieć kinol przetrącony. I wew związku z tym spokojnych handlarzy zatrzymują.

– Nie tylko handlarzy. – Tolek wskazał na pozostałych lokatorów celi.

Fafola machnął ręką.



– Przecież to nie są normalni ludzie, jak pan czy ja. To są łachy cmentarne.

– O, wypraszam sobie – odezwał się gość siedzący naprzeciwko, który ubrany był w wytarte portki i wyświechtaną marynarkę, ale nie był obdartusem. – Nie każdy to pierwsza lepsza łachudra. – Ja na ten przykład jestem poetą i literatem – powiedziawszy to, zdjął kapelusz, którym przykrywał sobie twarz, zasłaniając oczy przed światłem. Nos miał złamany, ale tylko nieznacznie. W zasadzie to był tylko lekko zwichrowany i przesunięty w lewo. – Wacławik Konstanty do usług.

– Pan poeta też dał się zamknąć? – zdziwił się Tolek.

– Jakby zupełnie powariowali. Nie trafiają do nich żadne argumenty. Każą siedzieć cicho i się nie odzywać pod groźbą użycia siły.

– Ale mają nas zaraz brać na przesłuchanie – przypomniał Fafola.  
– Tak powiadał ten klawisz.

– Na przesłuchanie, powiadasz pan?

– No tak. Zaraz wezmą i wypuszczą. Bo przecież wiadomo, że nic my nie zrobili. Nie widać tu wśród nas żadnego Mściciela w Masce. No chyba że ten... – Handlarz alkoholem wskazał głową na milczącego i jakby nieobecnego mężczyznę ze świeżo rozbitym nosem. – Tyle że on nie pasuje do rysopisu poszukiwanego.

Tolek spojrzał w jego stronę.

– A pan szanowny to za co siedzi? – zapytał z grzeczności bardziej niż z ciekawości.

– Ja jestem mordercą! – rzucił i odwrócił się do ściany, uznając dyskusję za zakończoną. Grubiński wzruszył ramionami. Nic go ten facet nie obchodził. Nie przepadał za mordercami. Zwłaszcza takimi z wyższych sfer, bo ten gość na takiego właśnie wyglądał. Porządnie ubrany, o wypielęgnowanych dłoniach z obciętymi równo paznokciami. Jeśli ktoś taki pozbawiał kogoś życia, to znaczy, że był zwyrodnialcem i zboczeńcem. Bo niby po co zabijać, jak się ma wszystko? Co innego w jego środowisku. Tu kosę dostawali pod żebro najgorsi, tacy, którzy nie umieli żyć wśród ludzi i nie stosowali się do honorowych zasad, tacy, jak ten Kajzerek, co to kapowali porządnych ludzi.



– To mówisz pan, że będą przesłuchiwać i zwalniać?

– Jak dwa i dwa cztery.

Przez chwilę analizował w milczeniu informację o zwolnieniach, aż w końcu spojrzął na poszarzałego na twarzy obdartusa, który siedział na sąsiedniej pryczy.

– Jak się nazywasz, przyjacielu? – zapytał ciepłym tonem.

– Ja? – zdziwił się zapytany.

– Nie, szach perski. Do ciebie gadam przecie.

– Kolaska Antoni z Obornik.

– Aha. A kiedy jadłeś ostatnio kotleta schabowego z pyrkami i kapustą kiszoną?

Kolaska oblizał spieczone wargi.

– Będzie przed wojną.

– A chciałbyś jeść kotlety i pić piwo przez cały tydzień?

– No.

– To posłuchaj.

Tolek podszedł do niego, usiadł tuż obok i zaczął mu coś szeptać do ucha. Im dłużej mówił, tym oczy Antka robiły się coraz bardziej okrągłe.

Godzina 2.50 po południu

– Tak na szybko to nic więcej nie dało się zorganizować – stwierdził dyrektor Wandrychowski.

– No, panie dyrektorze, to „nic więcej” musi nam wystarczyć całkowicie. – Mikołajewski z zadowoleniem popatrzył na dwa wagony, które właśnie wjeżdżały na tor boczny, pchane przez niewielką lokomotywę do przetaczania taboru.

Stali na wojskowym peronie, służącym do załadunku specjalnych eszelonów. Za plecami mieli pokryte czerwoną dachówką żółte budynki koszar artyleryjskich, obsadzonych równymi rzędami młodych drzewek. Po drugiej stronie torów kolejowych aż po horyzont rozciągały się nieużytki, wykorzystywane przez wojsko do ćwiczeń polowych.

– Na przyszły tydzień damy radę ściągnąć właściwy wagon. Ten jest nieco starszy niż używany przez Koleje Niemieckie w dalekobieżnych przewozach. Takich, na których panu zależy, czyli wagonów typu Post 3-b/12,5, mamy w naszym okręgu zaledwie kilka. To nowoczesne pocztowce i dość komfortowo wyposażone. A ten tutaj jest niemal identyczny jak te właściwe, ale starszy.

– Czym się różni? – zapytał Mikołajewski, uważnie przyglądając się zielonemu wagonowi.

– Przede wszystkim te nowe nie mają tej budki wartowniczej. – Wskazał na wystający ponad poziom dachu kiosk, przypominający swoimi rozmiarami uliczną budkę telefoniczną, zainstalowaną na przednim pomoście wagonu.

– A tu po co ona właściwie jest?

– Teraz po nic. W czasie wojny w takiej budce mógł jeździć strażnik pilnujący składu. Zresztą teraz też mógłby jeździć, gdyby ten wagon doczepiono do jakiegoś niezwykle ważnego pociągu wojskowego na przykład.

– Rozumiem, czyli jest to coś, czego w tych nowych niemieckich wagonach nie ma?

– Oczywiście. Tam to jest całkowicie nieprzydatne.

Mikołajewski pokiwał głową. Ten kiosk przytwierdzony do wagonu mógłby się przydać, bo dzięki niemu łatwiej można się dostać na dach. A z dachu...

– No i jak, panowie, wizja lokalna? – odezwał się zza ich pleców major Jażdżewski, który właśnie podjechał bitą drogą, wiodącą wzdłuż bocznicy. Ciężarówka, która go przywiozła, zatrzymała się przy ceglanej rampie. Z paki zaczęli wyskakiwać żołnierze. Jażdżewski zostawił ich, żeby najpierw naradzić się z organizatorami przedsięwzięcia.

Właściwie głównym organizatorem był Mikołajewski, który nie lubił czekać zbyt długo na wprowadzenie w życie swoich pomysłów. Gdy plan pocztowy zaczął powoli układać mu się w głowie, postanowił od razu działać. Na szczęście wiedział, do kogo zadzwonić. Dyrektora Wandrychowskiego znał jeszcze z czasów wojny bolszewickiej. Ten ekslegionista był specjalistą od pociągów pancernych, nic więc dziwnego, że po demobilizacji trafił do PKP. W poznańskiej dyrekcji

od dwóch lat zajmował bardzo odpowiedzialne stanowisko dyrektora, któremu podlegała infrastruktura dróg żelaznych.

– Witam, dyrektorze, kłania się Feliks Mikołajewski. Kapitan Mikołajewski, jakby pan przypadkiem zagubił mnie gdzieś w zakamarkach swojej łaskawej pamięci.

– Ha! Mikołajewski! Jakbym mógł zapomnieć. Frontowych kolegów pamięta się zawsze, bez względu na okoliczności.

– Bardzo się cieszę, panie dyrektorze. Więc proszę najpokorniej o wybaczenie, że w niedzielę ośmielałem się niepokoić, ale sprawa ważna i niecierpiąca zwłoki.

– Skoro pan dzwoni, znaczy, że nie ma co gadać, tylko trzeba robić. W czym wobec tego mogę pomóc?

– Potrzebny mi jest wagon pocztowy, najlepiej niemiecki, podobny do tych, jakie jeżdżą w niemieckich składach przez nasz „korytarz”, i do tego wagon dodatkowy, pasażerski, który jak najbardziej przypomina te jeżdżące na tej trasie.

Przez chwilę na linii zaległa cisza. Mikołajewski nie poganiał, bo wiedział, że Wandrychowski musi sprawę przetrwać. Jednak ten odezwał się nadspodziewanie szybko.

– Nie wiem, czy dokładnie te same typy, ale podobne znajdziemy u siebie. A gdzie je mam dostarczyć?

– Na bocznicy przy koszarach artyleryjskich na Gołęcińskiej. Wie pan gdzie?

– A co bym miał nie wiedzieć. Bocznicę na Gołecinie, od trasy na Chodzież.

– Dokładnie tak, dyrektorze. Cieszę się, że się rozumiemy.

– No cóż, panie kapitanie, jak wojsko potrzebuje, to nie ma o czym gadać. W poniedziałek wydam dyspozycje, więc jak dobrze pójdzie, to w środę złożymy dla was ten miniskład i podrzucimy...

– He, he, he, drogi dyrektorze – wszedł mu w słowo Mikołajewski. – To naprawdę bardzo miło z pana strony, ale muszę pana prosić o przyśpieszenie sprawy.

– Przyśpieszenie... hmm! No może przy dobrych wiatrach dałoby się na wtorek. Wie pan, u nas obieg dokumentów, te wszystkie podpisy, papierkowa robota...

– O to chodzi, żeby bez papierów i bez tych wszystkich decyzji. Trzeba wydać szybkie polecenia ustne i żeby już się brać do roboty.

– Na kiedy pan potrzebuje tego składu?

– Ba, na dziś.

– Jasna cholera!

– Wyższa konieczność. Coś jak czerwony alarm.

– Czerwony alarm, pan powiada? – Wandrychowski się zamyślił. – Znaczy jakby w kwestiach mobilizacyjnych...

– O to się właśnie rozchodzi, dyrektorze...

– Wizja lokalna wypadła całkiem dobrze, ale teraz będziemy potrzebowali twoich ludzi. – Mikołajewski wskazał na żołnierzy Jażdżewskiego.

– Ilu sobie życzysz? – zapytał major.

– Dwóch z linami finalnie, czyli po sprawdzeniu umiejętności tych wszystkich chłopaków wybierzemy najlepszych.

– Jest z czego wybierać, bo ja tu na wszelki wypadek drużynę przyprowadziłem.

– Nie będą się nudzić – stwierdził kapitan.

– Jak tak, to wołam ich na zbiórkę. Ogniomistrzu Fornalczyk, dawać ich tu wszystkich!

Podoficer skinął głową i zaraz wydał rozkaz.

– Za mną biegiem marsz.

Dziewięciu szeregowców sprawnie, jeden za drugim, pobiegło od ciężarówki w miejsce, do którego doprowadził ich podoficer. Ustawili się w szeregu frontem do wagonu pocztowego.

– Kolejno odlicz!

Odliczyli do dziewięciu, po meldunku ogniomistrza major skinął głową, kazał dać spocznij, a sam zadowolony odwrócił się do Mikołajewskiego.

– To co robimy? – zapytał, bo nie miał zielonego pojęcia, jaki kapitan ma plan.

– Musimy się dostać do wagonu pocztowego – wyjaśnił Mikołajewski, uśmiechając się szelmowsko. Najwyraźniej doskonale bawił się całą tą sytuacją.

– To już otwieram – zaoferował dyrektor.

– Ależ nie, dyrektorze, chodzi o to, żeby się dostać przez zamknięte drzwi.

– Przyznam, że nie rozumiem.

– Zaraz się pan przekona. Ogniomistrzu, chciałem pogadać z pańskimi chłopakami.

Podoficer natychmiast spojrział na Jazdźewskiego. Ten był tu dowódcą, więc to on mógł wydać pozwolenie, jeśli ten cywil chciał coś od jego żołnierzy.

– To jest kapitan Mikołajewski – przedstawił cywila major. Pan kapitan jest z...

– Chyba wystarczy tej szczegółowej wiedzy, panie majorze. – Mikołajewski uśmiechnął się do ogniomistrza.

– To co, pogadamy z chłopakami?

– Tak jest, panie kapitanie.

Podeszli do szeregu żołnierzy. Ci stali wyprostowani i zaciekawieni, czekając na zadania. Pierwszy raz na rampie za koszarami stał wagon pocztowy. Inne, owszem, widywali tu często. Przede wszystkim były to lory, którymi przewożono ich działa na poligon kilka razy w roku.

– Widzicie te wagony? – zaczął Mikołajewski.

Kilku się uśmiechnęło, bo jakżeby mieli nie widzieć.

– A któryś z was jechał już koleją?

– Furmانيak nie jechał – rzucił któryś z kanonierów, a pozostali wybuchnęli śmiechem. Widać Furmانيak był kompanijną oferumą, z której można było sobie robić żarty.

– Furmانيak nie jechał?

– Tak jest. Melduję, że nie jechał – odpowiedział pryszczaty chuderlak.

– A czemuście nie jechali pociągiem?

– Bo nie było okazji. Ja do wojska przyszedłem pieszo z Lubonia. To gdzie miałem jechać?

– A pozostali jechali?

– Jechali, bo to bambry wszystko są, panie kapitanie. Musieli bana[38] jechać, żeby dostać się na służbę, bo inaczej by nie doszli – tryumfował Furmانيak, który wziął właśnie srogi odwet na kolegach.

– No to dziś wszyscy pojedziecie pociągiem. Niedaleko pojedziecie, tylko kawałek. Ale najpierw wleziecie na dach.

Żołnierze popatrzyli po sobie zdziwieni, a potem oczy wszystkich skierowały się na kapitana. Wyglądał całkiem normalnie, ale wszyscy byli na tyle bystrzy, by wiedzieć, że tylko wariat każe normalnym ludziom łązić po dachach pociągów.

– Nie zwariowałem, nie myślcie sobie, że z was się natrząsam. Mówię o tym dachu zupełnie poważnie. Dziś musimy się przekonać, czy można wierzyć westernom. Bo do kina to chyba wszyscy chodzicie. I każdy z was widział, jak Bronco Billy skacze po dachach pociągów. Widzieliście?

Kilku pokiwało głowami.

– No to teraz po kolei włączyć mi na ten osobowy wagon i będziecie przeskakiwać z jednego dachu na drugi. No, ogniomistrzu, dalej, bierzcie ich na dach!

Podoficerowi nie trzeba było dwa razy mówić. Zwłaszcza że też był ciekaw tego eksperymentu. Oglądał w kinie film o napadzie na pociąg, obrabowaniu wagonów i podróżnych, ale jakoś nigdy nie wpadł na to, że można po tych kolejowych dachach naprawdę chodzić. A tu nadarzała się okazja. Będzie można to sprawdzić, a potem o wszystkim opowiedzieć kolegom w kantynie. Ale zrobią miny, jak usłyszą, co tu się dzisiaj działo.

– No dalej, nedorajdy, słyszeliście? Ale już, jeden za drugim, włączyć mi na dach. Dalej, bo pan kapitan czeka.

Żołnierze ruszyli biegiem. Gęsiego zaczęli wchodzić na przedni pomost. W końcu jeden z nich, pewnie najsprytniejszy z całej drużyny, wspiął się na poręcz, a potem, podciągnąwszy się w górę, wdrapał się na daszek, a z niego na dach. Pozostałym żołnierzom z grupy zajęło to prawie kwadrans. Ale w końcu wszyscy znaleźli się na górze. Mikołajewski podszedł bliżej. Musiał im wyjaśnić, że samo wejście na dach to dopiero początek ich zadania.

– Słuchajcie teraz. Bronco Billy przeskakiwał z wagonu na wagon, gdy pociąg pędził, a wy macie to zrobić przy unieruchomionym składzie. Z tego, co widzę, przerwa między daszkami to jakieś dwa metry, więc wystarczy lekki rozbieg i już. No to do roboty!

– Ruszać się, grube dupy! – ponaglił ich ogniomistrz. – Raz-dwa i pojedynczo skaczemy.

Pierwszy spróbował ten sam żołnierz, który najszybciej wspiął się na górę. Potem poszli kolejni. Ostatni skoczył, ale nie doleciał do drugiego daszku. Złapał się jednak dłońmi w ostatniej chwili i zawisł nad podestem wagonu. Przez chwilę wisiał, majtając nogami, ale w końcu zdał sobie sprawę, że do podłogi jest zaledwie metr. Puścił się więc i opadł na nią z trzaskiem podkutych butów.

– Co mamy teraz robić, panie ogniomistrz? – zawołał z góry któryś z żołnierzy

– Panie kapitanie, co mają teraz robić?

– Teraz trzeba podać im linę.

– Tak jest! Mrugała, po linę do ciężarówki i podać ją chłopakom na górze.

Żołnierz, który nie przeskoczył z wagonu na wagon, natychmiast pobiegł po linę. Wrócił z nią po minucie i wrzucił jej koniec na górę. Koledzy uchwycili i zastygli w oczekiwaniu.

– Tutaj, mniej więcej na tej wysokości, powiązać ją na górze, tak żebyście mogli po niej zejść. – Mikołajewski wskazał miejsce. Żołnierze umocowali linę do wentylatora, opuścili w dół, a potem jeden po drugim zeszli po niej na peron.

– I jak to wypadło? – zapytał Jażdżewski Mikołajewskiego. Ten wzruszył ramionami.

– Jeśli będzie to szło w takim tempie, to na Boże Narodzenie nie wejdziemy. Ale poćwiczmy. Ogniomistrzu, wybierzcie no mi trzech najlepszych i teraz spróbujemy to wszystko przećwiczyć ze stoperem w rękę – zaordynował kapitan.

Godzinę później dwaj żołnierze pokonali całą trasę z jednego wagonu na drugi, a potem zeszli po linie w dziesięć minut. Dwie godziny później, gdy pociąg ruszył, całe zadanie zrobili w pięć minut.

– To znaczy, że już mogą zabierać wagony? – zapytał dyrektor Wandrychowski, gdy Mikołajewski ogłosił przerwę w ćwiczeniach.

– Drogi kolego dyrektorze, my dopiero zaczynamy. Zanim nauczymy się w pięć minut w biegu dostawać do środka, myślę, że minie jeszcze trochę czasu. Ale niech się pan nie martwi, nie

zgubimy tych wagonów i lokomotywy – zażartował. Nie od dziś było bowiem wiadomo, że w wojsku wszystko potrafi się zawieruszyć.

Wandrychowski uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Albo to mnie się rozchodzi o wagony? Używajcie ich na zdrowie, byle sobie tylko kto nóg nie połamał, bo z koleją żartów nie ma.

Godzina 3.00 po południu

– Ej ty, łachudro, jak się nazywasz?

– Ja?

– Ano kto?

– Ja... Grubiński.

– Aha. To w takim razie chodź no, Grubiński, na górę, bo chcą cię tam przesłuchać, zanim cię wsadzą do więzienia na najbliższe dwadzieścia lat.

– Jak na dwadzieścia? – zdziwił się aresztant, który jakoś nie mógł sobie przypomnieć, za co mają go zamknąć. Tym bardziej że właśnie się obudził i w ogóle nie wiedział, gdzie jest. Znał większość cel w Poznaniu, bo w niejednej już przesiedział dni i tygodnie, więc teraz, zlustrowawszy dokładnie to miejsce, przekonał się, że trafił do Dyrekcji Policji na Ratajczaka. Ale naprawdę zdziwił się, gdy zobaczył, w co jest ubrany. Bo zamiast łachów, w których chodził codziennie, miał na sobie porządną marynarkę, choć jeden rękaw trzymał się na słowo honoru, spodnie rozdarte na kolanie i prawdziwe skórzane buty za kostkę. Spojrzał na poślanie i dostrzegł, że leży tam też wełniany kaszkiet w kratkę. Jednym słowem wyglądał prawie jak elegant z Mosiny, bo wszystkie rzeczy były nieco na niego za duże. Nie miał pojęcia, skąd u niego taki ubiór, ale jakoś specjalnie się tym nie zmartwił.

– No dalej, szuszwolu niemyty, taścić[39] dupę i za mną – polecił dyżurny strażnik Kalina, który przejął służbę po swoim koledze Głubkem. Ten po nocy pełnej wrażeń wychodził właśnie do najbliższej piwiarni, żeby odreagować napięcie nerwów. A wiadomo przecież, że na zmęczenie i ogólne rozdrażnienie nic tak dobrze nie



robi jak kilka kufelków piwa, zagryzionych chlebem ze smalcem i grubymi skwarkami z wędzonego boczku.

– Powiadam ci, takiej nocy nie życzę najgorszemu wrogowi. No chyba że temu Wilczkowi, co to sam wiesz najlepiej, jaki z niego skurwysyn. On mógłby mieć taką noc, albo i nawet gorszą, a do tego jeszcze wszystko inne. Najlepiej, żeby miał jeszcze koklusz i żeby jego jeszcze czkawka trzymała przez cały dzień. Ale życie nie jest takie piękne. Takie cudowne życzenia się wcale nie spełniają. – Głębkie nie lubił kolegi, bo ten był służbistą i do tego jeszcze ciągle się wymądrzał.

– To kawał kutasa – zgodził się z nim Kalina, który miał swoje pozasłużbowe powody, żeby nie lubić Wilczka. – Ale jak mu tak dobrze życzysz, to kto wie, może jego na służbie szlag trafi, czego mu daj Panie Boże litościwy i sprawiedliwy, żeby to bydlę spadło ze schodów i złamało se girę[40] albo żeby mu chociaż jaki aresztant uciekł.

Nawymyślawszy swojemu nielubianemu szefowi, strażnik ruszył za aresztowanym obdartusem ku pokojowi przesłuchań. Gdy podeszli do drzwi, kazał mu stanąć w przepisowej odległości dwóch metrów, a sam zapukał energicznie.

– Wejść! – zawołał ze środka Wilczek, który przed chwilą skończył przesłuchiwać innego zatrzymanego. Gdy ten podpisał zeznanie, zwolnił go do domu, bo już miał całą wiedzę na jego temat i w razie czego łatwo mógł obwiesia znaleźć. Zadzwoił więc na dół, do aresztu, żeby mu przyprowadzili kolejnego delikwenta. Na tego gościa czekał ze szczególną radością, bo zgodnie z protokołem zatrzymania miano mu przyprowadzić aresztanta nie byle jakiego, ale znanego złodzieja, który dał się pochwycić na gorącym uczynku podczas włamania. Oznaczało to, że pechowiec ów podczas składania zeznań zapewni mu przynajmniej godzinę rozrywki. Będzie mógł odreagować tę całą grupę śmierdzieli z połamanymi nosami i wreszcie porozmawia z kimś inteligentnym.

Rzeczywiście, człowiek, którego wprowadzono do pokoju i usadzono przed nim po drugiej stronie biurka, wyglądał elegancko, ale tylko na pierwszy rzut oka. Miał na sobie porządną marynarkę i pod nią sztywny kołnierzyk, do którego przyczepiono krawat. Nie

miął za to koszuli, ale jakąś poszarzałą podkoszulkę, która wyglądała tak, jakby nie była prana przynajmniej od roku. A poza tym zapach, który wypełnił pomieszczenie, mówił sam za siebie. Ten gość, mimo że miał jeszcze porządne spodnie i buty, nie należał do miejscowej elity, choć widać było, że jego ubranie zostało zdjęte z jakiegoś bogatego grzbietu. I to ma być ten słynny włamywacz? zdziwił się Wilczek. Nie zamierzał jednak zdradzać się od razu ze swoimi wątpliwościami. W końcu Polska to wolny kraj i jeśli ktoś chce zakładać brudną bieliznę, to jego sprawa. Policja nie jest przecież od brudnych gaci, ale od łapania przestępców. A ten na pewno przestępcą był.

– No, siadajcie, Grubiński! – Wskazał mu taboret.

– Proszę bardzo – odpowiedział aresztowany.

– Co tam prosisz bardzo?

– Bardzo proszę.

– A czemu to?

– Bo trzeba być uprzejmym.

Wilczek spojrzał na mężczyznę, jak patrzy się na pawiana w zoo, który robi głupie miny. Bo ten tu pawian nie dość że zachowywał się dziwnie, to jeszcze nerwowo kręcił głową. Najwyraźniej kołnierzyk był dla niego za ciasny.

– To zacznijmy od początku. Jak się nazywacie? – Policjant wziął do ręki naostrzony ołówek, otworzył brudnopis na nowej stronie i przez chwilę czekał, aż przesłuchiwany zbierze myśli. Ten podrapał się po skołtunionym łbie i odkaslnął.

– Ja się nazywam... – przez chwilę się zastanawiał i po zmarszczonym czole widać było, że szuka właściwej odpowiedzi – ... Anatol Grubiński z Chwaliszewa.

Policjant zapisał imię i nazwisko.

– A rok urodzenia?

– Będzie 1870 rok, znaczy się chyba, bo może być nawet 1871.

– Wojna wtedy była z Francuzami – przypomniał sobie policjant.

– Nie pamiętam, bo byłem za mały.

– To nie zbrodnia, że się nie pamięta, ale pamiętać trzeba, za co się siedzi w celi. A wy pamiętacie?

Mężczyzna natychmiast pokręcił głową.

– Jak za co? Ma się rozumieć, że za nic.

– Zrozumiałe, bo tu siedzą sami niewinni. Ale wy siedzicie za włamanie do mieszkania w kamienicy przy ulicy... – zajrzał do notatek – przy ulicy Pocztowej. Dodatkowo zatrzymano was na gorącym uczynku, jak żeście wychodzili z chaty po włamaniu. No i co na to powiecie?

Zapytany wzruszył ramionami.

– A niby co mam powiedzieć, jak ja nie wiem, gdzie jest Poczta.

– Jak nie wiecie?

– Pod Bogiem, że nie wiem.

– Nie jesteście z Poznania?

– Nie, ja z Obornik jestem. Ino tak se tu przyjechałem, żeby się rozejrzeć. Pan wie, duże miasto to szersze te... no, prespaktywy!

– Zaraz, a przed chwilą żeście gadali, że z Chwaliszewa.

– Ja? Nigdy w życiu.

– Przecież napisałem, że z Chwaliszewa. Tak żeście podali do protokołu. Anatol Grubiński z Chwaliszewa.

Mężczyzna uśmiechnął się, ukazując cztery górne zęby i dwa dolne. Pokręcił jednocześnie głową z politowaniem dla policyjnej niewiedzy albo wręcz głupoty. Przecież nie mógł być jakimś Grubińskim, skoro w papierach miał inaczej, a gadać można różne rzeczy, jak się ma obiecany tydzień jedzenia i picia w restauracji. Przecież na pierwszy rzut oka widać było, że on nie jest jakiś tam Grubiński, ale zupełnie kto inny.

– To jest ten, co ze mną w celi siedział, taki więcej elegancki. A ja to się nazywam przecież Kolaska Antoni z Obornik.

– To co wy tu robicie, do kurwy nędzy, Kolaska?

– Jak to co? Pan władza kazał mnie wezwać na przesłuchanie względem tego nosa. – Wskazał na swój płaski nos, w dodatku rozbity pięć dni temu za sprawą nieznanego sprawcy, który go uderzył całkowicie przez przypadek, gdy wyrócił się na ulicy. – Na Młyńskiej dziś powiadali, że nas będą badać względem nosów, bo nos jest ponoć ważny w sprawie.

– A gdzie jest Grubiński?

Kolaska zrobił zdziwioną minę?

– Skąd niby mnie to wiedzieć? On już dawno chyba był na przesłuchaniu, bo wew celi został się ino jeden taki, co ledwo zipiał. A Grubińskiego tam nie ma, bo pewnie już se poszedł – wyjaśnił najdokładniej jak potrafił, bo właśnie zaczęło mu się wszystko układać w głowie.

– Dostaniesz ode mnie moje ciuchy, a ty mi dasz swoje – tłumaczył mu w celi. I jak zawołają na przesłuchanie Kolaskę, to pójdę ja. A jak mnie wezwą, znaczy Grubińskiego, to pójdziesz ty.

– I co będzie dalej?

– Będzie tak, że ja wyjdę jako ty, a potem ciebie wypuszczą jako ciebie, bo żeś nie jest mną.

– A po co te mecyje?

– Po to, żebyś po wyjściu mógł pójść na Mostową do gospody U Okonia i powiedzieć panu właścicielowi, że przysłała cię pan Grubiński, który wykupił ci abomanent na żarcie i jedzenie na cały tydzień.

– I on mi da jeść i pić?

– On ci poda tyle, że do końca życia będziesz pamiętał Tolka Grubińskiego, co ci zafundował obżarstwo jak na Wielkanoc.

I Kolaska, mając w pamięci te obietnice, poruszył się trochę niespokojnie, spoglądając na policjanta, który chwycił do ręki czarną słuchawkę telefoniczną.

– Kalina, ty ośle patentowany, dalej do mnie na górę. Biegiem, ty cholerny idioto!

Odłożył słuchawkę na widełki i spojrzał na aresztanta, który okazał się kimś zupełnie innym, niż miał być. I co tu teraz zrobić? zastanawiał się gorączkowo policjant. Wyglądało na to, że włamywacz, który miał być przesłuchany, zagrał wszystkim na nosie i ulotnił się. Nie, nie ulotnił się sam. To on, przodownik Wilczek, go wypuścił. Przypomniawszy sobie tego obszarpańca w dziurawym kapeluszu, który miał usmarowaną gębę i cały czas się jękał. Wypuścił go, bo wyglądał na idiotę i do tego jeszcze nie miał złamanego nosa, tylko rozbity, więc pomyślał, że podesłali mu tu jakąś niedojdę dla podwyższenia statystyk. No i teraz wyszło szydło

z worka. Złodziej Grubiński zagrał mu na nosie. Ale niedoczekanie jego. Jeszcze ty wpadniesz w moje łapy, ty cholerny oszuście!

– Najmocniej przepraszam, panie władzo. – Z zamyślenia wyrwał go głos Kolaski, który podniósł do góry dwa palce jak uczeń w szkole, proszący nauczyciela o głos. – Ino że ja chciałem..., ino chciałem zapytać, czy pan zamierza mnie tu jeszcze rozpytywać, bo w barze U Okonia na Mostowej właśnie oczekuje na mnie dziś kotlet z pyrkami, więc wołałbym się nie spóźnić, bo wie pan, odgrzewane kotlety to już nie to.

– Boooooże, ratuuuuuj! – krzyknął przodownik, a gdyby Bóg rzeczywiście interesował się lamentami maluczkich, zapewne spojrzalby zdziwiony z wysokości swojej niebiańskiej rezydencji na wołającego z rozpaczą funkcjonariusza i zesłałby jakiś ratunek. Ale policyjne lamente nikogo nie obchodziły ani w niebiesiach, ani na tym łożu padole, no chyba że posterunkowego Glubke, który życzył Wilczkowi wszystkiego, co najgorsze. Tyle że on nie mógł tego rozpaczliwego krzyku słyszeć, bo właśnie wypijał piąte piwo w położonej naprzeciw Dyrekcji Policji piwiarni Aschingera.

[24] Rozmemłany (gwar.) – niedbale ubrany; frechkunda (gwar.) – bezczelny człowiek.

[25] Zdalasiały (gwar.) – nędzny, zabiedzony; szuszwol (gwar.) – brudas.

[26] Luchanie (gwar.) – bicie.

[27] Blubranie (gwar.) – gadanie.

[28] Glapami futrowani (gwar.) – karmieni wronami, czyli oznaka głupoty.

[29] – Jak myślisz, Willi? (niem.)

[30] – No nie wiem, czy możemy grać z takim dobrym graczem (niem.)

[31] Szpagat ze Starego (gwar.) – elegant ze Starego Rynku.

[32] Papudrok (gwar.) – partacz, niezdara.

[33] Racha (gwar.) – zemsta, gniew.

[34] Eka (gwar.) – banda.

[35] Kielczyć się (gwar.) – śmiać się, szczerzyć zęby.

[36] Fyrtel (gwar.) – zakątek.

[37] Żybura (gwar.) – brudna, paskudna ciecz.

[38] Bana (gwar.) – *die Bahn* (niem.) – pociąg.

[39] Taśtać (gwar.) – nosić, podnosić.

[40] Gira (gwar.) – noga.

## Rozdział VI

Godzina 3.20 po południu

– A pan to się nie boi tak wyjść na ring i walczyć z zawodowcami? – zapytał chłopak, który pomagał Anastazemu nacierać ciało oliwą. To był ten sam pomocnik, który asystował podczas walk próbnych dziś rano. Na zapleczu pomagał zawodnikom, którzy mieli jakieś szanse w turnieju. Widać Olkiewicz miał, skoro przydzielono mu pomocnika, bo sam w życiu nie natarłby się olejem tak jak trzeba. Zdołał założyć tylko trykot, w którym wyglądał dość groteskowo, do tego jeszcze czarne, wiązane buty za kostkę i usiadł grzecznie na krześle w szatni, żeby poczekać na swoją kolej. Chłopak podszedł od razu do niego i bez pytania zaczął wcierać w jego ramiona olej.

– A co mam się bać – odpowiedział chętnie, choć musiał przyznać, że trochę obawiał się tego, co miało za chwilę nastąpić. Nie miał walczyć z Filipiakiem, którego pokonał rano, ale z kimś zupełnie innym.

– A nie wiesz czasem, co to za jeden ten, co ja z nim mam się bić? – zapytał, wskazując na wielką czarną tablicę wiszącą na ścianie szatni. Tam wypisano, poczynając od lewej strony, jedno pod drugim wszystkie nazwiska występujących dziś zawodników. Każda następująca po sobie dwójka stanowiła parę. Do dalszej rundy przechodził wygrany, którego nazwisko wpisywał sędzia techniczny. Dzięki temu widać było od razu, kto z kim może się zmierzyć. Olkiewicz był przekonany, że jeszcze raz będzie walczyć z Filipiakiem jednak dowiedział się, że jego poranny przeciwnik będzie startował

w zupełnie innej kategorii. Dwaj Filipiakowie, bo był jeszcze jeden brat, mieli się zmierzyć w finałowej walce podwójnej z gośćmi z zagranicy. A Anastazy musiał zaliczyć jakieś sześć rund, żeby znaleźć się w finale. Bo zaczynały się już poważne rozgrywki. Wcześniej zawodowcy dostawali do pobicia amatorskich sparingpartnerów, którymi rzucali po macie jak workami ziemniaków. Teraz zabawa się skończyła. Olkiewicz wystąpił w rundzie rozgrzewkowej i ku własnemu zdumieniu w kilka minut rozniósł tam trzech amatorów. Te trzy walki zajęły mu w sumie mniej więcej pięć minut. Więc teraz rozgrzany i naoliwiony czekał na swój pierwszy zawodowy występ.

– Ten, co u pana jest zapisany, to jest Kogut Bronisław. Da se pan z nim radę.

– Tak, a skąd niby wiesz?

– Bo widziałem, jak pan rzuca tymi, co za piątą się wynajmują do walki.

– Ale ten Kogut to przecie zawodowiec. – Anastazy miał poważne wątpliwości.

– Da se pan radę, bez gadania.

– A niby to czemu?

– Bo ten Kogut to on był dobry, jak był kurczakiem, a teraz to już nawet na rosół się nie nada, bo za stary i łykowaty, hi, hi!

– He, he, za stary i łykowaty powiadasz?

– Całkiem zdiadział. A poza tym za dużo piwska chleje. Wszystkie bejmy[41], co zarobi, idą na przelew. Jego wystarczy ino za bebzol chwycić i już po robocie.

– A jak ty masz na imię, chłopaku?

– Ja? Frycek.

– To masz tu, Frycek, dwa złote, i idź kup dla nas po flaszcze czegoś do picia. Może być piwo.

– Ale ja nie piję piwa. Oranżadę piję.

– To weź se oranżadę, a dla mnie piwo i jeszcze po bułce z kiełbasą weź, bo nie mogę na głodniaka walczyć.

– Nie ma sprawy, panie Luxtorpeda! – Chłopak wziął monetę i pobiegł przed cyrk, tam, gdzie stały budy z jedzeniem i piciem. Olkiewicz tymczasem przykrył ramiona lnianym ręcznikiem

i podszedł do tablicy, żeby przyjrzeć się bliżej planowanym walkom. W tej chwili na macie była para – Antkowiak/Krause. Jeden z nich będzie więc walczył za jakieś pół godziny ze zwycięzcą pojedynku między nim a tym Kogutem. A jeśli chłopak się nie myli, to znaczy, że to on przejdzie do drugiej rundy. Jednak walka walką, a nie mógł zapomnieć, z jakiego powodu tu się znalazł. Podejrzewał, że ci dwaj Filipiakowie to właśnie są Mściciele w Masce. Tak jak zasugerował mu jego informator, który go tu przyprowadził. Musiał to sprawdzić i jeśli się uda, zatrzymać bandytów. W zasadzie to powinien o wszystkim powiadomić swojego szefa Fischera, ale bał się, że się wygłupi tym meldunkiem. Bo niby to co miał powiedzieć? Że informator wprowadził go do cyrku i wskazał Filipiaków? Od tego jeszcze długa droga do posadzenia bandytów. Najpierw trzeba było im udowodnić, że są złodziejami. Znaleźć zrabowane pieniądze i fanty albo broń. No ale na razie, mimo że był w środku, na nic nie trafił, tylko dał się naoliwić i czekał na walkę. Na szczęście był jeszcze ktoś, z kim umówił się, że mu we wszystkim pomoże.

Wyszedł z szatni i długim korytarzem przeszedł do wyjścia prowadzącego na wewnętrzny dziedziniec cyrkowy, niedostępny dla kibiców. To tutaj stało kilka pomalowanych na żółto-zielono wozów cyrkowych, w których mieszkaly największe przyjezdne gwiazdy. Rano udało mu się sprawdzić, że wóz należący do Filipiaków stał w drugim rzędzie i był pierwszy z prawej. Najprościej byłoby więc, gdyby podszedł teraz do niego, zaczął się i poczekał, aż będzie pusty, a potem, korzystając z okazji, przeszukał wewnątrz każdy zakamarek. Ale nie miał tyle czasu, bo musiał zadbać o swoją przykrywkę, czyli wizerunek zapaśnika.

Miał mu w tym pomóc Gil, do którego pognął przed południem wprost z Dyrekcji Policji, zaraz po tym, jak wyjaśniła się sprawa z podkomisarzem Maciejewskim. Musiał zabezpieczyć sobie tyły, prosząc starszego kolegę o pomoc.

– W niedzielę chcesz mi, chłopie, gitarę zawracać, jak ja sobie już pomyślałem, że pójdę na piwko i piezonego kurczaka z frytkami do Kantorowicza. A ty wiesz, jakiego chrupiącego kurczaka tam podają. Ta skórka natarta jest majerankiem, papryką czosnkiem i solą.



I takie połoweczki kurczaka wsadzają na godzinę do rozgrzanego pieca. I po tej godzinie wychodzi kurczak że palce lizać. I do tego jeszcze pommes frites i fasolka szparagowa, też z pieca, polana zasmażką...

– Ten Mściciel w Masce to niejaki Filipiak. I jeszcze dodatkowo jego brachol – ciągnął Anastazy temat, bo nie przyszedł przecież rozmawiać o jedzeniu. – Znaczą się dwóch ich jest, co napadają. Ja sam nie dam se rady.

– Młody jesteś, jakbyś ino chciał... – Gilowi najwyraźniej nie w smak było łażenie po mieście, jeśli to zaprzepaszczało jego plany. Od rana, gdy się tylko obudził, zastanawiał się, jak spędzić wolny dzień. I gdyby wcześniej wyszedł z domu, tak jak to już sobie zaplanował, to ten Olkiewicz by go już nie znalazł. Ale jak to przy niedzieli, wszystko robił dwa razy wolniej niż normalnie. A teraz był już ogolony, umyty i pachnący wodą kolońską. I kto doceni ten niezwykły zapach, który wtarł sobie w gębę, w cyrku zapaśniczym, w którym wszyscy śmierdzą potem? pytał sam siebie, ubierając trzewiki.

Zapaśnik Luxtorpeda, stojąc przed tylnym wejściem, rozejrzał się uważnie, szukając służbowego wejścia w okalającym cyrk ogrodzeniu. Dostrzegł grupę ludzi stojących za płotem i furtkę od ulicy Poznańskiej. Ruszył w tamtym kierunku. Już z daleka dostrzegł sylwetkę niewysokiego mężczyzny w staromodnym melonie, którego marynarka dopinała się z trudem na okazałym brzuchu.

– Ja jestem specjalnie zaproszony przez zawodnika Olkiewicza, którego to dziś zostanie mistrzem zapaśniczym! – krzyczał pękaty jegomość tubalnym głosem na przynajmniej dwa razy większego od niego cerbera. Ten stał z rękoma złożonymi na piersi, całkowicie obojętny na pokrzykiwania zażywnego jegomościa.

– Bez biletu się nie wejdzie – wyjaśniał z całym spokojem.

– A ty masz bilet, gorylu afrykański?

– Mnie nie trzeba biletu!

– Jak nie trzeba? Wlazłeś do środka, to żeś powinien mieć!

– Ten pan nie potrzebuje biletu. – Olkiewicz wcisnął się przed strażnika. – A ja tu mam dziś mistrzowską walkę i to jest mój trener.

– To trzeba było od razu gadać, że do pana Luxtorpedy! – Ciec wzruszył ramionami. On był tu przecież od wypuszczania albo niewpuszczania. Musiał tylko rozstrzygnąć, komu można pozwolić na wejście, a kogo trzeba pogonić. Ale kiedy mu zawodnik ubrany jak do wyjścia na ring mówił, że kogoś można, no to wpuszczał.

Uchylił drzwi i odepchnął dwóch mężczyzn, którzy chcieli skorzystać z zamieszania i wcisnąć się na śledzia. Nie udało im się przechytrzyć czujnego osiłka. Polecieli do tyłu, a „trener” Gil wkroczył zadowolony do środka, podpierając się parasolką.

– Myślałem już, że będę musiał go usunąć z drogi – stwierdził wywiadowca, wskazując na rączkę parasola, ukrywającą wewnątrz długi na czterdzieści centymetrów szpikulce, który w rękach wprawnego szermierza mógł stać się śmiertelnie skuteczną bronią. Jednak Gil nie był wprawiony w walce na szpikulce. Jak dotąd nie użył swojej broni ani razu, odkąd kupił tę parasolkę na wyprzedaży dwa lata temu. No ale w końcu zawsze mógł być ten pierwszy raz. – Ale czym jest mój szpilorek wobec pana Luxtorpedy? Hi, hi, hi!

Olkiewicz tylko wzruszył ramionami. Co miał powiedzieć? W końcu na ten pseudonim sobie zasłużył, a Gil nic nie rozumiał.

– I co teraz? – zapytał wywiadowca, wydobywając z kieszeni marynarki srebrną cygarniczkę.

– Teraz to ja muszę iść, bo mam walkę...

– Czyli że co, ty se będziesz spokojnie obściskiwał się z jakimiś facetami ku uciesze gawiedzi, a cała ta czarna robota spadnie na mnie?

– Ja tu służbowo się zapisałem na te walki, żeby mieć alibi i żebyśmy się mogli tu dostać i powęszyć. A tak w ogóle, to wcale nie chce mi się walczyć, ino nie mam chyba co zrobić, i muszę!

Od środka dało się słyszeć dzwonienie dochodzące z ringu. Długi dzwonek oznaczał zakończenie walki. Do kolejnej powinni już szykować się następni zawodnicy. Przyszedł więc czas na Anastazego.

– Ten wóz, co tam stoi za tym, co widać tutaj, to należy do Filipiaków, bo ja już muszę iść.

– A Filipiaki gdzie są?

– Pewnie w wozie czekają na swoją kolej.

– A gdzie ja mam czekać?

– Gdzieś koło wozu. Jak ja się rozprawię z Kogutem, to zaraz tu przybiegnę w trymiga.

Klepnął Gila w ramię i pobiegł w kierunku drzwi. Wywiadowca został sam na niewielkim dziedzińcu. Rozejrzał się uważnie i dostrzegł ułożone równo ściany skrzynek z butelkami po piwie, które ustawiono na lewo od wejścia. To pewnie właściciele budek z jedzeniem odstawiali je w tym miejscu, żeby wozacy z browaru mogli je stąd zabierać. Poszedł w kierunku tych skrzyń, bo z daleka dostrzegł, że ktoś przedsiębiorczy położył na nich szeroką deskę, dzięki czemu powstało miejsce do siedzenia. Wykorzystał je, sadowiąc się wygodnie, i zapalił papierosa. Miejsce było idealne, bo widać było stąd wejście do cyrku i jednocześnie rzędy wozów. Mógł więc przyglądać się wszystkiemu, co działo się na cyrkowym zapleczu. Ale na razie niewiele się działo. Przy drzwiach prowadzących do środka stało kilku zawodników w trykotach, z marynarkami narzuconymi na ramiona dla utrzymania temperatury ciała. O temperaturę wewnątrz dbali, popijając wódeczkę z małych flaszek i paląc papierosy. W końcu zapasy to wymagający sport, dlatego trzeba było przed walką czy nawet w jej trakcie łyknąć parę kropli dla kurażu. Gil też by łyknął, ale żeby to uczynić, musiałby przejść z drugiej strony cyrkowego namiotu, gdzie sprzedawano jedzenie i picie. Musiał jednak zostać tam, gdzie siedział, bo goście, których miał obserwować, mogli mu się wymknąć niepostrzeżenie i straciłby wówczas cenne minuty na przeszukanie ich wozu. Swoją drogą musiał przyznać, że z tego Olkiewicza to jest jednak poczciwy chłop. Wyśledził tych bandziorów i nie poleciał z tym do Fischera, ale do Gila właśnie. Nie żeby nie miał szacunku do swojego szefa, ale przecież podoficerowie też potrafili sami przeprowadzić udane akcje zatrzymania. Po co komisarz miał się przejmować pierdołami, skoro oni dwaj doskonale sobie radzili w terenowej robocie? W końcu to on wskazał Olkiewiczowi osobę, która go doprowadziła aż tutaj. Gil, który znał w poznańskim półświatku niemal wszystkich, wiedział, że jeśli się rozchodzi o sprawy bandycko-sportowe, to w tych kwestiach Sprężyna jest nieocenionym informatorem. I okazało się, że miał

rację. Olkiewicz dzięki niemu trafił do bandytów jak prowadzony za rękę. I dlatego, siedząc tu na tej ławce z nieheblowanej deski, przestał żałować straconego dziś chrupiącego kurczaka. Jak złapią bandytów, pójdzie zamówić do restauracji podwójną porcję i przynajmniej ze trzy zimne piwa...

Naraz dostrzegł jakiś ruch przy wozie. Ktoś otworzył drzwi i na zewnątrz wyskoczył jak żaba jakiś mężczyzna. Stał zaraz wyprostowany, biorąc się pod boki, wpatrzony w drzwi przyczepy. Za nim wyszedł drugi, który przez chwilę pomajstrował przy zamku, a potem skoczył w podobny sposób. Ten pierwszy klepnął go w plecy i obaj podążyli w kierunku wejścia do cyrku. Gdy przechodzili koło Gila, żaden z nich nie zaszczycił go najmniejszym nawet spojrzeniem. Widać potraktowali go jak kogoś zupełnie nieistotnego, należącego zapewne do obsługi. Za to Gil przyjrzał się im bardzo uważnie. Jeden z nich miał przetrącony nos.

– No to was mamy, panowie mściciele – powiedział do siebie i zszedł ostrożnie z ławki. Gdy dwaj Filipiakowie zniknęli w cyrkowym namiocie, ruszył spokojnym krokiem w kierunku ich wozu. Pokonanie zamka w takim domu na kółkach musiało być dziecinnie proste. Nie przewidywał żadnych trudności. Wszedł więc szybko po schodach, wydobyl z poły marynarki wsunięty tam uniwersalny wytrych i włożył go w dziurkę od klucza. Wystarczyło teraz pokręcić nim w jedną i drugą stronę, by odblokować zapadkę. Udało się. Zamek szczęknął i drzwi ustąpiły.

Godzina 4.30 po południu

Oskierko pokręcił z niedowierzaniem głową, bo nie bardzo wiedział, co by miał odpowiedzieć na ten meldunek. Sporo w życiu widział, choć w policji wcale nie pracował od dawna. Mimo to uważał się już za dość dobrze obeznanego z materią policyjno-śledczą funkcjonariusza. Ale z czymś takim miał do czynienia po raz pierwszy. Bo jeszcze nigdy nie słyszał, by z celi w piwnicy Dyrekcji Policji zbiegli więźniowie. I wcale nie jeden, a kilku. Dokładnie ilu, nikt nie wiedział, ale że do ucieczki w ogóle doszło, to było pewne jak

amen w pacierzu. Zaświadczał o tym ten stojący tu naprzeciwko przodownik Wilczek, mężczyzna postawny i dobrze zbudowany, obdarzony wielkimi jak miotła, sumiastymi wąsami.

Podoficer stał wyprostowany, spoglądając gdzieś w dal za oknem, prosto w ciemne chmury, które nadchodziły od zachodu, zwiastując nadciągającą letnią burzę. Ale burza Wilczkowi nie była dzisiaj straszna. Nie żeby był tak szaleńczo odważny, by nie bać się grzmotów i piorunów. Jak każdy bogobojny człowiek, mający ufność w sprawczą moc świętych, gdy tylko nadciągała nawałnica, ustawiał w oknach swojego mieszkania wszystkie obrazki, jakie mógł znaleźć, łącznie z tymi malutkimi, które co roku ksiądz rozdawał z okazji Bożego Narodzenia, a które przedstawiały zazwyczaj gołego Jezuska, leżącego w sianie podgryzanym przez nienapasionane barany. I dobrze robił, bo jeszcze się nigdy nie zdarzyło, żeby piorun walnął w jego chałupę. A przecież sam widział na własne oczy, jak któregoś razu, będzie z pięć lat temu, błyskawica trzasnęła w dach tego domu zwieńczonego wysoką wieżyczką na Rynku Jeżyckim. Tam na pewno nikt o obrazkach dla ochrony nie myślał, bo kamienica należała do Niemca Haldera, który jak wiadomo, był protestantem, a protestanci nie uznawali świętych obrazków. Dostał więc za swoje, bo gdyby jednak się zabezpieczył choć jedną Maryjką, to kto wie, może by piorun wybrał inny cel. W każdym razie Wilczek nigdy nie zaniebował zapewniania własnemu domowi ochrony i nawet teraz pomyślał, że jeśli go nie ma na miejscu, to żona, nauczona doświadczeniem, sama te obrazki powstawia. A on, niestety, będzie musiał się zmierzyć z innymi gromami, które polecą dziś na jego głowę. Bo że polecą, tego mógł być pewny. W końcu nikomu jeszcze podczas służby tu w Dyrekcji Policji nie uciekł niebezpieczny przestępca.

– No to mówcie, Wilczek, jak to było? – zarządził Oskierko siedzący za solidnym biurkiem. Przed nim ustawione było krzesło, na którym w normalnych warunkach referujący sprawę podoficer usiadłby na polecenie oficera. Ale teraz warunki były nadzwyczajne i Oskierko ani myślał pozwalać temu wąsaczowi na luksusy. Niech się chłop denerwuje, skoro wszystko wskazywało na to, że jest winien poważnego zaniedbania służbowych obowiązków.

– Kiedy ja, panie aspirancie, to tak do końca nie wiem, jak było. Bo dopiero niedawno wdrożyłem wewnętrzne śledztwo w tej kwestii.

– I co wykazało wasze śledztwo?

– Melduję posłusznie, że na chwilę obecną to jeszcze raczej nic nie wykazało, bo dopiero zostało rozpoczęte i nie może mieć jeszcze wyników, bo nikt nie został przesłuchany.

– A kto ma być według was przesłuchany?

– No ten, za przeproszeniem, idiota i dureń patentowany Kalina.

– A co on zrobił?

– Pochrzanił wszystko i wszystkich. Znaczą się doprowadził na przesłuchania nie tych, co było trzeba, a tych, co należało, nie doprowadził i stąd się wziął cały bajzel. I dlatego nie ma w celach tych, co trzeba, i nawet tych, co nie trzeba, też nie ma, bo ich pomyłkowo przez tego właśnie Kalinę zwolniłem.

– A gdzie jest ten Kalina?

– Melduję, że za drzwiami czeka ten dureń jeden.

– Dajcie mi go tutaj migiem – polecił Oskierko, żeby w ten sposób zyskać na czasie. Bo czuł, że znalazł się w niezbyt komfortowej sytuacji. Miał dziś niedzielny dyżur, który rozpoczął się wpadką z zatrzymaniem policjanta z Lublina. Gdy wreszcie udało się wszystko wyprostować, policjant poszedł do hotelu, żeby wypocząć, po tym jak został dzięki zabiegom Oskierki opatrzony, odziany i nakarmiony, I kiedy wydawało się, że wszystko, co złe, się skończyło, i aspirant mógł już odetchnąć, relaksując w swoim pokoju, naraz zameldował się ten podoficer, którego teraz odprawił, by przyprowadził kolejnego idiotę. Oskierko nie wiedział, jak powinien wybrnąć z tej trudnej sytuacji. Bo nie miał komu zameldować o ucieczce więźniów. Przecież nie pojedzie do Fischera i nie powie mu, że na jego dyżurze doszło do ucieczki. Trzeba pogadać jeszcze z tymi dwoma podoficerami i naradzić się z... no właśnie, z kim się naradzić? Nie miał pod ręką ani Okonia, ani Olkiewicza, ani najbardziej doświadczonego wywiadowcy Gila. Pozostali mu tylko ci dwaj kretyni.

Wilczek wprowadził do pokoju Kalinę, który wyglądał, jakby właśnie przed chwilą narobił w gacie i nie wiedział, czy powinien biec do kibla, czy poprosić o papier tu na miejscu. Stojąc

przygarbiony, powinien budzić litość. Ale żaden z policjantów przebywających w tym pokoju nie miał ani odrobiny współczucia dla sprawcy ich kłopotów.

– No to gadajcie, co żeście tam zaniedbali czy niedopatrzyli – polecił oficer.

– Melduję, że nic ztem nie podpatrzył, ino że oni uciekli.

– W jaki sposób?

– Nie wiem, bo wszystko się zgadzało z listą, co ją podesłali z Młyńskiej. Znaczy się pięciu aresztantów, co mieli być przesłuchani na okoliczność niemania nosa i byli oni wszyscy wew celi, ale jak już ich wszystkich wyek... pendio... spendio... wykfikowa..., znaczy się wysłałem na górę, to wew celi zostało się jeszcze dwóch i to mi dało do myślenia.

– Bardzo słusznie, że coś wam dało do myślenia. I jakie żeście wyciągnęli wnioski na tę okoliczność?

– Melduję, że się zgadzało wszystko, więc zgodnie zez wezwaniem przodownika Wilczka dalej ich ekspendiowy... wałem na górę, bo nosy się zgadzały, znaczy ten, co jego ostatniego wy... ekspe... wysłałem też miał klukę przetraconą, znaczy nos złamany, i dopiero przodownik zwrócił mnie uwagę, że się nazwiska nie zgadzają. No to posłem do celi sprawdzić tego, co tam leżał na pryczy, i się wnet okazało, że ten ostatni to już nie pójdzie na górę.

– A czemu niby nie pójdzie? Przecież jego zeznania mogą mieć wartość kluczową w sprawie – stwierdził Oskierko.

– Bo on nie może chodzić, gdyż jest w poważnym stopniu nieżywy.

– Co?

– Melduję, że bardzo poważnie jest nieżywy, znaczy wyzionął ducha.

– Jasna cholera! Jak wyzionął ducha?

– No tego to ja, niestety, nie wiem, panie aspirancie, ale wyzionął.

– Idziemy – zdecydował oficer, wstając szybko zza biurka. Nie było czasu do stracenia. Ten bałwan mógł przecież coś przeoczyć, a więzien miał może jakąś nagłą zapaść. W takich sytuacjach należało nieprzytomnemu zrobić sztuczne oddychanie metodą usta-usta i to wystarczało zazwyczaj, by przywrócić taką osobę do życia.

No a taki cymbał jak ten strażnik przecież nie miał o tym zielonego pojęcia. Dlatego Oskierko sam postanowił zbadać sprawę.

Przepchnął się na korytarz obok dwóch stojących w pokoju podwładnych i rzucił biegiem w kierunku bocznej klatki schodowej. Obaj policjanci pośpieszyli za nim, choć już nie tak szybko jak Oskierko. Byli bowiem starymi praktykami i dobrze wiedzieli, że jak kto jest trupem, to choćby nie wiadomo jak szybko człowiek gnał, żeby tego truposza zobaczyć, to za nic mu życia już nie przywróci. Nawet jakby chciał robić mu sztuczne oddychanie czy jakąś inną głupią pomoc nieś próbował.

Po chwili cała trójka znalazła się w celi. Na pryczy, po lewej stronie od drzwi, leżał ułożony na wznak człowiek mocno już posunięty w latach, być może pięćdziesięcioletni. Oczy miał zamknięte, a twarz spokojną, ale z mocno zdeformowanym nosem. Nie był on jednak wklęsły, jak to często się zdarzało wśród bokserów, ale przesunięty poważnie. Oznaczało to, że jego właściciel nie mógł być raczej zawodnikiem walczącym na ringu, ale kimś, kto kiedyś musiał w ten nos zainkasować mocne uderzenie z lewej strony.

Oskierko podszedł bliżej i nachylił się nad leżącym.

– Nie ma co jego badać, panie aspirancie. Zimny z niego trup – stwierdził przodownik Wilczek. – Facet najprawdopodobniej umarł z uduszenia, bo ma siniaki na szyi i język mu wylazł nieco.

– Nic mu nie wylazło – zauważył Oskierko.

– Bo mu go Kalina wsunął do gęby, żeby księdza ozorem nie straszył.

– Melduję, że łyżką mu go wepchłem. Bo z tym sinym jęzorem wyglądał raczej niezbyt awantażownie.

– Jak? – zdziwił się Oskierko, bo nie przypuszczał, żeby taki Kalina znał francuski.

– Ksiądz kapelan tak powiadają – wyjaśnił Kalina. – Że niby truposze mają wyglądać awantażownie, bo on inaczej nie będzie takich poświęcał, bo jest obrzydliwy. No to my każdego, co wyciągnie kopyta, układamy porządnie, tak jakby miał zaraz iść do trumny. O, tak jak tego tu właśnie.

Oskierko rzeczywiście uznał, że trup wygląda porządnie, ułożony na plecach, z zamkniętymi oczyma i rękami złożonymi na brzuchu.



Czyli Kalina, jako człowiek znający się na rzeczy, zadbał o doczesne szczątki...

– A jak on się nazywał chociaż wiecie?

– Melduję posłusznie, że wiem – zameldował Kalina.

– No to sprawdźcie na wszelaki wypadek, kto to – polecił zupełnie obojętnym tonem Oskierko, bo tak naprawdę ten tu truposz mógł zostać dla niego na zawsze bezimienny.

– Melduję, że się on nazywał – Kalina spojrział na listę aresztantów, którą zabrał ze swojego dyżurnego stolika – on się nazywał... O, jest, nazywa się kapitan Krzysztof Dąb-Załuski.

Oskierko spojrział najpierw na Kalinę, potem na umarlaka, a potem poczuł, że robi mu się słabo, więc usiadł na sąsiedniej pryczy. A gdy już usiadł, to pomyślał, że właściwie to lepiej by było, gdyby na miejscu tego nieżywego leżał teraz on, aspirant Oskierko, człowiek, którego pech właśnie urósł do poziomu tych, z powodu których ludzie honoru strzelają sobie w łeb. Podszedł do trupa jeszcze raz, spojrział na niego i... odetchnął z ulgą. Ten facet wyglądał nie jak oficer, ale obdartus z Miasteczka[42]. Czyli pomyłono nazwiska i umarł jakiś obdartus, a morderca z radia zwyczajnie uciekł. I w tym momencie Oskierko uświadomił sobie, że lepiej by było dla niego, gdyby jednak było odwrotnie...

Godzina 4.50 po południu

– To niby gdzie jedziemy?

– Się dowiesz, jak już przyjedziemy.

– Więzienie na Młyńskiej jest nie wew tym kierunku.

– A kto ci powiedział, że jedziesz do więzienia? – Siedzący obok kierowcy szczupły, krótko ostrzyżony mężczyzna odwrócił się do tyłu i wyciągnął w kierunku pasażera otwartą papierośnicę. Tolek Grubiński sięgnął po papierosa i przypalił go własnymi zapałkami. Przynajmniej tyle dobrego, że może posmakować porządnego tytoniu, pomyślał, zaciągając się aromatycznym dymem. Właśnie uświadomił sobie, że chyba nie jest w tak złej sytuacji, jak by mógł przypuszczać.

Bo jeszcze pół godziny temu wydawało mu się, że wszystko stracone i znów będzie musiał wrócić do aresztu, który udało mu się dopiero co opuścić. Fortel z przebraniem się za tego łachudrę Kolaskę udał się znakomicie i przesłuchujący go policjant nawet się specjalnie nim nie zainteresował.

– To ty jesteś Mścicielem w Masce? – zapytał, gdy brudny i śmierdzący Tolek usiadł przed nim. Na wszelki wypadek przed wyjściem z celi zanurzył ręce w stojącym w narożniku wiadrze, pełniącym rolę więziennego kibla. Te uwalane dłonie wytarł w wypożyczoną od Kolaski podartą marynarkę i dzięki temu od razu stał się bardzo wiarygodny jako brudny i śmierdzący szuszwol. Może to właśnie dzięki temu badanie policyjne nie trwało zbyt długo, bo kto by chciał siedzieć w małym, dusznym pomieszczeniu z takim śmierdzielem.

– Nie jestem żadnym mścicielem – odpowiedział Tolek, nie podnosząc wzroku na przesłuchującego go policjanta.

– A kto ty jesteś?

– Kolaska Antoni z Obornik.

– To co tu robisz, Kolaska?

– Gdzie?

– No tutaj?

– Jak co? Se siedzę.

– Ale czemu tu jesteś?

Policjant najwyraźniej całkiem rutynowo próbował go złapać na jakimkolwiek kręceniu, tak na wszelki wypadek, gdyby przesłuchiwany do czegoś się przypadkiem przyznał. Ale Tolek panował nad sytuacją.

– To dlatego, że się zeszczalem w gacie, panie władzo. – Wskazał na swoje mokre w kroku spodnie. Pomoczył je wodą, mimo że miał do dyspozycji pełny kibel. Jednak uznał, że to by była już przesada. I tak dostatecznie cuchnął.

– A co ma szczenie do siedzenia? – zapytał przesłuchujący, spoglądając na przemoczone krocze Tolka.

– No właśnie, że ja nie wiem. Leżałem se spokojnie na trawniku opity i rach-ciach wzięli mnie.

- Kto wziął?
- No jak kto? Szkieły mnie wzięły za niewinność.
- A nie za nos?
- No przecie ja nos mam jak najbardziej prawidłowy, ino trochę rozbity.

Policjant spojrział na niego, a potem wpisał coś do protokołu.

- No to, Kolaska, słuchajcie, widzi mi się, że żeście tu się omyłkowo znaleźli, bo żeście nie są związani ze sprawą nosa... znaczy się Mściciela w Masce, i wew związku z tym podpiszcie się tutaj, że nie macie zastrzeżeń co do tego, jak was w areszcie traktowano, i możecie stąd wypierdalać.

- A krzyżyk mogę postawić?

- Możecie, byle szybko.

Tolek nachylił się nad protokołem i postawił dwa krzyżyki.

- To ja już se mogę iść?

- Możecie, ino weźcie karteczkę, żeby was wypuścili na zewnątrz.

Podał mu druczek formularza zwolnienia, a Grubiński wziął go natychmiast i włożył do kieszeni marynarki.

- Niech panu Bóg błogosławi i Najświętsza Paniienka, i wszyscy święci i jeszcze diabli wiedzą kto, ale żeby panu się szczęściło i pozdrowienia od Antoniego Kolaski z Obornik – mówiąc to, wycofywał się w kierunku drzwi, gnąc się w ukłonach. Przodownik Wilczek machnął ręką, żeby dać do zrozumienia, by były już aresztant wyszedł, po czym natychmiast podbiegł do okna. Musiał wywietrzyć po tym śmierdzielu pokój przesłuchań, bo miał w nim spędzić jeszcze trochę czasu, a siedzenie w smrodzie przypominającym podwórkowy wychodek nie należało do wielkich przyjemności.

Podobnie myślał Tolek. Gdy tylko wyszedł z budynku Dyrekcji Policji, wartko ruszył w kierunku Starego Rynku do pewnego handlarza starzyzną, który miał swój skład na ulicy Wronieckiej. Moritz Kaliszer handlował wszystkim, czym się dało. Miał więc w swoim składzie stare meble, używane i mocno zużyte zastawy stołowe, ale przede wszystkim znoszone ubrania. U niego każdy mógł się ubrać od stóp do głów. I na to właśnie liczył Tolek. Bo przecież nie mógł się pokazać w domu albo w knajpie U Okonia

w stroju niemytego łachudry. Na szczęście nie miał daleko, więc kilka minut po wyjściu z aresztu schodził już schodkami w dół, do sutereny, w której handlował kupiec.

– A czego chcecie, człowieku? – zapytał Kaliszer, obrzucając klienta niechętnym spojrzeniem. Gość nie wyglądał bowiem na poważnego reflektanta, a raczej na łajzę, której udało się właśnie coś ukraść. – Bo ja kradzionych rzeczy nie odkupuję – rzucił na wszelki wypadek paser, który żył z kupowania kradzionych fantów, tyle że od znajomych złodziei. Ten natomiast nie wyglądał na kogoś, z kim robił wcześniej interesy, więc wolał podejść do niego z dystansem, jak do potencjalnego szpicla. Ostrożność okazała się jednak całkowicie niepotrzebna.

– Nie szata czyni człowieka, panie Kaliszer – rzucił Grubiński, zdejmując czapkę.

– Czy moje stare oczy dobrze widzą, że zaszczycił mnie sam pan Anatol Grubiński?

– Dobrze pan widzisz, to ja we własnej osobie.

– Ale te łachy to do pańskiej osoby raczej się nie przynależą?

– No skąd? To nie moje. Musiałem się przebrać i w związku z tym przyszedłem do pana w sprawie dokonania zamiany.

– Jeśli chcesz pan te swoje lompki wymienić na coś porządnego, to ja panu powiem od razu, panie Grubiński, że wszystko to trzeba wyrzucić i spalić, bo jeszcze z tego parchatego ubioru jakaś wsza przejdzie na moje prima sort ubrania, najlepsze w mieście. Więc ja powiem panu, żeby się pan jak najszybciej rozbierał do gołej skóry, a to barachło niech pan natychmiast wkłada do worka i zaraz to się spali, żeby śladu po tym nie było w moim ekskluzywnym sklepie. A ja tu zaraz panu wszystko wybiorę do ubrania, żebyś pan wyglądał jak prawdziwy człowiek interesu, a nie jak jaka dupa, za przeproszeniem, wystająca zza krzaka. O, zaraz, mam tu piękny ancug z westką i do tego jeszcze elegancki kapelinder w sam raz wszystko dla pana, jakby było specjalnie uszyte na miarę. No może ino to nakrycie głowy troszeczkę za szerokie, ale to się zaraz gazetą wyłoży od środka i nikt się nie zorientuje, żeś pan tego szykownego stroju nie obstalował sobie u najlepszego krawca w Poznaniu, co jeszcze dodatkowo robi kapelusze na zamówienie.

Kaliszer zaprowadził Tolka na zaplecze, wskazał mu miskę i dzbanek z wodą, więc ten, rozebrawszy się, wziął się zaraz do mycia. Kwadrans później wyglądał już na innego człowieka, choć musiał przyznać, że garnitur, który mu zaproponował kupiec, mimo że z porządnej bielskiej wełny, kolorystycznie nie bardzo pasował do jego gustu. Barwę miał bowiem żółtobrązową, popularnie nazywaną sraczkowatą. Do tego w komplecie była jeszcze jaskrawozielona kamizelka i zielony kapelusz z plecionym sznurkiem, za który zatknięte było piórko.

– To jakiś leśniczy oddał do pana ten ubiór? – zapytał Tolek, przeglądając się w lustrze.

– Leśniczy to by musiał rok pracować, żeby taki elegancki ancug sobie sprawić. Ja go byle komu bym nie oddał, tylko dla najlepszych klientów takie szykowne ubiory w mojej szafie chowam. A on jakby na pana szanownego Grubińskiego właśnie czekał. No i się doczekał.

Tolek nie należał do ludzi, którzy okazują niezadowolenie, gdy okazja pcha się im w ręce. Ubranie to była rzeczywiście okazja, bo za całość miał zapłacić zaledwie dziesięć złotych.

– Darmo oddaję, darmo, bo wiem, na kogo trafiło – zapewniał Kaliszer, który nawet specjalnie nie wyklócał się o cenę, skoro Tolek już na samym początku zaznaczył, że nie ma przy sobie ani grosza i zaległość może uregulować dziś wieczorem albo najdalej jutro. Kupiec zgodził się chętnie, bo znał go z solidności i wiedział, że ten zawsze się rozlicza co do złotówki.

Ubrany jak leśniczy w wigilię świętego Huberta Tolek poszedł do domu, żeby najpierw uspokoić Kryskę, która pewnie czekała na niego pełna złych przeczuć. Postanowił, że potem wskoczy do baru U Okonia, żeby namówić się z chłopakami z bandy i powiedzieć im, co i jak wyszło z papierami, które musiał odnieść na miejsce, no i opowiedzieć im o całej tej niezwyklej sytuacji zakończonej ucieczką z aresztu. Ucieczka miała stanowić główny i najbardziej sensacyjny element opowieści, bo rzadko zdarzało się, żeby ktoś z tego aresztu wychodził na wolność z własnej woli. W zasadzie nigdy się nie zdarzało, więc Tolek liczył na to, że historię jego ucieczki w przebraniu szuszwola jeszcze długo ludzie będą sobie opowiadać po knajpach, barach i gospodach. Tak naprawdę to wcale nie musiał

uciekać. Zapewne jutro, mimo postawienia mu zarzutów o włamanie, komisarz Fischer wypuściłby go na wolność. Tym bardziej że wszedł do tego pechowego mieszkania na wyraźne polecenie kapitana Mikołajewskiego. Nic więc mu nie groziło poza jednym, zagrażała mu noc na niewygodnej pryczy bez łyka piwa, a na to nie miał najmniejszej ochoty. Dlatego postanowił, że musi zacząć działać i spróbować oszukać policjantów dla samej zabawy i dla śmiechu. Bo tego, że wszyscy będą się teraz śmiać z policji, a jemu gratulować doskonałego fortelu, był całkowicie pewny.

Z Wronieckiej szybko wydostał się na ruchliwe jak zawsze Wielkie Garbary. Po brukowanej jezdni w kierunku placu Bernardyńskiego i od jego strony podążały całe sznury wozów, dorożek i samochodów. Wozacy i dorożkarze krzyczeli, a szoferzy trąbili najgłośniej, jak się dało, na siebie nawzajem, ale przede wszystkim na pieszych, którym nie wystarczały szerokie chodniki i włązili na jezdnię, żeby skracać sobie przejście z jednej ulicy na drugą. Chyba Opatrzność Boska czuwała nad tymi wszystkimi ludźmi podążającymi w różnych kierunkach za swoimi sprawami, bo do wypadków raczej nie dochodziło na tej ruchliwej miejskiej arterii. Tolek nie musiał przechodzić przez ulicę, bo wystarczyło tylko, że skręcił w prawo i poszedł prosto przed siebie, by po chwili zatrzymać się przed okazałą czteropiętrową kamieniczką, ozdobioną wieżą z czerwoną dachówką. Od kilku lat mieszkał w porządnym i nasłonecznionym mieszkaniu na pierwszym piętrze, które składało się z obszernej kuchni i dwóch sporych rozmiarów pokoi. Przystając w bramie, pomyślał, że w zasadzie nie musi się śpieszyć i do knajpy jeszcze zdąży. A w domu mógłby się przespać ze dwie lub trzy godziny, bo siedzenie w areszcie niezbyt dobrze wpłynęło na jego samopoczucie. I tak właśnie się zrobi, pomyślał zadowolony. Jeszcze przed snem może Kryśka poda mu herbatę z odrobiną wódeczki na lepszy sen...

– Pan Grubiński, o ile się nie mylę. – Jakiś mężczyzna w szarym garniturze i czarnym kapeluszu wyrósł przed nim jak spod ziemi, zagradzając mu drogę.

– A bo co? – odparł zaczepnie Tolek.

– A bo pojedziesz pan z nami – odezwał się ktoś za plecami. Jednocześnie poczuł, jak czyjaś ręka opada mu na ramię.

Odruchowo zrzucił ją z siebie, ale zaraz przyszło trzeźwe opamiętanie. Nie miał broni, a ci faceci, którzy zaszli go z dwóch stron, na pewno byli uzbrojeni. Był więc bez szansy na ucieczkę, no chyba żeby ich obu od razu powalił. Ale stał akurat w przejściu na tyle wąskim, że wszelka obrona skazana była na niepowodzenie. No a poza tym raczej nie wypadało walczyć z policją na własnym podwórku. No trudno, niech go biorą. Szkoda tylko tej opowieści o brawurowej ucieczce w przebraniu łachudry Kolaski.

Wsadzili go do samochodu, ciemnozielonego forda, i powieźli w nieznane. To znaczy Tolek doskonale wiedział, gdzie jest, bo Poznań znał dobrze jak własną kieszeń. Widział więc, że wiozą go przez Sołacz, dzielnicę nowo budowanych domów jednorodzinnych, by po chwili wyjechać w Gołęcińską. Tam, po prawej stronie, mieściły się artyleryjskie koszary, zastawione równymi budynkami, pomalowanymi na ciemnożółty, a właściwie musztardowy kolor. Tolkowi od razu ta barwa skojarzyła się z jego nowym ubraniem.

Przez chwilę myślał, że chcą go zawieźć do tych właśnie koszar, bo może Mikołajewski wpadł na pomysł, żeby go tu dostarczyć. Jednak auto nie zatrzymało się przed bramą. Pojechało wzdłuż płotu pilnowanego przez kilku wartowników z karabinami na ramieniu, rozstawionymi co kilkadziesiąt metrów. Gdy ogrodzenie się skończyło, ford skręcił w prawo. Tolek rozejrzał się zaniepokojony. Jakoś nie zdarzyło mu się jeszcze gościć w tym miejscu. Zobaczył tor kolejowy biegnący wzdłuż ceglanego muru, a nieco dalej rampę wyładowniczą, przy której stała sapiąca lokomotywa. Na rampie dostrzegł kilka sylwetek w mundurach. Auto wjechało na betonową pochylnię i zatrzymało się. Jeden z mężczyzn, ubrany po cywilnemu, odwrócił się i pomachał na powitanie.

– Nie można to było powiedzieć, że kapitan Mikołajewski chciał się ze mną zobaczyć? – zapytał Tolek z wyrzutem.

– Jak dowództwo nie każe, to żołnierz sam nic nie gada – stwierdził ten z przedniego siedzenia.

Tolek, nie czekając na słowa zachęty, otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Podeszedł do Mikołajewskiego, który od razu wskazał na pociąg.

– A pan, panie Tolku, lubi podróże koleją?

Wzruszył ramionami. Co za pytanie? Każdy lubił.

– Bo widzi pan, potrzebujemy tu specjalisty wysokiej klasy, co by zechciał nam trochę pomóc.

– W czym niby? W podróżowaniu?

– Nie, skąd. Podróż jest niejako w bonusie. My potrzebujemy, żeby pan w czasie podróży otworzył pewną pancerną kasę.

– Co?

– Niech się pan nie przejmuj. Ta kasa to dla pana kaszka z mleczkiem – wyjaśnił zadowolony, wskazując, nie wiedzieć czemu, na zielony pocztowy wagon. Tolek wzruszył ramionami. W końcu był człowiekiem interesu. Jeśli chcieli, żeby im coś otworzył, to na pewno nie będzie robił tego za darmo. W końcu nie jest frajerem. Wynajmują kasiarza, niech płacą jak za zboże.

Godzina 7.15 wieczorem

– A to jest właśnie Biedroń, co na niego wołają Biedronka – wyjaśnił Frycek, wskazując palcem na zawodnika wielkiego jak szafa dwudrzwiowa. Biedronka wyglądał tak, jakby ktoś siłą wepchnął go w błyszczący, czerwony trykot, który pewnie za chwilę pęknie i uwolni to potężne cielsko. Anastazy zaliczył już sześć walk i wszystkie wygrał. Ale ta siódma i ostatnia w jego kategorii, o mistrzowski pas, była z góry skazana na porażkę, tak mu się w tej chwili zdawało. Patrzył więc spode łba na Biedronkę i wiedział, że już po nim, bo z takim wielkoludem nie miał najmniejszych szans. Gdy ta góra mięsa tylko chwyci go w swoje łapy, rozgniecie go jak kucharka ciasto na pyzy i będzie po zabawie. Żałował, że los postawił na jego drodze tego olbrzyma, bo szkoda mu było trochę pieniędzy z nagrody. Zwycięzca brał oprócz pasa nagrodę pieniężną w wysokości dwustu pięćdziesięciu złotych. A to przecież była suma niebagatelna, bo przekraczająca jego dwumiesięczne zarobki.

– Trzeba ino unikać zwarcia.

– Że co? – Głos chłopaka wyrwał go z zamyślenia.

– Że Biedronka jest do obskoczenia.

– Niby jak?



- Trzeba gnoja obalić.
  - He, he, he! Wiąta wio, łatwo powiedzieć.
  - Szybkością i sprytem taką kloftę[43] się kładzie, panie Luxtorpeda.
  - Niby jak?
  - Trzeba go obejść i rzucić mu się na giry od tyłu. Znaczy podciąć go.
  - I co?
  - Poleci na plecy! - Chłopak był pewny swojej strategii.
  - A czy to jest aby dozwolone?
  - Niedozwolone jest podstawienie nogi, ale atak na nogi jak najbardziej. No i publika to lubi. A Biedronka ani się obejrzy, jak będzie leżał i kwiczał.
  - A jak się obali i mnie przygniecie?
  - No to już po ptokach - stwierdził Frycek, ale zaraz się uśmiechnął i mrugnął przy tym okiem. - Ale pan za szybki, żeby dać się przygnieść. Ino trzeba się zaraz odturlać na bok, a jak padnie, to wskoczyć mu na brzuch. Walka nie potrwa dłużej jak minutę - stwierdził, coraz bardziej rozochocony wizją wygranej.
  - No to jak wygram, to masz u mnie dychę za pomoc.
- Aż zaniemówił z wrażenia. Pomagał zawodnikom, kręcił się przy walkach, ale jeszcze nigdy nikt nie dał mu takiej forsy za wygraną. Zresztą nie asystował nigdy żadnemu zwycięzcy, bo ci zawodowcy mieli swoich pomocników. Po raz pierwszy usługiwał zawodnikowi, który przyszedł znikąd i zamiast przegrać w pierwszych rundach po bożemu, szedł do przodu jak burza i roznosił wszystkich przeciwników. Teraz, w ostatniej rundzie walki o mistrzostwo, Biedroń był zdecydowanym faworytem i pewnie mało kto obstawiał przed tą walką wygraną Olkiewicza. Wystarczyło tylko spojrzeć na jednego i drugiego, by zauważyć rzucającą się w oczy różnicę w budowie. Tamten był jak atleta, a Olkiewicz, owszem, też był dobrze zbudowany i całkiem poważnie umięśniony, ale ważył osiemdziesiąt pięć kilogramów przy stu sześćdziesięciu pięciu centymetrach wzrostu. Biedroń natomiast dochodził do setki, mając co najmniej dziesięć centymetrów wzrostu więcej.
- To ja mogę u pana robić już zawsze, jakby pan chciał.

Olkiewicz pokręcił głową.

– Ja nie jestem zawodowy.

– To nic nie szkodzi. Ale może pan być, bo nikt tak nie leje tych wszystkich zawodowych jak pan. Tu się zarabia wielkie pieniądze. W rok by się pan dorobił takiej fortuny, że nie wiedziałby pan, co z nią robić.

– No nie wiem...

– A co tu wiedzieć?

– Bo wiesz, Frycek, że ja mam robotę. I to całkiem niezłą.

– Nie ma lepszej roboty od lania frajerów.

– Może masz i rację, ale ja jestem na urzędniczej posadzie.

– Pan urzędnik? – Spojrzał zdziwiony na Olkiewicza, ale rozległ się dźwięk dzwonka zapowiadający następną walkę. Olkiewicz dopił piwo z butelki i ruszył do drzwi. Biedroń już zniknął w korytarzu prowadzącym na matę. Gdy pojawił się w przejściu między rzędami ławek otaczających kolistą arenę, rozległ się aplauz widowni

– Biedronka, Biedronka! – wołali wielbiciele talentu zapaśniczego, którego Biedroń był ucieleśnieniem. Szedł pewnym krokiem z ramionami uniesionymi ku górze. Jego mina mówiła sama za siebie: „Na pewno dziś wygram!”.

Podszedł do sędziego prowadzącego, który stał w samym centrum okręgu, podał mu rękę, a potem ukłonił się całemu składowi sędziowskiemu, obserwującemu walki ze specjalnej łoży. Trzej arbitrzy odkłonili się zawodnikowi w chwili, w której w przejściu pojawił się Olkiewicz okrzyknięty sensacją dnia. Nikomu nieznany zapaśnik amator właśnie dotarł na sam szczyt rywalizacji i część kibiców przebąkiwała nawet, że ma pewne szanse. Nie potwierdzali jednak tego bukmacherzy, którzy traktowali go jak zwykłego fuksa, dając za postawioną na niego złotówkę aż dziesięć razy tyle, podczas gdy za zwycięstwo Biedronia płacili jak za pewniaka, zaledwie w stosunku jeden do jednego.

– Olkiewicz, wiwat! Brawo, Luxtorpeda! – odezwało się kilku kibiców, ale większość wyrażała ostrożne uznanie lekkimi oklaskami. Nieznany wcześniej zawodnik grzecznie podał rękę sędziemu i przeciwnikowi, ukłonił się ławce sędziowskiej, pomachał do kibiców i w końcu ustawił się na krawędzi koła w oczekiwaniu na

sygnał do walki. Jego konkurent również przyjął postawę wyczekującą, lekko pochylając się do przodu na ugiętych nieco nogach.

Sędzia stojący na środku maty machnął ręką, dając tym samym sygnał do rozpoczęcia walki, a sędzia główny siedzący w loży uderzył młotkiem w dzwon. Obaj przeciwnicy pochylili się jeszcze bardziej, wysuwając do przodu ręce, i zbliżyli się do siebie, ale żaden nie zaatakował. Mierząc się spojrzeniami, zaczęli poruszać się wzdłuż obwodu maty. Dystans zmalał do odległości trzech kroków. Byli już od siebie na tyle blisko, że każdy atak jednego czy drugiego mógł zakończyć się zwarem. Ale żaden z nich nie ruszył do przodu. Krążyli spokojnie w oczekiwaniu na ruch przeciwnika. Widownia zamarła. Ludzie spodziewali się ataku, który powinien przeprowadzić bardziej doświadczony zawodnik. Biedronka czekał jednak na fałszywy ruch Olkiewicza. I tak się stało. Anastazy ruszył w lewo, ale zrobił to zdecydowanie za wolno, bo Biedroń spokojnie ustawił się do niego przodem, nie dając mu żadnej szansy na uchwyt. Lecz nie przewidział jednego, że zagrywka Olkiewicza była ruchem pozorowanym i odciągającym uwagę. Wielkolud, teraz gotów do frontального ataku, był przekonany, że taki musi nastąpić. A tymczasem Anastazy rzucił się ku jego lewej ręce i jak wąż przeleciał pod ramieniem. Zdziwiony Biedroń spojrział w bok, ale nie zdążył jeszcze się odwrócić, gdy zza jego pleców nastąpił niespodziewany skok. Olkiewicz skoczył szczupakiem pod nogi przeciwnika i z całej siły uderzył rękoma w zgięcia powyżej łydki. Taki atak mógł się skończyć tylko w jeden sposób. Nogi ugięły się pod wpływem impetu uderzenia i Biedronka poleciał do tyłu. Tymczasem Olkiewicz przeturlał się w prawo, by nie dać się przez przypadek przygnieść przez padającego przeciwnika. Biedroń runął na plecy, a gdy jego ciało gruchnęło na matę, Olkiewicz skoczył mu na pierś, by całą swoją masą przytrzymać łopatki faworyta tego starcia.

W cyrku zapadła kompletna cisza. Było tak cicho, że z zewnątrz dało się słyszeć skrzypienie, jęczenie i dzwonięcie przejeżdżającego nieopodal tramwaju. I naraz z pięciuset gardeł wyrwał się krzyk, jakiego dawno to miejsce nie słyszało. Ludzie rzucali w górę

kapelusze i darli się wniebogłosy, obwieszczając tryumf zawodnika, na którego mało kto stawiał.

– Wiwat, Olkiewicz! Brawo, Anastazy! Niech żyje Luxtorpeda! Hurra!

Sędzia podszedł do Anastazego siedzącego nadal na Biedronce. Ten rozglądał się zdziwiony, jakby jeszcze nie mógł pojąć, co się właściwie wydarzyło.

– Sędzia główny po konsultacji ze mną podjął decyzję, że skok tygrysi powalający przeciwnika był jak najbardziej dopuszczalny i wew związku z tym został pan zwycięzcą pojedynku przez położenie pana Biedronia na łopatki jednym rzutem – wołał mu sędzia do ucha, starając się przekrzyczeć aplauz publiczności. – Czyli że jest pan w tej chwili mistrzem Polski!

– Że co? – Olkiewicz był nieco oszołomiony i nie wszystko do niego docierało.

– Może pan zejść z przeciwnika. Walka jest rozstrzygnięta. Za kwadrans, gdy rozstawimy podium, proszę wrócić tu na dekorację mistrzowską!

Gdy się wyprostował, ludzie na widowni oszaleli, a aplauz przerodził się w jeden wielki skowyt, doprawiony rytmicznymi oklaskami. Frycek podbiegł do niego z ręcznikiem, żeby mistrz otarł sobie czoło z potu, ale zupełnie niepotrzebnie, bo Olkiewicz nie zdążył się spocic. Walka trwała niewiele ponad minutę. Anastazy ruszył w kierunku przejścia do szatni. Tam usiadł na ławce i wciągnął na siebie marynarkę.

– No to co, Frycek, jak się czujesz jako bogacz?

– Bardzo dobrze się czuję, a pan to jest fenomenalny talent. Pan jest błyskawica. Piorun, co ściał Biedronkę z nóg. A nie mówiłem, że pan da se radę? Normalnie błyskawica!

– To masz tu jeszcze piątaka. – Podał chłopakowi monetę. – I idź do kiosku po piwo i bułkę z klopssem siekanym. A sobie też kup, bo należy nam się porządna przegryzka.

Frycek skinął głową i wybiegł z szatni. Anastazy wstał z miejsca i szybko wyszedł na zewnątrz. Rozejrzał się na boki i już chciał wrócić do środka, gdy naraz zobaczył siedzącego na skrzynkach po piwie wywiadowcę Gila. Ten, zadowolony i uśmiechnięty, pokiwał

mu, wskazując na worek leżący u jego stóp. Anastazy podszedł do starszego kolegi.

– No i jak tam? – zapytał. – Udało się co znaleźć?

– He, he! Mój drogi Anastazy, jak Gil czego szuka, to zawsze znajduje. Teraz tylko jeszcze musimy tych dwóch przymknąć, ale z tym chyba nie będzie problemu.

– Damy se radę, panie Gil.

– A co z twoim pojedynkiem?

– Pojedynek się zakończył. Jestem mistrzem Polski.

– He, he, to znaczy, że jest co opijać – stwierdził wywiadowca, podając Olkiewiczowi butelkę z piwem. Ten pociągnął łyk i o mało się nie zakrztusił. We flaszcze nie było piwa. Gil nalał do niej najczystszy spirytus. – To co, idziemy po nich? – zapytał.

Olkiewicz pokręcił głową.

– Po finałowej walce. Przecież nie będziemy wiarze odbierać przyjemności oglądania walki wieczoru. Weźmiemy ich prosto z maty.

## Godzina 9.10 wieczorem

Widowisko zapowiadało się bardzo obiecująco. Od południa trwały już walki mieszane, amatorsko-zawodowe, a teraz, na wieczór, zostały te najciekawsze, mistrzów wszechwag o światowej renomie. Tak przynajmniej informowały plakaty, oznajmiając wszem wobec, że na ringu zmierzą się ze sobą mistrzowie świata, Europy i nawet Azji. Zyga Maciejewski siedział w łoży tuż przy okrągłej arenie, na której ścierali się ze sobą zawodnicy. Miejsce było rzeczywiście wyśmienite, bo widać było stąd każdy szczegół pojedynków. Już od godziny oglądali wraz z Fischerem walki w stylu wolnoamerykańskim i Zyga musiał przyznać, że prezentowały się niezwykle ciekawie. Dotąd nie miał okazji do oglądania takich spotkań. Owszem, chodził na mecze bokserskie, bo boks cenił szczególnie i przede wszystkim znał się na tej dyscyplinie, ale wolna amerykanka była dla niego nowością.

– To tak, jakbyś pan połączył boks z zapasami i do tego jeszcze pozwolił zawodnikom używać nóg do kopania.

– Niehonorowo – stwierdził Zyga, który nade wszystko cenił sobie w boksie sportowego ducha walki.

– Taka dyscyplina. Ale jest na co popatrzeć. A skoro akurat dziś dają wolną amerykańkę, to przecie nie będziemy wybrzydzać. Tym bardziej że Oskierko powiadał, że chciałeś pan iść do cyrku. – Fischer z rozmachem klepnął Maciejewskiego w ramię i roześmiał się zadowolony.

Miał całkowitą rację. Trzeba było brać to, co dają. Ponoć Oskierko musiał nieźle się nagimnastykować, żeby dostać bilety na dzisiejszy wieczór. Więc Zyga był kontent, bo uważał, że zawsze warto zobaczyć coś ciekawego w obcym mieście. Na Wystawę Krajową jeszcze nie udało mu się dotrzeć. No bo nie było kiedy. Rano, gdy tylko wyszedł z celi, zaopiekowali się nim poznańscy policjanci tak starannie, że nie mógł o nich powiedzieć złego słowa. Najpierw wypili martella z frontowych kubków, później lekarz opatrzył jego rany i założył cztery szwy na rozcięty łuk brwiowy, a potem wydarzenia potoczyły się już jak prawdziwa lawina. Zafundowano mu kąpiel w łaźni miejskiej i przebrano w całkiem elegancki garnitur, który jego nowi koledzy wyciągnęli z policyjnego depozytu. Jego pobrudzona marynarka i nieco podarte spodnie trafiły do pralni i krawca. Jutro mieli mu garderobę dostarczyć do hotelu, a na razie zadawał szyku w dwurzędowym, prążkowanym granatowym garniturze i specjalnie dobranym do tego stroju czarnym, nieco za dużym kapeluszu z szerokim rondem.

Wymytego i ubranego zaprowadzili do restauracji, nakarmili i oczywiście napoili. W tym picciu i jedzeniu pomagał mu dzielnie komisarz Fischer. Nagle, ni stąd, ni zowąd, okazało się, że już jest wieczór, a więc czas na główną atrakcję.

Zyga rzeczywiście przypominał sobie, że pytał tego młodego aspiranta o cyrk, ale nie mógł sobie za nic przypomnieć, dlaczego ten cyrk go zainteresował. Pamiętał, że chciał tam coś sprawdzić, coś zobaczyć albo odnaleźć, jednak cóż to miałoby być, jakoś mu wyleciało z głowy. Na razie jednak nie zaprzętał sobie tym uwagi, rozkoszując się ciekawym widowiskiem.

Właśnie skończyła się walka mistrza Vitellego z Krygerem, w której Niemiec pokonał włoskiego siłacza na punkty. Walka jednak nie

wywołała większych emocji. Niemca znali tu wszyscy doskonale, zresztą podobnie jak Włocha. Wszyscy miejscowi wiedzieli, że to walczą dwaj poznaniacy przystrojeni w niemieckie i włoskie barwy dla uatrakcyjnienia pojedynku. Kibice czekali na gwóźdź programu, walkę podwójną, w której polscy mistrzowie wagi średniej, bracia Filipiakowie z Krakowa, mieli zmierzyć się z dwoma prawdziwymi Rosjanami, Iwanowem i Kuropatkinem.

– Od dwóch tygodni są w Poznaniu ci Filipiakowie – tłumaczył gościowi szczegóły spotkania Fischer. – Ponoć codziennie dostają nowych przeciwników i za każdym razem rozkładają ich na łopatki, tacy są spryciarze z nich. Zwinni jak żaby.

– Ja bym powiedział, że jak piskorze, bo trudno ich przytrzymać – odezwał się ktoś z tyłu.

Fischer odwrócił się natychmiast, żeby sprawdzić, kto tam się wtrąca w jego wywód. Maciejewski też by się odwrócił, ale nie bardzo mógł wykonywać gwałtowne ruchy głową, bo miał nieco nadwyreżony kręgosłup.

– O, pan redaktor zmienił branżę? – zapytał policjant, rozpoznawszy swojego natrętnego znajomego, dziennikarza Tomczaka z „Kuriera Poznańskiego”. – Teraz pisze pan o wyczynach sportowców?

– Ależ skąd, szanowny panie komisarzu. Wierny jestem kryminalnym sprawom jak swojej małżonce. A sport tylko dla rozrywki. Jednak, korzystając z okazji, chciałem zapytać, jak tam ma się sprawa naszego Zorro, co biega po ulicach z bronią w ręku. Dziś w nocy kolejny napad, znaczy kolejny do kolekcji...

– Śledztwo w toku, panie szanowny, i jesteśmy coraz bliżej ujęcia sprawców. – Fischer uśmiechnął się tajemniczo, a Tomczak już wiedział, że nic więcej z policjanta nie wyciągnie. Tym bardziej że musiał się odsunąć od łoża, żeby zrobić miejsce dla przepychającego się właśnie aspiranta Oskierki, który tym razem był ubrany w najprawdziwszy garnitur, więc wyglądał zupełnie jak ktoś inny.

– Świeże piwo przyniosłem dla panów – odezwał się aspirant, podzwaniając wesoło butelkami.

Obaj oficerowie wyciągnęli ręce po flaszki. Wypity przez cały dzień alkohol przestawał powoli działać, więc piwo było dla wysuszonych

gardeł prawdziwym ratunkiem. Z radością i nawet pewnym pośpiechem otworzyli porcelanowe kapsle i natychmiast przyłożyli otwarte butelki do ust. Zimny napój spłynął do podrażnionych nadmiarę przez mocne alkohole gardeł, łaskocząc je kojącym chłodem i mile drapiąc gazowymi bąbelkami.

Zyga wypił pierwszy i postawił butelkę przy nodze krzesła.

– Zapaliłoby się – stwierdził, patrząc na swojego nowego kolegę Fischera.

– To idź pan na zewnątrz. Ja popilnuję miejsc.

Maciejewski wstał i wyszedł z łóży, po czym zaczął przeciskać się w kierunku wyjścia. Po chwili był już na zewnątrz. Czyste, rześkie powietrze, oczyszczone przez gwałtowny deszcz, który przeszedł nad miastem godzinę temu, pachniało lipowym, kwietnym aromatem, zmieszany z tytoniowym dymem. Wyjął z kieszeni marynarki paczkę egipskich i włożył papierosa do ust. Wiedział, że nie musi specjalnie szukać dobrej zapalniczki wśród całej masy wypalonych, które miał w zwyczaju chować z powrotem do pudełka. Dopiero co kupił nowe, więc prawdopodobieństwo, że trafi na użytą, było minimalne. Jednak wyciągnął taką. Rzucił ją na ziemię, przeklinając pod nosem. Następna okazała się dobra, ale mimo że nie była wypalona, nie zajęła się ogniem. Dopiero kolejną udało mu się zapalić papierosa. Zaciągnął się dymem i rozejrzał, lustrując teren.

Wokół cyrku kręciło się sporo ludzi. Pełno było tu bukmacherów przyjmujących zakłady i graczy obstawiających wynik najbliższego pojedynku. Inni, podobnie jak on, palili papierosy, a jeszcze inni kupowali w budkach kiełbaski i piwo. Zyga spojrzał w górę. Poznański cyrk to był kawał porządnej budowli z kopulastym dachem. Nie była to żadna prowizorka, tylko solidna konstrukcja, która zapewne przetrwa jeszcze całe lata i wiele ciekawych walk.

Naraz jego spojrzenie zatrzymało się na straganie, na którym sprzedawano piwo. Pomyślał, że może warto byłoby wypić jeszcze jedno przed walką, bo później w gębie może zaschnąć od krzyków i wiwatów. Znał siebie dobrze i wiedział, że o ile bywał powściągliwy na co dzień, o tyle w sportowych emocjach puszczały mu nerwy i z meczów zazwyczaj wychodził z obolałym gardłem. Dlatego postanowił je naoliwić trochę mocniej.



Podszedł więc do budki i wskazał na rząd butelek stojących za sprzedawcą.

– Co to za gatunek? – zapytał, robiąc minę wytrawnego smakosza.

– Jasne od Huggera – wyjaśnił młody, może szesnastoletni sprzedawca, który najwyraźniej nie miał zamiaru powiedzieć nic więcej, bo temat piwa nie bardzo go interesował. Za to facjata Zygi jak najbardziej.

– A pan szanowny to też walczy na ringu?

– Zdarza się. – Maciejewski uśmiechnął się, bo wyobraził sobie, jak staje dziś do walki. – Ale teraz mam przerwę.

Odebrał butelkę od chłopaka i podał mu jednocześnie złotówkę.

– No wiadomo, że jak się ma obitą głowę, to trzeba trochę odpocząć, zanim się wróci na ring. Bo jak się za szybko wróci do walki, to może być kontuzja.

Zyga dotknął opuchlizny pod okiem i uśmiechnął się do chłopaka.

– Do wesela się zagoi.

– Szkoda, że nie dzisiaj. Bo mógłby pan pomóc bratowi.

Popatrzył na chłopaka, który najwyraźniej miał jakiś problem z oczami.

– Co gadasz?

– Nie wiedziałem, że was jest trzech, ale jak pana zobaczyłem, to już teraz wiem. To by dopiero była walka, jakbyście we trzech... No ale w wolnej amerykance to ino we dwóch można walczyć. Ale na tych patałachów to dwóch Filipiaków wystarczy...

I w tym momencie Zyga zrozumiał, dlaczego chciał przyjść do cyrku. Bracia Filipiakowie. Widział ich na ringu w Lublinie. A dokładniej widział Anzelma Filipiaka pięć lat temu, gdy stanął naprzeciw niego podczas bokserskiego meczu. Zapamiętał ten potężny prawy prosty, który omal nie wyrzucił go za liny już w pierwszej rundzie. Pozbierał się wtedy i stanął znów na ringu. Pamiętał też te ciemne i zimne oczy, bez żadnej iskry ludzkich odczuć. Te oczy widział dzisiejszej nocy.

– Filipiaki to Anzelm i Ewaryst, a pan jak się nazywa? – zapytał sprzedawca.

– Ja? Nazywam się Maciejewski. Zygmunt Maciejewski.

Podkomisarz postawił piwo na ladzie i ruszył szybko w kierunku drzwi prowadzących na widownię. Przepchnawszy się przez tłum, dotarł do swojej łoży. Fischer i Oskierko powitali go ciepłymi uśmiechami, ale Maciejewskiemu nie było do śmiechu.

– Panie Oskierko, wyjdź pan na zewnątrz i znajdź jakichś policjantów. Obstawcie wyjście dla sportowców, na wszelki wypadek. A pan niech wejdzie tym przejściem i zablokuje zejście z areny do szatni. Ale dopiero jak zacznie się prezentacja i Filipiakowie wyjdą na scenę!

– Ale o co chodzi? – Oskierko spojrzał na Maciejewskiego, a potem na Fischera.

– Nie pytaj pan, tylko rób, co mówię!

Zaintrygowany Fischer kiwnął głową, więc aspirant wstał i zaczął przeciskać się przez coraz bardziej rozgrzany emocjami tłum.

– A bo co się dzieje? – zapytał dziennikarz, który znów pojawił się przy łoży policjantów.

– Nic się nie dzieje! – Zyga wzruszył ramionami i nachylił się do ucha Fischera. Zaczął mu coś szybko tłumaczyć i naraz uśmiechnięta twarz poznańskiego policjanta stężała, brwi się podniosły, a na zaciśniętych ustach pojawił się wyraz determinacji. W końcu komisarz pokiwał głową. Podniósł się z siedzenia i nagle zdębiał na widok zawodnika w czarnym trykocie, który przepychał się przez tłum, podążając w jego kierunku. Zapaśnik był mu doskonale znany, jednak nie wiedział dotąd, że nim jest.

– Olkiewicz, a ty żeś zwariował czy ja? Co ty masz na sobie?

Anastazy machnął ręką. – Nie czas na pierdoły, panie komisarzu. Te dwa leszcze, co weszły na ring, to są właśnie bandyci w maskach. Z panem Gilem właśnie żeśmy zabezpieczyli wszystko, co te gnojki ukradły. Trzeba ich zaaresztować!

– To już się robi, już się robi – potwierdził Fischer, wskazując na najbliższe wyjście, przy którym stał policjant.

– Szanowna publiczności! – Na arenę wkroczył konferansjer we fraku i meloniku na głowie, z metalową tubą w dłoni. – Już za chwilę, już za moment rozpocznie się to, na co wszyscy czekali przez cały dzień. Gwóźdź wieczora, walka stulecia, dwaj Polacy z żelaza! –

Głos prowadzącego momentalnie utonął w aplauzie i oklaskach. Po chwili komentator mówił znowu – ...i dwaj Rosjanie ze stali...

Teraz arenę zalała fala gwizdów i przekleństw, która jednak nie trwała zbyt długo. Ludzie byli zbyt spragnieni widowiska, żeby tracić czas na niepotrzebne buczenie.

– Za chwilę spotkają się ze sobą, by stoczyć walkę o tytuł mistrza świata w stylu wolnoamerykańskim, gdzie wszystkie chwytów są dozwolone, za wyjątkiem chwytów niedozwolonych!

Znów rozległy się krzyki i gwizdy, jednak te oznaczały wielką radość i pełne napięcia oczekiwanie.

– A oto i oni, mistrzowie Polski i Europy, bracia Filipiakowie!

Tłum zafalował, ludzie zerwali się z miejsc i zaczęli wiwatować. Dwaj mistrzowie, ubrani w czerwone stroje ze złotymi pelerynami, zarzuconymi na plecy, wkroczyli na środek areny przy dźwiękach tryumfalnego marsza, granego przez czteroosobową orkiestrę.

Fischer i Maciejewski, stojąc w loży, wpatrywali się w bandytów. Filipiakowie ukłonili się nisko publiczności i zaraz ruszyli w takt dźwięków marsza wokół areny, kłaniając się publiczności i zbierając rzucane im pod nogi kwiaty.

Kiedy podeszli do trybuny, gdzie stali dwaj policjanci, spojrzenia Maciejewskiego i jednego z braci spotkały się. Teraz Zyga był już pewny. Wyciągnął w kierunku Filipiaka rękę, a potem zacisnął ją w pięść. Anzelm zbladł momentalnie. Jego brat Ewaryst popchnął go lekko, ale ten stał jak zamurowany. Wtedy i drugi spojrzał w kierunku Zygi. Musiał go rozpoznać, bo uśmiechnął się, szczerząc białe zęby.

Filipiakowie ruszyli dalej, ale ich krok był mniej dziarski. Anzelm co chwilę spoglądał za siebie. Naraz dostrzegł mundurowego przy jednym z wyjść. Szybko spojrzał na drugie wyjście. I tam stał policjant. Trzeci był w wejściu do szatni, a obok niego jakiś młody człowiek w garniturze, trzymający się pod boki i posyłający im obu wyzywające spojrzenie. Jedyne nieobstawione przejście znajdowało się za plecami człowieka, którego widział już dziś w nocy, tego samego, który zerwał mu maskę. Teraz przypomniał sobie, skąd go zna. To był ten facet, z którym kilka lat temu walczył w Lublinie. Walka była twarda, a mecz zakończył się remisem. Zawodnik

z Lublina był sportowcem, ale wszyscy wiedzieli, że to tylko dodatek do jego prawdziwego zawodu, czyli pracy w policji. Teraz stał naprzeciw niego i uśmiechał się znacząco. Nie było wyjścia. Musieli zaatakować.

Pociągnął brata w swoim kierunku i szybko mu coś powiedział. Ten rozejrzał się i skinął głową na znak zgody.

– Szanowni państwo, już za chwileczkę na scenie pojawią się... – Głos konferansjera znów utonął w entuzjastycznych krzykach i gwizdach. Tym razem wywołało je coś niespodziewanego. Bracia pokleпали się po ramionach, podali sobie ręce i naraz ruszyli przed siebie i wcale nie na ruskich przeciwników, ale wprost na trybunę, na której stali Fischer z Maciejewskim. A ci zamiast uciekać gdzie pieprz rośnie, zrobili coś zupełnie przeciwnego. Obaj wskoczyli na arenę. W mgnieniu oka zrzucili z siebie marynarki i stanęli na wprost rozpedzonych jak tarany Filipiaków.

Publiczność dosłownie oszalała. Takiej atrakcji nikt się nie spodziewał. Owszem, zdarzały się sytuacje, kiedy jakiś krewki obserwator rzucał się na matę, by pomóc swojemu faworytowi, ale czegoś takiego jeszcze nikt tu nie widział. Dwaj zawodnicy ruszyli biegiem na dwóch widzów, a ci stawili im czoła. Dopadli ich niemal równocześnie. Anzelm sprytnie wykorzystał siłę rozpędu, podskoczył w górę i zaatakował wyciągniętą do przodu prawą nogą. Zyga zdołał to przewidzieć. Cofnął się błyskawicznie w lewo i atakujący uderzył w pustkę. Gdy napastnik opadł na lewą nogę, Maciejewski skoczył szczupakiem i podciął mu ją. Filipiak runął jak długi, a odgłos padającego ciała utonął w potężnym krzyku, wydobywającym się z setek gardeł. Drugi z braci również nie docenił przeciwnika. Rzucił się do przodu, chcąc podciąć nogi Fischera. Policjant jednak podskoczył niemal w ostatnim momencie i Ewaryst zaraz runął na plecy. Ale był gibki jak węgorz. Natychmiast się odwrócił i poderwawszy się, kopnął komisarza w szczękę. Fischer upadł na plecy, a przeciwnik od razu się na niego rzucił. Chciał wymierzyć mu cios nokautujący w skroń, lecz stary zapaśnik wiedział, co należy zrobić. Napiął mięśnie brzucha i przyciągnawszy nogi do siebie, wygiął się jak sprężyna, strącając z siebie Filipiaka. Nim ten zrozumiał, co się dzieje, Fischer już przyciskał go całym ciężarem

ciała do ziemi. Złapał go jeszcze za prawą rękę i wykręcił tak mocno, że gdyby na sali było cicho, można by było usłyszeć złowieszczy chrzęst kości.

Tymczasem Zyga kolejny raz uchylił się przed potężnym ciosem Anzelma. Ten był najwyraźniej zdziwiony, że nie może trafić w cel. Maciejewski poruszał się szybko i zwinnie jak łasica. Obiegał przeciwnika dookoła, unikając ciosów, a sam zadawał je w każdym sprzyjającym momencie. To była jedyna taktyka mogąca przynieść mu zwycięstwo. Filipiak był przecież potężniejszy od Zygi. Gdyby go trafił, już byłoby po walce. Tak jak w przypadku drugiej pary, gdzie Ewaryst jeszcze stawiał opór Fischerowi, ale widać było, że ta walka jest przegrana. Obity Filipiak, który zainkasował już swoje, gdy leżał na ziemi, teraz, słaniając się na nogach, próbował doprowadzić do zwarcia, które dałoby mu odrobinę wytchnienia. Jednak Fischer był na to za mądry. Widział, że przeciwnik nie ma już siły. Trzeba więc było pójść za ciosem. Wyczekał moment, gdy na sekundę Filipiak spuścił gardę, i uderzył, wyprowadzając prawy prosty jak kulę armatnią prosto w splot słoneczny zapaśnika. Trafiony padł na plecy, a publiczność zawyła ze szczęścia.

Anzelm kątem oka dojrzał, że jego brat został wyłączony z walki. Trudno, musiał sobie poradzić sam. Ruszył na Maciejewskiego szybko i zdecydowanie i naraz zatrzymał się tuż przed policjantem. Ten, nie wiedząc, co to może oznaczać, odskoczył do tyłu, a Filipiak, przewidując taką reakcję, natarł z impetem. Maciejewski momentalnie stracił równowagę i przewrócił się na plecy. Nie czekał jednak, aż Anzelm go dopadnie. Przeturlał się błyskawicznie w bok i podskoczył na równe nogi. Teraz dwaj zapaśnicy stali naprzeciw siebie, dysząc i sapiąc. Publiczność zamilkła. W cyrku zrobiło się tak cicho, że słyhać było muchy latające wokół lamp.

W końcu Maciejewski zaatakował, uderzając Anzelma w bark. Siła ciosu obróciła Filipiaka wokół własnej osi. Wykorzystał jednak tę sytuację i wyprowadził błyskawiczny prawy sierpowy, który wystrzelił w skroń Zygi. Na szczęście pięść zsunęła się po kości ciemieniowej, a Maciejewski, podkurczywszy nogi, pochylił się i naraz, jak nagięte do ziemi sprężyste drzewo, wyprysnął w górę. Jego czoło jak dębowy kafar wbiło się w podbródek Filipiaka, a siła uderzenia sprawiła, że

nogi zapaśnika oderwały się na moment od podłoża, by za sekundę opaść z impetem w dół, ciągnąc za sobą bezwładne ciało, które złożyło się jak szmaciana lalka.

Zdziwiony Zyga spojrział na Filipiaka, a potem na Fischera, który stał dwa metry obok, nad nieruchomym drugim z braci. Oficerowie uśmiechnęli się do siebie. W końcu wykonali tu kawał dobrej roboty.

Naraz nieopisany zgiełk gwizdów i okrzyków wypełnił po brzegi cały cyrk. Ludzie darli się jak opętani, fetując zwycięzców. Bo przecież ta wygrana była inna niż zwykle. To dwaj zapaśnicy stanęli naprzeciwko publiczności i ta publiczność pięściami swoich bohaterów pokonała zawodowych zabijaków. Nikt nawet szczególnie się nie zdziwił, kiedy na arenę wkroczyli umundurowani policjanci wraz z nowym mistrzem Polski Olkiewiczem, który wydawał im polecenia. Funkcjonariusze szybko zakuli w kajdanki nieprzytomnych byłych mistrzów ringu. W końcu ci dwaj zachowali się nie jak zawodnicy, ale bandyci, atakując Bogu ducha winnych kibiców, bo tak to wyglądało z boku. Niewtajemniczeni obserwatorzy nie mogli przecież wiedzieć, że Fischer i Maciejewski to nie anonimowi widzowie, ale dobrze przygotowani do walki policjanci. Teraz pokonanym należała się urzędowa kara. A dwaj zwycięzcy, których nikt wcześniej nie znał, właśnie stawali się sławni, pozując z wyciągniętymi do góry pięściami do zdjęcia, które robił im gazetowy fotograf. Przysłano go tu, żeby sfotografował zwycięzców zawodów, ale to ci dwaj amatorzy okazali się dziś prawdziwymi mistrzami. Dziennikarz Tomczak musiał teraz tylko dowiedzieć się, jak się nazywa ten gość ze złamanym nosem, żeby go podpisać w artykule i pod fotografią. Bo nazwisko poznańskiego komisarza znał doskonale.

[41] Bejmy (gwar.) – pieniądze.

[42] Miasteczko albo Wesołe Miasteczko – tak nazywano dzielnicę nędzy, którą w latach 20. zbudowali bezdomni nędzarze nad brzegiem Warty.

[43] Klofta (gwar.) – kłoda, kloc drewna.

## Rozdział VII

Poznań

Poniedziałek

22 lipca

Godzina 10.35 przed południem

Maszynista pociągnął za wajchę i para z kotła poszła w gwizdek. Sygnał lokomotywy ostrzegł wszystkich stojących na peronie, że czas się żegnać, a konduktor gromkim głosem nakazał wsiadać i zamykać drzwi. Odprowadzający posłusznie odsunęli się od krawędzi peronu i w pośpiechu zaczęli szukać po kieszeniach białych chusteczek, bo te najlepiej nadawały się do machania. W końcu, gdy wszyscy zajęli już swoje miejsca, odjeżdżający w otwartych oknach, a odprowadzający naprzeciwko nich, jednak w bezpiecznej odległości, zawiadowca stacji w czerwonej rogatywce podniósł w górę czerwony lizak sygnałowy i zawołał najgłośniej, jak potrafił: – Oooo-djaaaaaaazzzzd!

Pociąg odchodzący z pierwszego peronu Dworca Głównego w Poznaniu do Warszawy Głównej wolno ruszył do przodu, ciągnąc za sobą dziewięć wagonów. Trzy pierwszej, dwa drugiej i aż cztery trzeciej klasy. Pasażer przedziału drugiej klasy z obitą i posiniaczoną gębą, do tego jeszcze ze złamanym już dawno nosem, spojrział w lewo na dwa strzeliste, marmurowe obeliski zdobiące wejście na Powszechną Wystawę Krajową, udekorowane kwietnymi girlandami

i biało-czerwonymi flagami. Przyjechał tu, żeby obejrzyć te wszystkie niezwykle osiągnięcia młodego, odrodzonego państwa... Nie udało mu się jednak dotrzeć na wystawę, bo od pierwszych chwil po przyjeździe do Poznania zaangażowany był w niezwykle ważne śledztwo, które prowadziła miejscowa policja. List w tej sprawie złożył na jego ręce sam naczelnik wydziału śledczego poznańskiej policji, komisarz Antoni Fischer. Tak naprawdę był to list gratulujący nadkomisarzowi Sobocińskiemu wybitnego pracownika i jednocześnie dziękujący Maciejewskiemu za nieocenioną pomoc w ujęciu dwóch groźnych bandytów. Jednak ten list, całkiem miły, nie był dla Zygi najważniejszą pamiątką, którą wywoził z Poznania. Tę miał rozłożoną na kolanach i co jakiś czas z uśmiechem na nią spoglądał. Był to poranny numer „Kuriera Poznańskiego”, na którego pierwszej stronie bił w oczy wielki tytuł:

Podwójny nelson, czyli bandyci w maskach schwytani!

Takiej niecodziennej akcji policyjnej jeszcze Poznań nie widział. Dwaj zamaskowani bandyci, którzy swojemi akcjami zbrojnymi terroryzowali obywateli naszego miasta, jak i przyjezdnych odwiedzających Powszechną Wystawę Krajową, zostali wczoraj ujęci przez policję. Ale sposób ujęcia był niezwykle i niecodzienny. Bandytami okazali się dwaj cyrkowi zapaśnicy w stylu wolnoamerykańskim, którzy podawali się za mistrzów krajowych i od kilkunastu dni występowali w cyrku przy rogu ulic Jasnej i Poznańskiej. Tamże właśnie w trakcie zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań ustalili ich miejsce pobytu policjanci. Podczas wieczornego meczu bokserskiego mundurowi funkcjonariusze otoczyli cały teren, a do akcji weszli dwaj policjanci wyszkoleni w kwestiach obezwładniania szczególnie groźnych przestępców, jako że obaj są byłymi mistrzami boksu i zapasów. Zapaśnik ów to nikt inny jak dobrze znany poznaniakom komisarz Fischer, któren jest naczelnikiem tutejszego wydziału śledczego. Biegłym w fachu bokserskim okazał się przysłany specjalnie do Poznania z Lublina podkomisarz Zygmunt Maciejewski. Oni to właśnie obaj wkroczyli na arenę cyrkową, by dokonać zatrzymania bandytów. Ci jednak tanio nie zechcieli sprzedać skóry. Ruszyli do walki, jakiej Poznań jeszcze nie widział. Przy aplauzie publiczności wypełniającej cyrk po brzegi dwaj



stróże prawa stanęli do pojedynku z bandytami. Podwójny pojedynek wyglądał jak najprawdziwsza walka w stylu wolnoamerykańskim. W ruch szły pięści, nogi i nawet głowy walczących. Walka toczyła się przez dobrych kilka minut ze zmiennym szczęściem, ale w końcu sprawiedliwość zatryumfowała. Pierwszy swojego przeciwnika rozłożył na łopatki poznaniak, komisarz Fischer, potężnym ciosem pozbawiając bandytę przytomności. Wkrótce w jego ślady poszedł lubelski spec od boksu, podkomisarz Maciejewski, który uderzył drugiego bandziora głową w podbródek, gruchocząc mu przy tym szczękę. Można powiedzieć, że obaj funkcjonariusze obezwładnili swoich przeciwników, zakładając im zapaśniczego, nie zwyczajnego, ale podwójnego nelsona.

Tak to policjanci, z których cała nasza poznańska społeczność może być dumna, na oczach setek amatorów sportowych walk zafundowali im prawdziwą walkę między dobrem a złem. Jakie to szczęście, że spokoju obywatele pilnują tacy ludzie jak Fischer i Maciejewski oraz wielu innych, których nazwisk nie możemy tu wymienić, ale którym kłaniamy się nisko jako swoim obrońcom.

Artykuł ów opatrzony był dwoma fotografiami. Większa przedstawiała Maciejewskiego i Fischera chwilę po walce z podpisem: „Maciejewski i Fischer, policjanci zwycięzcy”. Druga, podpisana: „Pokonani bandyci leżący bez przytomności na arenie”, ukazywała znokautowanych braci Filipiaków. Zyga musiał przyznać, że o ile to pierwsze zdjęcie wyglądało całkiem interesująco, o tyle drugie przypominało fotorelację z pola bitwy. Szkoda, bo twarze i przede wszystkim atletyczne sylwetki przestępców były niezbyt wyraźne i nikt nie mógł właściwie ocenić rangi zwycięstwa. Ale co tam. Mówi się trudno, uznał Maciejewski. Ważne jednak, że jego niezbyt rozgarnięty szef, nadkomisarz Sobociński, zobaczy, że boks też się może od czasu do czasu przydać policjantowi. Ale co tam Sobociński. Dopiero wielkie oczy, zobaczywszy fotografię i przeczytawszy artykuł, zrobi jego Róża, która jak to delikatna kobieta, ceniła w nim, oczywiście prócz oryginalnej urody, magnetyczną męską siłę.

Ostrożnie złożył gazetę na czworo i wsunął ją do brązowej podręcznej teczki, w której miał zapakowane na podróż kanapki

z salcesonem.

– Moja małżonka przygotowała dla pana, żebyś pan z głodu po drodze nie umarł – wyjaśnił Fischer, kładąc na biurku okazałych rozmiarów pakunek. Wyglądało to tak, jakby Fischerowa zrobiła kanapki przynajmniej z połowy bochenka chleba, a on nie miał nawet okazji jej podziękować.

– Proszę pani komisarzowej przekazać wyrazy wdzięczności. Niepotrzebnie robiła sobie taki kłopot.

– Czy pan myśli, że ja jestem samobójca?

– Czyli że jak...? – Zyga nie zrozumiał, o co chodzi Fischerowi.

– Że niby miałbym mojej Ursuli powiedzieć, że coś zrobiła niepotrzebnie? Ona wie doskonale, co jest potrzebne, a co nie, a na drogę zawsze mi robi sznytki, żebym nie jadł byle czego w dworcowych barach. A poza tym jak człowiek ma jedzenie z domu wzięte na drogę, to grosza niepotrzebnie nie wyda.

– No tu muszę się z panem zgodzić, komisarzu. – Maciejewski pokiwał głową z uznaniem. Też nie przepadał za wydawaniem pieniędzy na lewo i prawo. – Pieniądze szczęścia nie dają, ale pozwalają przyjemnie być nieszczęśliwym.

– A to dobre, muszę zapamiętać. A tak à propos pieniędzy to ma pan tu wszystko, co pan stracił w nocy. – Fischer podsunął na brzeg biurka szarą kopertę, wypchaną banknotami. Zyga zrozumiał, że była tam cała jego wygrana ruletkowa i jeszcze być może to, co miał w portfelu. Ale zaraz uświadomił sobie, że przecież policjanci, nawet jeśli odzyskali zrabowane przez bandytów pieniądze, to nie mieli pojęcia, jaka część należy do niego i czy te jego są w ogóle w tej odzyskanej kwocie. Oznaczało to, że Fischer zarządził, żeby obejść się z nim w wyjątkowy sposób. Pozostali obrabowani pewnie będą musieli jeszcze trochę poczekać na zwrot swoich utraconych bogactw.

Schował kopertę do kieszeni. Nie było o czym dyskutować. Gdyby wyraził wątpliwość co do uczciwości tego wyróżnienia, Fischer mógłby się obrazić, a on nie miał ochoty zrażać do siebie gospodarza, który chciał jak najlepiej.

– To znaczy, że nasza wspólna akcja przyniosła efekty – rzucił, uśmiechając się pod nosem.

– No tak, spektakularny sukces – zgodził się z nim Fischer. – Takiego sukcesu na oczach publiczności nam było trzeba, tym bardziej w tym gorącym targowym okresie. We wszystkich gazetach o nas piszą. I jeszcze o tym diable Olkiewiczu, że niby policjant po godzinach trenujący zapasy wygrał mistrzostwo Polski. A on te zapasy trenował, żeby się dostać do cyrku i wysledzić tych Filipiaków.

– Sprytny chłop. – Maciejewski uśmiechnął się na wspomnienie swojego pierwszego poważnego śledztwa na Zamojszczyźnie sprzed kilku laty, w którym pewien wkład wniósł Olkiewicz. – Najważniejsze, że wszystko się dobrze zakończyło.

Fischer zrobił zatroskaną minę.

– Nie do końca. W tym całym zamieszaniu straciłem z oczu ważną kwestię, a ludzie nie dopilnowali i oto mam teraz za swoje. Z aresztu, tu na dole, zniknął mi więzień.

– Nie mówi pan chyba o mnie? – zażartował Zyga.

– Nie, skąd. To człowiek, którego zatrzymałem na gorącym uczynku. Zastrzelił w radio pewną pieśniarkę. Myśmy się zajmowali pierdołami, a on zwał.

– Taki krótko obcięty, mrukliwy typ. Ten, co mówił, że jest mordercą?

– Ten sam. Zna go pan?

– Jak pan wie, miałem przyjemność poznać pański areszt od środka.

– No tak, rzeczywiście. Ale on przecież nie mógł z panem siedzieć w jednej celi.

– Nie mógł i nie siedział. Wsadzili go do mnie na chwilę, gdy się zrobiło z nim jakieś zamieszanie. Ten posterunkowy, który był na dyżurze, przeprosił mnie grzecznie i poprosił o wyrozumiałość, bo musi mi na moment wprowadzić do celi jednego mordercę, który nie przypadł do gustu innym aresztantom. I nawet spytał, czy się nie obawiam.

– Jaka kurtuazja.

– To już było po tym, jak wyjaśniło się, kim jestem i czekałem tylko na przybycie oficera, żeby sprawę doprowadzić do końca. No i ten morderca rzeczywiście został wprowadzony. I mieliśmy okazję nawet zamienić kilka słów. Powiedziałem mu, że wychodzę, a on poprosił, żebym po wyjściu przekazał gryps komuś z jego rodziny. Oczywiście wziąłem. Przecież nie było sensu mu wyjaśniać, że jestem policjantem. Pomyślałem sobie, że kto wie, czy ten gryps nie zawiera czegoś ważnego.

Wyjął z górnej kieszeni marynarki niewielki kartonik, zapisany drobnym pismem. Była to kartka wyrwana z paczki papierosów. Jej druga, wewnętrzna, niezadrukowana strona doskonale nadawała się do zapisywania wiadomości. Zyga nawet nie przeczytał, co tam było nabazgrane, bo co to właściwie mogło go obchodzić. Zapomniał o grypsie i dopiero teraz przypomniał sobie, że włożył go do kieszeni.

Fischer chwycił notatkę i zaczął ją czytać. Po chwili spojrzał na Maciejewskiego.

- Dokąd miał pan to zanieść?
- Tam jest napisany adres.

Pociąg przejechał centrum miasta i zatrzymał się na niewielkiej stacji Poznań Garbary. Maciejewski właśnie zastanawiał się, czy już może zacząć jeść kanapki. Dopiero podróż się zaczęła, a on już poczuł głód. No może jedną malutką kanapeczkę przegryzie i popije piwem, w które zaopatrzył go Olkiewicz. Siatka z flaszками pilsa od Huggera leżała na półce ponad głową Zygi. W sumie dzięki kanapkom i butelkom z piwem podróż do Warszawy zapowiadała się całkiem interesująco. Tym bardziej że miał w teczce katalog wystawowy, opisujący najważniejsze ekspozycje, który zamierzał dokładnie przestudiować, żeby zdać relację w Lublinie na temat tego, co widział... mógł widzieć. Przecież nie przyzna się, że nie zdążył zajść na wystawę.

Spojrzał przez okno na peron... Naraz poczuł, że włos mu się jeży na głowie. Po chodniku, wzdłuż pociągu, szedł sobie spokojnym krokiem ubrany w elegancki garnitur, z płaszczem przewieszonym przez ramię Krzysztof Dąb-Załoski, morderca, który dał mu gryps do przekazania. Człowiek ów zatrzymał się przy drzwiach do

następnego wagonu pierwszej klasy. Począł, aż otworzy mu je wagonowy, i najspokojniej w świecie wsiadł do środka. Minutę później pociąg ruszył we wschodnim kierunku.

Godzina 11.50 przed południem

– Ja się domagam natychmiast rozmowy z oficerem!

– Trzeba czekać!

– Jak ja mam czekać, jak moja sprawa jest niezwykle pilna.

– Tu wszystkie sprawy są pilne, bo tu się kradzieże zgłasza i włamania. Żadna sprawa nie jest pilniejsza od drugiej pilnej, chyba że jest jakaś najpilniejsza z powodu, na ten przykład, morderstwa. Kogoś żeście zamordowali?

– Ja? Nigdy w życiu.

– To musicie czekać wew kolejce. Siadaj pan tam, gdzie ci wszyscy ludzie siedzą. – Policjant wskazał na ławę pod ścianą, na której miejsca zajęło kilkoro interesantów. Wszyscy wpatrywali się niewidzącym spojrzeniem w jakiś punkt w podłodze, w suficie albo gdziekolwiek. Widać było, że mieli już w czekaniu na policji duże doświadczenie.

– I co, wszystkich tu okradziono niby?

– Jak kto na policję przychodzi, znaczy, że ma poważną sprawę. Siadaj pan i czekaj!

– To jest oburzające. Ja złożę skargę.

– Mogę przyjąć.

– Że co?

– Skargę. Mogę przyjąć.

– Jak to?

– Normalnie, tam pan masz papier, kałamarz i pióro. – Policjant wskazał na drewniany blat przyczepiony do marmurowego słupa podtrzymującego strop obszernego holu Dyrekcji Policji. – Weź pan se pióro i napisz pan tę skargę.

– I gdzie ona niby trafi?

– Jak gdzie? No do mnie. Przecież ja już panu objaśniałem, jaka jest droga urzędowa. Skarga trafia do mnie, znaczy podoficera

służbowego, który ją rozpatruje niezwłocznie, a jak już ją rozpatrzy, to nadaje jej bieg służbowy albo...

– Co „albo”? – zapytał podchwytliwie mężczyzna. Ale policjant był starym wygą i wiedział doskonale, że takim awanturnikom najlepiej walić prawdę w oczy prosto z mostu, bo inaczej się nie uspokoją. Niecierpliwy petent w obliczu majestatu urzędu policyjnego musiał stracić wszelką nadzieję i w ten sposób osiągnąć uspokojenie. I gdy już się uspokajał, wtedy można go było poddać przesłuchaniu na okoliczność jego interesu, który miał do policji. Tak nauczono przodownika Okonia na specjalnym kursie dla podoficerów, którzy pełnią służbę i w związku z tym muszą umieć radzić sobie z ludźmi, jacy przychodzą do urzędu ze swoimi nieposkromionymi emocjami. „To właśnie policjant na służbie musi być zawsze grzecznym buforem, o który rozbija się fala ludzkiej determinacji i agresji. A nic tak dobrze nie rozładowuje tej fali jak zdecydowana postawa policjanta, który jest niezachwiany w słuszności swojego postępowania”, mówił im prowadzący ten kurs oficer, który przyjechał wygłosić referat aż z Warszawy. Więc Okoń zapisał sobie niektóre fragmenty z tego, co mówił ów prelegent, a potem nauczył tego na pamięć. I w ten oto sposób był doskonale przygotowany do pełnienia służby, bo wiedział, że każdego awanturnika trzeba uspokoić. Wiedza teoretyczna była niezwykle przydatna, bo kiedyś, czyli przed kursem, takiego krzykacza przodownik Okoń walnąłby w pysk i wyrzucił z policyjnego budynku na ulicę, częstując na pożegnanie kopniakiem. Ale prelegent wyjaśnił, że lanie po mordzie nie jest żadnym rozwiązaniem i nie przystoi funkcjonariuszowi Policji Państwowej, który musi ją godnie reprezentować i stać na straży jej honoru. Więc Okoń stał i reprezentował najgodniej, jak umiał.

– Albo się nie rozpatrzy, jeżeli skarga będzie nieuzasadniona w odpowiedni sposób.

– Ja mam pisać skargę na pana, a pan będzie ją rozpatrywał?

– Taka jest kolej rzeczy i nic się na to nie poradzi – wyjaśnił całą złożoność służbowej drogi jednym prostym zdaniem, zaprawionym odrobiną filozoficznej refleksji.

– To jest skandal. Ja chcę się widzieć z oficerem!

– Idź pan opisz to wszystko, co pan chcesz powiedzieć oficerowi, a jak już będzie to na papierze, to się oficerowi zanieś.

– A co by było, jakbym ja nie umiał pisać? – Mężczyzna najwyraźniej próbował zapędzić Okonia w kozi róg.

– Jakbyś pan szanowny nie umiał pisać, toby się wzięło szanownego pana na przesłuchanie do celi i po ptokach. Ale pan szanowny nie wygląda mi na alfabetę, więc pisz pan, pókim dobry, bo za chwilę utracę moją niecierpliwość i całość dobrej woli ze mnie w cholerę pójdzie. – Teraz głos policjanta nabrał tonu zdecydowanego i bardzo przekonującego i jak zaraz się okazało, przyniosło to oczekiwany skutek. Mężczyzna poszedł do blatu pisarskiego, sięgnął po kartkę i zaczął coś na niej skrobać. Pięć minut później był już z powrotem przy kontuarze recepcyjnym, za którym stał przodownik.

– To jest moja informacja na temat okradzenia mieszkania i w związku z tym chciałbym mówić z oficerem.

– Zaraz, zaraz – powstrzymał go dyżurny. – Tu nie jest napisane, na jaką kwotę włamanie do kasy ogniotrwałej przyniosło stratę.

– A bo ja jeszcze tego nie obliczyłem.

– To jak, nie wiecie, ile żeście mieli w kasie ogniotrwałej? – zdziwił się Okoń, który zawsze wiedział, ile ma pieniędzy w kieszeni, a ile jest w starej skarpecie, wsuniętej między wyprasowane i wykrochmalone obrusy i prześcieradła. Teraz trzymał tam prawie osiemset złotych, czyli prawdziwy majątek, który zamierzał przeznaczyć na kupno domku w którejś z peryferyjnych dzielnic Poznania. Tak ustalili z żoną, że będą odkładać każdy grosz, żeby na stare lata mieć gdzie mieszkać na swoim własnym kawałku ziemi z porządnym ogrodem i małym sadem, w którym będą rosły jabłunki. Ale na razie byli dopiero na początku drogi ku własnemu domowi, bo na taki luksus potrzeba było przynajmniej piętnastu tysięcy, jak nie więcej. Ale Okoń był dobrej myśli. Zarabiał przecież w policji całkiem nieźle, a jego żona też pracowała jako krawcowa i zajmowała się zaszywaniem dziur i przeróbkami dla większości sąsiadów. Z takim fachem w rękach nie musiała się obawiać, że kiedyś zabraknie jej roboty. No więc Okoń doskonale znał stan

swoich finansów i za nic nie chciało mu się wierzyć, że ktoś może nie wiedzieć, ile ma, a w tym wypadku, ile miał pieniędzy.

– Nie wiem, do cholery. Może jakieś dwadzieścia tysięcy było w kasie!

Okoń spojrzał na tego człowieka, który właśnie wymienił kwotę, o jakiej on mógł tylko marzyć. I powiedział to spokojnym tonem, jakby opowiadał o ukradzionym łóżku albo szafie. Czyżby to był efekt zastosowanych przez niego działań uspokajających nerwowego petenta? Ten się tak uspokoił, że nie dość że nie napisał żadnej skargi, to jeszcze ogromna strata pieniężna przestała go interesować. Może przesadził z tym uspokajaniem awanturnika? A jakby go trzepnął w papę, to może by lepiej zadziałało niż te naukowe metody?

– To w tej sytuacji ja muszę zameldować oficerowi śledczemu – stwierdził dyżurny i sięgnął po słuchawkę telefonu.

– A więc teraz pan dzwoni po oficera, a wcześniej pan nie chciał dzwonić? To co się niby takiego stało?

– Jak przestępstwo jest poważne, to musi rozmawiać z poszkodowanym oficer – wyjaśnił z rozbijającą szczerością policjant. – Takie mamy przepisy.

– Czyli że teraz jestem poważny, a wcześniej to nie chciał pan mi dać się zobaczyć z oficerem?

– No jak miałem wołać oficera, jak nie wiedziałem jeszcze, że sprawa jest nadająca się do rozpatrzenia? A teraz, jak zgodnie z przepisami mam napisane czarno na białym, że sprawa rokująca...

– postukał palcem w kartkę – to w tej sytuacji zmienia się postać rzeczy i zupełnie inaczej zaczyna wyglądać. Ino musi pan jeszcze tu na dole dopisać, że stratę po włamaniu szacuje się na dwadzieścia tysięcy złotych.

– No nie, co za biurokracja tutaj...

– Panie aspirancie, melduje się przodownik Okoń na dyżurze w biurze przepustek – wyrecytował do słuchawki telefonicznej. – Przyszedł tu mężczyzna podający się za niejakiego Siegfrieda Büllowa...

– Nie podający się, ale się tak nazywający! – wtrącił się mężczyzna.



– Podający się za Siegfrieda Büllowa, z zawodu fabrykanta, co powiada, że jego okradli na dwadzieścia tysięcy złotych i wybrali mu te pieniądze z kasy ogniotrwałej i jeszcze coś ukradli innego, bo rzekomo było włamanie podczas jego nieobecności w domu.

– Jakie rzekomo, jakie rzekomo?!

– Nazwisko wskazuje, że Niemiec, ale gada po polsku jak Polak – tłumaczył dalej Okoń. Poparzył uważniej na Büllowa, tak jakby samym spojrzeniem mógł wybadać, jakiej narodowości jest interesant. – Pan aspirant Oskierko pyta, czy pan jest Niemiec, czy Polak.

– Niemiec, do cholery! Ale Niemiec z Poznania.

– Ale nie gada pan jak Niemiec, ino jak Polak.

– A jak mam gadać, znaczy się mówić. Mam mówić po niemiecku, żebyś pan był przekonany, że ma do czynienia z Niemcem?

– Tu jest polski urząd policyjny, to się gada po polsku. Ale jak kto musi gadać po niemiecku, to się takiego też obsłuży po niemiecku, bo tu podoficerowie wszyscy niemiecki znają. Przynajmniej ci starsi, bo ci młodzi to szkoda gadać... Tak jest, panie aspirancie. Już prowadzę tego pana na rozmowę. Tak, może być dwójka, bo w jedyńce aspirant Konieczny przesłuchuje kurewkę, co to zgłosiła jakąś kradzież. Dopiero co zaczął, więc jeszcze potrwa, ha, ha, a tu pan interesant jest bardzo nerwowo usposobiony, więc jakby pan mógł zejść, to byłoby dobrze. Tak jest, panie aspirancie, ja już jego tam prowadzę, żeby se poczekał.

Odłożył słuchawkę na widełki aparatu i zaraz otworzył szufladę pod blatem kontuaru.

– O, jest klucz do dwójki – stwierdził zadowolony. – Ja idę pana wpuścić do pokoju, a ty tu pilnuj wszystkiego – polecił posterunkowemu Madejce, który jak zwykle umiłał sobie nudną służbę za kontuarem biura przepustek, czytając dziesięciogroszowe kryminały w odcinkach. Tym razem miał na tapecie *Czerwonego błazna* Aleksandra Błazejowskiego. Książka była tak wciągająca, że młody posterunkowy zanurzył się w niej po same uszy i dopiero ostry głos Okonia sprawił, że wrócił do rzeczywistości.

– Ty mi tu nie czytaj kryminałów, jak w samym kryminale siedzisz wew środku.

– Tak jest, melduję, że nie czytam, ale to jest historia o komisarzu Borewiczu z Warszawy i sam pan wie...

Okoń nic nie wiedział i wcale go jakiś komisarz ze stolicy nie obchodził.

– Patrz się na wszystko, a ja zaraz wracam jakby co – poleciał i z kluczem w ręce, do którego przyczepiona na metalowym kółku tabliczka informowała, że pasuje do zamka w drzwiach numer 2, wyszedł zza kontuaru i ruszył przed siebie w głąb korytarza, z którego rząd pokoi przesłuchań miał okna skierowane na dziedziniec. Okna były zakratowane, żeby żadnemu przestępcy nie udało się wydostać na zewnątrz, a przesłuchiwanym i obwinionym, którzy się jeszcze do końca nie przyznali do swoich ciemnych sprawek, odechciało się wszelkiego kombinowania.

Policjant otworzył drzwi do pokoju i wszedł pierwszy, na wszelki wypadek, żeby sprawdzić, czy wewnątrz jest wszystko w porządku. Było jak zwykle czysto, tylko na popielniczce piętrzyły się wypalone pety, których nikt nie miał zamiaru wynosić. Wprawdzie rano pojemnik opróżniały sprzątaczkę, ale gdy przesłuchanie odbywało się po serii tych wcześniejszych, niedopałki zawsze wysypywały się na podłogę. Nic więc dziwnego, że w pokoju śmierdziało jak w wędzarni.

– Pan siada se tutaj. – Okoń wskazał taboret bez oparcia. Sam podszedł do biurka i położył na nim zgłoszenie napisane przez Büllowa.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w drzwiach pojawił się niespodziewanie szybko aspirant Oskierko.

– Dzień dobry, z panem Büllowem mam okoliczność, jak mniemam? – zapytał, wyciągając rękę do gościa. – Jestem aspirant Oskierko. Proszę wybaczyć, że musiał pan czekać, ale tak to w policji bywa, że niekiedy trzeba trochę poczekać. Słyszałem, że jakieś włamanie się dokonało. Więc słucham pana, w czym rzecz – powiedział to wszystko tak szybko, że fabrykant aż otworzył usta ze zdumienia. Zdumienia i radości, że wreszcie trafił w tej polskiej policji na kompetentną osobę, która będzie mogła przyjąć jego zeznanie.

Godzina 12.10 po południu

Marlena von Pieskow miała czarujący uśmiech. Nawet jak kłamała, robiła to w taki sposób, że osoba oszukiwana chciała za wszelką cenę wierzyć, że to, co mówi, jest prawdą. Ale Feliks Mikołajewski był zbyt cwany graczem, żeby dać się nabrać w tak prosty sposób. Musiał jednak udawać, że wierzy, i uznał, że miało to swoje dobre strony. Bo Marlena uśmiechała się do niego zalotnie, a to mogło wróżyć jak najlepiej, jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór. Nie miał nic przeciwko temu, by spędzić z nią w łóżku kilka godzin. A jej najwyraźniej na tym zależało.

– Nie mogłam zostać w Königsbergu po tym naszym ostatnim spotkaniu. Myślałam tylko o panu. O tobie...

– To mi pochlebia. – Mikołajewski uśmiechnął się i złożył na jej dłoni szarmancki pocałunek. Zamruczała zadowolona, jak kotka, którą właściciel pogłaskał za uchem.

– Tęskniłam tak bardzo, że postanowiłam rzucić wszystko, wsiąść w pociąg i przyjechać. To w końcu całkiem niedaleko. Ledwie pięć godzin jazdy. Nawet się nie obejrzałam i już jestem u ciebie.

– Jak się tu dostałaś? Przyjechałaś taksówką z hotelu?

Pokręciła głową.

– Nie stanęłam w hotelu.

– A gdzie?

– Pomyślałam, że mnie przyjmiesz u siebie.

– Ależ oczywiście, będzie mi niezwykle miło. W ogóle jest mi miło, że przyjechałaś i że jesteś taka odważna, żeby pokonać pół świata – mówił, jednocześnie zastanawiając się, jak powinien się zachować. Przyjąć ją w domu musiał, ale nie mógł jej ot tak wpuścić do swojej garsoniery. Mieszkanie przy Grottgera było urządzone tak, że w każdej chwili mógł się w nim zatrzymać jakiś gość. Miało aż dwie sypialnie. Ale w tym wypadku ta gościnna raczej nie będzie wykorzystywana. Natomiast pewien problem stanowił pokój jadalny i gabinet. Kapitan bowiem miał niezbyt dobry zwyczaj przynoszenia papierów i dokumentów do domu. Czytał je, pracował z nimi i później kładł gdzie bądź. Najwięcej było ich na biurku, ale nie dałby głowy, że jakaś teczka nie leży w sypialni, a kto wie, może nawet na

kuchennym stole. Tak, chyba czytał przy śniadaniu jakieś raporty i zostawił je na wierzchu. Musiał z tym zrobić natychmiast porządek, by nic nie dostało się w niepowołane ręce. Te piękne ręce, pomyślał, spoglądając na dłonie Marleny.

– Pozwolisz, że zostawię cię na chwilę. Muszę tylko zarządzić pewne kwestie służbowe i za momencik będę mógł cię porwać do restauracji. Na pewno jesteś głodna.

– Jak wilk. Jadłam tylko lekkie śniadanie w restauracyjnym wagonie, więc teraz zjadłabym konia z kopytami.

– Nie wiem, gdzie podają koninę w Poznaniu, ale jeśli masz ochotę, to gicz cielęca może zastąpić z powodzeniem końskie kopyto.

– Ha, ha! Twoje żarty są najwyższego sortu, a do tego wygłaszane z twarzą przyobleczoną w maskę powagi, zaczerpniętą wprost z filmów Bustera Keatona. Nie myślałeś kiedy o karierze aktorskiej?

– Nie nadaję się na aktora. Mam zbyt krótką pamięć. – Wstał z fotela i podszedł do drzwi wiodących z jego gabinetu do sekretariatu. Tam urzędowali dwaj zaufani podwładni, Stachowiak i Zielonka. Pracowali z nim od dziesięciu lat, to znaczy od chwili, kiedy to wówczas jeszcze porucznik Mikołajewski przyjechał do Poznania, skierowany tu do tworzenia wywiadu i kontrwywiadu wojskowego przy Sztabie Dowódcy Naczelnego Wojsk Powstańczych, generała Dowbora-Muśnickiego. Tu stworzył od podstaw sprawnie działające biuro wywiadowcze, ukryte pod przykrywką VIII Wydziału Intendentury. Ten kamuflaż sprawdzał się przez kilka lat jednak im więcej operacji wywiadowczych prowadzili, tym więcej strona przeciwna otrzymywała sygnałów, że być może Ósemka wcale nie zajmuje się zaopatrzeniem.

Pomysł na zmiany zrodził się w chwili, gdy w ręce ludzi Mikołajewskiego wpadła willa na Sołaczu. Jej dotychczasowy właściciel Johan von Kügelen, drobny przemysłowiec, zajmujący się produkcją w branży cukierniczej, postanowił pozbyć się nieruchomości w Poznaniu. Położoną na Jeźycach fabryczkę, cukierków i czekolad, sprzedał swojemu współpracownikowi i dyrektorowi fabryki, Siegfriedowi Büllowowi. Po tej transakcji fabrykant postanowił ostatecznie wynieść się z Polski. Pech chciał, że podczas swojej szerokiej działalności cukierniczej podpisał kilka

weksli na dość sporą sumę, kupując cukier w cukrowni ze Środy Wielkopolskiej. Nie zapłacił za dostawę gotówką, ale tymi właśnie papierami wartościowymi.

Wielce prawdopodobne, że zapomniał o takim drobiazgu, kończąc swoje poznańskie interesy. A chciał je zakończyć definitywnie, sprzedając jeszcze willę. Tyle że weksle z jego podpisem wprost z cukrowni trafiły do biura Mikołajewskiego. Przynieśli je Stachowiak z Zielonką. Obaj od pewnego czasu prowadzili interesy z kierownictwem średzkiego zakładu. Dlatego gdy w prasie ukazało się ogłoszenie o sprzedaży domu, do drzwi przemysłowca zapukał kapitan, proponując Niemcowi, by ten w zamian za oddanie kwitów, przepisał willę na powstającą właśnie instytucję rolniczą. I odtąd komórka wywiadu usadowiła się w obszernej willi, na której umieszczono mosiężną tabliczkę informującą, że tu właśnie mieści się poznański zarząd Zrzeszenia Kółek Rolnych. Prezesem zarządu został Mikołajewski, a wiceprezesami Stachowiak i Zielonka.

Mikołajewski bardzo się więc zdziwił, gdy naraz okazało się, że na jego wywiadowczej drodze znalazło się, ni stąd, ni zowąd, nazwisko osoby, która kupiła od Kügelena fabrykę czekolady. Musiał to sprawdzić, więc na jego biurku leżały dokumenty dotyczące przejętej willi i informacje o byłym dyrektorze fabryki, który kupił manufakturę. Siegfrieda Büllowa właśnie okradł Tolek Grubiński i w jego kasie pancерnej natrafił na wojskowe dokumenty. To wszystko zaczynało się układać w jakiś dziwny ciąg połączonych ze sobą zdarzeń, splątanych ludzkim łańcuchem. I do tego jeszcze teraz pojawiła się u niego w biurze niespodziewanie Marlina. Czyżby przypadek?

– Słuchaj, Zielonka, masz tu klucze od mojego mieszkania, jedź tam natychmiast i wyczyść je ze wszystkich dokumentów. Ze wszystkich. Wszystko wpakuj do kasy ogniotrwałej. A w mieszkaniu niech będzie tak czysto, jakby tam nie było śladów ludzkiej działalności.

Zielonka wziął od szefa klucze, uśmiechając się znacząco.

– Będzie czysto jak wew pralni parowej. Każę jeszcze stróżowej podłogi umyć i ogarnąć, co tam trzeba.

– Wystarczy, żeby było jak w hotelu.

Wrócił do pokoju. Marlena stała przy oknie, spoglądając na parkową zielen i nieruchomą toń stawu, po którym pływały kaczki i łabędzie. Mikołajewski zlustrował blat biurka. Papiery wyglądały na nienaruszone, ale musiała je przynajmniej pobieżnie przejrzeć. Uśmiechnął się pod wąsem. Na wierzchu były wyciągi cen żywca wieprzowego z ostatniego tygodnia. Zawsze dbał o to, żeby na biurku leżały giełdowe dokumenty. Tak na wszelki wypadek.

– Ładny widok – stwierdziła, zapatrzona w pływające ptaki.

– O, widzę, że lubisz kaczki. A wiesz, że kaczka podawana z pyzami i modrą kapustą to poznańska specjalność? Na pewno ci będzie smakować.

Podszedł do Marleny i chwycił ją wpół. Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go namiętnie. Gdy poczuł jej wilgotny język na swoich wargach, pomyślał, że właściwie to szkoda, że nie jadą od razu do niego. Ale w końcu co się odwlecze, to nie uciecze.

### Godzina 3.30 po południu

Anastazy Olkiewicz nie lubił fasolówki, a tymczasem jego żona Klementyna akurat dziś przygotowała mu ją na obiad. Zjadł cały talerz, dopchał się chlebem, choć zrobił to z niesmakiem. No ale co miał zrobić? Przecież nie mógł powiedzieć żonie, że nie będzie jadł fasolowej, bo za nią nie przepada. Grzecznie więc usiadł do stołu i zjadł, co mu podała, mlaskając głośno, niby z ukontentowania, ale tak naprawdę, żeby ukryć to, jak męczył się, jedząc tę zupę, której przecież nic nie brakowało. Majeranku było w niej tyle, co potrzeba, były ziemniaki pokrojone w kostkę i do tego jeszcze skwarki z wędzonego boczku. No i biała fasola, odpowiednio przygotowana, bo zalana wodą już dzień wcześniej i gotowana od rana dla miękkości. Gdyby zupa nie miała w sobie fasoli, to co innego. Jadłby z radością, tak jak na przykład grochówkę. Ale nie miał innego wyjścia i musiał robić dobrą minę do złej gry albo do tej cholernej fasoli, którą na froncie francuskim podczas wielkiej wojny podawano mu codziennie przez dwa lata, tak że zdążył ją szczerze znienawidzić.

– I jak, Anastazy, smakuje ci moja fasolówka? – zapytała Klementyna, wycierając mokre dłonie w swój kuchenny fartuch.

– Wyśmienita, moja kochana, wyśmienita, jak zawsze!

– To się cieszę. Najważniejsza zawsze jest dobra fasola. Jak dobra, to i zupa będzie smaczna – stwierdziła i wróciła do kuchni. Musiała tam jeszcze trochę ogarnąć po gotowaniu, bo za chwilę szła do pracy. Miała dziś popołudniowy dyżur w Szpitalu Garnizonowym przy Libelta. Bo żona Anastazego, która przed ślubem pracowała jako pokojówka w porządnym mieszkaniu, musiała porzucić służbę u obcych. Nie wypadało bowiem, by żona podoficera policji sprzątała po innych, nawet jeśli byli to ludzie zamożni. Dlatego Anastazy wystarał się przez swoje wojskowe znajomości, żeby przyjęto ją na kursy sanitarne, gdzie wyuczyła się roboty pielęgniarskiej i dzięki temu dostała posadę w wojskowym szpitalu.

Olkiewicz też wybierał się do pracy, a konkretnie to do pobliskiej gospody U Okonia, w pobliżu której mieszkał w pięknym, dwupokojowym mieszkaniu na ulicy Mostowej. Nie żeby zaraz oddawać się tam rozkoszom degustacji różnych trunków. Zresztą w tym przybytku smakosz, za jakiego się uważał, nie znalazłby wyboru satysfakcjonującego delikatne podniebienie. Była wódka czysta od Kantorowicza, tania jałowcówka Machandel, produkowana w wytwórni Likwowin, i piwo z browaru Huggera przy Półwiejskiej. Ale dziś Anastazy nie szedł tam w poszukiwaniu doznań smakowych. Tak jak przykazał mu Fischer, musiał spotkać się ze swoim dawnym kolegą, z którym chodził do szkoły powszechnej w dawnych pruskich czasach przed wojną. Zresztą nie było przecież niczego złego w tym, że zamiast na służbę do Dyrekcji Policji udawał się zgodnie z poleceniem swojego szefa na spotkanie ze złodziejem i kasiarzem Tolkiem Grubińskim.

Mimo że mieszkali niedaleko siebie, bo ich mieszkania znajdowały się na sąsiednich ulicach, w ostatnich latach raczej rzadko się widywali. Od czasu do czasu wpadali na siebie U Okonia, gdy Olkiewicz po pracy zachodził na kufelek czy dwa. Grubiński natomiast przesiadywał tu niemal codziennie, załatwiając swoje złodziejskie interesy. Nie przeszkadzało to nigdy Anastazemu napić się ze starym kumplem, bo jak powiadał, najważniejsze, żeby sobie

w szkodę nie włązili, to będą mogli pić ze sobą zawsze. Tolek wiedział doskonale, że nie ma co robić sobie wroga ze starego kolegi, więc starał się nie organizować złodziejskich akcji w najbliższej okolicy, dzięki czemu nikt z sąsiadów nie mógł przyjść do Olkiewicza ze skargą na Grubińskiego. Poza tym Tolek utrzymywał z całą policją poprawne stosunki, co przynosiło korzyść obu stronom. Ludzie Fischera nie nękali go niepotrzebnymi przesłuchaniami, a on od czasu do czasu w grubszych sprawach im pomagał. Dlatego teraz Fischer wysłał Olkiewicza na spotkanie z Grubińskim, żeby wyjaśnić ostatnie nieporozumienie.

– Myślałem, że już po tobie i do Rawicza cię na stałe wywiozą, a ty żeś se wyszedł z aresztu, jakbyś tam nie kiblował, a pracował – stwierdził Anastazy, siadając na wprost Tolka. Ten uśmiechnął się zadowolony.

– Gdybyście mieli lepszych szkiełków, a nie jakieś fujary, to kto wie, czy Rawicz, czy Wronki by mi zapisali. Ale przecież nie mogłem się dać wsadzić za niewinność jak jaka pierwsza lepsza łachudra.

– Dobrze cię widzieć, koleżko. – Olkiewicz uściśnął wyciągniętą ku sobie dłoń Grubińskiego. Niemal natychmiast przy stoliku zjawił się młody pomocnik właściciela, który zajmował się zbieraniem zamówień i przynoszeniem napitków w godzinach największego ruchu, czyli wczesnym popołudniem, kiedy to pracownicy pobliskich fabryczek, zakładów i warsztatów produkcyjnych po skończonej pierwszej zmianie szli w miasto, żeby przepłukać gardła i wydać trochę z ciężko zapracowanych pieniędzy.

– Dla mnie huggera i stopkę – polecił Anastazy.

– I dla mnie tak samo. – Tolek dopił resztkę piwa i podał chłopakowi swój opróżniony kufel.

– Czy chcesz może, żebym wrócił do was, na policję, na pogaduchy? – zapytał policjanta, gdy zostali przy stoliku sami. Co prawda knajpa wypełniona była po brzegi i wszystkie miejsca przy pozostałych stołach były zajęte, ale do stolika „należącego” do Tolka nikt nie śmiał się przysiąść. Dystans od ludzi postronnych był na tyle duży, że mogli spokojnie pogadać, a ich słowa nie miały szansy



dojść do obcych uszu, ginąc w pijackim gwarze i rozplywając się w smugach tytoniowego dymu.

– A po co masz wracać? – Anastazy wzruszył ramionami. – Jak trzeba, wiemy, gdzie cię znaleźć.

To prawda. Olkiewicz nie miał najmniejszego kłopotu z umówieniem się na spotkanie. Dziś rano wyszedł na dół, na podwórko swojej kamienicy, i zagwizdał na chłopaków, którzy kręcili się przy bramie, czekając na okazję, by zarobić jakiś grosz uczciwie czy nieuczciwie, byleby tylko coś wpadło do kieszeni.

– Ty! – Wskazał na czarnobrewego, obciętego na glacę chłopaka od Antkowiaków, którzy mieszkali w oficynie naprzeciwko, na drugim piętrze. – Słuchaj no ty, Józio.

– Nie Józio, ino Jasio.

– Niech ci będzie Jasio. A wiesz, gdzie pan Tolek Grubiński mieszka?

– A co mam nie wiedzieć? Na Garbarach pod czterdziestym dziewiątym.

– To masz tu pięćdziesiąt groszy za fatygę i leć do niego. Powiedz mu, że o trzeciej trzydzieści U Okonia muszę się z nim widzieć, bo sprawa jest gardłowa i wew związku z tym musimy wypić kielicha. Zapamiętasz, Józio?

– Jasio! Zapamiętam.

Chłopak dmuchnął na monetę, żeby mu się rozmnożyła jak najszybciej, i schował ją do kieszeni. Ten sposób komunikowania się między sąsiadami miał długą tradycję i zawsze się sprawdzał. Bo posłańcy zdawali sobie sprawę, że jeśli chcą jeszcze kiedy w przyszłości zarobić, to muszą informację donieść do adresata. A adresat wiedział doskonale, że za przekazanie wiadomości musi zapłacić co najmniej tyle samo, co dał wysyłający. Nigdy więc się nie zdarzało, żeby goniec opłacony w połowie nie dotarł i zgubił się gdzieś po drodze. Perspektywa zarobienia drugiej pięćdziesięciogroszówki była zbyt kusząca, by z niej nie skorzystać.

– Nie rozumiem tylko, jak to się stało, żeś w ogóle dał się chwycić jakiemuś policjantowi.

Tolek wzruszył ramionami.

– Pechowa sprawa od samego początku do końca. Nigdy się nie wraca na miejsce, które się zjuchciło[44]. Ale ja głupi dał się namówić. Wszystko przez to, że się człowiek zadaje z niewłaściwymi ludźmi – stwierdził, krzywo się uśmiechając.

– I dlatego Fischer kazał ci powiedzieć, że już jest po rozmowie z tym niewłaściwym człowiekiem. No więc komisarz powiada, żeby ci powiedzieć, że z naszej policyjnej strony żadnego aresztowania na gorącym uczynku nie było i wew kartotece zatrzymań nie ma cię w ogóle, za to za ciebie jest niejaki Kolaska Antoni.

– Znam go, to mój kolega.

– A je se myślałem, że to jaki szuszwol.

– Prawda – potwierdził Tolek i wskazał na wychudzonego i zarośniętego gościa, ubranego w zbyt obszerną marynarkę i w porządnej czapce na głowie. Facet z błogą miną pochłaniał właśnie wielkiego kotleta schabowego, a prócz talerza stało przed nim kilka pustych kufli po piwie.

– To jest właśnie Kolaska, dzięki któremu wyszedłem na wolność, a on został siedzieć za mnie. A teraz żre se jak basza, bo ja zawsze dotrzymuję słowa, ha, ha, ha! – Zadowolony Grubiński klepnął Olkiewicza w ramię. Ten chwilę przypatrywał się Kolasce, a potem zaczął się śmiać, wtórując swojemu staremu kumplowi. Musiał przyznać, że Tolek miewał doskonałe pomysły, dzięki którym od lat trzymał się na powierzchni.

Ale jak wiadomo nie od dziś, każde szczęście ma kiedyś swój kres i może zakończyć się katastrofą, jeśli nie jest się zbyt ostrożnym albo za bardzo się uwierzy w pomyślność własnego losu. Lekceważenie bezpieczeństwa i wiara w szczęśliwą gwiazdę może skończyć się katastrofą przypominającą tę ze słynnym statkiem transatlantyckim Titanic, którego za nic nie miała zatrzymać żadna ludzka siła, a powstrzymała lodowa góra. Tolek przekonał się o tym właśnie w tym momencie za sprawą szczupłego mężczyzny, ubranego w schludny, aczkolwiek niezbyt drogi garnitur dwurzędowy, którego połyskliwą, czarną fakturę przecinały drobniutkie bordowe prążki. Człowiek ów na głowie miał zwykły czarny melonik, a w dłoni jeszcze bardziej zwyczajny pistolet Parabellum. Uzbrojony pojawił się nie

wiadomo skąd, stanął za plecami Olkiewicza i skierował broń w kierunku Grubińskiego. Ten dojrzał go i śmiech natychmiast zamarł mu na ustach.

– Już starożytni Rzymianie mawiali, że *pacta sunt servanda*, ale pan pewnie nie wiesz nawet, co to znaczy.

– Umów trzeba dotrzymywać – powiedział Tolek, choć gdyby go ktoś zapytał, nie miałby pojęcia, skąd wie, co znaczy ta maksyma. Ale nikt go zapytać nie zdołał, bo strzał z rewolweru rozdarł powietrze, a wystrzelona kula trafiła go w pierś, odrzucając na ścianę. Być może dosięgłaby go również druga z kul, którą zamierzał posłać w jego kierunku morderca. Ale Anastazy Olkiewicz poderwał się z miejsca i uderzył głową w rękę złoczyńcy, a pocisk trafił w drewnianą belkę stropu. Napastnik niemal odruchowo zdzielił go jeszcze raz przez łeb kolbą rewolweru i Anastazy padł pod ławę bez przytomności. Wtedy od stołu pod oknem zerwała się jakaś długowłosa postać i z krwiożerczym krzykiem, godnym afrykańskich ludożerców, z nożem i widelcem w dłoniach ruszyła w kierunku strzelca. Ten, widząc śmiertelne zagrożenie, oddał do napastnika strzał i wybiegł z gospody, zostawiając za sobą gęby biesiadników zamarłe z przerażenia i otwarte w pół słowa albo w pół łyku... oraz kompletną ciszę i smród wypalonego prochu, zmieszany z aromatem tytoniowego dymu, przypalonego mięsa i odoru przeпоconych robociarskich koszul.

Godzina 5.05 po południu

– Złamał sobie nogę i w zasadzie jesteśmy w punkcie wyjścia – stwierdził Mikołajewski.

– To nie masz kogo w zastępstwie? – zdziwił się Fischer. Jako były wojskowy doskonale wiedział, że nie ma ludzi niezastąpionych. Szczególnie w wojsku. Armia miała do dyspozycji nieograniczone kadry, więc problem zdawał się nie istnieć.

– Teoretycznie, owszem, koszary pełne są ochotników, którzy poświęcą nawet życie dla dobra sprawy. Tyle że ja nie potrzebuję mięsa armatniego, które z honorem i ojczyzną na sztandarach ruszy

do ataku na bagnety, ale specjalistów, którzy potrafią zrobić coś, co mało kto potrafi.

– Czyli kogo? – Fischer sięgnął po pudełko z cygarami, otworzył je i podsunął Mikołajewskiemu. Ten wydobył jedno i przyłożył do nosa. Było wyśmienite, a jego mocny aromat poruszał zmysły i wyobraźnię, która natychmiast wędrowała do tropikalnej dżungli, gdzie śniadolice Kubanki zwijały tytoniowe liście na własnych udach. Cygara komisarz sprowadzał wprost z Gdańska za pośrednictwem Poznańskiego Domu Delikatesów Tschonerta przy ulicy Gwarnej 18. Raz na dwa miesiące sklepowy subiekt przynosił do biura Fischera paczkę, w której znajdowało się kilka pudełek tego rarytasu. Palił je tylko w szczególnych momentach, bo na co dzień wystarczała mu stara wiśniowa fajka. Jednak gdy przychodził do niego ktoś taki jak Mikołajewski, konieczne trzeba było zapalić coś w najlepszym gatunku. Tym bardziej że Fischer, jak zwykle przy takich okazjach, wyciągnął z szafy butelkę koniaku.

– Potrzebni mi są... – zaciągnął się aromatycznym dymem – ... chyba akrobaci.

– Nie mam na składzie żadnego.

– A czy ja mówię, że akurat ty masz w policji cyrkowców? Oczywiście oprócz ciebie. – Przyłożył palec do policzka, a komisarz zaraz zrobił to samo. Po walce z Filipiakami pozostała mu pamiątka w postaci dużego krwiaka pod okiem. Wyglądał jak bandzior. Wzruszył ramionami i się uśmiechnął.

– Taka praca, że o wypadki nietrudno – wyjaśnił.

– Wszędzie się wypadki zdarzają, jak widać. Idzie o to, że będę musiał moje plany odłożyć na później. Myślałem, że bieganie po dachach pociągów to prosta sprawa. Widziałem to w kowbojskim filmie i zdawało mi się, że każdy dobrze wysportowany człowiek sobie z tym poradzi. Przecież Douglas Fairbanks skakał z wagonu na wagon z największą łatwością. Więc mnie, staremu głupcowi, zdawało się, że to bułka z masłem. Ale na wszelki wypadek przeprowadziłem selekcję i wybrałem dwóch doskonale zbudowanych żołnierzy, którzy w zajęciach gimnastycznych radzili sobie doskonale. Zresztą ci dwaj świetnie wypadli na moich próbach wagonowych, wspinali się po poręczach i skakali po dachach

wagonów, czyli robili to, co wszyscy kowboje w Ameryce. Spuszczali się po tej linie sprawnie jak małpy i nawet otwierali te cholerne drzwi. Ale gdy pociąg ruszył i jechał z żółwią prędkością, wszystko zaczęło się psuć. Lina się kołysała, żołnierze nie mogli trafić w drzwi, bo zносиło ich na bok, i nie potrafiliby oprzeć nóg na stopniu wagonu, a w końcu, gdy jednemu się udało, a ja głupi myślałem, że to już jest wielki sukces, wyobraź sobie, że ten mój linoskoczek puścił linę i spadł ze stopnia na ziemię i złamał sobie nogę. Czyli w ten oto sposób chwalebny raną zakończyłem nasze eksperymenty.

– Mierz siły na zamiary. – Fischer wzruszył ramionami. – A jak się sprawdził Grubiński?

– No właśnie, z nim nie ma w zasadzie kłopotu, bo on swoją pracę wykonał bez zarzutu. Wlazł do wagonu, otworzył kasę raz-dwa, wydobyl zawartość ze środka, a potem ją zamknął i wyszedł. Wszystko to zajęło mu z zegarkiem w ręce jakieś trzy minuty, ale...

– Ale Grubiński nie jest linoskoczkiem...

– Otóż to! – Mikołajewski klepnął się w kolano. – Nie ma też zdolności latania. Mistrz w otwieraniu kas już nie jest młodzieniaszkiem i nie jest gibki jak dawniej. A to oznacza, że ktoś by go musiał spuścić na linie z dachu w otwarte drzwi wagonu. To skomplikowana kwestia, gdy pociąg stoi, ale niemal niewykonalna podczas jazdy, gdy pośpieszny jedzie z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Czyli plan piękny, tyle że nie da się go zrealizować? – podsumował Fischer, spoglądając na smutną minę przyjaciela.

– No cóż, chyba masz rację. No ale wiesz, że trzeba próbować. Jakież szare byłoby nasze życie, gdyby nie wariackie marzenia, które staramy się spełnić. Nie mogę się poddać. Pokusa jest zbyt silna. Przecież przez nasze terytorium jadą codziennie pociągi z niemieckimi wojskowymi sekretami. Jadą przez półtorej godziny bez żadnej ochrony. Ta wiedza jest zbyt pociągająca, by z niej nie skorzystać. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Oczywiście, że doskonale rozumiem. I coś mi się zdaje, że się nie zatrzymasz się w pół drogi.

– Dobrze mnie znasz. – Kapitan uśmiechnął się pod wąsem. – Od kilku dni właściwie o niczym innym nie myślę, jak tylko o tym

pociągu, który jawi mi się jak hiszpański galeon, wypełniony po brzegi złotem zrabowanym Aztekom czy innym Indianom...

– No tak, myśl o tych niemieckich dokumentach jest dość kusząca... – Naraz Fischer przerwał, spoglądając na stertę papierów leżącą na biurku. Mikołajewski popatrzył na niego zdziwiony.

– Co tam, Antoni, czyżby koniak ci zaszkodził? – zapytał wywiadowca. Fischer tylko machnął ręką. Wstał z fotela i szybko ruszył w kierunku biurka. Zasiadł za nim i przysunął do siebie teczek z raportami i aktami. Mikołajewski na tyle znał swojego przyjaciela, by wiedzieć, że niekiedy nie warto go ciągnąć za język, bo wszelkie próby nawiązania kontaktu stają się bezcelowe. Szczególnie w chwilach, kiedy policjant wpadał na jakiś trop.

– Mogę przysiąc, że to gdzieś tu było – mówił sam do siebie, nie oczekując bynajmniej jakiegokolwiek wsparcia ze strony przyjaciela. – Gdzieś już widziałem złoto. Tak, to niewątpliwie było złoto. Tylko gdzie? Nie mam pojęcia, kiedy to było. Złoto i kolej... Na pewno chodziło o kolej. Tylko skąd, do licha, złoto...?

Kapitan przez cały czas uważnie patrzył na Fischera. Ten wertował szybko karty, a jego opowieść o złocie zmieniała się w niezrozumiałe mamrotanie pod nosem. To świadczyło, że mózg śledczego pracuje na najwyższych obrotach. Tylko gdzie ten cholernik znalazł złoto? zastanawiał się żołnierz, coraz bardziej zaintrygowany. Zresztą kogo by nie zaciekawiała wzmianka o poszukiwaniu złota. Wszak miliony ludzi traciły zmysły na wieść o złocie, a gorączki złota wybuchające co rusz w Ameryce i Australii sprawiały, że ludzie rzucali wszystko, ogarnięci jakimś niepojętym szałem, który pchał ich na kraj świata w nadziei na znalezienie skarbu, który odmieni ich nędzną egzystencję...

– Jest! Znalazłem złoto! – wykrzyknął Fischer, trzymając w dłoni jakąś kartkę. – Wiedziałem, że gdzieś tu jest, ale nie zwróciłem wcześniej na to należytej uwagi – mówił w podnieceniu. – Dopiero jak żeś powiedział o tych złotych galeonach, to wtedy coś mi zaświtało.

– Mówże, w czym rzecz, bo umieram z ciekawości – ponaglił go Mikołajewski, który już zaczynał się niecierpliwić, bo dochodził czas, kiedy powinien spotkać się z Marleną. Po obiedzie u Kantorowicza

jego znajoma postanowiła wybrać się na zakupy do modnych magazynów i domów towarowych, które rozsiadły się wzdłuż ulicy 27 Grudnia i przy placu Wolności. Dlatego Mikołajewski postanowił skorzystać z okazji i wpaść do biura Fischera. Umówili się z Marleną, że około 5.30 będzie czekał na nią w Cafe Esplanada, więc czas był już najwyższy, aby powoli się zbierać.

– Mam tu złoto! – Fischer, wstając zza biurka, potrząsnął kartką i ruszył w kierunku stolika kawowego, przy którym siedział kapitan. Niezwykle zadowolony z siebie położył znalezisko na stole. – To jest depesza z Człuchowa! Mój znajomy przodownik wysłał ją do mnie!

Mikołajewski natychmiast chwycił telegram i zaczął czytać notatkę.

W dniu 18 lipca przy torach kolejowych wiodących z Człuchowa do Torunia, a dalej do Gdańska, znaleziono ciało mężczyzny, którego miał przy sobie dokumenty na nazwisko Jan Piórkowski, zamieszkały w Poznaniu przy ulicy Wrocławskiej. Prócz tego zegarek kieszonkowy Omega z posrebrzaną kopertą, chusteczkę kraciatą, używaną, scyzoryk o dwóch ostrzach z oprawą kościaną, monety polskie na kwotę osiem złotych i czterdzieści groszy, portfel skórzany koloru brązowego, a wewnątrz paszport polski, niebieski, na nazwisko Jan Piórkowski, wystawiony w mieście Poznań...

– To jakieś pierdoły – stwierdził Mikołajewski.

– Dalej czytaj. – Fischer wskazał palcem miejsce, w którym wyraźnie widać było magiczne słowo.

...Złoto ujawniono dopiero po powtórnych przesłuchaniu Maciaszka, który pod groźbą pójścia do więzienia przyznał się, że natknęli się razem z drugim kolejarzem Golombkiem na nieżywego mężczyznę, który zapewne wypadł z pociągu berlińskiego relacji Königsberg–Berlin albo na odwrót i nieszczęśliwie wypadając, skrzył kark. I znaleźli przy nim nie tylko wyżej nadmienione przedmioty, ale również dziesięć złotych monet dwudziestomarkowych z wizerunkiem Wilhelma II, cesarza Niemiec i króla Prus, które to monety odzyskano i zabezpieczono w kasie ogniotrwałej, należącej do zawiadowcy stacji w Człuchowie, gdyż posterunek policji na dworcu nie posiada takiej kasy, gdzie by można je zabezpieczyć i gdzie

teraz one czekają na odbiór czynników wyższych. W tej sytuacji przyjąć należy, że wyżej nadmieniony Piórkowski z Poznania musiał ukraść złoto z berlińskiego pociągu, a po ukradzeniu wyskoczyć i skrócić kark. A dwaj kolejarze nadzorujący stan torów znaleźli go i zabrali mu to złoto celem szybkiego wzbogacenia się, co uniemożliwiono, biorąc ich wew krzyżowy ogień pytań podczas przesłuchań, wobec czego rzeczony kolejarz Maciaszek się przyznał do ukradzenia złota i wydał też współudział swojego kolegi, co własnym podpisem oba potwierdzili. I wew związku z tem, że ów Piórkowski, co se kark skrócił, informacje w tej sprawie przesyła się do jednostki zaineresowanej PP w Poznaniu.

Raport sporządził Bielawski przodownik, z-ca kom post. P.P w Człuchów-dworzec PKP.

– Ożeż ty w mordę – jęknął zaskoczony Mikołajewski.

– Dziś rano przyszło. – Fischer postukał palcem w kartkę. – Przeglądałem tylko pobieżnie, bo było urwanie głowy z tym Maciejewskim z Lublina, co rano wyjeżdżał

– Jakim Maciejewskim?

– Nieważne, dość że nie od razu połączyłem fakty. Dopiero mnie natchnęło, jak żeś o złocie powiedział. Wtedy się zorientowałem. Ten Piórkowski wypadł z berlińskiego pociągu. To akrobata i pajęczarz. Przeczytałem nawet i pomyślałem, że marnie skończył i tyle. Dalej się nad tym nie zastanawiałem, ale wszystko wskazuje na to, że on okradł niemiecki sejf, rozumiesz? Znaczy, że się da...

– Jemu się nie udało.

– To trzeba znaleźć takich, co im się uda!

Fischer był najwyraźniej pewny swego, ale Mikołajewskiemu informacja o poznaniaku, który okradł niemiecki pociąg, najwyraźniej niezbyt była w smak. Pomysł rzeczywiście był wykonalny, wagon można było okraść, ale skrócony kark mówił sam za siebie. Czy można aż tak bardzo narażać ludzi?

– Nie wiem, czy jesteśmy w stanie to zrobić. Nawet jak wyciągniemy te papiery i jeśli jakimś cudem je skopiujemy, to trzeba będzie z tego wagonu wyskoczyć. A jaki jest efekt skakania, sam widzisz.

– A może nie wyskakiwać, a wysiąść?

– Bzdura. Gdzie? W Schneidemühl?



– A kto tak powiedział? – W oku Fischera najwyraźniej zapalił się jakiś diabelski ognek.

– Mów, do cholery, co ci chodzi po głowie – zniecierpliwił się Mikołajewski.

– To proste. Możemy przecież cały pociąg zatrzymać jeszcze u nas, przed granicą.

– Bzdura. Te pociągi jeżdżą bez przystanków na stacjach.

– A kto mówi o stacji? Możemy go zwolnić ze względu na remont torów!

Mikołajewski spojrział na Fischera, przez chwilę analizując to, co usłyszał, i zaraz potem na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– A niechże cię jasna cholera, Antoni. Niech cię diabli, to się może udać!

– To się uda! – stwierdził z pełnym przekonaniem Fischer, który wyglądał dziś niezbyt przekonująco. Nie dość że miał podbite oko, to jeszcze był nieogolony. Ale o ten zarost Mikołajewski nie zamierzał go pytać. Skoro się nie ogolił, to znaczy, że miał powód. Może chciał sobie zapuścić brodę?

## Godzina 5.50 po południu

Wywiadowca policyjny Seweryn Gil, ubrany jak zwykle w swoją najlepszą, kraciatą marynarkę, którą w każdej chwili i w odpowiednim momencie można było przewinąć na drugą stronę i wówczas stawała się marynarką szarą, bez właściwości wizualnych, rozejrzał się po sali i spokojnym krokiem ruszył do wolnego stolika. O tej popołudniowo-wieczornej porze znalezienie miejsca w niezwykle popularnej Esplanadzie było dość trudne, choć nie niemożliwe. To miejsce otwierano już o ósmej rano, by przyjmować zgłodniałych gości w obszernej śniadalni, oferującej doskonałą jajecznicę na kielbasie albo boczku, w zależności od upodobań. W południe zaś ruszała kawiarnia. W wielkiej sali, której okna z jednej strony wychodziły na ulicę 27 Grudnia, a z drugiej na plac Wolności, stało przynajmniej pięćdziesiąt okrągłych stolików, przykrytych białymi obrusami, przy których ustawiono po cztery

krzesła. Wszystkie meble wykonała wiedeńska fabryka o międzynarodowej renomie Thonet&Mundus. Nic dziwnego, właściciel Esplanady, Stanisław Majchrzak, był człowiekiem światowym, który znał się nie tylko na prowadzeniu kawiarni, ale także na poważnych interesach. To on właśnie wykupił z rąk niemieckich słynną chodzieską fabrykę fajansów, dzięki czemu goszczącym tu miłośnikom kawy i herbaty podawano napoje w najlepszej polskiej porcelanie. W pogodne letnie dni można było się nimi raczyć na rozległym tarasie, obserwując przy tym uliczny ruch. Po południu zaś do Esplanady schodzili się miłośnicy tytoniu i mocnych trunków, które w wielkim wyborze oferował bar połączony z salą bilardową.

Tu właściwie zawsze było tłoczno, bo do położonej w samym centrum kawiarni przychodzili ludzie, którzy spotykali się w interesach, załatwiwszy swoje sprawy w pobliskich bankach – Kasie Oszczędności Kwileckiego i Potockiego czy Warszawskim Banku Handlowym, a także obciążone różnymi pakunkami i torbami panie, które wracały z zakupów z pobliskich domów towarowych i składów konfekcyjnych. Z tyłu, za budynkiem, na wprost usadowionego przy narożniku ulicy Rzeczypospolitej wielkiego gmachu Banku Spółek Zarobkowych, ozdobionego na szczycie elektrycznym zegarem bez tarczy, który zamiast wskazówek wyświetlał godziny w sposób cyfrowy, znajdował się parking, gdzie na wracających do domu czekały dorożki i taksówki.

Wywiadowca Gil rzadko korzystał z dorożek, bo nie lubił niepotrzebnie wydawać pieniędzy. A taksówkami nigdy nie jeździł, bo jakoś nie miał zaufania do samochodów. Po mieście poruszał się tramwajami, którymi można było w Poznaniu dojechać wszędzie. Właśnie na przystanku na wprost okna, przy którym rozsiadł się Gil, zatrzymała się zielona, dwuwagonowa jedyńka, która podążała niedawno wybudowanym torem od placu Wolności wprost na Stary Rynek i dalej przez Chwaliszewo ku Ostrowi Tumskiemu. Policjant z ciekawością patrzył na wysiadających i wsiadających, ale kątem oka obserwował też sąsiedni stolik, przy którym siedział mężczyzna w sile wieku, ubrany w porządny dwurzędowy garnitur w kolorze stali, w białe prążki. Nieskazitelnie białą koszulę zapinał

pod szyją niebieski krawat w białe grochy. Na nogach miał czarne buty, do których ściśle przylegały kremowe getry. Drogo i bez fasonu, pomyślał Gil, który nie był znawcą mody, jednak wiedział dobrze, że nie łączy się kółek z paskami.

– Co szanowny pan sobie winszuje? – zapytał młody kelner w śnieżnobiałej koszuli i czarnej kamizelce.

– Sernik wiedeński i czarną kawę poproszę. – Gil nie musiał się zastanawiać. Kiedy przychodził do Esplanady, zawsze brał to samo, bo sernik mieli tu najlepszy w mieście. Kelner skłonił się i podszedł do stolika obok, by odebrać zamówienie, ale mężczyzna w krawacie w groszki odgonił go zniecierpliwionym ruchem ręki. Widać z kimś się umówił, a to oznaczało, że wreszcie Gil doczeka się jakiegoś urozmaicenia w swojej dzisiejszej wywiadowczej robocie. Bo przez pół dnia nie robił niczego ciekawego. Tak jak nakazał mu Oskierko, ruszył za wskazaną osobą i pół dnia spędził na sterczeniu w kamienicy niedaleko Prezydium Policji. Tam bowiem doprowadził go człowiek, którego przemaglował aspirant. Gdy tylko mężczyzna wyszedł z policyjnego budynku, od razu skierował się w stronę pobliskiego placu Nowomiejskiego, tam skręcił w prawo, by zaraz wejść w wiodącą ku Staremu Rynkowi Pocztową. Gil nawet się ucieszył z tego kierunku, bo tam zawsze działo się coś ciekawego. Nie dane mu było jednak dotrzeć na rynek, bo śledzony obiekt skręcił do kamienicy na rogu Krętej, więc Gil przyśpieszył, by zobaczyć, do którego mieszkania zmierza. Ale na drodze stanął mu cieć z miotłą w dłoni, ubrany w roboczy fartuch i wojskową, podoficerską pruską czapkę bez daszka.

– A pan szanowny to w jakiej sprawie niby tu się kręci? – spojrzał na Gila z góry, co nie było trudne, bo wywiadowca brzuch miał wielki, podbródek podwójny, świadczący o solidności persony, ale za to wzrostu był nikczemnego. Jego melonik, choć wysoki, nie był w stanie nadrobić skromności podarunku od Stwórcy, który jednym dawał hojnie nawet i dwa metry, podczas gdy innym skąpił kilku centymetrów. O Gilu złośliwcy mówili, że siedzący pies jest wyższy od niego, ale wywiadowca już dawno przestał się tym przejmować, bo wiedział, że niski wzrost w jego wywiadowczej robocie to

prawdziwy atut, gdyż mało który ze śledzonych przez niego przestępców potrafił się zorientować, że ktoś mu depta po piętach.

– Nastąp się, łachudro niemyta, bo cię zaraz wsadzą do kozy za utrudnianie policji pracy. – Machnął cieciami policyjną blachą, przytwierdzoną do skórzanego paska, i zaraz schował ją do kieszeni.

– Pan oficer wybaczą, bo tu się kręci tyle szuszwolstwa, że człowiek musi być czujny, żeby czego nie ukradli.

– Nazwisko wasze!

– Moje?

– Nie, świętego tureckiego, derwisza z gołą dupą.

– A... moje to będzie Wilhelm Kajzerek, syn Gustawa.

– No to słuchajcie, Kajzerek, ten gość, co tu weszedł przed chwilą, to znacie go?

– Jaki gość?

– No ten w ancugu[45] wew prążki.

– A, ten, to nie żaden gość.

– A co o nim wiecie?

– To jest pan Büllow. On tu mieszka. A na imię to ma Zygfryd, a na nazwisko Büllow. I jest to Niemiec, co po wojnie, jak tu nastąpiła Polska, to nie wyjechał, ino się tu został, bo odkupił od drugiego Niemca fabrykę czekolady, co to jest na Jeżycach. I jego właśnie okradli dwa dni temu.

– Kto go okradł? – zapytał podchwytliwie Gil, ale Kajzerek nie dał się złapać na krętactwie.

– Jak to kto? No przecie wiadomo, że złodzieje. Jak pana Büllowa nie było w chacie, weszli tam i wynieśli, co się dało. A dziś rano, jak pan przyjechał do domu, bo był u żony i dzieciaków, co to pojechali na wieś na letnisko, to zaraz poleciał na policję złożyć zawiadomienie, że jego okradli. I dopiero teraz się wrócił.

– Czyli że policja jeszcze nie wiedziała o włamaniu?

– Wczoraj ześmy z policją ujęli wew współpracy jednego włamywacza. Aleśmy nie stwierdzili, co zginęło, bo nikt do mieszkania bez właściciela nie śmiał wchodzić. I pan policjant, co tu był, nakazał słać do pana Büllowa telegram, że było włamanie, żeby się wrócił i zgłosił, co ukradli.

– To wy nie weszliście do chaty po tym ujęciu złodzieja?

Kajzerek pokręcił szybko głową. Gil od razu zauważył, że zrobił to nazbyt gwałtownie, i domyślił się, że chce w ten sposób odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia. Ale nie ze starym Gilem takie sztuczki, pomyślał wywiadowca, który już swoje wiedział. Od razu się zorientował, że ten cieć to śliski gość, któremu niejedno już się do paluchów przykleiło.

– No to idziemy – zakomenderował Gil, który potrafił wyczuć fałsz na kilometr.

– Gdzie? – zdziwił się Kajzerek.

– No jak gdzie? Tu niedaleczko. Na Młyńską.

– Jak na Młyńską? Niby po co?

– Taki stary, a taki głupi. To nie wiecie, że na Młyńskiej wsadza się do więzienia złodziei.

– Ale ja nie złodziej.

– A kto?

– Ja stróż.

– Co wy mi tu pierdolicie, Kajzerek? Myślicie, że ja nie wiem, że żeby pójść na juchtę do chaty, to trzeba mieć sztamę z cieciem?

– Ja nie mam żadnej sztamy! – jęknął rozpaczliwie Kajzerek. Znaczący się złodzieje nie mieli sztamy ze mną.

– Tak? A powiedzieliście mi, że złodzieje wynieśli wszystko, co się dało, a potem, że złapano złodzieja na gorącym uczynku. To jak mógł ten złodziej coś wynieść? A poza tym powiadaliście złodzieje, czyli było ich kilku, a złapano jednego, czyli kręcicie jak stary kataryniarz. I co powiecie na to?

– A co mam powiedzieć. Ja tam nic nie wiem. – Kajzerek wił się jak piskorz.

– W takim razie pokażcie mi waszą piwniczkę, składzik na węgiel i co tam jeszcze macie pod sobą i do czego macie dostępność. – Wskazał na kółko przytroczone do paska, na którym dyndało ze dwadzieścia kluczy. – Każdy kluczyczek dopasujemy do odpowiedniej dziurki, sprawdzimy wszystko po kolei i dokładnie, a jak jakiś znajdzie się bez drzwi, to jeszcze dziś staniesz przed sądem za współudział. No chyba że wszystko mi tu zaraz wyśpiewasz.

No i Kajzerek po raz drugi wydał bandę Tolka Grubińskiego. Pierwszy raz z chciwości, a drugi z czystego strachu, bo chciwość

skończyła się definitywnie, kiedy otworzył drzwi do swojej służbowej komórki na miotły i szpadle, wypełnionej po brzegi łupami wyniesionymi z mieszkania Büllowa.

Okradzony fabrykant przez pół dnia siedział w domu, podliczając swoje straty, ale w końcu kilka minut po piątej wyszedł z kamienicy w kierunku Esplanady. Wywiadowca podążył jego śladem. Widać było, że Niemiec się śpieszy, bo Gil musiał co kilka metrów podbiegać do przodu, by nadążyć za śledzonym. Ten po przyjsciu do kawiarni usiadł przy stoliku i zastygł w oczekiwaniu. Policjant tymczasem zdążył zjeść sernik wiedeński, wypić kawę, przyrzyć się pasażerom czterech kolejnych tramwajów, by w końcu z wyraźnym zainteresowaniem ocenić urodę niezwykle powabnej blondynki, ubranej w niewielki kapelusz z bardzo skromnym rondem ozdobionym puszystym piórkiem, kremową garsonkę i takiegoż koloru spódnicę, odsłaniającą połowę łydki. Kobieta przepłynęła koło Gila, rozsnuwając wokół siebie eter seksapilu zmieszany z konwaliowymi perfumami, i zatrzymała się przy stoliku Büllowa. Niemiec natychmiast poderwał się na równe nogi, podszedł do krzesła obok i odsunął je. Kobieta usiadła. Jej towarzysz tymczasem sięgnął do kieszeni marynarki i wydobył grubą kopertę. Podał ją kobiecie, a ta, nie przyglądając jej się specjalnie, wrzuciła ją do lnianej torby, wypełnionej zakupami. Büllow skłonił się po wojskowemu i skierował ku wyjściu. Gil zauważył, że kobieta skinęła na kelnera, który zaraz podszedł do stolika.

Wywiadowca tymczasem przez krótką chwilę zastanawiał się, co teraz powinien zrobić, zostać w Esplanadzie, czy pójść za Büllowem? Wybrał tę bardziej atrakcyjną możliwość. Spojrzał na stół w głębi sali, przy którym siedział wspomagający go z daleka wywiadowca Krause. Ruchem głowy wskazał mu wychodzącego przemysłowca. Krause położył na blacie kilka drobnych monet, wstał i ruszył za Niemcem. Gil tymczasem dalej obserwował przejeżdżające tramwaje, kątem oka zerkając na powabną blondynkę. Naraz dostrzegł jakiś ruch. Czyżby Büllow powrócił? Popatrzył w tamtym kierunku i zdziwił się niepomierne. Do stolika podszedł mężczyzna, ale wcale nie ten, który siedział tu przed momentem. Ten by młodszy

i znacznie przystojniejszy. Gil znał go doskonale. Tym człowiekiem był kapitan Feliks Mikołajewski, szef miejscowej komórki kontrwywiadu...

[44] Juchta (gwar.) – kradzież.

[45] Ancug (gwar.) – garnitur.

## Rozdział VIII

Wtorek

23 lipca

Godzina 7.30 rano

Anastazy Olkiewicz nie miał dziś dobrego dnia. Nie dość że go suszyło po wczorajszym picciu, to jeszcze pękała mu głowa. Normalnie, gdy po spożyciu zbyt dużej ilości wódki popitej piwem poczułby ból w skroniach, wziąłby kogutka[46] i popił wodą. Ale ten ból był inny i wódka nie miała z nim nic wspólnego. Jego bolała cała czaszka po tym, jak ten bandzior rąbnał go kolbą rewolweru dokładnie w sam czubek łysiny. Olkiewicz nie tylko źle się czuł, ale i wyglądał niezbyt wyjściowo, bo musieli mu ogolić resztę włosów, żeby lekarz mógł założyć pięć szwów na pękniętej skórze i potem wszystko zakleić plastrami. Dlatego postanowił, że nie będzie ściągał z głowy kapelusza, żeby nikt się z niego nie śmiał. W lustrze jego opatrunek wyglądał naprawdę zabawnie, tak jakby mu na samym czubku głowy wyrosła dodatkowa fałda skórna.

– Czemuś wczoraj nie przyszedł? – spytał po zabiegu doktor Tchórzewski, którego Olkiewicz pamiętał jeszcze z czasów wojny bolszewickiej, kiedy ten był lekarzem w ich szpitalu polowym.

– Myślałem, że plasterek wystarczy.

– Całe szczęście, że nie zrobił ci dziury w tej durnej łepetynie.

– Może by i chciał, ale mu się nie udało – stwierdził tonem nieco chełpliwym Anastazy, który przypadkiem uderzył głową w rękę



zabójcy po tym, jak ten z zimną krwią wypalił do Tolka Grubińskiego.

Tego, co działo się chwilę potem, policjant nie pamiętał, bo stracił przytomność. Pomógł mu Feliksiak, którego nie było na sali, gdy doszło do strzelaniny. Wpadł tam zaraz po jatce, usłyszawszy strzały. Gdy zobaczył, co się stało, podniósł Tolka z ławy i ułożył na długim stole. Olkiewicza, któremu wracała już przytomność, posadził na krześle. W końcu wyrzucił na zewnątrz wszystkich pijaków, żeby bez potrzeby nikt się nie plątał pod nogami, a swojego pomocnika, młodego Henia Palucha posłał, żeby ten zaweźwał ambulans lekarski. Wraz z sanitariuszami przyjechali też policjanci. Ale tych wziął na siebie Olkiewicz, który powoli odzyskiwał zmysły.

– Ja tu już prowadzę dochodzenie policyjne. A wy oba, jak chcecie pomóc, to stańcie przy drzwiach, żeby nikt tu nieproszony nie włąził, zanim nie przesłucha się wszystkich – wyjaśnił, ocierając zalaną krwią głowę mokrym ręcznikiem, który przyniósł mu Feliksiak.

– Dobrze by było, panie Olkiewicz, żebyś pan do szpitala pojechał, bo skóra pęknięta na łbie i kość nawet widać.

– Najpierw muszę okoliczności przeświecić – odburknął i przywołał do siebie młodego bufetowego.

– Ten, co strzelał, to ty wiesz, kto to był?

– Ja jego nie znam, ale pryncypał będzie wiedział – wskazał na Feliksiaka, który wyszedł właśnie z zaplecza, gotów pomóc w śledztwie całą swoją bufetową wiedzą.

– Panie Feliksiak, pozwól pan tutaj. – Olkiewicz, który rozsiadł się przy ławie pod oknem, wskazał właścicielowi miejsce naprzeciwko siebie. – A i daj pan jaką ćwiartkę, bo mi tak we łbie łupie, że zaraz się obalę.

– Dawaj no flaszkę, Henio – polecił Feliksiak, a sam zasiadł na wskazanym miejscu.

– Wiesz pan, kto to strzelał? – zapytał Anastazy, ocierając szmatką głowę, bo znów krew spłynęła mu na skroń.

– Nie wiem, pod Bogiem. – Restaurator uderzył się wielką jak bochen chleba dłonią w pierś. – Ale jakbym wiedział, tobym go, o tak, chycił i łeb oderwał.

– To był ten, co tu z panem Tolkiem się dogadywał. – Henio postawił butelkę i dwie szklanki na stole.

– Która? – zdziwił się Feliksiak, bo rzeczywiście nie miał pojęcia, o kim mowa.

– No parę dni temu był tutaj u pana i chciał się z panem Tolkiem spiknąć, i szef go umówił.

– Taki w marynarce w prążki?

– Ten sam – potwierdził chłopak.

– Znaczy się, że pan go znasz? – Olkiewicz spojrzał na właściciela baru uważnie, bo już poczuł zew krwi.

Feliksiak pokręcił głową.

– Nie znam za dobrze gnoja, ale wiem, że jest kamerdynerem gdzieś na Pocztovej. Chciał się spotykać, że niby, wiesz pan, panie Anastazy... – Tu pochylił się nieco, jakby się bał, że ktoś podsłucha. Dwaj policjanci siedzieli przy drzwiach i zajęci byli piwem, które przyniósł im w kuflach Henio, sanitariusze już dawno wynieśli Tolka do karetki i odjechali do szpitala, więc w gospodzie nie było nikogo więcej. Pochylony zaczął jednak mówić szeptem, bo o takich sprawach głośno nigdy nikt nie mówił.

– Miał dla Tolka zlecenie, znaczy się robotę. No to się dogadali. Ale gdzie i jaką, tego ja już nie wiem, bo to nie mój interes. Pan wie, że ja tylko grzecznościowo przekazuję pewne sprawy dalej, żeby byle gdzie nie utknęły i żeby się byle łachudra za fuchę nie wzięła. Bo pan wie, jakie szuszwole się biorą do roboty? Takie, co to myślą, że wszystko im wolno. Wiara z biedy całkiem głupieje i o porządnych fachowców trudno. A Tolek Grubiński to najlepszy fachura w mieście.

Olkiewicz pokiwał głową, ale nie za mocno, bo bolało go coraz bardziej.

– Znaczy się zlecił mu gość robotę i później przyszedł mu odstrzelić łeb? – domyślił się policjant. – Ino że ja jednego nie rozumiem. Jeśli kto zleca, to Tolek wykonuje i potem się z wszystkiego rozlicza z tym, z którym się dogadał. Bo każdy wie, że on jest honorowy i uczciwy złodziej. To czemu się z tym facetem nie rozliczył?

– Gość się musiał poczuć oszukany – stwierdził Feliksiak, a Anastazy się z nim zgodził. Tyle że był przekonany, że zaszło jakieś

nieporozumienie, bo nieuczciwe zagrywki nie były w stylu Grubińskiego.

Naraz drzwi do knajpy otworzyły się z impetem i do środka wpadła jak burza szczupła brunetka, ubrana w skromną, długą, czarną sukienkę, przypominającą nieco krojem suknie zakonne. Jednak nie była to żadna zakonnica. Nie miała na głowie zakonnego czepka, a jej długie włosy były spięte wstążką w koński ogon. Dwaj policjanci natychmiast podnieśli się z taboretów, próbując zagrozić jej drogę. Ale nie dali rady. Żaden z nich nie mógł przecież wypuścić z dłoni pełnego kufła ani tym bardziej go odrzucić, bo szkoda było doskonałego świeżego piwa. Ona tymczasem przemknęła między nimi i podbiegła do ciała leżącego na podłodze. Spojrzała na nie i zaraz odwróciła się do mężczyzn siedzących przy ławie. Rozpoznała obu. Oni też ją znali.

– Gdzie jest Tolek, panie Olkiewicz? – zapytała ostrym tonem, wyciągając oskarżycielsko rękę w kierunku Anastazego.

– Pani Grubińska, do szpitala go powieźli.

– A co się stało?

– Postrzelił go jakiś skurwysyn – wyjaśnił rzeczowo Feliksiak.

– Dlaczego?

– Nie wiem, ale się dowiem i wypatroszę gnoja. – Olkiewicz wstał z miejsca i powiedział to tak, jakby meldował się swojemu dowódcy.

– Spod ziemi go wykopię i zabiję jak psa.

Grubińska podeszła do stołu i usiadła na stojącym z boku taborecie. Feliksiak zrobił to, co umiał najlepiej. Nalał jej wódki do szklanki i podsunął naczynie. Chwyciła je i wypła jednym haustem i nawet się nie zakrztusiła. Tylko łzy zaczęły jej płynąć po policzkach.

– Przeżyje? – zapytała, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

– Dostał w płuco. Przeżyje – zawyrokował Olkiewicz.

Chwyciła jego dłoń i pocałowała.

– Bogu dzięki!

– Coś pani zwariowała? – Anastazy wyszarpał rękę. – Nie mnie dziękować ani Bogu, ale temu biedakowi, co nas uratował. – Wskazał na ciało leżące na podłodze. – A Tolek przeżyje, bo musi i tyle. A ja przeżyłem, żeby go pomścić. Racha musi być zrobiona – stwierdził, a potem kolejny raz tego dnia stracił przytomność...

Godzina 9.30 przed południem

Kasa ogniotrwała była sprytnie umieszczona w jednym z filarów biurka. Na pierwszy rzut oka wcale jej nie było widać. Dopiero gdy otworzyło się szafkę po lewej stronie, za nią ukazywała się pancerna ściana z cyfrowym, obrotowym zamkiem. Mikołajewski sam ustawił sobie szyfr otwierający drzwi, taki, którego nigdy w życiu by nie zapomniał, a jednocześnie nie byłby oczywisty dla złodzieja. 1919, czyli rok, w którym przybył do Poznania, przysłany tu przez Sztab Generalny w Warszawie, by tworzyć przy wojskach powstańczych zręby wojskowego wywiadu i kontrwywiadu. Ta data stanowiła dla niego przełom, bo ze zwykłego żołnierza, oddanego całym sercem swojemu legionowemu dowódcy, stał się oficerem do zadań specjalnych. Wtedy nikt nie powiedział mu, co i jak ma robić, i tak pozostało do dziś. W swojej poznańskiej placówce, obejmującej obszar pogranicza polsko-niemieckiego, miał nieskończone możliwości działania i jednocześnie wolną rękę w podejmowaniu decyzji. Dlatego postanowił, że Marlena zostanie u niego w domu tak długo, jak będzie to konieczne. Musiał tę sytuację umiejętnie rozegrać, tyle że jeszcze nie wiedział jak. Na razie korzystał ze wszystkich wdzięków, które oferowała mu jako kochanka, a korzyści wywiadowcze odsunęły się w naturalny sposób na plan dalszy.

– Gdzie jesteś, kochany? – zawołała z sypialni.

– Zaraz wracam, zaraz, muszę tylko coś sprawdzić. Takie tam papierkowe sprawy. Zaraz do ciebie wracam, moja piękna... – Wiedział, że kasa jest praktycznie nie do otwarcia dla kogoś, kto nie znał szyfru, ale gdy się obudził, od razu przypomniał sobie o istnieniu tego niezwykle użytecznego mebla i od tej chwili nie dawał mu on spokoju. Musiał więc pójść i sprawdzić, mimo że nie było możliwości, by Marlena poradziła sobie z szyfrem. Zresztą nawet nie miała kiedy. Wczoraj wieczorem, gdy przyszli do mieszkania, zdążyli zaledwie wypić butelkę wina i zaraz wylądowali w łóżku. Później zrobili sobie przerwę na wspólną kąpiel i kolejną butelkę, no i za chwilę zrobiło się widno. Gdyby więc miała sprawdzić jego sejf,

musiałaby to zrobić wtedy, kiedy spał. Ale on miał nadzwyczaj czujny sen. Nie, to kompletna bzdura, zganił samego siebie.

Pochylił się i wybrał właściwą kombinację cyfr. Drzwiczki się otworzyły. Zajrzał do środka. Teczka z dokumentami leżała nienaruszona.

– Gdzie jesteś, najdroższy?

– Już idę, muszę tylko jeszcze coś zrobić. Czekać na mnie.

– Czy ty chcesz, żebym tu umarła z tęsknoty?

– Poczekaj cierpliwie, a zaraz ci to wynagrodzę.

– Tak? A w jaki sposób?

– A w jaki byś chciała?

– W taki jak wczoraj.

– Nie mamy już całej nocy przed sobą.

– To zrobimy to samo, ale zdecydowanie szybciej i mocniej.

– Chcesz mnie pozbawić wszystkich sił.

– Tak, tego właśnie chcę. No chodźże już tu do mnie, bo więdnę z tęsknoty.

– Już idę do ciebie, kochana.

– Chcę się do ciebie przytulić...

Poczuł przyjemne mrowienie w dolnej partii brzucha. Otworzył teczkę i zaczął przekładać znajdujące się w niej papiery. Po chwili zadowolony z siebie skończył i ponownie ją zawiązał. Odłożył akta na półkę w kasie pancерnej i już chciał zamknąć drzwiczki, gdy naraz przyszedł mu do głowy pewien prosty pomysł. Spojrzał na poję swojego bawełnianego szlafroka. U dołu, w obszyciu, wystawał skrawek czarnej nitki. Szarpnął i udało mu się ją wyrwać. Ostrożnie położył nitkę na górnej krawędzi drzwiczek sejfu, tak by nieco wystawała, ale z zewnątrz nie była widoczna, i wtedy dopiero przymknął kasę. Pułapka na włamywacza była gotowa. Zamknął jeszcze drzwi od drewnianej szafki biurka, która ukrywała sejf, i już chciał się podnieść, gdy naraz ujrzał w drzwiach prawdziwą Wenus, która wyglądała, jakby ktoś wyjął ją wprost z ram obrazu Botticellego. Brakowało tylko muszli, na której powinna była stać, no i morskiej piany.

– Boże, aleś ty piękna – wyrwało mu się.

– U nas się mówi, że Niemki są najpiękniejsze na świecie, ale nie wiem, ile w tym prawdy.

– To najszczerza prawda, a ja jestem prawdziwym szczęściarzem.

– Gdybyś nie był taki przystojny, to pewnie wcale byśmy się ze sobą nie zetknęli. – Podeszła i usiadła mu na kolanach. Objął ją wpół, a ona przywarła do niego ustami. Przez chwilę trwali w tym miłosnym uścisku, ale krzesło z twardym drewnianym oparciem nie było najlepszym miejscem do uprawiania miłości, nawet z boginią.

– Chodźmy do łóżka – powiedział, przerywając namiętny pocałunek.

– A po coś ty w ogóle tu przyszedł? – Spojrzała na pusty blat biurka.

– Chciałem przestudiować pewne papiery.

– Jakie papiery?

– Bzdury. Służbowe. Przecież nie pójdę dziś do pracy przez ciebie. Ale muszę być na bieżąco. – Kłamał jak z nut.

– Czy moje ciało nie jest ciekawsze od jakichś głupich papierów? – zapytała, spoglądając na niego zalotnie.

– Oddałbym za nie wszystkie papiery świata.

Zeskoczyła z jego kolan, usiadła na brzegu biurka, a potem położyła się na blacie.

– Chodź, mój miły, i przestudiuj każdą literkę mojego ciała.

Natychmiast zapomniał o tych wszystkich szpiegowskich bzdurach. Teraz liczyła się tylko ona i cudowne krągłości. Chwycił Marlenę za łydki, podniósł je, a potem wszedł w nią delikatnie i ostrożnie, jak odkrywca badający nowy, nieznaną świat. Jęknęła z rozkoszy, gdy zaczął poruszać się w tę i z powrotem powoli, bez niepotrzebnego pośpiechu, by sycić się każdym, najdrobniejszym nawet muśnięciem. Po chwili ich oddechy zaczęły współbrzmieć, zespalać się ze sobą, a ciała powoli stawały się jednym organizmem, poruszającym się raz za razem w rytmie wyznaczanym przez rozkoszne jęki, tworzące melodię miłosnej pieśni. A ta z każdą chwilą stawała się coraz głośniejsza, coraz wyrazistsza i coraz bardziej oddalona od realnego świata, wiodąc oboje do miejsca, w którym miłość staje się wzajemnym oddaniem, a w końcu zapomnieniem.

Krzyk rozkoszy, który rozdarł ciszę, był jak dopełnienie miłosnego aktu. Zmęczony opadł na nią, a Marlena przywarła do niego, mocno go obejmując.

– Kocham cię – szepnęła mu do ucha.

– Kocham cię – powtórzył jak echo.

– Co teraz będzie? – zapytała.

– Będę cię zawsze kochał.

– I ja ciebie, mój najdroższy.

– A co z nimi?

– Nie liczą się. Tylko ty się liczysz.

– Ale oni...

– Nic nie mów. Nic nie mów, proszę...

Nie chciał nic powiedzieć. Chciał, żeby ta chwila trwała jak najdłużej i by nic jej nie przerwało, by nastrój, w którym byli oboje, uniósł ich i pozwolił odpłynąć gdzieś daleko, gdzie nie ma innych ludzi, gdzie wszystko jest szczęściem. Ale jak to w życiu bywa, w najwspanialsze momenty ludzkich uniesień wkrada się zwykle szara rzeczywistość, na którą nikt nie potrafi znaleźć rady, zdaje się czyhać tuż za rogiem, żeby w najmniej spodziewanej chwili pokazać swój byle jaki pysk.

Pukanie było zdecydowane, mocne i natarczywe. Tak walili do drzwi tylko jego podwładni. Ale który to z nich przyszedł nieproszony, tego Mikołajewski nie wiedział. Nie rozpoznawał ich po łomotaniu. Obaj robili to dokładnie tak samo – pięścią, byle skutecznie.

– Panie kapitanie, pan otworzy, bo sprawa jest pilna jak jasna cholera. – Teraz poznał po głosie, że to Zielonka.

– Idź, proszę, do sypialni. Muszę z nim pogadać.

– Powiedział do ciebie „kapitanie”?

– Stare dzieje. Był ze mną w wojsku.

– Nie mówiłeś, że byłeś kapitanem. Walczyłeś na wojnie?

– Mieliśmy ostatnio kilka.

Zeskoczyła z biurka na podłogę i powoli poszła, a raczej przepłynęła przez gabinet, by po chwili zniknąć za drzwiami sypialni. Mikołajewski tymczasem owinął się szczelnie szlafrokiem i ruszył do przedpokoju.

– Już idę – zawołał, zatrzymał się jednak koło łazienki i podniósł z podłogi porzucone tam wczoraj w pośpiechu spodnie. Wciągnął je na siebie i od razu poczuł się nieco pewniej. Podszedł do drzwi, zdjął łańcuch i przekręcił klucz w zamku.

– Co się wydzierasz od rana? – Spiorunował podwładnego spojrzeniem, ale ten wcale się nie przejął. Wiedział dobrze, że to złość na pokaz, bo Mikołajewski nie potrafił się złościć. Nie ten charakter, żeby wpadać w pasję z byle powodu.

– Melduję, panie kapitanie...

– Cicho, do cholery, bo nie jestem sam.

Zielonka wzruszył ramionami. W ogóle się tym nie przejął.

– No to melduję, że bym nie przyłaził, jakby pan kapitan nie wyłączył telefonu.

Prawda, przypomniał sobie, że wczoraj wyciągnął wtyczkę z gniazdka, żeby mu nikt głowy nie zawracał.

– Dzwonili my od rana, bo pan Fischer zadzwonił, że Tolek Grubiński został postrzelony.

– Co? O jasna cholera!

– Postrzał w pierś, przestrzelone płuco, stan zadowolający. Lekarz mówi, że się wylize.

– A niech go jasna cholera weźmie! Przy postrzale w płuco on będzie niezdolny do niczego przez dwa, trzy miesiące. Skąd ja teraz wezmę...

– Pan Fischer powiada, żeby się pan nie martwił, bo już ma wszystko przemyślane i jest zastępstwo. Więc musi pan przyjść jak najszybciej do niego, bo chce wszystko obgadać.

Od razu zrozumiał, że ta sprawa nie mogła czekać, a kobieta jak najbardziej. W końcu taki już był los oblubienic rycerzy, że musiały wyglądać wybrańców swojego serca, aż ci wrócą z wojny. A przecież to była wojna.

Godzina 12.55 po południu

Fischer z podbitym okiem i nieogolony wyglądał dość dziwnie. Ale ten właśnie wygląd postanowił wykorzystać, by jak najskuteczniej



przeprowadzić swoją akcję. Podbite oko, pamiątka po walce z Filipiakami, dodawało mu wiarygodności. A niedbały zarost sprawiał wrażenie, że rzeczywiście dopiero co opuścił więzienną celę.

Także ubranie było dobrane odpowiednio do roli, jaką miał odgrywać. Oskierko wynalazł mu w magazynie poprzecierane w kilku miejscach czarne spodnie wraz z kamizelką i poszarzałą koszulę bez kołnierzyka. Brązowa marynarka, z podszytymi w łokciach łatami, kompletnie nie pasowała do reszty, dzięki czemu komisarz wyglądał jak zredukowany kancelista. Fryzurę miał nieco za porządną, bo Fischer dbał o swoje włosy i do fryzjera chodził przynajmniej co dwa tygodnie. Dlatego, by ukryć ten szczegół, wcisnął na głowę o numer za duży, zdefasonowany kapelusz.

– A te lompę to po co? – Komisarz wskazał na drugi komplet ubrań.

– Melduję, że to dla mnie – odpowiedział Oskierko, jakby to było zupełnie oczywiste.

– Nigdzie nie pójdziesz. – Fischer nie miał zamiaru zabierać ze sobą dodatkowego śledczego, bo sprawa nie wydawała się wcale skomplikowana. Zamierzał tylko pójść pod adres podany na grypsie od zabójcy śpiewaczki. Podejrzał, że ten, kto mieszka pod tym adresem na Wildzie, doprowadzi go do zbiega. Tym bardziej że od niedzieli, czyli od dnia, w którym Krzysztof Dąb-Załużski zniknął z aresztu, minęły już dwa dni. Niewykluczone, że zaszył się w mieszkaniu osoby, do której miał tyle zaufania, że odważył się wysłać do niej list z więzienia, nie wiedząc jeszcze, że za chwilę uda mu się uciec. Komisarz liczył, że dzięki wizycie będzie mógł się czegoś dowiedzieć o zbiegu albo zatrzymać go na miejscu. Do tego pomoc Oskierki nie była mu potrzebna.

– Przydam się, panie komisarzu, choćby po to, żeby poczekać na pana na ulicy.

– I co tam będziesz robił? Będziesz stał jak złodziej na świecy.

– A choćby. A jakby się co stało?

– A co się może stać? Przecież ja nie idę robić obławy na bandytów, tylko chcę pochwycić desperata, który zapewne z szaleńczej miłości zastrzelił bogu ducha winną kobietę.

– Właśnie, desperata. On może być niebezpieczny. Sam pan powiedział, że to desperat.

To chyba ostatecznie przekonało Fischera. Machnął ręką i wskazał na ciuchy.

– No dobra. Ubieraj się.

Na twarzy młodego policjanta pojawił się szeroki uśmiech. Pomyślał, że na pewno się przyda, a jeśli Fischer znajdzie się w tarapatkach, to on, jak to kawaleria ma w zwyczaju, przyjdzie mu z odsieczą i uratuje dowódcę z opresji.

Komisarz miał nadzieję, że szybko załatwi sprawę i potem znajdzie trochę czasu, by wpaść do szpitala i odwiedzić Grubińskiego. Wcześniej wysłał tam Okonia, żeby przyprowadził mu tutaj młodego Brodziaka. Olkiewicz zameldował mu bowiem, że na szpitalnym korytarzu siedzi cała banda, czekając, aż Tolek dojdzie do siebie. Kilka minut przed dziewiątą chłopak stał już przed nim.

– Jak się czuje Grubiński? – zapytał piegowatego rudzielca z kraciastym kaszkietem w rękach.

– Śpi cały czas i charczy. Ale lekarz powiada, że da se radę i będzie żył – odpowiedział zgodnie z prawdą Zenuś, pomocnik Tolka, który od niego uczył się ślusarskiego fachu.

– To dobrze, bardzo dobrze. – Komisarz wziął do ręki swoją wiśniową fajkę i zaczął ją starannie nabijać tytoniem. – A Kaźmierczaki co na to? – zapytał, spoglądając na półprzytomnego Olkiewicza, który siedział na krześle przy kawowym stoliku.

– Siedzą na korytarzu i czekają.

– Na co?

– Aż się Tolek ocknie i powie im, kto go postrzelił.

– A nie wystarczy im, że ty wiesz, kto to zrobił? – zdziwił się Fischer.

– Oni muszą się dowiedzieć od Tolka, żeby on im pozwolił działać. Bez jego zgody palcem nie kiwną – wyjaśnił Olkiewicz.

– A jakby Tolek... – Nie chciał wymówić tego słowa, żeby nie zapeszyć.

– Jakby on wyciągnął kopyta, to inna sprawa. Wtedy by na zgodę szefa nie czekali, tylko gnoja już dawno rozsmarowali na ulicy.

– Pan Tolek musi się zgodzić – potwierdził Zenuś, który dobrze wiedział, jak działa prawo zemsty w szemranym świecie. Mogli go dopaść, ale musieli z tym zaczekać, aż poszkodowany da zgodę. Bo przecież on sam mógłby mieć przyjemność, jak wyzdrowieje.

– A ty, Zenuś, już wyuczony? – zapytał chłopaka Fischer.

– W jakiej kwestii?

– W kwestii kasowej.

Wzruszył ramionami. Bo i co niby miał powiedzieć policjantowi i do tego jeszcze komisarzowi. Że uczy się już otwierać kasy na słuch, a te z kluczami to dla niego bułka z masłem?

– Tak jakby – stwierdził skromnie.

– No to dobrze, bo widzisz, pan Tolek miał do wykonania bardzo ważną robotę. Czyli już był zakontraktowany, ale teraz nic z tego nie będzie. A robota pilna, z otwieraniem zamków i kas się wiąże. Więc potrzebny jest specjalista, co to pana Tolka godnie zastąpi. I ja nie wiem tylko, czy dasz sobie radę, bo to robota wymagająca najwyższych kwalifikacji.

Fischer spojrzał chłopakowi w oczy. Wiedział, że gra trochę nie fair, bo wziął go pod włos i wjechał mu na ambicję. No ale nie miał przecież innego wyjścia. Ambitny plan kapitana Mikołajewskiego musiał być zrealizowany, a być może jedyną osobą, która mogła zastąpić Tolka, był jego pomocnik.

– Ja se dam ze wszystkim radę – oświadczył pewnie Zenuś. Komisarz pokiwał głową z uznaniem.

– To idź teraz poczekać na korytarz, a jak przyjdzie tu kapitan Mikołajewski, to on ci wszystko objaśni i cię zabierze.

– Gdzie niby zabierze?

– No do wojska.

– Ja do wojska? – Chłopak był autentycznie zdziwiony.

– Nie na stałe, tylko do tej roboty. Ale jak ci się spodoba, to kto wie, może i generałem zostaniesz.

Mikołajewski długo się nie zastanawiał. Pomysł Fischera z zastąpieniem starego wygi młodzieńcem i do tego takim, co wyglądał na sprawnego i gibkiego, przyjął z pocałowaniem ręki. Dodatkowo policjant znalazł mu jeszcze dwóch ochotników do akcji,

którzy doskonale nadawali się do tej roboty i zgodzili się pomóc, bo dostali propozycję nie do odrzucenia – albo sąd i wyrok skazujący, albo udział w niezwykle doniosłym przedsięwzięciu. Kapitan zabrał więc całą trójkę do koszar na Golęcynie, gdzie jeszcze tego samego dnia mieli zostać wcieleni do wojska, przebrani w mundury i ostrzyżeni na wojskową modłę, żeby nie rzucać się niepotrzebnie w oczy innym przebywającym w koszarach żołnierzom. Czwarty, bardzo ważny członek zespołu był na miejscu już od wczoraj. Przekonał go do udziału w akcji wywiadowca Gil, choć do końca sam nie wiedział, w co pakuje swojego znajomego. Tak więc Mikołajewski miał już ludzi, teraz musiał ich tylko wyszkolić. Gdy już te wszystkie sprawy niecierpiące zwłoki zostały należycie poukładane, Fischer mógł zająć się sprawą zbiegłego zabójcy.

Dwaj przebierańcy pojechali na Wildę tramwajem. Wysiedli na przystanku przed wydziałem antropologicznym Poznańskiego Uniwersytetu, który miał swoją siedzibę tuż za Rynkiem Wildeckim. Do ulicy generała Chłapowskiego musieli dostać się pieszo, ale na szczęście było to już całkiem niedaleko.

Kamienica, której szukali, wznosiła się po prawej stronie ulicy. Przez bramę weszli na niezbyt ciekawe podwórko, zabudowane drewnianymi szopkami na węgiel i drewno. Mieszkanie pod numerem trzecim musiało znajdować się w oficynie po lewej. Innej tu nie było, bo sąsiednie kamienice odwróciły się do tego miejsca swoimi ceglanyimi plecami, tworząc w ten sposób ponurą studnię, do której południowe promienie słoneczne wpadały tylko na chwilę.

– Ty tu zaczekasz. – Fischer wskazał Oskierce ławeczkę. Siedział na niej jakiś dziadyga wygrzewający się na słońcu. Na kolanach miał rudego kocura, który na przybyszy spoglądał z właściwą tym zwierzętom obojętnością.

– Tutaj mieszka pan Górka? – zapytał Fischer starca.

– Na drugim kiju – rzucił dziad.

– Jest w domu?

– Nie opowiadał mi się, ale chyba jest w chacie i ten jego kuzyn, co to przyjechał niby z żoną, ale tej żony to już kilka dni nie ma, a kuzyn taki więcej szykowny. A potem, jeszcze wczoraj, przeleciał

taki jeden ze złamanym kinolem. Jak tam wczoraj polazł, to jeszcze nie wyłożył. Znaczy się pewnie se gorzołę piją, bo co by mieli innego robić?

– To się przekonamy, co to za menażeria. Siedź tu i nie ruszaj się – polecił Fischer swojemu podkomendnemu. Ten, zajmując miejsce na ławce, przepłoszył kota, który uciekł, miaucząc niezadowolony.

– A ćmiki macie?

– Daj mu zapalić. Zasłużył – nakazał jeszcze Oskierce, a sam wszedł do ciemnego korytarzyka, w którym śmierzdziało z piwnicy zgniłymi ziemniakami, zastała kiszona kapusta i kocimi szczynami.

Po skrzypiących ze starości schodach ruszył powoli na górę, zastanawiając się, czy to przypadkiem nie jest jakieś fatum. Bo ile w ciągu kilku dni trafiło mu się facetów z przetrąconym nosem? Dobrze swoją drogą, że ten Maciejewski z Lublina już pojechał, bo gdy ten tam, na dole, powiedział o mężczyźnie bez nosa, to zaraz stanął mu przed oczami obraz kolegi policjanta. Nie, przecież to niemożliwe, żeby wrócił i nagle znalazł się w tym mieszkaniu. Po chwili Fischer stał już przed jedynymi drzwiami na podeście drugiego piętra. Nie było co się zastanawiać. Zapukał energicznie, a po chwili usłyszał zbliżające się kroki.

Godzina 1.00 po południu

Na widok kasy Zenusiowi zachciało się śmiać. To była zwykła szafka wbudowana w górną część stołu pocztowego, wzmocniona metalowymi drzwiczkami, osadzonymi w drewnianej ramie. Drzwiczki były otwarte, a wewnątrz zamka tkwił klucz. Zenuś wyciągnął go i zaczął mu się uważnie przyglądać.

– No i co, dasz se radę? – zapytał stojący za jego plecami ogniomistrz Fornalczyk.

– Bułka z masłem, panie sierżancie.

– Ogniomistrzu, synku, ogniomistrzu. Sierżant to jest w piechocie, a my żeśmy są artyleria – poprawił go podoficer, najwyraźniej wyczulony w kwestii tytułów. Zenuś nie miał o nich zielonego pojęcia, bo w wojsku służył dopiero od dwóch godzin. I liczył na to,

że ta służba potrwa niezbyt długo, ponieważ wcale nie zamierzał najlepszych lat swojego życia spędzić w mundurze. W końcu nie był żadnym wojakiem, ale uczciwym złodziejem i członkiem złodziejskiej bandy, która tylko na chwilę zawiesiła swoją działalność z powodu zranienia jej szefa. No i teraz on musiał stanąć na wysokości zadania i szefa Tolka zastąpić najlepiej, jak umie. Na szczęście okazało się, że sprawa jest tak prosta, że aż śmieszna. Otwarcie takiego zamka w zwykłej kasie kolejowej nie zajmie mu więcej niż dwie, może trzy minuty. Teraz miał cały zamek rozłożyć na części, żeby przyjrzeć się, jak funkcjonuje mechanizm.

– Tak jest, panie ogniomistrzu. Ja jeszcze nieobyty zez wojskiem. Dopiero mnie wcielili.

– To się ucz pilnie, to może i ty ogniomistrzem zostaniesz, jak żeś taki wyuczony. Bo mnie major Jażdżewski powiadał, żeś jest specjalista wysokiej klasy i dlatego cię do armii wzięli. Prawda to?

– Niby prawda. Ja tam nie wiem, w czym rzecz, ale kazali założyć mundur, tom założył. A co do specjalisty, to prawda jest taka, że ja terminuję u najlepszego w Poznaniu mistrza, co w kasach robi.

– No proszę, to znaczy się, że masz fach w ręce. A co to za fach, znaczy jak się nazywa?

Zenuś miał już na końcu języka, że jest kasiarzem, ale na szczęście w porę się zreflektował, że podoficer nie musi wszystkiego o nim wiedzieć. Zresztą tak mu powiedział ten major, który przyjmował go do armii.

– My tu, chłopie, robimy takie rzeczy, o których się ludziom nie śniło. Dlatego nie możesz sobie chodzić po koszarach w cywilnych ciuchach. Od teraz musisz wyglądać tak jak wszyscy inni żołnierze. O tym, co będziesz robił tak naprawdę, to wiem tylko ja. Nawet twój bezpośredni dowódca, ogniomistrz Fornalczyk, nie będzie do końca wtajemniczony. A i ty nawet nie będziesz wiedział wszystkiego, bo wiedzieć nie musisz. Najważniejsze, żebyś miał świadomość, że Ojczyźnie kochanej służymy wszyscy jak najlepiej i właściwie to cały czas jesteśmy na wojnie.

– Jak to na wojnie? Przecie wojna już dawno się skończyła.

Jażdżewski pokręcił głową.

– Nie dla nas, bo my cały czas walczyliśmy z Niemcem i z bolszewikiem walczyliśmy. I w każdej chwili możemy zarobić kulę w łeb. Tu się nikt nie patyczkuje z wrogiem. A zadania nasze są tak niebezpieczne, jak na normalnej wojnie.

– Jakie zadania?

– To tajemnica. Na razie twoje zadanie jest takie, że o tej kasie pancерnej, do której cię zaprowadzą, musisz wiedzieć wszystko. Nawet to, ile ma śrubek w środku.

Po tej rozmowie pełniący służbę szeregowy zaprowadził go do fryzjera, gdzie go ogolono na głacę. Protestował, ale wojskowy obcinacz włosów nic sobie z tego nie robił, przyzwyczajony do pretensji poborowych. Tu zgodnie z rozkazami najwyższego dowództwa obowiązywał tylko jeden styl fryzur. Golono żołnierzy przychodzących do koszar do gołej skóry, a włosy natychmiast palono, żeby uniknąć rozprzestrzeniania się wszawicy. Bo wszy były problemem, z którym ludzie sobie nie radzili, szczególnie na wsi, wśród biednych robotników rolnych. Armia znalazła na to sposób tylko dzięki skrupulatnemu wypełnianiu zaleceń sanitarnych, które nakazywały golić rekruta do gołej skóry we wszystkich zarośniętych miejscach, a zawszawioną odzież natychmiast wrzucać do pieca.

Fryzjer nie stwierdził u Zenusia nieproszonych gości, więc pozwolono mu ubranie spakować w szary papier, przewiązać sznurkiem i zaadresować do wysłania. Wtedy dopiero chłopak uzmysłowił sobie, że dał się zaciągnąć do armii, nie informując o tym fakcie mamy, która będzie pewnie go szukać. A ten oficer, który go tu przywiózł, powiedział, że w mundurze będzie przynajmniej przez miesiąc. Wcale mu się to nie podobało, jednak myślał, że będzie wykonywał jakąś ważną robotę w zastępstwie Tolka, sprawiała, że czuł nawet odrobinę dumy. W tej sytuacji musiał zacisnąć zęby i przetrwać ten trudny czas. A co do mamy sprawa była prosta. W najbliższym czasie, najlepiej w nocy, jak już wszyscy pójdą spać, przelezie przez płot, pobiegnie do domu, powie mamie, że został żołnierzem, a potem niezauważony przez nikogo wróci. Na razie jednak musiał pokazać temu sierżantowi, nie... ogniomistrzowi, na co go stać.

Rozłożył na pocztowym stole, przyczepionym solidnie do podłogi i do ściany wagonu za pomocą mocnych śrub, kilka śrubokrętów, podłużnych szpikulców, młotek i kombinerki. Ten sprzęt przyniesiono mu z wojskowego warsztatu, żeby wybrał sobie to, co będzie mu przydatne. Wystarczyło rzucić okiem, by dokonać błyskawicznej selekcji. Odłożył odpowiednie narzędzia, a pozostałe wrzucił do stolarskiej skrzynki.

– Jestem ślusarz, panie ogniomistrzu – powiedział z odrobiną dumy w głosie. W zasadzie to powiedział prawdę, bo terminując u Tolka, zajmował się ślusarką. Przecież dorabianie kluczy, dopasowywanie ich do zamków i rozkładanie mechanizmów na najmniejsze elementy było czystą ślusarką.

– O, proszę, ślusarz to jest poważna robota. Trzeba mieć we łbie dobrze wszystkie klepki poukładane, żeby taką pracę wykonywać. Ja na ten przykład, zanim do wojska poszedłem, tom się zajmował trochę stolarką. I teraz to stolarstwo się w koszarach przydaje. Bo dzięki temu, że umiem coś zmajstrować, od razu mnie zauważyli oficerowie i proszę, już po dziesięciu latach służby mam na pagonach sierżanckie krokwie. A jak ty będziesz sprytny, to też się podoficera dosłużysz. Pod warunkiem, że na zawodowego zostaniesz w wojsku.

– No to ja nie wiem, czy ja się zostanę.

– A gdzie ci będzie lepiej? Tam, za płotem, ciągle wiara traci robotę, a u nas co miesiąc państwo płaci bez ociągania terminowo. Armia dba o swoich ludzi, nie dość że żołd daje, to jeszcze daje żonatom mieszkania, jedzenie i od stóp do głów ubierze. Wojsko to jest najlepsza firma pod słońcem. Oczywiście pod warunkiem, że nie ma wojny.

– O, a ten zamek to się tak otwiera. – Włożył śrubokręt w szparę tylnej ścianki i szybko odkręcił jedną śrubkę, potem drugą, a gdy trzecia wypadła na zewnątrz, przesunął cały mechanizm w bok i zamek wyszedł z drzwiczek. Położył go przed sobą i od razu zaczął go otwierać, rozkręcając kolejne śrubki. Zaciekawiony ogniomistrz pochylił się nad nim, żeby sprawdzić, czy młodzieniec rzeczywiście wie, co robi.



– A skrócić będziesz umiał?

– Co mam nie umieć. To proste, tylko trzeba wiedzieć, co do czego przychodzi i z czym się łączy.

– A ty wiesz?

– Nie takie zamki się rozkładało – rzucił zadowolony, bo z tym mechanizmem naprawdę nie było większego problemu. Te wzmocnione stalową blachą drzwiczki były wyposażone w banalnie łatwy mechanizm. Mógł on sprawić trudności zwykłemu złodziejowi, ale nie adeptowi sztuki kasiarskiej.

Porozkładał go więc na najdrobniejsze elementy, obserwowany przez cały czas przez podoficera, który spoglądał na jego sprawne ręce z prawdziwym podziwem.

– No to teraz go złożymy do kupy. Niech się pan patrzy.

I ogniomistrz patrzył, nie wierząc własnym oczom. Trzy minuty później zamek został powtórnie założony w drzwiach.

– No muszę powiedzieć, żeś ty jest utalentowany szczon. Jak w wojsku zostaniesz na stałe, to tobie dadzą wszystkie armaty do rychtowania. Roboty będziesz mieć do końca życia tyle, że się nie opędzisz. A u nas nie było dotąd dobrego ślusarza. Jak co bardziej złożonego w jakim armatnim zamku trzeba zrobić, to wołają do nas majstra z Ceglorza. A tu, proszę, teraz będziemy mieć swojego.

– Ja tam na armatach się nie znam.

– Jak kto na zamkach ode drzwi się wyznaje, to zamek armatni złoży i rozłoży jeszcze szybciej. Zobaczysz, o czym powiadam.

– Nie tak szybko, ogniomistrzu, Na razie to on jest tu potrzebny – odezwał się, wspinając się po schodkach do wagonu major Jażdżewski.

– Panie majorze, ogniomistrz Fornalczyk plus jeden melduje się na służbie. – Podoficer wyrecytował szybko meldunek i przyłożył dwa palce do daszka furazerki. Jażdżewski zasalutował.

– Zamki do armaty naprawić może kowal, a ten tu jest do precyzyjnej roboty. I jak mu idzie?

– Melduję, że to złota rączka. Rozłożył i złożył cały zamek do tej skrytki tak szybko, że anim się obejrzał.

– To dobrze, ale na rozkładanie i składanie to czasu mieć nie będziemy. Idzie o to, żeby otworzyć go bez rozbierania. Da się to

zrobić, szeregowy?

Zenuś wzruszył ramionami.

– Melduję, że wszystko się da. – Ku własnemu zdziwieniu zameldował, a nie odpowiedział. – Pan major popatrzy.

Zamknął drzwiczki skrytki kluczem. Położył go na blacie stołu, potem wziął do ręki gruby kawałek drutu i jego końcówkę zgiął za pomocą kombinerek. Spośród dostarczonych mu przedmiotów wyciągnął kawałek blachy, odciął z niej cienki pasek nożycami i wsunął w dziurkę, przytrzymując blaszkę na zewnątrz. Potem w wolną przestrzeń wcisnął spreparowany przez siebie drut z zagiętą końcówką. Przekręcił dwa razy w lewo i zamek zaklekotał. Wtedy wsunął drut mocniej i jeszcze raz obrócił. Drzwi od skrytki się otworzyły.

– Mówiłem, że diabeł, nie człowiek – ucieszył się ogniomistrz.

– Pierdolony! – stwierdził ktoś, kto stał za plecami majora.

Zenuś odwrócił się za siebie. Przy Jażdżewskim stało trzech mężczyzn, wszyscy tak jak on byli ogoleni na pałę. Byli starsi od niego i sprawiali wrażenie pewnych siebie. Zresztą żaden z nich nie był nowicjuszem. Brodziak od razu zauważył belki na ich pagonach, oznaczające, że są podoficerami.

– A to są trzej ostatni członkowie naszej niezwyklej drużyny. – Major wskazał tę trójkę. – Dwaj kaprale, którzy już służyli w wojsku podczas wojny, panowie Filipiakowie, mistrzowie w wolnoamerykańskim stylu walki, i pan plutonowy, również kombatant, Szymkowiak Romuald o pseudonimie Sprężyna, człowiek, który potrafi wcisnąć się w każdą dziurę. Za kilka tygodni wszyscy czterej będziecie stanowić najbardziej wytrenowany zespół w polskim wojsku, a nasi wrogowie już powinni się was bać.

Godzina 1.05 po południu

Zyga Maciejewski siedział w dość mało komfortowej pozycji. Bo czy można uznać za przyjemne siedzenie z nogami przywiązanymi do krzesła i rękoma skrępowanymi za plecionym siedzeniem? Było mu niewygodnie, w dłoniach już dawno stracił czucie, a nogi ścierpły

przynajmniej do kolan. Do tego jeszcze chciało mu się pić, ale o piciu nie było mowy, bo w usta miał wepchniętą jakąś starą, śmierdzącą szmatę. A wszystko przez to, że zachował się jak kompletny idiota. Gdyby był nieco bardziej rozsądny, właśnie w tej chwili kładłby się do łóżka w swoim lubelskim mieszkaniu, bo przecież po całonocnej podróży nie poszedłby do pracy, tylko odespałby niewygody. A tymczasem nie miał nawet pojęcia, gdzie się znajduje i z jakiego powodu. Choć jedno było pewne, nie był wcale bezpieczny, a jego życie wisiało na włosku.

Gdyby wczoraj pojechał normalnie do domu... Nie, jemu zachciało się wsuwać nos w nie swoje sprawy. A ta sprawa była od początku do końca śmierdząca. A on, niestety, był cholernym głupcem, durnym gliną. Był policjantem...

Gdy na tej małej poznańskiej stacyjce dostrzegł więźnia, o którym wiedział, że jest mordercą, postanowił działać. Mógł więc poprosić konduktora o pomoc. Wystarczyło, że pokazałby swoją blachę policyjną, a konduktor wiedziałby, jak postąpić. Na najbliższej stacji wysiadłby, poszedł do zawiadowcy i nakazałby, żeby ten zorganizował patrol policyjny, który wsiadłby do pociągu i wraz z nim aresztował zbiega. Taka była nawet jego pierwsza myśl. Już nawet chciał szukać konduktora, ale nie zdążył, bo Dąb-Załuski wysiadł na stacji w Swarzędzu. Zyga chwycił więc swoją walizkę i wyszedł na peron, zasłaniając twarz kapeluszem. Niepotrzebnie, bo mężczyzna wcale na niego nie patrzył. Podszedł do peronowej tablicy informacyjnej, gdzie za szkłem umieszczony był rozkład jazdy pociągów. Chwilę go studiował, a potem spojrzął na peronowy zegar i usiadł na ławce, tak jak inni oczekujący na pociąg. Zyga tymczasem poszedł do peronowego kiosku i kupił sobie piwo. Popijając je, cały czas obserwował mężczyznę. Gdy butelka była już pusta, chciał kupić drugą, bo oczekiwanie mu się sprzykrzyło, a piwo, całkiem zresztą niezłe, sprawiało, że czas nie płynął tak monotennie. I wtedy na peron wtoczył się pociąg osobowy zmierzający do Poznania. Pasażerowie ruszyli do wagonów szukać wolnych miejsc. Z tym mógł być pewien kłopot, bo lokomotywa ciągnęła tylko trzy wagony trzeciej klasy. Uciekinier wskoczył do środka, więc Zyga zrobił dokładnie to samo, tylko dwa przedziały dalej. Na szczęście stare wagony nie

miały ścianek działowych, takich jak te nowoczesne pulmanowskie, ale jedynie drewniane ławki z wieszakami i półkami na bagaże. Zyga stanął przy pionowej rurce, której mógł się trzymać w trakcie jazdy. Nie szukał miejsca do siedzenia, bo mógłby stracić z oczu mężczyznę, którego śledził. Facet usiadł tyłem do niego i widać było tylko czubek jego kapelusza.

Gdy pociąg ruszył, zaraz pojawił się konduktor, który sprzedawał bilety, przyjmując opłatę i nie wydając kartoników. Ludzie kładli mu do ręki po dwadzieścia groszy, a on wrzucał pieniądze do kieszeni swojego munduru. I wszyscy byli zadowoleni. Normalnie za bilet musieliby zapłacić czterdzieści groszy, a tak jechali do miasta za połowę ceny. Zyga, który ze zdziwieniem odkrył ten oszukańczy proceder, uśmiechnął się zadowolony. Po raz pierwszy bowiem w tym porządnym Poznańskim poczuł się jak w domu, gdzie każdy starał się oszukać każdego, byleby tylko trochę zarobić. Myślał dotąd, że tu wszyscy postępują zgodnie z przepisami, tymczasem okazało się, że tu też jest Polska.

– A pan szanowny dokąd jedzie? – zapytał go konduktor uprzejmym tonem.

– Do Poznania jadę.

– To dla pana będzie złotówka.

– Jak złotówka, jak inni płacą do kieszeni...

– Oj, nie obrażaj pan munduru urzędnika państwowego. Tu się łapówek nie przyjmuje – kłamał w żywe oczy konduktor. – Ale jak dla szanownego pana, możemy zrobić specjalny rabat, bo widzę i słyszę żeś pan nietutejszy. Znaczy daj pan pięćdziesiąt groszy i będzie rychtyk.

– Jak to, słysząc, że jestem nietutejszy?

– No bo tu się gada normalnie, a pan zaciągasz na wschodnią nutę. Ma się w końcu ten słuch, jak człowiek tak co dzień z ludźmi pogada. Od razu obcego wyczuje.

Zyga nigdy by nie przypuszczał, że mówi w dziwny sposób. To raczej tu, w Poznaniu, mówili tak jakoś twardo. Ale żeby on, mieszkaniec centralnej Polski, zaciągał, jakby był ze Lwowa? Machnął na to ręką. Wyjął monetę i podał konduktorowi. Ten

najwyraźniej zadowolony wsunął ją do kieszeni i ruszył dalej zbierać haracz od pasażerów. Biletu oczywiście mu nie wydał.

Pies z nim tańczył, pomyślał Zyga, który w zasadzie za to nierówne traktowanie powinien kolejarzowi obiść pysk, ale nie chciał wywoływać zamieszania, bo ten gość, którego śledził, mógł go przecież rozpoznać. Na szczęście facet nawet się nie obrócił. Zyga wpatrywał się więc w jego kapelusz, kombinując, o co tu właściwie chodzi? Zabójca wszedł bowiem do pociągu na obrzeżach Poznania, wysiadł na kolejnej stacji, a potem wskoczył do pociągu zmierzającego w przeciwnym kierunku. Nie mógł zrozumieć, po co był ten udawany wyjazd z miasta? Może w ten sposób chciał kogoś oszukać? Może ktoś go odprowadzał na pociąg i sprawdzał, czy odjedzie? No i odjechał, by zaraz potem wrócić. W końcu to przestępca, więc różne pomysły mogły mu siedzieć we łbie. Postanowił go wysledzić i aresztować, a potem zapakować się do następnego pociągu jadącego do Lublina i zapomnieć o tych wszystkich poznańskich przygodach.

Na razie jednak pociąg dojechał do Dworca Głównego w Poznaniu. Tłum ludzi zaczął wysypywać się na peron. Maciejewski ruszył za swoim obiektem. Ten, nie rozglądając się, poszedł szybkim krokiem do podziemnego przejścia, które wiodło porządnym, wyłożonym kremowymi kafelkami tunelem do kolejnych schodów, prowadzących do wyjścia na główny plac przed ceglastą fasadą dworcowego budynku. To tutaj ostatnio Zyga wsiadał do dorożki, która powiozła go do targowego hotelu. Ale tym razem nie dane mu było skorzystać z konnego transportu. Dąb-Załoski natychmiast ruszył na drugą stronę placu, gdzie stały taksówki. Zyga się skrzywił. Jeśli chciał go dalej śledzić, musiał wziąć drugą taksówkę. A wynajęcie auta było przynajmniej dwa razy droższe niż dorożki. No ale nie miał już wyjścia. Przecież nie powie później temu wielkiemu policjantowi z Poznania, Fischerowi, że przestał śledzić bandziora, bo mu było szkoda forsy na auto. Zresztą może powiedzieć komisarzowi, ile go ta eskapada kosztowała, i poprosić o zwrot pieniędzy.

Podszedł do taksówki, której kierowca stał oparty o maskę i palił papierosa.

– Dalej, panie, jedziemy! – zawołał Zyga, spoglądając na czarnego opła, którym odjeżdżał Załuski.

– Spokojnie, szanowny panie, nie pali się przecież.

– To jak się nie pali, to rzuć pan tego papierosa i dalej, bo ja nie mam czasu.

– Co za ludzie tu przyjeżdżają? Patrzcie się, państwo. Każdemu się śpieszy, a ty człowieku rękawy se wyrywaj, żeby każdego zadowolić. Już jadę! – Pociągnął jeszcze papierosa i nie wyrzucił go, ale pstryknął palcem w żarzącą się końcówkę, gasząc go w ten sposób. Papieros wypalony do połowy mógł się jeszcze przydać.

– To gdzie jedziemy? – zapytał, włączając silnik.

– Jedź pan za tym oplem, co właśnie odjechał.

– A pan co, policja czy jak?

– Nie gadaj tyle, gaźniku zapchany. Policja jestem, a tam jedzie bandzior. No dalej, ruszaj.

Szofer już bez zbędnych pytań wcisnął gaz i jego citroën pojechał za zbiegiem, stękając i kaszląc.

Dziesięć minut później auto zatrzymało się przy chodniku, po przeciwnej stronie ulicy, przy której stał opel. Załuski wysiadł z niego i wszedł do bramy kamienicy.

– Panie, co to za ulica? – zapytał Zyga kierowcy, podając mu pięciozłotową monetę.

– To będzie Chłapowskiego.

– A gdzie tu będzie Chłapowskiego 5A? – Przypomniał mu się adres z grypsu, który przekazał Fischerowi. Na pewno było tam zapisane 5A.

– Jak tu jest 5, to A będzie w oficynie.

– Dziękuję! – Wyskoczył z samochodu, zapominając o reszcie. Zostawił kierowcy całe pięćdziesiąt groszy, ale zupełnie się tym nie przejął. Pobiegł na drugą stronę brukowanej jezdni, do bramy kamienicy, w której zniknął Załuski. Na byle jakim podwórku nic się nie działo. Poza tym, że na ławce siedział jakiś dziad w cyklistówce i z rudym kotem na kolanach.

– Wchodził tu taki facet w czarnym kapeluszu i bordowej marynarce? – zapytał starca.

– Może i wchodził, a może i nie wchodził.

- To wchodził czy nie?
- A masz pan co palić?

Zyga nie miał zamiaru tracić czasu na zbędne gadanie. Wyciągnął paczkę i podał mu papierosa.

- A ogień?
- Jeszcze może mam za ciebie wypalić?
- Na drugi kij poszedł.
- Co?
- No przecie powiadam, drugi kij.

Jaki „kij”, do cholery? przeleciało mu przez głowę, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Miał dwa wyjścia. Albo pobiegnie gdzieś na ulicę szukać policyjnego patrolu, by mundurowi go wsparli, albo zaatakuje sam. Jeśli stąd pójdzie, to zawsze jest niebezpieczeństwo, że Załuski się ulotni. Trzeba było działać. Włożył rękę do kieszeni marynarki, tam gdzie schował prezent od Olkiewicza, niemieckie parabellum, piękny wojskowy rewolwer o rękojeści obłożonej czarnym, nacinanym w kratkę ebonitem. Był więc uzbrojony i mógł zacząć działać. Ależ się Fischer zdziwi, jak za chwilę przywiezie mu do Prezydium Policji pojmanego zabójcę. Kto wie, może gazety po raz kolejny o nim napiszą: „Policjant z Lublina, Zygmunt Maciejewski, znów w akcji. Nie pojechał do domu, bo natrafił na ślad groźnego przestępcy i aresztował go”. Już widział ten artykuł oczyma wyobraźni, wspinając się powoli po skrzypiących schodach, na których śmierdziało kocimi szczynami, pleśnią i tytoniowym dymem.

Godzina 1.10 po południu

- I jak tam? - Walek Kaźmierczak spojrział na młodszego brata, tak jakby ten miał wiedzę, która pozwoliłaby mu odpowiedzieć na wszystkie pytania.

- Powiada, że chyba jest w chacie.

Krystek był właśnie w kamienicy i pogadał z cieciami Kajzerkiem. Ten powiedział mu, że właściciel mieszkania jest sam i jak jest

w domu, to kamerdyner też musi być, bo inaczej być nie może, ponieważ pan nie dałby se rady sam.

Walek stał w bramie kamienicy po drugiej stronie ulicy i zastanawiał się, co powinien był teraz zrobić. Bo tak naprawdę nie miał zielonego pojęcia, jak się zachować. Gdyby tu z nim był Tolek, to sprawa wglądałaby zupełnie inaczej. Tolek by powiedział: „Idziemy, chłopaki” albo „Idźta, chłopaki” i wszystko byłoby jasne jak słońce. Bo to on zawsze podejmował decyzje za nich wszystkich. Walek tak się już do tego przyzwyczyił, że teraz poczuł się trochę jak karaś wyrzucony na piaszczystą rzeczną łacę przez bystry nurt. Może poruszać ogonem i poprężyć się, ale zdecydować, w którą stronę ruszyć, to już nie bardzo. Zresztą tę jego niepewność pogłębiała jeszcze uwierająca go myśl, że Tolek wcale by nie chciał, żeby oni za niego brali w obroty tego kamerdynera. Bo tak do końca nie było pewne, co on miał na myśli. Godzinę temu w szpitalu Walek był przekonany, że dobrze odczytał intencje szefa, ale teraz już wcale nie miał takiej pewności.

Gdy siedzieli na szpitalnym korytarzu, czekając na wieści o zdrowiu Tolka, w końcu drzwi od izolatki, w której kazał go umieścić Olkiewicz, otworzyły się i wyszedł z niej łysiejący lekarz w okularach oprawionych w srebrne, delikatne druty.

– Który to Walek jest? – zapytał doktor.

– Walek Kaźmierczak – przedstawił się, wstając z ławki.

– Olkiewicz powiadał, że jesteście jego najbliższym kolegą, to znaczy, że możecie tam wejść na chwilę i popatrzeć na niego. Tylko żebyście go nie męczyli jakimś gadaniem.

– Tak jest. Nie będę męczył – zadeklarował posłusznie.

– No to idźcie, bo jest przytomny, ale raczej nie będzie nic mówił.

– Tak jest. – Skłonił się i gdy lekarz odszedł, spojrzął na siedzących na ławce braci. Leon jak zwykle spał, bo miał już taką naturę, że zawsze, gdy tylko na coś czekali, on nie tracił czasu i natychmiast zasypiał. Krystek tymczasem czytał gazetę, którą ktoś zostawił na ławce. Ostatnio czytał coraz więcej, co niezmiernie dziwiło Walka, który za czytaniem specjalnie nie przepadał.



– To ja idę jakby co – wyjaśnił Walek, ale Leon nie otworzył nawet oczu, a zaczytany Krystek chyba w ogóle go nie usłyszał.

Podszedł do drzwi izolatki i nacisnął delikatnie klamkę. Zawiasy musiały być dobrze nasmarowane, bo nie wydały z siebie najmniejszego dźwięku, gdy wchodził do środka.

Tolek leżał pod oknem. Koc przykrywał mu tylko nogi i uda. Powyżej był rozebrany i dokładnie obandażowany. Klatka piersiowa unosiła się miarowo raz za razem, a oddech był świszczący. Nic dziwnego, pomyślał Walek, skoro w płucu ma dziurę jak w fujarce do grania. Na szczęście tylko jedną.

Przy łóżku na taborecie siedziała zapłakana Kryśka, która trzymała Tolka za rękę.

– Jak się czuje? – zapytał. Chciała coś odpowiedzieć, ale Tolek na dźwięk znajomego głosu od razu odwrócił głowę. Walek dostrzegł, że na jego ustach pojawia się jakiś grymas, który mógł być uśmiechem.

– Lekarz powiada, że będzie żył – wytłumaczyła Grubińska. – Ma ponoć silny organizm, więc da se radę.

– To dobrze, bardzo dobrze, bo ja jego się chciałem zapytać... – Popatrzył na Tolka i dostrzegłszy, że ten go widzi, podszedł bliżej. – My już wiemy, że do ciebie strzelał ten służący z kamienicy, co my w niej ostatnio chałupę... – Wolał przy Kryśce nie mówić całej prawdy, bo nie miał pojęcia, ile Tolek jej opowiadał na temat ich wspólnej pracy. – Co my tam te mieszkanie na Pocztovej przeprowadzali, znaczy, co my je czyścili.

Tolek skinął głową na znak, że rozumie.

– I wew związku z tym, jak ty se tu leżysz i odpoczywasz, to ja się chciałem zapytać, czy tego lokaja w międzyczasie, jak będziesz se tak leżał, czy by jego nie wziąć trochę na lewe sanki i czy od niego się czego nie dowiedzieć... No wiesz, w czym rzecz...

Kryśka najwyraźniej mu przeszkadzała w konwersacji. A sprawa była prosta do przekazania. Chciał zapytać, czy mogą już dziś obciąć mu wszystko, co nadaje się do obcięcia, czy też muszą z robotą czekać, na niego, żeby Tolek sam poodcinał. Takie było jego święte prawo, że to on powinien zemścić się sam na człowieku, który chciał go zabić. Ale przecież i trochę prawa do pomszczenia szefa mieli i oni, ludzie, którzy związali z nim cały swój złodziejski żywot.

Dlatego Tolek musiał teraz powiedzieć: „Róbcie, chłopaki, tego gnoja” albo też: „Nie róbcie, bo ja sam...”. Ale nic nie powiedział.

– To co, możemy onego trochę popytać o różne te, no, sprawy?

Tolek zamrugał oczami i głowa nieco opadła mu na piersi. A to mogło oznaczać tylko jedno, żeby czym prędzej brali się do roboty. Zadowolony Walek uśmiechnął się od ucha do ucha, bo już wiedział, że szef się zgadza, czyli że będzie mógł swoich dwóch braci zaprząć do roboty. Szkoda tylko, że tego Zenusia diabli gdzie ponieśli, boby się mógł przydać.

Skłonił się Grubińskiej i wyszedł na zewnątrz. Tym razem obaj bracia popatrzyli na niego wyczekująco.

– No taśćtać dupska, szczony! Idziemy do roboty! – rzucił i ruszył szybkim krokiem w kierunku schodów. Leon klepnął Krystka w kark i obaj poderwali się na równe nogi, zadowoleni, że wreszcie coś się dzieje.

I o ile idąc pod kamienicę na ulicę Pocztową, Walek był pewny swego, o tyle stojąc w bramie naprzeciwko, stracił nagle całą pewność. Ale to dlatego że chyba niepotrzebnie zaczął analizować sytuację. Może trzeba było od razu działać? Ta metoda najczęściej się sprawdzała.

– Czyli że stróż powiada, że służący musi być wew środku? – upewnił się jeszcze.

– No, tak gadał.

– To znaczy się, że co robimy? – zapytał Leon.

– To znaczy, że wchodzimy – zdecydował Walek. – Do roboty, chłopaki. Idziemy na górę.

Wszyscy trzej ruszyli szybkim krokiem przez jezdnię, gdy przejechał nią tramwaj zmierzający w kierunku placu Sapieżyńskiego. Weszli do bramy, w której stał stróż Kajzerek, oparty o kij miotły.

– Chodź ino tu! – zawołał go Walek. Ciec podbiegł natychmiast.

– My idziemy na górę, a ty pilnuj, jakby co. Tylko bez kombinowania! – polecił najstarszy Kaźmierczak.

– Jakby co, popilnuję – potwierdził gorliwie Kajzerek, na wszelki wypadek ściągając z głowy swoją wojskową czapkę. Kaźmierczakowie

ruszyli do góry szerokimi drewnianymi schodami. Po chwili byli już pod drzwiami mieszkania z numerem drugim. Dwaj starsi bracia stanęli z prawej i lewej strony drzwi. Krystek, jako że był najmłodszy, zdjął czapkę, tak żeby przez judasza widać było całą jego uczciwą twarz. Spojrzał na Walka, a ten skinął głową. Nadusił więc biały, porcelanowy przycisk, osadzony w okrągłej, ebonitowej oprawce. Rozległ się donośny dźwięk dzwonka elektrycznego. Zadowolony z efektu Krystek przycisnął jeszcze raz, ale zaraz dostał po łapie od brata. Dzwonek przecież nie był do zabawy. Po chwili usłyszeli jakieś odgłosy dochodzące z mieszkania. Ktoś szedł do drzwi wolnym krokiem.

– Co tam jest? – odezwał się ze środka.

– Przesyłka specjalna do pana Siegfrieda Büllowa! – zawołał głośno Krystek, naśladując gońców sklepowych, którzy dostarczali towary do domów.

– Nic nie było zamawiane – stwierdził ten zza drzwi.

– Ja tam nic nie wiem, ale na schodach nie zostawię, bo jeszcze kto zwinie.

– A co to jest?

– Paczka – odpowiedział rezolutnie młody Kaźmierczak.

– A od kogo?

– Zez sklepu kolonialnego na Gwarnej. Pachnie tytoniem.

– Poczekaj.

Usłyszeli dźwięk zdejmowanych łańcuchów, a potem zgrzyt zamka, w którym przekręcano klucz. Drzwi otworzyły się nieco i pojawiła się w nich okrągła głowa.

– Pokaż tę paczkę. No dalej, gdzie ją... – Mężczyzna nie zdążył skończyć, bo Leon chwycił skrzydło drzwi dwoma dłońmi i szarpnął je z całej siły. Nie były zabezpieczone łańcuchem, więc z łatwością otworzył, a trzymający drzwi poleciał do przodu wprost w objęcia Krystka. Ten chwycił go umiejętnie, nie pozwalając potoczyć się na schody, a Walek złapał go od tyłu i położył mu dłoń na ustach, uniemożliwiając wydanie jakiegokolwiek dźwięku. Od razu wepchnęli go do mieszkania, pociągnęli korytarzem w kierunku kuchni i powalili na podłogę. Leon tymczasem spokojnie wszedł do środka, zamknął drzwi na klucz i założył łańcuch.

– Pilnuj go – polecił Krystkowi Walek. – A ty, żebyś mi ani pisnął, bo poderżnę gardło. – Pokazał leżącemu swój ostry jak brzytwa sprężynowy nóż i natychmiast poderwał się z podłogi. Nie musiał mówić Leonowi, co ma robić, bo zawsze po wejściu do mieszkania robili to samo. Jeden sprawdzał pomieszczenia po prawej, a drugi po lewej. W kuchni nie było nikogo, w ubikacji pusto, w gabinecie nikogo, w salonie...

Walek stanął w drzwiach salonu i otworzył usta, zdumiony niezwykłym widokiem. Na sofie, na prawo od drzwi siedziała niezwykle piękna kobieta o blond włosach, ubrana w elegancką garsonkę i spódnicę, spod której widać było dwie zgrabne łydki. W dłoni odzianej w czarną, koronkową rękawiczkę trzymała szklaną lufkę, w którą wetknięty był tłący się papieros.

Po prawej wszystko puste – zameldował zza pleców Walka Leon i zaraz zamarł, dostrzegłszy tę zjawiskową piękność. – Ożeż ty w mordę szarpany – jęknął. – To chyba jakaś lepsza kurwa – stwierdził tonem pełnym podziwu dla niecodziennej urody siedzącej na sofie osoby. Nie widział nigdy piękniejszej kobiety.

[46] Kogutek – popularne proszki na ból głowy.

## Rozdział IX

Godzina 1.15 po południu

I naraz pojął, w czym rzecz z tymi pociągami, przesiadkami, zmianami kierunku podróży, wsiadaniem i wysiadaniem. Ten facet robił to, co powinien, bo był tak nauczony działać. Tak się zachowują szpiedzy, którzy sprawdzają, czy ktoś ich czasami nie śledzi. Jeżdżą w jedną i drugą stronę, przesiadają się z pociągu do pociągu, idą raz w jednym, raz w drugim kierunku, kluczą, zawracają i co chwila przystają przed sklepowymi witrynami, obserwując w szybach ulicę. Ten też po wyjściu z pociągu przystanął na chwilę przy przeszklonej tablicy informacyjnej, jakby chciał sprawdzić rozkład jazdy. A w rzeczywistości mógł w szybie jak w lustrze oglądać to, co dzieje się za nim na peronie. Może już wtedy dostrzegł, że jest śledzony przez Zygę? On cały czas rozgrywał grę, w którą Maciejewski dał się wciągnąć jak dziecko i której efekt wyglądał właśnie tak jak teraz on, czyli związany jak baleron i przywiązany do krzesła głupiec, który nie rozumiał w porę, co się dzieje.

Gdy wczoraj przyjechał tu taksówką, śledząc zbiegłego zabójcę, wszystko wydawało mu się proste. Wystarczyło wejść do mieszkania, przystawić facetowi pistolet do głowy, a potem związać mu ręce i zaprowadzić na komisariat. Plan był więc nieskomplikowany, czyli w zasadzie wcale go nie było.

Zapukał do drzwi lewą ręką, bo w prawej trzymał parabelkę. Zaraz usłyszał kroki. Otworzył mu przyzwoicie ubrany mężczyzna, który

niezbyt pasował do tego miejsca. W takiej czynszowej oficynie można się było spodziewać raczej jakiegoś śmierdzącego obwiesia z nieogoloną gębą. Ten natomiast miał powierzchowność osoby poruszającej się wśród ludzi zamożnych.

– Pan sobie czegoś życzy? – zapytał uprzejmie, uśmiechając się przy tym sympatycznie. To zbiło nieco z tropu Maciejewskiego, który był przekonany, że stanie przed nim jakiś gburowaty bandzior.

– Szukam pewnego człowieka – powiedziaławszy to, wyciągnął z kieszeni pistolet i odepchnął mężczyznę. Wszedł do środka i zaraz ruszył przez kuchnię do kolejnych drzwi, które musiały prowadzić do pokoju. Naraz usłyszał jakiś ruch za plecami, ale nie zdążył się nawet odwrócić. Potężne uderzenie w głowę sprawiło, że padł na podłogę pozbawiony przytomności.

Gdy się ocknął jakiś czas później, stwierdził ze zdziwieniem, że jest przywiązany do krzesła, a nogi i ręce ścierpły mu od postronków.

Jedynym pocieszeniem był fakt, że jeszcze żył. To mogło oznaczać, że miał jakąś szansę. Dlatego musiał spróbować ją wykorzystać. Jęknął więc najgłośniejszym głosem, jak umiał, żeby przywołać swoich przeciwników, ale bezskutecznie, bo nikt się nie pojawił. Spróbował więc jeszcze raz, ale również nie przyniosło to żadnego efektu.

Czyżby w tym ponurym miejscu zostawiono go samemu sobie? Bo mieszkanie, a przynajmniej ta część, którą mógł obejrzeć, nie sprawiało korzystnego wrażenia. Siedział w pokoju, który pełnił zapewne rolę salonu i jednocześnie sypialni, ponieważ na samym jego środku stał lichy stół sosnowy z poobdzieranym blatem, obłożonym strzępiącą się okleiną. Na prawo od niego były dwa okna wychodzące na podwórze, a pomiędzy nimi, przy ścianie, stała równie tania, co stół, szafonierka. Z tyłu, za plecami, miał szerokie, dwuosobowe łóżko, nad którym wisiał obraz przedstawiający świętego Józefa heblującego jakąś deskę, któremu w pracy pomagał syn jego żony. Ona tymczasem spoglądała na owce, które kręciły się obok jej nóg. Obraz, mimo że duży i osadzony w grubej ramie, nie miał właściwie żadnej wartości. Podobne oleodruki można było spotkać w większości poznańskich mieszkań, bo za kilka złotych sprzedawała je poznańska Księgarnia Świętego Wojciecha, ta, która zajęła cały parter dawnego niemieckiego hotelu De Rome.

Na wprost, przed nim, były drzwi, które prowadziły do kuchni albo innego pokoju. Wpatrywał się w nie coraz bardziej intensywnie, czekając na cokolwiek, jakiś ruch przeciwnika, który wyrwie go z tego długotrwałego marazmu. Ale nic się nie wydarzyło, nikt nie przyszedł, a on spędził na tym krześle całą noc, drzemiąc, budząc się i znów przysypiając.

Gdy następnego dnia rano drzwi się otworzyły, niemal się ucieszył na widok szczupłego i dobrze ubranego mężczyzny, tego samego, którego zobaczył, gdy zapukał do mieszkania. Elegant podszedł do stołu, odsunął sobie krzesło i usiadł, zwracając się twarzą do Zygi.

– Jak się spało, panie Maciejewski?

– Kurewsko przyjemnie – chciał odpowiedzieć Zyga, ale nie mógł wydać z siebie słowa, bo usta miał wciąż zakneblowane. Jęknął tylko, a człowiek siedzący po drugiej stronie stołu się uśmiechnął.

– Tak, tak, ja wiem, że pan nie może mówić z tą szmatą w zębach. Za chwilę ją wyciągnę pod warunkiem, że pan obieca nie krzyczeć. Nie powinniśmy niepotrzebnie niepokoić jakimiś dziwnymi odgłosami innych mieszkańców tej pięknej kamienicy. To co, zgadza się pan porozmawiać jak na kulturalnych ludzi przystało i się nie wydzierać?

Maciejewski skinął głową. Nie miał wyjścia. Musiał spełnić żądanie tego oślizgłego typa.

Mężczyzna podszedł do niego i wyszarpał mu knebel. Zyga ze świstem wciągnął powietrze w płuca. Nie pomyślał nigdy, że oddychanie pełną piersią może być tak przyjemne.

– Przynieś kubek wody dla naszego gościa – zawołał gospodarz w kierunku wpółotwartych drzwi. Chwilę potem pojawił się w nich facet ubrany w spodnie i podkoszulkę, z obandażowanym lewym ramieniem i dłonią podtrzymywaną na temblaku. Miał długie, rozczochrane włosy i nie wiedzieć czemu skojarzył się Zydze z szopem praczem, którego widział kiedyś na jakiejś gazetowej fotografii. W prawej, wypiełgnowanej dłoni trzymał aluminiowy kubek. Podszedł do Maciejewskiego, przyłożył mu krawędź do ust i powoli przechylił. Zyga wypił wszystko. Boże, ależ to cudowne uczucie napić się odrobinę zimnej wody, pomyślał. Człowiek wcale nie docenia takich niewielkich przyjemności.

– I co nam powiedział pan Maciejewski? – Rozczochrany spojrzał na swojego kompana.

– Jeszcze nic nie powiedział.

– No to najwyższy czas, żeby wyjaśnił nam swoje postępowanie. – Usiadł na krześle przy stole. Jęknął przy tym, gdy ramię przypadkowo zetknęło się z blatem. Skurwysyn jest ranny, pomyślał Maciejewski, dostrzegając na ramieniu niewielką plamkę krwi, która przesączała się przez bandaż. Ktoś go postrzelił całkiem niedawno

– Po co mnie tu trzymacie? – zapytał podkomisarz, czując, że powoli dochodzi do siebie. Gdyby nie ten ból nóg i rąk, to mógłby nawet powiedzieć, że czuje się nie najgorzej.

– Trzymamy pana, boś przyszedł w odwiedziny nieproszony i nie w porę, a do tego jeszcze wymachując pistoletem – wyjaśnił ten, który pierwszy pojawił się w pokoju. Mężczyzna o wyglądzie i manierach lokaja, oznaczył go w myślach Maciejewski. – Bo przyznam szczerze, że mieliśmy pewien dylemat. Nie wiedzieliśmy, co z panem począć. Od razu chcieliśmy pana zlikwidować jako człowieka znikąd, który nie wiadomo dlaczego tu przyszedł i w ogóle skąd się wziął. No ale teraz, gdy już wiemy, że jest pan z Lublina, co wynika niezbitnie z pańskich dokumentów, wszystko stało się dla mnie... prawie jasne. Więc żyje pan dlatego, że chyba zrozumiałem, skąd się pan tu wziął. Kluczowy jest ten Lublin. Bo nie chce pan chyba nas przekonywać, że trafił pan tu przez przypadek.

– Chyba pomyliłem mieszkania – rzucił Zyga, a obaj mężczyźni zaśmiali się w głos.

– Kawalarz z pana – stwierdził ten ranny.

– Właśnie, żarty się go trzymają – powiedział lokaj. – No więc powie nam pan wszystko, czyli jak Dwójka dowiedziała się o nas i w jaki sposób trafiliście tutaj. No i dlaczego pan tu wszedł sam. Czyżby pan chciał samodzielnie pochwalić się sukcesem, aresztując w dalekim Poznaniu bolszewickich szpiegów? Bo przecież nie takie macie procedury. Wpadając na trop, jak to wy nazywacie, „bolszewickiej jaczejki” albo śledzicie podejrzanych, albo aresztujecie ich. Tyle że na pewno nie w taki dyletancki sposób. Co oznacza, że jest pan albo idiotą, albo jest też niestychanie przebiegły. Ale jeśli jest tak w istocie, to chciałbym, żeby nam pan wyjaśnił swoje intencje. No



chyba że jest jeszcze jedna możliwość. I powiem szczerze, że ta ma swoje plusy i minusy. Być może wcale nie jest pan z polskiego wywiadu, ale przysłano pana z... Moskwy.

Maciejewski spoglądał na faceta, nie bardzo rozumiejąc, co ten mówi. To znaczy rozumiał doskonale każde słowo, ale przekaz był dość enigmatyczny. Bo o co mogło chodzić temu człowiekowi? Bolszewicka jacejka? To znaczy, że wdepnął w jakieś śmierdzące gówno. Tylko dlaczego? Przecież śledził tego zbiega Załuskiego, którego tu najwyraźniej nie było. Ale facet wchodził do tej kamienicy. Wszedł i się rozplątał, a on trafił na jego kumpli. A jeśli to nie byli jego kumple? Coś tu najwyraźniej się nie kleiło. Na razie musiał podjąć z nimi grę, tylko nie wiedział, co to za gra. Bo o jaką stawkę, to było całkiem jasne. Jeśli nie przekona ich do rozwiązania mu rąk i nóg, to go kropną i w ten sposób zakończy się niezbyt oszałamiająca kariera policyjna Zygmunta Maciejewskiego.

– Nie bardzo rozumiem, o co wam chodzi – rzucił, żeby w ogóle coś powiedzieć.

– No niech pan nie będzie głupcem, Maciejewski. Przecież to jasne jak słońce. Jeżeli jest pan na usługach polskiego wywiadu, to wszedł pan tutaj, bo liczył, że znajdzie tu plany mobilizacyjne, które znajdowały się w kasie pancерnej Büllowa, a które wcześniej wykradła swojemu kochankowi, kapitanowi Dąb-Załuskiemu, niemiecka agentka Maria Zieleniewska.

Ranny mężczyzna wierzchem dłoni otarł łzę, która naraz pojawiła mu się na policzku. Zyga dostrzegł to natychmiast. Lokaj również.

– Mój przyjaciel jest bardzo uczuciowy. Chyba nawet ją kochał.

– A tak, kochałem, bo była to czysta istota! – wyszło chał.

– Był jej akompaniatorem i tylko cudem uniknął śmierci z ręki zawiedzionego i okradzionego kochanka. Ona niestety zginęła, zanim zdążyliśmy przejąć dokumenty, a właściwie nie my, ale siedzący tu mój znajomy, Marcelli Zdziebło. Pośpieszyła się idiotka...

– Ona nie była idiotką. Miała kryształową duszę. Miała kłopoty finansowe. Oboje mieliśmy. Zrobiła to wszystko dla nas. A dusza jej była anielska.

– Duszę, którą sprzedała za niemieckie srebrniki. Jej kochanek kapitan zorientował się, co się stało, i postanowił wymierzyć

sprawiedliwość. Wpadł do radiowego studia i tam ją zastrzelił. Zrobił to jak prawdziwy idiota, który zaślepiiony miłością i zdradą nie liczy się z konsekwencjami. Bo zamordował ją, mając jakieś dwadzieścia tysięcy świadków.

– Wszyscy słyszeli jej krzyk. – Zdziebło znów otarł łzy spływające po policzkach.

– Musiałem odzyskać te plany i wydawało mi się, że sprawa będzie łatwa, bo od dwóch miesięcy pracowałem u rezydenta niemieckiego wywiadu Büllowa jako lokaj. Ale niestety nie natrafiła się żadna sposobność. Trzeba więc było działać szybko, bo do Büllowa po te dokumenty miała przyjechać łączniczka z Königsberga. I wtedy popełniłem błąd. Wynająłem do otwarcia sejfu miejscowych złodziei. Otworzyli, ale planów mi nie oddali. Postanowiłem więc zatrzeć ślady i zastrzeliłem tego kasiarza. No i to już właściwie wszystko. Poza jedną rzeczą. Poza tym, że nie mam pewności, czy jest pan pracownikiem polskiego wywiadu, czy też jest pan naszym łącznikiem z Moskwy, który miał przyjechać tu z Lublina po odbiór planów. Jeśli działa pan dla Dwójki, to trudno..., ale jeśli jest pan od nas, to zrozumiał pan już wszystko.

Maciejewski wciągnął głęboko powietrze. Teraz zaczynał pojmować, w czym rzecz. Dwójka, prowokacja, towarzysze... Ten facet był szpiegiem. I najlepsze w tym wszystkim, że traktował go jak agenta wywiadu, który prowadzi z nim jakąś grę. Nie miał więc wyjścia. Jeśli chciał przeżyć, musiał tę grę podjąć.

– Podziwiam tok pańskiego rozumowania – stwierdził z uznaniem w głosie i jednocześnie pewną nonszalancją.

– Mam rację?

– Poniekąd.

– I co w takim razie?

– W takim razie chyba nie mamy innego wyjścia. Musimy się dogadać.

Lokaj spojrział na swojego kolegę z uśmiechem. Tak jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”.

– Mam tylko jeden warunek, panie, jak pan się nazywa właściwie?

– Zyga spojrział mu w oczy.

– Moje nazwisko nie ma żadnego znaczenia. Ale nazywam się Piotr Górka. Jaki to warunek?

– Rozwiążcie mnie, dajcie mi papierosa i szklanę wódki.

Godzina 1.20 po południu

– Czego chcecie? – zapytała.

– Niech się paniusia nie boi. My jesteśmy ludzie światowe i kobiety nie skrzywdzimy, jak jest grzeczna. Więc siedź se pani cicho i ani mru-mru, bo jak nie, to będzie trzeba paniusię związać.

– Czy ludzie światowi wchodzą nieproszeni do cudzego mieszkania?

– Jak kto jest łajdak i morderca, to i się kurtularnym być przestaje. No, dawać go tu!

– To jest skandal! Za... za... za...raz na policję wszystko podam i wsadzą was do więzienia, wy bandyckie mordy.

– Zamknij się, pan szanowny, bo my nie wew jego sprawie tu przyszli, ino tego chudego. Gdzie jest chudy? – zapytał Walek, gdy Leon pchnął grubasa na sofę. Opadł na miejsce tuż obok pięknej kobiety, a sprężyny zamknięte wewnątrz mebla zajęczały jak potępiona dusza.

– Jaki chudy? – zapytał zdziwiony gospodarz, bo przecież żaden chudy tu nie mieszkał.

– To chyba pomyłka jest, panowie. – Naraz zrozumiał, o co im może chodzić. – To piętro wyżej. Tam mieszka profesor Mikołajko, taki chuderlak z długimi włosami. To o niego pewnie się rozchodzi. Taki w okularach i z wąsami.

– Nie o żadnego profesora się rozchodzi, co mieszka gdzie indziej, ino tego ścierwola, co to mieszka tutaj – wyjaśnił spokojnie Leon, cały czas wpatrując się w kobietę.

– Tu mieszkam ja i moja żona, i dzieci.

– To panienka jest żoną tego pana? – zapytał Walek.

– To jest moja znajoma – wyjaśnił gospodarz.

– A żona gdzie? – wypytywał dalej najstarszy z braci.

– Żona na lotnisko pojechała... A zresztą co to za przesłuchanie? Czego chcecie, pieniędzy?

– Pieniędzy to my mamy więcej niż ty, bo żeśmy ci całą kasę ogniotrwałą obrobili – pochwalił się Leon, a Walek z niedowierzaniem pokręcił głową. Jednak ten jego brat to był głupek.

– A więc to wy! No to już jest po was. Wszyscy wy zawiśnecie na szubienicy. Jakem Siegfried Büllow! Osobiście tego dopilnuję. Osobiście będę was wieszał na rzeźnickim haku, wy złodziejskie kreatury. Oddawać mi zaraz moje pieniądze! Słyszała pani? Będzie pani za świadka, że to oni się sami z własnej woli przyznali, że mnie okradli. Mnie i moje pieniądze!

– Zamknij się i gadaj zaraz – przerwał mu znużony tą gadaniną Walek, który zrozumiał, że musi przejąć inicjatywę. – Gadaj zaraz, gdzie jest ten chudy, co nam tę robotę u ciebie naraił.

– Jaki chudy?

– Ten, co jest twoim służącym.

– Moim służącym... zaraz, zaraz, chcecie mi powiedzieć, że mój służący, znaczy mój kamerdyner... Górka?

– Ten sam – potwierdził Walek, który nie wiedział, jak się nazywa kamerdyner, ale nie miało to dla niego większego znaczenia. Wiedział przecież, że to o tego faceta chodzi, bo to on właśnie zlecił robotę, a potem chciał zastrzelić Tolka.

– A to kanalia! Zdradził mnie, mimo że byłem dla niego taki dobry. Zabiję bydlaka, jak go dopadnę. Zabiję gnoja i oddam w ręce policji. Albo nie, własnymi rękami go uduszę i oderwę mu łeb. A wy czego od niego chcecie?

– Mniej więcej to samo, co szanowny pan – stwierdził najstarszy z braci.

– Chcecie go zabić?

– Nie inaczej.

– Słyszała pani? Oni chcą go zabić. Mój Boże, jest jeszcze sprawiedliwość na tym świecie. To wybornie. On zniknął, ale ja wiem, gdzie mieszka. On mieszka na ulicy Chłapowskiego, na Wildzie!

– Zaraz, bo czegoś tu nie rozumiem. – Kobieta spojrzała na gospodarza. – Czy to znaczy, że pański kamerdyner wynajął tych

rabusiów, żeby pana okradli?

– Na to wygląda, droga pani. I jak tu wierzyć ludziom.

– Ukradli wszystko, co było w kasie?

– No tak, wszystkie pieniądze.

– Ale nie ukradli...

– Nie, nie ma o czym mówić... – Büllow szybko wszedł jej w słowo.

– Dlaczego nie wzięliście papierów z kasy? Tam były papiery, a wyście je ot tak sobie zostawili?

– Po co nam jakieś papiery? – odparł wymijająco Walek, który wiedział, że Tolek musiał wrócić, by je oddać, i od tego zaczęły się wszystkie kłopoty. Bo tych papierów żądał od niego kamerdyner, a gdy Tolek powiedział mu, że ich nie ma, ten tak się wściekł, że go postanowił zastrzelić. No ale przecież nie zamierzał tego wszystkiego opowiadać jakiejś babie.

– A co się paniusia tak dopytuje? – nie wytrzymał Leon.

– Nie ciebie pytam, głupcze – prychnęła i odwróciła się do Walka.

– Kurewka, a jaka pyskata – nie dawał za wygraną Leon, który poczuł się zlekceważony. – Stara wyjechała na wywczasy, a ten se sprowadził dziewczynkę. A panienka to ile bierze za wyruchanie?

Tego nie mógł się spodziewać. Najwyraźniej nie spodobało się jej to, co powiedział, bo naraz poderwała się z miejsca, przyskoczyła do niego jak tygrysica i zaatakowała. Ale nie po kobiecemu, z pazurami do oczu, ani nawet nie zabrała się za wyrywanie włosów. Dłonią zaciśniętą w pięść wyprowadziła od dołu taki cios, którego nie powstydziliby się niejeden bokser. Niezbyt wielka, za to mocna i koścista pięść wylądowała pod brodą Leona, który miał dużo szczęścia, że jego język nie tkwił między zębami, boby został odcięty. Żuchwa za to zgrzytnęła niebezpiecznie, a ból mało nie rozłupał mu czaszki. Nim ktokolwiek się zorientował, co się dzieje, lewa ręka wylądowała na jego nosie i to był ostateczny koniec podziwiania wdzięków pięknej kobiety w wykonaniu średniego z braci Kaźmierczaków, który przewrócił się na plecy, trzymając się za rozbity nos.

– Jeszcze raz, gnoju, nazwiesz mnie kurwą, to oderwę ci jaja i rzucę psom na pożarcie! – zawołała, a potem z uniesioną głową,

stukając miarowo obcasami po drewnianej podłodze, wróciła na miejsce.

Ciszę, która zapadła po słowach wypowiedzianych przez kobietę, w końcu przerwał Krystek, który przed chwilą pojawił się w drzwiach od pokoju, bo korzystając z nadarżającej się okazji, był właśnie w ubikacji, żeby zaznać uroków porcelanowej muszli klozetowej. Na co dzień miał do dyspozycji tylko drewniany wychodek na podwórku, z dziurą wyciętą w zwykłych deskach. „A tu nie dość że porcelana, to jeszcze wypolerowana drewniana deska, świecąca się jak psu jajca”, opowiadał z zachwytem swoim braciom po pierwszej wizycie w domu Büllowa. Dla nich nie była to żadna nowość, bo odwiedzali już wcześniej eleganckie wychodki miejscowych restauracji. Krystek jednak w restauracjach nie bywał, a wychodek U Okonia był taki sam prymitywny jak u niego w domu.

– A pani to się uczyła boksu od jakiegoś boksera? – zapytał chłopak z niedowierzaniem.

– Tak, od Maxa Schmelinga – odpowiedziała hardo.

– Ha, ha, ha! – zaśmiał się głośno chłopak, usłyszawszy nazwisko najślynniejszego niemieckiego pięściarza, którego znano na całym świecie i w Poznaniu również, bo o jego wspaniałych walkach pisała z zachwytem miejscowa prasa. Walkowi też się chciało śmiać, ale zważywszy na fakt, że był szefem całego napadu, nie dał się ponieść rozbawieniu. Tylko Leonowi nie było do śmiechu. Właśnie podnosił się z podłogi, trzymając się za zakrwawiony nos. Był wściekły, bo wiedział, że bracia nie dadzą mu już życia. Na zawsze pozostanie średnim bratem, znokautowanym przez babę. No chyba że zrobi coś, co odwróci ich uwagę... Wydobył z kieszeni nóż sprężynowy i już chciał ruszyć z nim w kierunku pięknej bokserki, gdy naraz usłyszał ostre polecenie, dobiegające z tyłu.

– Rzuć no tego knypka na podłogę i ani mi się rusz! I wy obydwaj również!

Oczy wszystkich zwróciły się w kierunku, z którego dobiegło polecenie wydane nieznośnym sprzeciwu głosem. Najpierw zebrani w salonie dostrzegli czarny melonik, a pod nim niezbyt wysokiego, a właściwie niskiego mężczyznę w szarej marynarce. Ten tubalny głos nijak nie pasował do tego człowieka o nikiemnej posturze. Za

to pistolet Browninga w jego dłoni prezentował się całkiem przyzwoicie, dodając całej postaci sporo powagi.

– No dalej, rzucać te noże, łachudry cmentarne, pókim dobry – zarządził wywiadowca Gil, który przed chwilą został wezwany telefonicznie na miejsce przez stróża Kajzerka, który doszedł do wniosku, że nie ma innego wyjścia i musi poinformować swojego nowego policyjnego zwierzchnika o każdym podejrzanym, kręcącym się w okolicy. Tym razem podejrzanych było trzech, więc Kajzerek miał nadzieję, że zasługa donosicielska policzona mu będzie potrójnie i dzięki temu uda mu się zachować odrobinę z „zabezpieczonych” przez siebie rzeczy. A poza tym liczył jeszcze na coś. Że ci trzej, którzy go nastraszyli obcinaniem języka, złapani na gorącym uczynku napaści na porządny dom, spędzą w więzieniu najbliższych kilka lat. Za jego krzywdę. I jak zwykle Kajzerek pomylił się w swoich rachunkach.

Godzina 1.25 po południu

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie kopnąć tych drzwi i nie wejść do środka jak średniowieczny taran, rozbijający bramę obleganej warowni. No ale tak się wchodzi wtedy, gdy oblegani nie chcą bramy otworzyć. A tymczasem ci, co byli wewnątrz, nie spodziewali się ataku. Więc postanowił grzecznie wejść do środka, udać, że się jest przysłanym z tym grypsem, i rozejrzeć. A jak już się wszystko przepatrzy, wtedy zaatakować. Tak będzie najlepiej, przywołał sam siebie do porządku, jak zwykle, kiedy racjonalne podejście do świata wygrywało w nim z ułańską fantazją. Żadnej Somosierry. Tu trzeba mądrze, jak podczas pierwszego dnia powstania, kiedy to nasi chcieli atakować Prezydium Policji wypełnione uzbrojonymi policjantami i żołnierzami. Nawet kilku śmiazków zerwało się do ataku i pobiegli przed siebie, ale z karabinem maszynowym nie mieli najmniejszych szans. Padali na ziemię ranni, a jeden zabity, niejaki Kasprzak, stał się od razu bohaterem narodowym, bo zamiast się schować, biegał po ulicy. A przecież każdy żołnierz ostrzelany na froncie dobrze wie, że nie atakuje się na oślepcy pozycji, której broni

cekaem. Dlatego polscy oficerowie, którzy na szczęście znaleźli się wśród atakującego tłumu tyłowych łazików, szybko opanowali sytuację, wydali rozkazy, żeby się przycisnąć i poczekać w bramach i w oknach sąsiednich kamienic, a sami poszli negocjować. I tak udało się doprowadzić do zwycięstwa bez niepotrzebnych ofiar z jednej i drugiej strony. Niemcy wyszli z budynku, zostawiając wewnątrz karabiny, nie niepokojeni przez zdobywców zachowali broń boczną, godność i życie. „Czasami bardziej się opłaca być lisem, nie wilkiem”, mówił wtedy Fischerowi znajomy podporucznik, który brał udział w negocjacjach.

– Zapukał w pełni przekonany, że przewaga jest po jego stronie. Ktoś podszedł do drzwi.

– Kogo tam cholera przyniesła? – odezwała się jakaś kobieta. Sądząc po głosie, nie należała do najmłodszych.

– Wiadomość przyniosłem.

– Jaką wiadomość?

– Cholera wie jaką. Z więzienia.

– To nie do mnie. Ja nikogo wew więźniu ni mom.

– Nie to nie. Wyrzucę w cholerę. Mam to w dupie. Potom drałował tu zez Ratajczaka, żeby nic za to nie dostać? To ja to pierdolę i nawet zaraz ten gryps do kanału wyrzucę. Pierdolicie się!

– Sam się pierdol! – odpowiedziała kobieta, a Fischer był już przekonany, że jego maskarada była całkowicie niepotrzebna, bo ten gryps to jakaś pomyłka. Może ten Załuski coś pomylił w adresie. Zresztą tekst, który napisany został ołówkiem, nie miał tak naprawdę żadnego znaczenia. Nawet się zdziwił, że taką błahostką obarczał nieznanego sobie współwięźnia. A może ta informacja miała podwójne znaczenie?

– A co tam napisane? – zawołała baba przez drzwi.

– Nie będę gadał z korytarza.

Łańcuch zadzwonił i drzwi się otworzyły. Baba w chustce na głowie i czarnej sukni wsunęła nos w szparę. Uważnie zlustrowała gościa, a oględziny musiały widać wypaść dobrze, bo uśmiechnęła się, ukazując szczerbatą szczękę z kilkoma pożółkłymi zębami.

– No dobra, zachodź do środka.



– A do picia coś macie?

– A co niby?

– Jakaś gorzałę.

– Coś się znajdzie, jeśli co ważnego żeś tu przyniósł.

– Ja tam nie wiem, co ważnego, ale pić się chce, bo gorąco na dworze, bo klara świeci tak, że z ledwością człowiek łązić da radę – wyjaśnił Fischer, który błyskawicznie potrafił dostosować swój język do okoliczności i poziomu rozmówcy.

– Siednij się i pokaż, coś tam przyniósł. – Kobieta wskazała na taboret w kuchni, która bez żadnego korytarza łączyła się tylko przejściem w drzwiach z klatką schodową. W takich jak tej czynszówkach wykorzystywano każdy metr kwadratowy, dlatego do mieszkania wchodziło się przez kuchnię, a potem za nią był pokój sypialny i dzienny. A jak kto mógł sobie pozwolić na luksusy, to z tyłu był jeszcze jeden pokój przeznaczony dla dzieci.

– A czy ja wiem, czy dobrze trafiłem? – wyraził wątpliwość.

– Przeczytaj, to się zobaczy, czy aby na pewno dobrze. Bo coś mi się widzi, synku, że skoroś tu przylazł z grypsem z aresztu, znaczy, że tyn, co ci jego dawoł, to wiedzioł, co robi.

Fischer sięgnął do pudełka zapalek, otworzył je i wyjął zeń złożoną na cztery kartkę.

– Jo ni mom bryli, bo się stłukły już dawno, i drobnych liter nie rozeznaje. To przeczytaj no, co tam napisali.

Spojrzał na kartkę i zaczął czytać wolno i wyraźnie:

*Rybak może odebrać czerwone robaki w mieszkaniu przy ulicy Chłapowskiego 5a/3. Dębowski.*

– Łe, ale to obok. Ino że tam żadnych robaków ni ma. Tam porządni ludzie wynajmują od dwóch miesięcy te mieszkanie. Znaczy się wynajmowali. Jeden to grał na fortepianie i nawet skrzypcach. Ino że teraz już on ci biedaczek nie zagra, jak mu tyn bandzior w tym radiu ramię odstrzelił, bo ledwie tą łapą ruszo. A ta jego śpiewaczka to całkiem nieżywa. Musiał żeś słyszeć, bo w radiu puszczała, jak ją zabił ten drań. Przyjechali tu zez stolicy i biedaczka się już u nas na cmentarzu zostanie. Taki los. A robaków to tu u nas

nikt nie sprzedaje. Bo i po co, jak se kaźden, co na ryby łazi nad rzekę, może nakopać tam niżej, na Dolnej Wildzie, w tych mokradłach. Tam mój stary, świętej pamięci Gustaw, ze szpadlem po czerwone robaki łaził. Ale już nieboraczek u Świętego Pietra dziesięć, nie, jedenaście lot. Świeć, Panie, nad jego duszą.

Czerwone robaki dla rybaka? Fischer jeszcze raz spojrział na kartkę i naraz wszystko zrozumiał. Ależ jestem cholernym głupcem, pomyślał. Przecież to nie żaden gryps do jakichś ludzi, którzy mieszkają pod tym adresem. To jest list do mnie, do Fischera, znaczy do rybaka. Ten cholerny Dąb-Załuski przez Maciejewskiego dał mi jasną wskazówkę, a ja idiota nie rozumiałem, w czym rzecz. Jaki ze mnie dureń. Tylko skąd on wiedział, że Maciejewski odda mi gryps? Może wyczuł w nim policjanta? Zresztą to nie było teraz ważne. Nie miał czasu na rozmyślanie. Wypił kieliszek wódki, który postawiła przed nim gospodyni, pocałował ją z gracją w rękę i uśmiechnąwszy się, wskazał na kartkę leżącą na stole.

– Pani wybaczy, ale zawracałem głowę.

Nim zdążyła odpowiedzieć, wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

Godzina 1.40 po południu

Zyga masował sobie nadgarstki, to jeden, to znów drugi, tak na zmianę, by móc wreszcie zacząć normalnie funkcjonować. Z nogami było znacznie gorzej, bo były tak zdrętwiałe, że aby w ogóle myśleć o wstaniu z krzesła, musiał wyciągnąć je w przód i czekać, aż krew znajdzie miejsca, w które powinna była wpływać. Miał nadzieję, że to związanie nie spowoduje jakiegoś stałego uszczerbku na zdrowiu, bo gdyby na ten przykład nie mógł normalnie chodzić, to przecież natychmiast odesłano by go na rentę inwalidzką. A to oznaczałoby, że nie mając nic innego do roboty, zapiłby się na śmierć.

Mrowienie w nogach i rękach nie ustawało, więc mogło to oznaczać, że nie jest najgorzej. Znacznie gorzej za to było z tymi dwoma, którzy siedzieli przy stole i spoglądali na niego wyczekująco. Nie zamierzał im jednak na razie ułatwiać życia. Chwycił do ręki

szklankę z grubego rżniętego szkła i z trudem uniósł ją do ust. Wódka była ciepła, ale w smaku całkiem porządna, zaprawiona jakimś aromatem, którego nie potrafił rozpoznać. Nic dziwnego, w końcu, jeśli kupował wódkę w restauracji czy barze, niemal zawsze była to najzwyczajniejsza czysta.

– Szałwiówka – wyjaśnił Zdziebło, widząc, jak Maciejewski rozprawdza wódkę językiem po podniebieniu. Można ją stosować wewnętrznie i jest dobra na żołądek, a i do smarowania się nadaje, jak się ma na skórze wypryski.

Zyde momentalnie odechciało się pić, gdy wyobraził sobie, jak ten gość smaruje nalewką swoje pryszcze. Odstawił szklankę na stół.

– Co, nie smakuje? – Gospodarz zrobił zasmuconą minę. Zresztą smutek cały czas malował się na jego twarzy. Facet ma ciężkie życie, pomyślał Zyga. Nie dość, że jego baba miała kochankę, to jeszcze na dodatek musiała się zajmować utrzymaniem domu, okradając tego kochankę z tajemnic wojskowych i sprzedając je Niemcom. A ten tu cymbał, nie wiedzieć czemu, współpracował z bolszewikami. To jakaś kompletnie pochrzaniona sytuacja.

– Niech mi pan powie, jak to możliwe, że pańska... żona... zastrzelona kobieta...

– Narzeczona – poprawił go muzyk.

– Niech będzie, narzeczona oddała te dokumenty Niemcom zamiast wam.

Zdziebło wzruszył ramionami i zrobił jeszcze smutniejszą minę.

– To oni, ci cholerni Niemcy, pchnęli ją w ramiona tego Zalewskiego. Po to, żeby wyciągnąć od niego, co się tylko da z tajemnic wojskowych. I ona w zamian za pieniądze się zgodziła. A ja pomyślałem, że to się dobrze składa, bo dzięki temu będziemy mieć dostęp do tego, co ona im przekazuje. No ale ona oddała Büllowowi plany mobilizacyjne natychmiast po tym, jak je zdobyła.

– Rozumiem, że nie wiedziała, że pan współpracuje z sowieckim wywiadem?

– Nie, no skąd! W życiu by mi na to nie pozwoliła. W ogóle nie wiedziała, że ja wiem, że ona ma romans z tym oficerkiem.

– Nie rozumiem tylko jednej rzeczy, dlaczego w ogóle dopuściliście do tego, że przekazywała jakieś informacje Niemcom, skoro mogła to

wszystko robić dla was?

– Ona współpracowała z Niemcami od pięciu lat, a ja ją poznałem zaledwie rok, nie, to już będzie dwa lata temu... Dostałem polecenie, by się do niej zbliżyć, i się udało – wyjaśnił Zdziebło, który jak się właśnie okazało, był potrójnym agentem, szpiegującym nie tylko Polaków, ale i Niemców, a w końcu własną kobietę. Maciejewski spojrzał na niego ze wstrętem. Facet musiał być wyjątkową kreaturą. A ten drugi?

Zimne oczy lokaja wpatrywały się w niego uważnie. Zyga znał to spojrzenie bezwzględnych zabójców. Naraz poczuł, że ciarki przechodzą mu po plecach. Ten człowiek już wiedział, że Zyga nie jest jego stronnikiem i wcale nie został tu przysłany przez Moskwę. Pewnie odkrył to, przysłuchując się wymianie zdań między nim a Zdziebłą. Musiałem powiedzieć coś, co sprawiło, że przestał uznawać mnie za potencjalnego sojusznika. Nie trzeba było tyle gadać, zdążył jeszcze pomyśleć Maciejewski, gdy naraz w dłoni mężczyzny pojawił się nóż. Ostry i z długim czubkiem, taki, jakich w rzeźni używa się do odcinania mięsa od kości.

– No to, panie Maciejewski, czy jak się pan nazywa, myślę, że na pana temat wiem już wszystko. Nie orientuje się pan w podstawowych sprawach dotyczących naszych działań, więc wniosek jest prosty. Nie przyjechał pan tu do nas z przyjacielską wizytą, ale...

– Współpracuję z Abwehrą – przerwał mu Zyga, rzucając na szalę argument, który mógł bolszewikowi wytrącić wszystkie argumenty z ręki. Zyga nie znał się wcale na subtelnościach działań wywiadowczych, ale był bystrym człowiekiem i zrozumiał jedno – ci dwaj pracownicy ruskiego wywiadu mieli z Niemcami jakieś porozumienie. Nie robili sobie wzajemnie krzywdy i nie wchodzili w drogę, trzymając się na dystans. Bolszewicy obserwowali Niemców i korzystali z ich zdobyczy.

– Jest pan niemieckim szpiegiem? – zapytał lokaj, a Zdziebło podniósł zbolące spojrzenie znad blatu stołu i skierował je na policjanta. Najwyraźniej coś im nie pasowało. Tymczasem Zyga chwycił flaszkę i nalał sobie wódki do szklanki. Zrobił to po to, żeby zrobić cokolwiek. Normalnie rzuciłby się już na swoich przeciwników

z pięściami, ale teraz w dalszym ciągu nie był pewien ani pięści, ani nóg. Gdyby się poderwał w górę i upadł, już byłoby po nim. Potrafił trzeźwo ocenić swoje szanse, dlatego zwlekał z atakiem i próbował grać na czas. Jak się okazało, miał rację.

Gdzieś w głębi mieszkania, pewnie od strony kuchni, dobiegł do uszu siedzących przy stole mężczyzn ogromny huk. Najpierw trzask wyłamywanych drzwi, a zaraz potem huk wystrzału. Zyga błyskawicznie zareagował. Chciał zaatakować kamerdynera, ale nie zdążył. Uprzedził go Zdziebło, który chwycił flaszkę i nadspodziewanie zwinnie, jak tancerz, okręcił się wokół własnej osi i z impetem rąbnął nią w głowę policjanta. O dziwo butelka nie pękła. Maciejewski zobaczył gwiazdy i opadł głową na blat stołu. Dostrzegł jeszcze, jak lokaj wyciąga z marynarki pistolet Parabellum P-08. Zdążył nawet się zdziwić, że pamięta wyraźnie całą nazwę tej pięknej broni, gdy zainkasował drugi cios. Tym razem flaszką pękła, a wódka oblała głowę Zygi, umilając mu podróż ku nieświadomości leczniczą wonią szaławii.

Fischer zbiegł na dół. Na ławce koło drzwi siedział Oskierko z kotem na kolanach. Zwierzak był najwyraźniej zadowolony z tego, że młody policjant drapie go za uchem, ale gdy aspirant na widok szefa poderwał się na równe nogi, kocur zleciał na ziemię, wyrażając głośno swój sprzeciw. Ale nikt w tej chwili nie miał zamiaru zajmować się jęczącym kotem.

– Oskierko, za mną! – polecił komisarz tonem nieznoszącym sprzeciwu. Nie było czasu na subtelności. Trzeba było działać. – Idziemy na drugie piętro. – Wskazał ruchem głowy sufit, tak jakby Oskierko nie rozumiał, że drugie jest na górze. Ten pokiwał głową, żeby komisarz wiedział, że pojął, w czym rzecz.

– A pistolet masz? – zapytał aspiranta. Chłopak uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Zawsze noszę pistolet – powiedział to tak, jakby było w tym stwierdzeniu coś całkowicie oczywistego. Jednak prawda była taka, że Oskierko nauczył się zabierać pistolet dopiero po tym, gdy na jednej z pierwszych akcji z jego udziałem zostawił broń w służbowym pokoju, bo nawet nie pomyślał, że może mu być potrzebna. Dlatego

od tamtego niefortunnego zdarzenia zawsze był uzbrojony, a jego parabellum specjalnie dla niego kupił na targu wywiadowca Gil. Nabył je jak najbardziej nielegalnie, bo handel bronią był surowo wzbroniony. Jednak jakoś trzeba było sobie radzić, tym bardziej że policjanci oficerowie musieli broń krótką organizować sobie we własnym zakresie. W licencjonowanej składnicy broni parabelka czy inny pistolet kosztowały grubo ponad dwieście złotych. Dlatego Gil zaoferował mu, że załatwi dobry sprzęt znacznie taniej.

– Co pan będziesz wydawał bejmy niepotrzebnie? – stwierdził stary policjant. – Za jakie pięć dyszek dostaniesz pan gnata nowego, prosto z magazynu.

– Z jakiego magazynu? – zdziwił się młody policjant.

– No jak jakiego? Ma się rozumieć, że z niemieckiego. Wiara jeszcze w czasie powstania nabrała tego dobra z Cytadeli i z Ławicy. Całe skrzynie wynosili, jak nasi zajęli te forty. A jak już wynieśli, to raz-dwa do jakiegoś schowka i tak dotrwały magazynowe sztuki do dziś. Jak kto potrzebujący, to sprzedają.

– A co z numerami na pistolecie?

– Numery autentiko fabriko, prosto z fabryki Loewe z Berlina.

– No ale ja muszę tę broń zarejestrować i co powiem, że niby skąd pochodzi?

– A bo to się u nas kto będzie pytał, skąd oficer ma broń? Przyniesiesz pan do zbrojmistra, on spisze numery i wciągnie na stan policyjny. I tak spluwa z jakiegoś sracza trafi do policyjnej kabury.

A nawet w tym wypadku do policyjnej kieszeni, bo dziś Oskierko nie zakładał kabury jako człowiek przebrany w byle jakie łąchy. Pistolet włożył do wewnętrznej kieszeni marynarki, a gdy Fischer spytał go o broń, wyciągnął parabelkę i pokazał szefowi.

– Idziemy po cichutku pod mieszkanie, nasłuchujemy, czy tam co słyhać, a potem ja wywalę drzwi i wchodzę z bronią w ręce, a pan idziesz za mną.

– A może ja tam wejść pierwszy, zaraz jak się te drzwi otworzą? – zaproponował Oskierko.

Fischer pokręcił głową.

– Nie ma mowy. Idziemy wedle polecenia – stwierdził i ruszył schodami w górę. Jego podwładny podążył za nim.

Po chwili stali już przy drzwiach. Komisarz przyłożył ucho i przez chwilę nasłuchiwał.

– Są w środku. – Odwrócił się do Oskierki.

– Kto? – zapytał aspirant.

– Bolszewicy. Jaczejka bolszewicka.

– A skąd niby wiadomo, że to bolszewicy? – zainteresował się naraz aspirant, który ostatniego bolszewika widział podczas wojny w dwudziestym roku. Ale Fischer nie miał czasu na wyjaśnienia. Tym bardziej że jego teoria o bolszewikach miała dość kruche podstawy. Wyszuta była tylko i wyłącznie drogą dedukcji, ale tę metodę komisarz miał dość dobrze opanowaną. I dlatego upewniwszy się, że ktoś jest w środku, zdecydował o przystąpieniu do ataku.

Odsunął się nieco, uniósł prawą nogę i z całej siły napał na drzwi, kopiąc je całą szerokością dobrze podkutej stalowymi zelówkami podeszwy. Drzwi były równie stare, co schody, więc nie wytrzymały solidnego uderzenia. Zamek rozleciał się w drobny mak, a niegdyś białe, a teraz poszarzałe z upływu lat skrzydło wpadło z impetem do środka, uderzając w jakieś metalowe przedmioty, które ustawione były za drzwiami. Ale nikt nie miał czasu zastanawiać się, co też się tam potłukło. Fischer w sekundę znalazł się kuchni, tuż za nim do mieszkania wskoczył Oskierko. Dla spotęgowania efektu niespodziewanego ataku komisarz wystrzelił w powietrze, a głośny huk poniósł się dudnieniem po klatce schodowej i wypadł na otoczone ścianami z czterech stron podwórko, wzmagając efekt dudniącej grozy. Jednak po nim nastąpił natychmiast drugi strzał, który powinien był dosięgnąć Fischera. Ktoś bowiem strzelał zza drzwi, z pokoju, do którego policjanci nie zdążyli jeszcze się dostać. Komisarz zdołał jednak uskoczyć w bok. Na wszelki wypadek pociągnął jeszcze dwa razy za spust, a gdy zrobiło się cicho, zawołał głośno i wyraźnie, żeby bolszewicy, gdyby przypadkiem nie znali polskiego, zrozumieli, w czym rzecz:

– Tu Policja Państwowa z tej strony. Wychodźcie z rękami w górze, to nic wam się nie stanie!

– A chodź tu po nas, jak żeś odważny.

– Nie będę z wami dyskutował. Wyłazić, bo...

– Odstąpcie nas, bo jak nie, to zaraz zarżniemy jednego z waszych.

– Możesz se gadać zdrów. Myślisz, że ci uwierzymy?

– To podejdz który do drzwi i uchyl je. Zobaczysz, co to za ptaszek siedzi na krześle z rozbitym łbem.

– Kogo tam macie?

– A mówi ci coś nazwisko Zygmunt Maciejewski z Lublina?

Fischer aż otworzył usta ze zdumienia. Oskierko wzruszył tylko ramionami.

– Skąd ten się tu wziął? – sapnął aspirant. – Odstawiliśmy go przecież z Olkiewiczem do samego wagonu i machaliśmy mu nawet, jak odjeżdżał.

– Przyszedł tu za mną – odezwał się ktoś za plecami policjantów. Natychmiast odwrócili się za siebie. W drzwiach stał znany im dobrze kapitan Krzysztof Dąb-Załużski z pistoletem w dłoni.

Fischer spoglądał na Załużskiego, jakby ten właśnie spadł z księżycy, ale bez strachu. Kapitan nie wydawał się wrogo nastawiony. Dlatego komisarz odwrócił się i krzyknął w głąb mieszkania:

– Czy ten policjant, jak mówisz, ma coś charakterystycznego na twarzy?

– Ma przetrącony nos!

– Czego chcecie zatem?

– Automobil bez szofera podstawiony na ulicy i wolną drogę. Przejdziemy z Maciejewskim do auta i w mieście go wysadzimy.

– Musimy się naradzić.

– Byle szybko!

Fischer skinął na Oskierkę i zaraz wyszli na korytarz. Komisarz usiadł na schodach, wydobył swoją wiśniową fajkę i zaczął ją powoli nabijać tytoniem. Gdy wreszcie zapalił, spojrzął na stojącego przy poręczy Załużskiego.

– Ale po coś pan tu jego sprowadził??



– Myślałem, że on śledzi mnie na pański rozkaz. Przecież to nie przypadek, że jechał ze mną pociągiem. Ja już go rozpoznałem w areszcie, jak żeście mi go wprowadzili do celi. Bo ja dwa lata mieszkałem w Lublinie. Rozpoznałem natychmiast tego Maciejewskiego, bo on był całkiem dobry bokser, a ja lubiłem chodzić na mecze. Więc pomyślałem, że Dwójka dała mnie do jego celi, żeby mnie rozszyfrować w kwestii tych zaprzepaszczonych dokumentów. Moja wina była tylko taka, że straciłem dla niej głowę i przestałem być ostrożny. A ona wykorzystała moją naiwność i skradła te papiery. Nie miałem wyjścia. Postanowiłem ją zabić, tego jej Zdziebłę również, i samemu się zastrzelić. Ale pan stanął na mojej drodze. Więc gdy rozpoznałem Maciejewskiego, napisałem gryps do pana, ale potem nadarzyła się okazja w tym zamieszaniu w areszcie, więc uciekłem, mając nadzieję, że sam będę mógł oczyścić swoje dobre imię. Bo ja, panie komisarzu, nie mam i nie miałem z tą bolszewicką hołotą nic wspólnego. Na dowód dobrej woli przyprowadziłem tu Maciejewskiego, licząc, że ich wszystkich złapiecie. Dziś, tknięty jakimś przecuciem, postanowiłem sprawdzić, czy ich aresztowaliście, ale dowiedziałem się od mojego informatora, że ten ze złamanym nosem, owszem, przyszedł do mieszkania, ale nie wyszedł z niego. I w ten oto sposób natrafiłem na was tu i teraz.

– Jakiego informatora? – zapytał Fischer.

Załuski wzruszył ramionami.

– Ten dziad na dole, co siedzi z kotem... Płaciłem mu, by na wszystko miał oko, jak jeszcze przychodziłem tu do... niej.

Z dołu, od wejścia, dało się słyszeć tumult. Jacyś ludzie szli do góry. Komisarz natychmiast wyjrzał przez poręcz. Gdy dojrzał tę procesję, pokręcił głową z niedowierzaniem, ale tak naprawdę nic już nie mogło go tego dnia zadziwić. Splot przypadków i odkryć był tak nieprawdopodobny, że mógłby powstać jedynie w chorej głowie pisarza modernisty. Tylko na razie do tej szarady nijak nie pasowali ludzie, którzy wspinali się po schodach. Trzech braci Kaźmierczaków Fischer znał dobrze. Choć niezbyt często zdarzało się, by miał z nimi osobisty kontakt, bo takie sprawy jak interesy z policją załatwiał

w imieniu całej bandy Tolek, to jednak policjant wiedział, że ten szczupły brunet z grzywką opadającą na czoło i z równo przyciętym eleganckim wąsem, prowadzący całą grupę, to najstarszy z braci, Walek. Gdy złodziej doszedł na półpiętro, spojrzał w górę i go zamurowało. Widok komisarza stojącego w otwartych drzwiach mieszkania zaskoczył go tak bardzo, że odruchowo sięgnął ręką do kieszeni. Ale zimny rachunek widać zwyciężył z emocjami. Nie wyciągnął z kieszeni uzbrojonej dłoni, odwrócił się tylko i spojrzał w dół na schody, po których wdrapywał się, ciężko sapiąc i dysząc jak lokomotywa, Gil. Wywiadowca, dojrzwawszy pytające spojrzenie Kaźmierczaka, popatrzył w górę, wychylając głowę ponad poręcz. Gdy zobaczył Fischera, zaśmiał się głośno.

– Powiadają, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, panie komisarzu, a tu proszę, nie stolica imperium, a zasrana czynszówka na Chłapowskiego. Gówniane miejsce, ale przynajmniej patron ulicy godny, bo przecież generał Dezydery Chłapowski to nie byle jaka persona!

– A pan skąd ześ się tu wziął, i to w takim towarzystwie?

Gil przecisnął się między poręczą a Kaźmierczakami i ruszył wyżej w kierunku swojego dowódcy.

– Ci trzech ścigają niejakiego Piotra Górkę, co się okazał niegodnym roli lokaja i zaufania swojego chlebodawcy. Mają do niego sprawę, bo to on zlecił Tolkowi Grubińskiemu obrobienie chaty niejakiego Büllowa. Ale potem owego Grubińskiego chciał zastrzelić. A ci panowie – odwrócił się i teatralnym gestem wskazał Kaźmierczaków – postanowili go zapytać grzecznie, dlaczego się tak brzydko zachował. I w związku z tym zdecydowałem się ich tu przyprowadzić, żeby se pogadali, a ja chciałem posłuchać, bo zasadniczo oni trzej są pod moją kuratelą, tak jakby aresztowani. A tak w ogóle to co się tu dzieje? – Gil wskazał otwarte drzwi do mieszkania.

– Bolszewicka banda ma za zakładnika naszego kolegę Maciejewskiego z Lublina – wyjaśnił Oskierko.

– Coś takiego? – Gil pokręcił głową. – Ten Górka to niezła kreatura.

– No to co, trzeba by ich stamtąd wykurzyć?

– Na frontalny atak ja się nie zdecyduję, bo kolega Maciejewski może oberwać – stwierdził Fischer, który na razie nie miał pomysłu,

jak uporać się z tą patową sytuacją. Może podstawienie im auta byłoby dobrym rozwiązaniem? Oddadzą Maciejewskiego i pojedą gdzieś w cholerę, a później się za nimi wystawi list gończy i jakoś się ich złapie. A jak nie oddadzą Maciejewskiego, tylko go kropną? Ale na razie, zanim się podejmie jakieś decyzje, trzeba pogonić stąd całą tę menażerię. Kaźmierczakowie wspięli się na schody wyżej, ale do mieszkania podejść nie mogli, bo na drodze stanął im Oskierko. Tylko najmłodszy z braci wsunął głowę, wychylając się zza ściany, i z ciekawością zaglądał do środka.

– Bierz ten łeb, bo ci go odstrzelą – mruknął Fischer.

– Panie komisarzu, my by ich wszystkich stamtąd wynieśli – zaoferował swoją pomoc Walek.

– Całych i zdrowych – dodał Leon, ale Fischer od razu wyczuł, że to kłamstwo.

– Nie ma mowy, to jest policyjna akcja. Oskierko, pilnujcie drzwi, a wy wszyscy schodzić na dół, ale już! Panie Gil, pan przypilnuje tę wycieczkę. Panie kapitanie, schodzimy. – Spojrzał w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą stał Dąb-Załuski, ale żołnierza tam nie było. Nie było też Krystka Kaźmierczaka. I naraz zrozumiał, co się święci, jednak było już za późno. Szybkie kroki z mieszkania wybiły rytm biegu na drewnianej podłodze, potem uderzenie drzwi o ścianę i zaraz kilka strzałów jeden po drugim, a w końcu krzyk przechodzący w jęk i skomlenie. Odepchnął Oskierkę, który nie sprawdził się jako wartownik, i wbiegł do mieszkania. Krystek stał odwrócony plecami i trzymał w rękach rewolwer. Mierzył z niego do kogoś, kto był w głębi pokoju. Przed nim stał kapitan. O ile Fischer mógł ocenić sytuację, wyglądało to tak, jakby młody Kaźmierczak trzymał na muszce kogoś, kto znajdował się na prawo od drzwi, ubezpieczając oficera, który mierzył do człowieka stojącego przed nim.

– Rzuć broń, kanalio! – rozpoznał głos Załuskiego. To był decydujący moment. Teraz ludźmi mierzącymi do siebie rządziły już tylko emocje. Jeśli u któregoś z nich górę weźmie zdrowy rozsądek... Nie wziął...

Pierwszy strzał rozdarł powietrze, a za nim od razu kolejne, zlewając się w jedną ogłuszającą kanonadę. Sekundę później

sytuacja zmieniła się diametralnie. Krystek Kaźmierczak stał nadal w tym samym miejscu, ale nie było już widać Załuskiego.

– Już po ptokach! – zawołał chłopak i zadowolony odwrócił się za siebie, natrafiając na piorunujące spojrzenie Fischera. Ten natychmiast ruszył do pokoju, w którym rozegrał się dramat. Najpierw dostrzegł leżącego na podłodze kapitana. Załuski oddychał ciężko, trzymając się za szyję. Spod palców wypływały strumienie krwi. Dwa metry dalej, beładnie rzucone na kanapę, leżało ciało mężczyzny, którego widział po raz pierwszy w życiu. Zapewne także i ostatni, bo ów człowiek miał wyrwę w czaszce, nieco poniżej oka. Krwawy ślad na ścianie za nim, nieco poniżej oleodruku z Jezusem pośród stada owiec, świadczył o tym, że kula, zapewne wystrzelona przez kapitana, trafiła go w policzek, przeszła przez głowę i zrobiła w głowie sporą dziurę.

Stojący na lewo od drzwi Krystek nadal trzymał w dłoni rewolwer, mierząc do człowieka, który skulony przykucnął pod ścianą, a oczy zakrył dłońmi.

Fischer, przekonawszy się, że z tej strony nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, przyklęknął obok leżącego na podłodze żołnierza. Nie trzeba było być wielkim specjalistą od ran postrzałowych, by wiedzieć, że kula, która dosięgła Załuskiego, była śmiertelna. Może gdyby tu był lekarz z narzędziami do operowania, dałby radę zatamować upływ krwi z tętnicy szyjnej, przeoranej przez pocisk. Fischer nie miał o tym pojęcia. Wyciągnął jednak rękę, by spróbować jakoś zatrzymać krwotok. Na próżno. Kapitan położył mu dłoń na ramieniu.

– To na nic, komisarzu – wyszeptał. – Tak miało być... Obiecuj mi, że oczyścisz moje... nazwisko...

– Już jest oczyszczone. – Fischer uśmiechnął się do Załuskiego, ale żołnierz tego nie zauważył. Jego oczy znieruchomiały, a ręka przytrzymująca ranę zwiotczała i opadła. Krew przez chwilę jeszcze wylewała się szerszym strumieniem, aż z wolna zaczęła zamieniać się w zasychającą na podłodze kałużę. Jej zapach był tak intensywny, że z podwórza zaczęły zlatywać się pierwsze muchy, które zwietrzyły o wiele bardziej interesujące miejsce niż ich rodzinny śmietnik, w którym spędzały większość swojego życia.

– Co z nim, panie komisarzy? – zapytał Krystek Kaźmierczak, wskazując na faceta, któremu najwyraźniej minęło przerażenie, zastąpione przez ciekawość.

– Z nim? Nic. Zgnije w lochu. A i ciebie tam wsadzę za to, żeś bez pozwolenia wlaź do środka.

– Ktoś musiał na wszystko mieć oko – wskazał na Zdziebłę.

– Panie komisarzy kochany, to wszystko pomyłka. On mnie zniewolił, ten tu zabity Górka, to bolszewik, a ja jestem... – Fischer spojrzał na niego, jak się patrzy na raka tuż przed wrzuceniem do wrzątku.

– A gdzie jest Maciejewski? – zapytał.

– Komisarz jest tam, w pokoju. Nic mu nie jest. Odpoczywa, bo nieco się umęczył biedaczek...

Fischer przeszedł nad ciałem byłego zabójcy, a obecnie już martwego bohatera, który rozprawił się z bolszewicką grupą szpiegowską i w walce z wrogiem oddał życie za ojczyznę, pchnął drzwi i wszedł do pokoju. Na potarganej pościeli leżał Maciejewski. Komisarz zbliżył się do niego zaniepokojony. Nie zauważył jednak żadnej rany prócz krwawego śladu na głowie. Pierś Zygi poruszała się miarowo w górę i w dół, a wokół roztaczała się wyraźna woń alkoholu. Wyglądało to tak, jakby Maciejewski zasnął zmęczony po pijackiej hulance.

Chwycił go za ramię i mocno potrząsnął. Zyga otworzył oczy.

– O, komisarzy Fischer przybył z odsieczą. A już się bałem, że mnie te cholerne bolszewiki rozwalą. Pieprznęli mnie flaszką w łeb, ale na szczęście pełną wódki, więc jakby co rana od razu odkażona, ha, ha! – zaśmiał się lewym półgębkiem, bo prawą stronę twarzy cały czas miał obolałą.

– A czemu żeś pan nie pojechał do Lublina?

– Pojechałem, ale coś mi kazało zawrócić.

– Co takiego?

– A bo ja wiem... może ta słynna poznańska gościnność?

# Rozdział X

Königsberg

Sobota

21 września 1929

Godzina 4.30 po południu

– Nie zasiedziała się pani zbyt, droga Marleno?

– Nie, skąd. Nie mogę przecież tego zostawić. To już ostanía paczka, panie pułkowniku. Za chwilę przyjdzie tu kurier, podporucznik Mayer, i mogę już zmykać do domu.

– Przypomina mi pani pilną uczennicę, panno Marleno.

– Szkoła nauczyła mnie właściwego stosunku do obowiązków. Nie wolno nam ich przecież lekceważyć. Te pakiety muszą się znaleźć w pociągu jeszcze dziś i nie ma mowy o jakiejś zwłóce. Czymże więc jest godzina czy dwie spędzone przy biurku, nawet w sobotnie popołudnie, gdy liczy się dobro kraju?

– To imponujące i budujące zarazem, że tak młoda osoba potrafi myśleć w ten sposób o obowiązkach. Może kiedyś znajdziemy nieco czasu, by porozmawiać też o innych kwestiach, powiedziałbym, hmm... nieco mniej zobowiązująco, poza tym naszym ponurym budynkiem komendantury.

– Będę zaszczycona, panie pułkowniku.

– To może da się pani zaprosić w niedzielę na kufelek piwa gdzieś pod miasto, do jakiejś rybackiej przystani.

– Bardzo chętnie, ale w tę niedzielę już jestem zajęta. Dziś przyjeżdża do mnie ciocia z Berlina. Muszę się nią zająć.

– Hm, no tak, rozumiem. Ciocia jest najważniejsza. No to może za tydzień? Nie... hm... za tydzień z kolei ja jadę aż na Śląsk, do Breslau.

– Nigdy nie byłam w Breslau. Słyszałam, że to piękne miasto.

– Nie tak piękne jak nasz Königsberg, choć trzeba przyznać, że ma swój urok. No ale skoro pani nigdy tam nie była, hmm... to może nadarza się okazja? Będę tam miał sporo spraw na głowie, ale wieczorem...

– Ależ, panie pułkowniku, czy to wypada? To jak dla mnie trochę zbyt szybko.

– Hmm, no tak, ma pani całkowitą rację. Porozmawiamy o tym jeszcze. Życzę przyjemnego wieczoru z ciocią. Proszę jej przekazać ukłony ode mnie.

Pułkownik Oskar von Löwis uklonił się, zrobił w tył zwrot i wyszedł z pokoju na korytarz. Marlena została sama. Ostatnia paczka składała się z pięciu pakietów. Musiała je ułożyć w odpowiedniej kolejności – od najistotniejszego do tego najbardziej błahego. Tak aby ci, którzy będą je otwierać, nie tracili czasu na bzdury, takie jak kwestie zaopatrzenia pralni i latryn wojskowych. Na wierzchu więc ułożyła kopertę, która zawierała informacje o remontach okrętów wojennych i łodzi podwodnych w miejscowej stoczni remontowej, należącej do Reichsmarine. Gdy skończyła układać wszystkie dokumenty, włożyła je w dużą kopertę z szarego papieru, owinęła mocnym sznurkiem pakowym, na środku zrobiła pętlę i zawiązała. Położyła pakunek przed sobą, wzięła do ręki słuchawkę telefonu i wykręciła dwie ósemki. Natychmiast odezwał się głos po drugiej stronie.

– Podporucznik Mayer melduje się.

– Marlena von Pieskow. Proszę do mnie, poruczniku.

Odłożyła słuchawkę, a na blacie biurka położyła wyciągnięte z szuflady zapałki i kostkę laku. W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedziała.

Do pokoju wkroczył sprężystym krokiem dwudziestoletni podporucznik. Zasalutował do daszka czapki, tak jakby Marlena była jego przełożonym. Nie miała oficerskiego stopnia, ale w hierarchii zależności służbowych była przynajmniej dwa stopnie nad nim.

– Przyniósł pan pieczęć?

– Tak jest. – Wydobył z kieszeni lniany woreczek, a z niego mosiężną pieczęć, osadzoną w ebonitowym uchwycie.

Marlena zapaliła zapałkę, przyłożyła ją do laku, który po chwili zaczął się palić, potem topić i w końcu skapywać kropla po kropli na miejsce, w którym na środku koperty sznurek ją przewijający splatał się w kokardę. Gdy powstał już spory kleks, dmuchnęła na kostkę lakową, chcąc ją zgasić, poczekała jeszcze, by ostatnie krople spłynęły w dół i skinąwszy głową, dała znać oficerowi, żeby przystąpił do dzieła. Ten wcisnął metal w lak i odcisnął w nim symbol orła Reichswery okolonego napisem „Okręg Wojskowy nr 1 Prusy Wschodnie Königsberg”. Przytrzymał przez chwilę i podniósł, by sprawdzić efekt. Pieczęć wyglądała doskonale.

– Dziś tylko jeden pakiet? – zapytał, choć nie powinien mieć wątpliwości, bo na biurku nie było żadnych innych dokumentów.

– Przynajmniej się pan nie nadźwiga – zażartowała. Podporucznik nigdy nie miał ciężkiej torby. Papiery do Berlina nie były przecież ciężkie, a dziennie wychodziło najwyżej kilka kopert, które układało się w jeden albo niekiedy dwa pakiety.

– Nie o wagę się rozchodzi. Ja bym chętnie jeszcze pannie Marlenie coś ostemplował. – Teraz on spróbował żartu, ale zaraz zrobił się czerwony na twarzy, bo poczuł, że chyba nieco przesadził.

– A co by pan chciał mi ostemplować? – zapytała lekkim tonem.

– Wszystko, co by panna Marlena sobie zażyczyła.

– Pomyślę o tym, panie poruczniku – zdusiła ten niewinny flirt w zarodku. Ten młody chłopak może i miał potencjał, ale na razie był nikim i nie było potrzeby zwracać sobie nim głowy. Co innego pułkownik. Ten wyraźnie miał na nią apetyt i być może dałoby się to wykorzystać. Bo Marlena od jakiegoś czasu patrzyła na niektórych swoich współpracowników jak na obiekty, które przydadzą się w działaniach wywiadowczych. Wcześniej była tylko pośredniczką



i wykonawczynią nieskomplikowanych zadań, jakie powierzali jej ludzie z Abwehry. Ale od niedawna wszystko się zmieniło. Zmiany w jej nastawieniu do życia dokonał Feliks Mikołajewski, który stanął dziewczynie na drodze, a ona okazała się całkiem bezradna.

– Więc mnie kochasz? – zapytał wtedy w Poznaniu w dzień, w którym doszło do aresztowania jej i współpracującego z nią fabrykanta. Marlenę zamknięto w policyjnym areszcie. Fischer poinformowany przez Gila, że zatrzymana jest znajomą Mikołajewskiego, natychmiast wezwał go do siebie. Kapitan poprosił, by mógł ją pierwszy przesłuchać. Próbowwała się wszystkiego wyprzeć, ale dowody były zbyt mocne. W jej rzeczach znaleziono papiery, które przekazał jej rezydent wywiadu niemieckiego Büllow.

– Grozi ci więzienie – powiedział Mikołajewski.

– Nic nie zrobiłam.

– Zostałaś złapana na gorącym uczynku, z aktami wykradzionymi z kancelarii wojskowej. To ściśle tajne dokumenty. Za szpiegostwo można być skazanym nawet na karę śmierci.

– Nie wiedziałam, co jest w tych papierach. Poproszono mnie tylko, żebym je przewiozła do Królewca. Niepotrzebnie się zgodziłam.

– Chcesz powiedzieć, że nie współpracujesz z niemieckim wywiadem?

Opuściła głowę.

– Gdy pojawiłaś się w Poznaniu, byłem przekonany, że masz odebrać plany od Büllowa, i zastanawiałem się, czy zamierzasz również szpiegować mnie. Ale nie próbowałaś zaglądać do moich papierów w mieszkaniu. Nie przekroczyłaś granicy prywatności.

– Bo też u ciebie byłem prywatnie. Nie wpadłabym na pomysł, by cię szpiegować.

– To mnie ostatecznie do ciebie przekonało. To znaczy, że nie ulokowałem uczuć w niegodnej osobie.

– Co to znaczy? Czy chcesz powiedzieć przez to...

– Tak, kocham cię, Marleno, i zrobię wszystko, żeby cię stąd wyciągnąć. – Zatoczył ręką, wskazując pokój przesłuchań, w którym prowadzili rozmowę. Nie będzie żadnego śledztwa w twojej sprawie.

Tak jakby cię wcale nie zatrzymano. Wrócisz do Królewca z dokumentami, które ci przekażę.

– Naprawdę? Boże, nie mogę uwierzyć. – Po policzkach popłynęły jej łzy. Płakała, naprawdę wzruszona jego deklaracją.

– Jeśli i ty mnie kochasz...

Kochała go bez pamięci. Tak bardzo, że zrobiłaby dla niego wszystko. No i teraz właśnie robiła, o co ją poprosił. Gdy podporucznik Mayer wyszedł, założyła na głowę chustkę, którą przewiązała pod szyją, nałożyła lekki kremowy płaszczyk i przewiesiła torebkę przez ramię. Na wszelki wypadek spojrzała jeszcze przez okno. Niebo było zachmurzone, ale nie zanosilo się na deszcz. Zresztą, nawet jakby miało popadać, to przecież z komendantury przy Hinterroßgarten miała do siebie, na Polnische Gaße, dosłownie dwa kroki. Trzeba było tylko przejść uliczką prowadzącą wzdłuż murów zamku koło zakładów elektromechanicznych, by znaleźć się na uliczce, przy której kiedyś mieszkali polscy kupcy, osiedlający się tu za czasów krzyżackiej świetności miasta. Uliczka zabudowana kamieniczkami wychodziła wprost na brzeg Neuer Pregel, opływającą leniwym nurtem wraz z Alter Pregel stare centrum miasta, które rozłożyło się pięćset lat temu na wyspie Kneiphof, gdzie centralnym i najbardziej okazałym budynkiem był miejski ratusz.

Być może wieczorem będzie spacerować uliczkami starówki... Nie, wcale nie ze swoją ciotką. Bo dziś miał przyjechać do niej Feliks Mikołajewski, jej kontakt operacyjny i oficer nadzorujący, ale te wszystkie wywiadowcze bzdury nie miały dla niej znaczenia, no może tylko takie, że dzięki nim mogli się spotykać. Najważniejsze dla Marleny było to, że Feliks kochał ją tak bardzo jak ona jego. A jak to wszystko się już skończy, wyjadą gdzieś we dwoje, do Szwajcarii albo Francji. Tak przynajmniej mówił on. Ale na razie trzeba było robić to, na czym oboje się znali i do czego zostali przygotowani. Nie, nie miała skrupułów, przechodząc na drugą stronę. W końcu Niemcy nic jej nie dały poza cierpieniami od najmłodszych lat, kiedy to jej rodzice zginęli podczas wojny, a dom rodzinny przepadł w płomieniach. A Feliks dał jej szczęście bez żadnych warunków.

I do tego jeszcze, gdy wpadła w policyjne sidła, wyciągnął ją z więzienia i pozwolił wrócić do domu, ale przede wszystkim do siebie. Dlatego kochała go jak nikogo innego na świecie i wiedziała dobrze, że może dla niego zrobić wszystko.

Weszła na pierwsze piętro, włożyła klucz w drzwi i otworzyła je. Usłyszała jakiś ruch. Jej ukochany był już w środku. Serce zadrżało z emocji. Zrzuciła płaszcz, torebka sama spadła na podłogę. Nie zdejmując nawet butów, wbiegła do środka.

Siedział na tapczanie i palił papierosa. Uśmiech, którym go obdarzyła na powitanie, zgasł momentalnie, gdy okazało się, że przy stole siedzi jakiś mężczyzna. Poznała go natychmiast. To był ten komisarz prowadzący śledztwo, w którym była podejrzana o szpiegostwo. To właśnie on na prośbę Feliksa zgodził się ją uwolnić.

– Witaj, Marleno. – Mikołajewski podniósł się z miejsca, podszedł do niej i ucałował w oba policzki, jakby była dawno niewidzianą ciotką. – Pana Fischera zdążyłaś już poznać.

– Bardzo się cieszę, że mogę panią znów zobaczyć – powiedział nienaganną niemczyzną. – Mój przyjaciel Feliks sporo mi o pani opowiadał.

– Mam nadzieję, że mówił tylko dobre rzeczy?

– Oczywiście, najdroższa. Antoni jest moim przyjacielem i wie, że jestem zakochany w pewnej pięknej Niemce o imieniu Marlena – mówiąc to, Mikołajewski uśmiechnął się tak, jak tylko on to potrafił.

– Niestety Antoni bardzo śpieszy się do swojego wuja, ale po drodze musi wejść na pocztę i wysłać telegram. Nie wie tylko, czy przesyłka od wuja ma szansę dotrzeć na czas do Polski.

Więc po to był tu ten obcy mężczyzna? To tylko kwestia załatwienia zwykłej formalności.

– Tak. – Skinęła głową. – Lekarstwa od wuja Alberta zostały dziś wysłane – wypowiedziała hasło, które powinna była przekazać odpowiedniej osobie. A osoba ta odpowiedziała, potwierdzając tę całą idiotyczną formułę.

– Ciotka Helga jest bardzo zobowiązana i czeka na kolejną przesyłkę.

## „Polski korytarz”, okolice Tczewa

Godzina 11.20 w nocy

Chwilę po przejechaniu polsko-niemieckiej granicy maszynista Johan Gomolka dostrzegł znaki ostrzegawcze informujące o tym, że na odcinku kilku najbliższych kilometrów prowadzone są prace remontowe. Zauważył to już, jadąc w przeciwnym kierunku. Polacy najwyraźniej zamierzali wreszcie zabrać się za remont torów, pomyślał z satysfakcją i pociągnął wajchę zmniejszającą strumień pary płynącej do tłoków. Jego pomocnik Hans Kramer znalazł się na swojej robocie. Widząc, co robi szef, pociągnął delikatnie rączkę hamulca. Wielka lokomotywa zareagowała jak dobrze ułożony koń podczas orki, który natychmiast odpowiada na gesty swojego właściciela i gdy ten czuje, że pług idzie zbyt szybko, delikatnie ściąga ku sobie lejce, a zwierzę od razu zwalnia. Parowóz, który po odjeździe ze stacji granicznej jeszcze się dobrze nie rozpędził, teraz zaczął tracić prędkość.

– Będą naprawiać tory – rzucił Gomolka do pomocnika.

– Niech naprawiają. Jak te ziemie wrócą do Rzeszy, będziemy mieć wyremontowaną drogę – rzucił Kramer wesołym tonem. Maszynista też się uśmiechnął. Młody to i głupi, pomyślał o chłopaku. Może sobie gadać o tym, że te dawne pruskie tereny wrócą do Niemiec, ale na razie to przecież całkiem nierealne. Francja, która ma sojusz z Polską, jest za silna i nigdy nie pozwoli osłabić swojego sojusznika. Dlatego Niemcy muszą jeszcze trochę poczekać, przyczaić się jak kot przed polowaniem na myszy. Przysiąść w kącie i obserwować wszystko uważnie. I dopiero gdy będzie pewność, że ta polska mysz wyszła za daleko od dziury, skoczyć, capnąć ją za łeb i będzie wtedy po wszystkim. Tak obrazowo wyjaśnił mu niedawno sytuację polityczną jego kolega Otto Lange, który zapisał się właśnie do partii narodowych socjalistów. Oni zdawali sobie sprawę, że czas rozliczeń po wojnie dopiero nadejdzie, i co najważniejsze, wiedzieli, w jaki sposób należy to zrobić. Podczas gdy komuniści mówili tylko o tym,

że trzeba wywołać światową rewolucję, która miała być lekarstwem na wszystkie bolączki. Gomolka przez długi czas, od 1918 roku, sympatyzował z komunistami, ale w końcu zerwał z nimi ostatecznie, gdy się przekonał, że wcale nie chcą dobra Niemiec, ale zależy im wyłącznie, by rewolucja bolszewicka opanowała cały glob, na którym miała zapanować społeczna równość i sprawiedliwość. Gomolka miał w dupie cały świat. On chciał, by Niemcom żyło się lepiej i żeby ich prastare ziemie wróciły do macierzy. Dlatego ostatnio zaczął chodzić na zebrania narodowych socjalistów, bo ich hasła były mu zdecydowanie bliższe. Mówili o wielkich Niemczech i jednocześnie o tym, że robotnicy i chłopcy są solą ziemi, więc muszą żyć na godnym poziomie. Czego mógł więc chcieć więcej robotnik patriota? Oni oferowali mu wszystko, co było trzeba. I dlatego zgadzał się ze swoim pomocnikiem, który mówił o powrocie do ojczyzny ziem zrabowanych Niemcom przez Francję, Polskę i Anglię, która odebrała im kolonie.

– Masz rację, Hansi, ale musimy jeszcze poczekać. Niemcy muszą stać się silniejsze.

– No tak, tylko kiedy to nastąpi?

– Póki premierem jest ten zasraniec Hermann Müller i rządzi nami ta jego hołota z SPD, nie ma na to żadnych szans. Oni są zdrajcami, bo robią wszystko, co chce ta zgniła Europa. Ale przyjedzie czas, gdy władzę odbiorą im prawdziwi patrioci, dla których najważniejsza jest ojczyzna, i wtedy Niemcy wreszcie wstaną z kolan. Mówię ci, tak będzie.

– Oby jak najszybciej.

Lokomotywa, posapując, parła naprzód z żółcią prędkością, ale maszynista nie chciał ryzykować szybszej jazdy. Diabli wiedzą, co ci polscy partacze narobili przy tych torach. Lepiej jechać powoli, dopóki znaki nie pokażą, że już po remoncie. Hans chyba myślał podobnie, bo zniecierpliwiony wyjrzał na zewnątrz przez okienko, próbując przeniknąć ciemności.

– Widać już jaki znak? – zapytał Gomolka.

– Nie, tylko bałagan na poboczu. Polski porządek. Nawieźli piachu i nie rozsypali na bok, tylko usypali górkę. Co za dziadostwo.

– Przynajmniej coś robią. I to pewnie będą umacniać tory na całej trasie, bo tam z drugiej strony, przy samej granicy, też zrobili nasyp. Czyli że robią z dwóch stron.

– Byleby się tylko spotkali.

– Co?

– No ci z jednej i drugiej strony, żeby te dwa remonty połączyły się w jeden.

– He, he, tacy głupi to chyba nie są.

– Ktoś tam stał przy nasypie – zawołał Hans. Gomolka wzruszył ramionami.

– A co nas to obchodzi? Nie bój się, tu żaden pasażer na gapę nie wskoczy. Wszystkie wagony szczelnie pozamykane. No, dorzuc do pieca, Rudi – zwrócił się do żylastego palacza, który siedział na siodełku z tyłu i przysypiał. Zawsze wykorzystywał każdy moment, żeby spać, i budził się tylko wtedy, kiedy maszynista kazał mu dosypać węgla. Zeskoczył więc na podłogę, napluł w dłonie, roztarł ślinę, chwycił szufłę i nabrał węgla, by wrzucić go do rozpalonego pieca, którego drzwiczki otworzył mu Kramer.

Będą ludzie z tego Hansa, pomyślał z dumą Gomolka, który bardzo cenił u młodych chęć do pracy i pomagania innym. Trzeba by go wziąć na zebranie NSDAP, niech się czegoś dowie o polityce i o tych Żydach, którzy roznoszą choroby i okradają Niemców z wszelkich dóbr im należnych. Bo gdyby nie ci Żydzi, to wszystkim żyłoby się zdecydowanie lepiej.

Czterej ludzie w czarnych wełnianych czapkach, ubrani w czarne kombinezony i sportowe lekkie buty na gumowej podeszwie, przyczajeni między drzewami czekali, aż lokomotywa minie ich kryjówkę. Gdy na ich wysokości pojawiła się węglarka, wyskoczyli z ukrycia i jeden za drugim pognali w kierunku pociągu. Dobiegli tam akurat w momencie, w którym mijał ich wagon pocztowy. Dwaj pierwsi sprawnie wskoczyli na czołowy pomost, ten tuż przy węglarce. Dwaj pozostali, jeden za drugim, dostali się na pomost tylny. Nie mieli z tym większych trudności, bo pociąg jechał bardzo wolno, a dodatkowo skok na wagonowe pomosty ułatwiał im usypany przez kolejarzy nasyp, biegnący wzdłuż torów na długości

prawie dwustu metrów. Ten wał ziemny kolejarze z ekipy remontowej przygotowali specjalnie dla nich, choć żaden z pracowników PKP nie miał pojęcia, do czego taka konstrukcja może służyć. Teraz okazało się, że była bardzo przydatna.

Mężczyźni nie zamierzali tkwić na pomostach wagonu pocztowego. Niezwłocznie zaczęli wspinać się na dach pociągu. Ta czynność nie zajęła im nawet minuty. Po chwili obie pary śmiazków spotkały się dokładnie na środku dachu. Wszyscy przywarli do powierzchni przykrytej papą, która dzięki temu była szorstka i leżący na niej człowiek nie mógł się ześlizgnąć. Poczuli, jak pociąg zaczyna powoli nabierać prędkości. Nie było więc czasu do stracenia. Dwaj z nich, ci, którzy wskakiwali na pierwszy pomost, zdjęli liny, które mieli przewieszane przez ramię. Wyćwiczonymi do perfekcji ruchami przywiązali je do wentylatorów i spuścili w dół. Dwaj pozostali założyli na dłonie skórzane rękawice, chwycili sznury i zaczęli powoli zsuwać się po nich na podłużny podest, biegnący przy środkowych drzwiach wagonu. Ćwiczyli to już tyle razy, że nie mieli z tym najmniejszego problemu. Teraz, stojąc na pomoście, jeden z nich chwycił drugiego w pól, jednocześnie trzymając się liny. Ten pochwycony musiał całkowicie zaufać partnerowi, że zostanie utrzymany w pionie przez najbliższą minutę. Tyle bowiem czasu potrzebował na otwarcie zamka i zdjęcie niemieckiej pocztowej plomby. Czterdzieści sekund później zamek został otwarty. Drzwi przesunęły się w lewo i mężczyźni weszli do środka, zamykając za sobą przejście. Obie liny zostały wciągnięte na dach, a mężczyźni, którzy się nimi zajmowali, wcisnęli je sobie pod brzuchy, żeby czasami nie latały luźno, gdy pociąg rozpędzi się do stu kilometrów na godzinę. Tymczasem ci w wagonie nie musieli nawet zapalać latarek, które mieli w kieszeniach. Doskonale wiedzieli, co gdzie się znajduje. Idąc na czworakach, zbliżyli się do podłużnego stołu. Jeden z nich został na podłodze i przymknął oczy. Drugi wspiął się na krzesło, usiadł na nim i z wewnętrznej kieszeni kombinezonu wydobyl skórzane etui, przypominające pochewkę do okularów. Wewnątrz jednak znajdował się komplet wytrychów i drucików różnych rozmiarów. Mężczyzna wymacał jeden wytrych i wydobyl go z opakowania. Był pewien, że ten będzie pasował. Nie pomylił się.

Chwilę pogrzebał w zamku i zaraz usłyszał ten cieszący serce każdego włamywacza trzask. Zamek ustąpił. Dopiero teraz wydobył z zapinanej kieszeni latarkę sygnałową. Zapalił lampkę z ekranem przesłoniętym czerwoną blendą. W czerwonej poświacie bez trudu odnalazł jutowy worek, w którego wnętrzu zamknięta była specjalna przesyłka. Chwycił ją i podał siedzącemu na podłodze koledze. Ten zza pazuchy wydobył większy worek, włożył do niego ten z przesyłką, związał mocno sznurkiem i podszedł do drzwi. Otworzył je i niemal natychmiast do środka wpadła lina obciążona metalowym odważnikiem. Uśmiechnął się, bo pomimo coraz szybszej jazdy ci na górze byli czujni. Zdjął odważnik i przywiązał worek do liny. Szarpnął dwa razy i worek ruszył do góry. Zamknął więc drzwi i wrócił na swoje miejsce przy stole. Tam siedział już drugi włamywacz, który nie miał chwilowo nic do roboty.

– I jak poszło? – zapytał szeregowy Zenuś Brodziak.

– Koncertowo – odpowiedział zadowolony plutonowy Romuald Szymkowiak vel Sprężyna, najlepszy w Poznaniu pajęczarz.

– No to co, czekamy?

– Czemu nie, można poczekać, ale o suchym pysku przy takiej robocie to nie uchodzi. – Sprężyna sięgnął do kieszeni w kombinezonie i wyciągnął z niej metalową piersiówkę. – To co, za najlepszych wojskowych wywiadowców w całej Rzeczypospolitej? – Upił łyk i podał koledze. Zdążyli się przez kilka ostatnich tygodni zaprzyjaźnić. Zresztą bracie Filipiakowie też okazali się niezłymi kompanami, a czteroosobowa grupa została tak gruntownie wyszkolona przez majora Jażdżewskiego i kilku innych oficerów, że teraz stała się świetnie wytrenowaną drużyną do zadań specjalnych.

Obaj bracia tkwiący na dachu, gdy tylko dotarła do nich paczka, odwiązali liny i wyrzucili je w ciemność. Sami zaś zeszli na podest wagonu, czekając, aż pociąg zwolni. Nie trwało to długo. Kolejne sto metrów remontowanych torów i lokomotywa zaczęła tracić prędkość. Gdy wyczuli moment, że jedzie najwolniej jak to możliwe, wyskoczyli na piaskowy nasyp i od razu pognali w kierunku drzew. Znali tu niemal każdy krzaczek, bo przez ostatni tydzień właśnie tu ćwiczyli bieg ku ścianie lasu. Od razu dostrzegli zielone światło latarki, które



zapaliło się i zgasło kilka razy. Po paru sekundach dopadli do miejsca, w którym stał Jażdżewski.

– Meldujemy się, majorze.

– Dobra robota. Żwawo, do autobusu!

Pojazd stał na bitej szosie, dwadzieścia metrów dalej. Ruszyli do niego biegiem. Drzwi boczne były otwarte, a silnik włączony. Filipiakowie wskoczyli do środka, a zaraz za nimi wpadł major.

– Jazda, mistrzu kierownicy. Ile mocy w silniku, pruj pan przed siebie – zawołał do kierowcy.

Ogniomistrz Fornalczyk, który był jednocześnie doskonałym kierowcą i mistrzem Garnizonu Poznańskiego w wyścigach samochodowych, wyszczerzył zęby w uśmiechu. Miał pięćdziesiąt minut, żeby leśnymi drogami dojechać pod polsko-niemiecką granicę do miejsca, w którym pociąg znów zwolni. Przez miesiąc ćwiczył to codziennie, więc wiedział, że dotrze tam z przynajmniej pięciominutowym zapasem. Oczywiście jeśli nie natkną się na niespodziewaną przeszkodę. Wtedy straci cenne sekundy. Dlatego ruszył z kopyta, aby szybkością z góry nadrobić ewentualne straty. Byleby tylko zdążyli ci z tyłu. A za jego plecami rozgrywała się prawdziwa walka z czasem. Przy dwóch specjalnie przygotowanych przez koszarowych stolarzy stołach siedzieli fachowcy, których zadaniem było dobranie się do korespondencji. Pierwszy z brzegu, który dostał worek od Filipiaka, porucznik Frankowski, otworzył go za pomocą specjalnych kombinerek, tak by nie naruszyć metalowej plomby. Ostrożnie wyjął ze środka pakiet zawinięty w szary papier, obwiązany sznurkiem i zalepiony lakową pieczęcią z oznaczeniami I Okręgu Wojskowego w Królewcu. Przeciął sznurek, zdjął ostrożnie za pomocą skalpela pieczęć i otwarty pakiet podał siedzącemu obok podporucznikowi Liskiewiczowi. Ten pilnował przytwierdzonego do stołu spirytusowego prymusa, do którego za pomocą drutów mocno przytwierdzono czajnik z wodą. Chodziło o to, żeby na wybojach ani prymus, ani czajnik nie przewróciły się i nie spadły na podłogę. Podczas ćwiczeń nie doszło do żadnego wypadku, ale teraz już nie ćwiczyli. Teraz ich akcja szła pełną parą, podobnie jak para z czajnika. Liskiewicz wydobył pierwszą kopertę i przytrzymał ją nad czajnikiem. Klej zmiękł błyskawicznie i koperta została otwarta.

Wyciągnął z niej plik papierów i podał je kolejnemu technikowi. Porucznik Bogdanowicz był zapalonym amatorem fotografii. Swoją własny aparat fotograficzny marki Leica zainstalował na specjalnym drewnianym statywie, dzięki któremu obiektyw był skierowany w dół, na fotograficzną maskownicę, podświetloną z dwóch stron lampami elektrycznymi. Dzięki temu każdy dokument, który kładł pod obiektyw, był oświetlony jak w dzień. Mógł więc być pewien efektu, jaki osiągnie przy robieniu zdjęć. Zresztą nic innego nie ćwiczył przez ostatnie dni, jak tylko fotografowanie różnych papierów w tym trzęsącym się autobusie. Teraz ułożył pierwszą kartkę, zwolnił migawkę aparatu i natychmiast wziął kartę, by podać ją stojącemu za jego plecami Anzelmowi Filipiakowi. Ten rozłożył ją na stole obok, tuż przy kopercie, z której została wyciągnięta. Po chwili wszystkie dziesięć sfotografowanych kart włożył do koperty i podał ją swojemu bratu. Ten delikatnie zakleił przesyłkę klejem roślinnym i zaniósł do porucznika Frankowskiego, który musiał wszystkie koperty włożyć do jednego pakietu, obwiązać sznurkiem i wkleić weń plombę lakową, z której wcześniej usunął pierwotny sznurek, założony nań przez pannę Marlenę von Pieskow.

– Jak droga? – zapytał kierowcę major Jażdżewski. Było to pierwsze słowo wypowiedziane w autobusie od czterdziestu minut. Wszyscy dotąd byli tak zajęci swoją robotą, że nikt nie miał ochoty tracić czasu na gadanie. Teraz jednak trzeba było zacząć przygotowania do zakończenia akcji.

– Jedziemy co do sekundy, panie majorze.

– I chwała Bogu! Poruczniku Bogdanowicz, jak fotografie?

– Ostatni dokument odebrał właśnie kapral Filipiak.

– Brawo. To znaczy, że zdążymy.

– Nie może być inaczej, panie majorze. – Anzelm oddał bratu skompletowaną kopertę, a ten szybko posmarował ją delikatnie klejem pocztowym i przytrzymał papier, by klej mógł zaschnąć. Ostatni pakiet włożył do dużej szarej koperty i poszedł do pierwszego stanowiska. Frankowski wsunął ją na miejsce i zakleił. Potem owinał sznurkiem i delikatnie wkleił lakową pieczęć. Oczy wszystkich skierowane były na paczkę. Wyglądała tak, jakby nikt jej nie otwierał.

– Dojeżdżamy, panowie! – zawołał kierowca. Pakiet znalazł się w worku pocztowym, na który Frankowski nałożył plombę i zacisnął drucik. Ewaryst Filipiak otworzył swój wypróbowany już niejednokrotnie złodziejski wór, do którego zapakował ten z niemieckimi przesyłkami.

– Gotowe, panie majorze! – zameldował gotów do dalszych działań. Ustalili z bratem, że to on poda worek do wagonu, bo jako młodszy biegał znacznie szybciej.

– Jest światło! – krzyknął kierowca ogniomistrz na widok migającej latarki. Podjechał do stojącej na środku drogi postaci i zatrzymał autobus. Drzwi się otworzyły i ze środka wyskoczył młodszy z Filipiaków. Przodownik Bielawski, który w swojej okolicy znał każdy krzaczek, ruszył przodem, oświetlając drogę. Nie mieli prawa się zgubić, bo obaj wiedzieli, jak wygląda ta leśna ścieżyna, którą przeszli ostatnio kilkadziesiąt razy. Po chwili byli już przy ścianie drzew.

– Słysząc już sznylcuga – stwierdził zadowolony Bielawski.

– Co słysząc? – Filipiak nie znał niemieckiego i dlatego nie wiedział, że na pograniczu nie jeździły pociągi, a bany albo sznylcugi, i nikt nie miał zamiaru mówić inaczej, bo i po co, skoro niemieckie nazwy oddawały najlepiej istotę rodzajów kolejowego taboru.

– Słysząc, że jedzie. Już się szykuj, bo zaraz tu będzie!

To Filipiak zrozumiał. Pochylił się jak do biegu sportowego i po chwili ruszył przed siebie, by zaraz zrównać się ze zwalniającym pociągiem. Gdy siedzący wewnątrz Sprężyna dostrzegł czerwone światełka, dobiegające ze ściany ciemności, od razu otworzył drzwi wagonu. Filipiak był już przy nich, ale nie wrzucił worka, tak jak zaplanowali, tylko złapawszy się uchwytu, odbił się od nasypu i jak akrobata wskoczył do środka.

– A ty tu co? – warknął pajęczarz.

– Wnukom będę opowiadał, cośmy tu zmalowali.

– Jak dożyjesz.

Wziął od Ewarysta worek i rzucił go Zenusiowi. Ten wydobył z niego niemiecki worek pocztowy, włożył go w to samo miejsce

w szafce, z którego go wydobył, zatrzasnął drzwi i przekręcił zapadkę zamka.

– No, panowie, chodu! – zarządził Filipiak, wyskoczył od razu i zniknął w ciemności. Ale dwaj włamywacze mieli jeszcze coś do zrobienia. Ostrożnie zeszli na próg przy drzwiach, zatrzasnęli je i Zenuś wziął się za zamykanie zamka, przytrzymywany przez Sprężynę. Tym razem mieli trudniej, bo nie było już lin zwisających z dachu, których można by się było przytrzymać. Ale i ten wariant mieli przewidziany. Więc Sprężyna trzymał się mocno uchwytu drzwi, a lewą ręką i kolanem dopychał Brodziaka do ściany wagonu. Zenuś szybko uporał się z zamkiem i już chciał zakładać plombę, gdy naraz zastygł w bezruchu.

– Co jest, szczone? – zapytał Szymkowiak, który natychmiast wyczuł, że coś jest nie tak.

– Worek.

– Co worek?

– Pierdolony worek Ewarysta został na podłodze.

– Kurwa, pieprzyć go, skaczemy, bo pociąg się już rozpędza.

– Nie! Wracam.

– Ja pierdolę, wszystko do dupy.

– Skacz. Ja wracam. Moja wina!

– Dobra, otwieraj! – ponaglił go Sprężyna.

Zenuś nie miał zamiaru dyskutować. Szybko włożył wytrych do zamka. Chwilę w nim pogrzebał i drzwi się otworzyły. Sprężyna pociągnął je ku sobie, a Brodziak wpadł do środka. Worek leżał przy stole pocztowym. Konwojenci od razu by go zauważyli. Wsunął go za pazuchę i wrócił do drzwi. Powitał go tam silny strumień powietrza, wiadomy znak, że pociąg nabierał prędkości. Już dawno powinni byli wyskoczyć. Oddalali się od autobusu i kolegów. Ale to nie było najważniejsze. Gorsza sprawa, że musieli wyskoczyć w nieznanym terenie i przy coraz szybszej jeździe.

– Mam worek – zawołał do ucha Sprężyny, gdy stanął koło niego na desce progu. Ten zatrzasnął drzwi, a Zenuś natychmiast zabrał się za zamykanie zamka. Założenie drutu z plombą zajęło mu jakieś pół minuty. I właściwie mogli już skakać, tyle że nie mieli gdzie. Nie było

żadnego pobocza, tylko ściana lasu. Tymczasem pociąg jechał coraz szybciej.

– Jak będzie walił sto na godzinę, to nas zdmuchnie – krzyknął Sprężyna.

– To się trzymaj! – odkrzyknął Zenuś, który nie wiedział, co powiedzieć, bo było mu głupio, że zawalił sprawę i jeszcze naraził kolegę na niebezpieczeństwo. – Zwalniamy!

– Tam są światła. – Wskazał głową Sprężyna. – To już granica. Musimy spieprzać!

Trzeba było działać. Pociąg wyraźnie zwalniał, choć jeszcze prędkość nie była bezpieczna, a krzaki na poboczu nie wyglądały zbyt przyjaźnie.

– Teraz – krzyknął Sprężyna i skoczył w ciemność. Zenuś pchnięty impulsem odbił się od deski i poleciał za nim. Poczuł, jak jego nogi trafiają na coś miękkiego i mokrego, a pół sekundy później cały zanurzył się w wodzie. Natychmiast zareagował właściwie i zaczął rękoma młócić wkoło, chlapiąc i się krztusząc. Utrzymał się na powierzchni, ale nie miał pojęcia, w którą stronę płynąć.

– Tu do mnie! – rozpoznał znajomy głos. Ruszył w tamtym kierunku. Zaraz też poczuł, że jego stopy dotykają dna. Szedł już, a nie płynął, brodząc w zimnej wodzie. Po chwili wydostał się na brzeg. W świetle księżyca dostrzegł sylwetkę kolegi.

– Nie kapałeś się? – zapytał.

– Nie umiem pływać – odpowiedział Sprężyna i roześmiał się w głos. – Nie umiem pływać i nie wpadłem do tej wody, rozumiesz, szczonie? Jestem w czepku urodzony.

– No to co, idziemy? Gdzieś tu musi być droga, co wiedzie do stacji. Pamiętasz, jechaliśmy nią niedawno.

– Jestem w czepku urodzony i się nie utopiłem, ale girę to mam chyba złamaną.

– Nie dasz rady iść?

– Chyba nie.

Brodziak pochylił się i podniósł z łatwością Sprężynę, a potem zarzucił go sobie na ramię. Pajęczarz był drobnej budowy i nie mógł ważyć więcej niż pięćdziesiąt kilo, więc dla młodego byczka takiego jak Zenuś to nie był żaden problem. Dziesięć minut później położył

go ostrożnie na poboczu drogi. Rozsiadł się wygodnie i wyciągnął srebrną papierośnicę, która okazała się wodoszczelna, bo tytoń nie przemókł.

– No to czekamy – stwierdził Sprężyna, który robił wszystko, żeby nie okazać się mięczakiem i nie jęczeć z bólu. Ale noga szybko puchła i miał wrażenie, że ktoś mu próbuje oderwać stopę. Sięgnął więc po swoją piersiówkę, wypił łyka i podał Zenusiowi. Ten upił odrobinę, ale nie za dużo. Nie przepadał za wódką. Wolał piwo, ale tutaj, na tej pustej drodze, raczej nie mógł się spodziewać, że ktoś poda mu flaszkę poznańskiego huggera.

– I co teraz zrobisz? – zapytał młodszego kolegę.

– Z czym?

– Ze sobą?

– Jak co? Normalnie wrócę do chaty.

– A co powiesz Jażdżewskiemu?

– A co mam powiedzieć? Nic nie powiem. A ty co niby?

– Zastanawiam się – odparł mistrz złodziejski, któremu zaczęło się robić ciemno przed oczami. – Bo wiesz, ja niby jestem pajęczarz najlepszy wew swoim fachu, ale z drugiej strony jeszcze nigdy w tej robocie nikt mi nie powiedział, że mogę coś zrobić dobrego, no wiesz, że to takie jest ważne, tak jak teraz... Ostatni raz na wojnie się tak czułem dobrze.

– No niby prawda, znaczy się dla kraju niby...

– A przy tym jak człowiek zostaje w woju na zawodowego, to ma co miesiąc płacone i nawet do mieszkania mu dopłacają i jeszcze dodatek na mundur... żyć nie umierać – rzucił i opadła mu głowa.

Zenuś nie zauważył nawet, że kolega stracił przytomność. Wpatrzony w drogę zastanawiał się. Dotąd był przekonany, że nikt z ich czwórki nie weźmie poważnie propozycji Jażdżewskiego, żeby po tej akcji zostali w wojsku, bo ich umiejętności mogą się przydać. A tu się okazuje, że ten znany złodziej, mistrz pajęczarstwa, myśli o tym poważnie.

Naraz Brodziak dostrzegł światła nadjeżdżającego auta.

– Sprężyna, wstawaj! – Potrzasnął ramieniem nieprzytomnego kolegi. Ten tylko jęknął. Wziął go więc na ręce i wyszedł na drogę. Bo nawet jeśli to jechał kto inny, a nie ich transport, to wiedział, że

musi zatrzymać ten nadjeżdżający wóz, żeby zawieźć kolegę do lekarza.

Ogniomistrz Fornalczyk, dostrzegłszy na środku drogi Brodziaka ze Sprężyną na rękach, natychmiast zatrzymał autobus.

– Girę se złamał – wyjaśnił chłopak, gdy ze środka zaczęli wychodzić pozostali uczestnicy akcji. – Trzeba go do szpitala wieźć. Dwaj Filipiakowie odebrali od niego Sprężynę i ponieśli do wozu.

– Jasne, że zawieziemy, panie starszy szeregowy. – Jażdżewski klepnął go w ramię. – No i gratuluję udanej akcji. – Wysunął ku niemu rękę. Brodziak myślał, że chce mu uścisnąć dłoń, ale oficer miał całkiem inne zamiary. W ręce trzymał długi, smukły kieliszek.

– Weź – polecił. – Ogniomistrzu, podajcie bąbelki.

– Się robi, panie majorze.

Kierowca wydobył z szoferki butelkę szampana i szybko ją otworzył. Pozostali też mieli już kieliszki w dłoniach. Ogniomistrz rozlał szampana, a pustą flaszkę rzucił w krzaki.

– Panowie, gratuluję świetnie przeprowadzonej akcji. Wasze zdrowie!

Wypili, dumni i zadowoleni, jak piłkarze po wygranym meczu, którzy sukcesem zakończyli cykl morderczych przygotowań i treningów.

– Za tę i kolejne akcje naszej drużyny! – Jażdżewski wzniósł jeszcze jeden toast.

– Panie majorze, a czemu pan powiedział, że jestem starszy szeregowy? – zapytał Brodziak, do którego dopiero teraz to dotarło. – Ja przecież jeszcze nie mam żadnej belki.

– Będziesz miał już niedługo, chłopcze. Już niedługo. To teraz panom wszystkim mogę już powiedzieć, że jutro, nie, jutro jest niedziela, ale pojutrze, w poniedziałek, wystąpię do dowódcy pułku o awanse dla wszystkich uczestników akcji o jeden stopień.

– Ku chwale Ojczyzny – zawołali oficerowie. Zenuś Brodziak się nie odezwał. Nie miał dotąd pojęcia, co powinien powiedzieć w takiej sytuacji. No ale teraz już wiedział, że jeśli go będą w przyszłości awansować, to musi powiedzieć: „ku chwale Ojczyzny”. Tyle że nie wiedział, co to jest to „chwale”, bo w kwestii ojczyzny to był akurat

dobrze uświadomiony i wiedział, że to Poznań i wszystko, co dookoła, czyli reszta Polski.

Koniec

Cerekwica, czas pandemii, listopad 2020



# Spis treści

Prolog

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X